HARDA

Elżbieta Cherezińska

HARDA

Elżbieta Cherezińska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Elżbieta Cherezińska
Harda

ISBN: 978-83-65521-19-4

Copyright © Elżbieta Cherezińska, 2016
All rights reserved

PROJEKT OKŁADKI: Tobiasz Zysk
REDAKCJA: Bogusław Jusiak

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Spis treści

Książę leśnych polan

Część I

Część II

Część III

Od autorki

Korony Rody Królestwa

Wszystkim bezimiennym, zapomnianym księżniczkom piastowskim
Mniszkom, żonom, matkom, władczyniom, o których historia milczy
Dziewczynom oznaczonym w biogramach dynastii smutnym N.N.

Książę leśnych polan

MIESZKO z jastrzębiem na ramieniu jechał konno na zachód, wprost w krwistą poświatę rozpalonego nieba. Słońce zaszło płomienną łuną. Krzyknęły ostatnie ptaki wracające do gniazd. Nad podmokłymi łąkami po obu stronach traktu zaczęły unosić się chłodne, siniejące pasma mgły. Gdy przez nie przejeżdżał, na kolanach i udach czuł wilgotny chłód. Po dłuższej chwili czerwień nieba się rozpłynęła, ustępując miejsca fioletowym, a potem granatowym barwom. Ponaglił konia. Zbliżał się szary zmierzch. Po chwili na drodze pojawiła się chmara jeleni prowadzona przez starą łanię. Szły na żer. Wstrzymał konia, przepuszczając je. Gdy przeszły, chciał ruszyć dalej, ale wierzchowiec cofnął się, parsknął, rzucił łbem i zastrzygł uszami. Bał się. Jastrząb siedzący na ramieniu Mieszka przestąpił z nogi na nogę. Na trakt wyskoczyła wataha wilków, szybka niczym dziewięć strzał. Trzy potężne samce już się rozdzielały, by osaczyć stado jeleni. Za nimi susami podążały samice. Mógł zdjąć z pleców łuk, ustrzelić je, wtargnąć w bieg zdarzeń, ale po co? Silniejszy musi wygrać, doświadczył tego aż do bólu. Jelenie i wilki zniknęły w wilgotnym mroku łąki, koń ruszył przed siebie. Nad majaczącym z boku łęgowym lasem wschodził księżyc. Rozmazany mgłą krąg tuż przed pełnią. Mieszko odruchowo zdjął kaptur z głowy i pokłonił się. Spiął konia, miał mało czasu. Nim zapadł mrok, usłyszał ujadanie psów. Gród był blisko. Prowadziło go chłodne światło Księcia Nocy.

Jastrząb siedzący na ramieniu Mieszka przeszedł po twardej skórze rękawicy na drzewce wypalonej pochodni. Poruszył skrzydłami, by je ułożyć. Nie zaskrzeczał.

Urdis stała nago zwrócona twarzą do paleniska. Robiła to często, jakby chciała przyjąć w siebie ciepło płomieni. Dotknął jej pleców. Drgnęła, ale się nie odwróciła. Uniosła ramiona i wyjęła z włosów szpilę. Ciężkie sznury warkoczy leniwie zsunęły się z głowy na plecy. Wsunęła w nie palce

i niespiesznym, bezwiednym ruchem zaczęła je rozplatać. Stał za nią i oddychał coraz szybciej. Syknęła i szarpnęła włosy. Chwycił ją za dłoń i przytrzymał. Srebrna spirala jej pierścienia wplątała się w kosmyk włosów. Przybliżył się o krok.

— Muszę zdjąć ci pierścień — szepnął jej do ucha. W nozdrzach poczuł woń jej włosów.

— Nic więcej na sobie nie mam — odpowiedziała, odchylając głowę w tył i opierając na jego piersi.

Pasmo po paśmie wyplątywał włosy z klejnotu, który założył jej na palec kilka lat wcześniej. Kiedy skończył, Urdis się odwróciła, przekładając długie pasma włosów z pleców na piersi. Gdzieś niedaleko, za grubą ścianą dworzyska rozszczekały się psy. W oddali wyciem odpowiedziały im wilki.

— Zdejmiesz żelastwo? — zapytała, poruszając nosem. — Nie jestem córką kowala, żeby cię rozkuwać.

Mówiła to za każdym razem i zawsze rozśmieszało go tak samo. Zrzucił kolczugę, która opadła na ziemię z metalicznym chrzęstem. Zdjął skórzany kaftan. Koszulę. Zastygł na chwilę, napawając się ciepłem płomieni na gołej skórze. Wzruszyła ramionami i poszła do łoża. Niedźwiedzia skóra tłumiła jej kroki.

— Pospiesz się — usłyszał po chwili. — Zawsze muszę na ciebie czekać.

— To już ostatni raz — powiedział, patrząc jak kropla żywicy z sykiem skacze po płonącym polanie. — Obiecuję.

— Nie obiecuj mi nic, czego nie możesz spełnić tej nocy — szepnęła, wyciągając po niego ręce.

Wpadł pomiędzy jej ramiona wprost na miękkie łąki piersi, wdychając woń włosów jak wonnych szuwarów. Zamruczała, zagarniając go na siebie. Zatrzymał się na popas jednego pocałunku, a potem uciekł przez mszyste

siedlisko brzucha w dół, na podmokłe łąki. Trzymał jej biodra w dłoniach, przechylał jak misę.

— Zanurz się — jęknęła — proszę…

— Potem — szepnął. — Jeszcze nie teraz. Jechałem z daleka i jestem spragniony. Napój mnie…

Brał każde z jej poruszeń; wyłuskiwał jak okrągłe jądro orzecha z twardej, rozchylonej skorupy. Rozgniatał językiem, aż pękła, wyrzucając w górę biodra z przeciągłym jękiem.

— Gdzieś ty był? — wyszeptała, z trudem łapiąc oddech.

— Na mokradłach — odpowiedział, ocierając spiczastą, ciemną brodę.

— Chodź, chodź, osuszę cię. — Zarzuciła mu ramiona na szyję i przylgnęła do niego całym ciałem.

Oddychali głęboko, równo jak pływacy, którzy płynęli ramię w ramię. Na bramie grodowej zabrzmiał niski, podwójny dźwięk rogu. Jastrząb zaskrzeczał, jakby chciał powtórzyć dźwięk.

— Muszę… — Drgnął.

— Nie. — Oplotła go palcami jak wąskolistnym pnączem. — Ty nic nie musisz. Ty możesz wszystko, mój książę.

Zaśmiał się nerwowo i wyswobodził z jej ramion. Usiadł, odgarniając spadające na twarz włosy. Przeczesał palcami sztywną brodę.

— Mam mało czasu — powiedział twardo. — Muszę wyruszyć przed świtem.

Usłyszał ostre brzmienie swego głosu. Jestem głupcem — pomyślał i odwrócił się do niej. Leżała z ramionami pod głową. Ciemne plamy sutków zdobiły jej nagość, wypukłe jak brosze.

— Wybacz — powiedział, choć czuł, że to słowo brzmi głucho.

Podniosła się z posłania i osłoniła piersi ramionami. Włosy rozlały jej się po plecach jak strugi żywicy.

— Wybacz? — powtórzyła po nim cicho. — Nie mówisz do dziecka, ale do kobiety. Od dawna wiem, że jestem tylko przystankiem na twej drodze, popasem na leśnej polanie…

— Nie mów tak. Urdis, jesteś najmądrzejszą z moich żon. — Odwrócił się, by ją pogładzić po nagim kolanie.

— Myślisz, że mi z tym łatwiej? — Jej niebieskie oczy lśniły pomiędzy pasmami włosów.

— Widzisz przyszłość jak wieszczka. — Popatrzył na nią czule.

— Widzę, ale to nie znaczy, że ją rozumiem. — Smutno potrząsnęła głową. — Gdy wysyłałam cię na dwór margrabiego Gerona, wiedziałam, że przywieziesz stamtąd broń, która osłoni cię przed Sasami i Wieletami, ale nie miałam pojęcia, co nią będzie. Podaj płaszcz, zimno mi.

Mieszko wstał i przyniósł jej okrycie. Siadł przy Urdis ciężko.

Tak, była jego ukochaną żoną, choć miał piękniejsze od niej. Wszemiłę ze złotymi, wijącymi się włosami; Ludmiłę o pełnych, idealnie okrągłych piersiach; wysoką Mojmirę o smukłych udach, które nigdy mu się nie znudziły; Żywię, ach, wesołą Żywię z dołkami w policzkach; Lesławkę, która tańcem bioder rozpraszała wszystkie jego smutki; Gunn, północną, jasnowłosą piękność, którą wykupił z niewoli. No i ją, Urdis — wieszczkę o włosach w kolorze żywicy. Jej matką była kobieta z Gotlandii, ojcem wielki Dalwin, żeglarz i kupiec z bogatego Wolina. Prawda, to Urdis powiedziała: „Jedź do Gerona. Na jego dworze znajdziesz to, czym go pokonasz”.

W tamtym czasie był jak zraniony pies. Margrabia Gero zmiażdżył go dwukrotnie, raz osobiście stanąwszy na czele saskich wojsk, za drugim razem nasyłając na niego grafa Wichmana z wieleckimi posiłkami. Mieszko w tych wojnach stracił najstarszego brata, Dobroniega, setki wojów i ludzi uprowadzonych w niewolę. I twarz. To najgorsze. Po dwukrotnej przegranej

wiec mógł mu odebrać przywództwo. Na co komu młody, nieopierzony książę, który nie daje zwycięstwa? Pojechał do Gerona, jak radziła Urdis. Zresztą jaki miał wybór? Dwa razy zmiażdżony na polu bitwy musiał się układać. Zwycięzca przyjął go z pogardą, jaką okazuje się pokonanym. Tak, wielki Gero był w tym czasie pierwszym z panów Rzeszy. Wyniesionym nawet ponad cesarskiego brata. Oprowadził go po swej siedzibie, pokazał ponurą salę, gdzie przed dwudziestu laty sprosił na ucztę trzydziestu słowiańskich wodzów i otruł przy własnym stole. Chełpił się tym, jak przechytrzył kapłanów Świętowita z Arkony. „Ach, te wasze pogańskie bałwany! Cóż mi one?”. — Śmiał się, pokazując pożółkłe, krzywe zęby, aż ślina ciekła mu po gładko wygolonej brodzie. A młody Mieszko zaciskał szczęki, myśląc, jakim potworem jest Bóg, którego na ziemi reprezentuje tak podły, zdradziecki człowiek. By kupić sobie czas potrzebny do przygotowania obrony i by uchronić się przed kolejnym najazdem zakutych w stal wojowników Gerona lub dzikich i wściekłych Wieletów Wichmana, zgodził się płacić trybut z ziem lubuskich po drugiej, podległej marchii stronie Odry. Przełknął tę gościnę jak odwar z piołunu. A w dniu wyjazdu zobaczył irlandzkiego mnicha. Szczupłego człowieka w szarej, czystej sukni i płaszczu z kapturem. Ich spojrzenia się skrzyżowały i Jordan wyruszył z Mieszkiem. W drodze mieli dość czasu, by rozmawiać.

— Co robiłeś na dworze Gerona? — spytał Jordana Mieszko.

— Szukałem pomocy dla mego ludu — odpowiedział mnich.

To tak jak ja — ponuro skonstatował książę.

— Przybyłem z Irlandii nękanej najazdami wikingów. Naiwnie sądziłem, że wielkie chrześcijańskie cesarstwo zechce wesprzeć nas zbrojnie przeciw napadom barbarzyńców z Północy.

— I co? — drwiąco zapytał Mieszko. — Zobaczyłeś, że święte cesarstwo nie różni się wiele od pogańskich plemion, z którymi walczy?

— Zobaczyłem wiele rzeczy, które nie mieściły mi się w głowie, książę. Margrabiego Gerona, co fałszywie krzewił chrześcijaństwo. Zdrady i sprzeniewierzenia popełniane ze świętym imieniem Chrystusa na ustach. Poznałem grafa Wichmana, banitę i awanturnika, który porzucił wiarę i szlachetny ród, z jakiego się wywodził, by stać się najemnym przywódcą straszliwych Wieletów.

— Wichman zabił mi najstarszego brata — powiedział Mieszko.

— A ja jestem najstarszym synem irlandzkiego króla z Dal Cais. Zostawiłem księstwo młodszemu, Monthgraminowi, i najmłodszemu, Brianowi.

Przeprawili się przez Odrę pod osłoną drużynników Mieszka i dalej podążali już przez jego kraj. Leśnym traktem przez nadodrzańskie bory.

— Dobrowolnie zrzekłeś się praw do tronu? — Książę podjął rozmowę, ciekawie zerkając na mnicha.

— Odzyskałem wzrok — tajemniczo odpowiedział Jordan.

— Jaśniej?

— Tak, zrobiło się jaśniej. — Mnich się zaśmiał. — Urodziłem się ślepy. Rodzice zawieźli mnie do Slane, klasztoru założonego przez świętego Patryka na wzgórzu, gdzie ongiś Celtowie spotykali się przy świętym źródle. Mnisi wykąpali mnie w jego wodach i odzyskałem wzrok.

— Czary?

— Łaska Chrystusa — poważnie odrzekł Jordan i dodał: — Prawdziwa łaska, a nie te potworności, które wyprawia margrabia Gero. Doświadczywszy cudu w dzieciństwie, od początku ciągnąłem do Boga. Wstąpiłem do klasztoru przy świętym źródle i tam doznałem wielu dobrodziejstw od świętego Dagoberta. Na Boga! Cóż to? — Jordan przerwał opowieść, uniósł się w strzemionach i wskazał na wielki pas wyciętego boru, który wyglądał jak przerębel wyrąbany siekierą w jeziorze.

— Z dębów, które tu rosły, mój dziad i ojciec pobudowali grody. Zobaczysz je, Jordanie.

— Aż tyle wycięto? — Kapłan nie mógł uwierzyć. — Grody muszą być ogromne…

— Grody nie są aż tak wielkie, jak się zdaje, ale wały owszem. Moi przodkowie bronili się przed dzikimi atakami Wieletów.

— Niekończące się polany… — Jordan się przeżegnał.

— Raczej poręby — powiedział Mieszko.

— Jesteś księciem nieprzebytych borów i leśnych polan — z szacunkiem odrzekł kapłan.

— Powiedz mi, co było dalej, gdy zostałeś w klasztorze przy świętym źródle.

— Modliłem się do Dagoberta o radę, co czynić, gdy kolejne najazdy wikingów rozbijały mój kraj.

— Jeśli ten święty wysłał cię do cesarstwa i Gerona po pomoc, to jak widzisz, zadrwił z ciebie — sucho skwitował opowieść Mieszko.

Jechali bok w bok.

— Nie nam oceniać Boże dzieła, książę. We śnie Dagobert nakazał mi tę wędrówkę. Jako królewski potomek sądziłem, że idę po pomoc dla księstwa, ale być może prawdziwym celem było co innego?

Spojrzeli sobie w oczy po raz drugi.

„Jedź do Gerona. Na jego dworze znajdziesz to, czym go pokonasz”.

— Mieszko? — Urdis dotknęła jego ramienia i natychmiast otrząsnął się ze wspomnień. — Mieszko, co teraz będzie?

Odwrócił się ku niej. Wpatrywał w oczy, które widziały przyszłość, w usta, które o niej mówiły.

— Przecież wiesz, Urdis — powiedział smutno, dotykając jej twarzy. — Widziałaś to…

Nie chciał jej niczym urazić, nie teraz, nie w tej ostatniej chwili. Nade wszystko pragnął zapamiętać jej spojrzenie, woń, wilgoć, ciepło, wszystko, co przez kilka lat ich łączyło. Chciał zostać z tymi dobrymi wspomnieniami jak ze smakiem słonego miodu na czubku języka. Z jej smakiem.

— Czy teraz, jak to się już dopełni, będziesz palił takie jak ja? — spytała, ważąc każde słowo.

— Nie mów tak — żachnął się i dodał po chwili: — Urdis, nie odrzucaj mojej propozycji. Ochrzcij się, proszę.

— Ty masz swoje życie, a ja swoje — odrzekła, kręcąc głową. — I odtąd to będą życia osobne, sam wiesz. Nie naciskaj… Ja muszę pogodzić się z twoim wyborem, więc ty…

— Do końca swych dni będziesz pod moją opieką — powiedział i wychodząc, pocałował ją w czoło.

Z resztą żon poszło mu znacznie gorzej, a chciał osobiście od nich odebrać swoje pierścienie. Każda mieszkała w innym krańcu księstwa, bo wszystkie prócz Gunn, wykupionej z niewoli, pieczętowały sojusz ze swym rodem. Wszemiłę i graniczny Santok zostawił sobie na koniec, wiedząc, że z nią mogą być największe kłopoty.

— Wybacz? — powtórzyła wściekle, a jej złote, wijące się włosy zalśniły, jakby na głowie Wszemiły poruszyło się gniazdo żmij. — Spodziewałam się czegoś więcej!

— Nie mogę już dać ci niczego — powiedział, ważąc słowa.

— Po co ci to było? — żachnęła się z wyrzutem i roześmiała szyderczo. — Jedna żona, jeden bóg? A mogłeś mieć nas wszystkie!… Jesteś głupcem, Mieszko! Robisz coś potwornie, dziwacznie głupiego, nieludzkiego…

Zmrużył oczy.

— Skąd wiesz?

Potrząsnęła włosami.

— O czeskiej żonie? Od Ludmiły. Zawsze jesteś najpierw u niej, potem u mnie.

Zaśmiał się. Nie docenił swych kobiet.

— Jak ona ma na imię? — prowokująco zapytała Wszemiła. — No jak?

— Dobrawa.

— Dobrawa — powtórzyła i rozległ się jej zły, mściwy śmiech. — Tylko dobrawa, nie „najlepsza” albo „najpiękniejsza”. Dobrawa, nic więcej.

Przełknął to. Wszemiła nie ma o niczym pojęcia, jeśli liczy wartość czeskiej żony jej urodą.

— Gdzie słyszałaś o chrzcie? — zapytał.

— Ojciec mi powiedział.

— Przestań! — zganił ją. — Twój ojciec nie żyje. Sam kładłem pochodnię pod stos. Jego kopiec stoi za grodem!

Wszebór był głową nadnoteckiego rodu. Mieszko przy dźwięku piszczałek i rogów wziął ją, jego córkę Wszemiłę, za żonę na znak sojuszu, po tym jak Wszebór poddał mu swych ludzi i ziemię.

— No i co z tego? — żachnęła się Wszemiła. — Umarli mówią, jeśli chce się ich słuchać. Powinieneś coś o tym wiedzieć, skoro chcesz teraz czcić umarłego boga…

— Nie mów o rzeczach, których nie rozumiesz — przerwał jej gniewnie. Jordan dokładnie wyjaśnił mu związek między śmiercią na krzyżu a zmartwychwstaniem.

Zaśmiała się, wyginając palce.

— Dałeś się nabrać. Powtarzam plotki. Ludzie gadają…

Mógł się domyślić.

— Twój stryj wie? — zapytał, mając na myśli najstarszego z braci jej ojca, kapłana w nadwarciańskiej kącinie.

— Dalbor? Nie mam pojęcia. — Wzruszyła ramionami. — Nie biegam do kąciny, odkąd nie jestem dziewicą. Czyli od dnia, gdy poznałam ciebie, mój miły.

— Jadę do niego. Czas już na mnie. — Popatrzył na Wszemiłę.

Uniosła podbródek wyzywająco.

— I co? Jak mnie zapamiętasz, książę?

— Właśnie tak — odpowiedział, patrząc na jej jasne, wijące się włosy. — Moja pani z podmokłych łąk.

Złamała się i pozwoliła, by zobaczył w jej oczach rozpacz. Przyjął ją, choć wolał zapamiętać rozkosz. Wstał z łoża, zbierał rzeczy i ubierał się szybko. Przyklęknął, wciągając buty, i zerknął na nią ukradkiem. Siedziała nieporuszona, smukła jak czapla na mokradłach.

— Do zobaczenia, Mieszko! — powiedziała prowokująco.

— Żegnaj, Wszemiło. — Odwrócił się i ruszył do drzwi. Zrobił krok i uchylił się gwałtownie. Szpila do włosów, którą rzuciła za nim, wbiła się w mech uszczelniający belki ścian.

— Byłabyś świetną oszczepniczką — powiedział. — Trafiasz w punkt.

— Znam wszystkie twoje czułe punkty! — żachnęła się gniewnie.

— Tak jak ja twoje, Wszemiło — powiedział, uniósł dłoń i otworzył, pokazując, że zdjął jej z palca swój pierścień.

— Zostaw, to moje! — syknęła za nim wściekle.

— Już nie. — Pokręcił głową i gwizdnął cicho.

Jastrząb odbił się od belki i wylądował na ramieniu księcia.

— Niech cię bagno pochłonie! — pożegnała go była żona. Ostatnia z siedmiu.

— Kto wie? — powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Santok, gród, w którym mieszkała, był ostatnim przyczółkiem kraju Mieszka na zachodzie.

Leżał na podmokłych terenach w widłach Noteci i Warty, strzeżony przed najazdami Wieletów korytami obu rzek jak niemowlę objęciami matki.

Do kąciny na wyspie szło się groblą usypaną między połaciami bulgoczących bagien.

— Zostańcie, strzeżcie grobli! — rozkazał drużynie, która jechała za nim. — Wrócę przed świtem.

Zsiadł z konia i ruszył przed siebie bez pochodni. Księżyc wzeszedł i znaczył drogę sinym światłem pełni. Było cicho, tak cicho, że słyszał swe kroki odbite w mokrej ziemi. Gdzieś w oddali, za pasmem bagiennej łąki wznosiły się lasy łęgowe, bogate w olchy, jesiony, wiązy, wierzby o długich bezlistnych witkach i dęby szeleszczące resztką zeszłorocznych liści. Wreszcie stanął na twardym gruncie wyspy.

— Książę pan! — Słudzy świątyni poznali go i powitali, klękając na jedno kolano.

— Odeślij ich, Dalborze! — rozkazał. — Będziemy mówić sam na sam.

Kapłan skinął dłonią i jego ludzie odeszli drugą, węższą z grobli. Mieszko podszedł do płonącego ogniska.

— Noce są jeszcze chłodne. — Dalbor wyciągnął długie nogi i oparł o kamienną osłonę paleniska.

Siedzieli na zewnątrz, przed chałupą kapłana. W kręgu potężnych drzew, z których jedne były wyłącznie dziełem natury, a drugie powstały przy udziale człowieka. Z daleka wyglądały tak samo; dopiero z bliska widać było, iż co drugie albo co trzecie ma w pniu wyrzeźbioną twarz boga.

Wschodzący księżyc wyglądał zza pni płaską srebrną tarczą, a jego światło nicowało pasma wiszącej między drzewami mgły.

Jastrząb odbił się z ramienia Mieszka i znalazł sobie miejsce na grubym konarze ponad ich głowami.

— Dawno do mnie nie zachodziłeś, książę. — Starzec pogrzebał kosturem w ognisku. Jego długie, siwe włosy układały się na plecach w pasma lśniące odbitym księżycowym blaskiem. — Ludzie gadają, że chcesz przyjąć chrzest. Ale to bzdura, prawda? — Potrząsnął włosami i hardo uniósł głowę. — Woda chrztu nigdy nie obmyje mej kąciny! Nie pozwolę na to! I inni też!

— Wiesz, co się dzieje — ponuro odpowiedział Mieszko. — Czuję oddech Wieletów na karku.

— To żadna nowość. Odkąd pamiętam, pchają się na nasze ziemie.

— Ale dopiero pod wodzą banity, grafa Wichmana, stali się śmiertelnie groźni! Jestem w kleszczach, które zaciskają Sasi i Wieleci.

Kapłan poruszył ramionami i powiedział kpiąco:

— I co? Jordan cię obroni? Ten przybłęda?

— Nie lekceważ go — syknął Mieszko ostrzegawczo. — Czy wiesz, że pół roku po tym, jak Jordan przyłączył się do mnie, wielki margrabia Gero odszedł ze świata żywych?

— Stary był — wszystkowiedzącym głosem oznajmił Dalbor.

Jak ty — mógł odpowiedzieć Mieszko, ale zaniechał. Co Dalbor zrozumiałby ze śmierci Gerona, skoro i jemu trudno to pojąć? Ledwie wyjechali z jego dworu z Jordanem, gdy margrabia, chwilę wcześniej tak pyszny i pełen pogardy, doznał objawienia i po pielgrzymce do Rzymu i pokajaniu się przed tronem Piotrowym wybudował klasztor, w którym zakończył żywot. To był dla Mieszka pierwszy z dowodów na to, że spotkanie z Jordanem mogło stać się przełomem życia.

— Wieleci, Sasi… — mówił monotonnie Dalbor. — Pchają się na nasze ziemie, ale zatrzyma ich rzeka. Co byśmy zrobili, gdyby nie Odra!

Mieszko chciał mu przerwać, poprawiając go: „gdyby nie ona”, jego nowa, jedyna, czeska żona, ale nie powiedział nic, pozwalając kapłanowi

się wygadać.

— Rzeka ma wielką moc, woda przenosi te duchy, których nie udźwignie wiatr, których nie tknie ogień… Napijesz się, książę?

— Wody? — Mieszko się skrzywił.

Dalbor się zaśmiał i przeczesał palcami długą, srebrną brodę.

— Miodu. Choć przydałoby się, aby książę obmył się w świętym źródle. Lud potrzebuje przykładu.

— Daj spokój, jest środek nocy, nikogo tu nie ma. Odwiedziłem cię, bo chcę pogadać.

Starzec się dźwignął i ruszył do chałupy po miód. W pół kroku zastygł i odwrócił się do Mieszka.

— Nie ma ludzi, ale to nie znaczy, że jesteśmy sami. Święty gaj kipi życiem o każdej porze.

Książę kiwnął głową w roztargnieniu. Dorzucił do ognia. Iskry strzeliły w górę białym snopem. Jastrząb krzyknął ostrzegawczo. W głębi lasu odpowiedziała mu sowa. „Badajcie duchy, czy są z Boga” — usłyszał w głowie głos Jordana i otrząsnął się. Już tyle tygodni rozmów za nimi. Tyle tajemnic wiary odsłanianych przez irlandzkiego kapłana. O każdą z nich pytał tak długo, aż pojął, co kryje, ale wciąż daleki był od zrozumienia wszystkiego.

— Bogowie lubią ogień — zagadał Dalbor, wracając z dzbanem miodu.

— Skąd wiesz? — spytał Mieszko, biorąc od niego kubek.

— Co? — Starzec nalał im obu.

— Że lubią ogień, że płynąca woda ma większą moc niż martwa?

Jasne oczy Dalbora zwęziły się, patrzył na księcia badawczo.

— Dziwnie pytasz — powiedział, z powrotem siadając na kłodzie.

— Może — przytaknął Mieszko. — Ale powiedz mi, skąd to wiesz?

— Mój dziad był kapłanem, pradziad żercą…

— Oni znali odpowiedź? — natarczywie pytał Mieszko.

Stary kiwnął głową i upił łyk miodu. Skrzywił się, jakby wypił piołun.

— Nie wszystko się mówi ludziom — przyznał po chwili, odstawiając kubek. — Niech uczczą bogów ofiarą z najznakomitszego jeńca, niech spalą śnieg w święto wiosny, natną krąg sera albo bochen chleba, zrobią miejsce dla nieznajomego przy ławie, strzegą się jeziora na przedwiośniu, nie pozwolą dzieciom kręcić się w koło przy palenisku… — Dalbor mówił gorączkowo, kreśląc czubkiem kostura ostre linie na ziemi. — I najważniejsze, niech szanują pamięć przodków. Wtedy zawsze będzie tak, jak było. Tak, jak było.

Jak było — powtórzył Mieszko w myśli, patrząc na linie nakreślone przez Dalbora. Z początku chaotyczny wzór kresek i nakłuć przeobraził się w przyciągający oko wizerunek drzewa o korzeniu równie potężnym jak korona. Starzec przeciągnął czubkiem kostura między gałęziami i Mieszko zobaczył, że z korony drzewa patrzy na niego czyjaś twarz.

— Czasem coś trzeba nazwać, choć w istocie bóg nazwy nie potrzebuje, tylko człowiek. By twój drużynnik wyobraził sobie, że bóg obdarzy go siłą na polu walki, wkładamy w dłoń posągu miecz większy, niż wojownik zdoła udźwignąć.

Mieszko mimowolnie spojrzał na posąg Trzygłowa między drzewami. Gdy opuścił głowę, Dalbor zacierał nogą ślad na ziemi. Zniknęło drzewo z ukrytą wewnątrz gałęzi twarzą.

— Starczy — powiedział kapłan. — Niech wiedzą, jak żyć, co robić, jak składać ofiary. Nie muszą wiedzieć więcej, niż trzeba.

— A gdy umrzesz, kto im powie? Jak ciebie nie będzie…

— I tak będą puszczać wianki na wodę. — Starzec zaśmiał się gorzko.

— Wiesz, co myślę, Dalborze? — odezwał się Mieszko, wstając. — My kochamy siłę.

Mówiąc to, wylał resztę miodu z kubka do ognia i nie patrząc na niebieski płomień, który wystrzelił spomiędzy płonących głowni, zadeptał ognisko.

— Jesteśmy gotowi ubóstwić każdy nadmiar siły — powiedział ostro Mieszko.

— Przestań, to boski ogień! — krzyknął Dalbor. — Starczy!

— Nie, starcze — szepnął książę i sięgnął po nóż. Skoczył ku kapłanowi jak żbik, chwycił go za koszulę na piersi i podniósł. — To tylko ognisko, nic więcej.

Odwrócił kapłana, jakby ten był dzieckiem, a nie potężnie zbudowanym mężczyzną. Uniósł go i przeszedł między drzewami, wyławiając spomiędzy nich te, których pnie były zamienione w posągi.

— Którego z bogów sobie ukochałeś? — spytał natarczywie. — Perun? Świętowit? Trzygłów? A może Weles? Albo mokra matka Mokosz, co? Któremu z bogów złożyć cię w ofierze? Wybacz, nie będzie dziewicy różanolicej do towarzystwa. Sam pójdziesz, nie boisz się?

— Trzygłów jest moim panem — wycharczał Dalbor.

— A ja uważam, że twym panem powinien być książę Mieszko — powiedział, podrzynając mu gardło. — Musi być moja wola.

Krew obryzgała pień Trzygłowa. Dalbor zesztywniał, a potem nagle zmiękł w ramionach księcia. Mieszko położył go pod patrzącym w trzy strony posągiem. Przykucnął i patrzył, jak Dalbor skonał.

— Wybacz, mój stary, nie mam nic do ciebie — wyszeptał. — Mogłeś sobie wierzyć, w co chciałeś, ale jako kapłan powinieneś był służyć mnie.

Wytarł nóż o mchy i schował do pochwy. Poszukał trzech płaskich kamyków. Położył je na obojgu oczach i czole kapłana. Potem wyniósł z jego chaty dary, jakie za dnia przynieśli ludzie. Ustawił przy nim kosz

z grochem, prosem i kaszą. Na piersi położył mu jeden jęczmienny podwójny kłos z ubiegłorocznych zbiorów.

— Sporysz — szepnął. — Twoje skażone ziarno, które gryzłeś, wołając swe duchy. Jeśli ma moc, niech przeniesie cię teraz, dokąd zechcesz. Tylko wiedz, że już nic nie będzie, jak było.

Jastrząb sfrunął na ramię swego księcia i obaj ruszyli groblą ku koniom. Wyrzucił w bagno pierścień Wszemiły. Niech cię pochłonie — powtórzył w myślach jej przekleństwo. Czekał na grom, piorun, ogień z nieba lub wody. Nic. Odpowiedziała mu cisza.

Dobrze — pomyślał, patrząc w niebo na zachodzący księżyc. — Pragnę ciszy.

Jechał do Poznania, nie odzywając się do swych ludzi. Spieszył się, czas mu się kończył. Trzy razy zmienili konie. O wschodzie słońca potężna sylweta grodu zamajaczyła im na horyzoncie.

— Jak wielka, samotna góra! — krzyknął Wolrad, chorąży Mieszka. — Niezdobyta i dumna.

Zatrzymali się przed mostem na Warcie, widząc tuman kurzu szybko zbliżający się do Poznania od strony traktu wschodniego.

— Stać! — rozkazał książę. — To oddział mego brata.

— Patrząc po prędkości jazdy, nie możesz się mylić, panie! — Gardomir się zaśmiał. — Młody książę zamiast Czciborem mógłby się zwać „Zajeżdżaczem Koni”.

— Gdy wchodzi do stajni, nawet źrebaki próbują schować się pod żłobem, byleby tylko bystre oko Czcibora na nich nie spoczęło!

Byli już blisko. Mieszko widział smukłą sylwetkę brata, lśniący szyszak ozdobiony pękiem końskiego włosia. Wyjechał mu naprzeciw. Czcibor odłączył się od drużyny i obaj bracia spotkali się w pół drogi.

— I jak? — zamiast powitania spytał Mieszko.

— Tak jak rozkazałeś — odpowiedział książę Czcibor. — Nie sprawią żadnych kłopotów. Kruszwicki kapłan miał życzenie stać się ofiarą dla Świętowita. Gnieźnieński wybrał Peruna, ale mimo iż go wzywał i wzywał, żaden grom z jasnego nieba nie chciał nadejść, więc… — Czcibor zrobił przeciągły ruch — …ja się stałem jego gromem! — Roześmiał się.

— Nie kpij — skarcił młodszego brata Mieszko.

Czcibor wzruszył ramionami i wskazał na splamiony krwią kaftan Mieszka.

— A ty się przebierz. Twoja czeska księżna nie wpuści cię tak do komnat.

— Nie idę do Dobrawy — odpowiedział Mieszko i dał znak, by ruszyli do grodu. — Dziś śpię u ciebie.

Na podwórcu przed stajnią podbiegł do niego Radomir, kasztelan poznańskiego grodu.

— Książę! — zawołał, przytrzymując jego konia. — Kupcy żydowscy zdążyli. Przywieźli z Węgier gąsiory czerwonych win, te, których sobie życzyłeś. W kaplicy też wszystko gotowe. Świece dobrze wyszły z forem, choć pszczoły i w rok nie odrobią zapasów wosku! Bielone płótno na osłonę baptysterium… Jordan mówi, że…

— Zmieniłem plany — twardo powiedział Mieszko. — Baptysterium nie będzie potrzebne.

W oku Radomira na ułamek chwili zalśniła radosna iskra. Zamilkł.

— Poproś do mnie Jordana — powiedział książę. — Muszę z nim pomówić.

— Jak każesz, panie — wyszeptał.

— Chcesz wystraszyć kapłana? — przekornie zapytał Czcibor, zeskoczywszy z konia. Pokazał na splamiony krwią kaftan Mieszka.

Nie odpowiedział mu książę, lecz siedzący na jego ramieniu jastrząb. Zaskrzeczał i rozłożył skrzydła.

Skowronek wciąż jeszcze śpiewał, gdy Mieszko okryty książęcym płaszczem opuszczał palatium. Bose stopy nie zostawiały na kamiennej posadzce śladu. Na podwórcu czekał na niego orszak. Diakoni dźwigali wielkie świece odlane w wonnym wosku na kształt ludzkich postaci. Ostrożnie osłaniali ich płonące knoty dłonią. Zaintonowali śpiew, piękny, choć smutny, w jednotonowym brzmieniu. Na przodzie orszaku szedł Jordan z księgą w dłoni. Drużyna księcia konno eskortowała ich do bram Poznania. Wartownicy rozwarli ciężkie wrota, wpuszczając światło za cień wysokich wałów. Mieszko z jastrzębiem na ramieniu pieszo i boso przeszedł przez bramę grodu.

Wychodzę — przebiegło mu przez myśl, gdy spojrzał na swe nagie stopy. — Kim będę, gdy wrócę? Jeśli wrócę. — Przysłonił oczy przed niskim, porannym słońcem wpadającym przez bramy.

Ruszyli nad rzekę. Warta lśniła. Przez chwilę miał złudzenie, że na jej drugim brzegu rozkwitła łąka. Nie. To wielobarwny tłum ludzi. Setki mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy wylegli na błonia, by zobaczyć swego księcia. Oddzielał ich od niego nurt rzeki i most, na który dzisiaj nikt nie miał wstępu. Stał na nim hufiec zbrojnej książęcej jazdy. Jeden przy drugim powiewały proporce. Tłum, zwykle wiwatujący na widok Mieszka, milczał. Jastrząb odbił się od jego ramienia, krzyknął i niczym wystrzelona z łuku strzała poleciał przed siebie.

Książę spojrzał na ustawiony przy brzegu baldachim. Pod purpurą i złotem furkoczącej na wietrze materii stała ona. Dobrawa. Jego żona w otoczeniu swych dwórek.

Od teraz jedyna — pomyślał, zostawiając w pamięci ostatnie pocałunki na czołach byłych: słodkiej Ludmiły, wyniosłej jak lodowiec Gunn,

Mojmiry, Lesławki, Żywii, nawet Wszemiły, która go przeklęła przez bagna. I mądrej Urdis, tej, co widziała, wiedziała i przepowiedziała, mimo iż wieszczba przyniosła jej utratę miejsca przy jego boku. Do tej pory żadna z siedmiu żon nie urodziła mu syna.

Poszukał jasnych oczu Dobrawy, spojrzał w nie z daleka.

Dasz mi dziedzica? — spytał tych oczu.

Skinęła mu głową, aż srebrne kabłączki na przepasce zadźwięczały przy jej skroni niczym refren psalmu. Strojna w purpurę i brokat, jedną ręką przytrzymywała na piersi poły płaszcza, a mimo to Mieszko zobaczył ją nagą. Taką jak w te wszystkie noce, które spędzili razem, nim zaczął się dla niego czas wielkiego postu.

Moja jedyna — pomyślał. — Nie mam innych przed tobą, to, co było, odeszło w przeszłość niczym żal za grzechy, pokuta ciemna chłodnego łoża, puste pasmo bezsennych nocy.

Jordan zatrzymał orszak. Mieszko stanął, patrząc, jak jego jastrząb kołuje nad krzewami u brzegów Warty.

Słudzy podeszli do kapłana z koszem polnych kamieni.

„Święty Patryk na wzgórzu Slane rozpalił ogień paschalny, dając znak Chrystusowi, że oto kraj Celtów wita Jego wiarę. A potem chrzcił lud wodą z pradawnego źródła, więc jeśli taka wola twoja, książę, ochrzczę te ziemie wodą z rzeki stróżującej, Warty” — powiedział Jordan, gdy Mieszko w ostatniej chwili zmienił plany.

Teraz oddał diakonowi księgę i pochylił się, biorąc w obie dłonie jeden z kamieni. Uniósł go nad głową.

— Kamienie z polan! — zawołał. — Znaczę wasze skalne lica krzyżmem świętym, czyniąc z was narzędzie Pańskie!

— Alleluja — zamruczał chór diakonów, chroniąc płomienie trzymanych świec.

Jordan jeden po drugim namaścił kamienie i wrzucając je w pulsujący nurt rzeki, krzyczał:

— W imię Ojca, Syna, Ducha Świętego! Amen!

— Amen — zamruczeli diakoni nie głośniej niż szuwary nadrzeczne.

— Amen — powiedział Mieszko.

Lud zgromadzony na drugim brzegu milczał, patrząc na kręgi wody rozchodzące się w miejscu, gdzie zniknęły kamienie.

— Ojcze nasz — Jordan wskazał na księcia, a potem uniósł ramiona ku chmurom — któryś jest w niebie! Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje…

Księstwo — pomyślał Mieszko. — Ale kto wie?

— …bądź wola Twoja…

Napięte ciało Mieszka walczyło. Mięśnie pleców, ramion i kolan nie chciały się ugiąć. Słyszał słowa wyznania wiary, te same, których Jordan uczył go przez ostatnie tygodnie. I wciąż nie było „woli Twojej”, lecz jego.

— Po co przybywasz? — spytał Jordan uroczyście.

Po miejsce równe pierwszym panom Rzeszy. Po wejście między nich. Zrzucenie wilczej skóry z grzbietu barbarzyńcy, którym mnie nazywają. Po wymuszenie na nich szacunku i miejsca przy stole. Po tarczę przeciw głodnym krwi Wieletom. Odbicie uderzenia grafa Wichmana. Po wszystkie dary chrześcijańskiego władcy, którymi od tej pory obdarzy mnie Pan, bo taka jest Jego i moja wola — pomyślał i wreszcie przeszło mu przez usta:

— Dobrowolnie przychodzę po chrzest.

— Wyrzekasz się szatana, przedwiecznego zła?

Mieszko spojrzał na tłum zgromadzony na przeciwległym brzegu.

— Wyrzekam się Peruna, Świętowita, Trzygłowa, Welesa piekielnego i Mokoszy mokrej matki! Słyszycie?! — ryknął. — Wyrzekam się starych bogów! Patrzcie na mnie! — Jego głos niósł się po wodzie jak grzmot.

Jordan poślinił dłoń i pomazał jego uszy i nos. Szepnął do prawego ucha księcia:

— Niech się otworzy, co ma być otwarte.

A do lewego:

— Uciekaj, szatanie, bo nadchodzi Boży sąd!

I stało się. Odeszli od niego. Opuścili go starzy bogowie. Nowy nie przyszedł. Był sam. Stał w pustce wiekuistej. Sam jeden zawieszony między światami nad brzegiem Warty.

Co robił Chrystus przez te trzy ciemne dni od chwili, gdy krzyknął: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?", do poranka, kiedy siłą zmartwychwstałego odrzucił grobowy kamień? Gdzie był? Mówią, że zstąpił do piekieł? Co tam robił? — Serce Mieszka biło głośno w zimnej klatce żeber, a myśli gorączkowo przebiegały po głowie. — Czy umierał jako Jezus, syn cieśli z Nazaretu, czy jako syn Boga? Czy ani przez chwilę nie zwątpił? Wyszedł. Wyszedł, ale On był Synem Boga, a ja jestem synem Siemomysła zwanego Krwawym Piastem i wnukiem Lestka czczącego własny miecz. Wyrzekłem się was, choć daliście mi ciało i krew, porzuciłem was. A jeśli Bóg uzna, że nie jestem godny należeć do Niego? Co wtedy? Zostanę niczyj? Niczyj?

Jordan dotknął go i Mieszko drgnął, jakby chciał uciec, ale zrozumiał, że nie ma dokąd. Pozbawiony przeszłości, ale nieobdarowany przyszłością. Niczyj. Sam jeden stojący w wiekuistej pustce, w nagim miejscu między światami. W ciszy, która ściskała jego czaszkę bólem.

— …płaszcz… zdejmij płaszcz… — Wreszcie do jego uszu przebił się szept Jordana.

— Płaszcz? — spytał, a słowa zabrzmiały chropawo. — Po co?

— Masz stanąć przed Bogiem nagi — odpowiedział kapłan i dodał ciszej: — Musimy wejść do rzeki.

Ach tak. Przypomniał sobie i zrzucił z ramion płaszcz. Z tłumu na drugim brzegu wydobył się jęk. Nigdy nie widzieli swego księcia nagiego. Stał teraz przed nimi i jego szerokie, wypukłe piersi znaczone szeregiem dawno wygojonych blizn pokazywały ludziom, jaki jest. Wszedł w wodę po biodra. Jordan położył mu dłoń na ramieniu i szepnął do ucha:

— Zanurzysz się po trzykroć.

A głośno zawołał:

— Oto wody rzeki zamienione Bożą mocą świętych olejów w wody chrztu obmywają cię, książę, z grzechów. Chrzczę cię w imię Ojca…

Mieszko się zanurzył. Przez jego pamięć przemknął obraz twardych, zaciśniętych szczęk Siemomysła. Ojca, który milczał, więc odpowiedziała mu cisza.

— …Syna!…

Pod wodą zamknął oczy i choć nie chciał, zobaczył nagi, jasny brzuch Dobrawy, w którym tak bardzo pragnął posiać dziedzica.

— …i Ducha!

Zanurzając się po raz trzeci, rozwarł powieki. I pod wodą przeszyła go światłość. Chciał płynąć do blasku, który ujrzał, ale to on wpłynął w niego. Usłyszał potężny głos Jordana:

— Dokonało się!

Wynurzył się. Potrząsnął głową jak pies. Woda ściekała mu z długich włosów, z końca spiczastej brody.

— Dokonało się! Nie jestem niczyj! Jestem Twój! — krzyczał Mieszko, obracając się na wszystkie strony. — Twój!

Odeszła pustka z jej przerażającą ciszą. Wypełniało go światło; rozpierało mocą, która pchała go, dając poczucie siły.

— Mogę chodzić po wodzie! — krzyknął i złapał Jordana za ramiona. — Mogę!

Kapłan zamrugał. Woda zmoczyła mu szaty i ciężki od niej płaszcz wyraźnie przeszkadzał Jordanowi.

— Możesz — przytaknął niepewnie, jakby się bał czegokolwiek mu zabronić — ale możesz też tego nie robić… Dokończmy obrzęd. — Mówił do niego spokojnie jak do dziecka. — Wyjdź na brzeg…

Mieszko nie wyszedł; wybiegł, rozpryskując wodę. Diakoni natychmiast okryli jego nagość lśniąco białą szatą. Przyklejała się do mokrej skóry. Dobrawa spod baldachimu wpatrywała się w jego piersi, do których przylgnął materiał. Śmiał się do niej, błyszczały mu białka oczu i zęby. Służba pomogła Jordanowi wyjść na brzeg.

— Od tej chwili życie wieczne stało się twoim udziałem — powiedział, stanąwszy przed Mieszkiem.

— Biorę je! — wyrwało się Mieszkowi. — Tak! Nie chcę umierać! Chcę żyć wiecznie!

Zapragnął tego tamtej sobótkowej nocy, gdy zabrał Dobrawę na przejażdżkę. Porwał ją z podwórca przed palatium, wciągnął na siodło, jakby była zwykłą panną, a nie panią żoną, księżną. Trzymał przed sobą w ramionach; zapadał zmierzch. Ciepła noc po upalnym dniu. Las, do którego konno uciekli przed wszystkimi i wszystkim. Gdzieś w oddali słychać było śmiechy dziewcząt i śpiew chłopców, migały płomienie sobótkowych ognisk. Na niebie księżyc w wielkiej, bezwstydnej pełni. Znalazł ustronną polanę, miękką od mchów. Podścielił jej pod plecy swój płaszcz. Całował jej piersi, a ona szeptała: „Nasze życie zaczyna się i nie kończy nigdy, rozumiesz? Nawet po śmierci nie rozłączymy się ze sobą, jeśli uwierzysz, jeśli tylko tego zapragniesz”. Tamtej nocy pragnął, ale nie wieczności, lecz jej. Jasnych dłoni, drobnych piersi i tego szeptu, którym trzymała go na wodzy. A potem leżeli, stygnąc, i patrzyli w bledniejące

gwiazdy. Słowiki zamilkły, w lesie zapadła cisza. Dobrawa leżała w jego ramionach i szepnęła: „Mieszko, książę leśnych polan”.

Teraz książę spojrzał na żonę. Zarumieniła się.

Pamięta! — pomyślał i okrył się płaszczem.

— Alleluja — zaśpiewali diakoni.

Czcibor zbiegł ze skarpy, z której oglądał chrzest. Zdjął szyszak i odłożył na brzeg. Zrzucił płaszcz i kaftan. W pośpiechu zzuwał buty.

— Bądź wola twoja, bracie! — szepnął do ucha roześmianemu Mieszkowi. I krzyknął do Jordana: — Ja też! Teraz ja!

— Czy wyrzekasz się?… — zaczął kapłan.

Nim skończył, na brzegu Warty stała cała książęca drużyna. Jastrząb Mieszka niczym gołębica z opowieści Jordana krążył nad nimi, szeroko rozkładając skrzydła. Ludzie po drugiej stronie rzeki nieśmiało nabierali wody w dzbany.

Wieczorem w głównej sali poznańskiego palatium trwała radosna uczta. Oczy Dobrawy lśniły za każdym razem, gdy spojrzała na Mieszka i gdy unosiła kielich, by spełnić toast.

— Moje modlitwy zostały wysłuchane — wyszeptała, gdy zbliżył do niej głowę.

Była wstydliwa, nie lubiła, gdy jej wyznań słuchali obcy.

— Mam dla ciebie prezent, książę — odezwał się Jordan. — Ty wybudowałeś dla mnie kamienną kaplicę, która tak bardzo przypomina mi rodzinne strony. Ja chcę tobie oddać mój skarb.

— Cóż to takiego? — zapytał Mieszko.

— Ewangeliarz, który dostałem od mnichów w klasztorze Slane, gdy wyruszałem w drogę. I krzyż, pamiątkę twego chrztu w nurcie Warty.

Wziął z rąk Jordana drewniany, prosty krzyż i uniósł go wysoko nad głową.

— Pod tym znakiem zawsze zwyciężysz, książę — powiedział kapłan.

Mieszko skinął na Witosza. Ten wyjął zza pasa topór i wbił w szczytową ścianę hak.

— Zawiesić? — spytał, wyciągając ramię.

— Sam to zrobię — powiedział książę.

Mieszko wymknął się z palatium. Potrzebował samotności; chciał przetrawić to, co się wydarzyło. Wciąż czuł na skórze chłód Warty.

— Pożycz mi płaszcz — szepnął do stajennego na dziedzińcu.

— Ależ książę… — Sługa się wystraszył. — To prosta, szara wełna, dość brudna…

— Nie szkodzi. Ja jestem czysty! — Klepnął go w plecy. — Wiesz, że Syn Boży zstąpił na ziemię i żył ze zwykłymi ludźmi? No, nie martw się, oddam ci. Tymczasem łap mój.

Mieszko naciągnął na głowę szary kaptur i biegiem ruszył do bramy. Zamykano ją, jak pozostałe, dopiero o zmierzchu. Wyszedł na most przez Wartę i stanął pośrodku, pochylając się. Zobaczył swe zakapturzone odbicie w tafli wody. Na brzegu wciąż stało podwyższenie i baldachim, pod którym w czasie chrztu była Dobrawa. Po drugiej stronie wody, tam gdzie stały tłumy, płonęło kilka niewielkich ognisk. Wokół nich przycupnęli ludzie.

— Coś ich tu trzyma — usłyszał jej głos tuż obok.

Gwałtownie odwrócił głowę. Dobrawa w burym płaszczu kuchennej służki.

— Co ty tu robisz? — zapytał.

— To samo co ty.

— Jak mnie znalazłaś?

Wskazała na jastrzębia krążącego nad nimi.

— On cię zdradził.

— Książę i księżna przebrani za sługi. — Obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

— Powinniśmy być sługami sług. — Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Słyszał to zdanie od Jordana; wiedział, że coś znaczy. Nie pamiętał co. Objął ją ramieniem.

— Widzisz? — Wskazała głową na siedzących przy ogniskach. — Nie mogą odejść. Miałeś dobrą myśl, by przenieść twój chrzest nad rzekę. Wszyscy mogli to zobaczyć.

— To nie mój pomysł — odpowiedział.

— Zatem czyj?

— Podpowiedział mi go pewien kapłan Trzygłowa. Miał na imię Dalbor. Powiedział: „Rzeka ma wielką moc, woda przenosi te duchy, których nie udźwignie wiatr, których nie tknie ogień”. I odgrażał się, że ziemia, na której stoi jego kącina, nigdy nie zostanie dotknięta wodą chrztu. No i się mylił.

— Czcił bogów nad Wartą? — domyśliła się.

— Uhm — mruknął Mieszko.

Oparła głowę o jego ramię, poruszyła nosem.

— Pachniesz jak stajenny — powiedziała — ale myślisz jak wielki książę. Jordan poświęcił rzekę, a ta poniosła przez twe ziemie wody chrztu. Piękne. Nie zrobiłeś temu biedakowi krzywdy, prawda? — Zaniepokoiła się.

— Nie — zaprzeczył. — Uczyniłem mu wielki zaszczyt. Spełniłem jego ukryte pragnienie. Ale nie mówmy o tym. Jestem już chrześcijańskim władcą. Zobacz, wschodzi księżyc.

Oboje odruchowo zsunęli kaptury z głów i pokłonili się.

— Nadgryziony przez wilka — szepnęła i zaśmiała się zawstydzona. — Chodź, bo spóźnimy się na liturgię Wielkiej Nocy. — Pociągnęła go za

ramię. — Nie wypada, by nowo ochrzczony… Ach! Mieszko! Ty pierwszy raz usłyszysz „Lumen Christi!”. Pierwszy raz usłużysz mi na mszy, odpalając mą świecę od paschału… podasz mi światło… Jak ja ci zazdroszczę, że to wszystko zrobisz po raz pierwszy! — Patrzyła na niego jasnymi oczami. Jej usta wydawały się drżeć.

Pocałował ją. I powiedział wprost do tych ust:

— Bogu niech będą dzięki.

Rok od chrztu był czasem spokoju. Cesarz przybył z Italii do Saksonii, więc jego cioteczny brat, Wichman, przed laty skazany na banicję, zapadł się pod ziemię. Wiedział, że jeśli tylko podniesie łeb, Otto I wymierzy mu zasłużoną karę. Mieszko nie dał się nabrać na to, że niewidzialny wróg zniknął, wiedział, że rodzinne powiązania Wichmana sięgają najważniejszych rodów. Jego siostra, Hedwiga, była synową Gerona. Gero nie żył, mąż Hedwigi nie żył, ale ona sama została ksienią klasztoru w Gernrode i stamtąd mogła skrycie pomagać bratu. Mieszko właśnie teraz, w czas spokoju, przygotowywał się do wojny. Rozpuścił zwiadowców i szpiegów po obu stronach Odry. Zbierał wiadomości od kupców przybywających z dalekich krajów. Wiedział, że Wichman szukał szczęścia u duńskich wikingów, ale ich władca, król Harald, przepędził banitę i nie dał się wciągnąć w jego prywatne wojny. Widziano go u Wieletów: najpierw u Redarów, a na koniec w bogatym wolińskim porcie; to były wiadomości na wagę srebra. Gdy rozeszła się wieść, że cesarz załatwił saskie sprawy i wraca do Italii, Mieszko wiedział, że wojna zacznie się bez zwłoki. Natychmiast posłał po posiłki czeskie, po dwa ciężkozbrojne hufce obiecane przez teścia wraz z ręką Dobrawy. Zapłacił za nie słoną przysięgą, ale człowiek, który ma nóż na gardle i wroga u bram, płaci każdą cenę. „Pierworodnemu synowi dasz moje imię — zażądał Boleslav Przemyślida, książę Pragi. — Nie twego ojca, nie dziada, ale moje”. „Dam” — odrzekł

wtedy Mieszko i przemilczał, że żadna z jego wcześniejszych żon nie urodziła mu syna.

Teraz, ruszając na czele wojsk, gdy żegnał w Poznaniu swą jasną, słodką Dobrawę, wpatrywał się w jej ciężarny, okrągły brzuch. „Kto tam jest?” — pytał natrętnie. „Bóg wie” — odpowiadała.

— W drogę! — krzyknął i po chwili kopyta jego konia dudniły po moście nad Wartą.

Musiał być szybszy niż jego wrogowie, musiał zastawić na nich pułapkę, a od zwiadu miał wiadomość, że wojska wolinian i Wieletów połączyły się i idą na południe.

— Którzy z Wieletów stanowią przewagę? — zapytał.

— Redarowie, panie. — W głosie zwiadowcy usłyszał strach.

Redarskie wilki. Wśród wieleckich plemion ci byli najtwardsi. Do niewoli brali tylko kobiety i dzieci. Mężczyzn zawsze wyrzynali na miejscu, a pokonanych wodzów prowadzili na ofiarę swym bogom.

— Wolinian ile?

— Kupcy nie ruszają tyłków z bogatego grodu, ale stać ich było na kupno hufca najemnych.

— A Wichman? Ma przy sobie saską watahę?

— Ma, książę. Setkę takich jak on, wyjętych spod prawa, zaprawionych w boju…

Tych, co nie mają nic do stracenia, bo cesarstwo ich już wypluło i jeśli przyjmie, to tylko pod katowski topór. Jaki jest plan Wichmana? — myślał Mieszko w drodze. — Pokonał mnie dwukrotnie. W Saksonii nie ma dla niego miejsca, może myśli, że zmiażdży mnie, zabije lub wygna z księstwa i osiądzie ze swą saską watahą w Poznaniu? Wieletom pozwoli rabować, by łupami zaspokoić ich żądze. — Poczuł zimny pot na czole, choć początek jesieni był ciepły. Ruszając na wojnę, zawsze zostawiał najlepsze załogi

w grodach. Dobrawy w Poznaniu strzegli jego ludzie, ci, o których wiedział, iż póki żyją, nie poddadzą bram. Ale co będzie, jeśli Wichman naprawdę rozgromi go w polu? Jeśli dwa czeskie hufce nie wystarczą?

Walczę o wszystko — pomyślał — i nie jestem już ledwie opierzonym księciem, którego wróg zaskakuje. Moi ludzie ubóstwiają siłę, muszę im ją okazać.

Wieczorem minęli Santok. Bramę i klucz do księstwa. Ostatni raz był tutaj, gdy przed chrztem żegnał się z Wszemiłą. Z grodu lojalnie wysłano drużynę i zastęp pospolitego ruszenia z okolic. Zdawało mu się, że widzi jasne włosy odprawionej żony w strażnicy na wałach. Nie odwracał się.

Patrzę tylko przed siebie — pomyślał.

Minęli łukiem nadwarciańskie bagna, gdzie kiedyś Dalbor czcił Trzygłowa. Mieszko widział, jak część z jego ludzi wodzi oczami, szukając grobli wiodącej do kąciny na wyspie. Jak z niepokojem patrzą, że tam, gdzie posągi bogów kryły się między potężnymi starymi drzewami, dzisiaj na odkrytej przestrzeni stoi tylko wielki, dębowy krzyż. Kazał wyciąć dęby, jesiony i buki, by z dawnej świątyni nie pozostało nic. Biorąc chrzest, zatrzasnął za sobą przeszłość.

„Trzygłów będzie się mścił… Pokara nas w bitwie… Pogrąży…” — słyszał te szepty wieczorem, gdy zarządził ostatni postój. Nie powiedzą mi tego w twarz, ale się boją — pomyślał i zacisnął pięści, by zgnieść własny lęk.

Nie pozwolił palić ognisk. Zwiadowcy donieśli, że nieprzyjaciel rozbił wielki obóz na leśnej polanie.

— To nie polana, tylko karczowisko. — Czcibor strzyknął śliną, gdy spotkali się na naradzie wodzów. — Stamtąd ojciec brał drewno na budowę Santoka. W takiej porębie można się bronić ile wlezie.

— Przed otwartym polem osłania ich tylko rzadki kawał lasu — dodał Witosz. — To znak, że czują się pewnie. Ile mają koni? — dopytał zwiadowcę.

— Nie więcej niż trzy setki.

— A wojska, licząc wszystkich razem?

— Trzydzieści setek, Witoszu.

— Może obsadźmy jary na skraju puszczy, naróbmy wilczych dołów i zasieków i czekajmy, aż na nas uderzą — powiedział stary Derwan.

Mieszko milczał. Liczył. Dzięki czeskim posiłkom miał przewagę konnicy, ale o dziesięć setek mniej piechurów.

— Zdążymy pobudować na drzewach pomosty dla łuczników — ciągnął Derwan. — Jedna, druga linia, ale zaraz za wilczymi dołami, tak żeby nasi wystrzelali tych, co się przedrą. Szkoda wcześniej strzał marnować…

— Nie — przerwał mu Mieszko, rozwierając pięści.

— Co „nie”? — zdziwił się Derwan. — Nie szkoda strzał marnować?

Był najstarszym z wodzów. Walczył przy jego ojcu, Siemomyśle, i starszym bracie, Dobroniegu.

— Zapomniałeś się, Derwanie. To ja dowodzę.

Stary wyprostował potężne plecy i spojrzał na Mieszka z wyższością.

— Dobrze ci radzę — wycedził. — Pamiętaj, książę, że to pierwsza bitwa od czasu, gdy na chorągiew przyjąłeś nowego Boga. Jeżeli przegrasz, ludzie nie wybaczą ani tobie, ani Chrystowi.

Jeżeli przegram — pomyślał Mieszko zimno — wodzowie Redarów oddadzą mnie na ofiarę swym bogom, a Wichman w moim łożu pohańbi ciężarną Dobrawę. To jest stawka tej wojny, starcze.

— Chcę wygrać — powiedział głośno i dobitnie. — Ale żeby tak się stało, nie mogę bić się jak w bitwach, które przegrałem. Gero nas pokonał, gdy walczyliśmy, mając ścianę lasu za oparcie. A Wichmanowi nie

przeszkodziły nasze wilcze doły i łucznicy na drzewach. Słuchajcie, powiem wam teraz, co zrobimy o świcie.

Nim wzeszło słońce, na odkrytych łąkach przed lasem, w którego porębie leżał obóz nieprzyjaciół, stała w rozciągniętym szyku bojowym piechota Mieszka. Tarczownicy jeden przy drugim bronili dostępu do gorzej uzbrojonych tyłów. Z nimi pięciu wodzów konno. Brat Mieszka, książę Czcibor, stary Derwan, Witosz, Gardomir, Świelub. I konni gońcy.

Książę widział ich z czatowni schowanej w koronie dębu. Z daleka jeźdźcy wydawali się nie więksi niż dziecięce koniki, a tarczownicy wyglądali jak barwna smuga. Mieszko słyszał, jak straż obozowa Redarów wszczyna alarm dęciem w rogi. Do jego uszu dochodziły wykrzykiwane w oddali rozkazy. Liczył uderzenia serca. W bitwie o wszystko każde może być ostatnim. Wreszcie z lasu przeciwko jego piechocie ruszyły wojska nieprzyjaciół. Piechota. Odetchnął z ulgą. Potem zobaczył uniesioną prawicę Czcibora i zaraz po tym chmurę strzał mknących ku wrogom. Chwilę później strzały poleciały z drugiej strony, krzyżując się w powietrzu.

Redarowie zaraz odrzucą łuki — pomyślał — bo moi schowani za tarczami i ostrzał nie robi im krzywdy.

Ale nie. Widocznie wśród wrogów nie było kogoś w rodzaju Derwana, który powie: „Szkoda strzał”. Wymiana trwała, póki były w kołczanach. Potem z głośnym wyciem Redarowie rzucili się biegiem do ataku. Z boku wojsk kroczyła ich wieszczka, dziwaczna panna z sitem, na które jej służki lały wodę. Zacisnął szczęki. Widział tę kobietę nie pierwszy raz i do tej pory jej gusła niosły mu porażkę.

Gdzie Wichman? — pomyślał gorączkowo. — Gdzie on jest?

Już pierwszy szereg Redarów starł się z jego przednią linią. Zgrzyt tarcz o tarcze słychać było nawet tu, w koronie dębu. W bój poszły włócznie

i topory na długich drzewcach. I wtedy go zobaczył. Wichman konno wyjechał zza szeregów piechurów. Za nim szła jego wataha. Zakuta w żelazo setka banitów saskich. Redarowie zrobili im miejsce, a ci wyszli zza ich pleców jak wielki taran, jak żelazem zbrojny klin i uderzyli w piechotę Mieszka. Ta aż jęknęła i cofnęła się, padając na ziemię i rozpryskując się na boki. Radosny okrzyk dodał nieprzyjaciołom skrzydeł. Czcibor nawoływał, by nie pozwolili rozerwać szyku obrony, by stali w miejscu i nie cofali się, ale szereg był już złamany, pole znaczyły trupy.

Mieszko uważnie przeliczał hufce wolinian i Redarów wolno posuwające się naprzód.

— Wolradzie, naliczyłem prawie trzydzieści setek — powiedział do stojącego obok druha.

— Mnie wyszło tak samo. Jeśli nasz zwiad dobrze ich porachował w obozie, to znaczy, że poza taborową służbą do bitwy wyszli wszyscy.

— Zatem czas na nas. — Mieszko skinął głową i poczuł suchość w ustach.

Zszedł z czatowni pierwszy, Wolrad za nim.

W lesie, prostopadle do pola bitwy, stała ukryta cała ich konnica. Sześć setek jeźdźców. Mieszko wsiadł na konia i nim dał rozkaz do wyjazdu z kryjówki, krzyknął:

— Zwyciężymy! Z Bogiem w bój! Za mną!

I nie czekając, ruszył. Usłyszał parsknięcia koni za swymi plecami. Rżenie wierzchowców wychodzących z cienia, spomiędzy drzew na odkrytą przestrzeń. Przy jego boku jechał Wolrad. W ręku trzymał stanicę w wielkim, lśniącym w słońcu krzyżem. Mieszko mieczem wskazał chorągiew.

— Pod jego znakiem po zwycięstwo! Na Wieletów! Na Wichmana i jego watahę! W bój!

Ruszyli. Konie potrzebowały chwili, by nabrać tępa, a nieprzyjaciel, zajęty szarpaniem piechoty Czcibora, w zgiełku toporów i mieczy nie rozpoznał ich od razu. Usłyszał i zobaczył, gdy już było dla niego za późno.

Mieszko rozdzielił konnicę. Czesi ruszyli odciąć wrogów od ich obozu w porębie i zaatakować tyły, a on sam z główną siłą uderzył w odsłoniętą lewą flankę.

— Przegrupować szyk! — darł się Wichman do Redarów, ale ci, widząc pędzące na nich konne wojsko, rzucili się do ucieczki.

To wystarczyło Czciborowi, by złapał oddech i sformował pieszą pogoń. Mieszko z obnażonym mieczem wjechał w walczących, szukając saskiej watahy, najgroźniejszego trzpienia tej armii.

„Za każdego zabitego człowieka Wichmana zapłacę srebrem” — oznajmił podczas nocnej narady wodzów. Ale wiedział, że łatwiej wydać buńczuczny rozkaz, niż go wykonać.

Kopyta wierzchowca miażdżyły trupy poległych. Jego własnych ludzi. Tych, którzy próbowali dosięgnąć zakutych w stal banitów Wichmana.

Koń pędził przed siebie. Ostry promień wschodzącego słońca ukłuł Mieszka w źrenicę. Oślepił na chwilę, po której przeszyło go światło. Wody Warty, chrzest, trzecie zanurzenie. „Jestem Twój!”.

Wzrok wrócił, koń gnał. Miał ich! Przed nim wielkolud w wygniecionym hełmie zdobionym odrapanym srebrnym lwim pyskiem kończył dorzynać chorążego Czcibora. Mieszko nie zwolnił biegu konia. Krzyknął:

— Stań!

Wielkolud się odwrócił. Spod hełmu spojrzały na Mieszka zimne, jasne oczy. Książę w rozpędzie wbił miecz, celując w nieosłoniętą szyję. Pchnął i błyskawicznie wyciągnął ostrze. Koń zatrzymał się gwałtownie i Mieszko omal nie spadł. Wielkolud padł i konał, a jego gigantycznym ciałem wstrząsały drgawki. Książę ruszył do następnego.

Jak stara, zaprawiona w boju armia walczyli jeden przy drugim i on, jadąc między nimi, zabijał ich tak, jak stali: jednego po drugim. Omijał ostrza zdradliwie celujące w koński brzuch. Piesi banici byli dwakroć mniej groźni niż konni. W ciele piątego z nich stracił miecz. Nie zdążył wyciągnąć, gdy trup padał na ziemię. Sięgnął po topór, który miał przy siodle. I teraz ciął ich jak drwal. Krwawa mgła przysłoniła mu oczy. Nie słyszał jęków obok siebie, tylko uderzenia własnego topora o tarcze i hełmy banitów Wichmana. Zabijając ich, myślał, że zabija najeźdźców, którzy chcieli pohańbić jego żonę. Widział bladą, przerażoną twarz Dobrawy próbującej osłonić ciężarny brzuch przed mieczem Wichmana i ten obraz wzmagał jego zaciekłość.

Nagle z boku redarski wojownik w skórzanym hełmie próbował ściągnąć go z siodła. Przed oczy Mieszka napłynęła Wszemiła, choć nie myślał o niej, odkąd ją porzucił. Wściekłość prowadziła jego ręką, gdy odwinął się i z całych sił uderzył toporem w Redara. Odrąbał mu głowę. Z pustego miejsca chlusnęła krew, a bezgłowy wojownik przez krótką chwilę stał niczym potwór z koszmarnych majaków. Koń Mieszka zarżał wystraszony potokiem krwi i uskoczył w bok.

— Krwawy Księżyc! — zawył drugi, potężny Redar, mierząc do niego z oszczepu. — Krwawy Księżyc!

Znam go! — Myśl jak błyskawica przemknęła przez głowę Mieszka. — Widziałem go.

Wojownik w pancerzu z utwardzanej skóry okryty był wilczym futrem. Nie miał hełmu, wilczy łeb z wyszczerzonymi kłami osłaniał mu głowę. Tak! To ten redarski wilk zabił mi brata! Dobronieg padł od jego oszczepu.

— Już nie jestem Księżycem! Już nie jestem synem księcia! — wrzasnął do niego Mieszko i zamachnął się toporem. — Ja jestem książę!…

Rzucił w tej samej chwili, w której Redar wypuścił oszczep. Mieszko uchylił się i lekkie drzewce przeleciało tuż obok. Poczuł pęd powietrza na twarzy.

— …życ! — jęknął redarski wilk i padł z żeleźcem topora w głowie.

— Gdzie Wichman? — krzyknął Mieszko, bo wokół niego nie było już walczących Sasów. — Uciekli? Gdzie oni są? — Okręcał się konno i dopiero teraz dotarło do niego, że jest na pobojowisku.

— Kto? Kto? — nieprzytomnie pytał Wolrad, podjeżdżając do niego między zwałami martwych.

— Wichman! Gdzie Wichman?

— Banita uciekł z kilkoma ludźmi! — krzyknął Radomir. — Książę Czcibor puścił się w pościg za nimi. Panie! Czy widzisz to? Czy ty to widzisz? — Radomir zakrwawionym mieczem pokazywał miejsce bitwy. Jego koń nie mógł przestać się kręcić w koło, jakby oszalał od zgiełku i walki.

Mieszko zdjął hełm, bo pot i krew zalewały mu oczy. Przetarł twarz. I zobaczył rozmiar swego zwycięstwa.

Pod lasem Czesi dorzynali ostatnich wolinian. Derwan, Gardomir i Świelub, których obok własnego brata mianował dowódcami piechoty, prowadzili powiązanych jeńców. Na pobojowisku leżały tysiące zabitych. Z obozu nieprzyjaciół wyprowadzano zdobyczne konie.

— Wichman uciekł z garstką ludzi — zameldował Świelub. — Ale Czcibor ruszył za nim z trzykroć większą siłą.

— Jak to się stało? — spytał Mieszko. Krwawa mgła odeszła sprzed jego oczu. W uszach przestało mu szumieć.

— Kiedy uderzyłeś, książę, graf zrozumiał, że już po nich. On jeden był konno. Skrzyknął swoich, ilu zdołał, i ci pobiegli do obozu. Jakoś przedarli się między konnicą czeską. Czcibor zgarnął trzydziestu konnych Czechów

i ruszył za nimi. Ludzie Wichmana mieli w obozie konie, których nie zdążyli użyć do bitwy, bo myśleli, że walczyć będą tylko przeciw piechocie. Czcibor przekazał, że będzie ich ścigał, aż dopadnie.

Stary Derwan wystąpił przed szereg. Jego kolczuga była zbrukana krwią. Zdjął hełm i uklęknął przed Mieszkiem.

— Książę — powiedział ze czcią. — Racja była po twojej stronie. Odkąd żyję, nie walczyłem w takiej bitwie. Ja… szczęśliwy, żem takich czasów dożył.

Jeden za drugim kłaniali mu się pozostali wodzowie. A Mieszko przyzwał Wolrada i kazał podać sobie chorągiew z krzyżem. Chwycił ją pewnie. Uniósł i ścisnąwszy kolanami końskie boki, ruszył dookoła pola bitwy. Stanica załopotała. Krzyż wyszyty srebrną nicią zalśnił w promieniach zachodzącego słońca.

— Pod tym znakiem odnieśliśmy zwycięstwo! — krzyczał Mieszko, rozpędzając się coraz bardziej. — Pod tym znakiem pokonaliśmy wrogów! Bóg kocha Piastów!

— Bóg kocha Piastów! Bóg kocha Piastów! — zaczęli skandować jego wojowie i jeden po drugim kłaniali się swemu księciu i krzyżowi na chorągwi.

*

Księżyc powoli wschodził nad pobojowiskiem. Na noc zajęli porzucony obóz nieprzyjaciół. Wolrad wystawił straże, a Witosz na rozkaz Mieszka posłał zwiadowców, by sprawdzili, czy ktoś zechce ująć się za pokonanymi. Mieszko stał przed wejściem do swego namiotu i patrzył na dziesiątki płonących w porębie ognisk. Słuchał śmiechów i radosnych pieśni wojów. Pili zdrowie księcia i zdrowie Jezu Chrysta. Nikt już nie wspominał o tym, że Trzygłów się zemści.

Przywołał obraz swego ojca, Siemomysła. Mówiono na niego „Krwawy Piast”, a dzisiaj od wilczego wojownika usłyszał o sobie „Krwawy Księżyc”. A przecież ojciec nie tylko walczył. Budował. Dowodem ta potężna poręba. Zostawił po sobie Giecz, Grzybowo, Poznań i Santok obwałowane tak potężnie, że bronić się mogły miesiącami.

Co ja zostawię po sobie? — pomyślał i w tej samej chwili wiedział, że zwycięstwo nad Wichmanem to dla niego mało. — To tylko początek. Obronne grody tak, dobrze, ale ja nie chcę się bronić, chcę zdobywać. Pragnę portu przy ujściu Odry. Dzisiaj pokonaliśmy wolinian, jutro ujarzmię Wolin, a Urdis, najmądrzejszą z mych dawnych żon, uczynię tam moją namiestniczką…

— Książę! — Nadbiegający Witosz przerwał tok jego myśli. W głosie druha drżała euforia. — Książę!

— Chodź, napijmy się za zwycięstwo! — Mieszko zaprosił go do namiotu.

— Książę! Nie wiem, czy masz tyle miodu, by opić wiadomość, którą przynoszę.

— Czcibor dopadł Wichmana?

— Gońcy z Poznania — powiedział Witosz, a oczy mu lśniły. — Masz syna! Syna!

— Jezu Chryste! — jęknął Mieszko i skoczył ku Witoszowi. Uniósł go, jakby ten był snopkiem siana, a nie wielkim, żylastym mężczyzną. — Powtórz!

— Syn! Dobrawa urodziła syna!

Mieszko puścił Witosza i padł na kolana. Wieść rozniosła się jak na skrzydłach. Obóz już skandował:

— Syn! Syn! Piastowic! Piastowic! Sława! Sława!

— Bo-le-sław! Bo-le-sław! Pia-sto-wic! Pia-sto-wic!

Serce mu waliło raz, dwa. W imię Ojca i Syna. Raz, dwa! Uniósł twarz, chcąc się modlić, i zobaczył, jak nad porębą wschodzi wielki, krwawy księżyc.

Pił całą noc. Z wodzami, z druhami, z pancernymi Czechami, ze swoimi jeźdźcami, piechurami i nawet z obozowym ciurą. Pił i nie mógł się upić. Obóz huczał. Obóz nie mógł zasnąć. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy. Chrzest. Zwycięstwo nad niepokonanymi. Książęcy syn.

Przed świtem, gdy jego ludzie spali przy dogasających ogniskach, a świergot ptaków już wznosił się ogłuszającą wrzawą, wskoczył na siodło i raz jeszcze pojechał napawać się widokiem pobojowiska. Przed nocą zabrali z niego swoich poległych. Aktem łaski dobili rannych wolinian i Redarów. Wobec poharatanych banitów nie wykazali względów. Mieszko nie był skłonny do litości.

Gdy wyjechał spomiędzy drzew, w rozjaśniającej się szarudze zobaczył stado wilków. W pierwszej chwili struchlał. Umysł zastawił na niego pułapkę i podszepnął, że oto duchy Redarów wyszły z martwych. Potężny basior podniósł łeb, zwietrzywszy człowieka i konia. Wtedy do Mieszka dotarło, że to nie duchy, ale drapieżniki, które przyszły na łatwy żer i posilają się na trupach poległych. Zakrwawiony pysk wilka. Przy jego boku samica szarpała ludzkie trzewia. Niełatwo wydobyć jelita spod kolczugi. Znad trupów uniosła się czarna chmura kruków. Jeszcze nie było much. Nawet pośmiertna walka ma swą upiorną kolejność. Usłyszał wysoki, świdrujący gwizd piszczałki. Czcibor? Poznał jego kościany gwizdek i odwrócił się za dźwiękiem.

Mieszko nosił pęk jasnych, końskich włosów przy smukłym, spiczastym szyszaku. Czcibor miał czarną kitę przy hełmie. Słońce wzeszło. Mieszko musiał osłonić oczy dłonią. Brat jechał na czele trzydziestki zbrojnych. Gdy się zbliżyli, dostrzegł, że coś wiozą pomiędzy końmi.

— Graf Wichman kona — powiedział Czcibor, wskazując na nosze wleczone przez Czechów. — Przywiozłem ci go, bo pomyślałem, że chcesz zobaczyć jego śmierć. — Ciemne źrenice Czcibora lśniły jak obmyte nurtem rzeki kamienie.

— Co z jego ludźmi? — zapytał Mieszko.

— Zarżnięci, odarci z broni do nagich trupów. Karmią kruki jak ci tutaj. — Czcibor niedbale rzucił głową. — Tylko wodza watahy ci przywlokłem. Rzucić go księciu! — krzyknął do Czechów za swymi plecami.

Ci zeskoczyli z siodeł i wziąwszy pod ramiona Wichmana, zawlekli pod kopyta jego konia.

— Na rany… na rany Chrystusa… — jęknął graf.

Mieszko zsiadł z konia i stanął nad leżącym.

Niepobity, krwiożerczy Wichman u jego stóp. Cioteczny brat cesarza Ottona Wielkiego. Boże, Twa moc nie ma granic — pomyślał Mieszko.

— Panie… książę… — jęczał Wichman. — Konam…

— Kończ, nie wzywaj Boga, boś na Jego łaskę nie zasłużył — syknął Mieszko.

— Nasz Pan w chwili śmierci wybaczał łotrom na krzyżu…

Mieszko w milczeniu wpatrywał się w bladą twarz Wichmana. W krwawy strup pod obojczykiem. Oczy grafa zachodziły mgłą, a przetykane siwizną żółte włosy przylegały w strugach śmiertelnego potu do czoła.

— I ja żałuję… pragnę wybaczenia… — szeptał Wichman.

— Co mam ci wybaczyć, wilku? — Mieszko się wściekł. — Że chciałeś mnie zabić, pohańbić, zagarnąć me ziemie? Teraz wzywasz imienia Chrystusa, a rzucałeś się na mnie na czele zgrai czczących Swarożyca pogan! Pluję na twą skruchę! Jesteś jak pies, który poczuł nad sobą silniejszego i w ostatniej chwili podkula ogon, kładzie się na grzbiet

i macha łapami! Śmiertelne widowisko! — Mieszko z odrazą kopnął kępę suchej trawy.

— Panie! — Wichman z wysiłkiem wyciągnął ramiona ku jego nogom. — Wielki książę… jam jest grzeszny… ale w ostatnim tchnieniu moja dusza zwraca się ku Bogu! Widzę Maryję, matkę Jego, idącą ku mnie w orszaku aniołów! Wybacz mi! Wybacz i spełnij ostatnią posługę wobec umierającego… miecz mój… Gdzie mój miecz? — Rozpaczliwie szukał u pasa.

— Tutaj, psie! — Czcibor rzucił mu miecz, który wiózł przy swym siodle.

— Panie!… to święty miecz, który podarował mi cesarz… stal poświęcona u źródeł Piotrowych… miecz, który dawał mi przez tyle lat wygraną… Maryjo! Gdzieś zniknęła? — W oczach Wichmana zadrgało przerażenie. — Błagam cię, oddaj cesarzowi mój miecz na znak… na znak… mego ukorzenia… Idą po mnie! — pisnął i jego źrenice się rozszerzyły. — Jezu, ratuj! Idą po mnie zastępy ciemne… aniołowie skrzydlaci… czarni jak smoła… pędzą na rumakach wielkich… Jezu, chroń mnie… Chryste, trzymaj w swych zranionych ramionach, bo widzę, że piekło pod wodzą księcia ciemności galopuje ku mnie konnicą trupich wierzchowców… Aaa! — Wichman wrzasnął i zakrył twarz dłońmi, jakby chciał ją osłonić przed szarżą szatańskiego wojska. I skulony skonał.

— Bracie — Czcibor zeskoczył z konia i położył Mieszkowi dłoń na ramieniu — śmierć banity to dowód na istnienie Boga.

— A ja myślałem, że przekonał cię nasz wspólny chrzest w nurcie Warty — odpowiedział Mieszko, obejmując brata.

— Chrzest był święty. — Czcibor skinął mu głową. — A on widział piekielne wojska tak prawdziwie, że w nie uwierzyłem.

— Wichman dostał to, na co zasłużył. Żywcem zstąpił do piekieł. Na wojowników Bożych czeka raj, miejsce przecudne. Nie w szatana wierz, bracie, a w Boga. On nas w chwili zgonu poprowadzi do wiecznej jasności.

— Skąd wiesz? Od Jordana? — spytał Czcibor.

— Od niego wiem. A od dnia chrztu w to wierzę. Stąd — zgarnął ramię brata z pleców i dotknął swego brzucha — z samych trzewi.

— Miecz Wichmana — powiedział Jordan, gdy zwycięzcy przybyli do Poznania. — Co z nim poczniesz?

— Wolą konającego było odwieźć go do cesarza.

— Ja pojadę — powiedział Jordan. — Pozwól mi go zawieźć.

Dał mu drużynę zbrojną, a sam pochylił się nad Dobrawą. Syn w jej ramionach. Wciąż nie mógł uwierzyć. Miał przed nią siedem żon, a żadna z nich nie dała mu syna. Pieścił to dziecko, jakby było cudem.

— Chciałabym, żeby wyrósł na wielkiego księcia, jak ty — wyszeptała, tuląc czoło do jego piersi.

Nie powiedział jej o krwawym księżycu, co wyszedł w noc jego narodzin. Dobrawa śniła inne pieśni, niż on widział. Wolał, by jego żona pozostała czysta. Mrok, brud, krew i widmo bitwy brał na siebie. Dopiero po powrocie, przy niej i dziecku, dotarło do niego z bezwzględną jasnością, co by się stało, gdyby przegrał.

Nie ruszę na kolejną wojnę — myślał — jeśli nie przygotuję dla rodziny bezpiecznej kryjówki. Siemomysł budował obwałowane grody. Ja stworzę im niezdobytą twierdzę na wyspie.

I wiedział, gdzie to będzie. Między Poznaniem a Gnieznem, wyspa na Jeziorze Lednickim. Ostrów, rzucone na środek jeziora ukryte gniazdo dynastii.

Jordana nie było ponad pół roku. Wyruszył do Rzymu jesienią, zaraz po bitwie. Wrócił wczesnym latem. Powitali go na podwórcu palatium. Kapłan zsiadł z konia, sługa podał mu owinięty purpurową tkaniną długi przedmiot. Jordan wziął go w wyciągnięte ramiona i szedł ku nim, ku Mieszkowi i Dobrawie.

Cesarz nie przyjął miecza buntownika — przeszło przez głowę Mieszkowi, ale oddalił od siebie tę myśl, bo w twarzy Jordana było coś uroczystego.

— Książę — powiedział i spojrzawszy na mocno zaokrąglony brzuch Dobrawy, dodał z powagą: — dynastia się rozrasta.

— Tak, Jordanie! Spodziewamy się kolejnego dziedzica. Z czym przybywasz?

— Z darami najwyższej próby. — Mówiąc to, z namaszczeniem odwinął tkaninę i odsłonił miecz.

To było najdziwniejsze ostrze, jakie Mieszko widział. Stare, choć zadbane, z szerokim sztychem. Nie nadaje się do pchnięć — pomyślał. — Można nim tylko jednostronnie ciąć.

Jordan uniósł miecz i powiedział dobitnie:

— Oto dar Ojca Świętego dla chrześcijańskiego księcia Mieszka. Miecz świętego Piotra, ten, którym obciął ucho Malchosa w ogrodzie Getsemani w noc pojmania naszego Pana…

— Ach! — wyrwało się z ust Dobrawy.

— Miecz Apostoła — potwierdził Jordan, a jego źrenice zalśniły. — Aby go przyjąć, musisz chrzest dopełnić sakramentem bierzmowania…

— Ale bierzmowania udzielić może tylko biskup — wyszeptała wystraszona Dobrawa.

— Oto stoi przed wami Jordan wyświęcony przez papieża Jana XIII na biskupa misyjnego władztwa Mieszka, księstwa leśnych polan

— powiedział.

Trwała uczta powitalna na cześć Jordana. Siedzieli za stołem na podwyższeniu, słuchając jego opowieści.

— Mawia się, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a w naszej sprawie, książę, zbiegły się w nim wszystkie szczęśliwe okoliczności. Kiedyśmy dotarli na miejsce, w Rzymie obradował synod. Cesarz Otto I był w podniosłym nastroju, bo udało mu się przeprowadzić koronację swego syna jako Ottona II.

— Za życia ojca? — spytał Mieszko.

— Tak. Stary cesarz boi się zamieszek po swej śmierci i pragnął doprowadzić do uznania następcy, póki żyje. Przyjęli mnie na wspólnej audiencji w dwudziestym trzecim dniu grudnia, który przeznaczony jest na wspominanie świętego Dagoberta. Pamiętasz jeszcze, co ci opowiadałem o swych początkach, książę?

— Pamiętam. To Dagobert nakazał ci we śnie podróż do cesarstwa.

— W którym nie otrzymałem pomocy dla swego brata na irlandzkim tronie! — Jordan zaśmiał się i uniósł kielich jak do toastu. — Ale za to spotkałem ciebie, książę! Tak więc, gdy wyznaczono mi audiencję w dzień świętego, który patronował całej mej wędrówce, wiedziałem, iż to znak, że idę ku swemu przeznaczeniu. Opowiedziałem im o tobie, pogańskim księciu, który przyjął chrzest i pod znakiem krzyża, jak Konstantyn, zwyciężył wrażego Wichmana. A kiedym oddał Ottonowi miecz jego krewniaka, cesarz płakał…

— Ze szczęścia czy z żalu? — spytał Mieszko ciekawie.

Jordan się zaśmiał.

— Z radości, iż Wichman w ostatnim tchnieniu wyraził żal, tak to ujmę.

— Oddanie miecza to poddanie się pokonanego — rzucił książę. — Cesarz mógł poczuć ulgę, że nie musiał przykładać ręki do zgładzenia

grafa. Banita, wyrzutek, ale mimo wszystko jego bliski krewny, a nikt nie lubi plamić się krwią rodziny.

— Opisałem szczegółowo potęgę twego zwycięstwa i przedśmiertne wyznanie win — powiedział Jordan. — Otto w dowód wdzięczności za trud oddania miecza, jaki poniosłeś, nadał ci tytuł „przyjaciela cesarstwa". Od tej pory będziesz zapraszany na zjazdy panów Rzeszy i twój głos będzie na nich słuchany. Papież zaś, nie chcąc być mniej hojny niż cesarz, powiedział: „Miecz za miecz. Za ostrze nawróconego łotra chcę księciu ofiarować miecz Apostoła, by pod jego świętą klingą mógł szerzyć wiarę wśród pogańskich Słowian".

— Mój ojciec, książę Pragi — odezwała się Dobrawa — od tylu lat zabiegał o własne biskupstwo. Czesi od dawna ochrzczeni, a mimo to nie dostał go. Jesteś cudotwórcą, Jordanie!

— Nie ja — zaprzeczył biskup. — Mówiłem wam, że prowadził mnie święty Dagobert. Gdy papież dał mi dla księcia miecz apostoła Piotra, powiedziałem, że książę Mieszko, jakkolwiek jest wybitnym wojownikiem i wodzem, nie chce zabijać pogan, ale nawracać. A do tego potrzebna jest siła duchowa. Zgodzili się ze mną, zresztą nie wypadało nie przyznać mi racji. — Jordan zaśmiał się nie jak biskup, ale jak chłopiec. — No cóż, z mojej relacji wynikało, że świeżo ochrzczony książę nie tylko pokonał pogan, ale i skłonił wiecznego grzesznika Wichmana do aktu chrześcijańskiej skruchy. Jednak najważniejsze jest to, iż papież wyświęcił mnie na biskupa misyjnego.

— Nie pojmuję różnicy. — Książę rozłożył ręce.

— Ja i moi następcy nie będziemy podlegać arcybiskupom cesarstwa. Ludziom Ottonów. Podlegamy wyłącznie Bogu i papieżowi w Rzymie.

— Amen! — Mieszko zrozumiał to w lot.

Kamienna kaplica, jaką wybudował przy palatium, była niewielka. Gdy ją stawiali, Jordan mawiał, że kościoły w jego rodzinnej Irlandii są małe, ale za to wiara ludu wielka. Poznańska świątynia mieściła jedynie ołtarz, a miejsca było tyle, co dla kilkorga ludzi.

— Twój chrzest w nurcie Warty odbył się na oczach wszystkich. Był pierwszym, a tak dobitnym znakiem. Twoi poddani zobaczyli i uwierzyli. Zaś bierzmowanie i przyjęcie darów Ducha Świętego będzie twoim intymnym spotkaniem z Bogiem — powiedział Jordan, gdy przygotowywał Mieszka.

Dwa lata temu wszedłem w nurt Warty i poprosiłem o chrzest — myślał książę, wstępując do kaplicy. — Jordan spytał mnie wówczas: „Po co przybywasz?”. A ja powiedziałem: „Po chrzest”, ale pomyślałem: Po miejsce równe pierwszym panom Rzeszy. Po wejście między nich. Zrzucenie wilczej skóry z grzbietu barbarzyńcy, którym mnie nazywają. Po wymuszenie na nich szacunku i miejsca przy stole. Po tarczę przeciw głodnym krwi Wieletom. Odbicie uderzenia grafa Wichmana. Po wszystkie dary chrześcijańskiego władcy, którymi od tej pory obdarzy mnie Pan. I dostałem zwycięstwo nad Wichmanem, pierworodnego syna, miecz Apostoła, tytuł przyjaciela cesarstwa i własne, niezależne biskupstwo. O co mam prosić teraz? Co przyniesie mi bierzmowanie, skoro tyle dał mi chrzest?

Dwanaście wielkich świec płonęło pod półkolistą, wyłożoną szklanymi płytkami ścianą kaplicy. Szkło o jantarowej barwie odbijało płomienie, tak iż wydawało się, że cała kaplica migocze. Biskup Jordan wyszedł po Mieszka i poprowadził do ołtarza. Dobrawa stała z boku, z dłonią na brzuchu. Zaczęła się liturgia. Mieszko patrzył, jak Jordan przewraca karty ewangeliarza, i pomyślał, że ta okazała księga i jego kapłan przebyli daleką drogę, by znaleźć się z nim tutaj, w poznańskiej kaplicy.

— Czy już zdecydowałeś książę? — zapytał Jordan. — Imię jakiego świętego wybierzesz na swego patrona?

— Dagobert — powiedział Mieszko i spojrzał w oczy zaskoczonego biskupa. — Niech mnie prowadzi tak, jak ciebie przywiódł do kraju leśnych polan.

— Ducha Świętego nie zobaczysz — mówił cicho Jordan — ale każdy z Jego darów odciśnie się na twym życiu. Duch Święty jest jak wiatr. Widzisz koronę drzewa wygiętą jego siłą, trawę poruszającą się pod jego podmuchem, falę na wodzie, uniesienie płaszcza. Zdejmij płaszcz!

Jordan podszedł do niego i obnażył ramię i bark Mieszka, rozsznurowując mu tunikę. Potem wziął naczynie z krzyżmem i zanurzywszy w nim kciuk, zrobił krzyż na czole księcia.

— Tak jak wiatr roznieca swym podmuchem ogień, tak ty płoń żywym ogniem wiary! Bierzmuję cię, Mieszko-Dagobercie, znacząc olejem świętym w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

— Amen.

— Niech od tej chwili Duch zstąpi na ciebie, bo oto przejrzały nie tylko twe oczy, ale i dusza dojrzała do służby Panu!

Mieszko patrzył na pełgające po półkolistej ścianie płomienie świec i miał wrażenie, że unoszą się w powietrzu i suną ku niemu jak świetlny, ognisty znak. Płomienna korona. Jordan sięgnął po leżący na ołtarzu miecz Apostoła i podał go księciu.

— Idź i nauczaj narody, a Bóg będzie z tobą przez wszystkie dni aż do skończenia świata…

— I ja będę z Bogiem — odpowiedział Mieszko. — Wybuduję Mu w Poznaniu katedrę pod wezwaniem świętego Piotra, który tym ostrzem bronił Pana.

— Amen — szepnęła Dobrawa i osunęła się, opierając o ścianę.

Mieszko ją podtrzymał.

— Księżno? — spytał zaniepokojony Jordan. — Dobrze się czujesz?

— Tak — powiedziała cicho. — Zaczęło się…

— Liturgia skończona — powiedział biskup. — Odprowadź swą żonę, by mogła urodzić. Ja pozostanę tutaj i będę się modlił o szczęśliwy poród. O kolejnego Piasta.

Czuwał przed wejściem do alkowy żony i odchodził od zmysłów. Dobrawa krzyczała. Darła się bardziej niż Redarowie biegnący do bitwy, niż uderzeni toporem ranni z odrąbanymi dłońmi i złamanymi nogami.

Jak to możliwe — myślał — że słodka i jasna kobieta wydaje z siebie takie krzyki? Czy ona umiera? Boże, dałeś mi tyle i chcesz wszystko zabrać w świętym dniu bierzmowania? I nagle do niego dotarło, że nigdy nie był przy porodzie, bo gdy kobiety wydawały na świat dzieci, on zawsze wojował.

Drzwi alkowy się uchyliły i wyszła przez nie stara służka z cebrem pełnym zakrwawionych szmat. Złapał ją za ramię.

— Co z nią?! — spytał strwożony. — Co tam się dzieje?!

W tej samej chwili zobaczył, że kobieta ma skrwawioną suknię.

— Nic takiego — odpowiedziała, wzruszając ramionami. — Pani rodzi.

— Ale dlaczego tak krzyczy?

Kobieta spojrzała na niego, jakby był niespełna rozumu.

— Bo wydaje na świat dziecko!

— Ale…

Służka otarła pot z czoła i przygadała mu jak kucharka stajennemu:

— A co się księciu wydaje? Że rodzenie dzieci to jakaś przyjemność? Gdy wykluwa się orzeł, orlica musi dziobem przebić skorupę. A kobieta musi własnymi siłami wypchnąć na świat drugiego człowieka! Idź stąd, książę, bo nie mam czasu, a mężczyźni za miękcy na takie sprawy.

Wcisnęła mu w ręce ceber z brudami i zniknęła z powrotem w alkowie.

Stał jak ogłuszony. Patrzył na krwawe płótna i myślał, jak nie chciał plamić serca Dobrawy opowieścią o brudnej stronie zwycięstwa nad Wichmanem.

Co ja wiem? — pomyślał. — Umiem zabijać, ale to ona potrafi dawać życie…

W tej samej chwili z alkowy dobiegło dzikie, przeciągłe wycie jego żony i zaraz po nim usłyszał krzyk dziecka. To nie było kwilenie noworodka. To był wściekły wrzask. Rzucił ceber i wbiegł do środka. Służki na jego widok przykryły leżącą Dobrawę prześcieradłem.

— Żyjesz? — zapytał.

— Tak — szepnęła.

I wtedy zobaczył. Zobaczył upiorne, sine, umazane krwią dziecko połączone nabrzmiałą liną pępowiny z matką. Stara służka trzymała je wysoko pod ramiona, a ono wierzgało jak kocię trzymane przez samicę dzikiego rysia w pysku i darło się wniebogłosy.

— Narowista dziewucha! — pochwaliła stara.

— Półdiablę — sapnęła druga służka, siadając na posadzce wśród cebrów z wodą i krwawych szmat.

— Na wszelki wypadek dajmy jej jakieś święte imię — powiedziała Dobrawa i wyciągnęła ręce po dziecko.

Część I

Dom Piastów

984–985

Ostrów Lednicki skąpany zimnym światłem księżyca. Wyspa na zamarzniętym jeziorze pośród spiętych ramą lasu pól. Tej nocy, jak każdej zimy, lód łączy wyspę z lądem, lecz do stojącej na niej warowni nie można wejść przez lód. Do chronionej podwójnymi, wysokimi jak jesiony wałami siedziby piastowskiego księcia można dostać się tylko przez mosty. Dwa mosty niczym cumy trzymające łódź. Zachodni i wschodni. Dwa ramiona jak u matki piastującej dziecko. Na zachód biegł trakt do Poznania. Na wschód do Gniezna. Między nimi ukryty Ostrów Lednicki, jak skarb. Był skarbcem. Ukrytym gniazdem dynastii. Jej żywym, pulsującym łonem. Miejscem, gdzie wychowywane są książęce dzieci. A mosty, niczym pępowiny, mogły wyprowadzić te dzieci na świat. Dwa mosty, dwoje niemal dorosłych dzieci. Naokoło lód. Noc w okowach zimowej pełni.

ŚWIĘTOSŁAWA przymknęła powieki. Siedziała z podwiniętymi nogami na szerokiej ławie, pozwalając służce czesać swe długie włosy. Z jej rozchylonych ust dobywały się drobne obłoczki pary. Oddychała coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie położyła głowę na przerzuconym przez oparcie ławy futrze. Włosy Świętosławy zafalowały, spadając poniżej oparcia. Dłoń z grzebieniem zastygła w powietrzu.

— Śpi? — zapytała służąca, patrząc w kąt komnaty, gdzie na niskiej, okutej żelazem skrzyni siedziała dziewczyna w prostej wełnianej sukni. Siedziała dokładnie tak, jak Świętosława, z podwiniętymi nogami, z przechyloną głową. Jej twarz nie wyrażała nic.

BOLESŁAW poruszył barkami, by kolczuga ułożyła się dobrze na skórzanym kaftanie. Zapiął pas. Sprawdził, czy nóż gładko wychodzi z pochwy. Odgarnął włosy przysłaniające mu twarz i spojrzał na czekających towarzyszy. Ciemnooki Zarad, rudy Bjornar i płowowłosy,

bardzo szczupły Jaksa stali przy drzwiach komnaty, wpatrując się w niego z napięciem. Przy nogach Bolesława warowały dwa psy.

— Gotowi? — zapytał.

— Płaszcz — powiedział Jaksa, rzucając mu podbitą wilczym futrem wełnę.

— Rękawice — dorzucił Bjornar, gdy je podawał.

— I miecz. — W mroku komnaty błysnęły ciemne oczy Zarada.

Jeden z psów czujnie uniósł łeb.

— Nie — zaprotestował Bolesław, wkładając rękawice. Przez jego twarz przemknął ledwie widoczny cień. — Ojciec nie kazał.

Tamci trzej kiwnęli głowami jak na komendę, a Zarad cicho gwizdnął z podziwem dla nieobecnego.

— Książę pan! — dorzucił.

Wyszli z komnaty, nie zamykając drzwi. Bolesław krzyknął przez ramię:

— Duszan, pilnuj psów!

Stukot ich butów na kamiennej posadzce palatium, więcej nic. Z kąta wychynął młodzieniec wcześniej trzymający się w cieniu. Smukły i wysoki, ubrany niepozornie, niezbrojony. Psy zaskomlały przeciągle. Duszan podszedł do nich, poklepał po łbach. Dolał wody do misek. Zaczął zbierać rozrzucone po izbie rzeczy. Z nabożnym szacunkiem ustawił miecz na stojaku.

ŚWIĘTOSŁAWA leżała przechylona przez oparcie ławy.

— Księżniczka śpi? — natarczywie powtórzyła pytanie służąca.

Dziewczyna bezszelestnie wstała ze skrzyni, podeszła ku niej. Przykucnęła przy Świętosławie i delikatnie odchylając włosy, zajrzała jej w twarz. Uniosła wzrok ku pytającej i skinęła głową na potwierdzenie.

Służąca odetchnęła. Nakryła Świętosławę błamem z lisich futer i cicho pozbierała rozrzucone drobiazgi. Dwa kościane grzebienie, nabijaną

srebrem skórzaną przepaskę do włosów, jedwabne tasiemki do splatania warkoczy. Zamknęła wszystko w skrzynce i nerwowo rozejrzała się po komnacie. Na rogu stołu stał kubek z wystygłym naparem. Zręcznie wylała jego zawartość do ognia, a krople szybko wyparowały. Służąca wytarła palce w kraj sukni.

— Jak się obudzi, zdejmij jej buty. Pomóż przejść do łoża, nakryj i czuwaj przy ogniu. Zresztą wiesz, co masz robić — powiedziała do dziewczyny i wyszła, nie czekając na odpowiedź.

Drzwi zamknęły się za nią głucho.

Świętosława doskonale udawała sen. Teraz otworzyła powieki. Miała oczy pociemniałe od gniewu.

— A to suka — wyszeptała prosto w twarz kucającej przy niej dziewczyny.

Ta błyskawicznie położyła palec na ustach i głową wskazała drzwi. Świętosława usiadła na ławie, odrzucając przykrycie. Za drzwiami słychać było zbliżające się kroki. Spojrzały na siebie. Dziewczyna wzięła błam i rzuciła na kamienną posadzkę. Księżniczka miała na nogach wysokie, okute buty. Po futrze szła bezszelestnie.

BOLESŁAW wsłuchiwał się w równy rytm kroków na moście. To go uspokajało. Raz, dwa. Raz, dwa. Szedł przodem, za nim Bjornar i Zarad. Jaksa z tyłu. Wschodni Most. Gdy był chłopcem, potrzebował czterech setek kroków, by go przejść. Potem trzech. Sprawdzał się co roku aż do teraz, gdy skończył szesnaście lat, i wyszło ich tyle, ile trzeba dorosłemu mężczyźnie. Dwie i pół setki. Ojciec przyjmował do osobistej drużyny tylko silnych, sprawnych i rosłych. Takich, którym wystarczy dwie i pół setki kroków, by przejść Wschodni Most. Ojciec. Książę pan. Zapalczywy drapieżnik po równo darzony przez poddanych uwielbieniem i lękiem. Mistrz politycznej gry zmieniający sojusze szybciej, niż zawiał wiatr.

Wojownik na czele bezgranicznie oddanych mu wojsk. Ojciec trzymający go żelazną dłonią za kark. Żadnej samowoli. Syn robi tylko to, czego ojciec chce. Więc czego chce dziś? W noc przed Godami, przed przyjściem Chrystusa na świat? Dlaczego kazał mu przyjść bez broni na przystań nieopodal Wschodniego Mostu? Raz, dwa, raz, dwa. Równy dźwięk kroków wśród nocnej ciszy uspokajał Bolesława, chłodził jego gorączkowe myśli.

Księżna Oda, piękna jak rasowa suka i zimna niczym lód. Żona ojca, której czas nastał po śmierci matki, Dobrawy. Rok temu urodziła ojcu syna, a ten dał mu własne imię. Zabolało jak uderzenie zmarzniętą rękawicą w twarz. Przez szesnaście lat był jedynym synem. Oczywistym następcą. Liczył się tylko on i Świętosława. Dwoje dzieci Dobrawy jak dwa mosty Ostrowa. Córek ojciec miał więcej, z dawnych jeszcze, pogańskich żon, to inna rzecz. Żadna z nich nie mogła zagrozić pozycji jego siostry. Wiadomo, dziewczyny to pieczęcie pokoju, sojuszu, zawieszenia broni. Ale następcą jest syn. Syn!

Parę dni temu, na uczcie. Oda w nowych, złotych zausznicach, na jej kolanach to dziecko, które jak zadra stało między ojcem a nim. „Mój Mieszko!”. — Ojciec śmiał się i pił. Bolesław zaciskał szczęki. Oda zaś słuchała mnicha czytającego historię o Abrahamie i Izaaku. Gdy Abraham budował na górze Moria ołtarz na oczach przerażonego chłopca, na bladą twarz Ody wystąpiły rumieńce. „Wystarczy!”. — Przerwała mnichowi ruchem szczupłej, upierścienionej dłoni. — „Mieszko zbyt mały, by słuchać tych okropności!”. Ojciec zaprotestował trzeźwo: „Chce być księciem, niechaj słucha, jak Abraham słuchał swego Ojca w niebie. Bezwarunkowo!”. Kazał sobie dolać miodu, jakby to słowo, „bezwarunkowo”, sprawiło mu przyjemność. Przepijał z drużynnikami i nie widział, że im bliżej ofiary z pierworodnego była opowieść, tym twarz Ody

pogodniała coraz bardziej. Bolesław nie spuszczał z niej wzroku. Patrzył, jak zachłannie głaszcze jasne włosy swego syna, jak faluje pierś, do której go tuli, jak we władczym geście unosi się jej podbródek.

I dlatego teraz, idąc na rozkaz ojca nocą przez Wschodni Most, czuł lęk, który starał się rozproszyć twardym rytmem kroków. Raz, dwa. Raz, dwa. Czy na przystani czeka na niego ołtarz? Raz, dwa. Mimowolnie dotknął noża przy pasie. Drugi wsunięty miał w cholewę wysokiego buta. Raz, dwa. Cokolwiek się zdarzy, nie będzie barankiem idącym na rzeź.

ŚWIĘTOSŁAWA podsłuchiwała pod drzwiami. Usłyszała rytmiczne brzęczenie okuć od pasa. Dwóch, może trzech mężczyzn i stuk kobiecych butów.

— Śpi? — Wyniosły głos należał do Ody. Zawtórował mu dźwięczny brzęk zausznic.

Świętosława mogłaby przysiąc, że czuje duszną woń różanego olejku, którym księżna smarowała skronie.

— Wedle życzenia najjaśniejszej pani — odpowiedziała Juta, służąca, która przed chwilą czesała jej włosy. — Śpi i nie obudzi się prędko.

Świętosława zacisnęła zęby. Dwie suki, nie jedna — policzyła w myślach.

— Gut. Jest sama?

— Tak. To znaczy jest z nią tylko Dusza, ta niedojda.

— Gut. Ty też idź spać — powiedziała Oda i stuk jej butów oddalił się wraz z wtórującym mu metalicznym dźwiękiem książęcej obstawy.

Za drzwiami zaległa cisza. Świętosława odwróciła się i spojrzała w siwe oczy dziewczyny. Nie wyrażały nic. Zwinnym ruchem wspięła się na stojącą pod ścianą ławę i podciągnęła, by sięgnąć do wysoko posadowionego okna. Pchnęła drewnianą okiennicę. Do komnaty wpadł

mroźny powiew. W mroku nocy zobaczyła dwuszereg pochodni sunących ku lądowi przez Wschodni Most.

Raz, dwa… — liczyła w myślach — …dziewięć, dziesięć… Ojciec wyprowadza z Ostrowa drużynę. W noc przed Godami? — Serce zabiło jej mocniej. — Może to już? Po cóż innego drużyna wychodziłaby nocą z warowni, jak nie po ważnego gościa?

Zeskoczyła z ławy. Zapomniała zamknąć okiennicę, więc Dusza, nie pytając, wspięła się i zrobiła to za swą panią.

Gościa — myślała gorączkowo Świętosława. — Najważniejszego. Tego, którego imię wciąż trzymają przede mną w tajemnicy…

— Chodź, Dusza — zakomenderowała szeptem. — Zdejmij suknię. Dziś się zamienimy. Wiedziałam, że ta… — Świętosława pomyślała „suka”, ale zamiast tego wypluła: — Juta! Jest na usługach księżnej. Prosiłam ojca, żeby pozwolił mi samej decydować o służbie, a on nie. „Moja żona”. Tak, mówię mu, to twoja żona, ale nie moja matka! Co było w kubku? — Spojrzała na Duszę.

Dziewczyna stała przed nią w białej, lnianej koszuli. Szczękała z zimna zębami.

— Trucizna? — spytała Świętosława.

Dusza pokręciła głową i podała jej swoją suknię. Świętosława odwróciła się i odgarnęła włosy z pleców. Dziewczyna wprawnym ruchem rozsznurowała swej pani suknię. Pomogła zdjąć i ubrała ją we własną, z szorstkiej, prosto tkanej wełny.

— Więc nie trucizna? — powtórzyła Świętosława i z trudem wzięła oddech. — Za ciasna. Piersi rosną ci wolniej.

Dotknęła własnych, płasko ściśniętych tkaniną.

— A może moje rosną za szybko, odkąd ojciec tyle mówi o ślubie? O moim ślubie z nie wiadomo kim!

Wyciągnęła rękę po płaszcz Duszy. Dziewczyna podała jej jeszcze swój kaptur.

— Każę ci uszyć nowe, większe. Takie, żeby pasowały na mnie. Tylko wiesz, tajemnica. — Puściła oko do dziewczyny, naciągając jej kaptur na głowę. — Wyglądam jak przyzwoita służka? Taka, co nocą musi w pilnych sprawach biec przez most? — Okręciła się ze śmiechem.

Dusza wpatrywała się w księżniczkę, nie odpowiadając.

— No już, wskakuj do łóżka i nakryj się. Śpij, moja Duszko! — szepnęła Świętosława. — Tej nocy ty jesteś księżniczką piastowską. Tylko nie licz na słodkie sny.

Zamknęła za sobą drzwi i w nasuniętym na głowę kapturze śmiało szła przez wąskie korytarze palatium. Nie pierwszy to raz! Ucieczka, przebranie, drobny podstęp. Wszystko, byleby dowiedzieć się więcej. „Kiedy przyjadą posłowie?” — nieraz pytała ojca, a on się śmiał. „W jakim języku będę mówiła do męża?” — zaskakiwała go pod koniec uczty, gdy głowa mu się chwiała, a on w odpowiedzi wystawiał jej język. Gdy wracał z łowów, dopadała go z pytaniem: „Dokąd pojadę? Na południe, zachód czy wschód?”.

— Wschodni Most… — szepnęła teraz, gdy owiał ją ziąb znad zamarzniętych wód Jeziora Lednickiego. — Mój mąż przybędzie ze wschodu!

Owinęła się szczelniej płaszczem i biegnąc przez most, wypatrywała blasku pochodni. Chciała dowiedzieć się jak najprędzej. Gwarancją którego z sojuszy ojca pana ma być? Kijów? Czyżby Kijów? Książę Mieszko jeszcze nie wypowiedział Rusi wojny, a już planuje pokój? Ach! — przebiegło jej przez myśl. — A może za moją rękę odbierze Grody Czerwieńskie, które książę Wladimir zagarnął zeszłego lata? Cokolwiek ją czeka w te Gody, nie chce być owieczką przeznaczoną na rzeź.

BOLESŁAW czekał na przystani, jak kazał ojciec. Pusty pomost wrzynał się w pokryte lodem jezioro. Przy nim kilka żelaznych uchwytów do pochodni. Na brzegu parę przysypanych śniegiem więcierzy, pewnie rybacy zapomnieli o nich po ostatnich połowach. W głębi szopa na łodzie, przy niej równo poskładane drewno na opał. Pustka. Jedyny ślad ludzkiej obecności to odbicia ich własnych stóp na świeżym śniegu.

Zarad, Bjornar i Jaksa stali przy nim, jak zawsze. Zarad był synem Borzymira, chorążego Mieszka, i Bolesław znał go, odkąd sięgał pamięcią. Nawet mleczne zęby stracili jednocześnie. Jaksę Bolesław poznał w Magdeburgu, gdy jako sześciolatek był zakładnikiem cesarza. „Redarskie szczenię” — warczeli Sasi na małego Jaksę, gdy chrzcili go siłą. Bolesław uparł się, że nie wyjedzie z Magdeburga bez niego, i margrabia Hodo, który szczerze nienawidził małego Redara, podarował Bolesławowi Jaksę, niczym psa. Bjornara zaś wykupił ze skandynawskiej niewoli książę Mieszko, gdy Bolesław wypatrzył go na nabrzeżu wolińskiego portu. Dziesięcioletni Bjornar nosił ciężkie skrzynie jak dorośli mężczyźni, na maszty wspinał się ze zręcznością wiewiórki i był rudy jak ona. Bolesław tak gorąco prosił ojca, aż książę zapłacił za wolność Bjornara, chłopca, który wiedział o sobie tylko tyle, że urodził się na wyspie Bornholm.

Bolesław, Bjornar, Jaksa i Zarad wraz z kilkunastoma synami wojów Mieszka od małego ćwiczyli w młodej drużynie. Walki na drewniane miecze, szycie z łuku do chochoła, jazda konna, zapasy, walka wręcz od rana do zmierzchu. Na tych trzech Bolesław mógł polegać jak na sobie. Byli mu braćmi nie urodzenia i krwi, lecz siniaków, wspólnie wylanego potu, zwichniętych nóg, wybitych nadgarstków, wyłamanych palców. Ojciec trzymał go krótko, na placu ćwiczeń traktował jak każdego innego chłopca. Tylko wymagał od niego więcej. A gdy Bolesław pytał: „Kiedy dostanę własną drużynę?”, Mieszko, zamiast odpowiedzieć, śmiał się

gromko. I póki, jak chłopiec, wciąż potrzebował trzech setek kroków, by przejść Wschodni Most, łudził się, że to tylko kwestia wieku. Ale gdy zrobił to jak mężczyzna, na dwie i pół, bez naciągania, swobodnym marszem, a ojciec znów tylko się śmiał, pomyślał, że za tym śmiechem kryje się coś więcej. Brzuch ciężarnej Ody, z którego wkrótce miał wyjść drugi syn? Następny po tym, któremu Mieszko darował swoje imię. Od tej pory żadna z nocy nie jest dla niego tylko snem. Czuwa, nie wiedząc, co planuje dla niego ojciec pan. Swymi wątpliwościami nie podzielił się z nikim. Nawet z tą trójką druhów. Jeśli jest im tak bliski jak oni jemu, sami powinni wiedzieć. A jeśli nie, to i tak nie pomogą mu w niczym.

— Zamarzam — jęknął Zarad — a w ciepłej świetlicy pewnie śliczne służące roznoszą grzane piwo, falując biodrami.

— Zimno ci czy chcesz się napić? — dopytał Bjornar.

— Zaraz tu może być gorąco — szepnął Jaksa i wskazał na most.

Bolesław poczuł przyspieszone bicie serca. W jednej chwili Wschodni Most zadudnił równym marszem i rozjarzył się pochodniami.

— O, do czarta! — syknął Zarad. — Co jest?

— Nie wiem, co jest — odpowiedział spokojnie Jaksa — ale na przodzie idzie książę pan.

— Bolesławie — Bjornar trącił księcia w bok — ty…

Młody książę nie odpowiedział. Ojciec i jego drużynnicy schodzili już z mostu i skręcali ku nim w stronę przystani. Jeszcze kilkanaście kroków i zejdą na brzeg. Bolesław poruszył palcami w zesztywniałych od mrozu rękawicach. Mimowolnie się wyprostował, druhowie za jego plecami też. Ojciec był już przed nimi. Ukłonił mu się.

Podnosił głowę powoli. Najpierw zobaczył wysokie, nabijane srebrem buty. Kolczugę sięgającą kolan, miecz przy pasie. Zdobioną pochwę noża. Dłoń w rękawicy zatkniętą za pas. Czerwony książęcy płaszcz podbijany

futrem białych popielic. Ciemną, spiczastą brodę ojca, przeciętą tylko jednym siwym pasmem, wąsy sztywne od mrozu. Oczy zmrużone. I na głowie bojowy, nie paradny hełm.

— Synu — powiedział Mieszko głosem, który mógł znaczyć wszystko, lecz nie wyrażał nic.

Za jego plecami stały dwie dziesiątki uzbrojonych wojów. Nie dwunastu. Dwie dziesiątki.

— Ojcze — odparł Bolesław, walcząc z głosem, by ten się nie rwał. — Jestem, jak chciałeś.

Drużynnicy ojca weszli na pomost, wsadzili pochodnie w uchwyty i zostali na miejscu. Zrozumiał, że on i jego trzej druhowie są otoczeni. Patrzył ojcu prosto w oczy.

— Rozpalcie ogień! — wydał rozkaz Mieszko.

Bolesław pomyślał, że Abraham kazał Izaakowi taszczyć drewno na górę Moria i własnymi rękami ustawiać ofiarny stos. Pożałował tej myśli, widząc, że Mieszko uśmiechnął się twardo, gdy mówił:

— Albo nie. Niech mój syn i jego druhowie sami rozpalą.

Bolesław ruszył przed siebie. Mijając ojca, patrzył mu w oczy do ostatniej chwili. Nie odwracał się, słyszał za sobą kroki Bjornara, Jaksy, Zarada. Szedł ku szopie na łodzie, tam gdzie leżało równo poskładane drewno. Patrzył na nagie pnie rzadkiego lasu za szopą. Mógłby… Nie, nie mógłby. Ucieczka nie wchodzi w grę. Jest pierworodnym synem, księciem, a nie tchórzem, który czmycha w mrok.

Gdy schylał się po drewno, wsunął rękę do cholewy buta. Nóż był na swoim miejscu. Ojciec jest od niego silniejszy, ale na pewno nie jest szybszy. Druhowie dali mu znać, że widzą. Zarad dotknął palcem swojej cholewy.

Nie jestem sam — pomyślał Bolesław — jeszcze przez chwilę nie jestem sam.

Ułożyli ognisko. Przykucnęli we czterech, by je rozpalić. Bjornar wyjął z drżącej ręki Bolesława krzesiwo tak zręcznie, że Mieszko nie mógł tego widzieć. Skrzesał iskry szybko i płomień już pełgał po wysuszonym drewnie.

— Synu! — zawołał Mieszko. — Podejdź do mnie.

Poszedł, na siłę prostując plecy, by ojciec nie wyczuł miękkości kolan.

— Dzisiaj ostatnia z długich nocy — powiedział Mieszko.

— Jutro Boże Narodzenie — odpowiedział Bolesław, nie mając pewności, czy będzie jakieś jutro.

— Jesteś gotów? — Mieszko przerwał mu natarczywie.

— Na co? — spytał Bolesław zaczepnie. Dość miał tej gry.

Ojciec zaśmiał się nerwowo i zdjął rękawice.

— Na spotkanie z zimnem! — Sięgnął do zapinki płaszcza i jednym ruchem odrzucił go na śnieg. — Na co czekasz? Rozbieraj się, młody książę!

Z zimnem? — myślał gorączkowo Bolesław, zdejmując swoje rękawice i płaszcz. — Nie z ogniem?

Ojciec zrzucał ubranie zręcznie, jakby rozbieranie się przed wojskiem w mroźną, zimową noc było czymś oczywistym. Bolesław marznącymi palcami ściągnął buty. Złowił przerażone spojrzenie Zarada. Było za późno. Nóż ukryty w cholewie leżał razem z butem na śniegu. Zsunął spodnie, odrzucił je w bok, wyprostował się i spojrzał przed siebie. Mieszko stał przed nim zupełnie nagi. Długie, gęste włosy spadały mu na ramiona. Na muskularnej piersi ojca lśnił wiszący na łańcuchu złoty równoramienny krzyż. Ojciec pan w dłoni trzymał topór. Bolesławowi zaschło w gardle. Księżyc obniżył się już na nieboskłonie i stał teraz niczym srebrna bojowa

tarcza wprost za plecami ojca. W mroźnym nocnym powietrzu skóra Mieszka parowała.

— Chodź za mną, synu. — Książę dotknął jego nagiego ramienia i to dotknięcie go oparzyło. Ojciec wstąpił na lód jeziora. Odwrócił się do niego i zapytał: — Gdzie kończy się mielizna?

— Tam. — Bolesław wskazał odruchowo, przywykły do posłuchu. Usłyszał swój głos i przez głowę przemknęło mu, że brzmi chropawo. Miał w głowie tylko jedną myśl: ojciec ma topór, ja nie mam nic.

— Masz. — Mieszko zatrzymał się w tym miejscu, gdzie woda powinna sięgać barków dorosłego mężczyzny, i podał mu swój topór. — Kuj lód.

Chce mnie utopić? — myślał Bolesław, uderzając ojcowskim toporem w taflę. — Po co sam się rozebrał? Po co wziął ze sobą świadków? Cała drużyna patrzy…

— Uważaj — cicho powiedział Mieszko. — Słuchaj, jak pęka, żeby nie wciągnęło nas pod wodę.

W tej samej chwili do ich uszu dobiegł głuchy trzask i w szczelinie na powierzchni lodu pojawiły się pęcherze wody.

— Wykuj przerębel — nakazał ojciec.

Bolesław uderzył raz, drugi. Odrzucał kawały lodu. Woda połyskiwała, odbijając srebrną tarczę księżyca.

— Ostrożnie! — syknął ojciec. — Nie uszkodź tafli wokół przerębla, bo nie będziemy mieli jak wrócić.

— Wrócić? — Bolesław uniósł głowę i spojrzał na Mieszka.

— Książę i jego pierworodny — odpowiedział Mieszko, śmiejąc się. — Przyszłość dynastii nie może chybotać się na niepewnym lodzie. Daj topór, wystarczy.

Bolesław się wyprostował i podał ojcu broń.

— Jesteś ode mnie wyższy — powiedział Mieszko, mierząc go wzrokiem, i przez chwilę wydawało się Bolesławowi, że słyszy w jego głosie dumę. — Wchodzimy do wody!

Ojciec odłożył broń na lód i wskoczył pierwszy. Zanurzył się wraz z głową na chwilę krótszą niż oddech, a wynurzając się, parsknął i krzyknął:

— Na co czekasz?!

Bolesław przykucnął, oparł się o krawędź lodu i wsunął do wody, zamykając oczy. Przeszyło go zimno tak ostre, że na moment stracił oddech. Woda przykryła mu głowę. I wtedy poczuł, jak dłonie ojca łapią go w pasie i wyciągają ponad powierzchnię. Wynurzył się, z trudem łapiąc powietrze.

— Masz grunt? — zapytał ojciec. — Możesz stanąć?

— Nie!… — parsknął wodą, która wpadła mu do nosa i ust. — A ty?

— Jestem od ciebie niższy! — Ojciec chlapnął mu wodą w twarz, jakby to była zabawa. — Musimy się ruszać, bo zamarzniemy. — Oczy Mieszka się śmiały, a na jego ciemnych wąsach osiadał szron.

Obaj raz po raz zachłystywali się.

— Zimno jak diabli, ale wierz mi, synu, kiedy mnie ojciec dawał drużynę, panował większy mróz! — Usta Mieszka były sine. Odchylił głowę i krzyknął w noc: — Drzewa pękały!…

— Drużynę? — wykrztusił Bolesław i miał wrażenie, że głos zamarza mu w gardle.

— Tak! Jutro Gody! Mam dla ciebie prezent i chciałem sprawdzić, czy jesteś gotów go wziąć. Wyskakuj, wystarczy! No, co ci? Zamarzłeś?

— Nie — odparł Bolesław i podciągnął się na lód. Tafla chrupnęła pod jego ciężarem. — Łamie się! — krzyknął do ojca.

— Nie — trzeźwo powiedział Mieszko, podciągając się powoli. — Na razie tylko pęka…

Mieszko nie zdążył dokończyć, bo lód, na który usiłował wyjść, oderwał się od tafli i ojciec z powrotem znalazł się pod wodą. Bolesław błyskawicznie złapał topór leżący na skraju przerębla. Położył się na lodzie i wsunął go do wody. Ojciec już się wynurzał, złapał topór, z trudem chwytając oddech. To trwało mniej niż uderzenie serca. Patrzyli sobie w oczy, ojciec i syn. Źrenica odbita w źrenicy, między nimi ostrze topora, które mogło dać życie lub śmierć. Siny odblask księżyca na ich sinych ustach.

— Wyciągam cię! — syknął Bolesław i łagodnie, ale z całych sił pociągnął za topór.

Mieszko był silny jak niedźwiedź. Po chwili zwinięty klęczał na lodzie. Bolesław podał mu rękę. Ojciec wstał i wyciągnął drugą po topór.

— Nie, nie puszczaj go — rozkazał Bolesławowi. — Chwyć za stylisko. W górę, na raz!

Unieśli go razem, a drużyna zgromadzona na brzegu odpowiedziała radosnym krzykiem i biciem w tarcze.

— A teraz idziemy.

Odwrócili się do brzegu i ruszyli. Pod stopami słyszeli trzask.

— Wyprostuj się. Musimy iść pewnie — powiedział cicho Mieszko, nie odwracając głowy — tak jakby nie pękał pod nami lód. Zapamiętaj, synu, możesz być księciem, a nawet królem, lecz jeśli twoi wojownicy nie będą cię podziwiali, nigdy nie zostaniesz wodzem. Każdy z bogów mego ojca był siłaczem. Perun, Trzygłów, czarny Weles, jasny Swaróg, każdy z nich. Moi wojowie ochrzczeni. Wierzą w Chrysta, jak ja. Ale ich słowiańskie dusze pragną ubóstwienia siły i jeśli chcesz być wodzem ich dusz, musisz im to dać.

— To nie jest bluźnierstwo? — wykrztusił Bolesław, stawiając na lodzie kolejny krok.

— Nie. To codzienność władców.

— Ojcze, mogliśmy nie wyjść cało z tego przeręblа. By zaimponować własnym ludziom, narażamy życie?

— Tak — odpowiedział Mieszko. — Dzięki temu nie będą się wahać, oddając za nas własne.

ŚWIĘTOSŁAWA stała skryta za szopą na łodzie. Zorientowała się, że drużyna nie wyszła, by przywitać gości, gdy tylko zobaczyła ognisko, a potem brata i ojca kąpiących się w przeręblu.

Psiakrew! — zaklęła w duchu, bo zrozumiała, że nie dla niej ten nocny pochód. Nie zamierzała jednak ruszać się stąd ani na krok. Skoro mogła zobaczyć coś, co miało być przed nią ukryte, za nic w świecie nie dałaby sobie tego odebrać. Sylwetki mężczyzn wychodzących z zamarzniętego jeziora przesłonił jej mur z pleców drużynników ojca. Skandowali:

— Miesz-ko pan! Miesz-ko pan!

Wiedziała, że są bez ubrań, bo gdy byli w przeręblu, zobaczyła nagie plecy brata. Co tutaj robią? Dlaczego w mroźną noc rozebrali się i weszli do wody? Czy to jakiś męski obrzęd? Czy to aby nie grzech? Serce biło jej szybko. Zapomniała, że jeszcze chwilę temu biło tak, bo spodziewała się usłyszeć imię przyszłego męża.

Ojciec i brat już pewnie wyszli na brzeg, bo wojownicy skandowali ich imiona na przemian. Otoczyli kręgiem ognisko i uderzając o tarcze czynili taki zgiełk, jakby chcieli obudzić wszystkich świętych w niebie. Czy na pewno w niebie? — przemknęło jej przez głowę, bo to, co widziała, nie wyglądało zbyt pobożnie. Było raczej jak…

— Co ty tutaj robisz? — usłyszała za plecami zimny głos księżnej Ody. — To nie jest przeznaczone dla twoich oczu, księżniczko!

Świętosława odwróciła się gwałtownie i odparowała:

— Ani dla twoich, księżno, skoro obie stoimy w krzakach.

Za plecami księżnej Świętosława zobaczyła trzech zbrojnych ludzi z jej obstawy. Oda wydęła usta i prychnęła:

— Wyjdziesz sama zza szopy czy mam kazać cię wyprowadzić?

— Rozkazywać możesz Jucie albo innym swoim służkom, ale nie mnie! — Świętosława zawrzała jak zbyt długo warzone piwo. Ulało się z niej wszystko, czego nie mówiła, odkąd Oda pojawiła się na piastowskim dworze. Od niemal trzech lat. — Jesteś tylko margrabianką, pani! Nie płynie w twych żyłach książęca krew! Ojciec poślubił cię, bo byłaś mu potrzebna, a jak przestaniesz być, to cię odeśle do tego samego klasztoru, z którego cię wyciągnęli! Mój ojciec miał tylko jedną ukochaną żonę i była nią moja matka, Dobrawa. Rozumiesz? Moja matka! Wiesz, ile miał przed nią? Siedem! Odprawił je wszystkie, jak tylko Dobrawa przybyła do Gniezna. Po tobie może mieć siedem kolejnych i może je odprawić jak tamte wcześniej! Pamiętaj o tym, Odo von Haldensleben! Prawda nie jest miła, ale łatwiej z nią żyć!

Świętosława krzyczała, a twarz Ody zamieniała się w sopel lodu. Nie wyrażała nic.

— Nie panujesz nad sobą, córko Mieszka — powiedziała księżna, gdy Świętosława wreszcie zamilkła. — Nie panujesz nad słowami, które wypowiadasz. To znak, że wciąż nie jesteś gotowa, by ojciec wypuścił cię w świat. — Odwróciła się do towarzyszących jej ludzi i dodała lekceważąco: — Pomóżcie pannie wyjść z tych zarośli.

Sama, nie oglądając się na Świętosławę, ruszyła wprost ku płonącemu na przystani ognisku.

— Nie dotykaj mnie! — warknęła Świętosława do zbrojnego, który wyciągnął ku niej ramię.

Cofnął je jak oparzony.

— Sługa saskiej suki — niemal bezgłośnie syknęła do niego, wychodząc zza szopy.

Usłyszał, bo zobaczyła, jak na jego twarz wypływa rumieniec.

Dobrze. Wstydź się — pomyślała mściwie. — Mnie powinieneś służyć, nie jej!

Jakiś suchy badyl przyczepił się do jej sukni i trzymał za kraj. Szarpnęła. Usłyszała trzask dartej wełny. Oda już była przy ognisku. Drużynnicy ojca rozstąpili się i ukłonili księżnej.

Nie mogę biec jak dziecko — nakazała sobie Świętosława i tylko wydłużyła krok, nic nie robiąc sobie z podartej sukni.

Mieszko i Bolesław byli już ubrani. Tylko mokre włosy wymykające się spod książęcych kołpaków świadczyły o tym, że chwilę wcześniej zanurzyli się w lodowatej wodzie. Złowiła zaskoczone spojrzenie brata.

— Moja żona i córka — powiedział Mieszko, i nie było to powitanie.

— Wybacz, panie. — Oda skłoniła mu się lekko. — Nie powinno nas tu być…

— Prawda — twardo odrzekł Mieszko.

— …lecz powierzyłeś mej pieczy swą córkę, a twoje słowo jest dla mnie rozkazem. Nie mogłam zostawić jej samej, skoro powzięła zamiar potajemnego wymknięcia się nocą z palatium…

A to dziwka! — zaklęła w duchu Świętosława.

— Co tu robisz, Świętosławo? — spytał Mieszko i obrzucił uważnym wzrokiem jej strój.

— Podglądam was — odpowiedziała głośno, patrząc ojcu prosto w oczy.

— I co widziałaś? — Zmarszczył brwi.

— Plecy twoich wojów są tak szerokie, że widziałam tylko ich. — Uniosła rękę i wskazując kolejno, wyliczała: — Czcibór, Bogowit,

Siemir, Czabor, Świelub… — ci, których imiona wymieniała, skłaniali przed nią głowę — …Czedrog, Derwan, Dalebor…

Dalebor uśmiechnął się do niej promiennie. Świętosława liczyła dalej, na jednym tchu:

— …Gardomir, Kalmir, Jaromił, Tasław, Miłosz, Warcisław, Lutom, Mścibor, Ostrowod, Radomir, Unimir…

Na końcu skierowała palec w pierś ostatniego z obecnych, pokręciła głową i powiedziała niemal oskarżycielsko:

— Tego nie znam!

Wytknięty był bardzo młody jak na drużynników ojca. Patrzył na nią z ukosa.

— To Wilkomir — powiedział Mieszko.

— Ach tak! — westchnęła, udając zaskoczoną. — Myślałam, że Krzywooki.

Wilkomir spojrzał na nią dziko. Kilkunastu wojowników się zaśmiało. Mieszko też. Świętosława poczuła się pewnie. Wystawiła trzy palce, jednocześnie wskazując w lewo.

— Tam stoją jeszcze Bjornar, Jaksa i Zarad. I oczywiście dwaj mężczyźni mego życia — ukłoniła się z promiennym uśmiechem — mój ojciec i brat…

— Starczy, córko. Widziałaś wszystkich, choć mylisz się, mówiąc, iż to moi wojowie. Od dzisiejszej nocy to drużynnicy twego brata.

Ach, więc o to chodziło! — pomyślała szybko, lecz odezwała się niewinnie jak dziecko:

— Wszyscy? Ojcze, oddałeś Bolesławowi wszystkich?

— Czas już na ciebie, dziecko — przerwał jej ojciec. — I na ciebie, księżno — skłonił się Odzie. — Dziękuję, że upilnowałaś naszą… —

przerwał na chwilę, szukając słowa — najdroższą córkę. Oczekuję, iż udacie się na spoczynek.

— Jak sobie życzysz, książę — pokornie odpowiedziała Oda i łagodnie ujęła Świętosławę za łokieć.

Gdy stały się niewidoczne dla mężczyzn, za pierwszą linią wznoszących się w stronę Wschodniego Mostu drzew, Oda puściła ją i powiedziała zimno:

— Tak jak sądziłam. Wciąż nie jesteś gotowa. Lecz jeśli chcesz zobaczyć, do czego gotów jest twój ojciec, przyjdź w noc po polowaniu.

— Dokąd? — gwałtownie dopytała Świętosława.

Oda nie odpowiedziała. Pobłażliwie wzruszyła ramionami.

BOLESŁAW chciał być sam. Chciał jechać konno albo biec przez las i krzyczeć: Mój jest świat! Doznawał radości tak intensywnie, jakby raz po raz trafiał w niego piorun. Zamiast spłonąć na stosie ofiarnym, dostał od ojca drużynę. Drużynę! Stary tur pokazał stadu byków swego następcę! Wspomnienie lodowatej wody, zamiast mrozić, paliło go, rozgrzewało niczym najsłodszy miód. Ten lał się z dzbanów do kielichów, kubków i rogów, które krążyły między ławami podczas uczty.

Nastąpił czas Szczodrych Godów, świętowania narodzin Bożego Syna, i on sam czuł się jak ten Syn. Jakby ostatniej nocy narodził się na nowo. Znów pierworodny i tym razem jedyny. Mieszko w jego oczach był wojennym bogiem ojcem, a złoty krzyż na jego piersi, jak tamtej mroźnej nocy, kołysał się we wspomnieniach Bolesława na poły pogańsko, prawie bluźnierczo. Ale nic to! Wspomnienie lodowego przeręblа było niemal święte, więc nie spowiadał się z porównania ojca do Boga Ojca.

Wszystko smakowało mocniej, głębiej, wyraźniej, jakby jego uśpione wcześniej zmysły się otworzyły. Serce biło mu przyspieszonym rytmem dzień i noc, krew w żyłach krążyła szybciej i szybciej.

W drugi dzień świąt ruszyli na łowy. Przed wyjazdem dwór zebrał się na dziedzińcu przed lednickim palatium. Kapelan książęcy błogosławił im. Oda z małym Mieszkiem przy piersi wydawała się łagodna i czuła niczym matka.

— Uważajcie na siebie! — Znaczyła ich krzyżem. — Dobrych łowów!

Ten dzieciak na jej ręku już nie psuł mu krwi, mógłby go uznać nawet za pociesznego i niezdarnego jak szczeniak ulubionej suki.

Świętosława na rozpuszczonych włosach, jasnych i połyskliwych niczym jantar, miała diadem wysadzany perłami. Zagryzała wargi jak zawsze, gdy chciała powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co ma na myśli. Podszedł do niej.

— Jesteś piękna — powiedział, głaszcząc ją po włosach.

— Ty też — odparowała i mógł mieć pewność, że mówi szczerze.

Jego siostra albo nie odzywała się wcale, albo mówiła, co myśli. Teraz stanęła na palcach i szepnęła mu wprost do ucha:

— Oda kazała mi przyjść do siebie w noc po łowach.

— Po co?

— Powiedziała, że przekonam się, do czego zdolny jest ojciec.

— Harda jesteś, siostro! — pochwalił ją i pogłaskał po lśniących włosach. — Tam, na przystani, nie dałaś się Odzie. Ale nie idź do niej sama. Poczekaj na mnie.

Wspięła się na palce i kładąc mu rękę na ramieniu, przyciągnęła do siebie.

— A gdybyś nie wrócił? — jej ciepły szept dotknął jego ucha.

Podniósł ją do góry i pocałował prosto w usta.

— Mógłbym cię ugryźć w ten niewyparzony język, Harda! — Zaśmiał się Świętosławie w twarz.

Ona roześmiała się w odpowiedzi i ta bliskość siostry speszyła go nagle. Postawił ją na ziemię.

— Wrócę — obiecał.

— Przecież wiem!

Rogi zabrzmiały na odjazd.

Galop, wiatr w twarz, w południe mokry śnieg, mroźne powietrze wbijające się w nozdrza — wszystko to wywiało z niego wspomnienie dreszczy jej szeptu przenikających od ucha do trzewi. Otrząsnął się z nich i tropił zwierzynę. Świąteczne łowy! Nie ciągnęły go stada saren, szukał tego, co zimą trudno jest znaleźć: wielkich, królewskich jeleni. Podzielili się na dwie grupy, Mieszko ze swoją drużyną i łowczymi, a on ze swoją. Bjornar, Zarad i Jaksa tuż przy nim. Wilkomir i Dalebor byli świetnymi tropicielami. Lutom bezbłędnie wypłaszał młode byki z kniei. Ale Bolesław szukał czegoś więcej.

— Dalebor! — krzyknął Bolesław. — Umiesz wyciągnąć starego byka z gęstwiny?

Tropili go dwa dni. Znajdowali olbrzymie ślady jego racic na śniegu. Za każdym razem to jeleń usłyszał ich pierwszy. Ale zobaczyli go dopiero, gdy dotarli na pokot. Królewski stary byk z największym wieńcem, jaki Bolesław widział w życiu. Jego ciemnobrunatna, niemal czarna sierść układała się w dostojną, długą grzywę wokół szyi. Oczywiście ubił go Mieszko. Szedł wzdłuż pokotu z jastrzębiem na ramieniu.

— Łatwo nie było. — Przeciągnął się i podniósł do ust róg z miodem. Jastrząb na jego ramieniu skrzeknął i uderzył skrzydłami.

A Mieszko przyklęknął przy jeleniu i długo patrzył w zaciągnięte mgłą oczy. Wsunął mu w pysk gałązkę i powiedział:

— Ostatni kęs, przyjacielu.

Lutom, który dla niego płoszył tego byka, Wilkomir i Dalebor, którzy go tropili. Derwan, Czcibór, Tasław, Miłosz, Warcisław, Mścibor, Ostrowod, co gonili za nim przy Bolesławie dwa dni, żaden z dawnych wojów ojca nie odezwał się ani słowem. Żaden przed księciem nie pisnął, że na trofeum, które zdobył Mieszko, polował jego syn.

Na polanie płonęło ognisko, na ruszcie skwierczała sarna, słudzy roznosili miód. Drużyny znów się wymieszały, łowczy przepijali do wojów. Bolesław trzymał się na uboczu, z Jaksą. Wpatrywał się w martwe ślepia jelenia. Zdobycz ojca. Podszedł do nich Dalebor z dzbanem. Bolesław podsunął mu swój róg. Dalebor mógł być od niego starszy o dziesięć lat, nie więcej.

— Młody byk, póki jest cielakiem, trzyma się chmary — odezwał się Dalebor, gdy Bolesław upił łyk miodu. — Jak jest już chłystem i przychodzi czas rykowiska, a to wciąż nie jego czas, łazi wokół stada i patrzy, jak dojrzały byk pokrywa swoje łanie. Gdy byk o nie walczy, chłyst zmyka i wraca dopiero, jak jest bezpiecznie. W kolejnym roku próbuje sam dobrać się do łań. Zwykle bez skutku. Byk odpędza go bez trudu. Ryknie raz i dwa, a jak młody jest natrętny, stary użyje poroża. — Dalebor zaśmiał się gardłowo i kontynuował: — Wyrzucone ze stada chłysty łączą się we własne chmary. I gdy skończą czwarty, piąty rok, w czas rykowiska coraz śmielej podchodzą do łań. Zaczynają od skubnięcia jednej na boku. Jak się uda, poczynają sobie śmielej. Aż wreszcie najsilniejszy z nich pokona starego byka i zajmie jego miejsce.

— Co się dzieje z jego towarzyszami? — spytał Bolesław. — Z tą chmarą młodych?

— Rozpierzcha się. — Dalebor wzruszył ramionami. — Każdy byk chce mieć własne stado.

Czy drużyna, którą dał mi ojciec, jest jeszcze jego stadem czy już moim? — myślał gorączkowo Bolesław, gdy wracali na Ostrów Lednicki.

Nim wjechali na Wschodni Most, Mieszko zatrzymał drużyny. Przywołał Bolesława do siebie i wjechali razem. Bok w bok. Na bramie wartownicy dęli w rogi. Pochodnie. Na dziedzińcu zgiełk. Muzykanci. Żelazne kosze z płonącym drewnem. Świeżo wysypany piachem śnieg. Okrzyki na zmianę:

— Miesz-ko! Bo-le-sław!

Książęcy kapelan intonował psalm, ale ten ginął we wrzawie. Dziewczęta i kobiety piszczały, wypatrując swoich mężczyzn. Oda wyszła przywitać męża, ale książę nie zsiadał z konia, póki na podwórzec nie wjechał ostatni wóz z upolowaną zwierzyną. Wtedy uniósł w górę ramię i krzyknął:

— Pobłogosławił nam Bóg! Darzbór!

Jastrząb na jego ramieniu wyciągnął szyję i wstrząsnął łbem.

— Darzbór! — odkrzyknął Bolesław, a za nim obie drużyny.

Równo z ojcem zsiadł z konia. Zobaczył siostrę, która wyprzedziła Odę w wyścigu do ojca. Usłyszał, jak zarzucając mu ręce na szyję, pyta:

— Jakiego języka powinnam się nauczyć, nim wyjdę za mąż?

— Wystarczy, że opanujesz trzymanie go za zębami — odpowiedział jej, ale Świętosławy już przy Mieszku nie było.

Mówi, co chce, i słucha tylko tego, co chce usłyszeć — zdążył pomyśleć, gdy w uchu zaszemrał mu jej szept:

— Pamiętasz? „Noc po polowaniu”. To dziś.

ŚWIĘTOSŁAWA wiedziała, dokąd iść. Alkowa Ody jeszcze przed pięcioma laty należała do ich matki, Dobrawy. Po jej śmierci Świętosława spała w łożu matki tak długo, jak długo czuła jej woń. Gdy zapach dobrej księżnej się ulotnił, opuściła jej komnatę. Rok później ojciec tak dał się we znaki cesarzowi, że ten zmuszony bezzwłocznie udać się do dalekiej Italii,

zabiegał o pokój na wschodniej granicy. I aby udobruchać Mieszka, wyciągnął z klasztoru w Kalbe wyświęconą już mniszkę, jedną z córek margrabiego von Haldensleben, Odę. Piastowie skoligacili się dzięki niej z wysokimi rodami Rzeszy, a ojciec w prezencie ślubnym wypuścił dziesięć setek saskich jeńców i dał spokój wojnom na zachodzie. Wszyscy wiedzą, że nie na długo. Świętosława pielęgnowała w sobie przekonanie, że lada dzień Mieszko zbierze siły i uderzy, a wtedy skończy się czas Ody.

— Tędy — pokazała Bolesławowi, jak mają iść.

Do alkowy przylegał szeroki, pięknie wymurowany szyb, którym ojciec planował odprowadzać dym z komnat. Niestety, niechcący w gniewie zabił sprowadzonego z Karyntii mistrza budowlanego, który miał to zrobić, i szyb od lat stał pusty, a w komnatach panował chłód. Do szybu można było wejść przez drewniane, nie większe od okiennicy drzwiczki, a Świętosława wiedziała gdzie.

— Właź — szepnęła do Bolesława. — W murze są stalowe kolce, po których można zejść. No co? — Zdumiał ją zaskoczony wyraz twarzy brata. — Chyba nie sądziłeś, że wejdziemy do alkowy, powiemy „dobry wieczór”, usiądziemy pod ścianą i dowiemy się, w czym rzecz? Dobrze. Ja zejdę pierwsza.

Podwinęła suknię, by jej nie przeszkadzała, i zanurzyła się w czeluści nieużywanego komina. Zręcznie schodziła po wąskich prętach. Gdy zapadła całkowita ciemność, wiedziała, że zszedł i on.

Stali jedno obok drugiego w gardzieli szybu. Patrzyli na alkowę księżnej z góry przez wąską szparę w murze. Słyszeli każde słowo.

Oda czekała na Mieszka. Musiało być jej zimno, bo owinęła się futrem. Służka czesała jej długie włosy. Potem zdjęła swej pani z palców klejnoty. Oda ją odprawiła. Gdy została sama, z powrotem włożyła pierścienie. Wstała i podeszła do niewielkiej skrzynki. Przez chwilę przebierała

w złotych łańcuchach. Wybrała jeden i włożyła na szyję. Mocniej otuliła się futrem. Wszedł Mieszko, na jego ramieniu wciąż siedział jastrząb. Oda wyciągnęła ramiona.

— Ulubiony ptak mego księcia — powiedziała głosem, jakiego Świętosława nigdy u niej nie słyszała. Ściszonym, gardłowym.

Mieszko przesadził jastrzębia na pusty uchwyt pochodni, zrzucił płaszcz i podszedł do niej, mówiąc:

— Leciał z polowania do ciepłego gniazda…

Chwycił Odę za ramiona i przyciągnął do siebie. Ona wymknęła mu się ze śmiechem.

— Więc przyleciał tylko, by odpocząć? O nie, mój panie! W moim gnieździe się nie śpi!

Ojciec rozpiął pas i Świętosława przez jedną chwilę miała nadzieję, że uderzy nim znienawidzoną Odę. Wstrzymała oddech. Nie. Łudziła się. Mieszko rozebrał się sam i stał nagi przed Odą wciąż skrytą pod futrem. Przemknęło jej przez głowę, że nie powinna patrzeć, ale nie było wyjścia. Póki nie zasną, ona i Bolesław nie mogą się stąd ruszyć, bo szmer w kominie może zwrócić uwagę.

Ojciec położył się i spytał:

— Mam cię prosić?

Oda obeszła łoże lekkim, niemal tanecznym krokiem. Stanęła w jego nogach i rozchyliła futro.

— Proszę — jęknął Mieszko.

Boże, o co on ją prosi? — pomyślała gorączkowo Świętosława. — Gdzie to, co miałam usłyszeć?

— Odo, nie szczuj mnie, tylko daj mi to, na co czekam… — Głos ojca, który zawsze brzmiał władczo, nagle stał się miękki.

Księżna śmiała się cicho i przeciągle. Odchylała głowę to do tyłu, to w bok. Włosy rozsypywały jej się po okrytych futrem plecach. Nagle odwróciła się od łoża i podeszła do niewielkiej ławy stojącej tuż pod szczeliną, przez którą patrzyli. Sięgnęła po dzban i kubek.

Świętosława spojrzała na brata. W mroku szybu widziała tylko jego oczy, nos i usta. Były rozchylone.

Czy Oda wie, że tu jesteśmy? Czy tego się spodziewała? Czy myśli, że podsłuchuję pod drzwiami? Bzdura. Pod drzwiami czuwa służba.

— Wina? — melodyjnie spytała Oda tuż pod nimi. — Złote reńskie…

— Nie chcę wina! Chcę ciebie.

— Jak bardzo? — Przekrzywiła głowę, stawiając dzban przy łożu. Napiła się sama.

— Pragnę cię jak nikogo na świecie — jęknął Mieszko.

Świętosława wpiła się w dłoń brata palcami. Spojrzała na niego. Tak, w jego oczach też lśniła wściekłość. Jak ojciec może tak mówić! A ich matka?…

Oda podała mu swój kubek, a on pił z niego chciwie. Ona powolnym, leniwym ruchem zsuwała z ramion futro. Mieszko zakrztusił się i rzucił kubkiem w kąt.

Otruła go! — przebiegło przez głowę Świętosławy. Uspokoił ją uścisk dłoni Bolesława.

Księżna pod futrem była zupełnie naga, strojna tylko w klejnoty. Wciąż nie weszła do łoża, chodziła wokół niego, łasiła się niczym kotka, a Mieszko wodził za nią wzrokiem i wzdychał.

— Chodź, proszę…

Nie wierzyła, że ojciec może tak prosić.

Oda jednym zwinnym ruchem znalazła się w łożu. Usiadła na Mieszku. Ojciec jęknął:

— Proszę…

Zaczęła poruszać biodrami rytmicznie w górę i w dół. Świętosława usłyszała przyspieszony oddech brata. Pochylił się do jej ucha i szepnął:

— Zamknij oczy.

— Nie — odpowiedziała mu równie cicho. — Nie.

— Nie powinnaś…

— A ty powinieneś? — Położyła mu palec na ustach, by zamilkł, a on ugryzł ją w ten palec lekko.

Oda pochyliła się nad ich ojcem i szeptała mu coś do ucha. Mieszko zaśmiał się gardłowo i przewrócił ją na plecy.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — powiedział do Ody i wszedł na nią.

Świętosława poczuła się, jakby dostała od Ody w twarz. Tą białą upierścienioną dłonią. „Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem” — tak powiedziała Oda do ich ojca, gdy Mieszko wypraszał je obie z przystani. Była wtedy wcieleniem pokory. A więc to tak? To ich miłosna gra? Ona rozkazuje w alkowie, a on na dworze?

A ja się ciągle łudziłam, że Oda jest tylko gwarantką spokoju na granicy — rozpaczliwe myśli gnały po głowie Świętosławy. — Niczym więcej. Miałam nadzieję, że ojciec wciąż kocha matkę. Zawsze wspominał jej imię z czcią. Najwyraźniej nieobecne kobiety nie władają sercem mężczyzny. — Czuła, że po jej policzkach płyną łzy.

— Idziemy stąd — szepnął Bolesław i pociągnął ją za rękę.

Wspinał się pierwszy. Ostrożnie odchylił niewielkie drzwi. Sprawdził, czy mogą niezauważeni wyjść. Potem podał jej ramię i pomógł wydostać się z szybu. Nic nie mówiąc, jak na komendę oboje ruszyli w stronę wyjścia z palatium. Owionął ich chłód dziedzińca. Padał mokry, roztapiający się śnieg. Świętosława uniosła twarz do góry. Chciała się schłodzić.

— Nadal tak bardzo pragniesz wyjść za mąż? — spytał po chwili Bolesław.

— Nigdy tego nie chciałam — odrzekła spokojnie.

— Ale wciąż o to pytasz, jakby…

— Jakby co? — natarła na niego ostro, bo wzbudził w niej złość. — Jakbym miała do wyboru jakiś inny los? Odkąd się urodziłam, ojciec mówił tylko o tym! Ruś! Miśnia! Czechy! Węgry! Co jeszcze wymieniał? — Chwyciła go za kaftan na piersiach.

— Marchię.

— O właśnie! Marchię. — Puściła kaftan Bolesława, odpychając go. — Do tego już mnie nie potrzebuje, bo sam się ożenił z córką Marchii! Wiem, jaką rolę mi wyznaczył, i jedyne, co chciałam wiedzieć, to dokąd mnie wyśle. A wiesz dlaczego? Bo wciąż miałam jakąś głupią nadzieję, że pozwoli mi władać tu! Że wywoła wojnę z Rzeszą i ją wygra, ciebie posadzi na cesarskim tronie, a mnie… — Świętosławie zawirowało przed oczami, zrobiło jej się niedobrze.

Bolesław chwycił ją, by nie upadła. Wzięła głęboki oddech i wyswobodziła się z jego uścisku. Dokończyła cicho:

— Ale od dzisiaj wiem, że to terytorium łowieckie opanowała inna samica. I nie ma tu miejsca dla córki.

— Jest go za mało nawet dla syna — odpowiedział poważnie Bolesław. — Ojciec dał mi drużynę, ale nie zamierza podzielić się władzą. Będzie mnie trzymał przy sobie w posłuchu. Będzie patrzył mi na ręce. Ale rządzić chce sam. Świętosławo — przyciągnął ją do siebie gwałtownie i szepnął wprost do ucha: — naszym ojcem jest Mieszko pan!

SVEN tak bardzo nienawidził swego ojca, Haralda, że gdyby stary nie otaczał się dzień i noc zastępem zbrojnych, najpewniej wbiłby mu nóż

w pierś aż po rękojeść. Król, który ma młodego, zdolnego do władzy syna, nie powinien żyć tak długo!

Uczta trwała kolejny dzień. Wielka halla królewskiego dworu w Roskilde grzmiała gwarem i śmiechem setki wojów. Zmęczona służba coraz wolniej krążyła z misami mięsa i dzbanami miodu. Harald rozparty na swym wysokim krześle zdawał się nie mieć dość. Poczerwieniałe, lśniące od tłuszczu policzki wydymał mu gniew. Walił pięścią w ławę i wrzeszczał, aż ślina kapała mu z sinych kłów.

— Jak ci miejsca w Danii mało, płyń na wiking! Sam sobie zdobądź ziemię, bo póki żyję, ta jest moja! Moooja!…

Sven stał u szczytu ławy i krew napływała mu do twarzy.

— Co?! Żal ci?! — darł się pijany Harald. — Słyszycie?! Memu synowi żaaal! Nie chce opuszczać domu!

Król Harald chwiejnie wstał i Sven przez chwilę myślał, że ojciec się przewróci. Podtrzymały go czyjeś ręce. Stary zaparł się teraz o ławę i zaczepnie uniósł podbródek. Rzadką, siwą brodę miał uwalaną tłuszczem.

— Jak nie masz dość odwagi, by płynąć w świat, to stul pysk, siedź cicho i rób, co ja każę. A ja mówię, że nie przyłączymy się do buntu Słowian! Nie i już. Niech Wieleci sami walczą z cesarzem, mnie do tego nic!

W gwarnej dotąd halli zaczęło cichnąć. Coraz więcej możnych przysłuchiwało się ich kłótni.

Dobrze — pomyślał Sven, wodząc oczami po ich twarzach. — Usłyszcie każde słowo, które padnie tej nocy.

Wziął wdech, by jego głos zabrzmiał czysto, i powiedział:

— Tobie nic do tego? Chrzest i towarzystwo klechów stępiło ci umysł, ojcze, czy się starzejesz? Ach tak! Przecież i dziesięć lat temu, jak cesarz Otto wydarł ci port Hedeby, wolałeś podkulić ogon pod siebie i milczeć. Oddałeś mu go jak dzieciak miskę silniejszemu, co?

— Milcz! — warknął Harald, aż krople śliny zawirowały w powietrzu. — Nic nie rozumiesz, milcz!

— A co tu jest do rozumienia? — zapytał Sven, rozkładając szeroko ramiona, i zwrócił się w prawo i lewo do słuchających ich możnych. — Ochrzciłeś się i wpuściłeś do Danii biskupów, szpiegów cesarza, pozwoliłeś im chrzcić nas wodą i skapcaniałeś, jakbyś pił ją zamiast miodu!

Oczy ojca się zwęziły. Trzeźwiał, a Svenowi nie zależało na tym, by Harald teraz był trzeźwy. Chciał, by starego poniosło. Nie mógł mu sam podać miodu teraz, w połowie kłótni. Dyskretnie spojrzał na Adlę usługującą ojcu przy uczcie. Stała z dzbanem za plecami Haralda.

— Nie będę nadstawiał karku za Wieletów — wyraźnie odpowiedział ojciec. — Wywołali wojnę, niech w niej giną. Nie nasza to rzecz!

— Oślepłeś na starość — spokojnie powiedział Sven — ale ja wzrok mam dobry. I gdy widzę, że cesarz i jego Sasi zajęci są gaszeniem słowiańskiej pożogi, nie będę im pomagał.

— Ja nie mówię, że chcę pomóc cesarzowi — wycedził stary przez zęby.

— A ja mówię, że chcę być wiatrem, który rozniesie pożar dalej! — zakrzyknął Sven.

— O czym ty mówisz? — Przez twarz Haralda przemknęła jakaś myśl. — Jaki pożar?

— Połabie płonie, ojcze. Wieleci wygnali biskupa z Havelbergu. Jego pałac i kościół puścili z dymem, a na ołtarzu urządzili sobie ucztę!

— Sasi zbiorą wojska i ruszą na nich. — Harald wzruszył ramionami i opadł na ławę obojętnie. — Miodu!

Adla doskoczyła do niego z dzbanem. Sven miał nadzieję, że to jest ten dzban, który dał jej przed ucztą. Dziewczyna polała Haraldowi i spojrzała na Svena. Przymknęła powieki.

— Napiję się za ucieczkę biskupa, a co! Napiję się i za krótki sukces Wieletów, napiję się nie raz! Ha! Ale nim przeminie mój kac, Sasi z powrotem ukorzą ich i unurzają we krwi! — zarechotał Harald i pociągnął z rogu.

Miód ze znaczonego dzbana robił swoje, nawet twardogłowych prędzej czy później zwalał z nóg. Harald pił, a Sven wiedział, że już go ma. Za sobą czuł przyjazny szept przynajmniej trzech z wodzów jego wojsk. Kuł żelazo, póki gorące. Musi tylko utrzymać język za zębami. Powiedzieć tyle, ile trzeba, ani słowa więcej. Odezwał się spokojnie:

— Nie zamierzam tracić okazji, ojcze. Sasi zajęci Wieletami spuścili z oczu naszą Nordalbingię. Tak, mówię „naszą”, bo choć ty pokornie zgodziłeś się, żeby cesarz ją zagarnął, ja wciąż uważam ją za naszą ziemię. I pociągnę tam z wojskiem. Odbiję wielkie Hedeby z saskich rąk! Kto ze mną?! — krzyknął głośniej, patrząc na ojca, który rozparty na wysokim krześle dłubał w zębach.

Harald mętnym okiem spojrzał po zgromadzonych wokół ław gościach. Głowa znów mu się chwiała.

— Synu — machnął ręką lekceważąco — ile ty masz lat, żeby…

— Dwadzieścia trzy, ojcze — głośno oznajmił Sven. — Dwadzieścia trzy! I przysięgam, że nim skończę kolejny rok, Hedeby znów będzie należało do Danów!

— E… — Haraldowi się odbiło. — Eee…

— Założymy się? — szybko powiedział Sven. — Jeśli przegram, obiecuję, że stulę pysk i nigdy więcej nie podważę twojej władzy. Ale jeśli wygram, oddasz mi ją sam! Dobrowolnie pójdziesz na zimowe leże.

Adla zręcznie dolała mu miodu. Róg wiecznie pełen.

Harald łyknął i wzruszył ramionami. Coś zabełkotał. Oczy mu się zamykały.

— Słyszeliście? — zawołał Sven. — Król się zgodził. Kto ze mną do Hedeby? Kto na Sasów? Który z was, wodzowie, chce znów popłynąć pod znakiem Odyna?

W halli zapanowała wrzawa. Hakon z Fionii, Gunar z Limfiordu i Thorgils z Jelling wstali z okrzykiem:

— My i nasze załogi płyniemy z młodym królem!

Sven szedł wzdłuż ław i ściskał im prawice.

— Do łodzi! — zawołał i ruszył ku wyjściu.

Po drodze wcisnął Adli w dłoń srebrną broszę. Zasłużyła. Drzwi dworu w Roskilde otwarto na oścież, bo z halli wypływała rzeka Danów żądnych saskiej krwi.

Harald spał.

Palnatoki czekał na niego przy mniejszej stajni, tej, w której trzymano konie gospodarskie i dla służby. Gdyby nie umówione miejsce i sygnał, Sven by go nie poznał. Jarl Jomsborga, od stóp do głowy spowity prostym, szarym płaszczem, wyglądał jak ubogi wędrowiec. Weszli do środka i domknęli drzwi. Sven uściskał swego wychowawcę. To Palnatoki był dla niego jak ojciec przez te wszystkie lata, gdy Harald robił, co mógł, by nie uznać w nim syna.

— Nie chcę, by mnie tu widziano. — Palnatoki odsunął z czoła skórzany, żeglarski kaptur. — Nawet jeśli dzisiejszego wieczoru połowa wodzów twego ojca poszła za tobą, to druga połowa pozostała mu wierna. Pamiętaj o nich, chłopcze.

Sven się uśmiechnął. Palnatoki był jedynym człowiekiem, który miał prawo mówić do niego „chłopcze”.

— Nie popłyniesz ze mną? — zapytał starego druha.

Ten pokręcił głową.

— Przyjechałem, by udzielić ci rad, ale nie mogę otwarcie stanąć przy tobie. Wracam do Jomsborga. Ktoś ma dla moich żelaznych chłopców zlecenie płacone czystym srebrem, a sam wiesz, że nie mieliśmy go ostatnio w nadmiarze. — Uśmiechnął się krzywo. — Ale przywiozłem ci zelandzkich braci. Chętnie popłyną do Hedeby.

Sven szybko przeszukał pamięć. Zelandzcy bracia?

— Kogo masz na myśli, Palnatoki?

— Synów Strutharalda. Sigvalda i Thorkela. Nie powinieneś narzekać.

— To twoi? Jomswikingowie?

— Jeszcze nie, chłopcze, jeszcze za młodzi. Wyrywni jak ty. Powiedzmy, że się im przyglądam.

— Biorę! — Sven klepnął Palnatokiego w ramię.

Wziąłby każdego, byleby osiągnąć cel.

— Nie wygadałeś się? — spytał po chwili Palnatoki, zapinając sakwę przy siodle.

— Nie. Powiedziałem tylko tyle, ile radziłeś. O spaleniu Havelbergu. Ani słowa o tym, że Wieleci puścili z dymem Brennę. Ani o tym, że margrabia marchii północnej, szlachetny Ditrich jak mu tam?…

— Haldensleben, chłopcze. Wiał, aż się kurzyło. — Palnatoki poprawił popręg.

— Ojciec jest pewien, że Sasi zrobią Wieletom krwawy odwet jeszcze tego lata.

— Dobrze. Niechaj wierzy, to nie ruszy się z Roskilde. — Stary poklepał szyję swego konia i spojrzał na Svena z krzywym uśmiechem. — Więc utrzymałeś język za zębami. To ci się chwali.

— Tak. Ojciec nie wie, że Sasi mają więcej kłopotów niż tylko słowiański, krwawy zryw. Nie ma pojęcia, że cesarz dostał kosztowną lekcję od Saracenów w Italii. Że z trudem zwołuje jakiekolwiek wojska.

— Tak, cesarz robi bokami jak stara kobyła. — Palnatoki pokiwał głową, a potem pogroził mu. — Dzisiaj twój ojciec nie zdaje sobie sprawy, w jak trudnym położeniu są Sasi, ale jutro wytrzeźwieje, pojutrze wysłucha swych zwiadowców i będzie wiedział, w czym rzecz. W twoim interesie jest ubiec każdy jego ruch, pokazać, że jesteś młody, bystry i szybki. Na mnie czas, chłopcze. Na ciebie też, już tam twoje nowe wojsko zbroi łodzie. Musisz ich okiełznać, żeby zgrabnie przepłynąć Wielki Bełt.

— Podzielę siły — powiedział Sven, pilnie patrząc na reakcję Palnatokiego. — Połowę puszczę przez Mały Bełt.

Siwe oczy wychowawcy były spokojne. Powiedział, kiwając głową:

— Nie jest to zła myśl. Nie wszyscy muszą widzieć, ile masz łodzi. Nie jest to zła myśl. Ale dam ci też drugą, dobrą. Gdybyś miał kłopoty, jedź do swego obodryckiego dziada. Mściwój bardzo kochał Tove, twoją matkę. Żebyś ty wiedział jak!

— Kochał też Haralda, swego zięcia — żachnął się Sven. — Pamiętam, jak pili we dwóch, gdy matka zmarła!

Wspomnienie uczty pogrzebowej Tove tkwiło mu w sercu jak cierń. Mściwój, władca Obodrytów, chrześcijanin jak i jego ojciec Harald, pozwolili, by matkę pochowano w ziemi, niespaloną. A niech to! Latami prześladował go sen, w którym Tove pokazywała mu, jak gnije w ziemi. Uparli się, że ochrzczona, że musi mieć chrześcijański pogrzeb, by zmartwychwstać, ale potem na uczcie pili i płakali, pokazując mu tą rozpaczą, że nie wierzą w żadne zmartwychwstanie ciał!

Palnatoki wyprowadził konia ze stajni. Sven ruszył za nim.

— Myśl, co chcesz, chłopcze, ale pamiętaj: w sojuszu z Obodrytami, z ludem twojej matki, będziesz dwakroć silniejszy. A jeśli nie ty wyciągniesz rękę do Mściwoja, zrobi to twój ojciec. Musisz go ubiec, Svenie, bo dla Mściwoja ty jesteś jego krew. Przyjmie cię.

Palnatoki nie miał w zwyczaju czułych pożegnań. Uścisnął Svenowi dłoń i wsunął nogę w strzemię. Unosząc się w górę, mimochodem powiedział:

— Jak odbijesz Sasom Nordalbingię, jak z powrotem otworzysz dla Danów naszą chlubę, piękny port w Hedeby, i staniesz tu, w Roskilde, przed starym Haraldem i wszystkimi możnymi…

— To co? — Sven uśmiechnął się do niego. — To mam jeszcze powiedzieć: Ojcze, dzisiaj za mną stoją Obodryci jak ongiś za tobą? Wziąłem za żonę jakąś ich piękność, a gdy spłodzę z nią syna, to możesz skoczyć w Roskildefiordzie z kamieniem u szyi, bo nic tu po tobie? Coś takiego mam powiedzieć?

Palnatoki kiwnął głową i spojrzał w stronę królewskiego dworu w Roskilde. Służba sprzątała po uczcie, wygaszano pochodnie. Wielkie, rzeźbione wrota już zamknięto.

— Nie podejmuj wojny z Haraldem, póki nie będziesz miał Mściwoja za sobą. I nie myśl, czy on ochrzczony, czy nieochrzczony, to nic nie ma do rzeczy, gdy walczycie po tej samej stronie. Co tam jakiś Chryst! Zresztą, jeśli moi zwiadowcy się nie mylą, Mściwój na czele Obodrytów właśnie pali Hamburg i nie sądzę, żeby mu zależało, aby pożar ominął tamtejszą katedrę i klasztor. Musisz wiedzieć, z kim i kiedy trzymać, to ci powiem na odjezdnym.

Nazajutrz trzy dziesiątki uzbrojonych łodzi odbiły od przystani w Roskilde i na rozkaz Svena wzięły kurs na zachód. Gdy poczuł wiatr od strony Kattegatu, ten wiatr, który pachnie szerokimi wodami Północnego Morza, dał znak sternikom, by łodzie zbliżyły się do siebie. Pozdrowił jarla Hakona z Fionii, którego łódź niosła na dziobnicy smoczy łeb. I Thorgilsa z Jelling, który wystawił pięć łodzi, a sam płynął na szesnastoławkowym „Mściwym Psie”. I Gunara z Limfiordu, tego, co wsławił się kiedyś zuchwałymi

napadami na fryzyjskie wybrzeże. I dwóch nowych towarzyszy, Sigvalda i Thorkela, zelandzkich braci.

— Towarzysze! Płyniemy nakarmić głodne miecze krwią! Sasi już są martwi. Weźmiemy na nich odwet jak za gwałt siostry! Bo Hedeby to nasza siostra porwana za młodu! — Uniósł obnażony miecz. Z pokładów odpowiedział mu krzyk:

— Martwi! Martwi! Martwi!

Łodzią zakołysało. Sven rozstawił nogi, by złapać równowagę. Uniósł ramię i krzyknął:

— Gdy byłem dzieckiem, mój ojciec, Harald, ochrzcił mnie siłą. Pozwolił, by cesarz został mym ojcem chrzestnym i nadał mi chrześcijańskie imię, jego imię, Otto! Otto! Czy tak zwali się nasi dziadowie? Nie! — Wziął głębszy wdech i ryknął ile sił w płucach: — Płynę zabić ojca!… Tego chrzestnego ojca, którego władzy nad sobą nie uznaję! Płynę z imieniem Odyna na ustach. Ooodyyyn!

— Odyn! Odyn! Odyn! — odpowiedziało mu sto gardeł, a woda zwielokrotniła krzyk.

— Odynie! Przyjmij od nas ofiarę z saskiej krwi! — Sven odchylił głowę w tył i pozwolił, by długie, rude włosy porwał mu wiatr.

ŚWIĘTOSŁAWA była dzieckiem lata. Dobrawa wydała ją na świat w noc kupały. Mówiła potem, że póki ją karmiła, mleko w jej piersiach pachniało kwiatem. Gdy dni stawały się dłuższe, gdy słońce kładło się na policzkach złotymi plamami, Świętosława odżywała. Łąki rozświetlające się chabrami, błękitne pola lnu, rumieńce maków i złote piegi złocieni to był jej żywioł. Gdy matka żyła, spędzały ciepłe lata w Lądzie nad Wartą albo w Gieczu nad Moskawą. Z dala od hucznego, dworskiego życia. Było z nimi kilkanaście panien dworskich matki. Czasami Dobrawa zapraszała Astrydę, raz, może dwa Geirę. Bolesław był z nimi krótko. Gdy skończył sześć lat,

ojciec zabrał go na swoje wychowanie. Ona miała wtedy nie więcej niż cztery, nic dziwnego, że obraz małego brata nigdy nie był obecny w jej pamięci. Astryda i Geira, jej przyrodnie siostry. Córki Mieszka z czasów przed Dobrawą. Z mrocznych czasów przed chrztem. Świętosława uwielbiała Astrydę. Była od niej niewiele młodsza. Kochała włosy siostry w kolorze ciemnej żywicy, włosy, które w cieniu lśniły barwą niemal zieloną. I jej chłopięce, twarde dłonie, które zawsze w ostatniej chwili wybawiały ją z opresji. Wyciągały ze zbyt głębokiej dziupli, pewnie ściągały z drzewa, wynurzały z wody, kiedy nagle traciła pod nogami grunt. Dobrawa też lubiła Astrydę, choć nazywała ją „Bogumiłą”, bo ponoć jej północne imię znaczyło właśnie to. O Urdis, matce Astrydy, nikt nie chciał mówić i sama Astryda jej nie pamiętała. Może dlatego tak lgnęła do Dobrawy? Szukała w niej matczynego ciepła, którego księżna nie skąpiła? Na co dzień Astryda mieszkała ze swym dziadkiem, Dalwinem, panem wolińskiego portu. Bogaczem, o którego złotych skarbach krążyły legendy. Może prawdziwe, może nie.

Geira była starsza. Jej matka, Gunn, chłodna kobieta Północy, przybyła do kraju Mieszka jako niewolna, ale ojciec, urzeczony ponoć jej urodą, wykupił ją i osadził gdzieś nad Wisłą. Geira mówiła, że matka zmarła z tęsknoty za ojczyzną, ale czy to prawda? Nie wie nikt. Mieszko kochał w najstarszej córce zimną, północną urodę jej matki. Świętosławie podobał się ostry podbródek siostry, jej proste, ciężkie włosy spadające poniżej pasa. Mieszko wydał Geirę młodo za Gudbroda, jednego z jarlów Bornholmu. Ponoć swym małżeństwem ułatwiła mu zbudowanie ludzkiej floty. Ludzka flota to statki do przewozu niewolników, na których ojciec zarabiał krocie. I tak Geira, córka kobiety sprzedanej w niewolę, stała się dźwignią handlu niewolnikami. Dziwne, co? Ale teraz rzecz się skończyła, bo Gudbrod, jarl

z Bornholmu, mąż Geiry, zmarł. Siostra wdowa, jak to dziwnie brzmi, gdy ona sama wciąż jest traktowana jak niedorosła panna.

Prócz sióstr, które zjawiały się i wyjeżdżały albo nie, zawsze towarzyszyła im Dusza. To była wola ojca, nie matki. Mieszko, kierowany powidokiem jakiegoś zapomnianego zwyczaju, odnalazł dzieci urodzone tego samego dnia co ona i Bolesław. Dziewczynkę i chłopca. Zapłacił ich rodzinom czystym srebrem, nie skąpił, dał tyle, ile ważyło dziecko. I kazał wychowywać razem, więc oboje mieli swój ludzki cień. Nazwano ich Dusza i Duszan, choć równie dobrze mogło to być „Ona” i „On”. Ani Dusza nie była podobna do niej, ani Duszan do Bolesława. Imion ich rodziców nikt nie zachował. Duszan nie budził wątpliwości. Był sprawnym, choć cichym chłopcem. Ale z Duszą było inaczej. Gdy minęło parę lat, okazało się, że jest niema. Słyszy, lecz nie potrafi wydobyć z siebie ludzkiego dźwięku. Mieszko się wściekł. Dobrawa płakała, że to zły znak dla jej córki. A Świętosława nie pozwoliła wydrzeć sobie Duszy, bo było jej wszystko jedno, czy ma głos, czy nie. I tak ona mówiła za dwie.

Dusza była dla niej niczym lustro wody. Mogła się przeglądać w jej siwych oczach. Rozumiały się językiem gestów, drgnień powiek, grymasów ust. Przy Duszy mogła wyładowywać całą swoją złość. Wszystko, co kipiało w niej od świtu do zmierzchu, wrzało, skakało do gardła i wyło. Wszystko to, co okiełznywać musiała każdego dnia, będąc jedyną prawą córką wielkiego piastowskiego księcia. Tą, której dano święte imię.

OLAV zostawił załogę na łodzi i kazał Geivarowi uzupełnić zapasy.

— Tak, jakbyśmy mieli odpłynąć jeszcze dziś — szepnął druhowi na stronie. — Tylko zrób to dyskretnie, żeby się po porcie nie rozniosło.

— Woda niesie, a Dniepr szeroki — krzywo uśmiechnął się Geivar.

— Zwęź go do szpary swych ust — mrugnął do niego Olav i konno ruszył w stronę Kanugårdu, Kijowa. W sakwach miał podarki dla książęcej

pary, a w głowie jedną myśl: „To był ostatni raz”.

Spłacał dług. Jego pamięć dzieliła się na dwie części: czas niewoli, głodu, poniżenia i czas nieustannego odwdzięczania się swym wybawcom. Miał trzy lata, gdy statek, którym uciekali wraz z matką przed tymi, którzy czyhali na ich życie, wpłynął wprost w drapieżne łapy handlarzy niewolników. Wtedy widział Astrydę po raz ostatni. Do dziś słyszy jej świdrujący krzyk, widzi jasne włosy, za które łapie uzbrojony łysy brodacz, zakładając na szyję matki niewolniczą pętlę. On wraz z dwiema dziesiątkami sobie podobnych trafił na targ dzieci na przylądku Loksa w kraju Estów. Pierwszy właściciel zapłacił za niego pękiem dzikich kaczek. Po roku odsprzedano go i wart już był dorodnego kozła. Skończył pięć lat i człowiek o imieniu Eres musiał za niego dać wyszywany jedwabną nicią płaszcz. Miał osiem, może trochę więcej, gdy do domostwa Eresa zajechał wysłannik księcia Valdemara z Gardarike po należne swemu panu podatki. Był wysoki i jasnowłosy, nosił nordyckie imię Sigurd i wystarczyło mu jedno spojrzenie, by w Olavie wyczuł pobratymca.

„Jak cię zwą?” — spytał na uboczu, przyglądając mu się pilnie. „Olav, syn Tryggve”. Oczy przybysza się rozszerzyły. Złapał Olava za koszulę na piersi i uniósł w górę, jakby był niemowlęciem. „Imię twej matki?” — wyszeptał pytanie Sigurd. „Astryda, córka Erika” — odpowiedział Olav. „Erika?” — powtórzył za nim przybysz i głos w jego gardle uwiązł. Musiał odkaszlnąć, stawiając Olava na ziemi. „Erika skąd?” — zapytał po chwili. „Z Ofrustadir, panie. Stamtąd pochodzi mój dziad. Ale ja jestem…”. Sigurd zamknął mu usta dłonią i wyszeptał: „Nie mów tego, bo stracisz życie, a w najlepszym razie nigdy nie wyjdziesz z niewoli. Ja wiem, kim jesteś. Płynie w nas bratnia krew. Nazywam się Sigurd Eriksson i jestem bratem twej matki, Astrydy. To do mnie uciekała, gdy napadli was łowcy

niewolników. Pamiętaj jej imię, ale dla własnego dobra zapomnij dzisiaj imienia twego ojca”. I Olav, posłuszny krewnemu, zapomniał.

Sigurd wykupił Olava z rąk Eresa, choć ten policzył sobie za niego w złocie.

„Zabiorę cię na dwór księcia Valdemara w Holmgårdzie — powiedział. — Tam jest wielu naszych kupców i wojowników, książę otacza się wyłącznie Waregami, bo sam wywodzi się z rodów Północy. Sto lat temu Rorik, jego przodek, przybył tu i wziął władzę nad plemionami”. Holmgård, zwany przez miejscowych Nowogrodem, okazał się miastem tętniącym życiem i bogatym. Jak to się stało, że w tym żywym tłumie tak szybko wypatrzyła go księżna Allogia? Wtedy nie zadawał sobie żadnych pytań. Za to uczył się błyskawicznie. Allogia nosiła tytuł księżnej i była jedną z wielu żon księcia Valdemara. Słowiańscy poddani mówi na niego „kniaź Wladimir” i Olav od pierwszego spotkania z książęcą parą dostrzegł, że wielki kniaź z upodobaniem używa obu imion, zmieniając je w zależności od tego, z kim obcował. Gdy mówił językiem Słowian, utwardzał słowa nordyckim akcentem. Gdy rozmawiał w języku Północy, zmiękczał go, psując twardą barwę. Valdemar miał wielu synów z niezliczonych żon i konkubin, ale z Allogią nie miał żadnego. Księżna rodziła same córki, a mimo to dostawała od męża, czego zapragnęła. Są kobiety wieszczki, wiedźmy, szeptuchy, zamawiaczki chorób, czarownice. Są i czarodziejki, lecz te muszą być piękne. O Allogii na nowogrodzkim i kijowskim dworze mówiono: „Jaśnieje jak gwiazda na niebie” i rzecz była nie tylko w jej niezwykłej urodzie.

Przyjęła Olava z otwartymi ramionami, zapłakała nad historią rozdzielenia z rodzicielką i dała Sigurdowi srebro, by ruszył na poszukiwania swej siostry, a jego matki, Astrydy. A potem ucałowała go w czoło i tym pocałunkiem odebrała mu cały ból.

Olav został wychowankiem książęcej pary. Valdemar pozwolił mu ćwiczyć ze swą wareską drużyną i radował go każdy przejaw budzącej się w Olavie męskości. Sam Olav zjednywał sobie ludzi szybko. Może tym, że miał czułe ucho? Uczył się języków prędko i bezbłędnie, jakby wyciągnął lekcję z nieznośnej dla niego, mieszanej mowy księcia Valdemara. Dla każdego znajdował miłe słowo. Miał talent do oszczepu i łuku, cierpliwie ćwiczył walkę mieczem.

Gdy skończył dwanaście lat, po raz pierwszy wypłynął na zbrojnej w wojów łodzi. Szlify zdobywał na szerokich wodach Wołgi, pływając z załogami książęcych konwojów. Był młody i zręczny, przypadł do serca sternikowi i ten uczył go tajników prowadzenia łodzi i nocnego ustawiania w dryf. Zadaniem wołżańskich załóg było osłanianie płynących rzeką bogactw i bezpieczne doprowadzanie do Nowogrodu arabskich kupców. Łodzie pełne drogich futer i skór, wosku, miodu, cennej broni, sokołów zdatnych do polowań, kory białych brzóz. Wreszcie barki ciężkie od ludzkiego ładunku. Niewolnicy w drodze na wschód. Wchodził na każdą z barek i szukał. Ale wśród tysięcy kobiet nie było ani jednej, która miałaby jasną twarz jego matki. Tym samym Nahr-as-Saqaliba, Słowiańska Rzeka, jak mówili na Wołgę Arabowie, stała się dla niego bezwartościowa jak dla rybaka woda bez ryb.

Od Sigurda wciąż żadnych wieści. Księżna Allogia wyczuła wzbierającą w Olavie niecierpliwość, a może tylko dostrzegła pogłębiający się z dnia na dzień grymas jego ust. Błagała męża, by wysłał go na Dniepr. „Nie boisz się, pani, że chłopak dołączy do wareskich załóg i popłynie Dnieprem do Bizancjum? Na złotem płatną służbę do Bazylego, cesarza Wschodu?” — pytał kniaź, a księżna szeptała: „Mężu, mężu, nie on! Nasz Olav jest nam bezgranicznie oddany. Nie zdradzi, bo za nasze srebro Sigurd szuka jego matki. Mężu, mężu, nie zdradzi, bo myśmy dali mu wolność”.

Valdemar uległ żonie, a Olav pierwszego dnia żeglugi zrozumiał, że księżna nieświadomie wystawiła go na próbę. Nie, nie myślał o ucieczce do bogatego Bizancjum. Nie pociągała go złotem płatna służba cesarzowi Wschodu. Jego duszę ukradł Dniepr. To nie były szerokie i leniwe wody Wołgi. To był żywioł. Mgły spadające na wodę, żegluga w mleku. Zdradzieckie porohy zwiastujące swą obecność najpierw niespokojnym szumem, a potem wściekłą kipielą wody. Kochał każdy z nich: Rykuna, Koński Łeb, Scytyjską Gardziel, Ostry Pysk, Przeklętego, Nienasyconego i nade wszystko Zawsze Gromkiego. Był pierwszym, który zeskakiwał z łodzi, by przeprowadzać ją przez skalny próg.

Zauroczyły go brzegi Dniepru porośnięte olsami i brzeziną. Mokradła i bagna ciągnące się wzdłuż nich. Polowania na sumy wielkie niczym morskie potwory. Tak. Dniepr okiełznał jego dziką duszę. Zawładnął nią. Szum wody zagłuszył tęsknotę za matką, z której objęć wyrwano go przed laty. Śniła mu się jeszcze czasami, ale we śnie już nie słyszał jej świdrującego krzyku. Bezgłośnie poruszała suchymi ustami. Mleczna mgła zakrywała krwawe wspomnienia Olava. Wiosna, gwałtowna jak nigdzie indziej; wiosna wybuchająca od jednego słonecznego promienia, gdy znikał śnieg zalegający rozległe błonia nad rzeką, by po kilku dniach pokryły się żywą bielą kwitnącej tarniny. Ta wiosna uwiodła go jak dziewczyna. O niczym więcej nie marzył; chciał tylko pływać cały rok, by znów przeżyć to widowisko budzącej się natury. By poczuć, jak w nim samym zaczynają krążyć soki żywe.

Gdy pomiędzy jedną a drugą wiosną w jakimś porcie na Dnieprze, nieopodal Smoleńska, dotarł do nich posłaniec z wiadomością od księżnej Allogii, Olav poczuł, jakby ktoś znów zaciskał mu na szyi niewolniczą smycz.

„Wracaj do Kijowa. Kniaź wyznaczył ci kolejne zadanie. Ruszysz na Radymiczów”.

Ruszył, porzucając Dniepr. Przecież spłacał dług. Allogia i Valdemar obsypali go podarkami, jakby chcieli wypełnić brak wieści o jego matce. Przyjął je, by odmową nie obrazić książęcej pary. Dwa kolejne lata walczył na wschodzie, zmuszając do uległości najpierw Radymiczów, potem Wiatyczów. Było mu wszystko jedno, komu zgina kark. Jedyną osłodę znajdował, gdy w drodze na wschód przepływał ukochany Dniepr.

Aż wreszcie, podczas niewiele znaczącej potyczki z już ujarzmionymi Wiatyczami, nie uchylił się w porę przed strzałą i grot drasnął go w czoło nad brwią. Zachwiał się w siodle i usłyszał świdrujący krzyk. Krzyczała Astryda w jego głowie. Oczy zalała mu krew i spadł z końskiego grzbietu na świeżo zrytą kopytami darń. Stracił przytomność, choć wciąż słyszał matczyny głos. Śnił o swojej matce, młodej i pięknej. O jej złotym naramienniku, który pęka na pół, a z każdej jego części wypływa krew.

Obudził go starczy szept: „Nie, nie, nie! Nie będę go leczyła! Nie będę na jego ranę kłaść ziół! Chcę, by zginął… zginął krwawy król… To on jest panem, który kroczy w rzece krwi”. Z trudem otworzył posklejane posoką powieki. Zobaczył staruchę pochyloną nad sobą, trzymaną za kark żelaznym ramieniem swego druha, Geivara.

„Puść ją” — nakazał. „Ty żyjesz!” — ucieszył się Geivar.

Tak, żył. Odnalazła go własna pamięć, jakby zmartwychwstał z krwi.

Wrócili do Kijowa. Przywiózł podarki dla książęcej pary. I silne postanowienie, że to był ostatni raz, gdy wypełniał czyjąś, a nie własną wolę.

— Ole! Mój Ole! — Gdy tylko wjechał na podwórzec książęcego dworu, usłyszał piskliwy chłopięcy głos. — Wróciłeś! Nareszcie wróciłeś! —

Pięcioletni syn księcia, Jarisleif, biegł ku niemu, potykając się o długie poły szuby.

— To nie twój Ole, tylko mój! — krzyknął większy od niego chłopiec i podstawił Jarisleifowi nogę.

Malec ślizgiem wylądował w błocie. Olav zeskoczył z konia i podniósł go wysoko.

— Jarisleif! Aleś wyrósł! Nie poznałbym cię! — Ucałował małego w czoło.

Większy chłopiec przepchnął się ku nim i krzyknął, zadziornie unosząc głowę:

— A mnie byś poznał, Ole? Ja też wyrósł?

— Czy to kniaź Wladimir tak odmłodniał? — Olav mu się przyjrzał i widząc, że chłopak poczerwieniał z radości, dodał: — Ach nie, to jego dzielny syn, Światopołk, podobny do ojca jak dwie krople wody!

— Ja też podobny! — wyskoczył młodszy. — I nie mów już Jarisleif, ja chcę być Jarosław!

— Jarosław-Srosław! Głupek i syn zhańbionej — prychnął i popchnął go Światopołk.

— Już, już, spokój! — uciszał książęcych synów Olav. — Jarosław jest mądry, że chce, by go nazywać w języku jego poddanych. A ty, Światopołku, nie powinieneś drwić z jego matki, bo ktoś kiedyś brzydko powie na twoją. Ojciec w domu?

— Nie — odburknął Światopołk. — Poszedł nad rzekę ofiary składać.

— A nas nie zabrał! — Jarisleif żałośnie pociągnął nosem.

— Jarosławie, wracaj do mnie! — rozległ się głos z góry.

— Światopołku, do domu! — usłyszeli drugi, z przeciwległej strony.

Olav wyprostował się i uniósł głowę. Na drewnianych krużgankach kijowskiego dworca stały dwie kobiety. Naprzeciw siebie: jedna na

prawym, druga na lewym skrzydle. Skłonił się żonom Wladimira. Matka Jarosława, Rogneda, księżniczka połocka, nazywana w Kijowie „Gorysławą” z powodu gwałtu na oczach rodziny, którym wziął ją w posiadanie Wladimir, odpowiedziała mu ukłonem. Zadźwięczały srebrne zausznice. Matka Światopołka, ciemnooka Ewodia, Greczynka o melancholijnej twarzy, uniosła dłoń w wyszywanej kamieniami rękawiczce. Wstydliwie przykryła twarz zasłoną i cofnęła się w podcień krużganka.

— Biegnijcie do matek — szepnął Olav do chłopców. — Jeszcze się spotkamy.

Jarosław niechętnie ruszył w kierunku schodów. Światopołk pociągnął Olava za rękaw i szepnął mu do ucha:

— Ojciec powiedział, że Izjasław, starszy brat Jarosława, dostanie księstwo połockie. A to niemożliwe, bo Izjasław jest głupi.

— Plotkujesz jak baba! — Olav się zaśmiał i potargał chłopakowi ciemną czuprynę. — Zmykaj.

Usłyszeli skrzyp otwieranych okiennic. W oknie, w centralnej części dworzyska, pokazała się księżna Allogia. Na głowie miała wysoki futrzany kołpak, jej piękną twarz okalały rzędy złotych łańcuchów.

— Olavie! Sprowadzasz radość dla mych oczu! — zawołała na jego widok, unosząc obie dłonie.

— A ona znów urodziła córkę! — zdążył szepnąć Światopołk, nim uciekł.

Olav oddał stajennemu konia i ruszył do niej. Przyjęła go w swych prywatnych pokojach, odprawiając panny służebne i piastunkę ze spowitą w złotogłów dziewczynką. Wydało mu się, że za rumieńcem księżnej kryje się nieznana mu wcześniej nerwowość.

— Córki ci służą, pani! Piękniejesz z narodzinami każdej. Jak daliście na imię nowo narodzonej?

— Predsława — odpowiedziała nieuważnie. — Co z Wiatyczami?

— Będą płacić księciu od pługa.

Skinęła głową, aż zadźwięczały łańcuchy wokół jej policzków. Smukłe palce Allogii poruszały się nieustannie, jakby prowadziły jakiś własny taniec. Olav zapatrzył się na nie przez chwilę.

— Olavie! Nie zostawiaj mnie! — powiedziała tak nieoczekiwanie, że zadrżał.

Jest czarownicą. Skąd by wiedziała, z czym przyszedł?

Nie odezwał się. Księżna skoczyła ku niemu, zwinna jak leśna kotka.

— Nie teraz, kiedy… — zawahała się, przygryzła wargę. — Wladimir ma zbyt wielu synów…

I żaden nie wyszedł z twojego łona — trzeźwo pomyślał Olav. — Z czarownicą trzeba krótko.

— …zbyt wielu, by przywiązać się do jednego. — Mówiła, z trudem kryjąc wzburzenie. — On coraz starszy, coraz ciężej mu wsiąść na konia, rozumiesz? — Zajrzała mu w oczy, przechylając głowę.

Ale dzieci płodzi — przebiegło przez myśl Olava to, czego nie powiedział głośno.

Allogia wpatrywała się w niego ciemnymi, pięknymi oczami.

— Żaden z rodzonych synów — zaczęła po chwili — nie wykazał się jeszcze niczym przed ojcem. A śmierć… — to słowo wymówiła tak czule jak miłosne wyznanie — …śmierć może nadejść w każdej chwili.

Była tak blisko, że poczuł jej ciepły oddech. Była drobna, patrzyła na niego, unosząc twarz. W ramie złotych łańcuchów jej ciemne oczy niebezpiecznie lśniły.

— Wladimir kiedyś był walecznym Valdemarem, gdy ze swymi Waregami przy boku podbił Nowogród. Ach, mógłby zawojować Ruś całą po ujście Dniepru, po ziemie straszliwych Pieczyngów, mógłby, gdyby… — Allogia zawiesiła głos i nagle rozczapierzyła palce obu dłoni, poruszając nimi.

— Gdyby co? — wyszeptał zachrypniętym głosem.

— Gdyby nie rozpraszał swych sił na ciągłe podboje miłosne! Olavie! On już nie jest walecznym wikingiem! Zgnuśniał, stał się swarliwy jak Słowianin. Ach!… Podbija nowe ludy nie dla władzy i chwały, ale dla kobiet! Wiesz, czym się szczyci? Że przespał się z ośmioma setkami dziewcząt. To ma być wyczyn dla władcy? Wolałabym, by pochwalił się, że zdobył osiem księstw!

— Chyba nie ze mną powinnaś o tym rozmawiać, pani — powiedział Olav twardo.

— Nie rozumiesz? — żachnęła się. — Ty możesz zostać jego następcą!

— Ja?

— Tak! On musi myśleć, komu przekaże władzę, a na rodzonych synach polegać nie może! Usynowi cię, jeśli tylko go o to poprosisz!

— Ja nie… — Olav cofnął się o krok, lecz Allogia złapała go za nadgarstek.

— Właśnie, że ty! Jego synowie lepiej przyjmą twoje przywództwo niż któregokolwiek z braci! Będziesz gwarancją, że księstwo nie spłynie krwią po śmierci Wladimira.

Czuł jej uścisk, jakby dłoń księżnej była żelazną okową niewolniczego łańcucha. I czuł, że gdy Allogia trzyma go za rękę, ma go w ręku. Jego wola słabła.

— Nie bój się, Olavie, to pomysł szalony, ale możliwy! Wystarczy, że poprosisz go, by cię usynowił. On już dawno mówił, że przypominasz mu

tamtego Valdemara, co brał Nowogród ogniem! To znak! I jeszcze to, że w twych żyłach płynie królewska krew Ynglingów!

Wyrwał jej rękę.

— Wiedziałaś, pani? — zawrzało w nim.

— Wiedziałam — odpowiedziała pewnie, niemal zaczepnie. — Od pierwszego dnia, gdyś zjawił się w Nowogrodzie. Nie mogłam spać, bo zobaczyłam jasne światło w środku nocy. To był twój los, twoje szczęście, twoja hamingia. Gdy Sigurd cię przyprowadził, wiedziałam już, kto tak zalśnił nad Gardarike, nad Rusią!

Poczuł, że się dławi. Allogia mówiła coraz gwałtowniej.

— Tyś jest ten, o którym mówią północne pieśni! Chłopiec o włosach lśniących i białych, oczach przejrzystych i jasnych, spojrzeniu ostrym jak u młodego węża!… Syn boga wędrującego po ziemi…

— Przestań! — krzyknął na nią. I po raz pierwszy powiedział głośno to, co obudził głos jego matki świdrujący mu pod czaszką: — Jestem Olav Tryggvason. Ostatni z żyjących potomków norweskich królów. Pocałuj mnie.

Allogia wyciągnęła smukłe palce, uchwyciła jego twarz i wpiła się wargami w jego wargi. Wyszarpnął się, ocierając usta.

— Nie tak, obłąkana kobieto! — Usłyszał we własnym głosie czysty, głęboki gniew. — Pocałuj mnie w czoło, jak wtedy, gdy przyjmowałaś mnie pod swój dach. Wtedy zabrałaś mi pamięć. Dziś mi ją zwróć!

Allogia wzięła świszczący wdech. W jej oczach niebezpiecznie błysnęła duma zranionej kobiety. Olav pochylił głowę. Złożyła na jego czole pocałunek zimny jak dotknięcie stali. A potem chwyciła jego długie włosy i uniosła, przyglądając się skórze głowy. Wyszarpnął się i nie oglądając na księżną, ruszył do wyjścia. Pod drzwiami usłyszał jej szept:

— Podrapała cię śmierć.

Księcia Wladimira znalazł na wzgórzu nad Dnieprem. Jedwabny książęcy namiot lśnił złotem i purpurą. Pod namiotem słudzy w milczeniu przygotowywali ucztę. Nieopodal, przy wiekowych dębach, stały posągi bóstw Wladimira. Dadźbóg, Perun, Mokosz, Strzybóg, Simargł, Chors. Olav znał ich imiona, choć były to dla niego puste słowa. Wladimir przechadzał się w cieniu posągów z ręką zatkniętą za pas.

— Przyszło mi do głowy — rzekł po przywitaniu — że powinienem postawić tu jeszcze posąg Odyna i Thora. A może i złotej Frei, co? No, powiedz mi, młody wikingu? — Zaśmiał się lubieżnie i zrobił gest pokazujący, jak sterczące piersi powinna mieć Freya. — Kiedyś miałem tylko posąg Peruna, ale jak zdobyłem ziemie Drewlan, Siewierzan, Krywiczów, to ich bogom też zacząłem składać ofiary. Ale może, by uczcić kraj, z którego wywodzi się mój ród, trzeba i Thora, co? No, czego milczysz, chłopcze? Przywiozłeś mi zwycięstwo nad Wiatyczami i milczysz?

— Wiesz, kim jestem? — spytał Olav bez ogródek.

Wladimir westchnął i odpowiedział pytaniem:

— Kto ci powiedział?

Olav milczał, wpatrując się w brodatą twarz kijowskiego księcia. W podpuchnięte oczy w fałdach obwisłej skóry. Nos, który dawno stracił orlą ostrość.

— Allogia, tak? Byłeś u niej! Przysięgała, że pary z ust nie puści. Tak to jest, dzielić tajemnicę z kobietą.

— Skąd ty wiedziałeś? — przerwał mu Olav.

Wladimir zrobił nieszczęśliwą minę.

— Matka mi powiedziała. Głupio, co? Wygląda z boku, jakby baby mną rządziły. Ale nie, matka to inna rzecz, zresztą, zmarła tamtej zimy. Małusza

była wieszczką. Nigdy się nie myliła, choć kto wie? Powiedziała przed śmiercią, że będę zabójcą bogów. Chyba przesadziła, co myślisz?

Olav się zatrzymał, stanął i kniaź.

— No tak, chcesz, bym ci powiedział, jak było. — Potargał ciemne sploty brody. — Wieszczyła mi co roku, przed Julem, no, tu mówiliśmy „Godami”. Wnosili Małuszę na jej wysokim krześle, nie mogłem kielicha wychylić, póki nie przybyła. Gdybym się napił, nie rzekłaby słowa, za karę. Tamtej zimy, dziesięć lat przed twoim przybyciem, powiedziała, że w Norwegii narodził się w ukryciu królewski syn. Że jest wygnańcem, na którego życie czatuje stara królowa. I że mnie przypadnie szczęście wychowania chłopca. Kiedy Sigurd przywiózł cię do Nowogrodu, Małusza już nie żyła, za to Allogia zobaczyła twoje duchy, czy jak tam ona mówi, hamingię, i wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym cię odnalazł i przywiódł na dwór. Powiem ci szczerze, że gdyby nie ona, ja bym już tych starych przepowiedni nie pamiętał. Głowę mam słabą do takich spraw. Allogia uparła się jednak i dalej już wiesz… — Wladimir ujął go za łokieć i skierował ku uginającym się od potraw stołom.

— Dlaczego ukrywaliście przede mną, kim jestem? — zapytał Olav, siadając obok kniazia.

— Ukrywaliśmy? Skądże! Wina! Po prostu nie mówiliśmy o tym dla twego dobra, chłopcze. — Kniaź pociągnął z kielicha spory łyk, a Olav zacisnął szczęki, jakby chciał zagryźć to słowo. „Chłopcze”. — Na razie nie masz szans na odzyskanie tronu, nie chciałem ci mieszać w głowie.

— Tak powiedziała twoja matka, Valdemarze? — Olav wymówił imię księcia najczystszą nordycką barwą i patrzył, jak ten zmienia się na twarzy.

— Mniej więcej — odpowiedział zmieszany kniaź. — Dlaczego nie pijesz? Chcesz mnie obrazić?

— Nie. Chcę zachować trzeźwy umysł. Co powiedziała twoja matka o moim królestwie?

Wladimir pił w milczeniu. Odstawił kielich, by sługa dolał mu wina. Otarł brodę wierzchem dłoni i westchnął ciężko.

— Powiedziała, że kiedyś zdobędziesz władzę, do której się narodziłeś.

Serce Olava zabiło mocniej, poczuł, jak w żyłach krąży mu krew, a jej wrzenie uderzało do głowy niczym wino, którego jeszcze nie tknął. Spojrzał w srebrny kielich, który wciąż pełen stał przed nim na stole. Purpurowa powierzchnia wina zdawała się falować. Sięgnął po nie i wypił jednym haustem. Poczuł ciepło w żołądku, które go uspokoiło. Kniaź zaśmiał się i trącił go w ramię.

— Pijesz, jakbyś był mój! No, chłopcze, przejdźmy do rzeczy! Jeśli stara Małusza miała rację z twoim królestwem, musiała mieć rację i z moim!

— O czym mówisz, kniaziu? — Spokój, który poczuł przed chwilą, już zaczął się chwiać. W głosie Wladimira wyczuł nutę podobną do tej, na której grała Allogia.

— O mojej mateczce, starej wieszczce, czarownicy Małuszy! Wina! — Zrobił przerwę krótką jak pociągnięcie z kielicha. — Powiedziała, że nim zdobędziesz należny sobie tron, przysporzysz wielkiej chwały mojemu księstwu. To znak, że nie możesz mnie teraz opuścić!

W Olavie się zagotowało.

— Rzuciłem na kolana Radymiczów i Wiatyczów, to mało?

— Ale ja chcę więcej, chłopcze! Żebyś wiedział, dokąd sięga mój apetyt! — Jakby na potwierdzenie sięgnął po pieczeń. Obracał ją chwilę w palcach, szukając miejsca, w które chce się wgryźć. — Na zachodzie mam potężnego sąsiada, księcia Mieszka! U niego wojsko ułożone i córka młoda. Ja im parę grodów na granicy zabrał, ale jakby… — Odwrócił się, gromiąc spojrzeniem sługę. — Wina! Ja po tę dziewczynę wysłał dziewosłębów, ale

Mieszko mi odpowiedział, że ona chrześcijanka i za poganina na kolejną żonę nie pójdzie. Za starego poganina, tak kazał mówić. Wyśmiał mnie! — Wladimir wściekle zatopił zęby w sarnim udźcu. — Rogneda też mnie nie chciała, wolała mego brata, zdrajcę, tom ją gwałtem wziął, a potem zabiłem jej ojca, co mi tam!

— Kniaziu — przerwał mu Olav spokojnie. — Masz wiele żon.

— Co to, żałujesz mi? Ach, ty młody, ty nie wiesz, że łatwiej się zaspokaja cudze żony niż własne!

— Chcesz, bym pojechał do księcia Mieszka i prosił o jego córkę dla ciebie?

— Chciałbym — Wladimir popił — ale on po prośbie nie da, już mi odmówił. Więc wolę, byś pojechał do niego z moimi Waregami i zrobił mu pożogę. Porządną pożogę, taką, by…

— Nie pojadę — spokojnie powiedział Olav. — Już czas, bym ruszył tam, skąd pochodzę.

— Jeszcze nie — nieoczekiwanie miękko poprosił kniaź. — Zostań… tyle dla ciebie zrobiliśmy, Allogia i ja…

Olav wstał od stołu, choć wiedział, że nie powinien, póki książę siedzi. Spojrzał mu prosto w oczy.

— Czy swoją służbą spłaciłem dług wdzięczności, kniaziu Wladimirze? — spytał twardo.

— Tak — odpowiedział książę i odwrócił głowę. — Nie patrz tak na mnie. Kłuje mnie twój wzrok.

MIESZKO po raz pierwszy powierzył władzę synowi. Czuł się z tym źle, choć pewnie mógł się czuć gorzej, gdyby nie otoczył Bolesława kręgiem zaufanych ludzi. Tych, których syn widział, i tych, którzy czuwali z ukrycia nad każdym jego krokiem. Chłopak skończył siedemnaście lat, rwał się do

rządów, jakby się do tego nadawał, a nie potrafił jeszcze oddzielić ciasnej sieci sojuszy od niewidzialnych lepkich włókien intryg.

— Do Kwedlinburga zjedziemy przed zmrokiem — odezwał się jadący obok Witosz. — Zwiadowcy są pewni, że Czesi jeszcze daleko za nami, w drodze.

— A Obodryci?

— Książę Mściwój ponoć od dwóch dni siedzi w Kwedlinburgu i łasi się do Henryka bawarskiego, któremu marzy się korona Ottonów.

— Wobec tego rozłożymy się obozem i poczekamy. Chcę przyjechać na Hoftag jako ostatni.

Witosz zaśmiał się tylko i ruszył przodem szukać dogodnego miejsca.

Mieszko przez dwa dni leżał pod gołym niebem na posłaniu ze skór niedźwiedzich, choć Znamir go prosił, by legł na rzeźbionym łożu w książęcym namiocie. Nie chciał. Na niebie lśniła pierwsza wiosenna pełnia, pragnął chłonąć jej srebrne światło, jak kiedyś. Potrzebował go, by rozjaśnić myśli. Który to jego zjazd w Kwedlinburgu? Kolejny. Który cesarz odszedł? Następny. Otto I, II. A teraz władcą Rzeszy mogło zostać to czteroletnie dziecko, Otto III. Już ukoronowany w Akwizgranie na króla niemieckiego. Ottonowie, potężni cesarze Zachodu, tak się bali o ciągłość swej władzy, że ojcowie koronowali synów za swego życia.

Księżyc kładł się białym światłem na polanie. „Książę leśnych polan” — zaśmiała się w jego głowie Dobrawa. Tak nazywała go w krótkich chwilach, które spędzali razem. Polany w jego kraju miały dwojakie znaczenie. Jedne były pamiątką po wielkich budowach jego dziada, gdy pod topór poszły całe połacie dębowych borów. Dzisiaj już w tych miejscach rosły dębowe młodniaki. Drugie, i te miała na myśli Dobrawa, wciąż były tajemnymi zakamarkami w głębiach lasu. Miękkim królestwem mchów, paproci i kwiatów.

Z nią akurat kochał się na polanie tylko raz. Z poprzednimi żonami robił to ciągle, uwielbiał, gdy zapach lasu mieszał się z wonią kobiety, a krzyk sowy z jej krzykiem. Z Odą nie był w lesie nigdy. Coś się skończyło. Dzisiejszej nocy nie przyjdzie do niego duch ojca ani matki, ani dziada. Nie wyjdą już z Nawii, gdy noc równa się z dniem, nie wyjdą z niej nigdy, bo nim wszedł do baptysterium, zatrzasnął za sobą drzwi. Zalał dawne zaświaty wodą chrztu, utopił ich wszystkich w nurcie Warty.

Serce zabiło mu tak gwałtownie, jakby się chciało wyrwać z piersi. Usiadł. Chciał wziąć głęboki wdech. Wciągał powietrze, ale ono stanęło w nim, jakby żebra zacisnęły serce w kościanej klatce. Szarpnął za kaftan na piersi, dusił się. Nie mógł zaczerpnąć tchu. Nad polaną przesunął się bezszelestny cień puszczyka. Mieszko z całych sił uderzył się pięścią w pierś. Puściło. Mógł wziąć oddech. Pozbierał się i uklęknął na posłaniu z niedźwiedziej skóry. Rozłożył szeroko ramiona, uniósł twarz do księżycowego blasku i skąpał się w nim. Potem wstał, wszedł do swego namiotu, wziął miskę, sypnął do niej prażonej kaszy, polał miodem i wyniósł głęboko w las. Postawił pod brzozą, dla matki. Pod dębami dla dziadów i ojca.

— Jedzcie, jeśli macie siłę wyjść — szepnął w mrok. — Uparci Piastowie. Niech pokój będzie z waszymi duchami. — Okręcił się, patrząc na prześwietlone księżycem korony drzew. — Mój duch nie należy już do was. Nie zapominajcie o tym. Zabierajcie widmowe szpony! Łapy precz!

Wielkie kamienne palatium na kwedlinburskim wzgórzu wyglądało wyjątkowo ponuro, mimo że książę Henryk robił, co mógł, by nadać mu uroczysty wygląd. W mieście biły dzwony we wszystkich kościołach, choć zdawało się, że te w klasztorze, którego opatką była Matylda, siostra zmarłego cesarza, jako jedyne szczerze wyrażały żal. Od bram witały go warty honorowe, a dowódca pałacowej straży wydukał:

— Książę bawarski Henryk niecierpliwie oczekuje na szlachetnego księcia Mieszka.

Mieszko dostrzegł przy pałacowych stajniach ludzi swego szwagra, księcia Czech, Boleslava. I służbę Mściwoja, władcy Obodrytów. A także kogoś, kogo się tu nie spodziewał: wysłannika jomsborskich wikingów. Poznał go po znaku na tarczy, wilczym pysku noszonym tylko przez żelaznych chłopców z Jom. Ciemnowłosy, wysoki, młody. Zwracał uwagę nieco zbyt dużym nosem. Mieszko zsiadł z konia i skinął na niego.

— Nie znam cię, jomswikingu — powitał go.

— Ale ja słyszałem o tobie, książę Vindlandu. Jestem Sigvald, syn Strutharalda.

— Jak się miewa Palnatoki? Słyszałem, że chorował tej zimy.

— Wyzdrowiał, jak tylko puściły lody. Już pływa.

— Jesteś młody jak na wodza domu. — Mieszko przyjrzał mu się uważnie.

— Dziękuję, książę.

— Żeglarze czy zwiadowcy? — spytał o dom, któremu przewodzi.

— A dlaczego nie gospodarze lub wojownicy? — z uśmiechem odpowiedział pytaniem Sigvald.

— Bo wodzem domu gospodarzy jest Gruby Bue. — Mieszko się roześmiał. — A wojowników prowadzi młody Vagn.

— Przewodzę domowi żeglarzy, książę.

— Tym bardziej zagadkowa jest twoja obecność w Kwedlinburgu, Sigvaldzie. Płynąca tędy Bode to strumyk, nie rzeka. Cóż więc robi tu wódz żeglarzy z Jom?

Sigvald roześmiał się, mówiąc:

— Przyjechał konno, łódź zostawił w najbliższym porcie.

— Odwiedź mnie kiedyś, Sigvaldzie. Chętnie poznam cię bliżej — zakończył rozmowę Mieszko i w otoczeniu swej drużyny ruszył przez podwórzec do palatium.

Z kościelnej wieży zwieszała się czarna płachta ze złotym cesarskim orłem, znak żałoby po śmierci Ottona II. Zresztą każdy z orłów zdobiących palatium był przewiązany czarną wstęgą. Dość upiornie wyglądał ten, który stał w sali audiencyjnej. Mieszko widział go wiele razy i za każdym myślał to samo: rzeźbiarz pracował nad orłem, a wyszedł mu kruk. Dzisiaj kamienny orzeł-kruk miał oczy przewiązane czarną materią. Mieszko spojrzał na to i poczuł niepokój. Orzeł z zawiązanymi oczami. Wzdrygnął się.

Obrady się jeszcze nie zaczęły, więc ruszył do pałacowej kaplicy. Była pusta. Klęknął i szybko, raczej nieuważnie pomodlił się w intencji zmarłego cesarza. Mieli ze sobą na pieńku. Nie uważał, by należało mu się coś więcej niż stosowna formuła o wiecznym odpoczynku. Za to żarliwie modlił się w swojej intencji:

— Boże, patronie moich zwycięstw. Boże, któryś pomógł mi pokonać Wichmana i Hodona. Boże, któryś wyniósł mnie do godności, o jakich nie śnił ten, który mnie spłodził, i ten, który spłodził jego. Nie opuszczaj mnie. Bądź przy mnie dzisiaj, w godzinie próby. Prowadź mnie do zwycięstwa, jak każdego dnia, odkąd przyjąłem Twe imię i uznałem Twe władztwo nade mną. Amen.

Nie był głupcem, nie modlił się na głos. Nie modlił się nawet szeptem, tu, w Kwedlinburgu, gnieździe saskich spisków.

Henryk bawarski był trzydziestokilkulatkiem. Rzadkie, ciemne włosy okalały tylko bokami zbyt szybko łysiejącą czaszkę. Występował jako gospodarz Hoftagu, stryjeczny brat i najbliższy męski krewny zmarłego cesarza. Poza cesarskim synem, oczywiście. Było w nim coś ptasiego.

Ruchliwość głowy na zbyt chudej szyi, niespokojne, wiecznie rozbiegane oczy. Dłonie tak szczupłe, że z łatwością przypominały szpony. Nosił się bogato, jakby chcąc pokryć niedostatki męskiej tężyzny i brak jakiejkolwiek urody. Całe jego dorosłe życie upłynęło na walce przeciw władzy Ottonów. Nie mógł pogodzić się z tym, że mieli wspólnego dziada, ale to jego ojcu przypadł w udziale zwykły los młodszych synów. Odziedziczył ten zapiekły ojcowski żal i jeśli tym razem nie zdobędzie tronu, pewnie przekaże te pretensje swoim potomkom. Miał za sobą niezliczoną ilość buntów przeciw Ottonowi II. Więziony w Ingelheimie nad Renem, pozbawiony księstwa bawarskiego, wciąż się podnosił, niczym drapieżnik, który nie potrafi żyć inaczej niż na łowach. Mieszko go nie cenił, a mimo to już po raz drugi w życiu odpowiadał na jego wezwanie.

Henryk zasiadł na centralnym krześle. Wokół długiego stołu zgromadzili się zebrani: arcybiskup Magdeburga Gizyler, Mieszko, margrabia Miśni Rikdag, Folkmark, biskup Utrechtu, Boleslav, książę Czech, Mściwój, książę Obodrytów, komes Wilhelm z Weimaru i kilkunastu pomniejszych komesów. Oczywiście młodego jomswikinga nie spotkał wśród gości. Zaproszonych, o czym Mieszko doskonale wiedział, było wielu, lecz inni zamiast zjazdu z Henrykiem wybrali Aselburg, miejsce gromadzenia się stronników małego Ottona III, a raczej jego matki, cesarzowej wdowy Teofano, i babki, cesarzowej Adelajdy.

— Jestem najbliższym dorosłym krewnym zmarłego po mieczu i tron należy się mnie — oświadczył bez ogródek Henryk. Wszyscy spodziewali się jakiejś zręcznej dyplomatycznej gry, więc jednak potrafił ich zaskoczyć bezpośredniością. Chwilowo nikt się nie odezwał. — Syn cesarza jest dzieckiem, a chyba nie chcecie, by władzę w kraju przejęła jego matka, Greczynka? — Henryk uderzył w ton, na którym najłatwiej grać.

Dalej było już przewidywalnie. Po sali przeszedł szept dezaprobaty:

— Nie będzie kobieta nami rządziła…

— …kobieta…

— …Greczynka…

— …obca…

Henryk napawał się tym szeptem przez chwilę, by tryumfalnie obwieścić to, co Mieszko wiedział już od wysłanników margrabiego Rikdaga:

— Mały Otto jest w moich rękach. Przejąłem opiekę nad kuzynem. Cesarzowa wdowa, Teofano, wciąż przebywa w Italii.

— Ale jej stronnicy zebrali się w Aselburgu — wtrącił Mieszko.

— Dlatego jestem wdzięczny, że wy wybraliście Kwedlinburg — z naciskiem odpowiedział Henryk.

Jest niecierpliwy — pomyślał o Henryku Mieszko — brak mu pewności siebie. Poparłem go dziesięć lat temu, gdy chciał przejąć władzę po śmierci Ottona I. Wtedy wierzyłem, że sobie poradzi, że zdobędzie tron Rzeszy, a jego osobista słabość stanie się moją siłą w kontakcie z cesarstwem. Źle obstawiłem, ale nie straciłem. Henryk przegrał z Ottonem II. Bóg wsparł prawowitego następcę. Czesi zapłacili za to krwawym odwetem, Duńczycy utratą Hedeby, a ja? A ja dostałem Odę za żonę, z pokorną prośbą, bym zaprzestał walk. Jak będzie dzisiaj? Wszyscy przy tym stole mają świadomość, że zamiast brać udział w grze o tron Henryka, wspólnie powinniśmy wystąpić przeciw zbuntowanemu Połabiu. Otto II nie dał rady, jego cesarstwo przegrało. Czy Henryk będzie miał dość siły, by stłumić wrzenie? — Mieszko kolejno przyglądał się zgromadzonym. Zatrzymał wzrok na siwowłosym władcy Obodrytów. — Mściwój, cwany lis. W zeszłym roku dogadał się z Wieletami i gdy oni puścili z dymem Hobolin, a potem przegnali mego teścia z Brenny, Mściwój zagarnął Hamburg, plądrując przy okazji katedrę. Nie ma co, prawy chrześcijanin. Ciekawe, czy się modlił, podkładając ogień, czy dopiero patrząc na

zgliszcza? — Przesunął wzrok na swego szwagra. Boleslav był od niego starszy. Ruda kiedyś broda wyglądała dziś na poblakłą od siwizny, ale Mieszko znał brata Dobrawy zbyt dobrze, by po oznakach upływu czasu wyrokować słabość. To był przeciwnik, z którym trzeba się było liczyć. — Przemyślidzi, krwawy ród, ci, którzy potrafią zabijać nawet na łożu śmierci. Ile z ich krwi odziedziczył mój syn, Bolesław? — Szukał w twarzy szwagra podobieństw do swego pierworodnego. Łagodnej urody Dobrawy nigdy nie mógł w niej odnaleźć. — Uparty zarys brwi? Może ta bruzda, która wygląda, jakby im nożem rozcięto podbródek?

— …proszę was o głosy! — zakończył przydługie przemówienie Henryk.

— Przerwa! — zaordynował arcybiskup Gizyler czujący się tu niczym mistrz ceremonii.

Kolejno wstawali od stołu i rozchodzili się grupkami. Henryk ruszył ku księciu Czech, więc Mieszko złapał Mściwoja.

— Gdzie twój zięć, Harald, król Danów? — zagadnął siwowłosego księcia Obodrytów.

— Łata dziury w Danevirke. — Mściwój uśmiechnął się krzywo.

Danevirke, wielki mur na granicy z Saksonią, był dumą Haralda.

— A więc to prawda — z udanym smutkiem westchnął Mieszko.

— Co? — nie zrozumiał Mściwój.

— Że odkąd zmarła twoja córka, Tove, ochłodziły się relacje z zięciem.

— Zięć nie rodzina — podchwycił żart Mściwój — ale wnuk? Wnuk mi się udał. Słyszałeś? Odebrał Sasom port w Hedeby.

Nie słyszałem! — Mieszko wściekł się na brak wiadomości, a głośno zapytał:

— Kiedy pokonał Sasów? Wtedy, gdy ty paliłeś Hamburg, czy później?

— Trochę później. — Mściwój przejechał dłonią po karku. — Powiedzmy, że gdy Ditrich Haldensleben, twój teść, już bezpiecznie uciekł z Brenny.

— Teść nie rodzina — wyszczerzył zęby Mieszko i akurat mówił szczerze, choć nie w smak mu było, że Ditrich chwilowo stracił pozycję w Rzeszy.

Mściwój wydał mu się jednak zbyt pewny siebie jak na dwuznaczną sytuację, w której się znalazł wobec powstania połabskiego. Postanowił jeszcze pociągnąć go za język.

— Dlaczego to nie Harald, lecz jego syn walczył o Hedeby?

— Jak to w rodzinie — wymijająco odpowiedział Mściwój. — Młodzi chcą udowodnić, ile znaczą. Sven szuka dobrej żony. Pytał mnie o twoją córkę.

— Którą?

— Tę najcenniejszą.

— Coś przeoczyłem? — Mieszko udał zdziwienie. — Nie wiedziałem, że Sven się ochrzcił.

— Od dawna jest ochrzczony! — gwałtownie odpowiedział Mściwój. — Sam cesarz Otto trzymał go do chrztu.

— To chyba ktoś rozpuszcza o nim złe wieści, bo słyszałem, że woli starych bogów.

Mściwój nagle ujął Mieszka za ramię i zbliżył się do jego ucha.

— Łatwo ci sądzić, książę, bo twój lud z radością przyjął imię Chrystusa. Bo nie wiesz, co to bunt kapłanów, ciągłe jątrzenie żerców, palenie przez nich twej kukły na wiecu…

— Prawda — głośno odpowiedział Mieszko — nie wiem, co to bunt. Ale z zupełnie innego powodu, niż ci się zdaje, obodrycki książę. Mój dziad

i ojciec byli po prostu mądrzejsi niż twoi i nigdy nie pozwolili kapłanom dojść do władzy.

Nie dodał, że w jego kraju to na władcę lud patrzy jak na boga, bo zburzyłby tę iluzję „radosnego przyjęcia Chrystusa", a pasowało mu, że wszyscy w to wierzą.

— Co odpowiesz na propozycję Svena? — wrócił do poprzedniej sprawy Mściwój.

— Nie wiem. — Mieszko zachował nieporuszoną twarz. — Niech się sam do mnie zwróci. Nie boisz się zszargać imienia współpracą z poganami? Twój sojusz z Wieletami jest trwały czy to było tylko bratnie palenie biskupstw?

— Nie wiem — tak samo zimno odpowiedział mu Mściwój. — Jak widzisz, książę Henryk zaprosił mnie na Hoftag i przyjął godnie, jak ciebie. To raczej znak, że w jego oczach jesteśmy równi.

Albo że jest zdesperowany i połączy się z każdym, kto wystąpi przeciw prawom do tronu jego kuzyna — pomyślał Mieszko i nie uśmiechając się, pożegnał Mściwoja. Nie podobało mu się to, co słyszał i widział. Arcybiskup Magdeburga, Gizyler, przy jednym stole z Mściwojem, który jawnie sprzyja Wieletom? Chce zapewnić swemu biskupstwu nietykalność, gdy ci skończą świętować rabunek brenneńskiej katedry?

— Szwagrze. — Do Mieszka podszedł uśmiechnięty Boleslav.

— Gratuluję nowego biskupa Pragi. Wojciech Sławnikowic to świetny wybór! — zgasił jego uśmiech Mieszko, w pełni świadom, że Sławnikowice rywalizują z Przemyślidami o wpływy w Czechach.

Boleslav nie podjął zaczepki.

— Wciąż opłakuję śmierć mojej siostry, ale cieszę się, że wraz z nią nie umarło nasze przymierze. Choć nie rozumiem, dlaczego nie przysłałeś mi posiłków, gdy cesarz ruszył na mnie w odwecie.

— Musiałem dbać o własne granice — obojętnie odpowiedział Mieszko.

— A ja ukorzyć się przed Ottonem. — W głosie Boleslava pojawiła się ostra zadra.

— Dlatego znów stajesz po stronie Henryka? Traktujesz to jak rzecz osobistą?

Boleslav pochylił się do ucha Mieszka i szepnął:

— Nie wierzę w zwycięstwo Henryka, ale będę z każdym, kto jest przeciw władzy Ottonów.

— Rozumiem — odpowiedział Mieszko i poczuł, że za tym kryje się dużo więcej.

Arcybiskup i pozostali goście z ociąganiem wracali na obrady. Do Mieszka podszedł margrabia Miśni, Rikdag.

— Dobrze cię widzieć, książę.

— I ciebie, margrabio.

— Obaj mamy Wieletów zbyt blisko granic.

Mieszko skinął głową. Rikdag był wzburzony. Wyrzucał z siebie słowa:

— Nagła śmierć cesarza tylko im jest na rękę. Może go otruli?

— Jakie to ma znaczenie, Rikdagu, gdy cały wschód cesarstwa płonie?

— Racja! To nienormalne, jest wojna, a my tracimy czas na rozgrywki, kto zasiądzie na tronie. Teofano nas nie obroni przed dzikimi ludami Połabia, trzeba nam…

— Wierzysz w niego? — spytał Mieszko, patrząc, jak Henryk próbuje przywołać do porządku dwóch kłócących się ze sobą komesów.

— Wszystko mi jedno — żachnął się Rikdag, zdradzając brak wiary. — Potrzebuję wsparcia. Miśnia może być następna w krwawym pochodzie Wieletów.

— Rikdagu — łagodnie przemówił Mieszko — odnoszę wrażenie, że nikt poza nami nie przejmuje się płonącym Połabiem. Może zamiast liczyć

na nowego króla Rzeszy, a potem cesarza, powinniśmy pomyśleć o połączeniu sił i wzajemnej obronie?

Oczy margrabiego zabłysnęły. Uśmiechnął się i zagaił:

— Ponoć masz piękną córkę.

— A ty nie masz żadnej? — odparł pytaniem Mieszko.

Margrabia Miśni uścisnął mu rękę i wrócili do stołu obrad.

— Książę, dlaczego chciałeś przybyć jako ostatni? — zapytał Witosz, gdy ruszyli w drogę powrotną.

— Bo biorąc udział w poprzedzającej polowanie nagonce, stałbym się jednym z wielu — odpowiedział Mieszko, oglądając się na ciemne pasmo Gór Harzu, które nikło za ich plecami.

— Każdemu myśliwemu może się zdarzyć przypadkowe postrzelenie naganiaczy — w lot zrozumiał Witosz.

— W tym rzecz, przyjacielu. Wtedy nawet nie wiesz, na jakiego zwierza odbyły się łowy! — kwaśno zaśmiał się Mieszko.

— Chce ci się walczyć dla Henryka? — dołączył do nich Znamir.

— Nie — szczerze odpowiedział książę. — Ale też nie boję się odwetu wojsk Teofano, bo regentka najpierw musi odzyskać syna z rąk Henryka, potem przygasić wielecki pożar, a dopiero wtedy, gdy starczy jej sił, będzie mogła pomyśleć o rozprawie z nim samym i jego sojusznikami.

— Ale udzieliłeś mu poparcia, książę! — zdziwił się Znamir.

— Tak. Dzisiaj to mniej kosztowne niż wojna z Czechami i Wieletami.

— Znam cię, mój książę! — Witosz się roześmiał. — Jak mówisz „dzisiaj”, to znaczy, że już masz plan na jutro!

— Jeszcze nie, druhu. Na razie mam tylko wizję. I stanowczo za mało córek.

ŚWIĘTOSŁAWA lubiła te chwile, gdy ojciec z jastrzębiem na ramieniu stawał w progu świetlicy i bez cienia uśmiechu mówił: „Córko i synu, porywam was”. Kiedy była mała, piszczała na ten widok najgłośniej, jak potrafiła, bo chciała, by jastrząb ojca zaczął odpowiadać jej wysokim, drapieżnym wrzaskiem. „Porywam was” znaczyło, że pojadą gdzieś sami. Ona, ojciec i brat.

Mieszko przed kilkoma tygodniami wrócił z Kwedlinburga, ale nie zagrzał miejsca w domu. Kazał obsadzać załogami grody na zachodzie, rozesłał zastępy zwiadowców na południe, zachód i północ. Nawet tego mruka Jaksę, co za Bolesławem chodził jak pies, posłał z tajemną misją. Brat się wściekł, bo i drugiego z jego druhów, rudego Bjornara, ojciec obdarzył sekretnym zadaniem i Bjornar wsiadł na konia, nic nie mówiąc Bolesławowi.

„A nas trzyma na Ostrowie Lednickim! Z Odą i dworem, jak dzieci! Jakby powijakami chciał mnie skrępować, psiakrew!” — wściekał się Bolesław i tłukł głową w mur, by potem biec, wskakiwać na konia i jeździć po lasach wokół jeziora do utraty tchu.

„Zamknął jak kurczęta w wiklinowej klatce. Będzie nas złotym ziarnem tuczył, zanim pójdziemy na stół!” — śmiała się Świętosława, a wtedy Bolesław rozsierdzony do czerwoności pękał, krzycząc: „Nie umiesz mnie uspokoić, wiedźmo mała?!”. „Nie — odpowiadała poważnie. — Ale umiem cię podjudzić. Dobrze mi idzie?”. Tak, szło jej nieźle.

Dlatego gdy w gorący wieczór, dwa tygodnie przed kupałą, Mieszko stanął w świetlicy i rzekł: „Synu i córko, porywam was”, to była już ostatnia chwila. Wiedziała, że jeszcze dzień lub dwa i brat zajeździ na śmierć ukochanego konia.

Tylko oni troje. Ojciec, córka i syn, jak za dawnych lat.

Z Ostrowa wyjechali przez Wschodni Most.

A więc Gniezno! — pomyślała, licząc końskie kroki. Miarowe stuknięcia kopyt ją uspokajały. Stuk, stuk, cztery, osiem, dwanaście… Za nic w świecie nie chciała zepsuć tego dnia jakimś zbyt szybko zadanym pytaniem. Oddychała głęboko. Stuk, stuk, sto stuknięć!… Oczywiście towarzyszyła im drużyna ojca, ale nie było z nimi dworu i taborów. Sto pięćdziesiąt, stuk, stuk!… Jeśli więc jadą do Gniezna, przy suchych, letnich drogach na miejscu będą w środku nocy. Dlaczego w nocy? Co się tak nagle stało? Serce, choć uspokajane, wciąż biło jej szybciej, niż szedł koń. Stuk, stuk, sto osiemdziesiąt, po moście wlekli się jedno za drugim… Dopiero gdy wyjadą na trakt, będą mogli jechać kłusem, a przecież jeśli o nią chodzi, to może być i galop…

— Ponad dwie setki kroków! — krzyknęła nieoczekiwanie, gdy kopyta jej klaczy stanęły na brzegu. — Boże Ojcze, dlaczego tak długi jest Wschodni Most!

— Pytasz Boga czy mnie? — Mieszko spojrzał na nią z ukosa.

— Ciebie, Boga! — Odetchnęła z ulgą. — No, to ruszajmy, jedźmy!

— Dokąd? — spokojnie zapytał Mieszko.

Zreflektowała się.

— Tam, gdzie chcesz nas zabrać, ojcze.

— No to jedźmy! — roześmiał się książę i ruszył przodem.

Było po północy, księżycowy sierp skąpo oświetlał im drogę, gdy Mieszko zjechał z traktu wiodącego na główne gnieźnieńskie grodowe wzgórze. Skręcił w lewo, między gęste zarośla.

Jedziemy na Wzgórze Starców? — pomyślała. Znała je ze słyszenia, nigdy tam nie byli.

Ojciec puścił przodem kilku swych jeźdźców. Już chciała spytać dokąd, ale brat spojrzał na nią i zaniechała. Znów jechali wolno, ścieżyną, która

była przeznaczona wyłącznie dla pieszych. Gałązki młodych brzóz smagały ją w twarz. Po pewnym czasie konie z ulgą wyszły z lasu na polanę.

— Zsiądźcie — powiedział Mieszko do nich, a do swoich ludzi: — Rozpalcie!

Niewielkie ogniska, jedno po drugim, kołem rozjarzyły się na polanie. Świętosława zmrużyła oczy, przyzwyczajając je do nagłego światła. Zamrugała i zamarła. W środku polany rósł olbrzymi, rozłożysty dąb, a pod nim stały cztery porośnięte trawą kopce, każdy wielki jak książęcy dwór. Spojrzała na ojca. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzył. Bolesław podszedł do niej, chwycił ją za dłoń i ruszyli w stronę dębu. Nie doszli do kopców, gdy usłyszeli głos ojca:

— Zatrzymajcie się.

Stanęli karnie jak dzieci. Czuła pot na palcach brata. Mieszko wszedł między nich, łapiąc za ręce i odwracając plecami do kopców.

— Wchodzimy tyłem — powiedział spokojnie i pociągnął ich lekko za sobą.

Po kilkunastu krokach byli pod dębem. Ojciec nie stanął, tylko prowadził ich wzdłuż kopców, mówiąc:

— Siemomysł, Lestek, Siemowit, Piast.

— Twój ojciec, dziad, pradziad i… — wyliczył Bolesław.

— …i pierwszy w rodzie — dokończył ojciec. — Pod kopcami spoczywają ich prochy, jak pod kołpakami książęce czoła.

— Musisz nas trzymać za ręce? — spytał nerwowo brat.

— Nie, już nie. — Puścił ich dłonie.

Bolesław ruszył do kopca Siemomysła, przykucnął przy nim i szukał czegoś w trawie. Po chwili odwrócił się zaskoczony.

— Ktoś tu niedawno składał ofiary.

— Ludzie wciąż tu przychodzą — odpowiedział ojciec. — Coraz rzadziej, ale pamiętają.

Świętosława wolno obeszła kopce. Uniosła głowę, patrząc, jakie są wysokie. Wyobraziła sobie tych wszystkich ludzi, którzy je sypali, polanę niegdyś ludną. Przed oczami stanął jej dzień pogrzebu matki. Tłum z zapalonymi świecami. Ciało Dobrawy na marach niesione do pałacowej kaplicy. Potem niekończący się pochód, ludzka rzeka żegnająca doczesne szczątki księżnej. I kamienna płyta zamykająca to, co z niej zostało, w zimnej czeluści grobu.

Mieszko z dziupli dębu wyjął zatkany woskiem dzban i cztery gliniane czarki. Postawił każdą przed kopcem, polał. W ciepłym nocnym powietrzu rozniosła się woń miodu.

— Kiedyś ucztowano na kopcach, wzywając duchy umarłych — powiedział suchym głosem.

Chwilę postał, a potem schował dzban z powrotem do dziupli i, jakby nie było w tym nic dziwnego, znów chwycił ich za ręce. Poczuła, że teraz ojciec ma spocone dłonie.

— Wychodzimy przodem! — powiedział. — Nie oglądajcie się za siebie. Przyprowadziłem was tu, byście poznali swych przodków, ale nie po to, żeby ich wspominać. Są sprawy, które na zawsze zostawia się za sobą.

Kiedy z powrotem znaleźli się przy ogniskach, drużynnicy przyprowadzili konie. Świętosława pogłaskała klacz po szyi.

— Zamilkłaś. — Mieszko stanął nagle za jej plecami. — Tam, pod dębem, nie odezwałaś się ani słowem.

— Gdzie są kopce ich żon? — zapytała. — Moich babek, prababek… Gdzie one są?

— Tam — pokazał głową na miejsce, z którego wrócili. — Poszły na pogrzebowy stos razem ze swymi mężami.

— Ach tak — odpowiedziała twardo.

BOLESŁAW nie mógł uwolnić się od widoku kopców. Siemomysł, Lestek, Siemowit, Piast. Tak, przez jedną krótką chwilę, gdy zapłonęły ognie, a ojciec chwycił ich oboje za ręce i pociągnął za sobą, znów pomyślał o ofierze Abrahama, ale natychmiast odpędził od siebie tę wizję. Czuł, że nieprzypadkowo Mieszko pokazał im to miejsce, i teraz czekał, aż wyjaśni, w czym rzecz, ale ojciec milczał.

Z Gniezna ruszyli do Poznania. Po drodze Mieszko pokazywał im połacie młodniaków z wolna porastających wycięte przez dziadów lasy. Tysiące dębów, z których zbudowano niezdobytą potęgę piastowskich grodów. Minęli Ostrów Lednicki i nie zajeżdżając do grodu na wyspie, jechali dalej.

— Co to takiego? — spytał Bolesław, wskazując na porośnięte wysoką trawą owalne wzniesienie po prawej stronie drogi.

Świętosława, nie czekając na odpowiedź ojca, zboczyła z traktu i wjechała na skraj płaskiego, rozległego pagórka.

— Wygląda jak stare zgliszcza! — krzyknęła z góry. — Jak zgliszcza grodu! Ojcze?

— Wracaj! — warknął gniewnie Mieszko. — Wracaj natychmiast!

Siostra z ociąganiem opuściła wzniesienie, oglądała się raz po raz za siebie. Nie uszło uwadze Bolesława, że ojciec jest niezadowolony; mimo to zapytał Mieszka:

— Co tam kiedyś było?

— Nic, o czym warto dziś pamiętać — uciął książę i przywołał Świętosławę: — Córko, do mnie!

Bolesław zwolnił konia, zrównał się z jadącym dalej Wolradem. Przyboczny ojca wychylił się w siodle i szepnął, wskazując głową na zarośnięty pagórek: — Gród Mojra. Nigdy go przy księciu nie wspominaj.

Gdy wjechali do Poznania ciasno opiętego obronną wstęgą Warty i Cybiny, po ciszy leśnych traktów w uszy uderzył go gwar. Już na moście roiło się od kupieckich wozów, przed bramami krzyczały dzieci sprzedające złowione w Warcie ryby, a dalej przekupki z koszami jęczmiennych placków. „Z miodem! Z orzechami! Z solą z samiuśkiego Kołobrzegu!” — wołały melodyjnie. Młode dziewczęta zachwalały maliny i poziomki w miskach splecionych z zielonych liści. Książęcy drużynnicy wyróżniali się z daleka w miejskim tłumie podgrodzia, górując nad ludźmi wzrostem. Pomiędzy przechodniami przemykały psy, chłopcy od rzeźników odpędzali je od ojcowskich kramów; ktoś grał na fujarce, nęcąc sprzedawcę glinianych garnków. Z kuźni dochodził miarowy stuk młotów. Tkaczki rozkładały na ławach swoje dzieła, od płócien po barwne krążki zwiniętych krajek. Siwobrody dziad w obszarpanej sukni przycupnął z boku na murku, ale biegające wokół zasmarkane dzieciaki nie dały mu zmrużyć znużonych powiek.

— Opowiedz bajkę! Dziadku! Opowiedz o żmii, dziewczynie i orle!

— Nie! Ja chcę o kwiecie paproci!

W prowizorycznej zagrodzie kwiczały prosiaki na sprzedaż, a kury, gęsi i kaczki biły skrzydłami o ściany wiklinowych klatek. Wreszcie przejechali przez ostatnią z bram na spokojny dziedziniec palatium.

— O Maryjko! — jęknęła na ich widok jedna z okrągłych gospodyń książęcej kuchni. — Książę pan przyjechał z dziedzicem i dziedziczką!

Z głębi murowanej kuchni odpowiedział jej krzyk:

— A margrabianki z drobiazgiem nie ma?!

Gospodyni nie odpowiedziała, kłaniając się im głęboko i rumieniąc ze wstydu za to spoufalenie.

Gdy tylko stajenni wzięli od nich konie, Świętosława szepnęła:

— Ja chcę do matki.

Poszli więc razem ku przylegającej do palatium kaplicy. Szklana kostka, którą wyłożona była szczytowa ściana świątyni, odbijała światło niczym setka tańczących w powietrzu ogników. Pomodlił się w intencji Dobrawy i wstał. Siostra szepnęła:

— Idź sobie. Chcę zostać sam na sam z mamą.

Wyszedł i ruszył na piętro, do prywatnych komnat, potem zbiegł do świetlicy, szukając czegoś do zjedzenia. Wiedział, że Świętosława potrafi modlić się przy grobie matki godzinami. Dlatego był zaskoczony, gdy po niedługiej chwili siostra razem z ojcem stanęła w wejściu do świetlicy. Jeszcze bardziej, gdy za ich plecami zobaczył Jaksę i Bjornara.

Mieszko usiadł na wysokim krześle, Świętosława po jednej jego stronie, on po drugiej. Jaksa i Bjornar stali.

— Mów, nasz redarski wilku, co u twoich — odezwał się Mieszko.

Bolesław zacisnął szczęki. Ojciec nie mógł zacząć gorzej.

Świętosława parsknęła śmiechem.

— A mówicie, że to ja mam niewyparzony język!

— Co? — nie zrozumiał Mieszko.

— Jaksa ma dość powodów, by nienawidzić Redarów. Zapomniałeś, co mu zrobili?

— Powiedziałem „nasz wilku” — żachnął się Mieszko.

— Powiedziałeś „co u twoich” — odpyskowała mu Świętosława. — U jakich „twoich”? Redarowie go wygnali, nie wybaczyli mu chrztu, choć…

— Dlatego powiedziałem „nasz”! — obstawał przy swoim Mieszko.

— Wasz — odezwał się Jaksa. — Jestem wasz.

— No to mów! — zakończył spór ojciec.

— Wieleci znowu zbierają wszystkie swoje plemiona — zaczął Jaksa. — Doszanie, Morzyczanie, Sprewianie, Lubuszanie, Stodoranie, Chyżanie,

Wkrzanie, Tołężanie i Czrezpienianie się zbroją. Rok temu przygotowali się do wojny tak skrycie, że ich atak zaskoczył cesarstwo. Teraz nie wykazują przesadnej ostrożności. Wieleci wezwali wodzów plemion do kąciny w Radogoszczy. Tam, po burzliwym wiecu, dowództwo nad zjednoczonym wojskiem powierzono Redarom.

— Kto jest dzisiaj wodzem Redarów? — przerwał Jaksie Mieszko.

— Wojbor.

— Wojbor? Nie znam. To musi być któryś z młodych.

— Ma trzydzieści lat. Wsławił się zeszłorocznym atakiem na Brennę. To on wyjął z grobowca ciało biskupa Dodilona i obdarł trupa z szat. I on podpalił ołtarz katedry, gdy zakończyli na nim zwycięską ucztę.

— Znasz go? — spytał zaciekawiony ojciec.

— Tak, książę. Wojbor to był kiedyś mój brat.

Zaległa cisza. Bolesław jak nikt inny wiedział, że dla Jaksy każde wspomnienie rodziny, która się go wyrzekła, było niczym stąpanie po rozżarzonej blasze. Chłopak nie miał pięciu lat, gdy ojciec, wówczas wódz Redarów, musiał go oddać cesarzowi jako zakładnika. Sasi traktowali Jaksę brutalnie, jak dzikie słowiańskie szczenię. Ochrzcili siłą i odesłali ojcu. Ale Redarowie odrzucili Jaksę, niczym suka miot, na którym poczuje obcą woń. Zwrócili go do Magdeburga, jakby był workiem prosa, niczym więcej. Bolesław, który sam był wówczas zakładnikiem Ottona, wyprosił Jaksę od margrabiego Hodo, a ten chętnie się pozbył krnąbrnego Redara. Jaksa od tamtej pory żył w gniewie. Nienawidził po równo Redarów i Sasów za to, co mu zrobili. Nazywał siebie „bękartem Swaroga” i „pasierbem Chrysta”. Stał za tym ból, gdyż jedni się go wyparli, a drudzy wzięli gwałtem. W głębi duszy czuł się niczyj i dlatego z niemal psią wiernością należał do Bolesława i Mieszka.

— Potem kapłani Swaroga wyprowadzili święte konie — kontynuował Jaksa głosem, w którym nie było znać żadnych uczuć. — Biały rumak ognistego boga przeszedł nad włóczniami, nie trącając żadnej malowanym na czerwono kopytem. Zawyli. Wojbor włożył bojowy szyszak. Jego szczyt zdobi od zeszłego roku pęk jasnych włosów. Ponoć należały do Urszuli, najmłodszej z mniszek klasztoru w Kalbe. Biały rumak drugi raz ruszył nad włóczniami. I znów nie trącił żadnej. Gdy trzeci raz święty ogier bez przeszkód pokonał drogę, uznano, iż wyrocznia spełniona. Podnieśli zgiełk i Wojbor przysiągł, że poprowadzi ich do zwycięstwa nad Sasami i każdym z ich sojuszników…

— Czy wymienił ich imiona? — przerwał mu Mieszko.

— Tylko jedno, książę. Twoje.

— Księcia Czech nie wspomniał?

— Nie, panie, ani słowem. Powiedział za to, że pierwszym celem uderzenia powinna być Miśnia.

Bolesław widział, jak w ojcu wzbiera gniew. Nie wiedział jednak, czy bardziej go boli prawdopodobna zdrada Czechów, czy to, że Redarowie pohańbili klasztor Ody. Przez krótką chwilę Bolesław wyobraził sobie, że to pęk włosów macochy nosi Wojbor na hełmie.

— Bjornar! — zawołał Mieszko, dziękując Jaksie skinieniem głowy. — Czego się dowiedziałeś o Danach i Obodrytach?

— Sven wykorzystał wrzenie Połabia, nie tylko by odbić Hedeby z rąk saskich, ale przede wszystkim w rozgrywce z własnym ojcem. Pokazał Danom, że jest szybki i skuteczny. Harald też ruszył do walki z Sasami, ale zrobił to z większą rozwagą i dzięki temu jego syn obwieścił, że stary jest gnuśny i niezdolny do sprawowania władzy…

Bolesław nawet nie drgnął, słuchając o buncie syna.

— …by zaś nikt nigdy nie zapomniał, kto jest wybawcą Hedeby, kazał swe imię runami wybić na wielkim głazie, który ustawił w porcie.

— Sven, syn Haralda — powiedział Mieszko, kładąc rękę na ramieniu Świętosławy.

W głosie ojca Bolesław usłyszał coś, co mogło być i podziwem, i drwiną. Świętosława spojrzała na Mieszka tak, że ojciec cofnął rękę.

— Niezależnie od swarów między ojcem a synem sojusz Danów z Obodrytami jest pewny — dokończył Bjornar.

— A Obodrytów ze Związkiem Wieleckim możliwy — dodał Mieszko. — Co w Jomsborgu? Wikingowie zostali wciągnięci do gry?

Jomsborg był przedmiotem nieustannej uwagi ojca. Warownię wikingów w Jom założył król Danów, Harald, i o ile Mieszkowi od czasu pokonania Wichmana udało się zdobyć wpływy w sąsiadującym z Jom bogatym porcie wolińskim, o tyle sam Jom pozostawał pod pieczą Haralda. Wprawdzie jomswikingowie głosili swą niezależność od wszelkiej władzy i mogli wziąć płatne srebrem zlecenie, od kogo chcieli, ale ich honorowa wierność Haraldowi była legendarna.

— Do samego Jomsborga nie wpłynąłem — szczerze przyznał Bjornar. — Żelazne wrota morskiej warowni otwierają się tylko dla swoich. Ale na jednej z wysp niedaleko Rugii jest gospoda, w której krzyżują się wszystkie szlaki i aż kipi od wieści. Tam dowiedziałem się, że jomswikingowie nie wezmą udziału w rozgrywce z cesarstwem. Dostali wezwanie na inną wojnę.

— O co? — szybko zapytał Mieszko, a Bolesław pomyślał, że to dziwne, iż ojciec gani Świętosławę za wyrywność.

— O Północ, książę — odpowiedział Bjornar. — Harald chce udowodnić Danom, a przede wszystkim własnemu synowi, że wciąż jest władcą Północy. Norwegia, nad którą ma zwierzchność, wymyka mu się z rąk. Jarl

Hakon, wódz panów Północy, którego ustanowił swoim namiestnikiem w Norwegii, wypowiedział mu posłuszeństwo. Nie płaci danin, nie przysyła wojska na wezwanie Haralda, rządzi niczym udzielny władca. Harald wezwał jomswikingów, by najechali Norwegię i pokonali jarla Hakona.

— Jeśli im się uda i Harald odzyska norweskie armie, jego siły wzrosną w dwójnasób. Będzie mógł je rzucić na wojnę przeciw Sasom. — Mieszko uderzył pięścią w rzeźbione oparcie krzesła. — Potwierdziłeś to, Bjornarze? A może wojna o Północ to tylko przechwałki pijanych wikingów?

— Potwierdziłem, książę.

Mieszko wstał i powiedział:

— Jestem niezadowolony z wieści, które przynieśliście. Ale wy, młodzi zwiadowcy, podobacie mi się bardzo.

Bjornar i Jaksa wychodzili wyprostowani. Pochwała od księcia. Rzadka rzecz. Bolesław zagryzł wargi i zastanowił się, kiedy słyszał ją ostatnio.

MIESZKO odprawił Jaksę i Bjornara i zaczął krążyć po obszernej świetlicy poznańskiego palatium. Gdy wreszcie schłodził kipiący w nim gniew, powiedział do Bolesława i Świętosławy:

— Jesteśmy osaczeni.

Patrzyli na niego spokojnie. Siedemnastoletni syn i piętnastoletnia córka. Nigdy ich nie okłamywał, ale też do tej pory nie dzielił się z nimi prawdą tak otwarcie. Mówił dalej:

— Pierścień nieprzyjaciół na zachodniej granicy się zaciska. Na północy Danowie połączyli się z Obodrytami. Ci zaś, choć przez lata wyłamywali się ze wspólnoty ze Związkiem Wieleckim, teraz pójdą z nim ramię w ramię. Na południu do Wieletów dołączą Czesi.

— Tego zwiadowcy nie powiedzieli — zauważył Bolesław.

— Twój wuj, a mój szwagier, książę czeski, przysłał mi osobne zaproszenie do współpracy — kwaśno wyjaśnił Mieszko. — W najeździe

na Miśnię.

— Chrześcijańscy Czesi razem z pogańskimi Wieletami? — Świętosława uniosła brwi z niesmakiem.

— Nie pierwszy raz, córko. Tobie Czesi kojarzą się z matką. Jeśli chcesz zrozumieć, na czym polega prowadzenie wojen, musisz o tym zapomnieć.

— Nie muszę — odparowała mu Świętosława. — Wystarczy, że zapamiętam, iż po jej śmierci nie jesteśmy zobowiązani do pozostania w sojuszu.

Czasami miał ochotę ją udusić, ale za każdym razem jeszcze bardziej pamiętał, że jest jego córką.

— Wiosną, na zjeździe w Kwedlinburgu władcy Czech, Obodrytów i Miśni poparli Henryka w walce o tron cesarski.

— Ty też — dodała Świętosława.

— Chcesz słuchać dalej czy wiesz już wszystko? — syknął na nią.

— Słucham, ojcze. — Zrobiła minę tak niewinną, że mógłby się na nią nabrać.

— Henryka poparła także część panów Rzeszy, ale w ostatnich tygodniach opuszczają go, jeden po drugim przechodząc na stronę cesarzowej wdowy. Henryk będzie zmuszony do współpracy z poganami, bo sięgając po pomoc Czechów i Obodrytów, w istocie za sojuszników będzie miał cały Związek Wielecki.

— Z tego, co rozumiem, ojcze — odezwał się Bolesław — chcesz wbić klin w te sojusze.

— Wycofam poparcie dla Henryka na rzecz Teofano. Nie wesprę Czechów przeciw Miśni, ale wesprę Miśnię przeciw Czechom. I poprę wrogów Danii, by osłabić ją samą i rozbić jej jedność z Obodrytami.

— Uf! — wyrwało się Świętosławie.

— Co znowu?

— Bałam się, że Svena sobie upatrzyłeś na zięcia.

— Nie lubisz wikingów? — spytał tonem możliwie obojętnym.

— Nie lubię synów występujących przeciw ojcom, tato — odpowiedziała jak najpokorniejsza z córek.

— Cesarzowa cię przyjmie? — spytał Bolesław. — Dwukrotnie poparłeś Henryka. Ma prawo być nieufna.

— Przyjmie każdego chrześcijańskiego sojusznika, choć masz rację, synu. Kobiety, które posiadają władzę, są wyjątkowo mściwe. Teofano jest do tego pamiętliwa, no i wredna.

— Czy ja dobrze słyszę? — odezwała się jego córka. — Gdy mówiłeś o Mściwoju, Boleslavie czy Svenie, ani razu nie użyłeś słów obraźliwych, a przy Teofano znalazłeś ich tyle! Mściwa, pamiętliwa, wredna. Może jeszcze harda?

— Harda to ty jesteś, córko! — Z trudem pohamował złość. — A cesarzowa gra wobec mnie nieczysto. Nie zauważyłaś, że po śmierci Jordana nie przybył do Gniezna kolejny biskup? Konsekrowano dla nas Ungera, opata Memleben. Od dwóch lat czekam na niego, a grecka suka nie pozwala mu opuścić opactwa!

— Mściwa, pamiętliwa, wredna suka, a tyle władzy posiada — słodkim głosem wysyczała Świętosława. — Bardzo lubię słuchać o cesarzowej Teofano.

Miał ochotę uderzyć córkę, a nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

— Na jej miejscu byłabyś jeszcze gorsza, Świętosławo!

— Bardzo bym chciała być na jej miejscu, tato.

— To się ucz! — krzyknął na nią tak gwałtownie, że jastrząb przeskoczył z jego ramienia na oparcie krzesła. — Kobieta wkłada na głowę koronę tylko jako żona władcy! A żona władcy musi być mądra, by ten jej nie oddalił i nie wziął sobie innej. A nade wszystko musi urodzić następcę!

Świętosława wyciągnęła rękę. Nie do niego, do jastrzębia. Drapieżnik przekrzywił łeb i spojrzał na nią złotym okiem. Wszedł na jej ramię ostrożnie.

— A ja sądzę, że musi być przede wszystkim silna — odpowiedziała, unosząc na niego oczy. — By nie umrzeć w połogu. By w dobrym zdrowiu przeżyć męża, jak Teofano Ottona. I wreszcie móc rządzić jako wdowa i regentka. Dobrze pojęłam dzisiejszą lekcję, tato?

Patrzył na nią. Miała włosy w kolorze jantaru. Jasną cerę i ciemne brwi. Oczy zielone jak on lub szare jak Dobrawa. Była brzydka, bo podobna po trochu do nich obojga. I piękna, bo w całości niepodobna do nikogo.

Przed zachodem słońca zabrał Bolesława i Świętosławę nad Wartę. Na przeciwnym brzegu kręciła się grupa młodych ludzi. Wbijali w ziemię świeże pale, znosili wielkie wiązki chrustu. Niedługo sobótka.

— W tym roku ty pobłogosławisz młodą parę — powiedział do Bolesława.

— Dlaczego nie mogę pojechać z tobą na Hoftag? — żachnął się syn.

— Byłoby rzeczą skończenie głupią wystawiać władcę i jego następcę. Gdyby coś miało się zdarzyć, rzecz jasna.

Jastrząb na jego ramieniu zaczął przestępować z nogi na nogę. Był głodny.

— Spodziewasz się niebezpieczeństwa? — odezwała się Świętosława.

— Naznaczasz mnie na następcę? — jednocześnie spytał Bolesław.

— Tak.

— Tak co? Niebezpieczeństwo czy następca? — Córka się zaśmiała.

To czasem jedno i to samo, dziewczyno — pomyślał i powiedział na głos:

— Będziesz moim następcą, gdy umrę. To chyba nie budzi niczyich wątpliwości.

Nawet jeśli nie podoba się mojej Odzie — dodał w duchu.

Wzruszył ramionami i wypuścił jastrzębia na łowy. Ptak odbił się potężnymi łapami od jego rękawicy. Mocno bił skrzydłami, nabierając wysokości. Mieszko uniósł głowę, śledząc jego lot. Był ciekaw, na co drapieżnik zapoluje. W zasięgu wzroku dostrzegł niewielkie stado wron. Usłyszał ich ostrzegawcze krakanie. Jastrząb musiał je zobaczyć dużo wcześniej, bo leciał ku nim z coraz większą prędkością. Nie marnował czasu na okrążenie przerażonych ofiar. Po prostu nagle zniżył lot i wbił się pomiędzy nie ślizgiem. Rozpierzchły się, a jego myśliwy leciał ku ziemi z jedną z nich w szponach.

— Pięknie jest zwyciężać. — Mieszko się przeciągnął i spojrzał na dzieci. Jastrząb wylądował i ostrym dziobem szarpał zdobycz. — Pytałaś, czy spodziewam się niebezpieczeństwa? Tak, zawsze. Spodziewam się go na każdym zjeździe panów Rzeszy. Na każdej wyprawie wojennej, polowaniu, uczcie, nawet gdy wchodzę z żoną do łoża i, uprzedzę twoje pytanie: nieważne, czy to była Dobrawa, czy teraz Oda. Byłbym głupcem, gdybym nie był na nie gotów w każdej chwili. Ale… — roześmiał się, rozkładając ramiona — nie boję się go! Lęk odbiera człowiekowi wolność, paraliżuje mocniej niż kalectwo.

Jastrząb skończył jeść i znów wzbił się w powietrze. Chłopcy po drugiej stronie Warty ćwiczyli grę na piszczałkach. Dobiegały do nich nierówne, przecinane śmiechem dźwięki.

— Cztery kopce jak cztery strony świata — powiedział i choć wzruszał się rzadko, poczuł, że teraz coś podchodzi mu do gardła. — Piast zdobył posłuch na wiecu. Siemowit wziął władzę po nim i za jego czasów wojna goniła wojnę. Skupił się na odpieraniu ataków wrogich plemion. Lestek zaś zrozumiał, że jeśli zaraz po udanej obronie wyprowadzi atak na siedziby nieprzyjaciela, to zyska podwójnie. Nim przekazał władzę Siemomysłowi,

jego grodzisk i wsi już nie atakował nikt. Mój ojciec mógł się skupić na umocnieniu kraju.

Młodzi ludzie zza rzeki rozpalili ognisko. Jeden z nich naciągnął łuk i odpalił od ognia strzałę. Wycelował w słomiany wieniec na palu.

— Dostałem od ojca piękną ziemię, ale to było dla mnie za mało.

Zatrzymał się. Czy ma im mówić o wiecznym głodzie? O tym, że urodził się z nim i do dziś nie umie go ukoić? Że czuje nieustanny niedosyt, że gdy patrzy na las, nie interesują go drzewa, tylko to, co jest za nimi? Że patrząc na zachód słońca, myśli o tym, jak wzejdzie? Jak ma im to powiedzieć?

Za Wartą jasnym blaskiem płonął wieniec na szczycie pala. Chłopcy zaczęli tańczyć wokół niego.

— Mój dziad i ojciec osiągnęli wiele, ale wciąż byli tylko plemiennymi wodzami. Musieli stawać przed wiecem i wysłuchiwać w nieskończoność gadania ludu. A ten, jak dostanie prawo głosu, będzie się go trzymał! Będzie mógł oceniać władcę, karać wodzów i nagradzać. Lud patrzy tylko na to, co przed nim: żniwa, pełen spichlerz, sąsiada, co mu porwał krowę, ochwaconego konia, chore dziecko. To też jest życie, ale władca musi widzieć więcej.

Zapadał zmrok. Jastrząb zaskrzeczał parę razy i zniżał się ku nim długim lotem. Mieszko naciągnął skórzaną rękawicę i wystawił ramię.

— Bo jeśli przyjdzie wróg, nie będzie żniw. Jeśli sąsiedzi wyczują naszą słabość, wciąż będą nachodzić i kraść nasze konie, krowy i kobiety, które nie nam, lecz im będą rodzić dzieci.

Wieniec spłonął, chłopcy dogaszali ognisko.

Z nurtem Warty przypłynęła wąska, zwinna łódź z niewielkim białym żaglem, prowadzona przez jednego wioślarza.

— Chrystus był dla mnie objawieniem. Czekałem na taką naukę całe życie jak na znak, pod którym zwyciężę. Na Boga, który daje władcy prawo

do sprawowania władzy.

Kilku chłopców weszło w nurt rzeki, ale tylko jeden z nich zrzucił koszulę, wszedł do łodzi i popłynął z wioślarzem. Biały żagiel załopotał na wietrze. Tamci stali i patrzyli, jak odpływa.

— Nie wiec, nie kapłani, nie lud. Tylko Bóg.

Pozostali wrócili i znów zaczęli grać na piszczałkach.

— Nie bogowie ognia, słońca, wody, wojny i pokoju, życia, śmierci, żniw, inni dla każdego plemienia! Jeden Bóg Wszechmogący. Tylko On i ja. Jeden Pan i jeden władca. Od dnia chrztu Bóg dał mi prawo do władzy, a ja otworzyłem Mu granice swego kraju.

Jastrząb zaczął czyścić pióra, przeszkadzało mu to w skupieniu myśli. Wyciągnął rękę, by drapieżnik przeszedł na ramię Bolesława.

— Postawiłem na wojsko. Doborowe, wyszkolone i uzbrojone przeze mnie. Zawsze gotowe do ataku i obrony. I podwoiłem ziemie, które przekazał mi ojciec.

Patrzył na syna ze swoim jastrzębiem na ramieniu. Zobaczył siebie nie w przeszłości, ale w przyszłości. Powiedział wolno:

— Tak, jestem drapieżnikiem, ale nie poluję sam. — Spojrzał im w oczy, kolejno. Wzruszenie dławiło go w gardle. — Was, dorosłe dzieci, mam tylko dwoje, a mój głód sięga czterech stron świata. Zrozumcie. Dlatego nie mogę poprzestać tylko na was. Muszę sięgnąć i po waszych przyrodnich braci, synów Ody.

Objął dzieci, zagarnął ramionami, przycisnął do siebie. Poczuł ciepło bijące z ich ciał. Byli kością z jego kości. Krwią z krwi. Właśnie zamierzał odebrać im dzieciństwo.

SVEN płynął do Jomsborga, morskiej warowni, prowadzony przez łódź Sigvalda. Rozglądał się, był tu pierwszy raz. Bez przewodnika trudno było znaleźć to miejsce w zatoce, gdzie przez wąską gardziel uchodziła do niej

cieśnina zwana Dziwną. Wpłynęli w nią i poruszali się na samych wiosłach płytkim nurtem. Po obu brzegach falowały morskie łąki. Daleko w głąb lądu ciągnęły się mokradła. Żywej duszy poza dwoma rybakami zbierającymi wiklinowe kosze na ryby.

Stary skurczybyk świetnie wybrał miejsce — pomyślał o swym ojcu, Haraldzie. Cieśnina skręciła łagodnym łukiem i gdy tylko dziób łodzi wychynął zza niego, Sven niemal jęknął. Nad nurtem wznosiła się wielka, drewniana brama wsparta na kamiennym murze. Ponad nią przerzucony był murowany most z wartownią, gdzie czatowali zbrojni. Sigvald zatrzymał swoją łódź i dał im znać, by stanęli jak on.

— Statek i sternik? — zakrzyknął wartownik, choć musiał widzieć znaki i Sigvalda, i jego.

— „Zelandzki Sokół” jarla Sigvalda i „Krwawy Lis” młodego króla Svena Haraldssona!

Wtedy znad bramy rozległ się niski dźwięk rogu i skrzypnęły zawiasy. Wielkie drewniane wrota zaczęły uchylać się do wnętrza. Sigvald nie ruszył i po chwili Sven zobaczył dlaczego: za pierwszymi wrotami, w czeluści pod kamiennym mostem, była jeszcze jedna brama, żelazna. Na każdym z jej skrzydeł widniał wielki, kwadratowy pysk wilka, znak wikingów z Jom. Przepływając pod kamiennym mostem, między drewnianą a żelazną bramą, Sven zrozumiał, dlaczego Jomsborg uchodzi za twierdzę niemożliwą do zdobycia. Za jego plecami szczęknęły żelazne wrota. Woda ponuro uderzyła o przepust.

Wpłynęli do ciągnącej się w nieskończoność przystani, gdzie mogłaby się pomieścić setka długich łodzi. Teraz cumowało pięćdziesiąt, nie więcej. Zszedł z pokładu i idąc za Sigvaldem, przyglądał się witającym go jomswikingom. Stali w milczeniu długim szpalerem aż po wejście do sporego dworu, zwanego tu domem wodzów, i patrzyli na niego równie

chciwie, jak on na nich. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ich zadaniem jest zasłonić mu widok na wnętrze warowni. I że przyglądając się mu, porównują go z jego ojcem.

Jestem tak samo rudy jak on, ale wyższy o głowę — pomyślał mściwie.

Przed dworem czekali na niego wodzowie trzech jomsborskich domów i jarl jomswikingów, jego wychowawca, Palnatoki.

— Młody królu! — powitał go oficjalnie.

— Jarlu! — odpowiedział Sven i rozłożył ramiona. — Witaj, stary przyjacielu!

Uściskali się. Sven poczuł, jak zasycha mu w gardle. Palnatoki, którego trzymał w ramionach, był kruchy. Skóra na jego policzkach obwisła, kreśląc w twarzy dwie głębokie bruzdy.

— Świetnie wyglądasz! — skłamał, bo prawda nie przeszłaby mu przez usta.

Stary spojrzał na niego tak, że gdyby byli sami…

— Zapraszam na ucztę, młody królu. Przybysz z daleka czeka na ciebie.

W długiej halli płonął ogień. Na ścianach tarcze pokonanych wrogów. Ławy zasłane zwykłą baranicą. Misy i kielichy bez zdobień. Żadnych zbytków, żadnych wygód i ani jednej kobiety, bo prawo Jomsborga zabraniało im wstępu do twierdzy. Nim tu przybył, sądził, że to mrzonka. Teraz zobaczył, że nie dość, iż nie ma kobiet, to brakuje również służby. Niewielkie dzbany z miodem stały na stole, jakby każdy miał sobie lać sam. Przy stole wodzów wszystkie miejsca były równe. Siadł po prawicy Palnatokiego, jako gość. Obok niego spoczęli Sigvald i Thorkel, zelandzcy bracia, którzy wraz z nim odbili od Sasów Hedeby, a teraz byli wodzami dwóch jomsborskich domów. Przy Palnatokim siadł Gruby Bue i Vagn. Do halli wszedł młody, ciemnowłosy mężczyzna w kosztownym, haftowanym srebrem kaftanie i skłonił przed Svenem głowę.

— Styrbjorn, syn Olofa.

— Nie znałem twego ojca, ale wiem od tych, co z nim walczyli, że zasługiwał na miejsce w Walhalli.

— Prawda — potwierdził Styrbjorn. — Póki żył, sprawiedliwie współrządził krajem. Gdy odszedł, jego brat Erik nie uznał mych praw do władzy. Wydziedziczył mnie z ojcowskich ziem i postanowił samowładnie rządzić Szwecją.

Styrbjorn zaciskał szczęki, tak że słowa wydobywały się z niego ze zgrzytem.

Syn z ojcem, bratanek ze stryjem — pomyślał Sven. — Każdy z nas walczy o władzę.

— Czego oczekujesz ode mnie? — spytał na głos i zrozumiał, że ustawienie stołu wodzów nie jest przypadkowe. Siedzą w jednej linii, nie patrząc na siebie nawzajem, gdy rozmawiają z gościem lub przesłuchują oskarżonych.

— Wsparcia w walce z Erikiem — odpowiedział Styrbjorn.

— Ile lat ma twój stryj? Był starszy od twego ojca, jeśli pamięć mnie nie myli. Czy nie bardziej opłaca ci się poczekać, aż umrze?

— Ojciec nie umarł w łożu — wzburzył się przybysz. — Erik ma ponad czterdzieści lat i wciąż jest silny jak odyniec! Nie chcę czekać na jego śmierć, chcę mu ją zadać!

Mój jest starszy — przeszło przez myśl Svenowi — i też wolałbym się go pozbyć od ręki.

— Jeśli udzielę ci pomocy, co masz dla mnie w zamian? — spytał bez ogródek.

— Podzielę się skarbcem Erika.

— To za mało — powiedział Sven. — Za srebro walczą jomswikingowie, a ty prosiłeś o spotkanie z królem. Królowi prócz

skarbów trzeba zaproponować coś jeszcze!

Sięgnął po dzban, nie dlatego, że był spragniony, ale dlatego, że potrzebował pretekstu, by spojrzeć na wodzów z Jom. Jakie wrażenie na nich wywarły jego słowa? Nic nie dostrzegł. Siedzieli odchyleni w tył. Ich twarze mógł widzieć tylko przybysz.

— Co masz na myśli, panie? — Styrbjorn wyraźnie się zaniepokoił.

— Władzę, gościu! — odpowiedział Sven. — Jeśli zdobyłbym dla ciebie tron szwedzki, to znaczy, że sam byłbym zdolny na nim zasiąść. Jaki więc miałbym interes, by oddawać go tobie?

— Młody król ma na myśli namiestnictwo — wtrącił się Palnatoki.

— Nie rozumiem. — Styrbjorn przyjrzał się mu nerwowo, a potem przesunął wzrokiem w prawo i lewo po twarzach wodzów.

— Zdobywając na Eriku tron, przekazałbym go tobie jako memu namiestnikowi w Szwecji. Teraz jest to dla ciebie jasne?

Styrbjorn poczerwieniał. Tak, dotarło do niego. Wstał od stołu i powiedział:

— Nie mogę się na to zgodzić, panie. Pozwolisz, że się pożegnam.

Sven skinął mu głową i młody Szwed wyszedł.

— Chcę mówić tylko z tobą — szepnął Palnatokiemu na ucho, gdy Sigvald odprowadzał gościa.

Jarl gestem dłoni poprosił wodzów, by zostawili ich samych.

— Zraziłeś go do siebie, chłopcze — powiedział stary, gdy zostali we dwóch.

— Nie przypadkiem — odpowiedział Sven, przestawiając krzesło tak, by siedzieć z Palnatokim twarzą w twarz. — Mam kłopoty, Palnatoki, i nie mogę mu pomóc. Ale wolę, by myślał, że nie zrobię tego, bo to on nie może mi zapłacić tak, jak ja chcę.

— Sprytne. Dość sprytne — pochwalił wychowawca. — Gdybym cię nie znał, wziąłbym się na to. Pomyślałbym, żeś butny, że ho, ho.

— Zrobiłem to też dla nich — wskazał głową w stronę pustych krzeseł wodzów. — Dom żeglarzy, dom zwiadowców, wojowników, gospodarzy. Czterech potężnych jarlów Jom! Każdy z nich porównuje mnie do Haralda i każdy z nich zastanawia się, kto lepszy. Ojciec czy syn? — Wyciągnął rękę i chwycił starego za ramię. — Palnatoki, tobie ufam, ale im nie. Oni i każdy jeden z jomswikingów są wierni memu ojcu. Wiesz, czego się boję? Że jak dojdzie do rozprawy ze starym, to twoi żelaźni chłopcy na gwizdnięcie Haralda ruszą przeciw mnie!

— Póki żyję, to się nie zdarzy. Ale spójrz na mnie. Skóra powleczona kośćmi. — Palnatoki splunął na klepisko i roztarł ślinę butem. — Pasem owijam się jak…

— Jesteś chory? Co ci, do diabła, jest? — Sven patrzył z niepokojem na zapadnięte policzki starego.

Ten wzruszył ramionami.

— Kończę się.

— Przestań! Dorsz suszony na wietrze chudnie, ale jest twardy i gdy go włożysz do wody… Palnatoki, ty musisz wypłynąć w morze, nie gnij w warowni, rusz się gdzieś! Choćby z tym chłopcem, Styrbjornem. Wyznacz słoną cenę, wsadź tyłek na drakkar i płyń, dobrze ci to zrobi!

— Jeśli życie to dzban pełen miodu, ja, mój mały, jestem ostatnim łykiem. Ale może masz rację. Śmierć z mieczem w ręku, śmierć na morzu… to jest coś w sam raz na dobry koniec.

Sven nie chciał tego słuchać. Chwycił za swój dzban i odstawił go, jakby się sparzył. Przypomniał sobie, że nic w nim już nie ma. Wstał i przyniósł nowy. Polał im do kubków. Wychylili. Zamiast słodyczy wyczuł sól.

Sven, nie bądź dzieckiem, nie maż się! — Ugryzł się w język.

— Co będzie po tobie?

— Może Ragnarök? — zażartował Palnatoki.

— Przestań! — Sven uderzył pięścią w stół. Nie godził się z odejściem starego. Ten mówił prosto i rzeczowo:

— Nowego jarla wybiorą wszyscy jomswikingowie, głosując na jednego z czterech wodzów domów. Jeżeli wybór padnie na Vagna lub Grubego Bue, Jomsborg zostanie wierny twemu ojcu. Ci dwaj są mu oddani jak mniszki Chrystusowi. Ale jeśli wybiorą Sigvalda lub jego brata, Thorkela, masz szansę. Chyba że zastosujesz się do rady, której sam udzieliłeś młodemu Szwedowi. — Wyszczerzył do niego nierówne zęby. — Zaczekasz na śmierć Haralda. Wtedy jednak musisz się zjawić w Jom natychmiast, choćby na drugi dzień.

— Bo?

— Bo coraz większe zakusy na Jom ma Mieszko, książę Vindlandu. W Wolinie już właściwie rządzi on. A to tak blisko. Kiedyś Harald marzył, że dzięki Jomsborgowi zdobędzie Wolin, ba, po to go pewnie budował, ale to była mrzonka. Wolin stoi złotem, srebrem i niewolnikami. Płaci nam za ochronę portu i kupieckich statków, więc złupienie Wolina byłoby podcięciem gałęzi, na której się siedzi, i umoczeniem całej dupy. Kupcy przestaliby tu zawijać, a srebro raz zrabowane w końcu się przeje. Więc Jomsborg i Wolin czerpią z siebie korzyści. My ich chronimy, oni nam uczciwie płacą. Nasi chłopcy zawijają tam na dziwki, lepsze żarcie i po błyskotki. U wolińskich kupców sprzedają łupy. Dobre sąsiedztwo. Tyle że Wolin równie pięknie współpracuje z Mieszkiem i jeśli tak by się stało, że jarlem Jom zostanie ktoś, komu bliżej będzie do księcia Słowian niż do ciebie, to sam rozumiesz, chłopcze. Zresztą, jakbym był na twoim miejscu, to wpadłbym do Wolina jeszcze dziś wieczór lub choćby jutro. Tylko zostaw „Krwawego Lisa” w Jomsborgu, nie potrzeba ci w tej sprawie

rozgłosu. Żeglarze Sigvalda dadzą ci jakąś małą, nierzucającą się w oczy łódkę.

— Mściwój badał Mieszka w sprawie żony dla mnie. — Sven odgarnął włosy z ramion.

— Bardzo pięknie.

— Właśnie że całkiem źle. — Sven się skrzywił i dolał sobie. — Mieszkowi nie pasuje, że wolę starych bogów.

— Jesteś tak samo zachłanny, jak rudy, chłopcze! — Palnatoki roześmiał się szczerze. — Po coś ty pytał o córkę Dobrawy, gdy oni nazwali ją nawet jak jakąś świętą? Mieszko ma dwie inne dziewczyny na wydaniu, a żadna z nich nie jest ochrzczona. Jedna to Astryda, wnuczka Dalwina, wolińskiego jarla. Robi wrażenie, a wiem, co mówię, bo widziałem dziewczynę nie raz. Ta by się zdawała stworzona dla ciebie, co? Ale właśnie dlatego Jastrząb z Vindlandu ci jej nie da, bo jest tak samo bystry jak my. Pomyśl o Geirze, młodej wdowie.

— Geira? O tej nie słyszałem.

— Wdowa po jarlu Bornholmu. Pasuje?

Sven się zachmurzył. Pasowałoby, i to jak, gdyby nie wojna z Sasami, w którą wdepnął. Po paśmie zwycięstw nastał czas posuchy, a cesarzowa Teofano przegrupowała siły i jej wojska zaczynają powoli odbijać stracone ziemie. Piękna Geira z Bornholmu nie pomoże mu bronić się przed Teofano. Ale za młodą obodrycką księżniczką, którą podsuwa mu Mściwój, poszłoby jej wojsko.

— Pomyślę, stary druhu — odpowiedział wymijająco i zmienił temat. — Prawda to, że płyniecie na wezwanie mego ojca? Będziecie łupić Norwegię?

— Nie łupić, tylko dyscyplinować. Panów Północy i jarla Hakona, żeby przypomniał sobie, że jest poddanym twego starego. Moi chłopcy rwą się

do tej wojny jak do nocy poślubnej.

— Kiedy wciągacie bojową tarczę na maszt?

— Lada dzień.

Sven pomyślał przez chwilę, że ta wojna jest i w jego interesie. Dobrze by było przejąć w schedzie po Haraldzie nie tylko Danię, ale i Norwegię. Tak jak ojciec panował w swoich najlepszych czasach. Ale powściągnął się szybko, pamiętając, że póki co ma Sasów na karku i jeśli nie obroni tego, co na nich zdobył, to może zapomnieć o poważaniu w kraju i wzięciu władzy po starym.

— Skoro lada dzień, to znaczy, że nie masz wolnych chłopców od ręki? Potrzebowałbym kilku dobrych załóg — wydusił to, z czym naprawdę przypłynął, siląc się na lekki ton.

— Nie mam, chłopcze. Na rozprawę z panami Północy popłyną wszyscy moi ludzie. Wybrałeś zły czas. — Palnatoki smutno popatrzył mu w oczy.

Svenowi coś podeszło do gardła, bo dostrzegł, że jego źrenice są mętne, niemal pozbawione barwy.

— Do zobaczenia, druhu! — pożegnał się.

— W Walhalli, synu — odpowiedział mu stary jarl.

ŚWIĘTOSŁAWA ściskała na przemian Astrydę i Geirę. Nie mogła się nimi nacieszyć.

— Trzy siostry! Wreszcie razem jak za dawnych, pięknych lat! Pamiętacie, jak łowiłyśmy pstrągi w Moskawie? Ależ to było!…

— Pamiętam, jak podarłaś suknię, i „ależ to było”, księżna Dobrawa ukarała mnie. — Geira pogłaskała ją po policzku.

— A ja ci nie wypomnę, że największy z pstrągów, jakie widziałam w życiu, zerwał mi się z wędki, gdy zaczęłaś krzyczeć, że mam szybciej ciągnąć! — Astryda uszczypnęła ją w ramię. — Wyrosłaś, Świętosławo. Tak miło na ciebie patrzeć.

— Chcesz powiedzieć, że byłam brzydkim dzieckiem?

— Nie… — wycofała się starsza siostra.

— Mów, od ciebie przyjmę nawet truciznę!

— Tak! — Astryda parsknęła śmiechem. — Byłaś niełądną i nieznośną małą dziewczynką. Panny dworskie twojej matki modliły się do zdrowej Marii, gdy Dobrawa kazała im po ciebie iść…

— Nie do „zdrowej Marii”, poganko! — Świętosława pogroziła Astrydzie. — Specjalnie przekręcasz, robisz mi na złość!

— Nieprawda, tak właśnie szeptały! Chcesz wiedzieć, jak cię nazywały, kiedy nikt nie słuchał? — Ściszyła głos do niemal bezdźwięcznego szeptu.

— Chcę — odpowiedziała tak samo cicho Świętosława i zauroczona wpatrywała się w ruch jej warg.

— Czarciątko, szataniątko, półdiablę — wymówiła samymi ustami.

— Łżesz! — Świętosława aż podskoczyła. — Dusza! Dusza, chodź tu. Słyszałaś? Prawda to czy fałsz?

Dusza trzy razy pokiwała głową.

— A niech to! Jesteście w zmowie!

Astryda, śmiejąc się, ujęła twarz Świętosławy w dłonie. Patrzyła w jej oczy, a potem pocałowała każdą z powiek.

— Dzisiaj jesteś naprawdę piękna, siostro. Byłaś pisklakiem, z którego wyrósł cudny ptak.

— Pisklakiem? — wtrąciła się Geira. — Mnie się zawsze kojarzyła z małą, dziką kotką. Drapała i nie umiała usiedzieć na miejscu. No, chyba że masz na myśli jej piski, to tak, może być pisklak. Słyszałam jednak, że dostałaś już nowe imię, bardzo ładne: Harda.

— Jak dobrze się z wami spotkać! — Świętosława nie mogła powstrzymać się od ciągłego ściskania sióstr. — Same życzliwe dusze!

W końcu jest z kim rozmawiać, bo moja Duszka ma tyle do powiedzenia, że nie mówi nic!

— Dobra, koniec tych czułości. Dlaczego książę Mieszko przysłał cię do Wolina? — spytała Astryda.

Jedna i druga nigdy nie mówiły o nim „ojciec”.

— Po naukę — krótko odpowiedziała Świętosława i zmieniła temat: — Pokażecie mi słynny z bogactw port?

Oprowadzał je dziad Astrydy, Dalwin, namiestnik Wolina. To, co zobaczyła, przerosło jej oczekiwania. Przy potężnym, umocnionym balami nabrzeżu cumowały ze dwie setki najróżniejszych statków. Były tu skromne dłubanki i niewielkie, zręczne skiffy, ale niemal nie było ich widać, bo większość przystani zajmowały słowiańskie korabie oraz skandynawskie sneki i knorry. Na średnie można było załadować stado owiec, na te naprawdę duże dołożyć kilka krów, kóz, trzy dziesiątki ludzi i niezliczoną ilość beczek ładunku. Płytkie i bardzo szerokie, dziób i rufę miały jednakowe, z dużą wolną burtą. Ich dziobnica i stewa rufowa były tak pięknie wygięte, jakby zapraszały na pokład. Dalwin kolejno pokazywał im statki:

— Te trzy przybyły ze wschodu, z Gardarike, czyli Rusi, księstwa Wladimira. Jest tam bogaty Holmgård, zwany przez Słowian Nowogrodem. Przywiozły kunie skórki, futra bobrów, soboli i popielic. I mnóstwo wosku dla saskich klasztorów. Te dwie niepozorne łodzie pochodzą aż z Miklagårdu, wielkiego miasta Greków, które oni zwą Konstantynopolem od imienia dawnego cesarza. Przy północnych knorrach wydają się łupinami, ale ich głównym zadaniem jest pokonanie długiej rzeki Dniepr, a wierz mi, księżniczko, niejeden zuch na jej skalnych progach stracił życie.

— Co przywiozły?

— Coś, co nie wymaga wielkiej ładowni. — Dalwin się zaśmiał. — Srebrne monety dla twego ojca i olejek różany dla księżnej Ody. Te dwa

statki zawiozą futerka soboli do kalifatów bagdadzkich. A spójrz, proszę, na te potężne knorry. Na nich przypłynęły skarby Północy. Długie kły narwali, zęby morsów, liny z wielorybich skór, focze futra i foczy tłuszcz niezastąpiony do uszczelniania przed wodą…

— Nadzwyczaj cenny! — wtrąciła ze śmiechem Astryda. — Jeśli posmarujesz się jedną jego kroplą, cuchnąć będziesz aż do późnej starości.

Geira natychmiast pochyliła się do jej ucha i szepnęła niewinnie:

— Chcesz trochę dla księżnej macochy?

— A te morskie potwory? — spytała Świętosława, tłumiąc śmiech i wskazując na ciężkie statki o wysokich burtach. — Wyglądają jak pływające chałupy.

Dalwin skinął głową.

— Geira ci o nich opowie. Twoja siostra zna się jak nikt inny…

— Już nie — twardo przerwała Geira. — Odkąd zostałam wdową, nie zajmuję się tym.

— Ach tak — domyśliła się Świętosława. — To statki do przewozu niewolników?

— Tak, siostro. Pływające więzienia. Wielu nie dożywa zawinięcia do portu.

— Nie mów tak — wtrącił się Dalwin. — Arabowie dbają o ładunek. Jak zapłacą czystym srebrem, to pilnują, by do kalifatów dopłynął żywy.

— Nie wiem, jak dbają o ludzki towar Arabowie. Wiem, jak traktują go łowcy głów, nim wystawią na sprzedaż, i wierzcie mi, los najpodlejszego sługi zdaje się królewski przy tym, co robią z nimi na swych łodziach.

— Koniec! — Astryda zdecydowanie przerwała rozmowę tak niemiłą dla Geiry. — Pokażmy Świętosławie kramy. Nasza piękna księżniczka może sobie coś wybierze?

— Zaczekaj! — powiedziała Świętosława. — Dalwinie, a gdzie mogę zobaczyć słynne statki wojenne?

— Ciekawią cię bardziej niż błyskotki? — zniecierpliwiła się Astryda.

— I słusznie! — powiedział jej dziadek. — Ale przykro mi, księżniczko. Tu ich nie ma. To jest port kupiecki. Mam na przystani miejsce dla handlarzy i żeglarzy, pracującego ludu mórz, ale nie dla morskich drapieżników. Wojna psuje handel, a handel na dłuższą metę jest znacznie silniejszy niż wojna.

— A Jomsborg? — nie dawała za wygraną Świętosława.

— Warownia morska ukryta jest w niewielkiej odnodze Dziwny na północ od Wolina. Każdy płynący do nas z Bałtyku statek ją mija, choć wcale o tym nie musi wiedzieć.

— Jomswikingowie nie napadają na twoich kupców?

— Przeciwnie. Jak trzeba, eskortują ich do nas. Płacimy im za ochronę.

— Prywatny garnizon?

— Układ handlowy, tak to ujmijmy.

— Chciałabym zobaczyć ten słynny Jomsborg.

— Tam nie ma wstępu dla kobiet — wtrąciła się Astryda i pociągnęła Świętosławę w stronę grodu.

Na nabrzeżu było sporo miejsca na wyładunek towarów, które po drewnianych pomostach wnoszono, wciągano i wwożono wozami do grodu. I tak jak długie było nabrzeże, tak długa i potężna palisada broniła ukrytego wewnątrz miasta. A było co chronić! Składy towarów, domy kupców, warsztaty przerabiające zwożone do Wolina dobro. Tłum ludzi wszelkich nacji. Śniade twarze Arabów, osmagane wiatrem twarde lica żeglarzy. Jasnowłosi Normanowie, skośnoocy i ciemnowłosi Finowie, o których Astryda szepnęła jej na ucho:

— To najwięksi znani czarownicy…

— Najwięksi? Są niscy jak niewyrośnięci chłopcy. A ta piękność? — spytała o wysoką kobietę w złotym zawoju na głowie.

— Tej nie znam. Jakaś nowa. Może przypłynęła z Miklagårdu? Ponoć Greczynki noszą coś takiego na głowie.

— Nie, Astrydo, Greczynki zasłaniają twarze.

— Istna wieża Babel! — powiedziała Świętosława.

— Co? — spytały Geira i Astryda.

— Nic — odpowiedziała i zrobiło jej się smutno.

Krążyły między składami wschodnich jedwabi o barwach mieniących się jak skrzydła ważek. Dotykały cienkich, niemal przejrzystych płócien z Flandrii i grubych bel wełnianej islandzkiej przędzy. Przebierały w krajkach, kłócąc się, która piękniejsza, aż okazało się, że tę jedną inną od wszystkich znalazła Duszka. Świętosława kupiła ją dla niej w nagrodę. Zausznice, kabłączki, obrączki, pierścienie, naramienniki, naszyjniki, bransolety, łańcuchy…

— Wszystko mi się tak podoba — jęknęła Geira — że nic już nie chcę!

— To spójrz tutaj, siostro! — zawołała Świętosława, oglądając rozłożone na jednej z ław futro. — O matko! — Wpiła się w nie palcami i wtuliła twarz w miękki włos. Było rudopłowe, czarno cętkowane. — Ryś? To jest ryś? Chcę je mieć! Czyj jest? — Rozejrzała się gorączkowo za kupcem.

— Należy do ciebie, święta panno! — melodyjnie powiedziała szczupła, starsza kobieta, wychodząc z głębi kramu.

— Zapłacę ci za nie, ile zechcesz. I zapłacę ci za każde następne!

— Mam tylko to jedno, święta panno. I odkąd sprzedaję futra, nie miałam innego. Ryś jest drapieżnikiem znacznie sprytniejszym niż człowiek. Myśliwy rzadko upoluje rysia, święta panno.

— Dlaczego tak się do mnie zwracasz? — Świętosława już ochłonęła.

— Bo tak cię zwą, prawda? — Kobieta pokornie się jej pokłoniła.

Zawstydziła się. I swojego niepohamowanego wybuchu, i tego, jak lud o niej myśli. Zapłaciła za futro i przyciskając je do siebie, szybko wyszła z kramu.

Astryda pociągnęła ją w stronę chałup kaletników, szewców, snycerzy, ale Świętosławy już nic nie ciekawiło. Dopiero w zaułku kowali skusiła się, by obejrzeć noże.

— Zobaczysz tam prawdziwe klejnoty — pochwalił Dalwin. — Ostrza z całego świata!

Spodobał jej się zawiły wzór na ostrzu z damasceńskiej stali. Wybrała dwa, dla siebie i Bolesława, a potem jej uwagę przyciągnął stos bożków, każdy o czterech ponurych twarzach. „Nie bogowie ognia, słońca, wody, wojny i pokoju, życia, śmierci, żniw, inni dla każdego plemienia! Jeden Bóg Wszechmogący”. Zabrzmiał jej w głowie głos ojca znad Warty.

— Piękna księżniczka Vindlandu kupiła najlepsze ostrza, niech weźmie i osełki do noży! — Kupiec podał jej kamienną osełkę zakończoną wizerunkiem bożka o czterech twarzach.

— Ta księżniczka mogłaby noże ostrzyć językiem, Gunnarze. — Astryda weszła między nich i stanowczo odsunęła kupca.

— Jestem już duża — powiedziała do niej Świętosława, gdy wyszły z chaty. — Nie musisz mnie ciągle chronić.

— To odruch, wybacz. — Astryda chwyciła ją za rękę i pocałowała w nią. — To po co cię Mieszko tu przysłał?

Geira z Dalwinem i Duszą szli przed nimi.

— Tu będziemy rozmawiać? W tym tłumie? — Przerzuciła przez plecy skórę rysia.

— Gdzie słyszą i widzą wszyscy, nie podsłucha nikt — odpowiedziała Astryda, pomagając jej spiąć rysie futro złotą zapinką.

— Ojciec wysłał mnie po was, po ciebie i Geirę. Chce teraz mieć nas wszystkie przy sobie.

— O! — Astryda uniosła brwi. — A więc jednak mój sen się sprawdza.

— Miewasz prorocze sny?

Astryda położyła palec na ustach.

— To może wyśnisz coś dla mnie?

— Jeżeli będziesz tego naprawdę potrzebowała. Mów, przecież widzę, że coś cię dręczy.

— Księżna Oda — odpowiedziała Świętosława szybko.

— Daj spokój, bo uwierzę, że jesteś okropnie rozpuszczoną księżniczką! Ja pokochałam twoją matkę jak swoją, a ty nie możesz znieść jednej Ody? Mieszko miał wiele żon. Żadna z nich już nie żyje, skąpisz mu tej najnowszej? Nie bądź taka zaborcza, siostro!

— Nie w tym rzecz, Astrydo. Mieszko rozważa moje zamążpójście, ale nie chce mi powiedzieć, kto to będzie. Mówi zagadkami.

— Może jeszcze nie wybrał? Może się nie zdecydował? Książę Vindlandu słynie z sojuszy.

— Daje mi do zrozumienia, że jestem dla niego najdroższa, najważniejsza, najcenniejsza, a potem okazuje się, że to bzdura, bo ze mną nie dzieli się tym, co naprawdę ważne. Zabrał mnie i Bolesława na kopce przodków, zabrał nas do Poznania i rozmawiał z nami o… — Zawahała się. Nie, nie powie, o czym ojciec naprawdę mówił. — O swoich wizjach, planach. A na drugi dzień po tej rozmowie przyjechała Oda. Gdybyś ją widziała! Wystrojona, blada i dumna! Złapała mnie, przyciągnęła do siebie i wysyczała na ucho: „Ucz się mowy wikingów”. A to zdzira, co?

Nagle wpadł na nie i potrącił je wysoki, rudy mężczyzna.

— Tilgiv mig! — powiedział równie zaskoczony jak one.

— Hold øje på hvem du rører! — odpowiedziała mu ostro Astryda.

— Nej, du skal holde øje! — warknął na nią.

Tłum wokół nich nagle się zatrzymał, jakby wietrzył awanturę. Dalwin już przeciskał się ku nim. Mężczyzna miał długie, niemal płomienne włosy i równie rudą brodę. Patrzył to na Astrydę, to na Świętosławę, to na rysia przerzuconego przez jej plecy. I nagle odwrócił się i zniknął w ludzkiej ciżbie.

— Co się stało? — spytał zaniepokojony Dalwin.

— Nic, dziadku! Jakiś rudy wiking chciał nas zdeptać, ale uciekł! Widzisz, moja miła? — Astryda zwróciła się wesoło do Świętosławy. — Może warto się uczyć mowy wikingów?

— Tilgiv mig! Hold øje på hvem du rører! Nej, du skal holde øje! — powtórzyła Świętosława słowo w słowo to, co usłyszała.

BOLESŁAW, gdy Mieszko powiedział mu, z czym wrócił z Hoftagu w Rohr, wsiadł na konia i ruszył przed siebie bez celu, ale za to z jednym zamiarem: pędzić tak długo, aż wykipi z niego wściekłość. Było wczesne popołudnie. Z Poznania wyjechał w jednej chwili wschodnim mostem na Gniezno. Ostre gałęzie sosen smagały go, gdy zjechał z traktu. Sam nie wiedział, kiedy sosnowy las zmienił się w liściasty. Zgubili drogę, koń zwolnił, instynktownie wynajdywał ścieżki, które mogły służyć zwierzynie lub szukającym jagód dzieciom. Słyszał za sobą tętent drugich końskich kopyt. Wiedział, że Duszan ruszył za nim jak duch. Nie liczył czasu, zgubił go, a wciąż nie zgubił gniewu. Koń zwalniał, był zmęczony długą jazdą. Dopiero gdy stanął, Bolesław zorientował się, że słońce prześwieca przez gałęzie niemal purpurowym światłem zachodu.

— Panie! — Duszan dojechał do niego. — Koniom trzeba wody, proszę…

— Gdzie jesteśmy? — Bolesław okręcił się w siodle.

— Pojęcia nie mam. Pozwól koniowi iść, znajdzie jaką rzeczkę…

Duszan jest trzeźwy, jak zawsze. I łagodny, co doprowadza Bolesława do pasji. Odpuścił, żal mu było zwierząt. Koń parsknął i obrał ścieżynę. Ruszyli nią. W lesie zaczęła pasmami unosić się mgła.

— Woda blisko — ucieszył się za jego plecami Duszan.

Miał rację. Gdy wyszli na skraj lasu, kopyta zapadły się najpierw w miękkim mchu, potem w jasnym mokrym piasku. Przed nimi rozciągało się niewielkie jeziorko, a w jego gładkiej tafli tonęła krwistoczerwona słoneczna tarcza.

Zsiedli z koni, puścili je wolno. Bolesław ukucnął, zanurzył dłonie w wodzie i obmył spoconą twarz. Zapragnął wody. Zdzierał z siebie kaftan, koszulę, spodnie. Duszan łapał je w locie. Bolesław już wbiegał do jeziora, rzucił się przed siebie, zanurkował. Tak.

Pod powierzchnią otworzył oczy. Płynął chwilę otoczony przez zielone, mętne wody. Wynurzył się dopiero, gdy zabrakło mu tchu. Parsknął i zamarł. Brzegi jeziora jak okiem sięgnąć otoczone były przez płonące ognie. Okręcił się gwałtownie. Przez chwilę miał wrażenie, że obudził się w trakcie koszmarnego snu. Nie. Duszan stał na brzegu, konie też. Tylko wokół ich piaszczystej plaży nie było ognia. Sobótka! Przypomniał sobie! Noc kupały, to dziś! Miał przecież pobłogosławić parze oblubieńców nad Wartą. Wszystko się posypało, gdy Mieszko przyjechał z Rohr wcześniej i oznajmił mu, kogo przywiózł. A niech to! Na samo wspomnienie znów poczuł nagły gniew i zaczął płynąć tak szybko, jak potrafił. Konno nie zgubił wściekłości, może ją utopi? Gdy wracał do brzegu, ramiona mdlały mu od wysiłku. Przekręcił się na plecy. Pozwolił, by woda niosła go przez chwilę. Na ciemnym niebie jaśniał jedynie cienki sierp księżyca, jak kpiący uśmiech.

„Mam was tylko dwoje, a mój głód sięga czterech stron świata”. Diabli niech wezmą Mieszka! Wtedy, ze Świętosławą nad Wartą, oni i ojciec to

była dla niego święta noc. Był gotów za ojca życie oddać, a on… Jak łatwo jest sponiewierać czyjąś dumę! Psiakrew!

Leżenie na wodzie mu nie służyło. Znów płynął na środek jeziora. Bił ramionami wodę, jakby mógł ją ukarać zamiast ojca. Okrążył jezioro, mając w oczach płonące na jego brzegach ognie. Gdzieniegdzie rozlegał się śpiew i śmiech. Chłopcy i dziewczęta, kobiety i mężczyźni tańczyli pewnie razem albo szli w las, dobierając się wedle własnej woli! Skurczybyk!…

Dopłynął do brzegu i wyszedł z wody, otrząsając się jak pies.

— Spłukał mój pan gniew? — zapytał Duszan niepewnie. — Ja to myślę, że jak mój pan będzie się tak unosił, to niedługo będzie najsilniejszy w drużynie księcia. Ja widział, jak poprzednio mój pan z gniewu podkowy zaczął giąć.

— Zamilcz — syknął Bolesław. — Słyszysz?

Duszan przekrzywił głowę jak pies.

— Normalnie, po wodzie niesie śpiew.

— Ktoś idzie ku nam. — Bolesław nasłuchiwał.

— Sprawdzę.

— Nie, pilnuj koni, pójdę sam.

Ruszył, choć Duszan coś jeszcze jęknął. Wszedł w las. Ktoś skradał się w ich stronę. Bolesław przylgnął do grubego pnia olchy. Pod stopami idącego pękały gałązki, jakby nie spodziewał się zastać tu nikogo.

Więc się nie skrada, tylko idzie — skonstatował Bolesław.

Panowały takie ciemności, że trudno było odróżnić pnie drzew. I nagle między nimi zamajaczyło coś białego. Zjawa — pomyślał. — Nie, zjawa nie robi hałasu.

Woda z mokrych włosów spływała mu po plecach. Nie wziął broni, wszystko zostało przy koniach. Zjawa poruszyła się szybko, jakby zrobiła kilka susów w jego stronę. Boże! — dotarło do niego. — To dziewczyna!

Poruszył się i dziewczyna stanęła, pytając lękliwie:

— Jest tu kto?

— Nie bój się — powiedział do niej i wyszedł zza olchy.

Stali na odległość końskiego skoku. Była naga, zupełnie naga. Na rozpuszczonych ciemnych włosach wianek.

— Ty jesteś… — wyszeptała.

— Tak, jestem… — odpowiedział odruchowo.

— …jesteś nagi!

Ugryzł się w język. Ależ ze mnie głupek, myślałem, że poznała księcia!

— Ty też — odpowiedział. — Co tu robisz?

— Szukam kwiatu paproci — powiedziała, jakby to było oczywiste.

— Po co?

— Czyś ty głupi? Żeby zdobyć bogactwo po kres swych dni!

W ciemności trudno było rozróżnić rysy jej twarzy. Widział tylko, że ma piękne, pełne piersi i łagodnie zaokrąglone biodra. Podszedł do niej.

— A ja myślałem, że dziewczyny w noc kupały szukają miłości — powiedział.

— Tylko te brzydkie. Ja mogę miłość znaleźć i w jasny dzień — odparła.

Zaśmiał się. Gdyby nie to, że miała ciemne włosy, mógłby pomyśleć, że rozmawia z siostrą.

— Chcesz, żebym poszukał kwiatu paproci z tobą? — zapytał, choć nie miał pewności, czy odróżni paproć od innych zielsk.

— Nie wiem — zawahała się. — Baby mówią, że trzeba szukać w samotności.

— Znasz kogoś, kto znalazł taki kwiat?

— Nie.

— I wierzysz, że ty będziesz pierwsza?

Nie odpowiedziała. Pochyliła głowę.

— A ty co tu robisz? — spytała, poprawiając opadające na twarz włosy.

— Ja?

— Przyznaj się, też szukałeś, co? Też chciałbyś znaleźć bogactwo, bo przecież nie wyglądasz na takiego, co by szukał miłości.

— Dlaczego? — zapytał i poczuł, jak oblewa go ciepło.

— No wiesz… — Uniosła podbródek.

— Podobam ci się?

— Nie wiem… — Zawstydziła się. — Nie jestem strzygą, nie widzę w ciemności.

Podszedł do niej blisko. Tak blisko, że poczuł zapach ziela, z którego miała wianek.

— A teraz? — zapytał.

Patrzyli sobie w twarz. Miała pełne, wilgotne usta. Oczy duże i jakby skośne. Brwi wąskie, uniesione i zagięte jak jaskółcze skrzydło. Ciemne włosy spadały jej na ramiona, były długie, ich końce sięgały szczytów piersi.

— Podobasz mi się — powiedziała cicho, uniosła dłoń i położyła mu ją na piersi.

— Ty mnie też — wyszeptał i chwycił ją w pasie.

Jej skóra była chłodna, gładka. Zacisnął na niej palce. Poczuł, jak ogarnia go fala gorąca, jeszcze gwałtowniejsza niż wtedy, gdy ze Świętosławą podglądali ojca i Odę. Przyciągnął ją do siebie. Jęknęła cicho, słodko. Boże, dotyk miękkich piersi na jego żebrach! Objęła go ramionami i stanęła na palcach, wyciągając ku niemu twarz. Pochylił się i niezdarnie potrącając nos, dotknął wargami jej warg. Wpiła się w nie zachłannie, jakby go ssała. Otworzył usta i poczuł jej wilgotny, ciepły język na wargach. Wstrząsnął nim dreszcz. Więc to tak? Setki razy myślał, jak to jest, gdy mężczyzna jest z kobietą, ale nie sądził, że to jest tak. Gwałtownie jak gniew, gorąco jak

płomień, słodko jak miód. Chwycił ją mocno, była lekka jak dziecko. Położył ją na mchu, nieostrożnie, aż syknęła:

— Kłuje!

Nie słuchał jej. Wdarł się na jej brzuch, uda rozchyliła sama. Przebiegło mu przez głowę, że ona lepiej wie, co robić, niż on. Uniosła biodra i chwyciła jego oręż w dłonie, a potem włożyła do wilgotnej pochwy.

Boże! Gdy miecz wkładam do pochwy, znaczy spocznij, a teraz odwrotnie, pochwa to atak, pchnięcie, walka!

Jęknęła.

— Taaak!

Oczy zasłoniła mu mgła. Dziewczyna pod nim uniosła w górę biodra i starli się tak mocno, że poczuł ból.

— Taaak!

Unosił się na ramionach i opadał w jej głębię. Czuł rozkosz i wiedział, że to ona. Chłonął nozdrzami woń wilgotnego mchu, lasu, mgły i tej dziewczyny. Wszystkie mieszały mu się w jeden trop, którego nie puszczał, jak myśliwski pies. Polował. Był oszczepem wyrzuconym pewną ręką. Napiętą cięciwą łuku. Strzałą puszczoną w ruch. Nożem, który ciął.

— Ach! — warknął, choć chciał być cichym łowcą.

Wystrzelił i zamiast złowić zdobycz, poczuł, że sam nią jest. Opadł na wilgotne, miękkie piersi dziewczyny.

— Och — westchnęła cicho. — Jesteś moim kwiatem paproci…

Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Wpadł w bezdech jak w sen. Potem wciągnął powietrze tak nagle, jakby się przebudził. Uniósł się na ramionach i przetoczył z jej ciała na mech.

— Kim ty jesteś?

— Wołają na mnie Jaga. A ty? — spytała głosem przeciągłym i sennym.

— Na mnie Duszan — skłamał gładko. — Jestem z daleka.

— Szkoda. Bo ja z tamtej wsi. Aleś mi się zjawił na kupałę, Duszanie.

Na świętego Jana — pomyślał — tego, co oddał głowę dla chuci poganki Salome.

— Zaczekasz na mnie chwilę, Jago? — zapytał, z trudem podnosząc się z mchu.

— I tak nie mogę wstać. Ale się pospiesz, bo siostry będą mnie szukały… — Bezwładnie przewróciła się na brzuch.

Ruszył, choć przez moment nie mógł ustalić, gdzie jezioro, gdzie las.

Duszan siedział na piasku, rzucając kamyki w wodę.

— Skończył mój pan? — zapytał, gdy Bolesław chwiejnym krokiem wyłonił się zza drzew.

— Jeszcze nie — odpowiedział i podszedł do swojego konia.

Z sakwy przy siodle wyjął garść srebrnych arabskich monet.

— Wrócę za chwilę — rzucił przez ramię do chłopaka i wszedł w las.

Jaga spała na boku, pod głowę podłożyła ramię. Cicho włożył monety w jego jasne zagięcie.

— Będę twoim kwiatem paproci — szepnął i pochylił się, żeby jeszcze raz wciągnąć w nozdrza jej woń.

Kiedy wrócił do Duszana, ubrał się i pozwolił ogierowi znaleźć powrotną drogę. Jego gniew na Mieszka uszedł. Zostawił go w jasnym ciele Jagi.

Szli stępa. Głos końskich kroków wiązł w mchu. Jak jego wściekłość na ojca, który przywiózł z Rohr bladą, jasnowłosą dziewczynę i oznajmił: „To Gertruda, córka Rikdaga, margrabiego Miśni. Będzie twoją żoną. Możesz na nią mówić Gerd”. Gerd nie była dziewczyną. Była niełądnym dzieckiem. Blada, płaska i przerażona. „Jej ojciec ma Wieletów na granicach. Pożoga, dym — powiedział Mieszko, jakby to miało w Bolesławie obudzić sympatię do Gerd. — Bądź dumny, to świetny sojusz — dodał, widząc, że Gerd się garbi, a on zaciska szczęki. — Ale na razie nie wyprawimy wesela

i nie weźmiesz jej do łoża, bo plan jest taki, że odbijemy marchię Wieletom, lecz jeśli oni będą szybsi, może się okazać, że się nie opłaca”.

Tak, jego ojciec był mistrzem sojuszy. Tylko zupełnie nie liczył się z uczuciami sojuszników. Nawet tych, którzy byli najbliżej. Tych ze swojej kości i krwi.

OLAV pewnie trzymał ster łodzi. „Kanugård”, „Kijów”, tak nazwała ją Allogia, żeby odpływając z Rusi na zawsze, zapamiętał, kto jest jego dobrodziejką-czarodziejką. Wiedźma wcielona, a niech ją!

To nie był wojenny drakkar, długa łódź zdatna do żeglugi tylko wzdłuż lądu i w korytach rzek. „Kanugård” był snekkją, którą można się rzucić na pełne morze, drapieżnikiem, co potrafi skakać nad falą albo ją ciąć. „Piękne naczynko — powiedział Wladimir, gdy oglądali łódź w porcie. — Szesnaście ławek, ho, ho! Księżna dała ci łódź, książę da ci załogę, stać mnie!”.

I dał mu trzydziestu dwóch ludzi, samych Waregów zaprawionych w rejsach po Wołdze i Dnieprze, znudzonych rzekami Gardarike, tęskniących za otwartymi wodami mórz. Targował się tylko o Geivara, jego jednego nie chciał Olavowi dać. Ale gdy po rozmowie z książęcą parą rozniosło się w Kijowie, że młody Olav nazywa się Tryggvason i płynie w nim królewska krew Ynglingów, Geivar po prostu wypowiedział Wladimirowi służbę i wrzucił skórzany worek na łódź.

W zatoce Finów mieli dobry wiatr. Załoga patrzyła na niego ciekawie, a Geivar zapytał:

— Olavie, jaki kurs?

— Wiem, że śnią się wam północne morza, ale ja mam do wyrównania rachunki w kraju Estów — odpowiedział i poprowadził „Kanugårda”.

— Nowa łódź, jak dziewica — szepnął mu Geivar. — Czeka, aż jej krwią pomażesz burty.

— Już niedługo, nie martw się, druhu!

— Ja się nie martwię, ale oni… — Spojrzał w stronę załogi. — Patrzą na ciebie. Śledzą każdy twój ruch.

— Wiem. — Olav kiwnął głową. — Czuję na plecach ich wzrok.

Póki pływali razem po Dnieprze czy Wołdze, był jednym z nich. „Młodym Olavem”, ulubieńcem książęcej pary. Odkąd ujawnił swe pochodzenie, wiele się zmieniło. Kiedyś ludzie obdarzali go przyjaźnią, bo — jak mówili — ma w sobie to, co zjednuje serca. Teraz w ich oczach wyczuwał oczekiwanie, że prócz serc porwie ich dusze. Łatwo jest skraść serce dziewczynie. Niejedna łasiła się do niego, szepcząc: „Jesteś piękny”. Jak porwać dusze trzydziestu mężczyzn, którzy pływali przez całe swoje życie?

Nocą, gdy ustawił „Kanugårda” w dryf i przekazał Geivarowi ster, a ludzie wyciągnęli się na pokładzie, Omold, wybijając rytm rękojeścią noża, zanucił pod nosem:

Milkliwy i myślący
ma być syn królewski,
w boju mężny,
w rozkazach nieugięty…

Śpiewał cicho, jakby sam dla siebie, a jednak Olav słyszał każde słowo.

Szczęśliwy ten,
co sam sobie zdobędzie
dobre imię i chwałę…

Naciągnął skórzany śpiwór na głowę. Do tej pory jego życie dzieliło się na czas niewoli i czas spłacania długów; czasu ucieczki z matką nie pamiętał. Odwdzięczając się Allogii i Wladimirowi, wiecznie słyszał, że

darowali mu wolność, i przez to nigdy nie czuł się wolny na Rusi. Tylko czas spędzony na Dnieprze był czasem szczęśliwym. Łódź, porohy i walka z dziką rzeką. Teraz płynął ku swej przyszłości, ku ziemiom, które prawem krwi mu się należą, i wiedział, że nikt nic mu nie da, wszystko będzie musiał wywalczyć i odkupić krwią.

Ale nim dobierze się do uzurpatorów, musi udowodnić tym trzydziestu mężom, że warto dla niego walczyć.

Nie spał. Noc latem zapada tylko na chwilę. Nim słońce wzeszło, wziął od Geivara ster i obrał kurs na przylądek Loksa w kraju Estów. Późnym popołudniem byli tak blisko, że z pokładu można było rozróżnić kolory sukien kobiet kręcących się w porcie. Unosiły dłonie do oczu, patrząc, jak „Kanugård" lekko unosi się na fali.

— Zawracamy! — krzyknął do załogi, gdy zobaczył to, czego potrzebował. — Płyniemy w zatokę!

Przypominał sobie wszystko, jakby szedł tyłem po własnych śladach. Przez tyle lat, gdy Sigurd kazał nie wymieniać imienia ojca, a Allogia odebrała mu pamięć, to tkwiło w jego głowie i wystarczyło, by łódź zakołysała się na tych wodach, a wróciło dokładnie w każdym szczególe.

Zatoka była tam, gdzie powiedział. Zacumowali, pozwolił im zejść na ląd, tylko ognisk nie kazał palić. Sam wspiął się na wysoki, skalisty brzeg i obserwował morze. Drugiego dnia o świcie rozpoznał i żagiel, i łódź. Pamiętał nawet, jak ją zwali przed laty. „Rosomak". Czy to możliwe, by wciąż pływała przez te kilkanaście lat? A jeśli nie, to ta, która wysokimi burtami bujała się na wodzie, była bliźniaczą siostrą „Rosomaka" sprzed piętnastu lat. Płynęła do portu na przylądku Loksa. Jeżeli wszystko jest jak przed laty, zabawi tam nie więcej niż trzy dni. Tyle trzeba, by sprzedać ludzki ładunek handlarzom niewolników. Potem załoga przez dzień pije w portowej tawernie, wraca na pokład i rusza na kolejny łów. Spieszą się,

by zbierać plon latem. Jesienne sztormy sprawiają, że ryzyko przewyższa spodziewany zysk.

Olav wyliczał wszystko po wielekroć. I teraz, gdy czuł, że to już, zszedł do swoich i powiedział:

— Tarcze na burtę. Przygotujcie broń. Obiecuję wam ciężkie starcie. Daję słowo, że się opłaci. Na pokład. Płyniemy bez żagla, na wiosłach.

Nie wychylali dziobnicy z zatoki, trzymali się brzegu, przyczajeni jak kot śledzący mysz. Poczekali, aż na horyzoncie zamajaczył brudny, rudy żagiel. Łowcy niewolników szli prostym kursem na wschód. Olav kazał przeczekać, aż tamten żagiel stał się mały jak płatek kwiatu. Wtedy kazał podnieść swój.

— „Kanugårdzie”, skacz! — krzyknął. — Zobaczymy, ileś jest wart!

Wiatr uderzył w wielki kwadratowy żagiel i ruszyli w pościg. Wiedział, że musi dopaść ofiarę na pełnym morzu, by z lądu nie przybyła odsiecz. Ryzykował, że mu uciekną, ale dzięki temu mocniej krążyła w nim krew. Tamten statek był ciężki, mało zwrotny, służył do brania na pokład trzech, czterech dziesiątek niewolników. Dystans z każdą chwilą malał, zbliżali się. Dwa, trzy długie podmuchy i będą siedzieli im na rufie. Sprawdził, jak chodzi w pochwie miecz. Podskoczył do niego Geivar.

— Co robisz? Chcesz ich staranować?! — krzyknął. — „Kanugård” tego nie wytrzyma. Mamy nieokuty dziób!

— Nie. Chcę przejąć ich statek i wyrżnąć załogę, druhu.

— Abordaż? Robiłeś to kiedyś? — Na brodzie Geivara zalśniła woda.

— Jeszcze nie. To będzie mój pierwszy raz! — twardo roześmiał się Olav.

— Kurwa mać! Druhu! Albo wszyscy zginiemy, albo…

— Albo co? — zapytał Olav i złapał w nozdrza woń brudnego żagla przed nimi. Poznał ją. Tak śmierdzieć może tylko „Rosomak”.

— Albo naprawdę jesteś królem! — wrzasnął Geivar, przekrzykując szum fal.

— Dowiesz się jeszcze dziś! Haki! — krzyknął do załogi. — Przygotujcie haki, przejmujemy tę łódź!

„Rosomak” miał burty wyższe tylko o pół wysokości człowieka. Będziemy wskakiwać, nie zeskakiwać — pomyślał.

Widzieli załogę w pośpiechu szukającą broni. Ich sternik nie krzyknął „Co jest?”, bo widział, że płynie na nich statek i trzydziestu zbrojnych. Olav w ostatniej chwili pociągnął ster i skręcił tak, że burty otarły się o siebie ze zgrzytem dech.

— Rzucać haki! — ryknął.

I usłyszał metaliczny zgrzyt. Pięć z sześciu wyrzuconych haków trafiło. Puścił ster i bez tarczy rzucił się na linę, by ją podciągnąć. Już przeskakiwał na ich pokład. Za plecami słyszał swoich. Poślizgnął się na mokrych dechach, ale nie upadł, przyklęknął. Akurat ta chwila, by wyjąć miecz. Wstawał, w zasięgu wzroku widział trzy razy po sześciu ludzi. Tak może być. Wtedy też nie było ich więcej. Przez moment krótszy niż oddech zobaczył w nich wahanie, strach. Uniósł miecz i krzyknął:

— Zarżnijmy łowców głów!

Nie czekał, ruszył przed siebie, tnąc pierwszego, który stanął przed nim. To nie była pierwsza krew, jaką przelał, ale żadna wcześniej nie smakowała mu jak ta. Bo pierwszy raz robił coś wyłącznie dla siebie. Nie spłacał długu. Mścił się.

Walka trwała krótko. Mieli przewagę sił.

— To już wszyscy! — krzyknął Thorolf, przeszukując pokład. — Wszyscy!

— Szukaj jakiegoś, co jeszcze żyje! — zawołał i sam zaczął podnosić leżących na brzuchu lub tych, co padli na plecy, zaglądać im w twarz.

Pięciu z nich było łysych z brodą. To nie mógł być żaden z tamtych, którzy zabrali jego matkę; musieliby dzisiaj mieć po pięćdziesiąt lat.

— Mam jednego! — odkrzyknął Thorolf, podnosząc za długie, brudne włosy niedużego, żylastego mężczyznę. — Sam go tak sprawiłem! — pochwalił się, wskazując na odcięte lewe ramię.

Olav podszedł do nich, wymijając trupy.

— Jak się nazywa ten statek? — zapytał.

— „Rosomak” — wymamrotał jeniec, zachłystując się krwią.

— Ile lat na wodzie?

— Pięć… może sze… — Oczy już mu się zamykały.

— Czy wcześniej znałeś inną łódź łowców niewolników, która nazywała się tak samo? — szybko spytał Olav, by zdążyć.

— Każda nasza… — powiedział tamten i wyzionął ducha.

— Za burtę z tym ścierwem! I z resztą też — warknął Olav, wskazując na trupy. — Przeszukajmy łódź!

Na przednim pokładzie znaleźli dwie okute żelazem skrzynie. Na tylnym trzy. Nic więcej nie było.

— Klucze pewnie miał sternik. — Geivar splunął za burtę w to miejsce, gdzie wcześniej wyrzucili ciała.

— Nie szkodzi. Każdy z was ma topór. Wracamy na „Kanugårda”, skrzynie otworzymy na lądzie.

— Olavie, jeżeli nie chcesz, by rodziny tych rosomaków cię szukały, zatopmy tę krypę — powiedział Geivar.

Tryggvason spojrzał mu prosto w oczy i odrzekł:

— Chcę, by ich synowie wiedzieli, że ojcowie ponieśli karę. To nie był rozbój. To była zemsta.

Na ląd wyszli dopiero następnego dnia wieczorem. Ingvar, Orm, Ottar, Eyvind i Thorolf na rozkaz Olava porąbali skrzynie. Cztery były

wypełnione srebrem. Grzywny, sporo arabskich monet, nawet siekańce.

— Ludzkie srebro — powiedział Olav, patrząc na nie. — Urobek z kilku kursów. Tyle według nich jest warte życie dwóch setek ludzi.

— Za to srebro trzy skromne dziesiątki mogłyby żyć po pańsku! — Geivar się zaśmiał.

— Co w piątej skrzyni? — spytał Olav Ingvara.

— Sam zobacz! — jęknął ten, odrzucając deski rozłupanego wieka.

Wewnątrz był wiatrowskaz. Olav go wyjął. Miał trójkątny kształt proporca wykutego w blasze z misternym wężowym ornamentem. Cały pokryty był złotem. Olav uniósł go wysoko nad głowę, aż zachodzące słońce zapaliło złoto czerwonym blaskiem.

— Srebro jest wasze! — krzyknął. — Niech trzy dziesiątki ludzi, którzy przypłynęli tu ze mną, żyją za nie po pańsku! Ja wziąłem zemstę i biorę to! Dla siebie i dla „Kanugårda”.

Stali zaskoczeni nad skrzyniami pełnymi srebra. Zostawił ich tak i ruszył na pokład. Wspiął się na maszt po raz pierwszy od czasów, gdy był chłopcem w dnieprzańskiej flocie. I zamocował wiatrowskaz.

Gdy wrócił, na brzegu płonęło ognisko. Wokół niego stali ludzie z obnażonymi mieczami w dłoniach. Geivar wystąpił i powiedział, ukazując znaczone sinym rytem zęby:

— Ja i mój miecz należymy do ciebie, Olavie Tryggvasonie.

Za nim wyszedł Ingvar, mówiąc:

— Jesteś moim wodzem. Popłynę tam, gdzie wskażesz kurs.

I Eyvind, Thorolf, Ottar, Orm, Vikarr, Torfi, Lodver, Rafn.

— Co powiesz, to rozkaz.

Po nich wychodzili następni, aż został ostatni, Varin, drugi po Geivarze, który miał malowane kły.

— Czekałem na ciebie, królu — powiedział. — Bo mój ojciec walczył przy boku twego, w Viken, nim wdowa Gunhild wydała wyrok śmierci na króla Tryggve. Po jego zgonie musieliśmy opuścić dom i udać się na wygnanie jak wszyscy ludzie króla. Z ust do ust podawano sobie wiadomość, że twoja matka umknęła z zasadzki i ucieka na wschód, lecz nikt nigdy nie dowiedział się, co z nią.

— Dzisiaj walczyłeś za dawną królową Astrydę, Varinie — powiedział Olav. — Wiem, że ona żyje, i znajdę ją.

— Znajdziemy ją razem, królu — odpowiedział Varin i przyklęknął przed nim na jedno kolano.

Płynęli Bałtykiem na zachód, zawijając do portów i małych przystani. Pytali o handlarzy niewolnikami, udając, że chcą kupić. Powtarzało się jedno imię, „Gudbrod z Bornholmu”. Już byli niedaleko, dzień, dwa dni drogi. Nocą siedział na pokładzie, patrzył w burą wodę.

— „Kanugård” polizał krwi i zranił się — powiedział Geivar, dosiadając się.

— Wiem, trzasnęła decha w burcie. Mówiłem, że to był mój pierwszy raz.

— Napijesz się, wodzu? — Wyciągnął do niego rękę z kubkiem.

— Nie.

— Musimy jak najszybciej wymienić dwie deski. Do tego potrzebny jest porządny port. — Geivar pociągnął kilka łyków i spytał: — Dlaczego nie obejrzałeś się za siebie, wskakując na „Rosomaka”?

— Słyszałem was.

Pod masztem siedział Omold i nucił:

Milkliwy i myślący
ma być syn królewski,

w boju mężny,
w rozkazach nieugięty…

Przysiadł się do nich Varin.

— Opowiedz mi o wdowie Gunhild — poprosił Olav.

— Ostatni z Ynglingów, wielkich norweskich królów, Harald Pięknowłosy, miał wielu synów z wielu żon. Jednym z nich był Erik, który w drodze do władzy zabił własnych braci i zyskał przydomek „Krwawy Topór". Wziął za żonę Gunhild, córkę króla Danów, kobietę opętaną żądzą władzy i niewahającą się parać czarami. Przy jej boku dokonał niejednego mordu i lud go znienawidził. Po śmierci Erika Norwegią rządzili kolejno jego synowie, ale za każdym z nich stała Gunhild. Ludzie przeklinali rządy jej i jej synów, więc poczuła niepokój, że mogą odebrać im władzę i przekazać innym potomkom rodu. Wzięła na cel każdego z nich, aż został jej ostatni z Ynglingów, Tryggve, twój ojciec. Knowaniem, zdradą i kłamstwem doprowadziła do bitwy, w której zginął. Potem rozpuściła oddziały, które miały odnaleźć twoją brzemienną matkę. Resztę ty możesz nam opowiedzieć, królu.

— Nie mów do mnie „królu", bo jeszcze nie odzyskałem królestwa. Jeszcze nawet nie odnalazłem matki, która z narażeniem życia wyniosła mnie z Norwegii w swym łonie. Urodziła mnie podczas ucieczki, skryta w szuwarach jeziora Rond, gdy jego brzegi przeszukiwali ludzie wdowy Gunhild. Dopiero po zmierzchu, gdy odjechali, wyszła ze mną na ląd i położyła się w starej szopie na łodzie.

— Możesz zabronić mi nazywania cię królem — powiedział Varin — ale pewnego dnia wrócisz i okrzykną cię nim, bo królewska krew jest bezcenna, a dziś płynie tylko w tobie, Olavie. Po śmierci ostatniego z synów Gunhild Norwegia nie ma króla. Ma panów Północy, jarlów ziem, oraz władającego nimi i krajem jarla Hakona z Lade.

— Jest namiestnikiem króla Danów — powiedział Olav.

— W tym rzecz, panie. Namiestnikiem obcego władcy, w którego imieniu włada naszym krajem.

— Jarlowie z Lade — wtrącił się Omold skald — są silni i kochani przez lud, ale nie ma w nich kropli krwi Ynglingów. Hakon wyłamał się z posłuszeństwa Danom, co nie zmienia biegu rzeczy. Kraj podlega obcym władcom, a to żadnemu mężowi nie przysparza honoru. Jednak, nim popłyniesz po norweski tron, musisz mieć sojuszników i flotę, bo przyjdzie ci pokonać i Hakona, i Danów.

— Zdobędę ją — powiedział Olav.

— Jak wiatrowskaz z wężem, znakiem dynastii Ynglingów. — Varin kiwnął głową.

— Szczęśliwy ten, co sam sobie zdobędzie dobre imię i chwałę — zanucił Olav.

— Masz dźwięczny głos — pochwalił skald.

— Cicho! — Olav zerwał się na równe nogi. — Słyszycie?

— Co?

Uniósł głowę. Noc była bezksiężycowa i chmurna, niewiele było widać, ale nie mylił się: wiatrowskaz grał, obracając się na wietrze.

— Idzie sztorm.

Wiatr zerwał się nagle i od razu potężny. Po kilkunastu ciepłych podmuchach „Kanugårdem” rzuciło ponad falą, a niebo rozerwały błyskawice.

— Królu! — zawołał Varin, trzymając się burty. — Pozwól mi wziąć ster! Sztormowałem niejeden raz!

Olav oddał mu ster bez namysłu. Szczerząc malowane kły, Varin zwrócił łódź dziobem do fal, tak żeby wejść nią nie pod, ale na falę. Z pierwszą się udało, ale druga zalała pokład.

— Kładziemy żagiel! — wrzasnął Varin. — Szybko!

Geivar z Olavem rzucili się do żagla, Ingvar i Omold już byli przy nich.

— Olav ze mną na „dwa”! — rozkazał Geivar. — Wy do lin!

Mięśnie im się napięły, gdy pociągnęli żagiel w dół. Już dostał wody, już był piekielnie ciężki. Jeszcze kilka kolejnych uderzeń fal i od jego masy mógłby pęknąć maszt. Gdy spuszczali żagiel ostatnim wysiłkiem, ostatnim gwałtownym pociągnięciem, przez głowę Olava przebiegła myśl, że zaraz pęknie mu kręgosłup. Nie pękł. Omold kładł już żagiel na kozłach, a Ingvar związywał. Olav i Geivar, czerwoni od wysiłku, padli na pokład, słysząc rozkaz Varina:

— Do wioseł! Już! Zachować prędkość!

Pozbawiona żagla łódź łatwo mogła paść łupem coraz silniejszych fal. Eyvind, Ottar, Orm, Thorolf już pracowali wiosłami. Olav z Geivarem na czworakach przedostali się do ławek. Chwycili za wiosła.

— Zachować prędkość! — darł się Varin, zręcznie prowadząc „Kanugårda” na grzbiet zmiennej, wściekłej fali.

Przez chwilę wiosłowali w powietrzu, bo wiosła znalazły się wyżej niż woda i nie mogli jej złapać, póki łódź długim ślizgiem znów nie znalazła się na powierzchni. Raz, dwa. Poruszali się, zachowując rytm. Raz, dwa. Stracił rachubę; otrzeźwiał, gdy zrozumiał, że wiatr już słabnie.

O świcie dryfowali, wybierając wodę z łodzi. Miała uszkodzone poszycie, porwany żagiel, ale cały maszt. Wiatrowskaz stał w miejscu, jakby nocny sztorm był tylko złym snem. Na horyzoncie wyraźną, zieloną linią znaczył się ląd.

— Do wioseł! — zawołał Olav i siadł wraz z załogą na ławce.

— Jesteś szczęściarzem, Olavie Tryggvasonie! — wesoło krzyknął Varin. — Wyszliśmy z tego.

— Jeszcze nie. Nazwij mnie tak, gdy dopłyniemy do lądu i okaże się, że znajdziemy tam szkutników i dobrą przystań.

— Jeśli do tego będzie gorąca kolacja, nazwę cię bogiem, królu. — Varin wyszczerzył malowane kły.

Wiosłowali, aż słońce stanęło w szczycie. Już widzieli plażę ze złotym piaskiem i las na wysoko wzniesionej wydmie. I wtedy dostrzegli niewielką łódź, która płynęła ku nim od brzegu.

ASTRYDA stała na dziobie łodzi i przysłaniając oczy przed słońcem, wpatrywała się w statek bez żagla, który płynął ku niej. Miała nadzieję, że to oni, i paskudne przeczucia, że sztorm wszystkim pomieszał szyki. Sen, który śniła tej nocy, był ciemny i podły, lecz ona miała wiele powodów, by wierzyć w swe sny.

A przecież to był ten pierwszy, jedyny raz, gdy Mieszko powierzył jej jakieś zadanie. Tak bardzo chciała się wywiązać, spełnić je. Zasłużyć na błysk zielonej źrenicy księcia, którego kochała jak ojca i nie śmiała nim nazwać.

— Leszko! — zawołała do swego sternika. — Myślisz, że to oni?

— Nie jestem od myślenia, pani. Jestem od tego, by twoja łódź dopłynęła tam, gdzie ty chcesz.

— A niech cię!

Mieszko czekał na posłów króla Szwecji, Erika. I posłał ją, jako swą córkę i — jak mawiał — „moje oko w Wolinie”, by ich odebrała, gdy dobiją do brzegów Bałtyku. Sztorm, który rozpętał się tej nocy, był niespodziewany i tak silny, że nawet jej dziadek, Dalwin, powiedział: „A niech to czort! Perun pierdolnął w Bałtyk jak nic”. A przecież dziadek rzadko klął.

Wysłali łodzie patrolowe od Wolina do solnego Kołobrzegu, by szukać posłów, a ona wsiadła na jedną z nich, bo nie mogła usiedzieć na miejscu.

Bała się zawieść Mieszka. I jako jedna z niewielu wiedziała, z czym płynąć mają posłowie wielkiego Erika. Wiedziała więcej niż mała Świętosława, jej słona siostra. Kochana. Ostra. Tak dobra. Tak zła.

— Leszko! Widzisz? Wciągają białą płachtę na maszt?

— Wzrok cię nie myli, wolińska pani!

— Snekkja. Dwanaście… nie! Szesnaście ławek. Bez żagla. Co tam na maszcie tak lśni?

— Jeżeli wiatrowskaz, to ze złota, wolińska pani!

— Ze złota? To może królewscy ludzie. Dlaczego nie mają znaków Erika na maszcie?

— Może sztorm im zwiał?

Sztorm, sztorm. Bóg morza. Bóg życia. Ten, co daje śmierć w falach. Piękną śmierć.

— Leszko, jak chciałbyś umrzeć?

— Nurkując w fale, wolińska pani! Albo między uda kobiety!

— Zamknij się!

Już dopływali do siebie. Już rozróżniała sylwetki wioślarzy. Tak, to wiatrowskaz lśnił na maszcie. Żagiel wisiał porwany w strzępy. Dziki wiatr, sztorm. Żadnych znaków. Erik, król Szwecji, powinien mieć złotego dzika na maszcie, ale przecież mógł porwać go sztorm.

Na dziobie stał ciemnowłosy, niski mężczyzna w skórzanym kaftanie.

— Kogo witam? — krzyknęła w morze.

— A kto pyta? — padła odpowiedź.

— Astryda, córka księcia Mieszka! — zawołała i poczuła, jak wiatr targnął jej włosami.

— Nasz statek nazywa się „Kanugård” i potrzebuje szkutnika. Nadgryzł go sztorm! — zawołał do niej sternik.

To nie oni — jęknęła w duszy i wtedy go zobaczyła.

Z głębi łodzi szedł na dziób wysoki, młody człowiek. Miał długie włosy, lśniące i białe, oczy przejrzyste i jasne, spojrzenie ostre jak u młodego węża. Kaftan skórzany, a na nim kolczugę. Przepasany był pasem przez ramiona na krzyż. Tak, był mężczyzną z jej snu.

— Nazywam się Olav Tryggvason — powiedział do niej głosem, który sam niósł się po wodzie. — Potrzebuję przystani.

Jestem nią — pomyślała Astryda, zgodnie ze swym snem. A na głos powiedziała:

— Bądź gościem mego ojca, pana tej ziemi! — i wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń.

MIESZKO z jastrzębiem na ramieniu siedział na podwyższeniu w sali audiencyjnej palatium i patrzył na gościa. Na ścianie za jego plecami pysznił się miecz świętego Piotra. Jarl Birger, wysłannik króla Szwecji, Erika, był postawnym, na oko trzydziestoletnim mężczyzną. Jego długie, jasne włosy spinały srebrne pierścienie. Ubrany był kosztownie, szerokie ramiona okrywał lamowany złotą nicią płaszcz; w końcu tu, w Poznaniu, reprezentował swego władcę, tu, przez czas gościny u Mieszka, w pewnym sensie nim był. Ale nie bogaty ubiór i dary, jakie przywiózł, budziły ciekawość Mieszka. Książę patrzył w oczy gościa, chcąc wyczytać z nich, kim naprawdę jest król Erik. Od jego decyzji zależało wiele. Mógł się mylić. Mógł trafić bezbłędnie. Zyskać zięcia lub stracić córkę.

— Radujmy się! — zawołał i klasnął w dłonie. — Bóg sprawił, że nasi goście cało i zdrowo przepłynęli morze! Jarlu Birgerze, twoje miejsce na tej uczcie jest przy mnie!

Zaprosił go do stołu na podwyższeniu, gdzie siedział z Bolesławem. Tego dnia kazał stoły ustawić inaczej niż zwykle, by zachować swobodę rozmowy z gościem. Przy drugim, nieco oddalonym, zajęły miejsce kobiety. Oda tego wieczoru wyglądała wyjątkowo pięknie. W purpurowej

sukni i zielonym płaszczu, w książęcym diademie na wysoko uniesionej głowie. Od dnia, gdy Redarowie zbezcześcili klasztor w Kalbe, bała się i ten lęk jej służył. Przy Odzie siedziała mała, cicha Gertruda, saska narzeczona Bolesława, dziewczę nieefektowne, choć świetnie urodzone. Margrabia Rikdag słał gońców z pytaniem „kiedy ślub?”. Mieszko uspokajał go, że jeszcze w tym roku, ale synowi nie pozwolił małej tknąć. Zresztą Bolesław nie palił się do Gerd, odkąd Mieszko dał mu na zgodę dwie piękne nałożnice. Przy Odzie i margrabiance siedziały Świętosława i Geira, jego córki, tak niepodobne do siebie jak woda i ogień. Miejsce Astrydy stało puste. Kolejne stoły i ławy zapełnili jego najlepsi drużynnicy, wodzowie drużyn.

— Ojcze Janie! — Mieszko przywołał swego kapelana. — Poświęć pokarmy, które będziemy spożywać.

Wszyscy wstali. Jan uczynił znak krzyża i odmówił modlitwę, kończąc ją słowami:

— Ku chwale Pana naszego i księcia Mieszka. Amen.

Usiedli. Dał znak muzykom, by grali. Służba zaczęła krążyć z dzbanami najlepszego miodu.

— Przeżegnałeś się, jarlu Birgerze — zauważył Mieszko.

— Tak, książę. Jestem ochrzczony.

— I nieźle znasz nasz język!

— Mój król tak ciebie szanuje, panie, że nie wysłałby na twój dwór kogoś, z kim nie mógłbyś mówić.

— Dwie z moich córek też posługują się językiem Północy. Po swych matkach! — zaśmiał się Mieszko. — Kobiety potrafią nauczyć nas wielu rzeczy, prawda, jarlu?

— Owszem, najjaśniejszy książę. Moja była Słowianką! — Birger uniósł kielich.

— Kobiety nas łączą. — Mieszko upił łyk miodu. — Przy tamtym stole siedzi moja żona, przyszła synowa i dwie córki. — Spojrzał na nie i napotkał spojrzenie Ody. — Każda z nich to sojusz, rozejm, pokój lub choćby zawieszenie broni. Gdyby rodzili nam się tylko synowie, mielibyśmy na świecie same wojny! — Wzniósł kielich, uśmiechając się z daleka do Ody.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, który znał tak dobrze. Przez chwilę przebiegło mu przez głowę, że mógłby odstawić kielich, zniknąć z Odą w alkowie na moment i wrócić na ucztę. Jastrząb na jego ramieniu wrzasnął, przywracając myśli Mieszka do porządku.

— Wyjaśnij mi, jarlu — odezwał się Bolesław — jak to jest, że ty, wyznawca Chrystusa, służysz pogańskiemu królowi?

— Król Erik szanuje przywiązanie swych rodaków do starych bogów. — Mieszko czuł, że Birger ostrożnie dobiera słowa. — I jednocześnie rozumie, że świat jest wielki i różnorodny.

— Uznaje chrześcijan na swoim dworze? — spytał Bolesław. — Czy też ledwie ich toleruje, traktując jako nieszkodliwych dla swej władzy?

— Skoro do sprawy najwyższej wagi, za jaką uznaje sojusz z księciem Mieszkiem, wybrał mnie, jak byś to nazwał, młody książę? — odpowiedział pytaniem Birger.

— Jest gotów przyjąć chrzest? — wprost zapytał Mieszko.

— To nie stanowi warunku naszego sojuszu — odrzekł Birger. — Lecz jeśli pytasz mnie prywatnie, książę, to odpowiem ci, powtarzając twoje słowa: kobiety potrafią nauczyć nas wielu rzeczy! — Mówiąc to, uniósł kielich i upił łyk, patrząc w oczy Mieszka, a potem zwrócił się w stronę stołu jego żony i córek i pochylił głowę.

— Skoro Erik pragnie sojuszu ze mną tak, jak ja z nim, a jednocześnie nie zależy mu z przyczyn oczywistych na sakramentalnym małżeństwie,

proponuję mu rękę jednej z mych starszych córek — powiedział Mieszko, odstawiając kielich na stół.

Birger zmarszczył brwi, jakby szukał słów.

— Mój król — odpowiedział po chwili — obiecuje ci, panie, że uderzy w potęgę Danii. Gdy ją zmiecie, pęknie pierścień wokół twych zachodnich granic. Mściwój i Obodryci w pojedynkę nie znaczą nic. Wieletów i Czechów sam pokonasz, wielki książę. Będziesz wolny od trosk, panie! Ale tak pokaźny dar małżeński Erik, król Szwecji, wypłaci tylko za rękę najcenniejszej z twych córek. O niej i tylko o niej rozmawiamy od samego początku, książę.

— Umiesz ją chociaż rozpoznać? — zezłościł się Mieszko.

— Ta, co ma włosy jak bursztyn, oczy jak leśna kotka, a język ostry niczym nóż — powiedział Birger. — Takie rymy o niej skaldowie składają Erikowi do snu w wielkim dworze w Uppsali.

— Potrafisz wymówić imię mojej siostry, pośle? — ostro spytał Bolesław, unosząc się nad stołem.

— Kobiety zmieniają swe imię po ślubie — odpowiedział jarl Birger spokojnie. — Tak by łatwiej je było wymówić nowym poddanym.

ŚWIĘTOSŁAWA upiła łyk miodu i szturchnęła siostrę.

— Ojciec patrzy na ciebie, Geiro!

— Raczej na puste miejsce Astrydy. Widzisz te zmarszczone brwi? Pewnie myśli: dostanie się jej za spóźnienie!

Stuknęły się kielichami, roześmiane. Zmarszczenie brwi ojca pana z daleka było zabawne.

— Co wam tak wesoło, moje panny? — spytała Oda, pochylając się ku nim przez Gertrudę.

— Zastanawiamy się, do którego klasztoru odeśle cię Mieszko, skoro twój w Kalbe już zbezczeszczony! — odparowała Świętosława

z najsłodszym uśmiechem.

Poczuła, jak Geira kopie ją pod stołem, ale się nie cofnęła. Łyk miodu dodawał jej odwagi.

— Twój tatuś, księżno macocho, już w wymuszonej gościnie u Rikdaga, Bolesławowego teścia, prawda, Gerd? — Uniosła kielich do narzeczonej brata.

Oda nadęła policzki i uniosła podbródek. Dziewczynka drgnęła, słysząc swe imię.

— Nie bój się, mała Gerd. — Świętosława położyła jej dłoń na ramieniu. — U nas jesteś bezpieczna jak pisklę w gniazdku. Nie pozwolę ci zrobić krzywdy, bo wzrusza mnie twoja płaska pierś i krosty na nosie. Moja siostra, Astryda, wie, jak się ich pozbyć! Wyleczyła niejedną pannę z kłopotów, a dla ilu przywołała uczucia oziębłego męża…

— Jesteś bezczelna!… — wdarła się jej w zdanie Oda, ale przerwała, bo drzwi sali się otworzyły i stanęła w nich Astryda.

Starsza siostra miała na sobie ciemny płaszcz i kaptur mokry od deszczu. Wyglądała tak, jakby przywiozła wiadomość, że właśnie zaczął się Sąd Ostateczny. Miała otwarte usta, chciała krzyknąć, lecz obrzuciła salę uważnym spojrzeniem i skupiła je przez chwilę na gościu ojca, a potem na swoim pustym miejscu przy stole.

Złożyła ukłon Mieszkowi i gościom. Oddała płaszcz i kaptur służbie. I pokornie usiadła przy stole.

BOLESŁAW patrzył na Gertrudę z daleka. Przy jego siostrach wydawała się brzydka. Geira, wyniosła wzrostem i prostotą jasnych włosów spadających równo na szerokie plecy. Astryda, która ledwie wbiegła, o włosach niczym ciemna żywica kapiąca ze zranionej kory i oczach nieprzyzwoicie niebieskich. Świętosława, zielonooka, lśniąca warkoczami z jantaru, gibka i żywa jak leśna kotka, z rysim futrem przerzuconym przez

ramię. Jego narzeczona przy tych dziewczynach wydawała się blada, nijaka i niemal przezroczysta. Na jej wizerunek nakładała się wyraźna postać Jagi, dziewczyny z sobótkowej nocy. I bliźniaczek nałożnic, które dał mu w prezencie ojciec i których ciał używał bez miłości, ale za to z rozkoszą. Mała córka wielkiej Marchii. Gerd blada. Gerd nieśmiała. Gerd zwykła. Nie potrafił wobec niej wykrzesać nawet współczucia. Marzył o dniu, w którym wraz z Mieszkiem ruszy na Wieletów, ale nie myślał, że przyniesie wyzwolenie ziemi swej ukochanej ze szponów drapieżnych pogan. Marzył o chwili, w której zatapia miecz we krwi ostatnich dzikich Słowian. Gerd była mu zupełnie obojętna. W przeciwieństwie do rozmowy, którą Mieszko prowadził z jarlem Birgerem.

— Przypomnij mi, gościu, jak zwą kłopotliwego bratanka twojego króla?

— Styrbjorn Olafsson, książę.

Obok złotej miski, z której jadł ojciec, stała druga, z surowym mięsem dla jego jastrzębia. Nikomu prócz Mieszka nie wolno było go karmić. Teraz wziął w palce mięso i wsadził drapieżnikowi wprost w rozwarty dziób.

— Styrbjorn — powtórzył za Birgerem. — Widziano go w Jomsborgu.

— Jest nam wiadome, że Styrbjorn prosił jomswikingów o pomoc przeciw swojemu stryjowi, królowi Erikowi — odpowiedział jarl. — I jest nam wiadome, że jej nie uzyskał.

— Był drugi. — Ojciec strzepnął palcami.

— Co przez to rozumiesz, książę? — zapytał z niepokojem Birger.

Że pierwszy w kolejce do jomswikingów zawsze jest duński król Harald — odpowiedział w myślach Bolesław. Oczywiście nie powiedział tego na głos, bo to Mieszko decydował, co chce powiedzieć, a co woli zatrzymać dla siebie.

— Gdy wikingowie z Jom spełnią rozkaz duńskiego króla Haralda i przywrócą Norwegię jego władzy, będą wolni — odrzekł Mieszko.

— Wtedy mogą znaleźć czas dla Styrbjorna.

Gość przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Znów odezwał się Mieszko:

— Nie jest w moim interesie wydawać córkę za króla, który spodziewa się kłopotów, jarlu Birgerze. Zależy mi na silnym zięciu, który zapewni mej córce i jej potomstwu stabilny tron. Nie chcę, by po śmierci męża musiała się martwić o to, że do Uppsali przybędzie Styrbjorn i zażąda oddania mu władzy.

— Dlaczego mówisz, książę, o wdowieństwie przed ślubem? — zapytał Birger.

— Spójrz na moją żonę, jarlu — odpowiedział Mieszko i wskazał na Odę. — Piękna, prawda? I dwadzieścia lat ode mnie młodsza. Tyle mniej więcej, o ile król Erik jest starszy od każdej z mych córek.

Bolesław przygryzł wargę, miał ochotę się zaśmiać. Ojciec wciąż próbuje drażnić Birgera tym, że nie da Świętosławy, tylko Astrydę lub Geirę. Gość z tego wybrnął:

— Mój król nie popiera wielożeństwa, choć nie jest ochrzczony. Lecz jeśli twoim życzeniem, książę, jest wydać za Erika wszystkie trzy córki, to spróbuję go do tego przekonać.

— Moim życzeniem, jarlu Birgerze, jest zapewnić jej świetną przyszłość!

— Skoro gwarancją w twych oczach ma być głowa Styrbjorna, to mogę ci ją obiecać, książę. Lecz nie przed ślubem. To by wywołało niepotrzebne wrzenie. Król Erik nie będzie niczym wdowa Gunhild ścigał po całym świecie pretendentów do swej korony, bo uważa to za rzecz niegodną. Jeśli jednak bratanek odważy się i wypowie mu wojnę, Erik stanie do niej i zwycięży Styrbjorna, niezależnie od tego, czy jomswikingowie go wesprą, czy nie.

— Dobrze! — Mieszko uderzył dłonią w stół. — Zatem ten punkt mamy omówiony. Dam ci ludzi, z którymi pojedziesz jutro do mego namiestnika

w Wolinie. Dalwin wie, jak dotrzeć do zauszników Styrbjorna, a twoja głowa w tym, by niepokornego bratanka podburzyć do wypowiedzenia wojny. Bo w to, że wygra ją Erik, ani ty, ani ja nie wątpimy! — Dał znak słudze, że może dolać mu miodu.

Bolesław patrzył z daleka na Świętosławę. Czy domyślała się, że ojciec w tej właśnie chwili opija jej przyszłość? Będzie królową Szwecji, choć korona jej męża nie pochodzi ani od papieża, ani od cesarza, bo Erik jako poganin nie pragnie tej pierwszej, a jako wódz kraju nieposiadającego żadnych związków z cesarstwem nie potrzebuje tej drugiej. A jednak niezależny wiking pragnie przez małżeństwo wejść do Europy. Czy wie, że to prócz splendorów oznacza wieczne kłopoty? A jego siostra? Jak sobie poradzi na dalekiej Północy? Co powie, gdy się okaże, że mąż będzie niemal w wieku ich ojca? I że nie jest ochrzczony?

W tej jednej chwili Bolesław był pewien, że pierwszy raz w życiu nie chce być w skórze Mieszka.

ASTRYDA z trudem znosiła niekończącą się ucztę. Muzyka ją drażniła, zapach pieczonego mięsa przyprawiał o mdłości. Z każdego kielicha, z każdej misy, spod zaciśniętych powiek wciąż śledził ją jasny, niemal kłujący wzrok Olava. Nie mogła się od niego uwolnić i najchętniej wyszłaby stąd i wróciła do znajdującego się za palatium dworu dla gości, w którym ulokowała Olava i jego załogę.

Walczyła ze sobą. Tak, wiedziała, o czym rozmawia Mieszko z jarlem króla Erika. Powiedział jej, co zamierza, wysyłając ją na wybrzeże, by odebrała królewskich posłów. Lecz zamiast nich wyłowiła z morza Olava. Zamiast króla Szwecji — przyszłego króla Norwegii. Zagryzała wargi i pod stołem wyłamywała palce, by nie wyć. Czuła, że wiadomość o Olavie może zatrzymać ślubne pertraktacje Mieszka z Erikiem. Nikogo nie musiała pytać, którego z nich wolałaby jej siostra.

Raz czy dwa, lojalnie, chciała wstać i pójść do księcia, pokłonić się i szepnąć mu na ucho, kogo przywiozła do Poznania. Ale nie wstała. Ręce jej drżały i mówiła sama do siebie: „Mieszko chce mieć nas wszystkie trzy przy sobie. To znaczy, że nie tylko Świętosławę będzie teraz wydawał za mąż. Jeśli jej przypadnie król Erik, jak zaplanował, to może mnie da tego, którego wyłowiłam z morza. Nieplanowanego”.

I niczego bardziej nie pragnęła.

— Astrydo! Co ci? — Roześmiana Świętosława złapała ją za łokieć.

— Nic — skłamała, nie patrząc siostrze w oczy. — Jestem zmęczona podróżą.

A jeśli Mieszko się wścieknie, że nie powiedziała w porę? Czy wytłumaczy ją udawanie nieświadomej wagi swego znaleziska? To tylko królewski potomek w drodze po należny mu tron — powtarzała sobie. — Mieszko nie zamieni niepewnego Olava na panującego Erika. Mieszko nie zmienia planów!

Nieprawda, wiedziała, że nikt nie zmienia ich tak szybko jak on. Czy dlatego siedziała za stołem, zamiast wstać i przekazać wiadomość księciu? Owszem, dlatego.

I nagle dotarło do niej, że tak bardzo skupiła się na sobie, na tym, co czuje od pierwszego wejrzenia w jasne oczy Olava, że zapomniała o rzeczy najważniejszej: cokolwiek się przydarzy, ludzie jarla Birgera nie mogą się dowiedzieć, że na dworze Mieszka przebywa młody Tryggvason. Zrobiło jej się gorąco. Myślała o sobie i niemal doprowadziła do katastrofy.

Wstała od stołu i podeszła do Mieszka. Skłoniła się i powiedziała:

— Książę…

I napotkała jego spojrzenie, co najmniej zaskoczone.

— Moja córka Astryda — przedstawił ją gościowi Mieszko. — Będzie twoją przewodniczką w drodze do Wolina. Jest wnuczką Dalwina.

Czuła, jak zakręciło jej się w głowie. Tylko nie to! Za nic w świecie nie wyjedzie teraz z Poznania. Nie słuchała gładkich słów Birgera.

— Książę… obawiam się, że… — zająknęła się. Co mu teraz powie? Sprzeciwi się? — Chciałam powiedzieć, że przywiozłam gościa… kogoś, kto chce pomówić z tobą…

— Teraz? — Skrzywił się, jakby chciał ją uderzyć. — Teraz chcemy ogłosić radosną nowinę! Gość musi poczekać.

— Jak sobie życzysz, książę. — Skłoniła się i choć była przerażona, odetchnęła z ulgą.

Wracając na swoje miejsce, przywołała Bjornara i szepnęła mu na ucho:

— W dworze gościnnym jest trzydziestu dwóch ludzi, rozbitków z łodzi, która płynęła z Rusi. Twoja w tym głowa, by nie zetknęli się z ludźmi szwedzkiego jarla. Potraktuj ich po królewsku. Rozumiesz?

— Nie — odpowiedział równie cicho. — Ale zrobię, co każesz.

Gdy siadała, drżały jej dłonie i kolana.

— Co to za konszachty z ojcem, co? — Świętosława uszczypnęła ją pieszczotliwie. — I jeszcze z rudzielcem Bjornarem. Z kim trzymasz, niedobra dziewucho? Z ojcem czy z siostrami?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Mieszko przywołał do siebie Świętosławę.

Stanie się. — Astryda wstrzymała oddech. — Niech się stanie.

ŚWIĘTOSŁAWA od poprzedniego dnia wiedziała więcej, niż wszyscy myśleli. Udawała tylko, że niczego się nie domyśla. Dusza, niezawodna i milcząca, przybiegła do niej wieczorem, zakryła jej włosy swym kapturem i za rękę poprowadziła do pomieszczenia dla służby przylegającego do świetlicy. Tam, skryta między skrzyniami pełnymi wypolerowanych kubków, kielichów i mis, podsłuchała rozmowę ojca z jego kapelanem.

„Sven jawnie odrzuca chrześcijaństwo i na powrocie do starych bogów buduje swoją potęgę. Erik jest tylko nieochrzczony” — mówił ojciec Jan.

„Co w oczach Boga jest gorsze?” — spytał Mieszko. „Dziecko Boże wyrzekające się Kościoła i wody chrztu, która go obmyła, popełnia grzech śmiertelny. Biskupi sascy mówią o nich: wyklęte dzieci Kościoła. Bóg czeka na pogan ze Słowem Objawionym. Może twej córce pisany los matki?” — odpowiedział mu kapelan. Mieszko roześmiał się na to nerwowo. „Tak, Dobrawa też wyszła za poganina!”. Ojciec i kapelan opuścili świetlicę, a ona siedziała w składziku, czekając, aż Duszka ją wyprowadzi, gdy będzie bezpiecznie. Trawiąc to, co usłyszała, bezwiednie wyjęła ze skrzyni wielki, srebrny kielich i ustawiła go na pustym stole. I poczuła się nagle jak podczas mszy, przyklękła przed stołem. Odkąd Oda szepnęła jej w złości: „Ucz się mowy wikingów”, wiedziała, że w słowach księżnej tkwi ziarno prawdy. Oda chciała, by bolało. Chciała jej powiedzieć: „Wyjdziesz za barbarzyńcę, bo jesteś tak samo dzika”, jakby zapomniała, że margrabia Ditrich, jej własny ojciec, dziesięć lat wcześniej barbarzyńcą nazywał Mieszka. A potem prosił go na zięcia.

I przysięgła sobie wczorajszego wieczoru, klęcząc w służbówce przed pustym kielichem na stole, że przyjmie ten los, który jej ojciec zgotował, nie z pokorą, ale z podniesionym czołem.

Tak właśnie szła do niego, gdy przywołał ją wreszcie podczas uczty.

— Córko! — Mieszko wstał i wstali wszyscy obecni. — To jarl Birger, wysłannik króla Szwecji, Erika…

Jastrząb ojca natychmiast przeskoczył z oparcia jego wysokiego krzesła na książęce ramię.

Złapała czujne spojrzenie oczu brata. Birger nie był starym dziadem. Był silnym, postawnym mężczyzną. Spodobały jej się jego jasne, długie włosy, spięte srebrnymi pierścieniami. Czy jest podobny do swego króla?

— …króla Szwecji, wielkiego kraju za morzem. Kraju, w którym zimą słońce nie wstaje, a latem nie zachodzi! — Przywitała go, patrząc mu

w oczy. Speszył się, a niech to! — Jarl przywiózł od swego pana godne dary! Klejnoty Północy, piękne futra reniferów i polarnych niedźwiedzi, skrzynie pełne… — Mieszko mówił, a Świętosławę bawiło, że ojciec nie chce powiedzieć wprost.

— Dziękuję — odpowiedziała i uśmiechnęła się do Birgera. — Zgadzam się.

Mieszko zastygł z otwartymi ustami. Na policzki jarla Birgera wypłynął rumieniec. Bolesław zakrztusił się miodem.

— Córko… — Mieszko odchrząknął. — Chcę przez to powiedzieć, że król Erik prosi o twoją rękę.

— Mam nadzieję, ojcze, że nie wyceniłeś najdroższej ze swych córek jedynie na futra reniferów, polarnych niedźwiedzi i skrzynie pełne czegoś tam, wszak nam niczego nie brakuje. Powiedz, proszę, ile naprawdę kosztuję.

— Jesteś gwarantką sojuszu ze Szwecją, córko — wykrztusił zaskoczony ojciec.

Jarl Birger przyklęknął i powiedział:

— Mój król obiecuje pokonać Danię.

— Jest na tyle silny, że potrafi to zrobić? — spytała.

— Tak, księżniczko. Zrobi to dla ciebie.

— Co będzie, jeśli mu się nie powiedzie?

— Przysięgam, że to zrobi.

— Zatem świętujmy! — Uniosła ramiona i odwróciła się do sali pełnej gości.

OLAV, zostawiając „Kanugårda” w wolińskim porcie, zdjął z masztu łodzi wiatrowskaz. Czuł się z nim związany, jakby wężowy znak zdobyty na „Rosomaku” był przedłużeniem jego ciała. Varin, od chwili gdy Astryda przyprowadziła ich łódź do wolińskiego portu, już trzy razy nazwał go

bogiem. Za przystań, za szkutników, którzy ze znawstwem zajęli się „Kanugårdem”, i za wieczerzę, jaką wyprawił Dalwin. Teraz w Poznaniu, przygotowując się do spotkania z Mieszkiem, myślał, że los wydał się przewrotny, przywodząc jego łódź do ziemi księcia, któremu „zrobić pożogę” zlecał mu kniaź Wladimir.

Astryda przyszła po niego w południe.

— Książę czeka — powiedziała.

Idąc przez wyłożony dranicami podwórzec, uniósł głowę. Białe, murowane palatium rysowało się na tle nieba zupełnie inaczej niż drewniany dworzec Wladimira w Kijowie. Było czyste jak runy wyryte w niemożliwie niebieskim niebie.

— Tędy — powiedziała jego wybawicielka, prowadząc kamiennym korytarzem.

Weszli do dużej, jasnej sali audiencyjnej. Pod jej sufitem podwieszone były purpurowe jedwabie. Wzdłuż ścian stali wojownicy w srebrnych kolczugach, a na głównej ścianie wisiał dziwny, starodawny miecz i wielki, złoty krzyż.

Ach tak — przypomniał sobie Wladimira. — Mieszko jest ochrzczony.

Główne miejsce na podwyższeniu zajmował ciemnowłosy mężczyzna z ostro zakończoną brodą i z jastrzębiem na ramieniu. Po jego prawicy siedział młodzieniec, który wyglądał jak ubrany w purpurową tunikę orzeł. Bolesław — przypomniał sobie imię książęcego syna Olav.

— Książę, oto twój gość. — Astryda ukłoniła się i zajęła miejsce na jednym z wolnych, lecz nieco niższych siedzisk.

Brodaty książę skinął na niego dłonią, ptak na jego ramieniu otworzył dziób, ale nie krzyknął.

— Jestem Olav Tryggvason — powiedział. — Sztorm uszkodził moją łódź u twego wybrzeża, panie.

— Jak się nazywa twoja łódź? — zapytał książę i Olav dopiero teraz zobaczył, że jedno pasmo jego spiczastej brody jest siwe.

— „Kanugård”, książę.

— Kijów rozbił się o moje brzegi! — zaśmiał się Mieszko. — Dlaczego tak nazwałeś swą łódź?

— Nie ja ją nazwałem, lecz księżna Allogia, żona kniazia Wladimira — odpowiedział Olav.

— Zatem jesteś jej sługą? — spytał kpiąco książę.

— Nie, panie. „Kanugård” był podarunkiem księżnej dla mnie i to ona wybrała mu imię.

— Kim więc jesteś?

— Jestem synem Tryggve, ostatniego potomka norweskich królów. Moja matka, uciekając przed wdową Gunhild, urodziła mnie na wygnaniu. Młodość spędziłem na Rusi. Teraz wracam, by odzyskać norweski tron.

Jastrząb z ramienia księcia poderwał się do lotu. Olav wyciągnął ramię, by ptak na nim wylądował. Drapieżnik na chwilę się zawahał i poleciał dalej, za jego plecy. Olav odwrócił się gwałtownie, idąc za lotem jastrzębia. Ptak usiadł na ramieniu dziewczyny, która stanęła w drzwiach sali.

Spojrzał na nią i ugięły się pod nim nogi. Ubrana była w pysznie królewską czerwoną suknię, na ramionach zamiast płaszcza miała cętkowaną skórę rysia. Szła z jastrzębiem na ramieniu, stukając podkutymi butami. Wydawała się wysoka i wyniosła, ale gdy go mijała, zobaczył, że jest drobna, sięgająca mu ledwie ramienia. Patrzyła na niego uważnie i pod tym spojrzeniem się ukłonił, czując, iż powinien to zrobić, gdy tylko stanęła na progu.

Jest żoną czy córką? — pomyślał. — Pewna siebie i władcza jak księżna, ale młoda, bardzo młoda.

— Prawdziwy urodzaj na skandynawskich królów! — powiedziała, wchodząc na podwyższenie i siadając po lewej stronie księcia.

Jastrząb natychmiast przeskoczył z jej ramienia na krzesło Mieszka.

— Podsłuchiwałaś? — spytał książę i pocałował nadstawiony przez dziewczynę policzek.

— Nie! Siostra mi powiedziała. Zrezygnowałam z polowania, żeby poznać gościa.

— Olavie — odezwał się do niego Mieszko — poznaj moją najdroższą córkę, Świętosławę!

A więc córka — przebiegło mu przez głowę i poczuł ulgę, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie. I zaraz potem przypomniał sobie, że to ta, którą poślubić chciał Wladimir.

Dziewczyna wpatrywała się w niego z ciekawością.

— Ostatni potomek norweskich królów w drodze z Kijowa rozbił się u naszych brzegów, a wyłowiła go z Bałtyku moja siostra — powiedziała jednym tchem i w jej oczach zalśniły wesołe iskry. — Astrydo! Jeśli dobrze pamiętam prawo brzegowe, to, co wyrzuci morze, należy do znalazcy! Czy ojciec już oddał ci ten skarb? — Wskazała na niego głową.

Astryda pokryła się rumieńcem, a Mieszko skarcił córkę:

— Świętosławo! Twoje żarty są niestosowne. Astrydo, czas na ciebie. Ruszasz ze szwedzkimi wysłannikami do Dalwina.

Astryda wstała, ukłoniła się i niemal wybiegła z sali, mówiąc:

— Jak sobie życzysz, książę.

Mieszko zwrócił się do gościa:

— Wybacz, Olavie. Córki są radością ojców! — Mówiąc to, zrobił minę, jakby myślał coś odwrotnego. — Więc mówisz, że nie byłeś w swym kraju od czasu narodzin. Czy ktoś z twojej rodziny żyje?

— Sigurd, brat mojej matki, jest urzędnikiem kniazia Wladimira, zbiera podatki z kraju Estów. Od kilku lat szuka swojej siostry, a mojej rodzicielki. Bezskutecznie, ale ja wierzę, że Astryda żyje.

— Twoja matka ma na imię Astryda, tak jak moja siostra? Co się z nią stało? — Świętosława zadawała pytania szybko; nie wiedział, czy ma odpowiadać jej, czy księciu.

— Trafiła w ręce handlarzy niewolników — powiedział, czując, że gdy na nią patrzy, z trudem składa słowa.

— Trzeba zawołać Geirę! — krzyknęła. — Moja siostra jest wdową po Gudbrodzie z Bornholmu, najsłynniejszym…

— Świętosławo! — przerwał jej ojciec. — Opanuj się! Rządzić będziesz za kilka tygodni w Uppsali!

Na dziewczynie upomnienie nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

— Płynęliśmy do Gudbroda, gdy złapał nas sztorm — powiedział Olav. — Mam rozumieć, że nie żyje?

— Od roku. — Mieszko kiwnął głową. — Ale Geira, moja córka, a wdowa po Gudbrodzie, dobrze się orientuje w interesach męża. Masz szczęście, Olavie, bo Geira jest teraz z nami, w Poznaniu. Zawołamy ją.

Świętosława zrobiła minę „już to mówiłam” i otwierała usta, gdy odezwał się książęcy syn:

— Czy zamierzasz płynąć prosto do swego kraju?

— W Norwegii rządzi jarl Hakon — odpowiedział Olav. — Nie mam złudzeń, że odda mi władzę na samą wiadomość, że przybyłem. Muszę najpierw zebrać wokół siebie ludzi oddanych mej sprawie.

— Wiesz o tym, że na jarla Hakona ruszyła flota Jomsborga? Król duński zamierza przypomnieć norweskiemu wasalowi, kto jest jego panem — powiedział Bolesław.

— Nie. Przybywam ze wschodu, tego nie wiedziałem — odparł Olav, marszcząc brwi. — Ale jest to niemiłe dla mego ucha, gdy mówisz, młody książę, o „norweskim wasalu”.

— Niepotrzebnie! — wesoło odezwała się Świętosława. — Hakon jako wasal Danów i ty jako prawdziwy król, który zrzuca duńskie jarzmo, to brzmi jak dobry początek, Olavie!

— Myślę jak ty, książęca córko — zwrócił się do Świętosławy, choć znów patrząc na nią, poczuł się jak chłopiec okrętowy — bo moim zamiarem jest zrzucić i Hakona, i duńskie panowanie nad moim krajem. Miałem na myśli jedynie słowo, które utrwala się w ludzkiej pamięci. Nie chcę, by ktokolwiek myślał „norweski wasal”, bo to mnie boli.

Jej oczy były zielone i szare jednocześnie. Włosy połyskiwały jak bryła jantaru prześwietlona słońcem, tak że chwilami zdawało się, iż światło je nicuje na drugą stronę, aż zostają pozbawione koloru, niemal przezroczyste. Nigdy nie poznał takiej kobiety. Dziewczyny? Nie była czarodziejką, ale jej spojrzenie sprawiało, że był kimś więcej niż jeszcze chwilę wcześniej. Wydawała mu się zarazem piękna jak zorza i stara jak zgrzybiała zamawiaczka uroków. Wysoka jak w chwili, kiedy stała w drzwiach sali, i dziecięco drobna, gdy go mijała. Jednego tylko był pewien: chciał, by trwała, bo jej obecność dawała mu siłę, której nie czuł wcześniej.

Wiedział, że powinien już odwrócić wzrok od jej twarzy i spojrzeć na księcia. I w tej samej chwili usłyszeli róg grzmiący zza sali audiencyjnej. Róg, na którego brzmienie wojowie stojący wzdłuż ścian uderzyli jeden raz mieczami w tarczę.

— Groza — spokojnie powiedział książę Mieszko.

ŚWIĘTOSŁAWA nie oderwała wzroku od twarzy Olava na dźwięk rogu. Miała gdzieś nieszczęście, które zwiastuje. Jeśli to Sąd Ostateczny, podbiegnie do niego, ochrzci go wodą i za rękę z nim pójdzie w bramy

niebios. Bo jeśli dzisiaj, teraz, skończyć ma się świat, to chce przejść granicę wieczności z tym białowłosym. Jak to jest całować się z mężczyzną? — pomyślała i przypomniało jej się, że poprzedniego wieczoru dobrowolnie zaręczyła się z królem Erikiem poprzez jarla Birgera.

Do sali audiencyjnej wbiegł posłaniec.

— Książę! — Padł na kolana przed Mieszkiem. — Czesi zabili w Miśni twojego teścia, margrabiego Ditricha, i margrabiego Rikdaga, ojca panny Gertrudy.

Odeśle Odę — pomyślała mściwie.

— Jak do tego doszło? — spokojnie zapytał ojciec.

— Twój szwagier Boleslav, książę Czech, nie ma żadnych skrupułów w łączeniu się ze sprzeniewierzeńcami. Napadł Miśnię ramię w ramię z poganami, którzy niosą Trzygłowa przed szeregiem. Margrabiowie nie byli gotowi na wojsko, które nie zna szacunku dla uświęconej ziemi. Schronili się w kościele, ale niewierni go podpalili i przy dźwięku dzwonów bijących na trwogę spłonął ostatni pan Miśni… Boleslav oddał martwych Wieletom, a ci urządzili bałwochwalczą ucztę na ołtarzu świątyni, rozrywając spopielone szczątki…

— Bzdura! — krzyknął Mieszko. — Wieleci to poganie, ale nie jedzą ludzkich ciał! Mów, co wiesz na pewno, a nie powtarzaj kłamstw.

— Obaj nie żyją. Miśnia w rękach Czechów — powiedział speszony posłaniec.

I po Odzie — pomyślała Świętosława, patrząc w jasne źrenice Olava, które odpowiadały jej opowieścią o czymś zupełnie innym. — Boże, dzięki Ci, żeś wysłuchał mych modłów…

— Bolesławie — twardo powiedział ojciec. — Córa Miśni na nic nam się nie przyda, gdy jej kraj zalali Czesi z Wieletami.

— Ojcze! — Świętosława oderwała się od jasnych źrenic Olava. — Nie żal ci tego dziecka? Dokąd odeślesz Gerd? Do spalonej ziemi?

— Choćby donikąd, córko — odpowiedział jej bezwzględnie Mieszko. — Twój brat jest dla mnie zbyt cenny, bym trzymał go w okowach sojuszu, który stracił sens. Zmienność jest przywilejem władców.

— A Oda?! — wrzasnęła. — Oddalisz i ją?

— Zamilcz! — krzyknął Mieszko. — Tym razem powiedziałaś za dużo!

W tej samej chwili dobiegł ich kolejny dźwięk rogu, zapowiadający nie grozę, a gościa. Do sali audiencyjnej wbiegła poruszona Geira. Otworzyła usta, patrząc to na Mieszka, to na siostrę. Ojciec wstrzymał ją ruchem dłoni i gniewnie spojrzał na Świętosławę.

— Córko? — powiedział głosem, od którego przeszył ją dreszcz.

— Wybacz, ojcze — przeszło jej przez gardło z trudem. — Nie chodziło mi o księżną, tylko o Gerd.

Wolała skłamać, niż jeszcze raz w emocjach powiedzieć prawdę.

— Nie bój się. Włos jej z głowy nie spadnie. Ma w Saksonii wciąż potężną rodzinę.

Odwrócił od niej głowę ruchem tak wyniosłym, że po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, jakby ojciec dał jej w twarz.

— Geiro, córko. — Przywołał jej siostrę łagodnie i wyciągnął ku niej rękę. — Poznaj naszego gościa, Olava Tryggvasona. Olavie! — Wyciągnął drugą rękę ku białowłosemu. — Oto moja najstarsza córka, Geira. Chcę, byście się poznali.

Boże, tylko nie to! — jęknęła Świętosława w duchu i zagryzła wargi do krwi.

SIGVALD wszedł do sali audiencyjnej poznańskiego palatium. Księcia Mieszka rozpoznał od razu, choć widzieli się tylko tamten jeden raz, w Kwedlinburgu. W młodym człowieku po jego prawicy domyślił się

pierworodnego syna. Geirę, wdowę po Gudbrodzie, znał z Bornholmu, ona zresztą powitała go chwilę wcześniej na podwórcu palatium. Dziewczyna po lewej stronie księcia mogła być jego najmłodszą córką, albo i żoną, tego nie był pewien. Kim był wysoki, jasnowłosy mężczyzna stojący przed księciem? Serce Sigvalda biło szybko; wiedział, że cała jego przyszłość może zależeć od tej chwili, i miał ponurą pewność, że gdyby skorzystał z zaproszenia Mieszka pół roku wcześniej, nie musiałoby tak być.

— Jarl Sigvald wreszcie znalazł drogę do Poznania! — powitał go książę, potwierdzając paskudne przeczucia. — Cóż cię sprowadza, jomswikingu?

Lęk, książę — pomyślał Sigvald. — Siedzę na statku, który płonie od rufy po dziób. Na głos powiedział:

— Nietrudno znaleźć przyjaciół w chwilach chwały, książę.

Mieszko przyjrzał mu się z uwagą i rzekł:

— Nie znam takiego, który żyjąc z wojny, nie poznał kwaśnego smaku porażki.

Serce Sigvalda zabiło szybciej. Musiał powiedzieć to teraz.

— Jomswikingowie nie przywieźli zwycięstwa z dalekiego fiordu Trondheim. Zostało przy jarlu Hakonie, który niegodnie wezwał na pomoc siły zła.

— Co przez to rozumiesz?

Sigvald wciągnął powietrze. Wiedział, że z tego, co powie, powinna bić groza.

— Poświęcił życie najmłodszego syna, składając go w ofierze swym żarłocznym boginiom.

— Bzdury! — Mieszko wzruszył ramionami. — Zabobony.

— Siła starych bogów, książę. Przeciw nam walczyli nie tylko ludzie Hakona. Na własne oczy widziałem czarną chmurę, która znikąd zjawiła się

na czystym, letnim niebie. Siekła nas gradem grotów i ostrzy. Musiałem zawrócić flotę.

— Już mi dzisiaj opowiadano o poganach jedzących ludzkie mięso. — Mieszko machnął ręką. — Trzeba oddzielać ziarno od plew. Ziarnem jest to, że przegraliście.

— Ziarnem jest to, że walczyliśmy i nie odnieśliśmy zwycięstwa. Dochowaliśmy wierności prawom Jomsborga, książę. Nasi ludzie, pojmani przez Hakona, przyjmowali śmierć, śmiejąc jej się w twarz. Tym zasłużyli na podziw jego najstarszego syna, Erika. Uwolnił Vagna, wodza domu wojowników, i wszystkich, którzy z nim jeszcze zostali.

— To ciekawe. — Mieszko zmrużył oczy. — Zresztą, nie mówiłem, że brak wam męstwa.

— Zachowaliśmy je do końca. Dzięki temu Vagn uratował kilkudziesięciu ludzi. Są cali i zdrowi w Jomsborgu. Mogą potwierdzić moje słowa — dorzucił wyzywająco.

— Gdybym nie chciał ci wierzyć, nie przyjmowałbym cię, Sigvaldzie! — powiedział bez cienia uśmiechu Mieszko. — Jak się czuje Palnatoki?

— Palnatoki nie żyje. To ja prowadziłem wyprawę na Hakona.

— Czy jomswikingowie wybrali spośród wodzów domów nowego jarla? — Książę przekrzywił głowę zupełnie jak jastrząb na oparciu jego krzesła.

— Nie, książę. Będziemy wybierać lada dzień.

Spojrzeli sobie prosto w oczy i Sigvald wytrzymał bez mrugnięcia.

— Wrócimy do tej rozmowy. — Mieszko skinął ręką i wstał.

OLAV szedł przez dziedziniec poznańskiego palatium w stronę stajni. Wiedział, że nie trafił tu przypadkiem. Nie miał tylko pojęcia, czy jego łódź w czasie sztormu prowadził Thor, Odyn czy pan pożądania, złoty Frey. Ynglingowie swój rodowód zaczynają od Freya, więc może on go wiódł? Wszystko jedno, oby tylko nie mieszał się w sprawy przewrotny Loki!

Płynął po tron, po królewską schedę, po wieści o zaginionej matce. Znalazł Świętosławę i dotknął go ogień, którego nie znał wcześniej. Nie zagasiło go rzucone przez Mieszka między wierszami zdanie, że ona już przyrzeczona wielkiemu Szwedowi. Przeciwnie, gotów był stanąć przed księciem i prosić o córkę. Przybycie Sigvalda było jak wrzucenie gorącego kamienia do wrzącej wody, żagwi w płonący już stóg! Zrozumiał, że odzyskać tron od jarla Hakona, który wygrał z potęgą Danii i jomswikingów, będzie trudniej, niż przypuszczał. Po takim zwycięstwie ludzie nie odstąpią od swego wodza, nawet gdy przypłynie prawowity król.

— Olavie! — Usłyszał głos za plecami i odwrócił się.

To był Bolesław.

— Mój ojciec spędzi wieczór na naradzie z Sigvaldem. Prosił, byśmy ze Świętosławą zajęli się tobą. Nie odmówisz nam swego towarzystwa?

— Wielka uczta, dworskie stroje, złote kielichy i kapłan śpiewający psalmy? — przekornie dopytywał Olav.

— Nie. Szybka konna ucieczka na drugi brzeg Warty. Dwór myśliwski i beczka miodu. Pasuje?

— Świętosławie wolno uciec z domu ojca? — spytał, mając na myśli ich kłótnię.

Bolesław roześmiał się i wszedł do stajni.

— Widzisz to puste miejsce? — pokazał coś w mroku. — Tam powinna stać jej klacz. Gdyby nie to, że obie już przejechały most. Nie martw się, Olavie. Jest zbyt ważna dla ojca, by zrobił jej krzywdę. Lada dzień odpłynie do Szwecji. Ruszajmy!

Bolesław był dużo lepszym jeźdźcem od niego. Trzymał się w siodle swobodnie jak koczownik, a tych Olav widywał wzdłuż południowego Dniepru nie raz. Droga była krótka, na drugim brzegu rzeki skręcili z traktu w lewo i wjechali w gęsty las. Nieduży dwór był podobny do tego,

w którym jego ludzi ulokowała Astryda. Zbudowany z dębowych bali, porządnie kryty strzechą, strzeżony przez kilka ukrytych w koronach drzew czatowni. Widział ludzi Bolesława, dających znak swemu panu, że czuwają nad jego bezpieczeństwem.

— Zawsze towarzyszy ci taka obstawa? — zapytał Olav.

— Zwykle jest większa. — Bolesław się roześmiał. — Przyzwyczajaj się. Gdy zasiądziesz na tronie, też bez niej się nie ruszysz. To jeden z wątpliwych uroków władzy. Nigdy nie jesteś sam.

Na podwórzec wybiegł wysoki, młody chłopak, a z nim dziewczyna. Ona zajęła się jego koniem, on koniem Bolesława.

— To Duszan i Dusza — pokazał na nich Bolesław. — Są naszymi cieniami.

— Nie są do was podobni. — Olav obejrzał się za dziewczyną.

— Urodzili się w tych samych dniach, co moja siostra i ja. Ojciec wykupił ich od rodziców i wychowują się z nami.

— Śledzi was ich oczami? — próbował zrozumieć Olav.

Bolesław zaprzeczył.

— Są nam oddani. Zresztą Dusza jest niemową.

— Odwrotnie niż twoja siostra!

Świętosława stanęła we drzwiach dworu. Miała na sobie tę samą purpurową suknię i rysie futro. Gdyby zdążyła się przebrać, musiałby zacząć myśleć, że jest czarodziejką.

— Olavie! W palatium już byłeś, witaj w skromniejszych progach! — zawołała, a on nie powstrzymał się od wyobrażenia sobie, że oto żona wita go wracającego z dalekiej wyprawy.

— Świętosławo — wymówił jej imię głoska po głosce — z tobą świętować mógłbym nawet w namiocie na niesionej sztormem łodzi.

— Uuu! — Bolesław klepnął go w ramię. — O sztormie wiesz więcej ode mnie, ale o życiu z moją siostrą niewiele, więc się nie wyrywaj. Pierwsi tego miodu zasmakują Szwedzi. Mamy coś do jedzenia? Zgłodniałem po dniu pełnym wrażeń! — Młody książę wszedł do środka, Olav przepuścił Świętosławę przodem. — Było jak w Apokalipsie, co, siostro? Zaczął Olav, a potem co jeździec, to mocniej! — mówił, idąc wzdłuż długiego stołu i jednocześnie wybierając z misy pieczone mięso.

— Dlaczego nie ująłeś się za Gerd? — natarła na niego Świętosława.

Bolesław złapał sarnie żebro i zaśmiał się, wbijając zęby w mięso. Wyglądał jak orzeł rozszarpujący zdobycz.

— Dlaczego nie ugryzłaś się w język? — spytał Świętosławę. — Teraz ojciec już wie, że nienawidzisz jego żony, a dotąd mógł się tylko domyślać. No tak, Harda! Tobie wszystko jedno! Wsiądziesz na statek i popłyniesz do Uppsali.

— A tobie nie żal Gertrudy? Przecież to dziecko!

— To saska krew, siostro! Prędzej czy później wyszedłby z niej jad, jak z Ody.

— Ach, przestań! — syknęła Świętosława na brata i klasnęła w dłonie. — Dusza! Przynieś nam miodu! Olavie, jesteś głodny.

— Ty nie pytasz — roześmiał się wprost do niej. — Ty mi każesz jeść!

— Będę jadła razem z tobą — powiedziała, patrząc mu w oczy, i znów ugięły się pod nim kolana. — I będę piła! — krzyknęła, poganiając swoją Duszę.

Głód rzucił mu się do gardła jak fala pod dziobnicę. Zachłysnął się miodem.

— Tak — powiedział Bolesław, pociągając ze swego kielicha. — Upijmy się. Ja opiję stratę brzydkiej saskiej narzeczonej i wojnę z Czechami, do której serce mi się śmieje…

— Nawet jeśli to wojna z bratem naszej matki? — ostro spytała Świętosława.

— Mówiliśmy już o tym — zgromił ją Bolesław. — To już nie jest nasz wuj, tylko wróg. I opiję nową żonę.

— Żartujesz?! — krzyknęła. — Mieszko już?…

— Tak, już. — Bolesław skinął głową. — Planuje wzięcie Czechów w dwa ognie, więc dostanę córkę węgierskiego księcia. A niech go!… Stary Jastrząb! On nas nie pyta. On robi swoje. — Bolesław wychylił kielich do dna i zawołał: — Olavie! Opłakujesz śmierć ojca?

— Nie znałem go. Wyobrażam go sobie w bezsenne noce — odpowiedział szczerze.

— To sobie wyobrażaj, ale nie żałuj, żeś go nie miał! Nasz rządzi nami jak wojskiem, jesteśmy jego własnością, przedłużeniem ramion, którymi uprawia gry…

— Przestań! — fuknęła na brata Świętosława. — Może ojciec Olava był inny?

— Wszyscy władcy są tacy sami. — Wzruszył ramionami.

— Przypomnę ci to, gdy sam nim będziesz. — Rzuciła w niego jabłkiem.

Bolesław uchylił się zręcznie.

Olav zaczął się śmiać. I przez stół wyciągnął rękę do Świętosławy, mówiąc:

— Nigdy nie spotkałem dziewczyny takiej jak ty.

A ona chwyciła go za rękę mocno i zacisnęła palce.

— Ja też po raz pierwszy widzę kogoś takiego, Olavie.

Przeszył go dreszcz.

Bolesław krzyknął:

— Uważaj, druhu! Moja siostra… — Nagle zamilkł. — Mówimy na nią „Harda”. Przylgnęło jak drugie imię.

— Jak to brzmi w twoim języku? — spytała.

— Storråda — powiedział, patrząc jej w oczy.

Świętosława, nie odrywając od niego wzroku, uderzyła go w dłoń. Natychmiast przywołała Duszę i nadstawiła jej kielich.

— Co teraz zrobisz? — spytał poważnie Bolesław, przyglądając mu się spod zmrużonych powiek. — Ruszysz na jarla Hakona?

— Nie jestem głupcem — powiedział Olav. — Po wygranej bitwie jarl musi cieszyć się w kraju takim uznaniem, że moje pojawienie się w Norwegii nic nie zmieni. Królewska krew musi poczekać, aż ostygnie chwała zwycięzcy. Ruszę na wiking.

— Rabować, gwałcić, palić? — słodko spytała Świętosława.

— Nie. Zdobyć srebro i wojsko, z którym za jakiś czas popłynę po władzę.

— Mądrze — pochwalił Bolesław. — Pod warunkiem, że będziesz omijać nasze wybrzeże.

— Przysięgam — poważnie powiedział Olav.

— A do Szwecji przypłyniesz? — Świętosława spojrzała na niego zaczepnie.

— Tak, jeśli się zgodzisz. Pokonam twego męża i poproszę o rękę królową wdowę. Pasuje?

Wpili się sobie w oczy.

— Na razie to nie masz kim go pokonać — trzeźwo przerwał Bolesław. — Choć nie miałbym nic przeciw temu, byś to ty był moim szwagrem.

Zakręciło mu się w głowie od wypitego miodu.

— Gdybym miał siostrę, prosiłbym, byś ją poślubił, Bolesławie.

Ten się zaśmiał i zawołał:

— Wszyscy chcą mnie żenić! Duszan, przynieś grzyby!

— Jecie jasnowidzące?

— Nie. Borowiki duszone w maśle! — odpowiedział Bolesław.

— O czym mówisz? — zaciekawiła się Świętosława.

— O grzybach, które przynoszą wizje.

— Słyszałem coś o nich! — Bolesław uderzył dłonią w ławę. — Ale zdawało mi się, że nie wizje, tylko szał bitewny, tak mówiono!

— Są różne grzyby. Jedne przywołują obrazy przyszłości, inne zamieniają wojowników w bestie, które nie czują lęku i bólu. Chociaż moi rodacy znacznie wyżej cenią szał bitewny wywołany bez grzybów.

— Próbowałeś ich? — spytał syn księcia.

— Nie — odpowiedział szczerze. — Ale… mam je w sakwie, przy siodle. Księżna Allogia dała mi garść i powiedziała, że mam zjeść, gdy zechcę poznać swą przyszłość.

Świętosława wstała i ruszyła ku rusztom zawieszonym w rogu chaty, nad ogniem. Wyciągnęła dłonie, jakby chciała je ogrzać. A potem odwróciła się do niego i powiedziała:

— Idź po nie. Zróbmy to razem.

ŚWIĘTOSŁAWA brała z jego palców suchy, brunatny kapelusz grzyba. Jej brat wziął drugi. Olav trzeci.

— Duszko! — zawołała przytomnie. — Pilnujcie nas z Duszanem, bo nie wiemy, co się zdarzy.

Już przekroczyła granice, gdy wpadła na pomysł wspólnej wieczerzy z dala od Poznania. Nie mogła sobie pozwolić na wiele więcej. Choć pragnęła wszystkiego.

Olav pierwszy zagryzł suchy kapelusz w zębach i popił miodem. Zrobiła to samo, patrząc na brata. Bolesław też przełknął. Potem spojrzała w górę, na Olava. Jego jasnoniebieskie oczy ukłuły ją. Wciągnęła powietrze. Poczuła słoną woń jego skóry. Świeżego potu na skroni. Słodycz w splocie jedwabiu na tunice. Wstrząsnęło nią, gdy odróżniła zapach nici osnowy od

nici wątku. I chłodną niczym wody szerokiej rzeki woń krajki zdobiącej wykrój przy szyi. „Dniepr” — usłyszała jej nazwę w głowie i zobaczyła Olava na łodzi płynącego przez ten Dniepr.

— Boże, ratuj! — szepnęła, a Bóg Ojciec, miast zatrzymać ją w swoich ramionach, pchnął długim palcem prosto w objęcia Olava.

BOLESŁAW poczuł w ustach smak suszonego grzyba, a zaraz po nim ostrość, jakby nóż rozciął mu język na pół. Chwycił się ostrza jak ostrogi i po nim wskoczył na koński grzbiet. Poczuł chłód wiatru na piersi i ciepło grzejące brzuch od końskiego parującego grzbietu. Jechał konno nagi na wschód. Słońce wielką, złotoczerwoną tarczą wschodziło nad wielką rzeką. Wyciągnął ramię i rzeka zabarwiła się krwią. Wjechał w nią. Pod końskimi kopytami bulgotały ludzkie wnętrzności. Koń zwolnił z galopu do stępa. Krok za krokiem Bolesław czuł, jak jego ciało się starzeje. Na piersi zobaczył siwe sploty spływających z ramion włosów. Skóra jego dłoni pokryła się pojedynczymi starczymi plamami. Pochylił się ku wodzie, by je zmyć. Zamiast tego zebrał pod paznokcie krew. Kopyta jego wierzchowca twardo uderzyły o kamienisty brzeg. Koń potrząsnął łbem. Bolesław wyciągnął ramię i berłem wskazał mu kierunek. Chwilę później przejechał pod złotem malowaną bramą i zatrzymał się, niebezpiecznie ściągając wodze. Spod kopyt konia wyszła piękna, złotowłosa dziewczyna i rozłożyła ramiona jak krzyż. Wyciągnął do niej rękę, a ona lekko wskoczyła na siodło. Poczuł ciepło jej pleców na nagim brzuchu. „Jak ci na imię” — zapytał. „Predsława” — odpowiedziała, dając mu do pocałowania różowe jak płatki kwiatu usta.

OLAV płynął na łodzi dwakroć dłuższej niż „Kanugård”. Sternikiem był Geivar, ale w załodze nie rozpoznawał nikogo. Z mgły wynurzyła się skalista wyspa. Dobili do byle jak skleconej przystani. Na brzegu siedział

biały pies o wysmukłej szyi. Nie zaszczekał. Odwrócił się i Olav poszedł za nim po suchych porostach pokrywających skały. W chłodnym, wilgotnym powietrzu wisiał zapach wonnego dymu. Przekroczył kamienny łuk bramy. Odpiął pas i zrzucił broń. Zerwał z ramion płaszcz. Wyzbywał się ubrania, aż stanął przed mrocznym wejściem do kamiennego budynku. Do wnętrza wstąpił nago. Czuł pod stopami chłód starych kamieni. W środku płynęło źródło wody żywej. Wszedł w nie. I przenicowała go jasność.

Biały pies zawył głośno i jednym susem wskoczył w jego głowę. „Będę psem Twoim” — wyszeptał Olav i wstrząsnął nim dreszcz. Mocne, ciepłe dłonie przytrzymały go. Otworzył oczy. To była Ona.

ŚWIĘTOSŁAWA chwyciła płonącą żagiew, która leciała w jej kierunku. Zawyła z bólu. To nie żagiew, to gorejący grot oszczepu, który wbił się w jej pierś. Zacisnęła dłonie na drzewcu. Nie palił, lecz rozlewał po jej ciele rozkosz. Tkwił w niej jak cierń. Trzymała go, choć dawał przejmujący do szpiku kości ból. Rozkosz i ból. Stała w wodzie. Morskie fale przynosiły jej dwie królewskie korony. Za nimi płynęły wysokie kosze, z których dobiegało kwilenie dzieci. Kosze osiadły na mieliźnie, jeden za drugim. Z pierwszego wyszedł ciemnowłosy chłopiec. Z drugiego dwaj, niezdarni. Za nimi pełzały dziewczynki. Włosy dzieci pokrył szron. Morska fala uderzyła wściekle. Kolejne dwie korony wypłynęły spomiędzy jej spienionych warg. Z jednej z nich płynęła żywa, tętnicza krew. Grot oszczepu zardzewiał w jej sercu od posoki. Rozkosz zamieniła się w słony ból.

BOLESŁAWA Duszan chwycił za barki i wypchnął z kręgu mrocznych wizji.

— Napijmy się za przyszłość! — krzyknął i pociągnął siostrę za dłoń.

Wpadła na niego z impetem, z rozgrzaną od ognia twarzą i pociągnęła za sobą Olava. Zderzyli się pierś o pierś. Olav miał białe, nieprzytomne źrenice. Otrzeźwiał w jednej chwili.

— Kocham Świętosławę! — krzyknął.

— Ja też — szczerze odpowiedział Bolesław. — Ale ona nie dla nas.

— Pójdę do twego ojca i poproszę o nią! — Z suchych warg Olava kapnęła kropla krwi.

— Idź. Choć jak go znam, nie da ci jej.

Świętosława nieprzytomnie leżała na piersi Bolesława. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Krew Olava spadła na jej pierś. Otworzyła oczy. Nie były zielonoszare jak w zwykłym życiu. Wydały mu się niczym płynne, gorejące złoto.

— Zmieniam zdanie — wymamrotała. — Zamiast tych koron chcę jego! — Odbiła się od piersi brata, lądując na piersi Olava. Zakryła twarz dłońmi.

ŚWIĘTOSŁAWA uwolniła oczy z zasłony palców. Nad jej czołem był podbródek Olava pachnący morzem. Skórą morsa, wonią mokrego wełnianego żagla. Krwią? Wydawało jej się przez chwilę, że stoi we drzwiach dworu, a on wraca z dalekiej wyprawy. Wyciągnęła ku niemu dłonie i szepnęła:

— Wiedziałam, że wrócisz. Kocham cię.

Ale zaraz potem zobaczyła twarz brata, która zamieniła się w surowe oblicze Mieszka.

Za jego plecami stanął Birger jarl. Ukłoniła się Birgerowi jak w czasie zaręczyn i pozwoliła, by trzymał jej dłoń w swej dłoni, gdy składali przysięgę małżeńską. „Tak, Eriku” — usłyszała swe słowa.

Otrząsnęła się. Olav i jej brat wyglądali na trzeźwych. Teraz otrzeźwiała i ona.

— Duszka, miodu! Spłuczmy ostrą wizję grzybów. Tak, Bolesławie i Olavie. — Zacisnęła dłonie na ich dłoniach. — Wypijmy za wszystkie korony, które spoczną na naszych głowach.

ASTRYDA wróciła z Wolina najszybciej, jak się dało. Prześladowała ją natrętna myśl, że każdy dzień jej nieobecności w Poznaniu mógł zaowocować szkodami, które ciężko będzie odrobić. Nie zdążyła się przebrać po podróży, a Mieszko już wezwał ją do siebie. Był sam.

— Córko — powitał ją miękko i to wystarczyło, by poczuła nadzieję. — Birger załatwił w Wolinie co trzeba?

— Tak, książę.

— Dobrze. Tak się cieszę, że mogę na tobie polegać. — Mówił wolno, jakby cedził słowa. — Kto wie, czy nie najbardziej ze wszystkich mych córek…

Powinna poczuć dumę, lecz zamiast niej serce ścisnął lęk.

— Astrydo, mam dla ciebie kolejne zadanie. Takie, które zdawać się może rzeczą oczywistą, ale to tylko pozór. — Przekrzywił głowę i przyjrzał się jej tak uważnie, jak nigdy wcześniej. — Przeznaczeniem córek jest wyjść za mąż…

Zaschło jej w ustach. Nadzieja skoczyła do gardła. Jasne oczy Olava zalśniły w pamięci, jakby stał blisko.

— Tak — powiedziała, a głos jej drżał.

— Przeznaczeniem moich córek jest wyjść za mąż najlepiej, jak się da.

Świętosława do Szwecji, ja do Norwegii — powtarzała w myślach jak zaklęcie.

— Ty spełnisz moje marzenie o morskiej potędze.

— Tak! — wyrwało się jej, bo nie mógł powiedzieć jaśniej.

Mieszko się roześmiał i dodał:

— Moje córki mnie zaskakują! Chcesz powiedzieć, że tak jak Świętosława przejrzałaś moje plany? Wiem, gadają, że umiesz przewidzieć przyszłość, ale aż tak? Chyba że na Wolinie dowiedziałaś się o przyjeździe Sigvalda do Poznania, co?

— Sigvalda? — Lęk wrócił w jednym uderzeniu serca. — Chcesz mnie wydać za Sigvalda?

— A ty o kim pomyślałaś, dziecko?

— O Olavie Tryggvasonie — odpowiedziała szczerze i bezradnie.

— Więc jesteś dzieckiem! — Roześmiał się lekko. — Nim Olav zdobędzie norweski tron, minie wiele czasu. Podoba mi się, nie kryję, ale Sigvald to znacznie lepszy wybór. Łącząc się z nim, odbierzemy Duńczykom wpływ na Jomsborg i zyskamy żelaznych chłopców, morską armię! Ty, moja córka i wnuczka Dalwina, wolińskiego namiestnika, jako żona jarla Jomsborga to najlepsze rozwiązanie z możliwych. Dojrzyj to, moja bystra Astrydo!

— Książę, Sigvald przegrał z jarlem Hakonem! Nie ma najmniejszych szans, by wodzowie wybrali go na swego zwierzchnika! Po takiej porażce? Przylgnie do niego miano tchórza i pechowca! Ktoś taki nie zostanie jarlem Jom…

— Wybiorą go — twardo przerwał jej Mieszko. — Gdy zobaczą, że go wsparłem i nagrodziłem ręką swej córki.

— Nie! — Astryda walczyła z ojcem pierwszy raz w życiu. Nie wierzyła, że może wygrać, ale za nic w świecie nie chciała się poddać.

— Tak! Słuchaj, co mówię, i ucz się! Czasami opłaca się postawić na przegranego, bo zyskując jego dozgonną wdzięczność, można wygrać więcej. Los Sigvalda będzie zależny ode mnie i od ciebie, pamiętaj o tym! A on zrobi wszystko, by tę szansę wykorzystać. Wyrwie Jomsborg z wpływów duńskich i odda nam, rozumiesz? Ziści się to, o czym

marzyłem tyle lat! O co walczyłem z grafem Wichmanem i margrabią Hodonem! Nikt nie zagrozi memu panowaniu u ujścia Odry! Wiesz, ile to znaczy dla całego kraju? Pomyśl!

Zebrała wszystkie siły, jakie jej zostały, i po raz pierwszy powiedziała do niego „ojcze”.

— Ojcze, proszę cię, jak nigdy o nic nie prosiłam. Wydaj za Sigvalda Geirę. Proszę cię, niech to nie będę ja.

— Dlaczego?

— Bo nie umiem wzbudzić w sobie do niego szacunku. Dla mnie to tchórz.

— Tym lepiej — odpowiedział zimno. — Zamiast go kochać, będziesz nad nim panować.

— Ojcze…

— Postanowiłem. Geira wyjdzie za Olava.

Dla Astrydy te słowa były jak kopniak w brzuch. Nie spodziewała się, że kolejne zabolą ją jeszcze bardziej.

— Na młodego Tryggvasona warto postawić, poczekam, aż spłodzi z twą siostrą syna, a potem pozwolę mu płynąć na wiking, by zdobył bogactwo i ludzi, bez których nie odzyska swego tronu. Zadbam też o jego przyjaźń z Sigvaldem. Jomswikingowie za kilka lat pomogą mu w walce o Norwegię. Erik, mąż Świętosławy, też nam się w tej rozgrywce przyda. A wszystko po to, by zdusić Danię, córko. Musisz to rozumieć. Nie grozi mi daleka Szwecja i jeszcze dalsza Norwegia. Zagrażać może mi tylko Dania, i właśnie rozwiązuję ten problem. Nawet jeśli Sven po rychłej śmierci swego ojca, Haralda, weźmie władzę w Danii wielkiej, to skończy w małej jak rybacka wioska.

Astryda zaczęła drżeć. W pierwszej chwili bała się, że wybuchnie płaczem jak dziecko. W drugiej poczuła, że coś dziwnego dzieje się z jej

ciałem. Zdrętwiały jej palce rąk, jakby wsadziła je w lód.

— Mylisz się… — wyszeptała.

— Przestań, nie bądź dziecinna. To do ciebie nie pasuje, Astrydo! Do ciebie pasuje mądrość, siła, zdolność przewidywania!

— Mylisz się…

— Wiem, co mówię. Obserwowałem cię przez tyle lat, dziecko. A Olavem nie zawracaj sobie głowy. Nie byłabyś szczęśliwa przy mężczyźnie, który marzy o innej. Serce Olava skradła Świętosława. Prosił mnie o nią, odmówiłem. Widzisz? I ona mnie o niego prosiła, też odmówiłem. Nie taki ze mnie tyran, jak pomyślałaś. Każdemu z mych dzieci muszę czegoś odmówić, by dać mu to, co dla niego lepsze.

— Mylisz się, ojcze… — Słowa wysunęły się z jej ust po raz trzeci i wiedziała, że choć ona je wymawia, nie należą do niej. Otrząsnęła się. Poruszyła dłońmi. Ciepło wróciło do palców. Chwyciła Mieszka za rękę i pokłoniła się przed nim. — Zrobię, co każesz, książę. Czuję, że się mylisz, ale nie wiem, w czym.

Część II

Pierwsza korona

986–995

Wiosna piszczała niczym ptaki w gniazdach. Lśniła krwawą łuną zimnych zachodów słońca, chłodnych wschodów i nadciągających w południe ciepłych podmuchów. Kwiaty rozkwitały dziko, otumanione ciepłem promieni. Trawy podnosiły się z martwych, słomianych łodyg zielonymi, butnymi odnogami ostrzy. Śnieg stopniał, szarość zimy ustępowała buńczucznie nadchodzącej wiośnie. Pomiędzy wysepki zatoki Mälaren wchodziła pewnym, dziarskim krokiem wiosna, jasnooka władczyni słońca. Tak pewna siebie, że wydając rozkazy naturze, nie dostrzegła chwili, w której zamieniła się w lato.

ŚWIĘTOSŁAWA trzymała w ramionach dziecko. Czerwony i pomarszczony chłopiec zasnął wreszcie. Dopóki wrzeszczał, nie mogła mu się nawet przyjrzeć, widziała tylko bezzębne dziąsła i otwartą czeluść ust. Cały był krzykiem, jakby rozwścieczyło go samo przyjście na świat.

— Cudowne dziecko! — chwilę wcześniej pochwaliła je Thora, żona jarla Birgera, która odebrała poród. — Piękny i silny jak nasz król.

— Uważasz, że Erik jest piękny? — spytała Świętosława, przekrzykując chłopca.

Thora odeszła od cebrzyka, w którym myła zakrwawione dłonie. Służki podały jej ręcznik. Wycierając ręce, patrzyła na Świętosławę, jakby widziała ją pierwszy raz. Zapytała zdumiona:

— Tobie się nie podoba, moja pani?

Świętosława odgarnęła kosmyki spoconych włosów z czoła, zamyśliła się. Płynąc na pokładzie „Wyniosłej Olbrzymki” do Uppsali, pod powiekami miała obraz Olava, jasnookiego i białowłosego. Młodego i pięknego. Jego wizerunek był z nią w każdej chwili, w każdym oddechu i uderzeniu serca. Ale podróż nie trwała wiecznie, nawet jeśli ona skrycie tego pragnęła. Przy dźwięku rogów odbitym od tafli wody wpłynęli do

zatoki Mälaren. I zobaczyła szwedzką flotę wysłaną na powitanie. W pierwszym szeregu płynęły trzy statki. Na żaglu środkowego z nich lśnił złoty odyniec, a na jego dziobie stał Erik. Potężny w barach, brodaty i łysy. Całkiem łysy. Od jego gładkiej czaszki odbijało się słońce. Był przerażający, ale ona miała być jego żoną, więc nie mogła się go bać.

— Uważam, że jest silny, ale nigdy nie wpadłabym na to, by pomyśleć o nim „piękny”, Thoro.

— Na tym polega piękno mężczyzny, pani! Na sile! A dowód jego sprawności trzymasz w ramionach. Kolejny przywiezie ci, gdy wróci z wyprawy. Obiecał zwycięstwo nad Styrbjornem i będziesz je miała! — Thora zaśmiała się dźwięcznie.

Nie była chrześcijanką jak jej mąż, Birger, i we wszystkim, co mówiła o Eriku, pobrzmiewała pogańska nuta uwielbienia dla króla.

Pogańska? — zastanowiła się Świętosława przez chwilę. — Przecież tak samo poddani wielbią Mieszka.

Przywiozła ze sobą z rodzinnego domu kilka panien służebnych, ale wiedziała, że pierwsze, co czeka ją w domu męża, to nawiązanie przyjaźni z możnymi Erika. W obcym kraju musiała zbudować sobie własne sojusze. Gdyby kierowała się w nich wyłącznie kryteriami wiary, pozostałby jej jarl Birger i kilkoro nic nieznaczących sług. Na początek postawiła na Thorę. A ta, przynajmniej w kwestii porodu, spisała się świetnie.

— Odpocznij teraz, pani. Wrócę do ciebie, jak usłyszę, że twój syn się zbudził.

— Syn — wyszeptała Świętosława po jej wyjściu i przyjrzała się dziecku.

Czerwonosine ciałko, chude i długie. Zaciśnięte pięści nie większe niż śliwki, a przecież za kilka lat będzie chciał chwycić nimi pierwszy

drewniany miecz. Oddychał mocno i głęboko. Ostrożnie przewróciła go na brzuch. Nad pośladkami znalazła ciemny meszek włosów.

— Zupełnie jak twój ojciec — mruknęła, przesuwając po nich palcem. — I łysy jesteś jak on. Boże, mam nadzieję, że urosną ci włosy na głowie, a nie tylko na plecach!

Dotknęła jego wydłużonej czaszki i zatrzymała kciuk na potylicy.

— Co tu masz? Znamię? Muszę obejrzeć cię w słońcu. Ciemno tu. — Z powrotem zawinęła dziecko w pieluszkę.

Nie znosiła starego królewskiego dworu w Uppsali tak bardzo, jak Erik go lubił. Był duży i rozległy, owszem. Dość wygodny, z wielką hallą, w której ucztować mogło i stu gości, z prywatnymi pomieszczeniami na obu skrzydłach. Nic jednak nie mogło zmienić tego, że było w nim wiecznie ciemno. Poza wysoko umieszczonymi dymnikami światło słoneczne nie docierało do wnętrza i gdy tylko przygasał ogień lub płomień lamp, w całym dworze zapadał mrok. „Docenisz to zimą, moja pani. — Erik śmiał się, gdy mu o tym powiedziała. — Będzie ci ciepło jak lisicy w norze”. Było, ale to nie wystarczało. Nie jej.

Mrok królewskiego dworu tkwił jeszcze w czymś innym, znacznie groźniejszym i potężniejszym — w cieniu wielkich kopców królewskich, ofiarnych drzew i wielkiej świątyni. Jarl Birger podczas podróży przygotował ją na to, co zobaczy, lecz wyobrażenie było niczym wobec tego, co ujrzała. Owszem, rezydencja Erika leżała w żyznej dolinie, której żywa zieloność cieszyła oczy. Ale to była ułuda północy. Na południe od niej ciągnęło się pasmo kurhanów. Wysokie, zielone pagórki nie były częścią natury, ale dziełem rąk ludzkich. Kopcami dawnych królów. „Patrząc na nie, wyobrażaj sobie, że to zielone wzgórza, i nie myśl o tym, że kryją szczątki spalonych władców, ich spopielone łodzie, konie, psy i żony” — mówił jarl Birger, by dodać jej otuchy. Tak, to była łatwa część

zadania. Trudniejsza zaczynała się, gdy patrzyła nie na szczyty pogrzebowych wzgórz, lecz na ich podnóże. Pomiędzy pasmem kopców a królewskim dworem stała bowiem wielka pogańska świątynia otoczona ofiarnymi drzewami. Każde z dziewięciu drzew było tak wielkie jak dąb, który rósł na gnieźnieńskim cmentarzysku jej dziadów. Ale tam dąb był zielonym panem lasu, a tu ponurą szubienicą. Na jego potężnych konarach wisiały szczątki koni i ludzi złożonych w ofierze Odynowi. Wysuszonych trucheł nie odstępowały kruki, i Świętosława, wychodząc przed dwór swego męża, ciągle słyszała ich krakanie. Nawet teraz, gdy patrzyła na czerwoną twarz narodzonego o świcie syna, usłyszała stado złowieszczych ptaków. Przelatywały nad dworem niesyte trupiej uczty. Odruchowo schroniła dziecko w ramionach. Nieważne, że było łyse jak Erik, czerwone i brzydkie. Wyszło z jej łona.

— Mój syn. — Pocałowała go po raz pierwszy.

Otworzył oczy. Małe i ciemnoniebieskie. Poruszył nosem, jakby chciał złapać w nozdrza jej zapach.

— Jestem twoją matką — powiedziała do niego. — Nauczę cię mojego języka. Nauczę cię mojej wiary. Nauczę cię mego prawdziwego imienia. Twój ojciec nie umie go wymówić. Jest łysym królem o twardym karku i sztywnym języku, dlatego nazwał mnie Sigrid Storråda.

Na ten dźwięk dziecko się rozpłakało. Świętosława zatkała mu usta dłonią. Pragnęła być z synem sam na sam, nie chciała, by przybiegła Thora i służki. Dusza błyskawicznie wychynęła zza łoża Świętosławy i rozchyliła jej koszulę na piersi. Delikatnie zabrała jej dłoń z ust dziecka i przystawiła je do piersi swej pani. Ugryzło ją i zaczęło ssać, nie zamykając oczu. Dusza przycupnęła w nogach łoża.

— Opowiem ci wszystko, synu. Pochodzę z pięknego kraju za morzem. Moja matka urodziła się jeszcze dalej na południu, a choć przez jej rodowe

ziemie prócz rzek nie płyną żadne wody, znała takie przekleństwo: „Z innej strony morza!”. Nauczyła mnie go, gdy byłam mała, i kiedy jej zabrakło, często klęłam na morze, nie wiedząc, że tam właśnie popłynę do męża. Może dlatego spotkało mnie tu tyle zła? Może sama je sobie przez lata wyklęłam? Przywiozłam ze sobą w podarku ślubnym piorunową stal miecza mego ojca, a twego dziada. Ma na imię Mieszko. Ma ciemną, spiczastą brodę z jednym srebrnym pasmem. Na jego ramieniu siedzi jastrząb, którego nie może karmić nikt prócz ojca. Nawet jego żona, zła księżna Oda. Mam brata Bolesława, który przejmie po ojcu nasze wielkie księstwo, i dwie przyrodnie siostry, Astrydę i Geirę. Kiedyś kochałam obie, dzisiaj tylko Astrydę. Geiry nienawidzę tak bardzo, że gdybym poszła do spowiedzi u ojca Jana, nie rozgrzeszyłby mnie z tej nienawiści, bo nie ma we mnie chęci wyzbycia się jej. Ale ojciec Jan został w Poznaniu, a kapłan, którego mi dali, nie przeżył podróży, zmarł biedaczyna na pokładzie „Wyniosłej Olbrzymki” i teraz nie ma przy mnie nikogo, kto mógłby pomóc mej duszy. Są tu tylko truchła ofiar na konarach dębów i świątynia bogów twego ojca. O nich ci nie opowiem. Nie wyssiesz z mlekiem matki ciemnego wyznania Erika. Czy mnie starczy siły, by go zmienić? Nie wiem, synu. Starzy ludzie się nie zmieniają, a twój ojciec ma już cztery dziesiątki lat na karku. Ruszył teraz na południe, zapolować na swego bratanka, Styrbjorna. „Wydam mu piękną bitwę!” — chwalił się, wyruszając z domu przy dźwięku rogów. Prosząc o moją rękę, obiecał kilka rzeczy. Po pierwsze, że zabije Styrbjorna. — Połaskotała go palcem po nosie. — Robi to dla ciebie, mój mały, by nikt nigdy nie próbował odebrać ci należnej władzy. Po drugie, obiecał, że w proch rozbije potęgę Danii. To dar dla mego pana ojca. Mnie przysiągł, że nigdy nie stanie na drodze pomiędzy mną a Chrystusem. I że niczego mi nie zabraknie. Ale w zamian za to wszystko zażądał równie wiele. — Chłopiec wypuścił jej sutek z ust

i patrzył na nią, jakby chciał zapłakać. Szybko podała mu drugą pierś. — Słuchaj, jeszcze nie skończyłam! — skarciła dziecko i zaczęło ssać, nie spuszczając z niej wzroku. — Wziął mnie do łoża i wierz mi, mały, nie było mi do śmiechu. Nie pojękiwałam jak Oda z Mieszkiem. Wyłam, gryząc futro polarnego niedźwiedzia, na którym mnie rozciągnął. Wciąż mi się zdaje, że mam smak sierści w ustach. Twój ojciec w łożu jest jak topór, z którym się nie rozstaje. Ciężki, ostry, gruby i nigdy nie rdzewieje. Nie bój się, to akurat nie twój kłopot, mój mały! Słuchaj, co było dalej. Rano przyniósł mi morgengeld, zapłatę za dziewictwo. Wycenił mnie wysoko. Thora mówi, że za klejnoty z porannej skrzyni mogłabym kupić trzy łodzie z uzbrojoną załogą. Warto wiedzieć, prawda? Ale potem ogłosił podczas uczty, że zmienia mi imię, i od tego ranka wszyscy mają nazywać mnie królową Sigridą. Powiedziałam mu: „Ja nauczyłam się twojego języka, mężu. Ty naucz się mego imienia”. Prawda, może niepotrzebnie dodałam: „Co? Nie przejdzie ci święte imię przez pogańskie gardło? Spłucz je wodą, nie miodem, i spróbuj”. A on na to aż się zakrztusił, jego ludzie zaś zaczęli krzyczeć z uciechą: „Sigrid! Sigrid Storråda!”. I tak zostało. Twój ojciec, nazywając mnie teraz Sigridą Storrådą, myśli, że zrobił mi na złość, i wiesz co, mały? Jest głupcem. Bo nie wie, że ktoś nazwał mnie Storrådą przed nim. — Popatrzyła w oczy dziecka ostrzegawczo. — To będzie nasza tajemnica, pamiętaj! Tylko ty i ja o tym wiemy, synu. I Dusza. Dusza nie mówi w żadnym języku, więc to tak, jakby mówiła w każdym. Dobrze powiedziałam, Duszko? Weź go ode mnie. Powiedziałam mu już wystarczająco dużo jak na pierwszy raz. Mam nadzieję, że dzieciak jest bystry i wszystko zapamiętał.

Dusza wstała szybko i wyciągnęła ręce po dziecko. Świętosława oddała jej chłopca i przeciągnęła się, by rozprostować zesztywniałe ciało.

— Myślisz, że mogę już wstać z łoża? Thora mówi, że powinnam leżeć, ale urodziłam rano, a już pewnie południe, nudzi mnie to leżenie… Słyszysz?

Dusza słuch miała wyostrzony jak dzikie zwierzę. Wstała z małym w ramionach i podeszła do drzwi alkowy.

— Nie — zaprzeczyła Świętosława. — Zdaje mi się, że to na zewnątrz, jakiś tumult, sama nie wiem… — Zwątpiła, bo twarz nasłuchującej Duszy nie wyrażała nic.

Służka pokręciła głową.

— Dziwne. — Świętosława wzruszyła ramionami. — Ja słyszę, a ty nie? A może mi się zdawało… Thoro! — zawołała. — Thooorooo! — krzyknęła głośniej.

Dusza mlasnęła ostrzegawczo, a dziecko się rozpłakało.

— Ach, muszę się nauczyć, że przy nim trzeba być cicho. — Świętosława była niezadowolona. — Zrób z nim coś, Duszko. Dzieci mają mamki…

Thora zjawiła się po chwili.

— Pani. — Ukłoniła się Świętosławie i zerknęła na Duszę uspokajającą dziecko. — Może trzeba go nakarmić?

— Nie! Jadł przez cały czas. Duszka da sobie z nim radę. Chcę wstać, umyć się i przebrać.

— Powinnaś jeszcze odpoczywać… — niepewnie zaczęła Thora.

— Może i powinnam, ale nie chcę — powiedziała z naciskiem.

— Każę nagotować wody. — Thora odwróciła się, aby wydać polecenia służkom.

— Są jakieś wieści od króla? Czy bitwa może trwać tak długo?

— Jedna bitwa nie, pani, lecz nie wiemy, czy skończy się na jednym starciu, i jak długo pertraktują…

— Nie było mowy o pertraktacjach! — przerwała jej. — Powinnam wysłać wieści do brata i ojca. Chcę podzielić się radością z urodzenia syna.

Służki wnosiły cebry z gorącą wodą i wlewały do wyłożonej czystym płótnem balii. W alkowie zrobiło się duszno i wilgotno od pary. Pomogły się Świętosławie rozebrać. Po chwili, gdy ciepła woda otoczyła jej ciało, poczuła się bardzo, bardzo zmęczona. Dziewczęta myły jej włosy, łagodnie zmywały z niej ślady śluzu i krwi. Przymknęła powieki. Zniknął ponury królewski dwór w Uppsali. Thora, obce służki. Dziecko. Została tylko Dusza i ona. Obie miały po pięć lat. Taplały się w ciepłej wodzie Jeziora Lednickiego. Słońce grzało włosy, a Dobrawa łagodnym, śpiewnym głosem nuciła. Trwała w tym błogostanie, oddała się mu całkowicie. Przez głowę przemknęła jej myśl, że od śmierci matki nikt jej nie głaskał. Ojciec nigdy nie rozpieszczał żadnego z nich. Brat często ją przytulał, ale nie głaskał, tylko co najwyżej tarmosił za włosy jak niesfornego psa. Może raz czy dwa zrobiła to Astryda, ale czułość siostry była chłopięca i szorstka. Z piastunki wyrosła rok przed śmiercią Dobrawy i nikomu nie przyszło do głowy, by ją przywrócić w zimnym i gorzkim czasie żałoby. I tak, ona, najdroższa z córek, najpilniej strzeżona, najlepiej karmiona i odziana, obsypana klejnotami, rosła, nie mając jednej jedynej rzeczy. Tej, której nie widać gołym okiem. Której aż do tej chwili sama nie rozpoznała.

Nie otwierała oczu. Czuła, że po policzkach płyną jej łzy, i wiedziała, że można je wziąć za strużki wody z mokrych włosów. Dziecko rozpłakało się nagle. Poczuła ostre ukłucie w dole brzucha i obolałych sutkach. Nie otwierając oczu, powiedziała:

— Dusza, podaj mi dziecko.

— Pani — głos Thory był pełen troski — nie powinno się kąpać dziecka, nim ojciec go nie zobaczy umazanego krwią narodzin.

— Thoro, ani ty, ani ja nie wiemy, kiedy wróci król — odpowiedziała łagodnie, wciąż nie unosząc powiek. Wyciągnęła ręce po chłopca.

— Racja. Ach, najwyżej wymażemy je świeżą krwią. — Thora się roześmiała i pociągnęła nosem. — Kobiety robią tak od pokoleń…

— Płaczesz? — spytała Świętosława.

— Nie… skądże… cieszę się, Sigrido…

Dusza łagodnie włożyła jej dziecko w ręce i podtrzymywała, póki Świętosława nie ułożyła go na swej piersi. Przytrzymywała głowę chłopca, by nie zakryła jej woda.

— Dlaczego płaczesz? — cicho odezwała się do Thory.

— Moje łono jest suche i bezpłodne — wyszeptała Thora. — A ty pozwoliłaś mi dzisiaj patrzeć na cud narodzin.

— Ile masz lat, Thoro?

— Prawie trzydzieści, pani.

— Sara miała dziewięćdziesiąt, gdy Bóg obdarzył ją synem. Kiedyś ci o tym opowiem.

Dziecko na jej piersi przestało płakać. Tuliła je do siebie w ciepłej wodzie i głaskała po łysej głowie. Tak, jeśli Thora doczeka się dziecka w starości jak biblijna Sara, to będzie cud. Lecz Thora ma rację. Cudem narodzin jest przyjście na świat jej syna w dziesięć księżyców po ślubie. Zdrowego chłopca, którego obecność sprawia, że dzisiejszego ranka stała się pełnoprawną królową. Nawet gdyby Erik zginął w bitwie, ona, Świętosława, Sigrida Storråda, jest od tej chwili władczynią w imieniu swojego syna. Otworzyła oczy i pocałowała swój cud w czoło.

Erik przybył następnego dnia wieczorem. O jedną chwilę przed tym, nim rozległy się powitalne rogi na bramie, Świętosława znów usłyszała coś, czego nie słyszała Dusza. Nawet nie potrafiła tego dźwięku nazwać. Po prostu coś drżało w powietrzu. Pojęła, że niezależnie od tego, czy kocha

Erika, czy nie, są ze sobą złączeni jakąś niewidoczną nicią. Dobrawa też z wyprzedzeniem wyczuwała powroty ojca.

Miała wystarczająco dużo czasu, by się przygotować na przyjęcie męża. Jechał traktem z południa, więc najpierw zatrzymał się przy świątyni i gaju, by złożyć ofiary swym ponurym bogom. Że to ofiary dziękczynne, już wiedziała, posłańcy z dobrą nowiną szli przodem.

A zatem coś za coś — pomyślała. — On wypełnił pierwsze zobowiązanie ślubne, ja urodziłam syna.

Włożyła najdroższą ze swych sukien z grubego, czerwonego jedwabiu ramowanego szeroką złotą taśmą. Służki zaplotły jej włosy w korony warkoczy i upięły wysoko nad czołem. Podtrzymały je przepaską przetykaną złotem, a na jej palce włożyły pierścienie.

— Duszko, ryś! — Wyciągnęła rękę po futro i była gotowa na przyjęcie pana męża.

— Jeszcze dziecko! — przypomniała o najważniejszym Thora.

Służka podsunęła kubek z krwią i Świętosława naznaczyła policzki syna. Palce obmyła wodą.

Stała na podwyższeniu w wielkiej halli, z futrem rysia na plecach i dzieckiem w ramionach. W świetle pochodni, przy zwycięskim graniu rogów, patrzyła z góry, jak idzie ku niej pan mąż, król Erik. Łysy, brodaty, potężny w barach. Wielki i ciężki, a mimo to zwinny. Uosobienie siły, jak odyniec, którego znak nosił na tarczy. W futrze polarnego niedźwiedzia przerzuconym przez plecy wydawał się dwakroć większy niż zwykle. Ciemne oczy mu lśniły. Pas pobrzękiwał o metal kolczugi. Szedł, nie spuszczając z niej wzroku. Z niej albo z zawiniątka, które trzymała w ramionach. Za nim kroczyli jego możni, wodzowie, a wreszcie sternicy łodzi i dowódcy drużyn. Jarl Birger szedł po prawicy, uśmiechając się do niej krzepiąco.

— Królowo Sigrido! — powiedział głośno pan mąż, gdy stanął przy niej.

— Królu Eriku — odpowiedziała.

— Co czeka na mnie w domu? — spytał.

— Syn królewski! Co przywiozłeś dla królowej?

— Zwycięstwo, pani! Pola Fyrisvellir spłynęły krwią naszych wrogów. Mój bratanek Styrbjorn nie żyje. Jeńców nie braliśmy.

Rozległy się okrzyki tryumfu.

Co ceni bardziej? — spytała sama siebie. — Syna czy pokonanie bratanka?

Podała mu dziecko. Odwinął je i obejrzał, sprawdzając, czy nic mu nie brakuje. Przeliczył nawet palce rąk i nóg.

— Ma włosy na plecach jak ty, panie — powiedziała do niego.

Sprawdził. Spodobało mu się. Uniósł chłopca wysoko w górę i pokazał swym poddanym.

— Mój syn! — ryknął głośno. — Mój syn i następca!

Dziecko rozpłakało się głośno; to jeszcze bardziej ucieszyło zebranych.

— Ma głos!

— Silny chłopiec!

— Wita się z nami!

— Królu, czy masz już dla niego imię? — spytała Świętosława, odbierając dziecko Erikowi.

Przytrzymał jej ręce, przyciągnął ją do siebie i powiedział:

— To nasz pierworodny. Uszczęśliwiłaś mnie, pani. — Jego oczy zalśniły jak w chwilach, gdy brał ją do łoża.

— Zgiełk tu straszny! — Uśmiechnęła się do niego. — Powtórz, proszę, bo nie usłyszałam.

— Uszczęśliwiłaś mnie synem! — krzyknął, aż w halli ucichło.

— Tak jak ty mnie zwycięstwem — odpowiedziała.

Pili jej zdrowie, zdrowie króla i dziecka. Pili za zwycięstwo, szczęśliwy powrót i szybkie zagojenie ran. Służące nie nadążały z dzbanami. Śmiechy, krzyk, wesołość kobiet witających mężów tłumiły pojedyncze szlochy tych, których bliscy zostali na polach Fyrisvellir.

Thorę, żonę Birgera, jako pierwszą wśród możnych damę i jako tę, która szczęśliwie sprowadziła na świat jego syna, Erik zaprosił na honorowe miejsce u swego boku. Świętosława obok siebie poprosiła jarla Birgera w dowód uznania za jego męstwo w bitwie.

Skald składał strofy o pokonaniu Styrbjorna. Rymował zielone pola Fyrisvellir z błękitem przepływającej rzeki, która zabarwiła się krwią poległych.

W chwilach gdy skald robił przerwę, Birger streścił jej bitwę:

— Trzy dni zabijania.

Zostawił poecie wysławianie wierszem tańca mieczy, furkotu śmiercionośnych strzał, zabójczego lotu oszczepów i muru tarcz. Skald sławił dzielność jomswikingów, którzy wsparli Styrbjorna swą siłą:

Ich odwaga lśniła,
lecz złej służyli sprawie.
Polegli mężnie,
nie błagali o litość…

Styrbjorna poeta nazwał „niegodnym bratankiem”, a jego śmierć skwitował jednym rymem, oddając swój talent sławieniu „Erika Zwycięskiego”.

Segersäll. Takie imię przysługuje odtąd
najdzielniejszemu z królów!

— A jakie imię nadasz synowi? — Świętosława usłyszała pytanie Thory pomiędzy strofami pieśni.

— Może Bjorn, po moim ojcu? — Pociągnął z wielkiego, okutego srebrem rogu jej mąż. — A może nie…

— Czy ojciec Styrbjorna, a brat mego męża cieszył się uznaniem w kraju? Zostali po nim stronnicy? — Świętosława mogła z Birgerem rozmawiać w swoim języku.

— Zawsze jacyś zostają, pani. Twój mąż wiele ryzykował, ogłaszając, iż jego następcą zostanie syn, którego nosisz w łonie. To było wyzwanie! Gdybyś urodziła córkę, znalazłoby się wielu, którzy teraz wątpiliby w sens śmierci Styrbjorna. Ale ty, pani, przynosisz szczęście. Jesteś prawdziwą królową.

— Trudno było doprowadzić do tego, by to Styrbjorn wypowiedział Erikowi wojnę?

— Nie. — Birger się zaśmiał. — Młodzi mężczyźni są jak suche igliwie. Wystarczy iskra i trawi ich ogień.

Dała mu znak dłonią, by zamilkł, bo skald śpiewał o czymś, czego nie zrozumiała.

— O jakim ślubie króla on śpiewa?

Birger się zmieszał.

— Spytaj swego męża, pani. Niech sam ci powie. Ja zaś… — Sprawdził, że Erik rozmawia z Thorą, i dokończył szybko: — Pani, odbędzie się uroczysty obrzęd nadania imienia twemu synowi, ojciec w tym dniu pokropi go wodą. Nikomu innemu bym tego nie proponował, ale łączy nas wiara. Pomódl się nad wodą tak, by król o tym nie wiedział, i niechże to będzie namiastka chrztu dla twego syna… kiedyś na pewno uda ci się dopełnić sakramentu, ale…

— Dziękuję, jarlu — powiedziała, nie patrząc na niego, i wszystko w niej zadrżało.

Tylko Birger mógł wiedzieć, jak bardzo obawia się tego, że jej dziecko mogłoby umrzeć nieochrzczone. Dzieci często umierają.

Skald skończył pieśń o bitwie i zaczął nową, nieznaną.

Milkliwy i myślący
ma być syn królewski,
w boju mężny,
w rozkazach nieugięty…

— Królu — zwróciła się do Erika. — Jeśli jeszcze nie zdecydowałeś, jak dać synowi na imię, pozwól, że ci doradzę.

— Zimne są rady kobiety! — zanucił Erik pod nosem wesoło, ale nie przejęła się tym, bo wiedziała, że to słowa ulubionej pieśni jego skalda. Słyszała ją często.

— Daj synowi na imię Olav, mężu.

— Co? — Jego oczy niebezpiecznie zalśniły.

— Twój zmarły brat miał na imię Olav. Styrbjorn był jego synem. Odmówiłeś prawa do władzy Styrbjornowi, ale jeżeli swemu pierworodnemu dasz na imię Olav, pokażesz, że szanujesz pamięć brata, a bratanka pokonałeś w słusznej sprawie. Ci, którzy sprzyjają im po cichu, nie będą mogli dowieść ci złej woli.

— Zimne są rady kobiety — powtórzył Erik i oczy mu zalśniły. Chwycił ją za rękę i ścisnął. — Zimne rady to dobre rady, pani! Nie pomyślałbym o tym!

Uśmiechnęła się do niego bliska zwycięstwa.

— Tylko najpierw zapytaj swego serca, królu, czy będziesz potrafił mówić do syna „Olav” i nie widzieć w nim brata, z którym się

w przeszłości wadziłeś.

— Nie będę mówił „Olav”, lecz „Olof”, tak to brzmi w naszym języku — zaśmiał się Erik. — I zapewniam cię, moja królowo, że za każdym razem, gdy tak się do niego zwrócę, będę wielbił twój przenikliwy umysł. Miodu! — krzyknął. — Możemy dopełnić obrzędu jeszcze dziś!

Tylko nie to — pomyślała i uszczypnęła dziecko z całej siły. Rozdarło się.

— Muszę nakarmić Olofa — powiedziała przepraszająco. — I tak długo wytrzymał.

— Wobec tego zrobimy to jutro — zgodził się Erik i wstał. — Pożegnać mego syna i królową Sigridę! — nakazał obecnym.

Żegnali tak, że drżały stare belki dworu. Krzyczeli, że „Segersäll i Storråda to dobry rym”. Słyszała ich, gdy w alkowie Dusza zdejmowała z niej suknię. Naga położyła się z dzieckiem do łoża. Podała mu pierś.

— Ssij, Olavie-Olofie. Jesteś już mój.

Nim zapadła w sen, dotarł do niej bezmiar tryumfu. Od tej chwili będzie mogła wymawiać w nieskończoność ukochane imię. Głośno, szeptem, krzykiem, jak zechce. Tuląc do siebie syna, którego obdarzyła miłością w tym właśnie momencie.

BOLESŁAW nie był przy narodzinach swego pierworodnego, bo wypadły w czasie wyprawy połabskiej. Mieszko postanowił dać mu kolejną lekcję politycznych sojuszy, tym razem zabierając syna ze sobą.

Jednak nim wyruszyli przy dźwięku rogów, wiedział już, że jego żona jest brzemienna.

Karolda, córka Zambora, węgierskiego księcia, z woli Mieszka została jego żoną ledwie kilka dni po tym, jak orszak Gertrudy opuścił Poznań. Węgierka była zaprzeczeniem saskiej margrabianki. Namiętna i śmiała, hałaśliwa i dzika. Języka uczyła się opornie, ale jej apetyt w łożnicy był nie

do ukojenia. Nie rozmawiali więc ze sobą, kochali się od zmierzchu do świtu. Za dnia stronili od siebie, bo w świetle poranka Karolda wydawała mu się co najmniej dziwna. Jej ciemne, nieco skośne oczy niepokoiły Bolesława; nigdy nie patrzyła wprost, zawsze z ukosa. Łapał ją na tym, że wpatruje się w niego ukradkiem, a kiedy uśmiechał się i odzywał do niej, odwracała głowę, udając, że go nie widzi.

— Węgierska wiedźma — mówił o niej Zarad, gdy byli sami. — Strzeż się, książę, by ci czegoś nie zadała.

— Ma jeszcze inne imię — szczuł Jaksa. — Jej służba mówi do niej „pani Emese”.

— To znak, że wiedźma! — ucieszył się Zarad.

— Albo że z ciebie dureń. — Bolesław uderzył go w plecy. — Kobiety zmieniają imię po ślubie.

— Owszem! Ale tobie ją przedstawiono jako Karoldę — Zarad nie dawał za wygraną. Nie znosił jego żony. — Emese to jej tajemne imię, mówię ci, druhu! Ale rozumiem, sprawa państwowa! — Rozłożył ramiona, jakby kapitulował. — Wiedźma w zamian za węgierskie wsparcie w wyprawie na Czechy. Czegóż się nie robi dla władzy!

— Są jakieś wieści od twej siostry z Uppsali? — Bjornar chciał zmienić temat i uciszyć Zarada.

— Jeszcze nie — odpowiedział Bolesław. — Chociaż przypuszczam, jak mogą brzmieć, jeśli zapyta się najbliższych przyjaciół Erika. „Piastowska wiedźma o niewyparzonym języku sobie tylko znanymi czarami zagraża naszemu szlachetnemu królowi i całemu królestwu”.

— Nie, nie, nie! Świętosława to co innego! Obetnę łeb pierwszemu, który tak powie na siostrę! — zaprotestował Zarad.

— Nie pochlebiaj sobie. To nie twoja siostra, tylko Bolesława. — Jaksa odebrał kielich Zaradowi.

— Siostra mego druha jest moją siostrą i co mi zrobisz, ponury chudzielcu? — Zarad rzucił się na przyjaciela.

— Dobra, starczy! — Bolesław machnął ręką. — Jutro ruszamy na Połabie! Zostawcie siły na Wieletów.

Wstał i gwizdnął na psy. Podniosły się niechętnie. Duszan je pogonił, aby szły za księciem. Zrobiły kilka kroków i zaskomlały.

— No już, idziemy! — zdyscyplinował je Bolesław.

Pobiegły w przeciwną drzwiom stronę i schowały się za ławą. Zarad wybuchnął śmiechem.

— Co noc to samo! Mądre pieski, nie lubią pani Karoldy.

Bolesław przewrócił oczami.

— No, idźcie, idźcie. Nie zostawiajcie pana samego. — Zarad udawał troskę. — Pies nie chce, a książę musi!

Wyprawa na Połabie była ożywcza. Jechał z Mieszkiem na czele wojsk piastowskich, za plecami mając drużyny pancerne, przed sobą konny zwiad, w odwodach lekkozbrojnych i tarczowników. Ojciec był zdecydowanym wrogiem wojsk zbieranych z wolnych kmieci.

„Ciężkozbrojny jest drogi, ale każda grzywna wydana na jego wyszkolenie i utrzymanie zwróci się po wielekroć” — powtarzał tak często, aż dorobił się trzech tysięcy pancernych. Lekkozbrojnych, gotowych na każde zawołanie, miał dziesięć tysięcy. Na Połabie zabrali ich dużo mniej.

— Trzy setki ciężkich i sześć setek lekkich, to wystarczy, by pokazać Teofano, jak lojalni z nas sojusznicy — powiedział, gdy przekraczali Łabę.

— Saskie stada poprowadzi stara łania z cielaczkiem przy boku? — spytał Witosz, gdy po krótkim wypoczynku ruszyli dalej na zachód.

Mieszko się zaśmiał.

— Teofano nie przepuści takiej okazji. Chce wszystkim mieczom cesarstwa pokazać swego syna wyciągniętego z łap bawarskiego księcia

Henryka. Zjawi się, by nas pobłogosławić na wojnę z poganami w całym swym wdowiocesarskim majestacie. Poza tym musi własnym okiem policzyć, kto z książąt się stawił, a kto zignorował nakaz pani Rzeszy. I zapewniam was, że policzy dokładnie. Zbrojnych, lekkozbrojnych, konie, miecze, włócznie, tarcze. Nawet wozy taborowe. Po tym jak odsunęła wiosną od rządów cesarzową babkę, Adelajdę, potrzeba jej szybkiego sukcesu. Gdyby ceremoniał dworu nie zabraniał władczyniom wdziewania zbroi, sama stanęłaby na czele wojsk.

— Oczywiście za murem z tysiąca tarcz! — dorzucił Witosz i śmiali się z Teofano.

Bolesław nie uczestniczył w tej drwinie; rozmowa o cesarzowej przypomniała mu Świętosławę. Nagle zatęsknił za małą, hardą siostrą. Żadnych wieści zza morza to dobra czy zła wiadomość? Spiął konia i oddalił się od kolumny.

Ojciec miał rację, Teofano pojawiła się na miejscu zbiórki wojsk, na rozległych błoniach na zachodnim brzegu Łaby. Centrum wojennego obozu zajmował jej złoty namiot, posadowiony na niewielkim wzniesieniu, potężny niczym dwór. U podnóża rozłożyli się obozami panowie Rzeszy. Arcybiskup Magdeburga, Gizyler, ze stronnikami: Ezykonem i Binizonem, grafami merseburskimi. Dalej Godfryd, graf Lotaryngii, z synem i zięciem. Graf Dudo z Brunszwiku. Wielki stronnik Ottonów i cesarzowej, arcybiskup Moguncji, Willigis, i przebywający pod jego skrzydłami od niesławnego wygnania z Miśni biskup Folkold. Wreszcie i graf Herman z Angeron, westfalski możny cieszący się wielkim uznaniem Teofano od czasu, gdy pośredniczył w negocjacjach z Henrykiem bawarskim, które skutecznie przywiodły zbuntowanego księcia do złożenia hołdu cesarzowej.

Miejsce wyznaczone na obóz Mieszka znajdowało się dokładnie na wprost wejścia do namiotu władczyni.

— A niech ją! — Mieszko gwizdnął przez zęby. — Stara łania chce pokazać, że ma nas na oku. Witosz, jedź do jej kwatermistrzów i powiedz, że dali nam za mało miejsca. Spytaj, czy to oznacza, że mam połowę swych sił odesłać za Odrę.

Bolesław zaśmiał się pod nosem. Lekcja polityki zaczynała się frapująco. Oczywiście gdyby się postarali, zmieściliby się i na tym miejscu, które znaczyły wbite w ziemię paliki, ale rzut oka na największe obozy, Gizylera i Willigisa, wystarczył, by Mieszko i Bolesław wiedzieli, że arcybiskupi przybyli nad Łabę z siłami równymi ich wojsku, więc ojciec zamierzał to podkreślić. Nie minęło wiele czasu, jak pojawili się zarządcy Teofano i szybko powiększyli teren ich obozu, zerkając przy tym ciekawie na tabory.

— Bolesławie — wezwał go Mieszko, gdy przestrzeń na obóz go usatysfakcjonowała. — Wróć na przeprawę po podarunek. Tylko dopilnuj, by nikt w obozie go nie zobaczył.

Pojechał z Zaradem, Jaksą, Bjornarem i swoją drużyną. Zwierzę pod opieką koniuszych spokojnie czekało na nich w zagajniku.

— Bydlę zżarło liście z młodych brzóz — zameldował jeden z nich. — Musieliśmy przeprowadzać go w głąb lasu, bo ryczał jak potępieniec.

— „Tylko dopilnuj, by nikt w obozie go nie zobaczył” — powtórzył za ojcem Bolesław.

Przed nimi stał wielki, dwugarbny wielbłąd.

— Zarzuci się na niego płachtę z małego namiotu i…

— …jakoś to będzie! — pocieszył go Zarad.

Wjechali po zmroku, zakryli zwierzę płótnem, odsłaniając mu tylko pysk, bo na jego zasłonięcie reagowało nerwowym rykiem, który mógł przypominać wszystko, ale nie odgłos wołu, którego w razie czujek miało udawać. Bolesław dwunastce swoich drużynników kazał otoczyć wielbłąda ścisłym kordonem, a sam z Jaksą, Bjornarem i Zaradem ruszył przed nimi.

— Kto idzie? — zawołały pierwsze straże, machając pochodniami.

— Książę Bolesław, syn księcia Mieszka.

Przejechali bez trudu. Przy drugich strażach płonęły wielkie ogniska i trzeba było choć na chwilę zasłonić zwierzęciu pysk. Zaryczało dziko.

— Kto idzie? — krzyknął saski strażnik.

— Książę Bolesław, syn księcia Mieszka, z drużyną.

— Co tam prowadzicie?

— Tura na kolację dla pana ojca i jego wojska — spokojnie odpowiedział Bolesław po sasku.

— Aaa…

Przeszli, nie zatrzymując się. Wielbłąd pod namiotem znowu zakwiczał.

— A dlaczego on tak dziwnie jęczy? — Strażnik pobiegł za nimi.

— Uczy się łaciny na spotkanie z cesarzową — szepnął Zarad.

— Boi się! Tyle tu wojska, a on prosto z puszczy! — nie odwracając się w siodle i nie zwalniając kroku, odpowiedział Bolesław.

Wielbłąd w swej dziejowej roli miał wystąpić nazajutrz. Koniuszy wyczesał mu na tę okazję gęste futro, przystroił uprzężą z dzwonkami i jedwabną narzutą. Mieszko przyszedł obejrzeć prezent i kazał zdjąć narzutę.

— Zasłania garby! Jakoś inaczej go ozdób. Może kwiaty?

— Zeżre, najjaśniejszy książę. On wszystko żre. Derkę w nocy pożarł, a smakowała mu!…

— To dołóż więcej dzwonków do uprzęży. Dzwonków nie ruszy?

— Chyba nie, najjaśniejszy panie.

— A niech go! — jęknął Mieszko, bo wielbłąd w tej samej chwili uniósł lekko ogon i wydalił z siebie wszystko, co zjadł od rana. Było tego dużo.

— Nie może się tak zachowywać na audiencji! — wściekł się ojciec.

— To zwierzę, panie — bronił wielbłąda koniuszy. — Na rumaki nikt się nie złości, gdy…

— To dar, głupcze! Dar nie może srać w czasie przekazywania. Gówno mnie obchodzi, co zrobi u Teofano. Póki ja i mój syn tam będziemy, nie ma prawa unosić ogona!

— Przegłódźmy go, ojcze. Jak nie zje, to i nie wysra.

Mieszko spojrzał na niego z uznaniem, a Bolesław pomyślał, że wolałby widzieć taką dumę w oczach ojca w sprawach mniej gównianych.

Teofano zaprosiła wszystkich panów Rzeszy i sojuszników, którzy odpowiedzieli na jej apel wojny przeciw poganom. Zadbała o należytą oprawę monarszego widowiska. W samo południe wokół jej złotego namiotu zebrały się poczty możnych w oczekiwaniu na cesarzową i jej syna, małego króla Rzeszy. Dwa trony na specjalnie zbudowanym podwyższeniu czekały. Przy dźwięku trąb cesarzowa wdowa wyszła z namiotu, przed nią kroczył Otto. Sześcioletni król ubrany był w białą tunikę i lekki, złoty napierśnik, by podkreślić, że jego spotkanie z poddanymi odbywa się w czas wojny. Na głowie miał posrebrzany hełm, pewnie południowoworeńskiej roboty, z umocowaną do niego złoconą koroną. Wszystko to, choć wykonane na rozmiar sześcioletniego dziecka, musiało ważyć sporo i Bolesław widział, że chłopiec idzie ostrożnie, z trudem utrzymując proste plecy. Gdy zaczął wstępować na wyścielone kobiercem stopnie podwyższenia, zgromadzeni wstrzymali oddech. Niewiele brakowało, by mały się przewrócił.

— Bizantyjski gest ma nasza pani — szepnął z boku arcybiskup Gizyler i w jego głosie słychać było wszystko prócz podziwu.

— To nie są obyczaje Germanii — zawtórował mu graf Ezykon, wydymając pogardliwie usta. — To greckie zbytki. Wynoszenie się ponad wszystkich!

Mieszko uśmiechnął się pod nosem i szepnął do Bolesława, tak by nikt nie słyszał:

— Niech cię Bóg broni przed strojeniem się w złote zbroje. A jak ci kiedyś Pan pobłogosławi królewską koroną, nie pchaj się w niej na wojnę. To nie są obyczaje Piastów.

— Mówią, że złoto mnoży złoto — szepnął Bolesław, nie poruszając głową — ale jak słyszę, wśród wojowników nie znajduje żadnego uznania. Aż dziw, że tak chętnie biorą je w nagrodę po walce.

— To nie są wojownicy — odpowiedział mu równie cicho ojciec. — To ci, którym nie podoba się, że Greczynka nimi rządzi. Wojownicy stoją tam — ruchem głowy wskazał na Ekkeharda.

Bolesław mu się przyjrzał. Teofano mianowała Ekkeharda nowym margrabią Miśni, po dramatycznej śmierci Rikdaga, ojca jego niedoszłej żony, Gertrudy. Choć chorąży za jego plecami trzymał proporzec z czarnym lwem miśnieńskim, margrabia nie wyglądał jak lew. Był starszy od Bolesława o mniej niż dziesięć lat i sprężystą sylwetką przypominał raczej gotowego do ataku żbika.

Za młody, by mieć córkę na wydaniu — przebiegło przez głowę Bolesława i w tej samej chwili uświadomił sobie, że przecież znów ma żonę. Karolda została w Poznaniu. Co tam robi sama ze swym nieposkromionym apetytem? Miał nadzieję, że księżna Oda nie spuszcza jej z oka.

Cesarzowa i jej syn przyjmowali kolejno hołdy swych możnych. Mieszko, wiedząc, że za chwilę przyjdzie ich czas, dyskretnie dał znać Witoszowi, by przyprowadził wielbłąda.

— Misico Dux Sclavorum et Bolislaus, filius eius! — zapowiedział ich herold.

Wystąpili przed tron matki i syna. Ukłonili się przed majestatem, ale nie przyklękli jak lennicy. Przez twarz Teofano przebiegł ledwie widoczny

grymas rozczarowania. Mimo to Bolesław stwierdził, że cesarzowa wdowa jest ujmująco piękną kobietą.

— Królu Ottonie, cesarzowo — powiedział Mieszko — przybyłem z wojskiem, aby dać dowód, że łączy nas wspólne dzieło, którym jest zaprowadzenie spokoju na ziemiach Połabia. Nam, tak jak i wszystkim zgromadzonym dzisiaj nad Łabą, zależy na przywróceniu Chrystusowi pohańbionych świątyń i siłą wydartych przez pogan biskupstw.

Folkold, biskup Miśni, westchnął rzewnie.

— Niech Bóg pobłogosławi! — powiedział dźwięcznym głosem mały Otto, nie przestając wpatrywać się w Bolesława.

— Przywieźliśmy dla Jej Miłości liczne dary — kontynuował Mieszko — na dowód naszej przyjaźni.

Teofano łaskawie skinęła głową i drużynnicy ojca zaczęli ustawiać przed stopniami tronu skrzynie z podarunkami.

— Dla króla Ottona mój syn, Bolesław, ma zaś specjalny prezent.

Dźwięk dzwoneczków z uprzęży dał im znać, że wielbłąd musi być blisko.

— Jaki? — wyrwało się małemu królowi.

— Taki, jakiego nie spotkasz, królu, w pięknych miastach Germanii — odpowiedział Bolesław.

Przez tłum przebiegł szmer i pojedyncze okrzyki.

Uhm — pomyślał Bolesław — wielbłąd tuż-tuż.

Kwik zwierzęcia zabrzmiał tuż za ich plecami. Jednocześnie spojrzeli z ojcem na wyłożony drogocennym purpurowym kobiercem plac przed tronem.

Bolesław zabrał od Witosza uprząż i prowadził zwierzę w stronę tronu. Mały Otto zaklaskał w dłonie, policzki mu poróżowiały.

— Czy to słoń, matko? Słoń, o którym opowiadałaś?

Oczy Teofano zalśniły od łez. Otarła je wierzchem dłoni i odpowiedziała dziecku wzruszona:

— Nie, królu, to wielbłąd.

— Taki, na jakim jechałaś, gdy byłaś mała?

— Tak — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. — W Konstantynopolu mieliśmy ich dużo.

Bolesław ugryzł się w język, bo na jego końcu miał dwa słowa: „szczwany Jastrząb”, i to było o ojcu. Gdy prowadzili tu ze sobą dwugarbnego wierzchowca, sądził, że stary chce zrobić wrażenie na cesarzowej, małym królu i panach Rzeszy bajecznie drogim i rzadkim zwierzęciem. Dopiero teraz zrozumiał, że prezent ma drugie dno i odwołuje się do wspomnień Teofano.

— Czy mogę go dotknąć? — zapytał Otto.

Teofano się zawahała.

— Bywają niesforne — powiedziała niepewnie.

— Ten jest oswojony, najjaśniejsza pani — zapewnił Bolesław. — Bez specjalnego siodła nie polecałbym na jego grzbiecie jeździć, ale dotknąć? Czemu nie. Przyrzekam, że zapewnię bezpieczeństwo królowi.

Otto jeszcze raz zerknął na matkę i gdy ta skinęła głową, wstał z tronu i ruszył ku nim. Dopiero teraz Bolesław przypomniał sobie, jak niepewnie chłopak porusza się w ciężkim nakryciu głowy. Szybko podał uprząż Witoszowi i podbiegł do wysłanych kobiercem stopni tronu. Czuł, że nie powinien na nie wstępować, że zarezerwowane są dla tych dwojga, ale nie chciał, by mały poślizgnął się na materii i królewskim upadkiem przyćmił wręczenie prezentu. Wyciągnął ku niemu rękę, by mógł się jej przytrzymać. Otto z dziecięcym uporem pokręcił głową, że da sobie radę. I w tej samej chwili, kiedy nią poruszył, zachwiał się. Bolesław nie czekał na katastrofę. Chwycił małego króla w pasie i przeniósł z ostatnich stopni na ziemię.

— Jaki śmieszny ma pysk! — pisnął Otto. — I tak nim porusza…

— Jest głodny — powiedział Bolesław z nadzieją, iż trzewia wielbłąda są puste. — Można go pogłaskać po szyi, o tutaj.

— Dziękujemy ci, książę, za prezent godny przyszłego cesarza — powiedziała Teofano wzruszona. — Królu! Przed nami obrady. — Jej głos nie pozostawiał wątpliwości, że Otto powinien wracać.

— Czy mogę dostąpić zaszczytu odprowadzenia króla na miejsce? — spytał Bolesław.

Cesarzowa skinęła głową. Otto się ociągał. Najwyraźniej wielbłąd ciekawił go dużo bardziej niż całe to zgromadzenie. Bolesław nie chciał nalegać. Wyciągnął do niego rękę. Królewskie dziecko westchnęło i wspierając się na jego ramieniu, weszło po schodach i usiadło na tronie obok Greczynki.

— Dziękuję, książę Misico i książę Bolislaus — powiedział. — To najmilszy prezent, jaki otrzymałem w życiu.

Bolesław skłonił się im i zbiegł po schodach. Dopiero oburzone spojrzenia Gizylera i Willigisa uświadomiły mu, że nie powinien był odwracać się do cesarzowej i małego króla plecami. Trudno, było za późno. Witosz odprowadził wielbłąda do zarządcy taboru Teofano, a ten, nie bardzo wiedząc, co zrobić, uwiązał go do palika z boku złotego namiotu, tam gdzie odnoszono wszystkie przyniesione dziś dary.

Audiencja trwała. Teofano mówiła o tym, że przywróciła do łask księcia Henryka, choć splamił swój honor, występując przeciw niej i synowi. Nie zająknęła się słowem o udziale Mieszka w tym buncie.

— Aby zakończyć spór i dać mu dowód naszej bezbrzeżnej cesarskiej łaskawości, ponownie nadaliśmy mu w lenno księstwo Bawarii.

Bolesław słuchał, obserwując twarze możnych. Przyglądał się im, zapamiętywał. Cesarzowa grzmiała, ganiąc jego wuja, księcia Czech,

Boleslava, walczącego ramię w ramię z Wieletami przeciw wierze, przyzwoitości i Rzeszy. Wiedział, że ta część przemowy powinna Mieszka i jego obchodzić najbardziej. Słuchał, starał się nie uronić ani słowa. Jednak całą jego uwagę przykuł złoty namiot, nieco poruszający się za plecami Teofano. Jeszcze chwila i wiedział, co się święci.

Do czorta! — zaklął w duchu. — Ten wielbłąd naprawdę był głodny.

— Najjaśniejsza pani — odezwał się Mieszko, a w jego głosie brzmiała zupełnie nieznana Bolesławowi nuta pokory. — Czy mogłaby Jej Wysokość lub któryś z obecnych tu możnych panów Rzeszy wyjaśnić mi, dlaczego czeski książę Boleslav nie złożył broni, gdy jego protektor, książę Henryk, ukorzył się przed Waszym Cesarskim Majestatem?

Na dostojnej twarzy Greczynki pojawiło się zakłopotanie.

— Dostał wezwanie na wyprawę, by mieć szansę się ukorzyć. Ale jest krnąbrnym, samowolnym księciem — powiedziała dobitnie.

— Zgadzam się, najjaśniejsza pani, ale mimo to nie mogę pojąć, dlaczego Boleslav walczy. Nawet najkrnąbrniejszy książę ma rozum.

— Ty, książę Mieszko, jesteś tego najlepszym przykładem — powiedział arcybiskup Gizyler.

— Walki czy rozumu? — dopytał Mieszko najniewinniejszym z głosów.

— Jednego i drugiego — zamknęła sprawę Teofano, widząc, że Gizyler otwiera usta, by powiedzieć coś zupełnie innego.

— Pani nasza — odezwał się spokojnym, chrapliwym głosem margrabia Ekkehard — trzeba się pochylić nad wątpliwością, którą zgłosił książę Mieszko. Nie wolno nam zapomnieć, że to czeskie wojska napadły na marchię miśnieńską i doprowadziły do śmierci margrabiego Rikdaga. Czeski książę wciąż nie opuścił Miśni. Ustanowiłaś mnie, pani, margrabią marchii, która jest w sensie dosłownym pod czeską okupacją.

— Margrabia bez marchii? — kpiąco prychnął graf Ezykon. — Taki wojownik jak ty, Ekkehardzie, powinien mieczem wyrąbać sobie prawo do tytułu.

— Prawo do Miśni dostałem od najjaśniejszej pani — spokojnie odpowiedział Ekkehard. — I zapewniam tu obecnych, że odbiję ją z rąk czeskich. Nietrudno zauważyć, że gdy nasze wojska zbierają się tutaj, by ruszyć na Wieletów, korzysta z tego władca Czech. Powiedziałbym, że na tym może polegać jego podstęp: wiąże siły saskie w walce o odzyskanie ziem wieleckich i dzięki temu umacnia się w Miśni.

Po zebranych przeszedł szmer.

— Kwestionujesz sens naszej wyprawy? — poważnie zapytał Willigis.

— Nie, arcybiskupie. Sugeruję podzielenie sił. Część wojsk powinna ruszyć na Wieletów, a druga część na Czechy.

— Wzięcie Boleslava w dwa ognie jest kosztowne — zmartwił się Mieszko. — Ale… nękanie go tam, gdzie się najmniej spodziewa odwetu, mogłoby przynieść pożądany efekt.

— Książę Pragi obsadził wojskiem całą zachodnią granicę i Miśnię — powiedział Ekkehard.

— Lecz nie spodziewa się uderzenia na Śląsk — odpowiedział ojciec.

Dopiero teraz do Bolesława dotarła intryga, którą utkał Mieszko. Dalej mógł się już tylko rozkoszować tym, jak Stary Jastrząb wykończył swe dzieło. Stanęło na tym, że za poparciem cesarzowej Teofano siły Mieszka przekroczą Odrę między Głogowem a Niemczą i zaczną systematyczną wojnę szarpaną w czasie, gdy główne wojska saskie odbijać będą od Wieletów ziemie zabrane podczas wielkiego powstania, a margrabia Ekkehard ruszy nękać Czechów okupujących Miśnię. Najpiękniejsze nastąpiło na końcu, gdy Gizyler ostatnim ukłuciem chciał zdyskredytować Mieszka, mówiąc, iż oto przybył nad Łabę, dał wielbłąda, a w zamian

zabierze swe wojska, by toczyć własną wojnę z Czechami. Ojciec, nie mrugnąwszy okiem, odpowiedział:

— Wszystko zostaje. Wielbłąd, trzystu pancernych pod moją komendą, sześć setek lekkozbrojnych. Z obozu wojennego wyjedzie tylko mój syn, Bolesław, i to on poprowadzi wyprawę na Czechów, nie zabierając ani jednego z przyprowadzonych przeze mnie wojowników.

W sercu Bolesława zabrzmiały tryumfalne rogi wojenne. Czas kończyć audiencję.

— Wycofajmy się, nim nasz podarunek zeżre złoty namiot cesarzowej i nasra do kufrów z podarunkami panów Rzeszy — bezgłośnie szepnął do niego ojciec. Stary Jastrząb był tak ukontentowany, jakby sam narobił na klejnoty margrabiów.

Bolesław wyjechał tego samego dnia. Oczywiście nie sam, lecz z dwunastką drużynników, Zaradem, Bjornarem i Duszanem. Jaksę ojciec zatrzymał przy sobie jako wytrawnego znawcę Połabia, znów zapominając, by nie nazywać go „redarskim wilkiem”, ale zdaje się, że Jaksie to już nie przeszkadzało. Pojechał najpierw do Poznania i tam się dowiedział, że Karolda powiła syna.

— Mój pierworodny! — krzyknął, biegnąc od stajni do palatium.

— Uważaj, wiedźmy też mogą mieć dzieci — szepnął mu do ucha Zarad.

Bolesław go nie słuchał. Serce waliło mu jak młotem. Pierwsza samodzielna wyprawa, pierwsze dowództwo, bez ojca patrzącego mu na ręce. I pierwszy syn!

Wpadł do komnaty Karoldy jak wicher. Zastał ją rozczochraną, w pomiętej koszuli. Kucała przy ogniu, choć była pełnia lata.

— Pani… — Stanął w progu. — Źle się czujesz?

Popatrzyła na niego nieprzytomnie. Jedna z jej służek, a właściwie służka Ody przysłana do pomocy Karoldzie, powiedziała szybko:

— Ale dziecko czuje się dobrze, książę. Pilnujemy, by twoja żona je karmiła.

— Gdzie ono jest? — spytał, rozglądając się po komnacie.

Służąca wskazała kolebkę. Skoczył do niej. W środku, na czystych, białych płótnach leżał chłopiec. Spał. Był drobny, żebra znaczyły się wyraźnie pod skórą. Głowę pokrytą miał ciemnym meszkiem. Bolesław go dotknął.

— Weź go na ręce, książę — szepnęła służka.

Nie bardzo wiedział jak. Dziecko wydawało się tak małe i kruche. Ważyło mniej niż kołczan strzał. Uniósł je i położył sobie na ramieniu.

— Jest zdrowy? — zapytał służącą.

— Tak, panie. Zdrowy. Twoja żona… no cóż, nie czuje się najlepiej, ale dziecko jest zdrowe.

— Co jej jest?

— Nie umiem powiedzieć… Porozmawiaj z księżną Odą, panie.

Odłożył dziecko do kolebki. Nie obudziło się, ale widział, jak drobna pierś unosi się w rytmie uderzeń serca. Podszedł do Karoldy. Syknęła na niego jak kotka i machnęła ręką, jakby chciała go drapnąć.

— Karoldo? Poznajesz mnie?

Patrzyła nieufnie, z ukosa. Nagle rzuciła się, chwyciła jego dłoń i powąchała.

— To ja, Bolesław — powiedział cicho.

Odepchnęła jego rękę i zakryła twarz ramionami.

— Potrafi tak siedzieć i siedzieć — wyniośle powiedziała służąca. — Gdy podajemy jej dziecko do karmienia, też je najpierw wącha.

Przyklęknął przy niej i zbliżając twarz, szepnął:

— Karoldo, dziewczyno moja, moja dzielna, madziarska wojowniczko. Słyszysz mnie?

Przekrzywiła głowę, włosy zlepione w grube, ciemne strąki spadły jej na twarz. Widział, że na niego patrzy.

— Żono, księżno — mówił dalej łagodnie jak do dziecka. — Jeszcze będziemy jeździć razem konno. Ty, nasz chłopiec i ja.

Zakryła uszy dłońmi. Podniósł się i miał wrażenie, że na barkach spoczął mu wielki ciężar.

— Pilnujcie mego syna — odezwał się do służących głucho i wyszedł.

Ruszył od razu do Ody. Czy może jej zaufać? Księżna ma dość powodów, by chcieć mu zrobić na złość, ale z tego, co widzi, jego synowi nie dzieje się krzywda. Zawołał Bjornara i Zarada. Zwłaszcza Zarad, jako syn chorążego Mieszka, był mu teraz potrzebny.

— Idziecie ze mną, ale ani słowa — przykazał.

Oda z dwójką swych synów była w świetlicy. Ojciec Jan czytał jej psalmy. Przerwał, gdy weszli.

— Pani — skłonił się przed nią.

— Bolesławie — przyjrzała mu się i pokiwała głową — więc już byłeś u niej i u syna?

— Co tam się dzieje?

— Poród twej żony był gwałtowny i ciężki. Karolda zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, co się z nią dzieje, więcej, jakby nie zdawała sobie do końca sprawy, że jest brzemienna i będzie rodzić dziecko. Twoje, książęce dziecko! W ostatnich dniach przed rozwiązaniem chciała wsiąść na konia i gdzieś jechać. Nie rozumiała, dlaczego zabraniamy jej jazdy. Moje doświadczone akuszerki czuwały przy niej. Wiesz, że szczęśliwie sprowadziły na świat obu mych synów, a twych przyrodnich braci, Mieszka i Świętopełka. Te kobiety znają się na rzeczy. Karolda nie poddawała się ich zabiegom, które miały ułatwić jej poród. Rzucała się, wyrywała i gryzła…

W łóżku robi to samo — przeszło mu przez myśl. — A jeśli jej szaleństwo brałem za namiętność?

— Najważniejsze, że twój syn jest cały i zdrowy. Co z Karoldą? Nie wiem. — Oda rozłożyła ręce. — Boję się, że będąc w tym stanie, odmówi karmienia. I tak robi to niechętnie.

— Znajdź memu synowi mamkę, księżno — powiedział twardo. — I zabierz Karoldę z komnaty dziecka. Niech się nią opiekuje służba. Dba o nią, karmi, myje, czesze. Przynoście do niej syna raz dziennie, by pamiętała, że urodziła dziecko. Jeśli uznasz, pani, że jest całkiem zdrowa, pozwól jej wziąć go na ręce, ale tylko w obecności służby. Ojcze Janie! Zaradzie, Bjornarze, biorę was na świadków, że powierzyłem księżnej Odzie całkowitą opiekę nad moim synem i żoną aż do mego powrotu z wyprawy. I że jestem księżnej niezmiernie wdzięczny za to, jak czuwała nad nimi do tej chwili.

Przed wyjazdem raz jeszcze odwiedził dziecko. Karoldy w komnacie już nie było. Trzymała je w ramionach mamka. Ciemnowłosa dziewczyna przypominała mu Jagę, choć była znacznie mniej śmiała i bardziej krągła. Niemowlę ssało jej pierś łapczywie. Poczekał, aż skończy, i wyciągnął po nie ręce.

— Duszan — przywołał chłopaka Bolesław i podał mu syna. — Nie jedziesz ze mną. Zostajesz z nim.

Chłopiec podniósł powieki i spojrzał na niego ciemnymi, wilgotnymi oczami swej matki.

Bjornar i Zarad ani razu nie wspomnieli o „wiedźmie”. Zamilkli, jakby nigdy żadne złe słowo o niej nie padło. Nie pytali też o syna, nie chcąc pewnie wywoływać wspomnienia matki. On sam zastanawiał się nad tym tylko, dopóki nie wjechali na Śląsk. Z Głogowa wezwał stu pancernych. Z Wrocławia i Opola po drugie tyle. Setka przyciągnęła z nimi z Giecza.

Miał ze sobą tylu ludzi, co Mieszko na wyprawie połabskiej. Miejscowi przyprowadzili zwiadowców. Przekroczyli rzekę przez trzy brody jednocześnie i ruszyli zdobywać zaodrzański Śląsk.

SVEN wiedział, że wojny królów dają mu czas na rozegranie własnego pojedynku. Pasowało mu, że cesarzowa wdowa związała siły Sasów na Połabiu, ale wiedział, że musi się spieszyć. Panowie Rzeszy zwykli walczyć tylko latem. Jesienne szarugi i deszcze zamieniały trakty w błota i bagniska, stając się niezdatnymi do przebycia dla ich ciężkich bojowych koni i taborowych wozów. Od dziecka z obrzydzeniem myślał o prowadzeniu walki na lądzie. Jego żywiołem była woda, rumakiem długa łódź, której ostry dziób mógł wcisnąć w ujście każdej zatoki i rzeki. Kochał uderzenie wiatru w kwadratowy żagiel, skok, którym drakkar zaczynał rejs. Huk fal w uszach i chwilę, gdy jego długie, rude włosy porywał wiatr.

Ponad rok wcześniej, jeszcze przed wyprawą jomswikingów na jarla Hakona, przypłynął na pożegnanie Palnatokiego do Jomsborga. Był na przystani, gdy przy dźwięku czarnego rogu ciało pierwszego z wodzów Jom odpływało w rejs do Walhalli. Miał nadzieję, że pozwolą mu wypuścić płonącą strzałę, która podpali stos na łodzi Palnatokiego, ale się mylił.

„Prawo jomswikingów — powiedzieli krótko. — Nawet królowie i ich synowie nie stoją ponad nim”. I strzały wypuścili czterej wodzowie domów. Zelandzcy bracia, Thorkel i Sigvald, Vagn i Bue, tak dzielny, jak gruby. Bue, którego miesiąc później nie było już wśród żywych; zginął w wielkiej bitwie z Hakonem, i po co?

Być może kiedyś w przeszłości jego ojciec był berserkiem, wojownikiem, który w walce zmienia się w zwierzę nieczułe na ból, ale od dnia, gdy dał się Ottonowi ochrzcić, był nikim. Pamiątką po malowanych kłach został siny ząb. Tak go przezywali, „Sinozęby”. Za plecami, z daleka,

najchętniej z sąsiedniej wyspy i pod wiatr. Ludzie bali się go i Sven nie rozumiał, czym dyktowany jest ten strach.

W Jomsborgu złego słowa nie można było na Haralda powiedzieć, bo jomswikingowie rwali się od razu do bitki, nie patrząc, że mówi to on, Sven. Młody i silny syn.

Przeżuwali ostatnie klęski swych wojsk i gdyby porażką można się było najeść, zaiste byliby syci! Najpierw jarl Hakon w Norwegii rozgromił jomswikingów pod wodzą Sigvalda, a potem król Erik rozbił wojska swego bratanka, tego pięknisia Styrbjorna, w walnej bitwie na polach Fyrisvellir. Wrócił tylko co dwudziesty z jomswikingów, którzy byli ze Styrbjornem.

I mimo że do każdej z tych rozpraw pchnął żelaznych chłopców król Harald, mimo iż to on odpowiadał za ich gorzkie porażki, powodowani jakąś lojalnością nie śmieli na niego kląć.

Pomyślał, że rację miał stary Palnatoki, mówiąc, że powinien przypłynąć do Jom w dzień po śmierci ojca. Niech bogowie pozwolą, by ten dzień był rychły.

Tak, ponad rok temu pożegnał Palnatokiego, swego wychowawcę, tego, którego w sercu nazywał prawdziwym ojcem, i odpłynął z morskiej warowni, wiedząc, że wróci tam dopiero, gdy wydrze życie z piersi starego sukinsyna Haralda.

Stary zaszył się w Roskilde. Otoczył wartami, kordonem zbrojnych, którzy nie spali dzień i noc, strzegąc Sinozębego Byka. Sven siedział w Jutlandii, w pięknym dworzysku w Jelling.

Stąd nasz ród! — powtarzał sam sobie co wieczór przy miodzie. — Jesteśmy Skjoldungami z Jelling!

Siedziba jego dziada, Gorma, od lat niezamieszkana, nic nie straciła ze swej urody. Strzegły jej dwa wielkie kopce. Olbrzymie góry usypane nad stosami pogrzebowymi Gorma i jego żony, Tyry. Dalej dwa kamienie

runiczne. Pierwszy Gorm postawił dla swej żony. Drugi zaś… Ten przyprawiał Svena o napady złości. Wyrył w nim swe imię Harald, by cały świat pamiętał, że ochrzcił Danię. Jakby się było czym chwalić! I do tego postawił kościół. Mała, drewniana buda, w której od dawna nikt nie odprawiał mszy, ale strzegli jej królewscy ludzie, jakby kryła nie wiadomo jakie skarby. Sven był tam nieraz. Krzyż wyłożony srebrną blachą, parę cynowych kielichów, jakaś księga, nic więcej. Czegóż strzec? A mimo to drażnił go widok niewielkiej wieży z dzwonnicą. Drażnił aż do dnia, gdy odkrył, że to może być dobry początek. Wtedy znów udał się do kościoła, strażnicy go wpuścili, wystarczyło, że zostawił przed wejściem broń. Przy wyjściu go nie sprawdzano. Prosto stamtąd udał się do Karla Karła, najlepszego kowala w Jelling, i wydał mu dyspozycje.

A potem zaprosił wodzów na Jul. Tych, co zdobywali z nim Hedeby, i tych, o których wiedział, że mierzi ich życie pod rządami Haralda. Zaprosił nawet swą przyrodnią siostrę, Tyrę, imienniczkę babki, żony Gorma. Stosunki między nimi nie układały się najlepiej, ale w grze o tron dobrze jest mieć wszystkie piony przy sobie. Nie oszczędzał na przygotowaniach! Odnowił dwór w Jelling, ławy wielkiej halli kazał przykryć świeżymi skórami renów, służba wyszorowała przykopcone tarcze wiszące wzdłuż ścian i wypolerowała starą broń zdobiącą szczyt halli. Przez wiele dni na podwórcu słychać było pisk duszonych gęsi, ryk zarzynanych na ucztę baranów i wieprzów, słodki turkot toczonych do piwnic beczek z miodem.

Sam przygotował się równie dobrze. Mała Siggi umyła jego długie, rude włosy. Kalle przystrzygł mu brodę. Włożył na siebie wełnianą tunikę w odcieniu żywej krwi i płaszcz podbity futrem polarnych wilków. Czerwień i biel to dobry początek. Jego nadgarstki zdobiły srebrne obręcze, a szyję Ten, Który Miażdży, Mjolnir, święty młot boga Thora. Nie wykuły

go pradawne karły, jak w starych pieśniach, ale Karli Karzeł, kowal z Jelling. Karli okuł też pas, którym na przyjęcie gości przepasał się Sven, i żelaznymi płytkami pokrył jego rękawice. Gdy wyszedł witać gości, przy jego boku stanęła wystrojona Mojmira, córka obodryckiego wodza, którą zaślubić polecił mu jego dziad. Sven wziął dziewczynę do siebie i zapłacił jej ojcu wiano, ale wciąż nie zdecydował, czy Mojmira będzie jego żoną. Była urodziwa, prawda, lecz miał kilka niewolnic o wiele od niej piękniejszych, a mniej kosztownych. Poza tym, wstrzymały go wieści, że Mściwoja dopadł dziki obłęd. Tak więc trzymał Mojmirę jako swą narzeczoną, ale wciąż nie był pewien, czy opłaca się z nią wiązać losy. Obodryci byli wrażliwi na punkcie cnoty swych cór, więc jej nie brał do łoża i pilnował, by czuła się zadbana.

Gdy wreszcie zasiedli w halli, powitał ich wszystkich, obecność każdego czcząc osobnym toastem. Tyry, swej przyrodniej siostry, choć w głębi duszy pomyślał, że jest chuda i ma zbyt długi nos, by uznać ją za piękną. Jarla Stenkila z Hobro, który trzymał w łapie dużo dobrych ziem na północ od Jelling. Uddorma z Viborga, szczura lądowego, którym nie wolno było gardzić, bo dzięki płodnym lędźwiom pół Jutlandii to byli jego bliżsi lub dalsi krewni. Ragnfrida zwanego Ragnem z Wysp, bo posiadał sto skalistych wysepek w cieśninach, i choć wiele z nich było tylko skałami zasranymi przez mewy, to każda mogła stać się kryjówką i przystanią w czasie morskiej wojny. Ragna witał więc szczególnie czule. Jarla Hakona z Fionii, Gunara z Limfiordu i swego sąsiada, Thorgilsa z Jelling, uczcił toastem podwójnym, bo to oni z nim odbijali Sasom Hedeby. O każdym z zaproszonych wiedział, że nie przyjął wiary. Pewny nie mógł być tylko Tyry, swej siostry. Zbyt wiele osobnych lat ich dzieliło.

Pierwszego dnia karmił ich i poił. Drugiego tak samo i dorzucił do tego swe dary. Trzeciego dnia Jula w dach dworzyska w Jelling uderzyła

gradowa burza.

— Grad jest najzimniejszym ziarnem! — krzyknął Sven, wznosząc toast z rogu, który mieścił w sobie niekończący się potok miodu. Wypił słodki, mocny haust i podał róg dalej.

— Po lodzie głos niesie gładko! — dopowiedział Thorgils z Jelling i podał Gunarowi.

— Renifer biegnie po twardym śniegu! — przepił pan Limfiordu do Hakona z Fionii.

— Potężny jest chwyt jastrzębia! — krzyknął wywołany.

— Nadzy zamarzają na lodzie. — Ragn z Wysp napił się ponuro i oddał róg Uddormowi.

— Szczęście, które niesie Loki, jest złudne — oznajmił szczur lądowy.

— Złoto jest kosztowną ozdobą! — wyrecytował Stenkil z Hobro.

Róg dotarł do siedzącej obok niego siostry.

— Jeśli palisz ogień, spodziewaj się, że dym cię osmali — powiedziała i upiła łyk z rogu.

Suka — pomyślał o niej, ale podziękował z uśmiechem za toast.

— Skoro moja siostra wywołała ogień, zapraszam was na palenie!

— Kłody płoną na podwórcu, odkąd przybyliśmy — ospale zaprotestował Uddorm. Wyraźnie nie miał ochoty ruszać się zza stołu.

— Kłody płoną w każdy zwykły Jul, Uddormie z Viborga. Ja zaprosiłem swych gości na Jul nadzwyczajny! Chodźcie! Miód pójdzie za nami. Służba! — Klasnął w dłonie i dziewczęta okutane w płaszcze pokazały schowane pod nimi dzbany. — Chodźcie!

Korowodem wyprowadził ich na płaski plac, gdzie mieścił się kościół. Jego drużyna już przed ucztą wybiła strażników świątyni Chrysta, tak że nawet ich ciał nie było. Za to niewielka bryła kościoła otoczona została

wiązkami dobrze wysuszonej słomy. Jego służki polały gościom miodu do rogów. Wychylili kolejny toast, a Sven podłożył ogień.

— Przywróćmy czasy świetności Skjoldungów z Jelling! Koniec z obcą wiarą! Koniec z zimnym, umarłym Bogiem, któremu mój ojciec stawiał domy! Nadchodzi nowy czas!…

— Czas Svena! — Hakon wylał miód w płomienie, aż strzeliły iskry.

— Wodza, który nie przegrywa! — wrzasnął Gunar z Limfiordu.

— Svena, pod którego rządami będziemy walczyć i zdobywać! — Thorgils wypił i resztę wylał, karmiąc płomienie.

Powietrze rozdarł krzyk Tyry:

— Sven! Czerwonowłosy! Bracie, przerażasz mnie! Wyglądasz jak bóg Thor!

Sven odrzucił poły płaszcza na plecy i podszedł do niej.

— To cię przeraża, siostro? Thor był zwycięzcą. Nie bój się.

Dziewczyna trzymała się za głowę, jakby chciała zakryć uszy. Wiła się na wszystkie strony.

— Masz Mjolnira na piersi! Żelazem pokryte rękawice! Pas potrójny!

Zaśmiał się głośno.

— Krzyż, co stał w tym nędznym przybytku, kowal przekuł mi na Tego, Który Miażdży, młot Thora. Z żelaznych sztab, co strzegły komory do przechowywania kielicha, zrobił me rękawice. Ze skórzanej oprawy księgi pas, który noszę na biodrach. Spójrz, Tyro! Kościół płonie na chwałę starych bogów! Nie ma się czego bać.

Wszyscy wybuchli gromkim śmiechem, a Gunar zawołał:

— Miodu! Zdrowie Svena, boga naszej wojny!

Tyra pokręciła głową zamkniętą w węźle ramion i uciekła spod kościoła, potykając się.

— Kto słucha kobiet, kończy we mgle — oznajmił pijany Ragn z Wysp i spojrzał w snop iskier zdobiących płonący dach. — Svenie Haraldssonie! Masz moje miecze w walce z Sinozębym.

— I moje!

— Ruszajmy choćby dziś!

Wypłynęli tydzień później, gdy ich głowy opuścił zimny łomot. Wody Kattegatu były ścięte lekkim lodem, niczym tłuszcz na wychłodzonej potrawce jagnięcej. Wiosła cięły tę słabą skorupę jak nóż. Gdy dostali wiatr za cieśninami, łodzie skoczyły. W Roskilde nikt nie spodziewał się gości. Zwłaszcza zbrojnych. Pokonali trzy szeregi wart przy kilku ledwie krzykach. Położyli ochronę opinającą ciasną linią królewski dwór. Zastali Haralda przy uczcie. Jego goście byli bezbronni, bo do halli nikt nie wchodzi z mieczem. I Sven już stał z ojcem twarzą w twarz, gdy nagle z ław podnieśli się jego starzy druhowie.

— Wilczy gniew! — krzyknęli jednym głosem i w tej samej chwili przypomniał sobie, że berserkowie są równie groźni z bronią, jak i bez.

Błysnęły malowane kły i wielkie cielska najbliższych towarzyszy Haralda zamknęły mu drogę do ojca. Ciął pierwszego z nich przez bark ciosem, który powinien zabić. Ale brodaty wielkolud tylko się otrząsnął. Spod skórzanego kaftana nie wypłynęła kropla krwi. Ryknął i wyciągnął przed siebie ramiona jak szpony. Drasnął Svena w czoło. Poczuł, jak oczy zalewa mu krew. Drugi cios był niczym ukąszenie węża. Oplótł go w pasie i szarpnął przez żebra. Sven, uciekając przed jadem, rzucił się przed siebie na oślep. I lecąc pod ramieniem berserka, ostrzem miecza drasnął ojca w pierś. Harald zawył i chwycił się za serce. Spod palców popłynęła krew.

Więc to tak? — przemknęło przez głowę Svena. — Tak normalnie zabija się ojców? Jak wrogów?

Harald bladł, wyszczerzył sine zęby; kiedyś to były dumne, malowane kły. Zachwiał się. Sven zobaczył, że jego ojciec jest siwy i obrzęknięty jak starzec. Chciał mu coś powiedzieć, ale usłyszał jęk Stenkila. I wycie Ragna z Wysp. Błyskawicznie się odwrócił i zobaczył obu, wijących się na podłodze. Ta chwila wystarczyła berserkom ojca, by wynieśli swego krwawiącego króla z halli.

— Za nimi! — krzyknął do swoich ludzi Sven. — Gońmy ich, nawet jeśli to bestie, nie pozwólmy im uciec!

Wypadli przed dwór i zobaczyli tylko biały śnieżny pył, który zasłaniał drogę ucieczki jeźdźców i koni.

— Panie! — Jego ramienia uczepiła się Adla, służka, którą opłacał. — Król ma tajemną przystań w zagajniku na północ! Spodziewał się ciebie od wielu dni, zdążył ją wybudować. Szukaj przy ostrej jak włócznia skale!

— Na przystań! — wrzasnął Sven.

Ale nie jechali do ostrej skały, bo na nic im była przystań bez własnych łodzi. Wsiedli na nie i na wiosłach wypłynęli na wody Roskildefiordu. Wiatr i woda nie były żywiołem ludzi bestii. Sven szybko wypatrzył żagiel ojca na północy.

— Za nimi! — zawołał do wioślarzy i sam złapał ster. Nie lubił żeglugi w płytkiej wodzie, pomiędzy wyspami, ale póki nie wypłyną na szerokie wody, nie miał wyboru. Ścigał zwierzynę i nade wszystko nie chciał pozwolić jej uciec.

Nad ranem w żagle wreszcie uderzył zimny powiew znad Kattegatu.

— Kurs na wschód! — krzyknął, bo choć w gęstej jak mleko mgle nie widział żagla Haralda, znał tylko jedno miejsce, w którym jego ojciec chciałby się teraz skryć.

BOLESŁAW wiózł zamknięte w dębowej trumnie zabalsamowane ciało Karoldy. Towarzyszył mu orszak jego drużynników i niewielka liczba

obozowej służby. Gdyby nie spowalniający ich podróż wóz z trumną, wyglądaliby jak oddział bojowy. Pokonali Bramę Morawską dość sprawnie, w końcu tą drogą od setek lat z południa na północ szły kupieckie karawany. Gdy tylko wkroczyli na tereny Madziarów, naprzeciw nim wyjechał oddział księcia Gejzy pod wodzą jednego z jego synów, Honty.

Lajos, węgierski przewodnik Bolesława, szepnął księciu:

— Boleszláv fejedelem, Gejza wysłał młodszego syna. Znak, że zły.

Moja w tym głowa — pomyślał Bolesław — żeby tę złość odwrócić.

Zdawał sobie sprawę, iż nie będzie łatwo. Jego zmarła żona była młodszą siostrą Sarolty, żony księcia Gejzy, która niczym matka opiekowała się Karoldą przed wyjściem za mąż. Ponoć na wieść o śmierci Karoldy wybuchła płaczem tak wielkim, że nie można jej było uspokoić. Krzyczała, że nie daruje; przypominała, iż była przeciwna małżeństwu siostry z Bolesławem, i domagała się, żeby na jej dwór odesłano syna Karoldy, Bezpryma.

„Dziewczyna zmarła nie w porę — powiedział na wieść o tym Mieszko, nie przestając karmić swego jastrzębia mięsem. — Przyjaźń Madziarów jest nam teraz potrzebna jak nigdy wcześniej”. Ojciec miał na myśli Morawy. Po opanowaniu Śląska to był kolejny cel jego ekspansji. Następne z zadań, które wyznaczył Bolesławowi.

Młody Honta nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Był niewysoki i krępy; gęste, ciemne włosy przytrzymywała mu skórzana opaska nabijana srebrem. Skinął głową Bolesławowi i pozdrowił go, unosząc dłoń w rękawicy.

— Przywożę szczątki ukochanej żony, mojej i waszej pani, Karoldy — powiedział Bolesław.

— Księżna Sarolta czeka na siostrę w — odrzekł Honta, gdy ruszyli dalej.

— A książę Gejza? — spytał Bolesław.

— Może będzie, a może nie — tajemniczo odpowiedział Honta, a przetłumaczył Lajos.

Grają — pomyślał Bolesław. — Sprawdzają moją cierpliwość.

Przez szeroki nurt Dunaju przeprawiali się na barkach. Bolesław zsiadł z konia i stał przy trumnie Karoldy. Barką bujało na obie strony. Zarad zbliżył się do niego i powiedział:

— Wielka rzeka.

— Uhm — potwierdził Bolesław, mrużąc oczy przed słońcem.

— Szukasz brodów? — szepnął druh. — To najdziwniejsza wyprawa zwiadowcza, w jakiej biorę udział.

— Odprowadzam zmarłą żonę — twardo zaprzeczył Bolesław i pogładził wieko spoczywającej na wozie trumny.

Przyjaciele od początku aż po kres dni Karoldy nigdy nie zrozumieli jego miłości do niej.

To dlatego, że ona prawdziwą twarz pokazywała tylko w łożu, gdy byliśmy sami. Albo kiedy jeździliśmy konno we dwoje — pomyślał. — Moja piękna, dzika wojowniczka.

Przewoźnicy drągami wymacali dno. Na przeciwległym brzegu już czekali ich pomocnicy. Rzucono liny i podciągnięto barkę do łagodnego, piaszczystego zejścia. Drużynnicy ostrożnie wyprowadzali konie na brzeg. Bolesław osobiście pilnował zjazdu wozu z trumną żony. Gdy wreszcie cały orszak stanął na drugim brzegu Dunaju, Honta powiedział:

— Dwa dni i staniemy w Veszprém. W drogę!

Węgierscy jeźdźcy Honty fascynowali Bolesława. Nie spuszczał ich z oka. Sam jeździł konno, odkąd skończył pięć lat; mówiono o nim, że trzyma się w siodle jak koczownik, ale dopiero patrząc na jazdę młodego węgierskiego księcia i jego podkomendnych, zrozumiał, że w żyłach

Madziarów wciąż płynie krew stepowych jeźdźców, którzy przed dziesiątkami lat przybyli na swych wytrzymałych, niedużych koniach z nadwołżańskich stepów. Karolda była taka sama. Dusiła się w poznańskim palatium. Źle znosiła uczty z księżną Odą i ojcem Janem; podczas dworskich uroczystości nudziła się i sprawiała wrażenie nieobecnej, ale wystarczyło, że wsiadała na koń i stawała się sobą. Jej oczy lśniły wtedy, a ciemnoczerwone, pełne usta rozciągały się w uśmiechu. Czy gdyby nie wyjechał z ojcem na wyprawę połabską w czasie, kiedy rodziła ich syna, żyłaby dzisiaj? Zadawał sobie to pytanie po wielekroć i nie znał odpowiedzi. Nim wyruszył z Mieszkiem, każdego ranka po wspólnej gorącej nocy miał nadzieję, że nastanie właśnie ten dzień. Dzień, kiedy im się uda. Gdy Karolda się przełamie i zacznie uczyć języka, przestanie uciekać od życia dworu, życia, jakie musi wieść księżna i żona. Ale ten dzień nie nadchodził, a ich noce wciąż były jedynym wyznacznikiem miłości. Jedynym punktem wspólnym między węgierską księżniczką a polańskim księciem.

Drugiego dnia jazdy krajobraz zmienił się z zielonych, żyznych nizin w łagodny płaskowyż. Książę Honta wciąż był tak samo małomówny jak wcześniej, ale Lajos, węgierski przewodnik Bolesława, na popasie mówił, że jeszcze przed zmrokiem staną w Veszprém.

— Słyszysz, Karoldo? — powiedział książę, stając przy trumnie. — Już niedługo potrwa nasza podróż.

Złowił niespokojne spojrzenie Zarada i chmurne młodego Honty. Ruszyli dalej; węgierscy jeźdźcy nie potrzebowali długich popasów.

Szeroki trakt wiódł pomiędzy łagodnymi wzniesieniami. Wtem, całkiem nieoczekiwanie naprzeciw nich wyrosła góra, jakby to był koniec drogi. Wydawała się czymś tak dziwnym w tym miejscu, że powstała chyba nie

z natury, a z woli jakiegoś szalonego olbrzyma, który po prostu umieścił ją na środku traktu.

— To — powiedział Lajos. — Kiedyś wokół tej góry było koczowisko Jutasa, czwartego z kolei syna Arpada, a na jej szczycie obozował sam wódz. Po Jutasie władał tymi ziemiami jego syn, Fajsz. Ale gdy Madziarowie ponieśli wielką klęskę nad rzeką Lech, ród Fajsza uznano za winny porażki i odsunięto od władzy. Potem książę Gejza podarował swej żonie, pani Sarolcie.

— Gejza jednoczył ziemie, które Arpad rozdzielił między synów? — spytał Bolesław.

— Tak, książę — potwierdził Lajos.

Podjazd naprawdę był stromy; konie drużynników Honty radziły sobie z nim świetnie, ale ich wierzchowce stąpały nieufnie. Bolesław bał się, że trumna Karoldy zsunie się z wozu. Zeskoczył z siodła i szedł przy wozie, pilnując jej. Raz po raz koła niebezpiecznie podskakiwały na kamieniach. Po chwili dołączył do niego Zarad i na ostatnim, najtrudniejszym odcinku obaj niemal pchali wóz pod górę.

— Ciężko byłoby zdobyć — wysapał jego druh, gdy wreszcie stanęli na szczycie.

— Ani wały, ani mury nie obronią tego miejsca lepiej niż ten podjazd — rzucił Bolesław, ocierając pot z czoła i rozglądając się wokół.

Na płaskim szczycie rozciągało się coś, co było stanem pośrednim między dawnym książęcym koczowiskiem a osadą. Otaczał ją sięgający Bolesławowi ledwie do pasa murek ułożony z kamieni takich samych, jakich pełno było w okolicy. Wjechali przez bramę osadzoną nie w murze, bo ten był zbyt niski, ale w potężnej drewnianej ramie.

Jurty na obrzeżach były małe i skromne, pokryte końską skórą. Pomiędzy namiotami pasły się konie, biegały dzieci. W starannie ułożonych

kamiennych paleniskach kobiety gotowały strawę. Gdzieniegdzie suszyły się pęki grubych traw, takich, z których tutejsi wyplatają kosze. Mimo pierwszego, chaotycznego wrażenia koczowisko było uporządkowane, podzielone na kwartały czymś w rodzaju przecinających się pod kątem prostym uliczek.

Honta dał znak, by podążali za nim. Bolesław nie wsiadł na konia, szedł za wozem i trumną Karoldy. Weszli pomiędzy namioty należące do książęcej drużyny. Przy wejściu do każdego z nich na kozłach ułożone były lekkie madziarskie siodła, niezwykle bogato zdobione. Koni było mniej, jeden, góra dwa na namiot; reszta, jak wyjaśnił Lajos, pasła się na drugim zboczu, a te trzymano pod ręką w razie nagłych wypadków. Wyraźnie dało się oddzielić kwatery poszczególnych drużyn; różniły się między sobą barwami namiotów, siodeł i proporców.

— Czerwono-żółte są drużyny księcia Gejzy — powiedział Lajos, gdy wolno przemieszczali się pomiędzy namiotami. — Niebieskie należą do księżnej Sarolty. Tu niebieskich więcej, bo znajdujemy się w Veszprém, które należy do pani.

Wreszcie wyszli na plac pośrodku koczowiska. Skupiło się tam kilka niedużych, płaskich budynków z bali na podmurówce z miejscowego kamienia. Jeden z nich mógł być niewielkim, okrągłym kościołem, bo spadzisty dach znaczony był równoramiennym krzyżem. Za tą rotundą stały trzy olbrzymie jurty, obleczone barwną, malowaną tkaniną z książęcym znakiem przy wejściu: czarnym, stojącym na proporcu ptakiem. Dwie z nich miały drewniane, misternie rzeźbione drzwi, a centralna otwarte wejście.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Lajos, zeskakując z konia. — Ta jurta z niebieskim proporcem należy do księżnej, tamta do księcia Gejzy. Środkowa zaś jest miejscem przyjęć gości, uczt i spotkań wodzów.

Na placu zaroiło się od służby i ciekawskich, którzy zbijając się w grupki, pokazywali to na wóz z trumną, to na Bolesława. Honta, nie oglądając się na niego, zniknął we wnętrzu jurty księżnej i nie wychodził długo.

Bolesław znów pomyślał, że celowo wystawiają jego cierpliwość na próbę, ale przebył tak daleką drogę, że nie miał już nic do stracenia. Wreszcie drzwi jurty księcia Gejzy się otworzyły i stanął w nich niewysoki, ale barczysty mężczyzna o krzywych nogach jeźdźca, który większość życia spędził w siodle. Ubrany był w spodnie z miękkiej skóry, wysokie buty do konnej jazdy i skórzany kaftan, na który narzucony miał bogato zdobiony płaszcz. Jego ogorzałą twarz pokrywała długa, ciemna broda. Siwiejące włosy miał puszczone luźno na plecy, a jedynie przy twarzy zebrane w dwa warkocze. Za nim stał chłopak, mężczyzna właściwie, nieco tylko młodszy od Bolesława.

— Książę Gejza i jego najstarszy syn, książę Wajk — powiedział Lajos.

Przyglądali się sobie bez cienia uśmiechu. Wtedy otworzyły się drzwi jurty księżnej i wyszedł przez nie Honta, a za nim kobieta. Była w trudnym do określenia wieku, na pewno miała więcej niż trzydzieści lat, ale ile, nie umiałby orzec. Ciemne włosy księżnej uczesano w kilka warkoczy, w każdy z nich wplatając ozdoby. Na głowie miała spiczastą czapkę bogato wyszywaną srebrną nicią i obramowaną futrem; spod jej otoka, po obu stronach twarzy księżnej, na złotych łańcuszkach zwieszały się szlachetne kamienie ujęte w złote koszyczki.

— Księżna Sarolta — powiedział Lajos, choć dla Bolesława jasne było, iż nie może to być nikt inny.

Podobieństwo do jego zmarłej żony było uderzające. Te same, lekko skośne, ciemne oczy. Wystające kości policzkowe pokryte rumieńcem. Biała skóra i smoliste włosy. Zacięte usta.

Czy tak wyglądałaby za kilkanaście lat moja Karolda, gdyby nie uparła się umrzeć? — pomyślał.

— Boleszláv fejedelem — przedstawił go Lajos. Fejedelem, książę.

Bolesław skinął głową Gejzie, jego synowi, a potem księżnej. Odpowiedzieli mu zdawkowym ukłonem i nic. Cisza i wpatrywanie się w siebie. Wreszcie Sarolta jakby dostrzegła wóz i trumnę; podbiegła do niej, wykrzykując coś głośno.

— Pani mówi: „Moja maleńka dziewczynka, moja kochana, moja biedna” — przetłumaczył Lajos.

Sarolta biegała wokół wozu, szlochając, gładząc wieko trumny i nie przestając mówić.

— Pani mówi: „Na co ci przyszło, moja maleńka. Gdzie twój syn, nasz syn?”. I jeszcze… — Lajos się zawahał, wsłuchując w słowotok szlochającej Sarolty. — „Musimy wyprawić ci pogrzeb… góra ognia… wielki stos”.

Chryste! — pomyślał Bolesław. — Czy będą wyciągać jej ciało z trumny? Zostało zabalsamowane, ale nie mam pojęcia, w jakim stanie przetrwało tę długą podróż.

Zachował kamienną, nieporuszoną twarz. Sarolta uspokoiła się wreszcie i wydała polecenia swej służbie.

— Tak — potwierdził Lajos. — Księżna chce, by przygotowano stos pogrzebowy. Ale nie twą panią będą palić, tylko tradycyjne dary.

Bolesław odetchnął z ulgą. Książę Gejza zapytał go donośnym głosem, a Lajos przetłumaczył:

— Po co przybywasz, Boleszláv fejedelem?

— Oddać doczesne szczątki mej umiłowanej żony, Karoldy, jej bliskim krewnym. Oddać ją ziemi przodków — odpowiedział Bolesław.

Książę zamienił kilka zdań z księżną i synami, po czym Lajos przetłumaczył:

— Ty i twoja drużyna dostaniecie własną jurtę na tyłach ich jurt. Tam możecie odpocząć po podróży. O zmroku rozpoczną się uroczystości pogrzebowe, a po nich uczta, na którą jesteście zaproszeni.

— I żadnych zwyczajowych „witajcie, najdrożsi goście, wielki to zaszczyt”? — zrzędził Zarad, gdy chwilę później wchodzili do przydzielonej sobie jurty. — Człowiek dupę sobie odbił w siodle, tachał trumnę setki mil przez góry i rzeki, a ich stać tylko na tyle?

— Nie człowiek tachał trumnę, tylko konie — usadził go Bolesław. — Miej szacunek dla innych kultur.

— Nie wiem, co to za kultura, gdzie książęca para mieszka w namiotach — żachnął się przyjaciel, ale gdy obejrzeli jurtę dokładnie, zmienił zdanie. — Wygodne łóżka — przyznał, kładąc się na zaścielonym barwnym kocem łożu. — Niczego sobie.

— Księżna ma plany wybudowania w wielkiego grodu — tłumaczył Lajos. — Tyle że jej pan mąż wciąż zajęty to taką, to inną wojną i czasu jeszcze nie mieli, a jak widzieliście, budowa na tej górze to skomplikowana sprawa. W jurtach mieszkają, gdy są w podróży, ale mają piękne książęce siedziby w Esztergomie i Białogrodzie.

— Powiedz mi, Lajos, jak będzie wyglądał pogrzeb mej żony? — zaniepokoił się Bolesław.

— No, tak dokładnie to nie wiem. — Madziar rozłożył ramiona i zniknął.

Bolesław wietrzył kłopoty. Książę Gejza przyjął chrzest wraz z braćmi i wodzami madziarskich plemion, ale Sarolta, nim jeszcze wyszła za niego, przyjęła wiarę w rycie wschodnim. Co więcej, już gdy Bolesław brał za żonę Karoldę, mówiło się, iż tutejsze chrześcijaństwo jest mieszaniną wpływów Wschodu i Zachodu, z przewagą rodzimych, koczowniczych

kultów. Tak więc Węgry, kraj ledwie ochrzczonych i ledwie osiadłych koczowników, gdzie główne zasady wiary znali tylko członkowie książęcych rodów, kraj właściwie pozbawiony duchowieństwa, mógł stać się siedliskiem najdziwniejszego kultu, gdzie krzyż i końska czaszka walczyły o równe prawa.

Cokolwiek się zdarzy, przyjmę to — pomyślał, gdy o zmierzchu Lajos wrócił, by poprowadzić go na uroczystości. Bolesław się przebrał. Nie zastanawiając się nad tym, w czym wystąpią koczownicy, założył złotą tunikę, a ramiona okrył ciemnogranatowym płaszczem. Na skronie włożył swój książęcy diadem ze złotym orłem strzegącym jego czoła.

— Broń musisz zostawić, książę — przestrzegł go Lajos, więc Bolesław odpiął miecz.

W cholewie wysokiego buta miał sztylet, podobnie jak każdy z jego drużynników. Nie wyszedłby zupełnie nieuzbrojony do tych, jak wciąż czuł, wrogich mu ludzi.

Trumnę Karoldy przeniesiono do rotundy i ustawiono przed niskim ołtarzem. Lajos zdążył mu wyjawić, iż ten niewielki kościół ufundowała księżna i obdarzyła wezwaniem świętego Jerzego. Sarolta, Gejza i dwaj ich synowie, Wajk i Honta, stali już przy trumnie. Gdy Bolesław wszedł do środka, zrobili mu miejsce między sobą. Zjawił się nawet kapłan, który odprawił krótką mszę, mieszając grekę z łaciną. Bolesław udawał, że nie zauważa dziwacznej liturgii.

Po mszy madziarscy jeźdźcy w barwach księżnej weszli do kościoła i otworzyli zbite z desek drzwiczki w kamiennej ścianie rotundy. Tam wsunęli trumnę Karoldy. Sarolta wstrzymała ich, gdy chcieli zamknąć ją w ścianie. Wsunęła oba ramiona we wnękę i żegnała się z siostrą, zawodząc cicho. Gdy się odsunęła, do trumny podszedł Bolesław. Dotknął jej, uklęknął i wstał. Wojowie zamknęli jego żonę w kościelnej ścianie.

Ksiądz gdzieś zniknął, książę Gejza pierwszy wyszedł z rotundy, za nim synowie i księżna. Bolesław pospieszył za nimi. Gdy stanął na placu przed kościołem, musiał zmrużyć oczy. Po półmroku panującym wewnątrz blask, jaki bił od wielkiego ognia, wydawał się niemal nieznośny. Gdy wchodził do rotundy, widział wysoki stos ustawiony z boku. Nie spodziewał się, iż zostanie podpalony w czasie nabożeństwa. Książęca rodzina zgromadziła się wokół ognia, robiąc dla niego miejsce. Sarolta uniosła dłonie, a służki zdjęły jej z palców pierścienie. Księżna powiedziała coś rzewnym głosem i dziewczęta wrzuciły pierścienie do ognia. Sarolta spojrzała na niego wilgotnymi, smutnymi oczami. Domyślił się, iż oczekuje, że i on coś złoży żonie w darze. Zdjął z ramion płaszcz. Złożył go starannie i nie lękając się strzelających na boki płomieni, położył na stosie ostrożnie, by nie przytłumić ognia. Rozległa się muzyka. Trzech jaskrawo ubranych grajków, kucając, uderzało w struny cymbałów. Muzyka była dzika, coraz szybsza. Służki Sarolty wirowały wokół stosu, a ich długie warkocze ścigały się z płomieniami. Dziewczęta tańczyły, pokrzykując; każda z nich trzymała w rękach gliniane naczynie. Kończąc taniec, stawiały je u stóp stosu. Nagle nieopodal zapłonęły kolejne ogniska. Nie tak wielkie jak ten stos, zwykłe, małe. Jak spod ziemi pojawili się jeźdźcy i konno jeden za drugim skakali przez ognie, strzelając z długich batów.

— Nie obraź się, książę — szepnął mu do ucha Zarad — ale wolę ognie w noc kupały.

Bolesław nie odpowiedział, patrzył. Służące zdjęły księżnej Sarolcie płaszcz z ramion i ona sama puściła się w wirujący taniec wokół dopalającego się stosu. Raz po raz unosiła ramiona do twarzy i zakrywając ją, kłaniała się, nie przestając tańczyć. Zawodziła przy tym melodyjnie. Bolesław przyzwał Lajosa.

— „Moja maleńka, jedź konno, pędź, niech twe włosy rozwiewa anielski wiatr, niech Matka Boska przyjmie cię w swe ramiona”… — tłumaczył Madziar to, co zrozumiał.

— A Matka Boska też ma być konno? — dopytywał złośliwie Zarad.

Wreszcie gdy stos ledwie się tlił, książę Gejza dał znak, że prosi na ucztę. Ruszyli do środkowej jurty. Tam ogień płonął w żelaznym koszu pośrodku, dzięki czemu dym swobodnie uchodził na zewnątrz otworem u samej góry jurty. Pod jej okrągłymi ścianami ustawiono niskie siedziska wysłane końskimi skórami, kocami i zaścielone materią. Poproszono go na honorowe miejsce, między Saroltą a Gejzą. Obaj synowie spoczęli po bokach rodziców. Lajos, jako tłumacz, zajął miejsce za plecami Bolesława. Nim uczta się zaczęła, zdążył szepnąć:

— Dobre miejsce, lepszego nie ma.

Służba zaczęła wnosić tace z jedzeniem, najpierw podchodząc do Gejzy, który palcami wybrał sobie kawałki mięsa i nałożył na swoją miskę. Potem podali Sarolcie, a ta wybrawszy największy kawałek, położyła go na talerzu Bolesława. Zrozumiał gest i podziękował księżnej. Wniesiono dzbany wina i polano im do kosztownych kubków. Gejza wzniósł toast.

— Za naszego drogiego gościa Boleszláva! — przetłumaczył Lajos.

Wino było mocne, gęste.

— Można je ugryźć! — Gejza po raz pierwszy się zaśmiał.

— Jak zmarła moja maleńka? — zapytała przez Lajosa księżna, upijając łyk wina.

Opowiedział jej o trudnym porodzie, o apatii i szaleństwie, jakie nawiedzało Karoldę potem. O jej powolnym schnięciu i niezaleczonych porodowych ranach.

Sarolta słuchała słów Bolesława, nim zaczął tłumaczyć je Lajos. Była tak podobna do siostry. Karolda nie chciała się uczyć języka, ale uwielbiała

wsłuchiwać się w barwę głosu. Gdy się kochali i wykrzykiwał jej miłosne wyznania, potrafiła je później odtworzyć ze słuchu. Nigdy nie był pewien, czy go rozumiała.

— Pani pyta o dziecko. Dlaczego nie przywiozłeś jej Bezpryma — powtórzył za Saroltą Lajos.

— Powiedz, że moja żona odrzuciła syna, nie chciała go karmić.

— Pani nadal pyta, czemu go nie przywiozłeś.

Miałem wieźć niemowlę i zastęp mamek przez góry?! — Bolesław wściekł się w duchu, ale odpowiedział spokojnie:

— To mój syn pierworodny. Mały Piast. Dzieci należą do dynastii.

Przez chwilę hałaśliwie komentowali jego słowa. Lajos nic nie tłumaczył. W końcu przełożył słowa księcia Gejzy.

— Nikt nie zadaje sobie trudu, by odwozić zmarłe kobiety, nawet jeśli to księżniczki. Chcą wiedzieć, dlaczego ty, książę, pokonałeś tak trudną drogę.

— Powiedz im, że moja żona urodziła się Madziarką i zmarła Madziarką. Uznałem, iż jej dusza, by zaznać spokoju, musi spocząć w rodzimej ziemi.

Gdy Lajos przełożył jego słowa, zapadła cisza. A potem księżna Sarolta wstała, pochyliła się nad nim i ująwszy jego twarz w dłonie, pocałowała go w czoło. Potem szepnęła mu coś na ucho, co brzmiało jak „łania”. Zapamiętał to słowo.

— Książę i księżna dziękują ci za trud i doceniają to, co uczyniłeś dla księżniczki Karoldy. Książę Gejza uznaje, że mimo utraty księżniczki między waszymi krajami wciąż panuje pokój.

Uczta trwała. Czerwone, gęste wino lało się strumieniami. Gdy opuszczał gościnną jurtę o świcie, miał gwarancje księcia Gejzy i jego następcy, księcia Wajka, że Madziarzy nie mają nic przeciwko planowanej przez Piastów wyprawie na Morawy. Cel został osiągnięty. Wyszedł na chłodne powietrze i przywołał Lajosa.

— Wielki sukces — powiedział Madziar. — Młody Honta trzy razy opowiadał, jak książę dbał o nieboszczkę w podróży. Jak na barce jej pilnował, żeby do wody nie spadła. U nas utopiony to gorzej niż zmarły. Dobrze, żeś to wiedział, książę!

Nie wiedziałem — pomyślał i spytał Lajosa:

— Co znaczy „łania”?

— Łania? To samica…

— Nie. Po co księżna by szeptała o samicy?

— A może mówiła „lánya”? — spytał Lajos. — Bo lánya znaczy „córka”.

Córka. — Bolesław się zamyślił. — Karolda była tyle młodsza od Sarolty. A jeśli w istocie nie była jej siostrą, tylko córką? Dlaczego by to przed nami ukryli? Chyba że nie była dzieckiem Gejzy, lecz przedmałżeńską tajemnicą Sarolty, która ukryła istnienie córki pod postacią siostry?

Jakiekolwiek było rozwiązanie zagadki, nie powinien dzisiaj o to pytać, bo może zaburzyć z takim trudem wypracowany sojusz. Gdy szedł do swej jurty, zobaczył służbę krzątającą się przy wypalonym stosie. Dziewczęta wybierały z jego szczątków stopione ozdoby i wraz ze zgarniętym popiołem wsypywały małymi łopatkami do glinianych, kolorowych garnków. Potem pokłoniły się resztkom zgliszczy i ruszyły do kościoła. Poszedł za nimi, stanął w drzwiach i patrzył, jak odsuwają drewniane zamknięcie w ścianie i wstawiają garnki obok trumny. Wychodząc, minęły go i pozdrowiły z uśmiechem.

— Boleszláv fejedelem!

Dwa dni później drużyna madziarskich jeźdźców księżnej Sarolty i druga, księcia Gejzy, pod dowództwem jego syna, Wajka, odprowadzała

Bolesława z Veszprém. Gdy zjechali ze zbocza góry, obejrzał się i zamknął w oku jego charakterystyczną, ostrą grań.

Opowiem o tym miejscu Bezprymowi, gdy dorośnie — pomyślał. — I o matce, mojej dzikiej, madziarskiej księżniczce, która dała mi tyle namiętności. I która żyła gwałtownie, ogniście i krótko, wypalając się niczym stos.

ASTRYDA miała wiele powodów, by swego małżeństwa z jarlem Sigvaldem nie nazywać zwykłym stadłem. Po pierwsze, nie mieszkali razem. Prawo jomswikingów zabraniało kobietom wstępu do twierdzy. To nieprawda, że w niej nie była. Sigvald, gdy tylko został głównym jarlem Jomsborga, ogłosił, że jego żona i córka wielkiego księcia Mieszka to ktoś więcej niż kobieta. Zabrał ją do Jom i urządził na jej cześć ucztę przy pięćdziesięciu płonących pochodniach. Widziała, że to nie w smak wojownikom, ale żaden z nich nie śmiał sprzeciwić się Sigvaldowi. Postanowiła jednak poskramiać apetyt męża, gdy ten chciał zapraszać ją do twierdzy częściej.

Dalwin dał jej w prezencie ślubnym swój woliński dwór, a sam przeniósł się do nowego, mniejszego domu. „Z Jom do Wolina jest tak blisko — powiedziała Sigvaldowi — że jeśli przypłyniesz, by zjeść ze mną wieczerzę, po północy możesz z powrotem być w twierdzy”.

Życzeniem Mieszka było, by Sigvald był wodzem, a jej mąż nie zawsze potrafił postępować jak wódz. Czasami wydawało się Astrydzie, że zbyt wielkie nadzieje pokłada w swym teściu. Jakby nie rozumiał, że Mieszko pomógł mu raz, wtedy, gdy Sigvald był przegrany i o krok od tego, by towarzysze nazwali go tchórzem. Strata honoru oznaczałaby dla niego śmierć. Mieszko, dając rękę swej córki, przywrócił mu cześć, lecz w zamian wymagał wiele. Astryda, czy jej się to podobało, czy nie, była częścią i jednocześnie strażniczką układu. Pamiętając, jak daleko sięgają

plany księcia, zaczęła od wprowadzenia do Jomsborga najbliższego z towarzyszy Olava, Geivara, który przypłynął z nim z Rusi.

— W czasie bitwy z Hakonem zginął Gruby Bue, wódz jednego z domów. Uczyń Geivara wodzem — poradziła mężowi.

— Niby dlaczego? — Sigvald przekrzywił głowę, a jego długie, ciemne włosy spłynęły mu po plecach. Gdyby z ręką na sercu miała powiedzieć, co w jej mężu jest piękne, wskazałaby jego włosy.

— To świetny żeglarz, zna Gardarike jak żaden z was, a kto wie, dokąd zaprowadzi jomswikingów przyszłość?

— Może być jednym z nas — Sigvald wzruszył ramionami — ale to jeszcze nie powód, żeby był wodzem.

A czymże tyś się zasłużył, słodziutki? — pomyślała złośliwie, a na głos powiedziała:

— Potrzebujesz w radzie wodzów nowej krwi. Kogoś, kogo nic nie łączy z królem Haraldem. Wystarczy czy mam mówić jaśniej?

Roześmiał się i wyciągnął rękę, by jej dotknąć. Wymknęła mu się.

— Pięknie się złościsz, Astrydo.

— Nawet jeśli bardziej podobam ci się w złości, nie szukaj powodów, by mnie rozwścieczać, mężu.

— Bo co? — Pokręcił głową, prowokując ją dalej. — Pójdziesz na skargę do ojca? Jego tu nie ma. Ach, a może wezwiesz starego Dalwina? Powiesz mu: „Dziadku, mój mąż mnie złości”?

— Nie — syknęła do niego. — Wystarczy, że opowiem twoim towarzyszom o naszej nocy poślubnej.

— Nie powiesz, że ci się nie podobało! Jęczałaś jak kotka w rui! — zaśmiał jej się w twarz.

— Zachwycałam się twoją skórą, Sigvaldzie! — odparowała mu. — Nigdy nie spodziewałam się, że wojownik, który ledwie umknął śmierci

w czasie przerażającej bitwy, może mieć tak gładką i jedwabistą skórę. Bez śladu zadrapań i ran.

— Milcz! — wrzasnął, a wyraz jego oczu stał się niebezpieczny.

— Bo co? — powiedziała tak samo jak on chwilę wcześniej. — Pójdziesz na skargę do jomswikingów?

Miała go w potrzasku. Trzymała jego honor w garści. Ale wiedziała, że igra z ogniem, bo nawet jeśli z tamtej bitwy Sigvald zbiegł, to wciąż jest niebezpieczny.

— Przyjmę do bractwa Olava Tryggvasona, nie Geivara — powiedział twardo.

— Przeznaczeniem Tryggvasona jest odzyskać tron — odparła.

— Zaproś swoją siostrę i jej męża. Spotkamy się. — Skończył rozmowę i wyszedł na przystań.

W takich chwilach oddychała z ulgą, że nie muszą mieszkać razem. Wściekły Sigvald robił się zimny jak lód. Długi, nieco haczykowaty nos nadawał jego twarzy zacięty i groźny wygląd. Nie, nie bała się, że ją uderzy. Lęk był nieuchwytny, nie umiała rozpoznać jego przyczyny. Jej uczucia wobec Sigvalda nieustannie balansowały na cienkiej granicy między poczuciem wyższości a strachem, jaki w niej budził.

On walczy o siebie — myślała. — O to, by nie czuć, że wszystko zawdzięcza Mieszkowi i mnie. Ona walczyła ze sobą. Po zimnej i niosącej niepokój wizji, jakiej doświadczyła podczas rozmowy z ojcem, podjęła decyzję, że nie tknie ziół, zaklęć i run przepowiadających przyszłość. Nigdy więcej! Od dziecka miała talent do zaglądania w ukrytą przed ludzkim wzrokiem część życia. Sny zapowiadające wydarzenia przytrafiały jej się, odkąd sięgała pamięcią. W jednym z nich ujrzała Olava i pokochała go, nim skończyła śnić. A potem ojciec zabrał jej nadzieję, więc stwierdziła, że nie chce znać przyszłości, skoro jej zderzenie z życiem ma tak bardzo boleć.

Każdego wieczoru piła odwar, który dawał jej sen mocny i pozbawiony obrazów. Tak było lepiej.

Mieszko, pan jawy i władca snów, wyznaczył jej zadanie. Aby je wykonać, musiała nieustannie czuwać nad decyzjami Sigvalda.

Ten się ugiął i przyjął Geivara, ale o tym, że druh Tryggvasona został wodzem domu, dowiedziała się przypadkiem, Sigvald słowem się nie zająknął. Wtedy zrozumiała, że musi nauczyć się z nim postępować. Jej mąż nie był człowiekiem, który lubił walkę na otwartym polu.

Spotkanie z Geirą i Olavem kosztowało ją wiele. Nie widzieli się ponad rok, od podwójnych ślubów, które Mieszko wyprawił dla obu swych córek. Nie łudziła się, że jej uczucie wobec Olava zniknęło tylko dlatego, że jest mężem jej siostry. Geira kwitła, a jakże.

— Czy wiesz, że mój ukochany odnalazł swą matkę? Nosi takie samo imię jak ty, siostro! Astryda! Jest teraz żoną Lodina i ma z nim troje dzieci, córki Ingiredę i Ingigerdę oraz syna, Torkila zwanego Nosem. Mieszkają w Viken.

Astryda nigdy nie widziała swej siostry tak ożywionej. Geira wcześniej nie była gadułą, a teraz wyrzucała z siebie słowa jak piekarzowa zachwalająca placki. Policzki miała różowe. Jasne włosy zaplecione w lśniące warkocze, suknia opinała się na niej, jakby…

— Ach, dostrzegłaś? — zachichotała niczym dziewczynka. — Tak, Olav i ja spodziewamy się dziecka. — Pogłaskała się po brzuchu. — To cudowne, prawda?

— Tak — potwierdziła Astryda, starając się o uśmiech. W głowie słyszała głos ojca: „Poczekam, aż spłodzi z twą siostrą syna, a potem pozwolę mu płynąć na wiking”.

— Gdy przyjdzie czas rozwiązania, chciałabym, żebyś była przy mnie, siostro. Twoje zioła potrafią uśmierzyć ból i zatrzymać krwawienie…

— Nie zajmuję się tym — szorstko odpowiedziała Astryda. — Nie wypada, by żona jarla…

— A ty i Sigvald? — zaszczebiotała Geira i nagle objęła ją ramieniem. — Będzie coś z tego?

Astryda zacisnęła szczęki.

— Nie wiem — odpowiedziała krótko, bo wchodziły do świetlicy, a tam przy ławie siedzieli Olav i Sigvald.

Olav niewiele się zmienił. Może tylko w jego oku przestała palić się ta dziwna, niespokojna iskra, którą pamiętała. To pewnie dlatego, że odnalazł matkę — pomyślała i starała się nie wpatrywać w niego zbyt długo.

— Co za spotkanie! — radowała się Geira. — Szkoda tylko, że nie ma tu Świętosławy z Erikiem!

W oczach Sigvalda zalśniły żartobliwe ogniki, parsknął śmiechem.

— Wybacz, siostro żony! Ja nie żałuję!

— Ach tak! — zreflektowała się Geira. — Przepraszam, Sigvaldzie, zapomniałam, że Erik wygrał z wami bitwę…

— Nie z nami, ale ze swym bratankiem Styrbjornem. Nazwij to „przy naszym skromnym udziale” i będzie brzmiało jak trzeba — dokończył Sigvald.

— Szkoda — westchnęła Geira. — Wolałabym, żeby w rodzinie panował pokój.

— Nic straconego, by w przyszłości wszyscy zięciowie Mieszka byli sojusznikami — lekko odpowiedziała Astryda. — Nawet jomswikingowie potrafią się uczyć na błędach. Zwłaszcza jeśli powieją dobre wiatry.

— Niektóre błędy tkwią u źródeł rzeczy — powiedział tajemniczo Sigvald. — I ciągną się latami.

— Król Harald nie będzie żył wiecznie, a po jego śmierci… — zaczęła Astryda.

— Nastanie Sven. Jest świetnym wodzem, walczyłem z nim, gdy odbijał Hedeby — powiedział Sigvald.

— Nie Sven cię uczynił jomswikingiem, mężu, i nic cię z nim nie wiąże. — Chciała, by ta rozmowa odbyła się przy świadkach i by Sigvald nie mógł się jej wyprzeć. — Wraz ze śmiercią Haralda zerwą się liny, które cumują Jomsborg do Danii.

— Masz wymowę skalda, żono. Nie zaprzeczę, kusząca to wizja, ale mylisz się, mówiąc, że nic mnie ze Svenem nie wiąże.

— Nie rozumiem… — Poczuła niepokój.

Sigvald nie odpowiedział od razu. Przywołał służącą, by dolała mu miodu. Zwrócił się do Olava.

— Czy twoja żona także uważa, iż wszystko o tobie wie? — spytał.

— Sam ją zapytaj, Sigvaldzie! — odpowiedział Olav.

Geiry nie trzeba było zachęcać do mówienia.

— Jesteśmy najszczęśliwszą parą na świecie! Nic więcej się nie liczy i nic nie potrzebuję wiedzieć.

Na dowód tego pocałowała Olava w policzek. Uśmiechnął się, ale czujne oko Astrydy wyłowiło ledwie dostrzegalny skurcz zniecierpliwienia na jego twarzy.

— Co masz na myśli? — Natarła na męża nieco zbyt mocno, ale chciała uciec przed niedobrymi myślami, które obudziły się w niej, gdy dojrzała rysę na „najszczęśliwszej parze”.

— Mój brat, Thorkel zwany Wysokim, dałby się za Svena pokroić. — Mówiąc to, Sigvald uśmiechał się, jakby sprawdzał, jakie wrażenie robi na Astrydzie. — Jak sądzisz, żono, która tak kochasz swe siostry? Łatwo mi przyjdzie, gdy będę zmuszony działać przeciw własnemu bratu?

— Thorkel jest tylko wodzem domu, nie całego Jomsborga, jak ty — słodko odpowiedziała Astryda. — Jestem pewna, że podejmiesz

właściwą decyzję, mężu.

A potem natychmiast zmieniła temat, wiedząc, że każde kolejne słowo może wywołać niewłaściwy efekt. Sigvald był na przemian porywczy albo przebiegły. Gwałtowny i skryty. Uczyła się go jak tkania różnobarwnej przędzy.

— Ach! — zawołała Geira szczęśliwa, że rozmowa zmienia bieg. — Czy już wiecie, że Świętosława powiła syna?

— Nie — powiedzieli jednocześnie Astryda i Olav.

— Że ja nie wiem, to można zrozumieć. — Astryda zmusiła się do żartobliwego tonu. — Ale że ty, Olavie, nie wiesz tego, co wie twoja żona?

— Dowiedziałam się w chwili, kiedyśmy ruszali do was. — Geira się zaczerwieniła. — Chciałam wszystkim zrobić niespodziankę…

Jestem podła — pomyślała Astryda. — Bawię się nią. A przecież ten rumieniec pokazuje, że radość mojej siostry skrywa pod spodem coś więcej.

— Niespodzianka się udała — powiedział Olav. — Co z tym synem?

— Do Mieszka przybyli posłowie z Uppsali, żeby obwieścić radosną nowinę. Ma zdrowego i silnego wnuka. — Głos Geiry nagle stał się matowy.

— Jakie dali mu imię? — spytała Astryda.

Geira się skurczyła. Dłonie zaczęły jej drżeć.

— Olav — powiedziała cicho.

Tryggvason nie zapanował nad sobą. Zerwał się z ławy. Geira uniosła głowę. Patrzyła na niego wzrokiem porzuconego szczenięcia. Astrydzie zrobiło się jej żal.

— Raczej Olof — z najdziwniejszym ze swoich uśmiechów powiedział Sigvald. — Imię dali mu po ojcu Styrbjorna, którego Erik wysłał do Walhalli.

Geira spojrzała na Sigvalda z taką wdzięcznością, że Astrydę zabolało serce.

— Wasza siostra — dodał Sigvald — wzmocniła swoją pozycję u boku męża. Dając mu następcę, uczyniła siebie nietykalną. Mówią, że Erik uwielbia Sigridę Storrådę.

Chociaż jednej z nas się wiedzie — pomyślała Astryda.

Tryggvason usiadł. Twarz miał nieprzeniknioną. Uniósł róg z miodem i objął Geirę ramieniem.

— Jeśli urodzi się nam syn, damy mu na imię Sigurd, po moim wuju. A jeśli córka, nazwiemy ją na cześć mej matki Astrydą.

— To piękne imiona. — Geira rozpogodziła się w jednej chwili.

— Choć nie ukrywam — dodał Olav, zwracając się do niej — że nazywając córkę Astrydą, będę też czcił twoje imię! Nigdy nie przestałem być ci wdzięczny za to, że szczęśliwie sprowadziłaś „Kanugårda” do brzegu. Napijmy się!

Astryda obawiała się jakiegoś głupiego rumieńca, bo czuła, że jej gorąco. I czuła, że Sigvald przygląda się jej wyjątkowo uważnie. Tym razem sternikiem, który przejął rozmowę, był Olav.

— Ponoć nie obsadzasz pustych domów? — zapytał Sigvalda, mając na myśli Jomsborg.

— Tak robię. Dom żeglarzy nie ma wodza, odkąd ja zostałem jarlem głównym. Dom wojowników jest chwilowo pusty, bo Vagn udał się na długi urlop w objęcia żony. Dom gospodarzy po śmierci Grubego Bue wziął twój druh, Geivar Malowane Kły.

— Tak go zwiecie? — spytał Olav.

— Trudno je przeoczyć. — Sigvald się uśmiechnął, pokazując własne, lśniąco białe zęby. — Szczerze mówiąc, wojownicy, którzy każą sobie piłować i barwić zęby, odchodzą w przeszłość. Nie mówię tego o twoim

Geivarze, mam na myśli to, że nie ma takiej potrzeby. Te ich dawne zwyczaje, zaklęcia, gryzienie tarcz… — mówiąc to, Sigvald potrząsnął włosami, jakby chciał mimowolnie okazać wyższość. — Teraz berserkiem może być każdy, kto dostanie grzyby.

— Grzyby! — powtórzył Olav. — Trzeba na nie uważać, Sigvaldzie. Ich jad może dać siłę, ale i zatruć duszę. Wiesz, co się dzieje ze starymi berserkami, którzy zbyt często wspomagali szał bitewny siłą grzybów?

— Tak, tak, słyszałem. — Sigvald bawił się swoim pierścieniem. — Ponoć dopada ich zmora szalonych starców. Ale czemuż o tym rozmawiamy, Olavie! — Astryda odkrywała, że Sigvald jest mistrzem zmiany nastroju. — Przecież nas to nie dotyczy, prawda? Młodzi, silni, piękni, nie potrzebujemy grzybów, by iść w bój.

— Znacznie wyżej ceni się berserków, którzy bitewny szał i nieczułość na ból osiągają bez grzybów — odpowiedział Olav.

„Zadbam też o jego przyjaźń z Sigvaldem. Jomswikingowie za kilka lat pomogą mu w walce o Norwegię” — mówił w głowie Astrydy Mieszko, a ona patrzyła na tych dwóch i odganiała od siebie nieznośne wrażenie, że przyjaźń między Olavem a Sigvaldem nie jest możliwa. Olav był ogniem, nawet jeśli dzisiaj płonął utajonym blaskiem. Był ogniem, czuła to. A Sigvald w swej zmienności przypominał dym.

Dała służbie znak, by przyniosła kolejne potrawy. Sandacze pieczone z cebulą i czosnkiem. Makrele wędzone i smażone. Potrawkę z węgorzy. Groch ze świeżym masłem.

— Czym morze bogate! — zaprosiła gości do uczty.

W tej samej chwili drzwi świetlicy otworzyły się i stanął w nich Dalwin. Zmierzwione włosy i mokry kaptur świadczyły o tym, że idzie prosto z przystani.

— Dziecko… — powiedział tak, jakby chciał jej czegoś oszczędzić — z przykrością muszę przerwać wam ucztę.

— Mów, Dalwinie! — Sigvald wstał od dymiących półmisków, jakby przeczuwając, że to jego uczta się kończy.

— Za chwilę przypłyną po ciebie twoi ludzie, jarlu. Powinieneś bez zwłoki udać się do Jom, bo macie niespodziewanego gościa.

— Kto? — spytała bez ogródek Astryda.

— Król Harald — jakby przyduszony ciężarem powiedział Dalwin ściśniętym głosem. — Ucieka przed swym synem.

— Sven wypowiedział ojcu wojnę? — Twarz Sigvalda drgnęła.

— Tak, jarlu. Łódź starego króla wpłynęła już przez żelazne wrota do Jomsborga, ale obawiam się, że za chwilę pod morską warownią zaroi się od łodzi Svena i jego ludzi. Jom się obroni, ale boję się, że Danowie mogą złupić Wolin.

Sigvald już sięgał po swój pas. Był opanowany, gdy mówił:

— Dalwinie, nie pozwolę tknąć Wolina. Będę go bronił, jakbym bronił swej żony. — Pocałował Astrydę w usta może odrobinę zbyt pokazowo. — Nakaż kupcom, by nie opuszczali miasta, póki nie damy gwarancji, że na morzu jest spokojnie. Olavie, czy weźmiesz na siebie dowództwo obrony wolińskiego portu? Oczywiście jeśli Dalwin nie ma nic przeciw temu. — Sigvald się skłonił i Dalwinowi, i Olavowi, co wydało się Astrydzie kolejnym przedstawieniem.

— Wezmę — powiedział Olav.

— Dziękuję — odrzekł dziad Astrydy.

Sigvald pochylił się nad nią nagle, jakby znów chciał ją pocałować, ale w ostatniej chwili odsunął usta od jej warg i szepnął:

— Tylko nie mów mi, co mam robić, żono. Decyzje, które podejmę, będą słuszne.

SIGVALD odebrał meldunek od kapitana straży bramnej.

— Jedna łódź, jarlu, i to nie królewski statek Haralda, ale morski zbój jego berserków, z okutą stewą dziobową. Żaden z ludzi króla nie użył słowa „ucieczka”, ale to jasne. Na pokładzie nie mieli bagażu, rannego króla owinęli w koce i tyle.

— Stary się z tego wyliże? — zapytał Sigvald tak, by w jego głosie słychać było troskę o króla.

— Nie wiem, jarlu. — Kapitan pokręcił głową. — Widziałem tylko, jak nieśli go do Uroczyska.

— Zwiększ straże i każ chłopcom być w pogotowiu na wypadek konieczności obrony Wolina — rozkazał Sigvald. — Nieważne, ile łodzi przyprowadzi za sobą Sven. Nie wpuścimy go do Jom, a jeśli będzie nastawał na Wolin, zamkniemy ujście Dziwny.

— Robi się, jarlu! — Dowódca się wyprężył. — Wysłaliśmy też łódź po twego brata, panie.

— Thorkela nie ma w twierdzy? — skrzywił się.

— Wódz zwiadowców często musi być poza murami — wymijająco odpowiedział dowódca straży.

Sigvald tego nie skomentował. Gdyby jego brat popłynął ze zwiadem, sam by mu o tym wcześniej powiedział, to raz, a dwa, nie zaskoczyłaby ich nagła wizyta Haralda. Popłynął do jednej ze swoich dziewczyn. Rudej pulchnej lub czarnuli; ich imion Sigvald nawet nie starał się zapamiętać.

Ruszył do Uroczyska, wielkiej chaty, która pełniła funkcję gospody. Jomsborg podzielony był na cztery obozy, zwane domami. Dom żeglarzy, którym kiedyś przewodził on, dom zwiadowców pod wodzą jego brata, Thorkela Wysokiego, dom łowców, czyli gospodarzy, który powierzył Geivarowi, i dom wojowników, obecnie bez wodza, bo Vagn opuścił Jom. Każdy obóz składał się z czterech długich domów, z których trzy pełniły

funkcję mieszkalną, a jeden przeznaczano do użytku wspólnego; mieścił hallę, kuchnię, spiżarnię. Wojownicy z różnych domów spotykali się w wolnych chwilach w Uroczysku, nad którym pieczę sprawowali łowcy. Ci, którzy na co dzień wykonywali obowiązki w różnych miejscach twierdzy, dzielili się tam plotkami i miodem. Zwiadowcy pili z łowcami, żeglarze z wojownikami. Czasami wszczynali burdy, choć obowiązywał zakaz wnoszenia do gospody broni. Prócz Uroczyska w Jomsborgu był dom wodzów, miejsce, gdzie odbywały się narady i gdzie przyjmowano dostojnych gości.

Dlaczego nie zabrano rannego Haralda tam, lecz poprowadzono do Uroczyska? — myślał, idąc ku gospodzie, i nagle do niego dotarło, gdy zobaczył strażnika, chłopaka z domu łowców. Skoro w Jom nie było głównego wodza i nie było Thorkela, jedyny wódz, jaki pozostał, to Geivar. I to on, sprawując pieczę nad Uroczyskiem, musiał podjąć decyzję, by do gospody, a nie do szacownego domu wodzów, zabrać rannego króla. Dobrze, bardzo dobrze.

Przy wejściu płonęły pochodnie, strażnik zameldował:

— Król Danii, Harald, dwudziestu jego ludzi, w tym dwunastu berserków. Kilku lekko rannych. Wódz łowców, Geivar, i jego straż.

— Dziękuję. — Sigvald kiwnął mu głową i wszedł do wnętrza.

Do obszernej halli, która na co dzień była gospodą mogącą pomieścić dużą setkę gości, wstawiono łoże dla króla i posłania dla jego ludzi. Geivar sprężystym, cichym krokiem wyszedł mu na spotkanie.

— Jak z nim? — spytał Sigvald, wskazując głową łoże.

— Kiepsko — bez ogródek powiedział wódz łowców. — Sven drasnął go mieczem w pierś. Rana jest płytka, ale brudna i się nie goi.

— Nie protestował, że dałeś mu Uroczysko, a nie dom wodzów? — Zadając pytanie, Sigvald przyjrzał się Geivarowi, by właściwie

zrozumieć jego motywacje.

— Był nieprzytomny — spokojnie odpowiedział Geivar.

— Dobrze zrobiłeś.

Mógł dodać, że to jasny sygnał, iż odsuwają Haralda od zwierzchniej władzy nad Jom, lecz zamilkł. Geivar, jako człowiek Olava Tryggvasona, jest także człowiekiem Mieszka. Ze słowami lepiej zaczekać, bo kto wie, czym się skończy ta noc?

Od strony łoża doszedł jęk, a potem wyraźny głos. Król się budził. Ruszyli ku niemu.

Sigvald pierwszy raz widział Haralda; za jego czasów król Danów nie odwiedzał Jom, choć kiedyś ponoć bywał tu częstym gościem i starzy jomswikingowie pamiętają uczty z jego udziałem. Był bez koszuli, jego nagi tors przykrywał rozległy opatrunek. Twarz króla była blada i pokryta potem, przylgnęły do niej pasma mokrych, siwych włosów. Oczy miał otwarte, próbował usiąść, wspierając się na ramionach dwóch potężnych mężczyzn.

— Królu, jestem Sigvald, jarl Jomsborga.

— Nie znam cię — wymamrotał Harald. — Gdzie Palnatoki?

— Palnatoki nie żyje od ponad roku, panie — spokojnie wyjaśnił Sigvald, choć wiedział, iż wiadomość o śmierci dawnego jarla została odebrana w Roskilde.

Harald wreszcie spoczął na podsuniętej mu pod plecy poduszce. Otarł pot z czoła i jęknął, sięgając do opatrunku na piersi. Spod palców przesączyła się krew z ropą.

— Okryj mnie płaszczem! — zacharczał do jednego z usługujących mu wielkoludów. — Jestem królem, nie wypada, bym siedział goły, gdy przede mną stoi jarl Jomsborga! — To ostatnie wypowiedział jakby z kpiną. Gniewnie spojrzał na Sigvalda. — Co, pięknisiu? Chcesz powiedzieć, że

ciebie wybrali na wodza moi żelaźni chłopcy? — Na jego sinych wargach zalśniła ślina, a w głosie znać było pogardę.

To są moi żelaźni chłopcy — pomyślał zimno Sigvald.

— Tak, królu — odpowiedział spokojnie.

— Wszystkim młokosom się wydaje, że sami stworzyli świat. Jesteś w wieku Svena. — Harald łypnął na niego nieuprzejmie. — Gdzie Palnatoki?

— Nie żyje — powtórzył Sigvald.

— Dlaczego? Był ranny?

— Nie, królu. To normalne, że ludzie w pewnym wieku umierają — odpowiedział uprzejmie.

— Jesteś głupcem jak mój rudy syn — syknął Harald. — Palnatoki był młodszy ode mnie.

— Przykro mi, królu. Będziemy o ciebie dbać i jestem pewien, że wrócisz do zdrowia. Ta rana nie wygląda groźnie, choć, jak widać, goi się źle.

— Co ty wiesz o ranach, szczeniaku! — warknął starzec.

Obaj stojący po jego bokach potężni mężczyźni syknęli jednocześnie, co, jak się okazało, miało uspokoić Haralda. Najwyraźniej starzy druhowie mieli prawo dyscyplinować swego pana, choć nie robili tego słowami. W samą porę. Jakkolwiek Sigvaldowi przebieg tej rozmowy był na rękę, żałował, że za świadka buty Haralda ma jedynie Geivara i kilku jego ludzi.

— No tak, jesteś młodym wodzem — poprawił się król i zaśmiał. — Nikt nie powinien kpić z jomswikinga, a już zwłaszcza za żelazną bramą! — Śmiech przeszedł w kaszel i charkot.

— To prawda, że granice mojej uprzejmości wyznacza szacunek do ciebie, królu — powiedział Sigvald, patrząc, jak Harald spluwa krwią. — Zapewniam cię, że ty i twoi ludzie macie u nas schronienie.

Odczekał chwilę i dodał:

— Statki twego syna płyną do Jom.

— Boisz się… ty, jak ci tam, młody wodzu? — Król przekrzywił głowę i obdarzył go wściekłym spojrzeniem.

— Nazywam się Sigvald i nie boję się Svena, królu.

— Podejdź bliżej, Sigvaldzie! Jeszcze bliżej. I pochyl się, bo chcę powiedzieć ci…

Sigvald pochylił się nad Haraldem, choć wiedział, co ten zrobi. Ranny starzec chwycił go za kaftan na piersi i przyciągnął do siebie.

— Chcę ci powiedzieć, że Jomsborg jest mi winien ochronę. Ja stworzyłem warownię i ona musi mi służyć! Ostatni, śmiertelny bój!

Patrzyli sobie w oczy z bliska. Sigvald czuł kwaśną woń jego oddechu i widział mgłę, która mąciła jego źrenice. Ta bliskość śmierci sprawiała, że wiedział, co ma robić. Uścisk Haralda zelżał i Sigvald wyprostował się, mówiąc głośno:

— Pókiś żyw, królu, jesteś pod naszą opieką. Pozwól, że się oddalę, muszę wydać rozkazy.

Wychodząc, skinął na Geivara. Rozmowę skończyli nie przed Uroczyskiem, lecz w cztery oczy, w domu wodzów.

— Wyślij ludzi do księcia Mieszka. Harald nie przeżyje trzech dni — rozkazał.

— Jarlu, tylko twój brat, Thorkel Wysoki, może stanąć za Svenem — powiedział wprost Geivar.

— Nie zamierzam łamać miłości mego brata do młodego króla. Przeciwnie, chcę dać mu szansę, by się tą miłością wykazał.

— Co masz na myśli, jarlu? — Oczy Geivara zamieniły się w dwie wąskie szparki.

— Thorkela zostaw mnie. To nie on może popsuć nam szyki, ale zbyt powolne umieranie Haralda. Takie, które da czas Svenowi na przypłynięcie pod bramy Jom. Zatroszczmy się raczej, by stary nam pomógł i pożegnał się z życiem szybko.

— Temu można zaradzić, jarlu. — Geivar uśmiechnął się nieznacznie. — Wystarczy, by na opatrunku, który moi ludzie będą zmieniać niebawem, znalazła się kropla…

— Ciii… — Sigvald przyłożył palec do ust. — Niech się tam znajdzie.

Harald zaczął konać nad ranem i niezależnie od tego, co rymują skaldowie w pieśniach, nie umierał z uśmiechem na ustach. Krzyczał „pić!” i nie żałowali mu miodu. Przeklinał swego syna, przeklinał jego miecz, butę, ambicje, żądzę władzy, a na koniec, w całkowitym pomieszaniu zmysłów przeklinał lędźwie, które go spłodziły.

— Więc umiera przeklęty — szepnął Geivar tak cicho, że słyszeli to tylko oni dwaj.

Thorkel zdążył przybyć na czas i stał na boku, z odrazą przyglądając się umieraniu króla. Dwunastu niemłodych, choć nie tak starych jak Harald, berserków, jego oddanych druhów, otaczało łoże swego wodza. Jedyną troską Sigvalda było, by te olbrzymy po śmierci króla nie wywołały jakiejś bitki. Nie miał ochoty sprawdzać, ilu jomswikingów trzeba na pokonanie jednej ludzkiej bestii. Przyglądał się im. Ich oczy wyrażały na przemian pustkę i rozpacz. Stali jak mur z tarcz.

— Palnatoki! — zarzęził król. — Palnatoki, chodź tu!…

Sigvald z Geivarem i Thorkelem podeszli do łoża.

— Jestem Sigvald, jarl Jomsborga. To Geivar i Thorkel, wodzowie domów. Palnatoki nie żyje.

— Nie łżyj, pięknisiu! Widzę go wyraźniej niż ciebie. Jest tu! A ty ośmielasz się w jego obecności mienić jarlem, dobre sobie! Wszyscy

jesteście tak samo wściekli! Szczeniaki, które szczekają już w łonach ciężarnych suk! Suk! Suk! Suk!…

Tak wyczerpał się w tej złości, że gdy skończył mówić, wydał tylko cichy jęk. Ostatni wydech. Wszedł w mrok z suką na ustach.

— Król zmarł jak prawdziwy wojownik! — oświadczył uroczyście Sigvald. — Od ran odniesionych w ostatnim boju. Każdy z nas pragnie takiej śmierci.

Dwunastu jego berserków zawyło. To była ta chwila, której naprawdę obawiał się Sigvald. Wydał rozkazy wcześniej i Uroczysko otaczało teraz z zewnątrz pięć dziesiątek zbrojnych. Berserkowie zakończyli pożegnalny jęk i umilkli. Patrzyli to na martwego Haralda, to na siebie.

— Król ma prawo do królewskiego pochówku — powiedział spokojnie Sigvald. — Mój brat, Thorkel, wódz domu zwiadowców, odwiezie ciało Haralda z honorami jomswikingów do Roskilde. Mam nadzieję, że wy, najbliżsi druhowie zmarłego, nie opuścicie go w ostatnim rejsie.

— Jestem sternikiem jego łodzi — powiedział jeden z nich.

— Jestem jego tarczą w bitwie — głucho oznajmił drugi.

— Wszyscy jesteśmy jego braćmi krwi — powiedzieli następni.

— Płyniemy z nim.

— Thorkelu? Statki gotowe? — zapytał Sigvald, jakby oczywiste było, że muszą wypłynąć bez chwili zwłoki.

— Tak, bracie — odrzekł nieco zdumiony wódz zwiadowców.

— Zatem bracia krwi króla zaniosą jego ciało na łódź. Przy dźwięku czarnego rogu, tego, który żegna każdego z naszych braci, popłyniecie do Roskilde! — krzyknął Sigvald i z ulgą zobaczył, że berserkowie, jak w transie, biorą nieboszczyka na ramiona. Przepuścili ich przodem. Przytrzymał Thorkela za łokieć i szepnął do niego: — Nie wsiadaj na ich łódź. Kto wie, do czego są zdolni. Niech sami płyną z truchłem. Ty płyń

przodem z rozwiniętym żaglem Jomsborga. Powinieneś spotkać Svena i jego ludzi jeszcze dziś wieczorem, najdalej jutro. Przekaż młodemu królowi to, co sam zapewne wie: nic lepiej nie sprzyja przejmowaniu władzy w kraju niż pogrzeb. Może tobie uda się wpłynąć na rozgorączkowane ambicje Svena. Nawet jeśli wadził się z ojcem za życia, teraz powinien zagrać życiową rolę syna i następcy, który prowadzi uroczystości pogrzebowe ojca. Niech wydaje uczty, tygodniami gości jego wodzów i możnych, niech odda cześć jego pamięci tak szczodrze, jak bardzo cieszy się z jego zgonu.

— Czy Harald nie powinien mieć wyprawionego pogrzebu w Jom? — spytał zaskoczony Thorkel.

— Nie, mój bracie. To nie był jeden z nas. To był tylko król.

ŚWIĘTOSŁAWA uczyła Olofa chodzić. Uważała, że jej syn wszystko powinien robić lepiej i szybciej. Dusza osłaniała chłopczyka przed upadkami.

— Pani — do jej alkowy weszła służka — przybyli posłowie z twego kraju.

Świętosława zerwała się na równe nogi. Erik miał wrócić wieczorem, sama musiała podjąć gości i ucieszyła się z tego natychmiast.

— Przyprowadź ich do wielkiej halli — rozkazała. — I każ przygotować ucztę.

Usłyszała radosny pisk spod ścian. To dziewczęta służebne, które przywiozła ze sobą z Poznania.

— Jaśnie pani! — wołały jedna przez drugą. — Nareszcie się dowiemy, co słychać w domu!

— Wasz dom jest tutaj — przypomniała im ostro. — Jeśli usłyszę, że któraś będzie się skarżyć na życie w Uppsali, wydam za mąż za naszego berserka bez zęba na przedzie. Wiecie którego.

— Wiemy! — pisnęły jak stado kurcząt.

Zawsze straszyła je Wielkim Ulfem. Był zaufanym Erika i dbał o jej bezpieczeństwo. Łysy jak jej mąż i potężny w barach jak on. Twarz Ulfa szpeciły blizny biegnące wzdłuż kości policzkowych i w poprzek brody. Złamany ząb sprawiał, że uśmiech Ulfa był równie przerażający jak jego gniew.

Pomogły jej się przebrać i poprawiły włosy. Włożyły pierścienie i naramienniki, którymi obdarowywał ją Erik. Rysie futro na plecy. Chciała, by wysłannicy ojca zobaczyli królową Szwecji, Sigridę Storrådę.

— Dusza, daj mi syna. Razem z nim powitam gości.

Było ich czterech, wszystkich znała. Litobor, jeden z wodzów Mieszka. Bjornar, przyjaciel jej brata Bolesława, i Wilkomir, jego drużynnik. A wreszcie Geivar, towarzysz Olava. Na widok wszystkich się uradowała, a widząc tego ostatniego, zadrżała, bo przywoływał pamięć Tryggvasona.

U szczytu wielkiej halli stały dwa wysokie krzesła, jej i Erika. Zasiadła na swoim i przywołała ich bliżej.

— Oto mój syn, Olof, następca Erika! — Uniosła dziecko w górę. — Bjornarze, podejdź i weź go na ręce. Od urodzenia ogląda okropne gęby wojowników, twoja nie powinna go wystraszyć. Chcę, aby każdy z was potrzymał go w ramionach i opowiedział na dworze mego ojca, jak pięknego ma wnuka.

Bjornar wziął dziecko i uniósł na rękach.

— Jest większy niż Bezprym, syn Bolesława — powiedział.

— Bolesław ma syna?! — Aż poderwała się z tronu. — Mów!

Bjornar pogładził Olofa po łysej głowie i zatrzymał dłoń na potylicy. Przyjrzał się czaszce chłopca.

— Mają takie samo znamię, pani. O, tutaj — pokazał jej ciemny, okrągły ślad z tyłu głowy Olofa. Znamię, które tak lubiła.

— Krew Piastów! — zaśmiała się. — Opowiadajcie, co w kraju. Mój brat, jak rozumiem, się ożenił?

— Po raz kolejny, pani. Bolesław niedawno odwiózł Karoldę, matkę Bezpryma, na Węgry…

— Niech zgadnę — weszła Bjornarowi w słowo. — Mieszko znów zmienił sojusze? Dobrze, iż brzemiennej synowej nie odesłał. Pozwolił urodzić, iście książęcy gest! A co z dzieckiem?

Wysłannicy spojrzeli po sobie.

— Bolesław nie odprawił żony. Odwiózł jej ciało w dębowej trumnie. Karolda zmarła.

— Ach! — jęknęła zaskoczona Świętosława.

— Ale jeśli pytasz mnie, pani, o moje zdanie, ulżyło mi. Karolda była szalona i dzika. Twój brat ją kochał, ale inni… — Spojrzał na nią wymownie i szepnął: — Nawet psy Bolesława jej nie znosiły.

— Nawet psy — powtórzyła za Bjornarem. — A także, jak się domyślam, jego nałożnice, najbliżsi druhowie, księżna Oda i na końcu pan ojciec. Mógłbyś mówić wprost, Bjornarze, a nie zrzucać winy na psy! Biedna dziewczyna. Umarła w samą porę!

Bjornar zaczerwienił się aż po rude włosy, co upewniło ją w przekonaniu, że ma rację.

— Przywieźliśmy dary, pani. Prezenty, które ślą ci najbliżsi. I wiele wieści, którymi chcemy podzielić się tak z tobą, jak i z twym mężem — usiłował wprowadzić jakiś ład w spotkanie Litobor.

— Zatem zacznijmy od darów! — Ucieszyła się jak dziecko. — Duszko, weź Olofa.

Geivar przeprosił ich na chwilę i wyszedł. W tym czasie dostała krzyż ze srebrnym wizerunkiem Chrystusa od ojca, tak podobny do tego, który zdobił pałacową kaplicę w Poznaniu. Kilka par doskonałych butów do

konnej jazdy od brata i piękne zausznice od Astrydy. Geivar wrócił z ludźmi, którzy dźwigali coś okrytego ciemnym płótnem.

— To dar od Olava — powiedział. — I twojej siostry Geiry — dodał po dłuższej przerwie.

— Co to? — Popatrzyła mu w oczy.

Ściągnął przykrycie. To była klatka, a w niej drzemały dwa młode rysie. Świętosława zapomniała, że jest królową, Sigridą Storrådą. Zerwała się z tronu i skoczyła ku klatce.

— Mój pan schwytał je w lesie i kazał powiedzieć: „Królowa kochała kiedyś futro zdarte z rysia. Z pewnością chce zobaczyć, jak to jest, gdy kocha się żywe zwierzę”.

Obudziły się, powoli otwierając zielone i złote oczy. Jedno ze zwierząt zerwało się na równe nogi i obdarzyło ją pogardliwym prychnięciem. Drugie, nie podnosząc łba, śledziło ją wzrokiem. Wpatrywała się w nie zachwycona. Były nie większe od dużych szczeniąt, płoworude z jaśniejszym podgardlem i podbrzuszem. Ciemne cętki ledwie przebijały przez resztki puszystego jak u kociąt futra.

— Otwórz klatkę — powiedziała do Geivara. — Chcę je wziąć na ręce.

— Pani — wtrącił się milczący dotąd Wilkomir. — To zły pomysł. Rysie są rozdrażnione po podróży.

— Nie pytałam, wydałam polecenie. — Spojrzała na niego zimno.

Wilkomir patrzył na nią z ukosa, ale nie zmienił zdania.

— One tylko wyglądają jak kocięta. To drapieżniki.

Świętosława się zdenerwowała. Wstała od klatki i udając, że nie widzi Wilkomira, zwróciła się do najstarszego z obecnych.

— Litoborze, czekałam na wasz przyjazd długo i obecność posłów mego ojca raduje mnie bardziej niż dary. Mój król uczci waszą wizytę wielką ucztą i wspaniałymi podarunkami. Liczę na długie rozmowy z tobą,

Bjornarem i panem Geivarem. Ale nie rozumiem, dlaczego ten człowiek o ponurym obliczu ośmiela się pouczać królową w jej własnym dworze.

— Pani. — Litobor skłonił się jej. Pamiętała jeszcze, jak w dzieciństwie nazywał ją „małą księżniczką”. — Wilkomirowi brak może ogłady, lecz nie odwagi. Robi to, co nakazał mu twój pan ojciec. Chroni cię.

— O moje bezpieczeństwo dba drużyna męża. — Wzruszyła ramionami. — Widzieliście Wielkiego Ulfa? Łysy, ze szramami na pysku.

— Gdzie on teraz jest? — wyrwało się Wilkomirowi. — Skoro on cię chroni, królowo, to gdzie jest, gdy jego pani zamierza wypuścić z klatki dzikie zwierzę w obecności niemowlęcia?

Wciągnęła powietrze. Tak, zapomniała, że w halli jest Olof. I nagle do niej dotarło, co powiedział Litobor.

— Chcesz powiedzieć, że Wilkomir zostaje?

— Tak, pani. Książę Mieszko prócz klejnotów i prezentów przysłał ci dwunastoosobową drużynę pod wodzą Wilkomira. Mają być twoją osobistą strażą.

— Co na to powie mój pan mąż? — Przekrzywiła głowę. — Czy nie odczyta tego podarunku jako ujmy na swym honorze? A muszę was przestrzec, że honor kocha równie mocno jak swój wojenny topór.

— Nie jestem podarunkiem — mruknął Wilkomir.

Usłyszała go, lecz ugryzła się w język.

— Nasza w tym głowa, pani, by Erik przyjął drużynę — zamknął sprawę Litobor.

Świętosława położyła dłoń na klatce. Usłyszała ostrzegawczy pomruk.

— Skoro Olav potrafił złowić rysie, ja będę umiała je oswoić — powiedziała i uniosła dłoń szybko. W tej samej chwili leżące wcześniej zwierzę uniosło się i skoczyło, chcąc złapać jej palce. Była szybsza.

Pstryknęła nimi w powietrzu. — Odnieście klatkę do moich komnat. Na początek niech się przyzwyczają do zapachu swej pani.

Uczta była uroczysta, co oznaczało: hałaśliwa, bogata w miód i jadło. Do stołu na podwyższeniu Erik zaprosił wszystkich czterech gości. Prócz nich zasiadł z nimi jarl Birger i dwaj inni wodzowie wojsk Erika. Najpierw chwalił się zwycięstwem nad Styrbjornem na polach Fyrisvellir i synem.

Sam go spłodził, sam go urodził! — westchnęła w duszy Świętosława, uśmiechając się pięknie. Z dwojga złego wolała, by mąż szczycił się Olofem.

— Moja pani da mi jeszcze wielu synów! — grzmiał radośnie, a ciemne oczy mu lśniły. — Wielu silnych, łysych chłopców wyskoczy z tego pięknego łona!

— Rozumiem, że mój król zna się na wojnie i rządzeniu krajem, ale tajemnica narodzin jest mu obca! — Uniosła kielich.

— Skoro ja wskakuję… — zaczął Erik.

— Nie kończ, mężu. Chyba że zamierzasz kłaść się ze mną na oczach swych gości.

Roześmiał się nerwowo. Nawet Erik potrafił się speszyć.

— Przywieźliśmy ważne nowiny, królu — przeszedł do sedna Litobor. — Król Danii, Harald, nie żyje.

— Nie będę opijał jego drogi do Walhalli! — krzyknął uradowany Erik. — Czy Sven już przejął władzę?

— Próbuje. Można rzec, ma za sobą pół kraju, drugie pół, w tym dawni stronnicy Haralda, są przeciwni rządom młodego Svena. Opozycja pozyskała wpływową sojuszniczkę. Jego przyrodnią siostrę, Tyrę. Svenowi nie przysłużyła się otwarta napaść na króla.

— Możni nie lubią silnych władców. — Erik otarł usta. — A lud synów zabijających swych ojców.

— Księżniczka Tyra jest chrześcijanką i dzięki temu opozycja łatwo może wykorzystać spory religijne. Ponoć są gotowi użyć jej osoby w rozmowach z saskimi dworami, choć z tego, co jest nam wiadome, wstrzymują się jeszcze z tym krokiem, wiedząc, iż wezwanie Sasów przeciw Svenowi jest bronią obosieczną.

Świętosława miała czas, by przed ucztą porozmawiać z ludźmi ojca na stronie. Odezwała się teraz.

— Jarl Geivar, który przywiózł mi dary, jest jednym z nowych wodzów Jomsborga, mężu.

Erik przyjrzał mu się uważnie i powiedział, nawiązując do udziału jomswikingów w bitwie na polach Fyrisvellir:

— Nie żywię urazy do pokonanych.

— A ja nie byłem jomswikingiem w czasie, gdy pobiłeś Styrbjorna — odpowiedział. — Wiele się zmieniło w Jom.

— Czyżby żelaźni chłopcy poszli po rozum do głowy i przestali spełniać zachcianki duńskich królów? — wesoło zapytał Erik.

Jakże łatwo prowadzi się rozmowy z pozycji zwycięzcy — pomyślała o swym mężu Świętosława.

— Jomswikingowie są gotowi wesprzeć księcia Mieszka — spokojnie powiedział Geivar.

— Doskonale! — Świętosława klasnęła w dłonie, pokazując służce, że ma uzupełnić kielichy. — Ty, mój królu, poślubiając swą królową, obiecałeś rozbić potęgę Danii. Czyż to nie najlepszy moment?

— Sven niepewny na tronie, niepokoje w kraju i jomswikingowie za sojuszników? — mruknął jej mąż, unosząc róg. Upił, otarł wilgotne usta i przywołał islandzkiego skalda. — Zimne są rady kobiety! — powtórzył słowa ulubionej pieśni.

— Zimne rady to dobre rady, mój królu! — Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Thorvaldzie! Zabaw nas *Pieśnią Najwyższego*! Niech moi goście posłuchają, a ja się namyślę.

Islandzki skald zdobył nagrodę Erika za pieśń o zwycięstwie nad Styrbjornem. Głos miał czysty i mocny, recytował rytmicznie; gdy porywały go rymy, rozkładał ramiona i całe jego ciało pulsowało pieśnią. Świętosława lubiła słuchać samego brzmienia pieśni skaldów. Unosiło ją jak migotliwa i mroczna opowieść. Przymykała powieki i widziała ciemne fale Bałtyku. Żywą otchłań morską, po której płynęła. Tęskniła za ojcem Janem czytającym Pismo Święte. Za klerykami śpiewającymi jasne wersety psalmów. Ale była po drugiej stronie morza. Ich tu nie było. Był islandzki skald i jego *Pieśń Najwyższego*, pochwała Odyna. I pan mąż, który przymknął lśniące oczy i wpatrując się w płomienie, słuchał.

Szczęśliwy ten, kto sam sobie zdobędzie
mądrość i sławę za życia;
bo złą radę człowiek
dostaje zbyt często
z piersi drugiego.

Otworzyła oczy. Zobaczyła, że Bjornar przygląda się z niepokojem królowi. Tak, mogło się zdarzyć, że Erik dzisiejszego wieczoru nie podejmie decyzji. Wtedy nadejdzie noc i jej czas.

— Dobrze jest podejmować decyzje o wojnie, gdy umysł zakosztuje spokoju! — oświadczył Erik, potwierdzając jej przeczucia. — Bądźcie mymi gośćmi, ucztujcie w towarzystwie mych wodzów!

Podniósł się i dał znać żonie, że oboje wychodzą.

Od narodzin Olofa odmawiała mu swego towarzystwa w łożu, tłumacząc to gojeniem się ran i karmieniem piersią. Wiedziała, że każda z tych wymówek dawno przestała Erikowi wystarczać. Jarl Birger ostrzegał ją kilka razy, że jeśli nie wróci do królewskiej alkowy, Erik gotów wziąć sobie nałożnicę. „Obawiam się, pani, że zacznie płodzić bękarty, a wtedy kto wie, jaki los spotka twego syna?”. To wystarczyło, by gotowa była wejść do łożnicy, ale po tamtej rozmowie Erik wyjechał na niekończące się polowania i wrócił dopiero dziś. Gdy usłyszała podczas uczty o pięknym łonie, z którego wyskoczą kolejni synowie, nie miała złudzeń, co powinna robić. Dusza przebrała ją w haftowaną srebrną nicią koszulę, tak cienką jak pajęczyna. Rozpuściła i rozczesała jej włosy.

— Podaj mi naramienniki, które dostałam od mego króla. I pierścienie! — zażądała, choć Duszka przyjęła to, ze zdziwieniem unosząc brwi. — I okryj mnie futrem z białych lisów. Zajmij się Olofem — przykazała jej na koniec. — Nie chcę, by Odyniec słyszał płacz dziecka.

Z mrocznego kąta alkowy usłyszała gardłowe prychnięcie. Rysie! Podeszła do klatki i podała im po pasku surowego mięsa. Wygłodniałe koty obwąchiwały je nieufnie. Cierpliwie trzymała mięso między prętami.

— Nie chcecie jeść? Trudno. Duszka, nie karm ich, póki nie wrócę.

Wielki Ulf z pochodnią w dłoni prowadził ją w orszaku służek. By z komnaty królowej dostać się do alkowy króla, trzeba było przejść przez cały dwór. Przemaszerować przez wielką, pełną gości hallę. Nie zapomniała o tym, chadzała tak przed urodzeniem Olofa. Od początku przejmowało ją to wstydem, ale już pierwszej nocy, gdy do łożnicy odprowadziło ich trzydziestu mężów i kilka wysoko urodzonych kobiet, postanowiła przekuć wstyd na oręż.

Nikt nie uszanuje lękliwej królowej — powiedziała sobie wtedy i szła z wysoko uniesioną głową, z umiarem rozdając uśmiechy. Raz czy dwa

w drodze do króla zatrzymała się w halli między ucztującymi, którzy wznieśli za nią toast. Wychyliła kielich miodu i odkryła, że koi ból, jaki chwilę później w alkowie zadaje jej Erik.

— Królowa Sigrida Storråda! — krzyknął Wielki Ulf, ukazując złamany ząb.

— Zdrowie królowej! — odpowiedzieli goście, wznosząc rogi i kubki.

Jarl Birger zszedł z podwyższenia, podając jej pełen kielich. Złowiła zaskoczone spojrzenie Bjornara i Litobora. No tak, na dworze lednickim czy poznańskim sprawy łożnicy otoczone były dyskrecją. Wilkomir umknął wzrokiem. Twarz Geivara krył mrok.

— Zdrowie wszystkich mieczy mego króla! — odpowiedziała toastem i pociągnęła spory łyk miodu. Mocny i gęsty.

— Piękna jak Freya jest nasza pani! — krzyknął nieco pijany islandzki skald. — Złotooka, złotowłosa, złotopalca!…

— Złotousty, jeżeli zaczniesz pod nieobecność swego króla pieśń o urodzie jego żony, mój mąż zrymuje cię z brzękiem swego ostrza! — odpowiedziała mu wesoło. — Na własnej skórze się przekonasz, dlaczego zwą go Erikiem Zwycięskim! — Upiła jeszcze jeden łyk miodu i oddała kielich Birgerowi. Dała znak Ulfowi, że idą dalej. Odprowadzały ją pochlebne okrzyki.

Potrzebowała hałasu, który czynili, by dodać sobie odwagi. Wielki Ulf zamknął za nią drzwi alkowy. Zapanowała cisza.

Erik czekał w łożu.

Bądź dzisiaj jak Oda — wydała sobie rozkaz w duchu. — Jak Oda!

— Napijesz się, mój królu? — spytała, nadając swemu głosowi łagodne brzmienie.

— Z ciebie — mruknął do niej i oczy zalśniły mu w mroku.

Nalała sobie i z kielichem w ręku podeszła do łoża. Oparła się o jego rzeźbioną ramę i pijąc, patrzyła na Erika. Na jego łysej czaszce odbijało się światło.

— Chodź do mnie — zażądał.

— Dokąd tak się spieszysz, mężu?

— Do ciebie.

Wymowny — zakpiła z niego w myślach.

— Już jesteś gotów? — Przekrzywiła głowę, usiłując sobie przypomnieć, co jeszcze robiła tamtej nocy Oda.

— Sprawdź, moja pani. — Poderwał się i usiadł.

Chodziła! Chodziła wokół łoża jak kotka! — obraz Ody wrócił do niej w porę.

Odstawiła kielich i zsunęła odrobinę futro, pokazując mu ramię ukryte pod cienką koszulą. Ruszyła powolnym, leniwym krokiem w stronę łoża. Śledził ją wzrokiem, jego oddech stawał się coraz szybszy. Gdy była na wyciągnięcie ręki, zaczął zdejmować koszulę.

— Nie, mój panie — szepnęła śpiewnie. — Pozwól, że ja cię rozbiorę.

Zastygł zaskoczony. Weszła na łoże jak na stopień schodów. Pochyliła się nad Erikiem, tak że jej włosy musnęły jego nagą czaszkę. Powoli zdjęła mu koszulę. Poczuła ostrą woń jego potu. Zemdliło ją na chwilę. Powinna jeszcze napić się miodu, ale była zbyt daleko od kielicha. Uklękła naprzeciw siedzącego męża. Pogładziła jego pierś.

— Sigrido… — wyszeptał gwałtownie. — Pragnę…

Pocałowała go w tę wielką pierś przelotnie i szybko zeskoczyła z łoża. Schyliła się po kielich.

— Proszę — podała mu.

— Nie miodu. Ciebie pragnę.

— Jak bardzo? — Napiła się sama, łapczywie.

— Jak nigdy nikogo.

Miód wracał pamięć: była z Bolesławem w nieużywanym szybie kominowym. Przez szczelinę w murze patrzyła na Odę i Mieszka.

— Powtórz — zażądała z przeciągłym uśmiechem.

— Jak nigdy nikogo! Chodź do mnie! Czy mam cię prosić?!

— Poproś — powiedziała, potrząsając włosami. — Poproś, królu.

— Proszę! — W jego głosie zabrzmiała niecierpliwa nuta.

Wolała nie igrać z ogniem. Wróciła do łoża i usiadła na nim.

— Co robisz? — spytał zaskoczony.

Do tej pory to on brał ją, nie ona jego. Zręcznie rozwiązywała mu spodnie. Zaśmiała się, nie unosząc głowy.

— Nie oszukiwałeś! Jesteś gotów!

Trzymała go w dłoni. Potężny oręż Erika. Zastanawiała się w panice, co dalej. Nie miała pojęcia, jak Oda to zrobiła, że usiadła na ojcu. Widziała ich z tyłu. Na szczęście on wiedział, co robić. Chwycił ją w pasie jak dziecko i posadził na sobie. Krzyknęła i zadrżała. Zdawało się, że przebił ją na wylot. Trzymał ją za biodra i poruszał nią. Chwila, chwila! Wtedy, w palatium, to Oda ujeżdżała ojca, nie on ją! Zdjęła jego dłonie ze swych bioder, pochyliła się nad nim i pokonując przeszywający ból, sama zaczęła się poruszać. Jak w siodle. W górę i w dół. Erik wił się pod nią i jęczał. Zgrzała się. Nie przestając, zrzuciła z ramion futro. Gdy pochylała głowę, jej włosy głaskały pierś Erika. Jego pot pachniał ostro, lecz już nie tak strasznie. Przeciwnie, wciągnęła w nozdrza woń, która sprawiła, że jeszcze szybciej na nim zatańczyła. W tej samej chwili dotarło do niej, że już nie czuje bólu. Czuje jego obecność w sobie, ale nie ten przenikliwy, tępy ból.

„Nie pochylaj się w siodle! Siedź prosto! — usłyszała głos brata sprzed lat, gdy uczył ją jeździć konno. — To ty musisz prowadzić konia, nie on ciebie!”.

Wyprostowała się. Erik był rozhukanym, rozpędzonym ogierem. Rzucał się pod nią. By złapać równowagę, przytrzymała się jego piersi. Galop, galop, cwał!

Jej wierzchowiec zarżał, stanął dęba i zrzucił ją z siodła. Miękko wylądowała w łożu. W głowie jej huczało, lecz słyszała jego chrapliwy oddech. W powietrzu unosił się zapach potu. Jego i jej.

— Sigrido — odezwał się, z trudem łapiąc oddech. — Zaśpiewałem *Pieśń Najwyższego* w twoich ramionach. Po takiej nocy powinienem po raz drugi zapłacić ci morgengeld.

— Nic nie powinieneś, mężu — odpowiedziała cicho. — Ale możesz wszystko — dodała po dłuższej chwili.

— Co chcesz na początek? — spytał.

— Miód — odpowiedziała szczerze.

Wstał z łoża i podał jej kielich. Dopiero gdy brała go z jego ręki, poczuła, że coś między nimi się zmieniło. Napiła się i oddała kielich Erikowi.

— Przecież wiesz, że ruszę na Svena. Dotrzymam słowa danego twemu panu ojcu.

Ulżyło jej, lecz uniosła brwi, udając zdziwienie.

— Nigdy nie zamierzałam cię o to prosić, mężu. Nie przyszło mi do głowy, byś złamał słowo i splamił honor.

— Więc czego pragniesz?

— Ciebie! — skłamała z uśmiechem i przytuliła się do jego piersi. Woń jego potu już jej nie odpychała. Przeciwnie, wabiła jakąś ciemną, drapieżną nutą. — Ciebie — powtórzyła szczerze.

Zaśmiał się chrapliwie i przygarnął ją ramieniem. Mocno rozgniótł jej piersi. Pocałował w usta. Potem w czoło.

— Nie sądziłem, że kiedyś to powiem — odezwał się, zatrzymując jej głowę przy swojej piersi — ale na jedną noc wystarczy to, co już ze mną

zrobiłaś, Sigrido.

— Mamy przed sobą wiele nocy, Eriku.

— W sam raz tyle, bym nie zamienił się w zgrzybiałego starucha — zaśmiał się.

— A jeśli nawet? Będę cię pielęgnowała w potrzebie.

— Nigdy. Mężczyzna musi odejść w pełni sił. Śmierć ma być taka jak życie.

— Co masz na myśli? — spytała, bo czuła, że pod tym czai się coś więcej.

— Nic ponad to, co powiedziałem — odpowiedział krótko i zapytał: — Więc o co chciałabyś mnie prosić, Sigrido?

— O wypełnienie innej z obietnic ślubnych. Powiedziałeś, że nigdy nie staniesz pomiędzy mną a Chrystusem.

— Powiedziałem. — Jego szorstkie palce bawiły się miękkością jej skóry.

— Każdego dnia między mną a Bogiem, którego chwalę, stoi świątynia u podnóża kopców. I gaj ofiarny, w którym drzewa zamiast owoców rodzą truchła.

— Nie spalę świątyni — odpowiedział spokojnie.

— Nie żądam tego, panie. Zbuduj mi nowy dwór, w innym miejscu. Gdzieś, gdzie będę oddychać czystym powietrzem znad wody. Gdzie będę budzić się bez krzyku kruków dziobiących ofiary dla twych bogów.

— Twój bóg nie przyjmuje ofiar? — spytał, wodząc palcem wokół jej sutka.

— Przeciwnie, Eriku. Mój Bóg złożył w ofierze za wszystkich grzesznych ludzi swego Syna. Odkupił nasze dusze z wiekuistego mroku.

— I nic w zamian nie chce?

— Chce miłości i oddania. Ale nie przyjmuje ofiar przez pozbawianie ich życia, lecz przez dawanie go.

— Dziwny bóg, choć nie sądzę, żeby był szkodliwy. — Erik wzruszył potężnymi barami. — Może i mógłbym go przyjąć, lecz to z pewnością nie spodobałoby się moim ludziom i kapłanom Odyna.

— Gdy mój ojciec przyjmował chrzest, przy każdej wiosce był święty gaj i jego kapłani. Kapłani się burzyli. Straszyli ojca zemstą bogów, krzyczeli, że ludzie nie zapomną. Ale Mieszko niczego się nie bał. Najpierw zniknęły posągi bogów, potem kapłani. Cicho i bez krzyku. Gaje zostawił. Cóż mogły mu zrobić drzewa? Więc ludzie przychodzili do pustych gajów, przynosili ofiary. Zobaczyli, że groch i kaszę, którą stawiają pod drzewem, wydziobują ptaki. Jabłka zjadały sarny. Miód zwabiał tylko osy. Zrozumieli, że odkąd zniknęły posągi, nie ma tam żadnych bogów, którzy przyjmują ofiary. Z czasem przychodzili rzadziej i rzadziej, aż przestali.

— Ciekawa historia — mruknął wprost do jej ucha. — Gdzie zniknęli kapłani?

Roześmiała się i ugryzła go pieszczotliwie w ramię.

— Taki duży, a taki dziecinny! Mieszko ich zabił. Tyle że nie urządził pokazowej rzezi, żeby nie burzyć ludu. Ot, wydawało się, że znikali jeden po drugim. Ktoś puścił plotkę, że nowy Bóg zwany Wszechmogącym ich pokonał. A że mój ojciec jest w swym kraju wszechmogący, to chyba jasne.

— A posągi?

— Stare drewno łatwo się pali. — Pogłaskała go po plecach.

— Co twój ojciec dostał w zamian? No wiesz, co dał mu ten nowy?

— Tak wiele, że trudno wymienić jednym tchem. Moją matkę, panią Dobrawę. Bolesława i mnie…

— Nie kpij. Wiesz, o co pytam.

— Dał mu nieograniczone niczym prawo do władzy nad swym ludem. Jeden Bóg, jeden władca. Wszechmogący pobłogosławił dynastii. Od dnia chrztu mój ojciec wygrywa wszystkie bitwy.

Erik się zaśmiał.

— Widzisz, Sigrido? Na końcu wszystko sprowadza się do zwycięstwa. Mnie pomaga Odyn, Mieszkowi Chrystus. Może i wasz Bóg nie bierze okupu w ludzkim życiu od królów, ale…

Chwyciła go za ramię i ścisnęła.

— Mężu, powiedz mi prawdę. Coś obiecał swemu Odynowi za zwycięstwo na polach Fyrisvellir? Słyszałam twego skalda.

Spojrzeli sobie w oczy. Wiedziała, że nie powie prawdy.

— Nie twoja rzecz, Sigrido. Nie mogłem mu obiecać czegoś, co do niego nie należy. Odyn nie jest twoim bogiem, moje ofiary nie są twoimi.

A jednak powiedział mi dużo — pomyślała, nie spuszczając z niego wzroku.

— Za kilka dni zwołam wojsko. Ruszymy na Svena, syna Haralda. Gdy wrócę, zabiorę cię do miejsca nad zatoką Mälaren, które zwą Sigtuną. Jeśli uznasz, że jest tam wystarczająco dużo czystego powietrza znad wody, każę zbudować nam nowy królewski dwór.

— I kaplicę! — dodała szybko. — Będę czekać na twój powrót, Eriku.

Gdy Wielki Ulf odprowadzał ją do alkowy, w halli panowała cisza. Goście jej męża spali pokotem na ławach i podwyższeniach wzdłuż ścian. Zza stołu podniósł się Bjornar, druh jej brata.

— Czy mogę zamienić z tobą parę słów, królowo? — spytał.

Obrzuciła hallę wzrokiem. Birgera nie było, pewnie przykładny mąż wrócił na noc do Thory.

— Możemy mówić tutaj — powiedziała. — Prócz nas i tych, z którymi przybyłeś, nie ma już nikogo, kto zna naszą mowę.

Dała znak Ulfowi, by się przysiadł i napił miodu.

— Twój mąż ruszy na…

— Nie wymawiaj nazw oraz imion. W każdym języku brzmią tak samo — przestrzegła go.

— Jak imię twego syna i…

— On wie? — spytała. — To dlatego przysłał mi rysie? W nagrodę za pamięć?

— Nie znam się na języku zakochanych, pani.

— Układa mu się z moją siostrą?

— Poroniła.

Powinna współczuć. Ale nie współczuła.

— A druga z mych sióstr?

— Pilnuje, by jej mąż był dobrym jarlem morskiej warowni.

— Przekaż jej, że tęsknię za nią. Gdyby mogła kiedyś opuścić czatownię u swego dziada, z radością bym ją gościła u siebie. Opowiedz mi o mym bracie. Trzecia żona!

— Żona druga. Mała Pryszczata, jak pamiętasz, nie dostąpiła dobrodziejstwa ślubu. Szalona i Dzika zmarła, a jej syn został na dworze. Ma piękne mamki, twój brat osobiście je dobiera. A nowa żona jest Słowianką z marchii łużyckiej. Dobra chrześcijanka i pani piękna jak zorza.

— Czy psy mego brata ją lubią? — Uśmiechnęła się przekornie.

— Psy, koty, konie, służba, stary książę i nawet jego jastrząb.

— Oho, to, jak słyszę, wielka miłość! A księżna Sopel Lodu?

— Nie zrobiła nowej pani żadnej przykrości.

— Może zaniemogła? Zaczynam się martwić o biedaczkę. Traci formę?

— Przeciwnie. Wiem, że jej nie pożałujesz, gdy doniosę, iż straciła młodszego z synów, zmarł na gorączkę dziecięcą.

— Zgadłeś! Nie wpadam w żałobę po jej miocie.

— Nie zdążyłabyś, bo już urodziła Jastrzębiowi kolejnego syna. Powiedzmy: pochłonęło ją macierzyństwo i urabianie księcia pana, by pomścił pamięć jej ojca.

— W tym ma sukcesy?

Bjornar zaśmiał się tak szczerze, jakby czas się cofnął i bawili się wszyscy razem na polowaniu w nadnoteckiej puszczy.

— Twój pan ojciec postanowił wykorzystać dobre wiatry i niesłabnące siły twego brata. Uderza na południe i krok po kroku zagarnia najbogatsze ziemie, wypierając swego niedawnego szwagra. Dość gdy powiem: kopalnie srebra, rudy i szlak handlowy.

— Śląsk zaodrzański! — pisnęła uradowana.

— Przegrałaś! — wytknął jej Bjornar. — Pierwsza powiedziałaś nazwę!

— Daj spokój. „Śląsk” brzmi dla mego ustrojonego bliznami stróża tak jak każde inne szeleszczące słowo naszej mowy. Ach, Stary Jastrząb! Stęskniłam się za jego zachłannością! Niedługo, dzięki memu mężowi, spełni się jego marzenie związane z rozbiciem panowania… — Chwilę szukała słowa na „Danię”.

— Kraj Rudobrodego — podpowiedział jej z szelmowskim uśmiechem Bjornar. — Młody król jest bardziej rudy niż ja.

— Nie wierzę. Musiałby być synem wiewiórki, a nie znam ludu, który by ukląkł przed rudą kitą!

— Więc twój mąż nie zawiedzie? — spytał Bjornar o to, od czego zaczęli rozmowę.

— Nie. Dla niego słowo raz dane jest jak dar, którego nie odbierze — poważnie odpowiedziała Świętosława.

Bjornar odetchnął z ulgą.

— Co mam przekazać twemu ojcu i bratu? — spytał miękko i ciepło, jakby sam był jej bratem. — Jak naprawdę żyje ci się we dworze, do

którego wiedzie droga między wysokimi kopcami pogańskich królów? Pod dębem, na którym wiszą truchła ludzkich i zwierzęcych ofiar? W cieniu świątyni Jednookiego?

Wzięła głęboki oddech. I odpowiedziała pytaniem:

— A co widziały twe oczy? Co słyszały twe uszy?

— Oczy widziały królową wikingów, strojną w klejnoty, jedwabie i drogocenne futra. Piękniejszą niż dziewczyna, która wsiadała na pokład „Wyniosłej Olbrzymki", statku ze złotym odyńcem na maszcie. Widziały jej syna traktowanego z szacunkiem należnym przyszłemu królowi. Uszy słyszały toasty na jej cześć, szczerą miłość i gorący podziw. Twój ojciec będzie z ciebie dumny, pani.

— To właśnie im przekaż.

Kiwnął głową. A potem puścił jej oko, nie jak poseł, lecz jak przyjaciel z dzieciństwa.

— Nie znam innego kraju, w którym zaletą królowej byłby jej ostry język i nieutemperowany charakter! Jesteś szczęściarą!

— Tak uważasz? — zapytała i uśmiech zniknął z jej twarzy.

Skinęła na Ulfa. Jego poorana bliznami głowa chwiała się na boki. Odprowadził ją do łożnicy i z ulgą przyjął zwolnienie ze służby.

Dusza przetarła zaspane powieki. Trzymała małego Olofa w ramionach, zasnęli w wielkim łożu. Świętosława dała jej znak, by nie wstawała.

Zrzuciła z ramion futro polarnych lisów i podeszła do klatki z rysiami. Podniosły łby jednocześnie. Patrzyły na nią nieufnymi, zielonymi i złotymi oczami. Wzięła do ręki miskę z mięsem. Wyschło od wieczora. Polizała strzęp surowej baraniny i wsadziła między pręty klatki. Rzuciły się na mięso, wyrywając je z palców. Wzięła drugi kawałek. Polizała i nakarmiła swe koty. Zjadły łapczywie. Karmiła je kawał po kawałku, aż kolana zdrętwiały jej od klęczenia na twardej podłodze. Wreszcie syte i ukojone

zaczęły mruczeć i przymykać oczy. Otworzyła klatkę i wsunęła do niej dłoń. Dotknęła miękkiego futra na jednym łbie, potem na drugim. Miauknęły. W tej samej chwili załkał Olof. Zamknęła klatkę i poszła do łóżka. Położyła się przy synu, podając mu pierś. Ssał łapczywie. Pogładziła go po łysej głowie, znacznie mniej przyjemnej w dotyku niż rysie, ciepłe futro.

— Chce, bym wiedziała, jak to jest kochać żywe zwierzę — powtórzyła słowa Olava, które przekazał jej Geivar.

Poczuła ukłucie w głębi łona. Zasypiając, myślała o wszystkich. Geirze, która poroniła. Szalonej i nieżyjącej żonie Bolesława. Jego pierworodnym, który wychowuje się bez matki. Eriku, którego tajemnicę przejrzała. Olavie, co stracił dziecko w łonie jej siostry i łowił dla niej dzikie, drapieżne koty, które ona miała okiełznać.

Rano wstała po cichu, by nie zbudzić syna. Na palcach podeszła do leżącego na ławie futra z rysia. Tego, którym tylekroć osłaniała plecy. Tego, które dawało jej poczucie siły. Złożyła je delikatnie i schowała do skrzyni. Nie może nosić skóry ze zwierzęcia, które powinna oswoić.

OLAV z ulgą opuścił domowe pielesze. Prawda, Mieszko czyniąc go namiestnikiem Pomorza Gdańskiego, dał Geirze i jemu w zarząd ziemie leżące wprost nad morskim brzegiem, nie powinien się więc uskarżać, że jest rybą wyjętą z wody. Ale nią był. Do jego zadań należało pilnowanie budowy portu u ujścia Wisły i strzeżenie wybrzeża przed ewentualnym najazdem. Żadnemu z obowiązków nie uchybił, lecz wypełnianie ich było ciągiem powtarzalnych czynności, które zamiast dać satysfakcję, wypełniały jego życie szarym pasmem nudy.

O ataku z północy nie było mowy; sojusz z Erikiem pieczętowała swym jasnym ciałem Świętosława. Piraci ze wschodu wyprawili się na jego wybrzeże raz, lecz wygłodniały walki, pognał ich aż za Truso i dopadł na

Zalewie Wiślanym. Chmura płonących strzał wypuszczona przez jego ludzi zamieniła łodzie piratów w płynące pochodnie, które na oczach dziesiątek zgromadzonych na wybrzeżu wieśniaków zatonęły, zostawiając nad wodą czarną smugę dymu. Po tym widowisku nazwano go „Ten, który pali łodzie”, a najazdy się skończyły. Mógł jedynie wyobrażać sobie, że oto wielki książę Mieszko wypowiada sojusz Erikowi i jemu powierza dowództwo nad flotą, która ma odebrać Świętosławę i rozgromić jej męża. Mrzonki. Mieszko nie miał floty. Odkąd wydał Astrydę za Sigvalda i zmarł król Harald, miał jomswikingów.

Jak równe uderzenia wioseł o wodę wracały w jego pamięci słowa Bolesława i Świętosławy: „Wyobrażaj sobie ojca, ale nie żałuj, żeś go nie miał. Nasz rządzi nami jak wojskiem”. Tak, Mieszko rozstawił ich wszystkich jak hufce zbrojne przed bitwą. Astryda i Sigvald pilnowali niespokojnego zachodniego wybrzeża. On i Geira wschodniego, które jak na złość było spokojne niczym cielak przy matce. Świętosława gwarantowała spokój na północy. Bolesław, zbrojne ramię ojca, zdobywał południe.

Dla Olava to było za mało. Miał przy sobie załogę. Vikarr, Torfi, Lodver, Ingvar, Orm, Ottar, Eyvind, Rafn, Thorolf i Omold skald zostali z nim. Varin był jego prawą ręką. Geivar został wodzem domu w Jom.

„Kanugård” dawno odzyskał sprawność. Budował i nowe łodzie, na wzór „Kijowa”, choć na początku, z braku doświadczonych szkutników, szło to opornie. Dopiero gdy Astryda podesłała mu kilku mistrzów od swego dziada z Wolina, kadłuby łodzi zaczęły nabierać kształtów. Miał ich dwanaście, dobre i to na początek. Szkolił żeglarzy, szukał dobrych załóg i ani na jeden dzień nie przestawał myśleć o Norwegii. Chciał być gotów. Pływał do Wolina i Truso, rozmawiał z żeglarzami, wypytywał. Wiedział,

że jarl Hakon w Lade trzyma się mocno. Lud kocha władcę, który zwycięża.

„I twój czas nastanie, kochany” — powtarzała Geira, widząc ściągnięcie brwi, którym witał te wieści. Czuł wobec Geiry wdzięczność; pomogła odnaleźć mu matkę. Sprawiła, że mógł ją uściskać, wziąć w ramiona i dowiedzieć się tego, co syn musi wiedzieć o ojcu, który zmarł przed jego narodzinami. Geira była słodka. Tak słodka jak miód jedzony łyżkami. Wszystko, co robiła, by zdobyć jego miłość, odbierało ją. A nadmiar wdzięczności ma posmak goryczy, lecz tego Geira zdawała się nieświadoma. Gdy poroniła, płakała i przepraszała go. On poczuł ulgę, ale z tego się żonie nie zwierzał. Wkrótce znów zaszła w ciążę i niczym dziecko, które zmienia nastroje, łzy zastąpiła radością bez umiaru. Na szczęście dla niego właśnie wtedy przypłynął Thorolf z wieścią, która dla Olava była niczym deszcz po zbyt długiej suszy.

— Wojna, wodzu! — krzyknął, gdy tylko stanął w świetlicy gdańskiego dworu.

Geira zadrżała i złapała się za wciąż płaski brzuch.

— Nie strasz mej żony, Thorolfie — powiedział Olav, ale oczy mu zalśniły. — Geiro, nie bój się! Wojna jest oddechem mężczyzny.

— Moim oddechem jesteś ty. Jeśli wypłyniesz, uduszę się!

Thorolf spojrzał na Olava zdumiony, wymamrotał przeprosiny i wycofał się.

— Nie mów tak. — Olav uspokajał żonę. — Nie znałaś mnie większą część swego życia.

— Nie pamiętam niczego, co było przed tobą. Błagam, nie zostawiaj mnie…

— Geiro, przyrzekałem wierność twemu panu ojcu — wyciągnął ostateczny, jak mu się zdawało, argument.

— A mnie ślubowałeś miłość! — krzyknęła przez łzy.

Nie miłość, lecz opiekę — pomyślał, choć nie mógł tego powiedzieć głośno.

— Wojna nie jest rzeczą kobiety, żono. Książę Mieszko mnie wzywa, wybacz — zakończył rozmowę i wyszedł.

Thorolf czekał na przystani.

— Zazdrościłem ci żony, wodzu, ale już nie zazdroszczę — powiedział wprost.

— Chyba nie jestem stworzony do stadła domowego — otrząsnął się Olav. — Mów, co wiesz.

— Król Erik podjął wyzwanie księcia Mieszka. Zbiera flotę i lada dzień ruszy na Danię. Mamy połączyć się z nim na Bornholmie, a potem dołączą do nas jomswikingowie.

— Zatem czas wypróbować nowe załogi i łodzie!

Dobrze było znów poczuć wiatr w żaglu! „Kanugård” skakał przez fale, jakby nigdy nie drasnął go sztorm. Tamten sztorm, który doprowadził Olava do Świętosławy. Wszystko kojarzyło się z nią. Teraz miał płynąć jako sojusznik u boku jej męża, a niech to!

Mieszko w tym czasie walczył na południu z dawnym szwagrem, księciem Czech, i Olavowi, jako swemu zięciowi, powierzył dowództwo i dyskretny dozór nad wyprawą. Ufał Erikowi, lecz ogrom obcych wojsk przy własnym wybrzeżu nigdy nie jest rzeczą bezpieczną, zwłaszcza gdy rozkład sił był tak niewspółmierny. Olav miał dwadzieścia łodzi. Jomswikingowie obiecywali pięćdziesiąt. Erik wystawił dwie setki. Ma gest!

— Ma gest! — Varin z podziwem strzyknął śliną, gdy majestatyczny „Złoty Odyniec” zakołysał się na wodzie, wiodąc za sobą tak liczne stado.

W południe Olav nie spuszczał z oczu Erika podczas odprawy wodzów, którą król, jako głównodowodzący, urządził w namiocie skrytym przed wichrem za skałami na bornholmskim wybrzeżu.

— Ty pilnujesz króla — szepnął mu Varin na ucho — ja ciebie, mój królu. Wybacz, ale nie pozwolę, byś zrobił coś, czego będziesz żałował.

— Skąd wiesz, że pożałuję? — równie cicho spytał Olav.

— Bo jestem starszy i mądrzejszy, panie.

Kiedy nikt ich nie słyszał, Varin nie powstrzymywał się od nazywania go „królem”. On i Geivar wiedzieli o uczuciu, jakim darzył Świętosławę. Skąd? Sam im nie powiedział. Geivar twierdził, że wystarczyło zobaczyć, jak na siebie patrzyli w dniu, w którym córka księcia odpływała z jarlem Birgerem z wolińskiej przystani. Teraz, kiedy stał na wprost Erika podczas odprawy, gdy mierzył wzrokiem potężną postać króla, nie mogąc odpędzić od siebie myśli, że łysy brodacz jest tym, który bierze do łoża Świętosławę, czuł na plecach dłoń Varina. Zaciskał zęby i skupiał się na wyprawie. Morze bywa zdradliwe, każdy to wie.

Wypłynęli nazajutrz. Dwadzieścia statków Olava, jedna dziesiąta tego, czym dysponował Erik, trzymało się na lewym skrzydle. Po drodze dołączył do nich zwiad jomsborczyków. On nie rozpoznał drakkara Geivara z daleka, ale dawny druh poznał „Kanugårda” po złotym wiatrowskazie na maszcie. Zbliżyli łodzie.

— Dobrze cię widzieć za sterem, przyjacielu! — krzyknął.

— I ciebie, Olavie! Sven zebrał posiłki w Skanii. Jak tylko miniemy Rugię, trzeba mieć się na baczności.

— Jakie może mieć siły?

— Moi zwiadowcy mówią o dwóch, nawet trzech setkach łodzi. Nie wiem, czy zdecyduje się na walną bitwę, czy będzie czyhał na nas od zatoki

do zatoki. Może też próbować wciągnąć nas na ląd i tam dopiero stanąć do walki.

— Gdzie Sigvald?

— Na „Zelandzkim Sokole”! Popłynie z tyłu naszych sił, na wypadek gdyby Sven postanowił wpuścić nas w pułapkę cieśnin i zamknąć odwrót.

Majestatyczne brzegi Arkony odbijały się białą skałą od morskiej toni. Czy do świątyni wojowniczych Ranów dotarła wyprawa cesarzowej, o której mówiło się od roku?

Wojny lądu, wojny morza, nie oszukiwał się, że walczy w swojej sprawie. Znów, jak u Wladimira, był najemnikiem wdzięczności. Gdyby chociaż pokochał Geirę, mógłby myśleć, że robi to dla niej. Miłość do Świętosławy była potężna, ale jej siła była jak sztorm albo lawina górska. Niszczycielska. Erik mógł zginąć, i co z tego? Kim byłby on, gdyby porzucił jedną siostrę dla drugiej?

Jego wzrok przeszukiwał zatoki, ręka wprawnie prowadziła „Kanugårda”, ciało nie zawodziło, choć umysł wrzał jak kocioł, pod który wciąż dorzucają płonące żagwie. Moje życie wciąż nie należy do mnie — ta myśl szarpała go jak drapieżnik pożerający ofiarę żywcem.

Mieszko polecił mu, by trzymał swe pochodzenie w ukryciu: „Jedyny potomek norweskiego tronu między siłami króla Danii i Szwecji to może być dla któregoś z nich zbyt silna pokusa. Nie stracisz nazwiska tylko dlatego, że go nie podasz. Teraz jesteś Olavem, zięciem księcia Mieszka, to wystarczający powód, byś był moim wodzem. Nie wystawiaj przeznaczenia na próbę, a dzień, w którym wystąpisz jako Olav Tryggvason, nastąpi szybciej, niż myślisz”.

Moje życie nie należy do mnie, ale mam wpływ na życie mych ludzi — jego oko wypatrzyło ruch przy załamanej linii wybrzeża.

— Statki na lewej! — krzyknął. — Tarcze na burtę!

Żagle jeden po drugim wynurzały się zza wysokich skał. Zdawały się nie kończyć. Długa linia różnobarwnych punktów. Gdy zbliżyli się do siebie na odległość dwóch strzałów z łuków, mogli rozróżnić tarcze.

— Thorgils z Jelling! Stenkil z Hobro! — wykrzywiali imiona nieprzyjaciół jomswikingowie Geivara. — Gunar z Limfiordu!

— Widzicie gdzieś łodzie Svena?

— Nie!

Olav sprawdził, co robi szwedzki król. Z prawej okręty pod znakiem złotego odyńca płynęły równo. Jego ludzie sprawnie zakładali wojenne tarcze na burty. Może o nim myśleć, co chce, ale wygląda na to, że Erik zna się na morskiej wojnie jak mało kto.

— Nie bój się, królu — szepnął mu do ucha Varin. — Nie zabraknie dziś dla nas bitki. To my przyjmiemy pierwszy cios.

Zaśmiali się, wciągnęli wilgotne, słone powietrze. Nie trzeba więcej słów; tęsknili za przelewaniem krwi.

— Łucznicy! — wydał rozkaz Olav i czekał, aż łodzie podpłyną, by nie topić strzał. — Teraz! Osłona!

Nie wątpił, że przeciwnik zrobi to samo. Ławice strzał minęły się w powietrzu i chwilę po tym, jak posłali swoje, w „Kanugårda” uderzył grad. Skryli się za tarczami.

— Łucznicy! — krzyknął Olav i mocno pociągnął ster, chcąc dobrze ustawić łódź. — Strzał!

Osłaniał go Ingvar i to on krzyknął:

— Wodzu! W prawe skrzydło wbijają Erikowi klin!

Olav skryty pod tarczą Ingvara przebiegł na drugą burtę. Tak. Na linię Erika płynął nowy, długi wąż okrętów, które pluły jadem strzał.

— Jest ich dużo, ale wciąż mniej niż naszych — ocenił Olav, wracając na swoje miejsce.

Geivar podpłynął blisko jego lewej burty.

— Widzisz tę długą łódź z końskim łbem na dziobie? — zawołał do Olava, przekrzykując zgiełk. — To „Piękna Gunhild”!

— Wygląda raczej na „Krwawą Dziwkę”! Ma dziobnicę zdartą, jakby całe życie szła taranem! — odkrzyknął mu Olav.

— Jej sternikiem jest stary jak grzyb Frorik z Fionii. Od dziecka kochał się w Gunhild, siostrze króla Haralda!

— Tej Gunhild?!

— Tej, druhu, tej!

Olav uchylił się przed strzałą, która świsnęła tuż przy jego piersi. Tej Gunhild. Krwawej wdowy, która wydała wyrok śmierci na jego ojca. Tej samej, która wysłała setkę zbrojnych w poszukiwaniu jego brzemiennej matki.

Jeszcze mocniej chwycił ster. Nie wystawiał przeznaczenia na próbę, nie prowokował losu. Swoje imię zdradził komuś, kto go nie powtórzy, Frorikowi z Fionii, wyjmując z jego piersi swój miecz.

— Gdzie król Sven? — spytał jego towarzysza, ostatniego żywego na „Pięknej Gunhild”.

— Nie ma go tu, panie! — Żylasty druh Frorika był tak stary, że nie czuł lęku.

— Gdzie Sven?! — wrzasnął Olav, chwytając go za kolczugę na piersi. — Uciekł? Stchórzył?

Staruch zaśmiał się i splunął.

— Przeciwnie, biały chłopcze! Rudy Sven wbije wam w rufy jomsborski miecz! Już po was!

Śmiech uwiązł mu w gardle. Umarł, nie zamykając oczu.

SVEN pod osłoną obodryckich łodzi swego dziada Mściwoja bezpiecznie wypłynął z rugijskiej zatoki, gdy tylko długi sznur okrętów króla Erika

przepłynął na zachód. Wierzył, że jego wodzowie poradzą sobie z pierwszym i drugim uderzeniem najeźdźców. Muszą wytrzymać, póki nie wróci z posiłkami. Jarla Hakona z Fionii, Thorgilsa z Jelling i Gunara z Limfiordu był pewien; wiedział, że mają dość sił, by odpierać ataki, i wystarczająco dużo sprytu, by nie dać się zabić. Jak sobie poradzą Ragn z Wysp, Stenkil z Hobro i inni? Jeśli dobrze pójdzie, wczesnym rankiem powinien już to wiedzieć, powinien przy nich być.

Wziął kurs na Jomsborg i „Krwawy Lis” pomknął po ratunek. Czasu nie było wiele. Poruszali się wzdłuż brzegu wyspy Uznam. Przy ujściu Świny naprzeciw nim wypłynął drakkar z jomsborskim wilkiem na maszcie. Sven nie miał powodów, by darzyć jomswikingów miłością, ale po raz pierwszy na widok kwadratowego pyska ich wilka poczuł ulgę. Na krótko.

— Gdzie jarl Sigvald? — zawołał.

— Czeka na ciebie, panie, w warowni morskiej!

— Mówisz do króla! — poprawił go Jorun, jego druh.

— Dobrze — spokojnie odpowiedział sternik jomsborskiej łodzi. — Królu! Wołają na mnie Ulle, płyńcie za mną!

— Coś tu śmierdzi — wymruczał Jorun to, o czym pomyślał Sven.

— Nawet jeśli, nie mamy wyboru, druhu. Bez jomswikingów nie pokonam Erika. Sigvald obiecał pomoc i nie może odmówić. O świcie powinienem pięcioma dziesiątkami jomsborskich łodzi uderzyć na tyły najeźdźców i zamknąć ich w śmiertelnym potrzasku.

Obejrzał się za siebie. Łodzie Obodrytów wciąż płynęły wokół „Krwawego Lisa”. Ich wartość w walce była znikoma. Nadawały się do łowienia ryb, nic więcej. A mimo to nieźle się natrudził, by choć tyle wyciągnąć od Mściwoja. Jego dziad się kończył. Miewał jeszcze chwile jasnego umysłu, lecz najczęściej jego myśli błąkały się po krańcach zrozumiałego świata. Wodzowie Mściwoja nalegali, by poślubił Mojmirę,

i z gniewem przyjęli odesłanie dziewczyny do domu. Nie uczyniłby tego, gdyby wiedział, że tak szybko będzie potrzebował ich pomocy. Śmierć Haralda, która miała wszystko zmienić, uruchomiła siły, jakich się nie spodziewał. Nawet jego przyrodnia siostra, płaska, długonosa Tyra, ochoczo stanęła po stronie opozycji. Dania jest tłustym kąskiem, który przyciągnął wiele głodnych drapieżców.

Wpłynęli do zatoki i po chwili znaleźli się przy żelaznych wrotach morskiej warowni. Straż z kamiennego mostu zawołała:

— Sternik i łódź?

— „Żmija” i Ulle. „Krwawy Lis” i król Sven! — zawołał jomswiking, który ich przyprowadził.

Piekielny zgrzyt kołowrotu i łańcuchów otwierających wiszące ponad nurtem wody drewniane wrota zagłuszył pytanie Svena. Gdy ucichł, Jorun je powtórzył, wskazując na obodryckie łajby:

— Co z nimi? Mamy ze sobą jeszcze dziesięć łodzi!

— Nie wpuścimy ich do warowni — spokojnie odpowiedział Ulle. — Poczekają na was w wolińskim porcie. U starego Dalwina nic nie ginie! — Zaśmiał się i dodał: — I piwo lepsze niż w Jom!

Poczekali, aż strażnicy otworzą drugą bramę, i wpłynęli w ciemną czeluść pod kamiennym mostem. Gdy tylko z niej wychynęli, Sven uważnie przyjrzał się nabrzeżu. Pospiesznie przeliczył łodzie. Pięć dziesiątek jak nic. Tyle mu wystarczy, odetchnął z ulgą. Zacumowali do długiego pomostu.

— Nie jest dobrze być samemu między żelaznymi chłopcami — mruknął Jorun, dyskretnie kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Nie jest dobrze, gdy król chodzi na żebry w czasie bitwy — odpowiedział mu Sven, schodząc na ląd.

Ku przystani szedł uśmiechnięty jarl Sigvald.

— Witam w Jomsborgu nowego króla Danii! Czekaliśmy z wieczerzą na ciebie, panie, i na twoich towarzyszy! Proszę do domu wodzów!

Za plecami Sigvalda nie było innych, znanych Svenowi dowódców. Ani Geivara, ani Thorkela Wysokiego. Ruszyli za Sigvaldem. Niepokój ani na chwilę nie opuszczał Svena. W sieni młodzi chłopcy czekali na ich broń. Sigvald pierwszy oddał swój miecz i nóż, nie przestając się przy tym uśmiechać.

— Poczęstunek przypłynął dziś z najlepszej wolińskiej gospody! Wędzone półgęski, udźce dzika pieczone ze śliwkami, marynowane śledzie. I co tu jeszcze mamy? Ach, węgorze! Moja żona, Astryda, osobiście dopilnowała kuchni. Nieczęsto nam się zdarza gościć króla. Ostatni?… — Na twarzy Sigvalda pojawił się przepraszający uśmiech. — Hmm, to raczej złe porównanie. Ostatni umarł na naszych rękach, ale to akurat było oczekiwane przez ciebie, Svenie, prawda?

Na zaproszenie gospodarza usiedli za stołem. Sven pamiętał, że w Jom nie było służby. Przy każdym nakryciu stał osobny dzban z miodem. Goście obsługiwali się sami.

— Dziękuję za wieczerzę — powiedział Sven, ledwie zaczęli jeść. — Doceniam starania, lecz nie przybyłem tu w gości. Czas nagli. Flota Erika wpłynęła na duńskie wody i być może teraz walczy już z moimi ludźmi.

— Mam to na uwadze, królu. — Sigvald podał Svenowi półmisek. — Posłałem za nimi moich zwiadowców pod wodzą Geivara.

— I? — Sven przełknął kęs pieczeni. Nie był głodny, jadł tylko z grzeczności.

— Śledzą ruchy wielkiej floty Szweda. Albo, jak wolisz, bitnej floty wielkiego Szweda.

— Obiecałeś mi pięć dziesiątek wojennych drakkarów, jarlu! — natarł Sven, dość mając tej gry słowem.

— Stoją na przystani, królu! — uśmiechnął się Sigvald. — Uzbrojone i gotowe. Czyżbyś nie zwrócił na nie uwagi?

— Ich miejsce jest na morzu! Płyńmy, zanim będzie za późno!

— Nigdy nie jest za późno. Wina? Arabscy kupcy przybyli na Wolin z ładunkiem pełnym płynnego złota. Skosztuj, panie.

— Jarlu Sigvaldzie, granica mojej cierpliwości jest bliska.

— Obiecałem pięćdziesiąt łodzi i mam je — uspokoił go wódz jomswikingów. — Zdrowie króla!

Sven wychylił kielich. Wino wydało mu się dziwnie cierpkie.

— Gdzie twój brat, Thorkel Wysoki? — spytał jarla.

Znał Thorkela i ufał mu o wiele bardziej niż Sigvaldowi.

— Nie ma go w Jom. Dostaliśmy zlecenie — wymijająco odpowiedział Sigvald. — Jak wiesz, królu, żelaźni chłopcy nie chwalą się tym, co robią. Mogę tylko powiedzieć, że misja Thorkela nie ma nic wspólnego z twoją sprawą. A, niech będzie! Popłynął do Anglii. Czy to cię uspokaja, królu? — Zdawało się, że Sigvald nie odstawiał kielicha.

— Sądziłem, że będzie walczył w mojej sprawie. Gdzie pozostali wodzowie domów?

— Geivar, jak wspominałem, śledzi ruchy Erika. Innych nie ma. Ja sprawuję całkowitą władzę w twierdzy.

— Nie obsadziłeś wodzami pozostałych domów? Dwa, jak słyszę, są wolne.

— Nie ma takiej potrzeby. Jeszcze wina? — Gospodarz sięgnął po dzban.

Sven potrząsnął głową.

— Dziękuję, wystarczy. Uczta skończona. Ruszajmy. — Sven wstał, a za nim Jorun i reszta jego załogi.

— Wybacz, królu, ale to ja jestem tu panem. — Sigvald przestał się uśmiechać.

— Zapominasz, jarlu, że mówisz do króla! — W głosie Joruna kipiał gniew.

— Jomsborg nie ma królów nad sobą. Pierwszym i ostatnim był Harald. Skonał w Uroczysku — odpowiedział Sigvald, nie ruszając się z miejsca.

Wciąż siedział, mimo iż Sven stał. Wymowa tego była dość oczywista.

— To groźba? — spytał Jorun w imieniu Svena.

— Nie. Stwierdzam fakt. — Sigvald odrzucił długie włosy na ramiona.

Sven zdawał sobie sprawę, że jeśli dojdzie do zwarcia, są bez szans. Jego dwunastu ludzi przeciw całemu Jom. Zresztą, nie po zwadę tu przypłynął, lecz po wojenne wsparcie. Ze wszystkich sił starał się okiełznać emocje. Powiedział:

— Wybacz, jeśli uraziłem twą godność, jarlu. Jestem królem wojownikiem, nie gładkosłowym dworakiem. Wiesz, co nas sprowadza, i zrozum naszą niecierpliwość. Proszę, daj mi obiecane pięćdziesiąt drakkarów, muszę niezwłocznie wypłynąć na ich czele z Jom.

Sigvald popatrzył na niego ze szczerym lub świetnie udawanym zaskoczeniem i wstał od stołu. Spojrzał mu w oczy, mówiąc:

— Źle mnie zrozumiałeś, królu Svenie. Obiecałem pięćdziesiąt długich łodzi i dotrzymuję słowa. Lecz nie było mowy o tym, że ty będziesz nimi dowodził. Jomswikingowie nie mogą pływać pod czyjąś komendą. Ja biorę dowództwo, a ty będziesz do zakończenia wojny moim gościem w Jom.

Jego ludzie zaszemrali. Jorun chciał sięgnąć po nóż; dopiero gdy dotknął pustego pasa, oprzytomniał. Sven zawrzał i krzyknął:

— Gościem czy zakładnikiem?! Z kim ty trzymasz, Sigvaldzie?

Podstępny jarl zaśmiał się krótko.

— Od ciebie zależy, panie, czy będziesz czuł się w Jom jak gość, czy jak zakładnik. Daję ci do dyspozycji dom wodzów. I mych ludzi jako twą straż królewską. Niczego ci nie zabraknie, o cokolwiek poprosisz, przyniosą ci.

Może z wyjątkiem kobiet, bo znasz nasze prawa, panie. A jeśli pytasz, z kim trzymam, to odpowiem ci, że najbardziej lubię trzymać w objęciach swą żonę, Astrydę. A teraz wybacz, panie, drakkary czekają.

Sigvald wyszedł. Sven ciężko opadł na ławę. Jorun nalał mu wina; smakowało jeszcze bardziej cierpko niż w czasie uczty.

— Padliśmy ofiarą dwóch zięciów Mieszka — ponuro powiedział Jorun. — Erik i Sigvald.

Sven przypomniał sobie, jak tu, w tej samej halli, Palnatoki robił dla niego przegląd córek księcia.

— A kim jest trzeci? — spytał. — Za kogo wyszła Geira?

MIESZKO miał wiele powodów, aby świętować, i tylko ból w krzyżu sprawiał, że wciąż odciągał w czasie ucztę, na którą już przybyli goście. Nie był w stanie podnieść się z łoża.

Oda zjawiła się w komnacie niemal bezszelestnie. Obserwował ją przez chwilę spod przymkniętych powiek. Postawiła na stole dzban świeżego miodu i bukiet kwiatów, położyła czysty ręcznik, brudny wrzucając do kosza z bielizną. Podeszła do drążka, na którym spał jego jastrząb, wyciągnęła ku niemu rękę. Ptak dziobnął lekko.

— Karmisz go, żono? — spytał.

— Nie spałeś? — wzdrygnęła się. — Nie, nie karmię, skąd ci to przyszło do głowy, mój książę… — Podeszła do łoża i przyjrzała mu się z troską. — Wciąż dokucza ci ból?

— Już mija — skłamał, patrząc na kształtne piersi rysujące się pod materią sukni. — Odpocznę i będziemy prosić gości.

Uśmiechnęła się z ulgą.

— Przybyła Astryda z kilkorgiem wolińskich ludzi — powiedziała, gładząc jego nieogolony policzek.

— Astryda? Wezwij ją do mnie, chcę pomówić z córką.

— Przed ucztą? — Przez jej twarz przemknęło niezadowolenie. Powściągnęła je szybko, dodając: — Jak sobie życzysz, mężu. — Po czym pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Tak się całuje starca — żachnął się w duchu, odprowadzając żonę wzrokiem.

— Książę! — Astryda zjawiła się szybko.

Wystarczyło na nią spojrzeć, by wiedzieć, że przywiozła dobre wieści. Postarał się podciągnąć i usiąść. Syknął z bólu. Astryda uklękła przy łożu i pomogła mu się unieść.

— Co z tobą, panie? — zapytała z niepokojem.

— Mówią, że starość nie boli — uśmiechnął się z wysiłkiem — więc to pewnie co innego.

— Pozwolisz obejrzeć?

— Jeszcze czego! Wystarczy, że Oda smaruje mnie jakimiś klasztornymi mazidłami, które równie szybko odbierają ból, jak jasność umysłu…

Astryda przyjrzała mu się tak uważnie, że parsknął śmiechem.

— Wszystko w porządku z moją głową, córko.

— Nigdy nie sądziłam inaczej, ale wiem, że są zioła, które koją ból kosztem jasności myśli.

— Miałaś skończyć z ziołami — zaprotestował ostro. — To dobre dla leśnych bab, ale nie uchodzi córce księcia. Twojej matce też nie pomogło.

— Nigdy o niej nie mówisz — przypomniała nieśmiało.

— Za to, im jestem starszy, tym częściej ją wspominam — powiedział nieoczekiwanie lekko. — Podaj mi miód.

Wstała, by napełnić jego kielich.

— Dalwin przesyła ci przeze mnie italskie wino.

— Dobrze, będziemy je pić podczas uczty. Jest co czcić, córko. — Wychylił łyk miodu i poprosił, by nalała sobie. — Wznieśmy toast za mój

największy sukces! Jestem rybakiem, co zarzucił sieć i przynętę. A cesarzowa Teofano połknęła ją i pomogła mi złowić tłustą, piękną rybę!

— Ojcze — oczy Astrydy zdradzały niepokój — nic nie rozumiem.

Zaśmiał się.

— Nie ty jedna. Myślę, że nawet Teofano nie wie, jak to się stało, że z jej błogosławieństwem i przy udziale saskich posiłków, które mi lojalnie przesłała, zdobyłem na Czechach Śląsk zaodrzański, Małopolskę z Krakowem, a teraz Bolesław kończy przyłączać do nas Morawy.

Uniósł kielich i upił drobny łyk miodu.

Mógłby za to pić tygodniami! Zwycięstwo na polu bitwy oszałamia. Serce bije tak głośno, że zagłusza krzyki. Krew krąży w ciele szybciej niż zwykle. Wzrok i słuch się wyostrzają, ciałem targają dreszcze podobne do tych, jakie mężczyzna czuje, gdy szczytuje w kobiecie. Ale to wszystko nic w porównaniu z radością, jaką daje tryumf dyplomatyczny.

Cesarstwo Ottonów: Teofano i jej świta. Willigis, Gizyler i cała reszta nadętych saskich panów, nieszczędząca mu nigdy okazywania, że jest kimś gorszym, barbarzyńcą, którego muszą tolerować w swych jasnych, marmurowych palatiach. Zaskoczeni tym, że gdy zajmowali się własnymi wojenkami, on, nie pytając nikogo o radę, a tym bardziej zgodę, z własnej nieprzymuszonej woli przyjął Słowo Boże i chrzest płynący z wody. Nie patrzyli na wschód, jakby na Odrze kończył się cywilizowany świat ludzi, a pas gęstych, ciemnych borów i puszcz oznaczał, że za nimi mieszkają dzicy. Nie widzieli go długo; aż pewnego dnia uświadomił ich arabski kupiec, że między Wisłą a Odrą włada on, Mieszko. Pan i wódz trzydziestu setek świetnie uzbrojonych pancernych i dziesięciu tysięcy lekkiej jazdy. Książę, z którego wojskiem nawet Sasi musieli się liczyć. I teraz, po latach wojen, udowodnił sobie i im, że jest nie tylko mistrzem bitewnego pola, ale i dworskiej intrygi.

Wychylił kielich do dna. Czas tak szybko mija. Trzydzieści lat sprawowania władzy minęło jak tydzień. Śmierć ojca, on i pochodnia, którą podpalił pogrzebowy stos. I śmierć jego braci, Czcibora i Dobroniega. Jego jastrząb był wtedy pisklakiem. To śmieszne, ale najpierw znalazł pisklę orła i postanowił, że nie pozwoli mu zginąć, odchowa je, nauczy polować. Ale jego orzeł… co się z nim stało? Właściwie dlaczego to nie orzeł, a jastrząb? Ach tak. Czcibor powiedział, że orła nie da się udomowić. Nie, nie Czcibor. Ktoś inny. Albo wtedy, gdy Dobrawa przyjechała do Poznania. Jej orszak zdawał się nie mieć końca, a ona…

— Uczta, o której wspominała księżna Oda, jest na cześć śląskich i morawskich zwycięstw? — Astryda uśmiechnęła się do niego oczami swej matki. Ależ z niej była niezwykła kobieta… Tylko jak ona miała na imię?… I kiedy to było?…

— Dolej mi, dziecko. — Podsunął jej kielich. — O co pytasz? — Twarz córki rozmazywała mu się, jakby płynęły po niej strugi deszczu.

— O ucztę, książę.

Nie, to nie deszcz rozmywał twarz Astrydy. To miód…

— Do licha! — Oprzytomniał i rzucił kielichem o posadzkę.

Astryda się zerwała.

— Co jest, ojcze?!

— Piłaś ten miód?

— Nie. — Pokręciła głową i powąchała zawartość swego kielicha. — Ale… masz rację, coś z nim nie tak. Może fermentował za długo?

— Pomóż mi wstać — zdecydował się.

Astryda podała mu ramię. Była zaskakująco silna jak na dziewczynę. Pociągnęła go i choć syknął z bólu, gdy stanął na nogach, nie pozwoliła mu z powrotem opaść na łoże. Wstydził się słabości przed córką, ale jeszcze

bardziej wstydził się tego, że miód rozmył mu umysł. Poprowadziła go do cebra z wodą stojącego w rogu komnaty.

— Lej na głowę! — rozkazał. — Szybko!

Nie żałowała. Chlusnęła z pełnego dzbana. Zimna woda zalała mu twarz, popłynęła po piersiach i plecach wzdłuż kręgosłupa.

— Jesteś w tym dobra — powiedział do niej.

— Nie raz pomagałam mężowi — roześmiała się dźwięcznie. — Po wodzie dobrze niesie dźwięk rogu. Jomswikingowie nie raz dęli w niego, wzywając swego wodza, gdy Sigvald kończył wieczerzę ze mną, na Wolinie.

— Jeszcze jeden dzban — zażądał. — Na samą głowę.

Otrząsnął się. Chłodne kolce kłuły go nawet pod powiekami. Z brody płynął strumień.

— Nie wypiłem dużo — powiedział, gdy wytarła mu twarz. — Tylko to, co przy tobie.

— Nie przejmuj się, panie. To źle sfermentowany miód, nic więcej. — Uśmiechnęła się, jakby chciała pokryć zakłopotanie.

Mówi do mnie „ojcze” tylko przy szczególnych okazjach — zauważył. I odpowiedział na pytanie, które zadała wcześniej:

— Tak, uczta na cześć wielkich zwycięstw. Małopolska, Śląsk, Słowacja i Morawy. Jest co świętować! A teraz mów, z czym ty przyjechałaś, bo widzę w twych oczach, że masz nowiny niecierpiące zwłoki.

— Siły duńskie pokonane. Wojska Erika dotarły aż do Hedeby i przejęły kontrolę nad portem. Wodzowie Svena rozproszyli się i przepadli bez wieści. Sam Sven jest zakładnikiem mego męża w Jomsborgu.

Przez moment zastanawiał się, czy umysł znów nie spłatał mu figla. Nie. Był trzeźwy. Ale chciał to usłyszeć jeszcze raz.

— Powtórz, Astrydo! — poprosił.

— Tak! Tak, ojcze! — wyrwało jej się. — Sven zakładnikiem w Jomsborgu. Erik, król Szwecji, rozgonił jego wojska i zajął Hedeby. Miałeś rację, wtedy, wiesz… — Zakłopotała się. Żadne z nich nie lubiło wspominać tamtej rozmowy. — Pamiętasz, co powiedziałeś? „Nawet jeśli Sven po rychłej śmierci swego ojca, Haralda, weźmie władzę w Danii wielkiej, to skończy w małej jak rybacka wioska”. Ojcze, miałeś rację! Każdemu ze swych dzieci wyznaczyłeś rolę i każde z nas wywiązało się z zadania.

Ból krzyża odszedł od Mieszka w jednej chwili. Zerwał się z ławy i chwycił głowę Astrydy w dłonie. Ucałował ją w czoło. Wzdrygnęła się.

— Gdzie są teraz moi zięciowie?

— Erik świętuje w Hedeby. Zbiera łupy należne zwycięzcy. Olav pilnuje Erika. Sigvald Svena, w Jom.

Odchylił głowę do tyłu i zaczął się śmiać pełną piersią.

— A wasz brat Bolesław zajmuje Morawy! Mówią, że mężczyzna powinien mieć wielu synów, a ja mówię, że nigdy dość córek! Kobiety to pomnożenie szczęścia! A zięciowie są siłą teścia i nie muszę się martwić, jak rozdzielić między nich swe ziemie, bo to oni mnożą moje zwycięstwa! Astrydo, będziesz siedzieć po mej prawicy na uczcie!

— Księżnej Odzie to się nie spodoba — powiedziała, chichocząc jak dziecko.

— Do licha z Odą, jej maściami, lekami i całą resztą! Tyś odgoniła ode mnie ból. Kiedy dasz mi wnuka? — zapytał wprost.

— Nie wiem — odpowiedziała szybko i patrząc mu w oczy, dodała: — Tytułu jarla jomswikingów się nie dziedziczy. Zresztą, jeśli mówimy szczerze, Sigvald nie nadaje się na ojca. A ja być może nie nadaję się na matkę. Przykro mi, książę.

— Rozmawiasz z ojcem — przypomniał jej.

— Przykro mi, ojcze — powtórzyła.

— Nie wykluczam, że masz rację, jeśli rozmawiamy szczerze — powtarzając za nią, uśmiechnął się smutno i usiadł. Chwycił Astrydę za rękę. — Lecz chcę, byś wiedziała, jak bardzo zależy mi na tym, żeby Geira urodziła zdrowe dziecko.

— Chcesz rozsiać dziedziców, ojcze — zrozumiała w lot. — Wnuk na tronie szwedzkim, wnuk na norweskim… Gdybyś miał jeszcze jedną córkę, wydałbyś ją za Svena, prawda?

Jest bystra — pomyślał, lecz nie odpowiedział wprost. Poprosił jak ojciec:

— Jedź do Geiry. Przyda jej się siostrzana opieka, gdy mąż daleko, na wojnie. A teraz czas na nas. Oboje musimy się przebrać, bo Oda nie wpuści nas w takich strojach na ucztę.

ASTRYDA opuszczała Poznań z lękiem o ojca. Odkąd pamiętała, potężne wały grodu wywoływały w niej uczucie, że wszystko, co otaczają, jest bezpieczne. Dzisiaj było zupełnie inaczej. Patrzyła na niebosiężne obwałowania i widziała tylko cień, jaki rzucają na wnętrze grodu.

Tu słońce nie dociera — myślała i w jej piersi budził się lęk.

Nie miała nikogo zaufanego na poznańskim dworze, nikogo, komu mogłaby powierzyć dyskretną opiekę nad Mieszkiem. Gdyby chociaż Bolesław! Ale on i wszyscy jego ludzie walczyli gdzieś na dalekich Morawach, a jego nowa żona zagospodarowywała pusty gród w Krakowie. Puściła umyślnych do Wolina i Jom z wiadomością, że zamiast do domu jedzie do Gdańska, do siostry. I z poleceniem Mieszka dla Sigvalda, by zażądał od Svena okupu za wolność.

„Nie możemy trzymać króla Danii w nieskończoność — zawyrokował ojciec. — Możemy jednak sprawić, że nigdy nie zasiądzie na tronie tak potężnym, jak Harald. Ośmieszymy go w oczach poddanych, każąc im

zapłacić za jego wolność. Zażądamy za niego tak potężnego okupu, że straci w ich oczach honor”. „Dlaczego nie każesz go zabić?” — zapytała. „Bo nie zabija się królów, dziecko!” — odpowiedział i zapamiętała to jak zaklęcie.

A gdyby tak wysłać zaufanego człowieka do Bolesława? — pomyślała. I upomniała samą siebie: — Co mu powiem? Że podejrzewam Odę, iż truje Mieszka? Przecież o niczym innym nie gadamy, odkąd została jego księżną! To temat wszystkich naszych okrutnych żartów. Ile razy upominałam Świętosławę, by tak nie drwiła? Tym razem to nie żart — podpowiedziała sama sobie. — Widziałam to, wąchałam zatruty lulkiem miód.

Im bardziej się bała, tym szybciej mknęła do Gdańska. Jednak ponure myśli ją doganiały, nie mogła im uciec. A jeśli Oda działa w dobrej wierze? Dodaje Mieszkowi lulek do miodu, by odegnać od niego ból? Ojciec nie chce okazać słabości, a ona nie chce pokazać mu, że wie, jak bardzo musi cierpieć? Woli dodać lek do miodu, niż dać mu do zrozumienia, że jest świadoma początku jego końca? Co nią powoduje? Miłość i współczucie czy?…

Galopada myśli przełożyła się na końską. W sześć dni dojechała do Gdańska. Zastała Geirę nad pustą kołyską.

— Co robisz, siostro?! — krzyknęła, zamiast się przywitać.

Geira wstała. Jasne proste włosy, niegdyś ciężkie i gęste, zlepiły się w szare, tłuste strąki. W jej oczach czaił się lęk.

— Astryda? To naprawdę ty? — wyszeptała spękanymi ustami. — Ach! Przyjechałaś, żeby mi… Co z Olavem? Coś z nim? Nie!… — Pokręciła głową. — Nie… on nie może! Nie wolno mu…

— Wszystko dobrze. Olav żyje, nic mu nie jest — mówiła do niej wolno jak do dziecka. — Przyjechałam do ciebie, siostro.

Nie może jej powiedzieć prawdy. „Przyjechałam dopilnować twego porodu”. Pamiętała Geirę z ostatniego spotkania, na Wolinie. Radosną, rozszczebiotaną. Nigdy wcześniej taka nie była. Poroniła w drodze powrotnej i ponoć przeżyła utratę boleśnie, ale teraz znów jest w ciąży. Wyraźny wzgórek brzucha rysował się pod jej suknią.

— Do mnie? Naprawdę do mnie? Sama z siebie? — Oczy Geiry nie dowierzały.

— Tak, siostro! — wykrzesała radosne westchnienie, choć nie było jej do śmiechu. — Będziesz mnie trzymać w drzwiach czy zaprosisz na wieczerzę?

Spędziły dobry wieczór, pełen śmiechu i wspomnień. Astryda przywoływała te najradośniejsze.

— Jak Świętosława postanowiła nocą spruć cały haft z chorągwi pana ojca?

— Och, tak! Po hafcie został ciemny ślad na materiale i rano wmówiła jego drużynie, że pili zatruty miód i oślepli!

— I chorąży Borzymir, nie chcąc się przyznać, że żłopał całą noc, oznajmił, że chorągiew jest jak zawsze i on pod nią pójdzie. Setka pancernych ruszyła na Wieletów pod sprutą chorągwią!

— Albo jak Świętosława wysmarowała strzemiona księżnej Ody miodem i gdy ta ruszyła na przejażdżkę, gnał ją rój os?

— Ach, Astrydo. — Z oczu Geiry płynęły łzy śmiechu. — Wszystko, co radosne, sprowadza się do niej. — Otarła oczy wierzchem dłoni i spoważniała nagle. — A dla mnie wszystko, co z nią związane, smutno się kończy.

— Nie rozumiem — skłamała Astryda.

— Ukradła mi męża.

— Jestem bardzo zmęczona po podróży i ty, jak słyszę, też. Nie gniewaj się, pójdę już spać.

— Ja nie bredzę, siostro. Wiem, co mówię.

Ja też wiem, co mówisz, ale nie chcę tego słuchać — pomyślała w panice.

— Olav nie mnie kocha, lecz ją — powiedziała Geira.

— Co mówisz, siostro… — wymamrotała Astryda, udając, że zamroczył ją wypity miód. — Daj spokój, chodźmy spać.

— Taka jest prawda! — z zawziętą miną rzuciła Geira. — Śpi ze mną, a śni o niej! Złowił dla niej rysie, wiesz? A mnie przyniósł z lasu jagody, jak dziecku!

— Widziałam was razem… Darzy cię głębokim uczuciem… — kłamała przerażona tym, iż jeszcze niedawno zazdrościła siostrze, że przynajmniej w łożu ma Olava.

Geira nagle się rozkleiła. Objęła ramionami brzuch i zaczęła łkać.

— On się tutaj dusi… To nie jest życie dla niego, wiem to! Ale gdy pomyślę, że mógłby odejść, wiem, że wolałabym śmierć…

— Geiro, Geiro! — Astryda zamknęła siostrę w ramionach i utuliła po raz pierwszy od przyjazdu szczerze. — Kiedy twoje dziecko powinno przyjść na świat?

— To jeszcze nie czas, jeszcze co najmniej dwie pełnie. — Geira pociągnęła nosem.

— Zostanę z tobą, chcesz?

Chodziły na długie spacery. Wdychały słone, morskie powietrze. Pilnowała, co siostra je, co pije i by nie wsiadała na konia. Razem wyglądały powrotu łodzi Olava. Przygotowały dom. Kolebkę dla dziecka. Astryda nie miała talentu do igły, ale uparła się i szyła kaftaniki z białego płótna. Gdy siostra wypoczywała, potajemnie chodziła na łąki. Zbierała pokrzywy, nagietki,

dojrzałe koszyczki rumianku, wonną szałwię. Wieczorami z uwagą gotowała korę dębu.

Powiedziała sobie: Dość tego. Zioła mówią do ciebie, użyj ich! Pomóż tej nieszczęsnej dziewczynie spełnić własne marzenie i marzenie Mieszka, by tu, w gdańskim dworze, przyszedł na świat jego dziedzic. Ich syn.

Owszem, chwilami dopadała ją myśl, że gdyby Geiry nie było, Mieszko nie dopuściłby do tego, by Olav był sam, i wtedy ona… Ale trzeźwiała natychmiast jak pod strumieniem lodowatej wody.

Nie ja tkam nici żywota — mówiła sobie. — Nie mnie je plątać, wiązać i wić.

Pozwoliła ziołom przekazać sobie ich moc, lecz wciąż jeszcze nie dopuszczała do siebie wizji i snów. Nadal kazała służbie palić ogień w swej komnacie w nocy. Budząc się, patrzyła w światło i pryskały najjaskrawsze sny. Nie pamiętała nic, nawet okruchy nie zostawały w oku. Tylko to, co może się przydać biednej Geirze — powtarzała sobie dzień i noc. — Robię to tylko dla niej.

Nieprawda. Potajemnie marzyła, że gdy szczęśliwie sprowadzą na świat jej dziecko, wróci do Poznania i pomoże ojcu, czy Stary Jastrząb tego chce, czy nie. Wezwie Bolesława, powie mu: „Bracie, wracaj!” i wspólnie dopilnują ostatnich dni wielkiego księcia. Niech śmierć będzie jak życie, zwycięska i godna! Wszystko to było ważniejsze niż pilnowanie Sigvalda w Jomsborgu, niż chodzenie do łoża z mężczyzną, którym się gardzi, znając jego mroczne tajemnice.

— Pani Astrydo!… Pani… zaczęło się!…

Głos służki wybił ją ze snu tak nagle, że nie zdążyła po otwarciu oczu spojrzeć w ogień. Spojrzała w mrok, który spowijał komnatę. Pod powieki napłynęła krew.

Zerwała się na równe nogi.

— Co jest?

— Pani Geira zaczęła rodzić!… Woła cię, pani…

Zgarnęła zioła jednym zamachem ramion i uderzając bosymi stopami w posadzkę, pobiegła do siostry.

— Geira, nie! Jeszcze za wcześnie! Nie wolno ci!

Geira była spocona i blada jak płótno. Oddychała ciężko. Spomiędzy jej nóg płynęła krew. Astryda szybko podała jej odwar z krwawnika i rdestu na zahamowanie krwawienia i mak na sen. Sen przyszedł, ale nie zatrzymał porodu. Dziecko wypływało w falach skurczów spomiędzy jej ud. Astryda śniła z otwartymi oczami sen, którego nie zdołała zapomnieć. We śnie była ptakiem. Szarą czaplą, która leciała między obłokami ku złotemu światłu w przestworzach. Światło nie było słońcem, okazało się płaszczem złotej bogini zwisającym z wielkiego tronu w Sessrumnir, pałacu Frei w pięknej krainie Folkvanger.

Złota Freya — jęknęła Astryda w swym śnie. — Moja matka nosiła broszę z wizerunkiem bogini. Kobiety Północy składają jej dary o szczęśliwy poród.

Najpiękniejsza z bogiń i kochanka bogów, wygodnie rozparta na rzeźbionym tronie, przyglądała się jej spod złotych rzęs.

— Podobasz mi się! — powiedziała, a jej uśmiech zdał się Astrydzie kpiący. — Lecz ona nie! — Złotym palcem wskazała na rodzącą w krwawym śnie Geirę. — Gęś nie może wysiedzieć orlego jaja, rozumiesz, czaplo?

— Rozumiem — powiedziała. — Lecz chciałabym jej pomóc, Najpiękniejsza!

— To pomóż jej. — Złotooka bogini uśmiechnęła się łaskawie. — Wiesz jak…

Podmuch wiatru strącił Astrydę z jasnego Sessrumnir Frei wprost do alkowy Geiry.

Wylądowała u jej łoża, choć wcale się od niego nie ruszała. W dłoniach trzymała maleńką, zakrwawioną główkę dziecka, które wciąż tułowiem tkwiło w łonie siostry, jakby wzbraniało się przed wyjściem na świat.

„Wiesz jak” — odbił się w jej czaszce głos bogini.

Geira otworzyła oczy, były całkowicie przytomne.

— Jego nasienie mnie parzyło — wyszeptała z trudem. — Było dla mnie za mocne. Nie potrafiłam go utrzymać… nie umiałam go znieść, choć kochałam go tak mocno, bardziej niż życie… Odchodzę, siostro… — Dotknęła jej ramienia i spojrzała prosto w oczy Astrydy. W źrenicach Geiry wrzał dziki lęk. — Boję się, Astrydo, bo dokoła widzę tylko mrok…

— Wracaj! — szepnęła Astryda, choć wiedziała, że to daremne.

Gęś, orzeł, jajo. W jej rękach wciąż była główka małego Orła. Pociągnęła za nią lekko. Ostatnim skurczem życia Geira wypchnęła dziecko wprost w ramiona siostry. W ślad za niewielkim ciałkiem chlusnęła ciemna, gęsta krew.

— Chłopiec! Książę ojcze, to wnuk! — krzyknęła radośnie i zaraz przygasła.

Dziecko było sine jak pisklę wyrzucone z gniazda. Miało zaciśnięte powieki, usta i pięści. Wisiało na sznurze pępowiny jak na szubienicy Geiry.

— Siostro, siostro! — załkała Astryda, tuląc sinego chłopca do siebie. — Zakochałaś to dziecko na śmierć.

Nie pozwoliła wezwać szarych sług, kobiet, które zajmują się umarłymi. Nie chciała się nikim wyręczać w ostatniej drodze. Chciała przejść ją z Geirą i jej dzieckiem. Kazała służkom nagotować wody. Nosiły ceber za cebrem. Myła siostrę. Jej piękne, jasne włosy. Oczy, co umiały płakać

i patrzeć w zachwycie. Ciężkie piersi, w jakich zamknęła mleko, którym nie wykarmi syna. Brzuch, co w tej samej chwili stał się gniazdem życia i śmierci. Oddawała jej siostrzaną, miłosną posługę, chcąc odkupić każdą z małych, podłych zazdrości. Ale w tym obrządku śmierci tkwił dla niej początek nowego życia. „Wiesz jak” — powiedziała Freya w noc, która przyniosła im śmierć. Wiedziałam czy nie? — pytała siebie Astryda, szukając odpowiedzi w martwym ciele Geiry. W sinych plamach, które wykwitały na jej pośladkach i plecach. W zaostrzającym się z chwili na chwilę wyrazie twarzy. Co ja wiem o życiu i umieraniu? Mam sny, które przepędzone przed laty wróciły dzisiejszej nocy. Ale to tylko sny, wizje, nic więcej. Jaką korzyść mogą przynieść sny? Z pamięci niczym larwy wychodziły zasłyszane gdzieś słowa: „kosmyk włosów na szczęście w miłości”, „łożysko na gładką cerę”, „trupie paznokcie na wrzodziejące rany”, „język noworodka na…”. Odpędzała je. Zabobony. Szepty staruch. „Weź chociaż przyrodzenie dzieciaka!…” — zachichotało jej w głowie. Wzdrygnęła się. Skąd ona to wszystko pamięta? Dlaczego w takiej chwili przychodzą do głowy tak paskudne myśli? „To ty — syknęło jej pod czaszką. — To ty”.

Geira bała się śmierci, widziała wokół siebie mrok i część tego mroku została w tej izbie — pomyślała Astryda. — Muszę skończyć to, co zaczęłam.

Wyjęła ze skrzyni ubranka, które uszyły dla dziecka. Odzianie małego, sztywnego ciałka nie było trudne. Gorzej było z ubraniem siostry. Twarz Geiry zmieniała się z chwili na chwilę. Policzki się zapadały, nos prosty i mały za życia, po jego odejściu przeobrażał się w ostry, ptasi dziób. Utknęła z suknią. Nijak nie mogła włożyć sztywnych ramion siostry w jej rękawy. Przerosło ją to, uklękła bezradnie przy łożu.

— Jednak trzeba było wezwać szare sługi — jęknęła.

Ale gdy spojrzała w górę, na bladosine ciało siostry, wzięła się w garść. Nie, nie podda się. Poszła po nożyce i rozcięła suknię. Ubrała Geirę i na niej zaszyła ubranie. Zaplotła jej włosy, nałożyła zausznice. Pierścienie z trudem przechodziły przez sztywne palce. Gdy skończyła, wezwała dziewczęta służebne, by posprzątały izbę.

— Och!… Pani wygląda tak pięknie, jakby spała! — zaszlochała ta, która weszła pierwsza.

Nieprawda — pomyślała Astryda. — To ułuda klejnotów i stroju. Kobieta, która leży w tym łożu, była piękna za życia, a teraz odeszła w jakiś zimny mrok, którego się bała. To straszne, jeśli ostatnim uczuciem odchodzącego życia był lęk.

OLAV dowiedział się o śmierci Geiry dopiero, gdy przybił do brzegu, ale też nie od razu. Dziwił się później, że życie tak szybko wraca do normy, jakby chciało jak najprędzej przykryć śmierć. Na przystani wszystko było jak zwykle. Rybacy naprawiali sieci po porannym połowie. Kobiety kupowały ryby, targowały się o nie, kłóciły. Dzieciaki z krzykiem toczyły wzdłuż brzegu starą, dziurawą beczkę. Szczekał pies. Zacumowali „Kanugårda” i wyrzucali z pokładu na pomost ładunki. Skórzane śpiwory, koce, broń. Łupy, a jakże. Po chwili na przystani zaroiło się od gapiów.

— Wrócili! — powtarzano sobie z ust do ust. — Wrócili!

— Mój przypłynął? — krzyczała piskliwie jakaś kobieta. — Widzicie go? Jest mój? Cały i zdrów?

— Pan Olav przypłynął — odkrzyknął jej ktoś i dopiero wtedy na przystani zapanowała cisza. Martwa cisza.

— Ten, który pali łodzie — zaszemrały dzieci.

Odgarnął brudne włosy z twarzy i spojrzał w tłum. Nie Geira czekała na niego, lecz Astryda.

— Znów ty jesteś tą, która mnie wita? — Uśmiechnął się na jej widok.

Przemknęło mu przez głowę, że żona Sigvalda podoba mu się znacznie bardziej niż własna. Ciemnowłosa, nie tak harda jak władająca jego pożądaniem Świętosława, lecz podobnie do niej nieco władcza. Geira była tylko zaborcza. Pożałował tej głupiej myśli już po chwili.

— Twoja żona i syn nie żyją — oznajmiła mu na środku pomostu, pośród tłumu. — Pogrzebaliśmy oboje przed miesiącem. Nie mogliśmy czekać dłużej, wybacz.

Patrzyła na niego ze współczuciem, a on choć rozumiał, co powiedziała, odpowiadał jej pustym bezmyślnym spojrzeniem.

— Geira i?…

— Syn. Zmarła w czasie porodu. Dziecko nie przeżyło.

Gdy wypływał na wojnę przeciw Svenowi, Geira opętańczo płakała.

— Błagała mnie, bym nie zostawiał jej samej — powiedział wieczorem Astrydzie.

Jego głos zabrzmiał głucho. Siedzieli przy ogniu, w komnacie Geiry. W kącie stała pusta kołyska. Łoże Geiry odarte z sienników i pościeli straszyło szkieletem do czysta wyszorowanych desek. Nie zaznał rozkoszy w tym łożu, choć jego żona robiła wszystko, by mu ją dać. Owszem, jej ciało było pachnące i ciepłe, ale nigdy nie zdołał poczuć do niej czegoś więcej niż wdzięczność, że pomogła mu odnaleźć matkę. Patrząc na nią, wiecznie porównywał ją do Świętosławy. Nigdy nie zdradził się ani słowem, ale obawiał się, że jego oczy nie umiały łgać.

— Bym nie zostawiał jej samej — powtórzył.

— Przestań — odpowiedziała Astryda znużonym głosem. — To nie twoja wina.

— Moja, Astrydo. Ja chciałem ją zostawić — powiedział prawdę. — Mierziło mnie życie domowe. Dusiłem się w nim. Geira była jak… kotwica. Trzymała mnie.

— To nie Geira cię trzymała, lecz Mieszko. On nas wszystkich tak urządził — dodała ponuro. — Napijmy się.

Przyjrzał się Astrydzie z niepokojem.

— Czy ty nie wypiłaś już za dużo? — spytał.

— Bo co? — żachnęła się. — Bo mówię szczerze? Kocham mego ojca, ale to nie powód, bym miała kłamać. Wiem, co powiedziałam, i nie wycofuję się. Świętosława kochała ciebie, ty ją…

— Przestań! — syknął na nią. — Jesteśmy w sypialni mojej żony!

— Geira nie żyje i tam, dokąd poszła, jest jakiś zimny mrok! Nie słyszy nas i nie widzi, a jeśli nawet, to przynajmniej po śmierci należy jej się szczerość. Zresztą, ona wiedziała, że ty i nasza siostra… powiedziała mi.

Astryda sięgnęła po dzban. Olav łagodnie wyjął go z jej ręki i sam jej nalał, niedużo. Potem odsunął dzban dalej od niej. Nie powinna już pić.

— Nie by-liś-cie sobie prze-zna-czeni — wymamrotała i wypiła łyk. — Gęś nie może wysiedzieć orlego jaja. — Uniosła kielich jak do toastu, a potem uderzyła nim o stół. Odrzuciła go daleko i zasłoniła twarz ramionami. — Mimo to żal mi jej, Olavie. Była gęsią, ale moją siostrą, i tak mi jej żal, żal, żal… Gęś w mroku. Przeraża mnie ten mrok…

Powinien objąć szlochającą kobietę, ale tego nie zrobił. Podjął decyzję, że już nigdy więcej nie obejmie żadnej kobiety z litości.

Astryda kołysała się, zasłaniając twarz. Wiedział, co o niej szeptano. Że steruje jarlem Sigvaldem, jak chce. Że jej matka, Urdis, była wieszczką, która przepowiedziała młodemu Mieszkowi wielką przyszłość i zobaczyła w niej swą córkę i śmierć. A potem zmarła przy porodzie — tak opowiadali najstarsi wikingowie z Jom.

Moja żona też zmarła przy porodzie — gorzko pomyślał Olav. — Wszystko to bujdy.

Napił się. Powinien chociaż żałować syna, poczuć coś, ale nie czuł nic. Nawet pusta kołyska nie chwytała go za gardło. W Hedeby, gdy zdobyli port, Erik wyprawił ucztę dla zwycięzców. Duża setka pijanych wikingów rzucała toastami w wielkiej malowanej halli zwanej Jasnym Horyzontem. Był wśród nich, krążył jak dziki ryś. Ten, którego tropił dla Świętosławy. Zamiast rysia znalazł jego samicę odchowującą spore koty. Nie chciał jej zabijać; pierwsza rzuciła się na niego z pazurami. Do dziś nosi jej ślad na lewej piersi. Nie zdążył wyjąć noża, wielka kocica dusiła go łapami zbrojnymi w pazury jak hartowana stal. Syczała na niego, a z białych kłów płynęła ślina. Złapał ją za gardło. Przetaczali się w uścisku jak drapieżni kochankowie. Widział tylko jej złotozielone ślepia, piękne i nieokiełznane jak oczy Hardej. Udusił ją. Był od niej silniejszy. A potem złapał jej młode i zamknął w wiklinowej klatce. Świętosława przeżyła sztormową podróż do Uppsali, więc jeśli rysie są jej godne, też przeżyją.

W Jasnym Horyzoncie toast gonił toast. „Za Sigridę Storrådę, panią naszego króla! Dumną i piękną, co dwa rysie prowadzi na smyczy!” — ryknął bezwłosy olbrzym o pooranej bliznami twarzy. Ludzie Erika odpowiedzieli mu pohukiwaniem i pili za nią do dna. Sam król o swej żonie mówił: „Złotowłosa jak Freya, piękna jak Freya, odważna jak Freya”. Nie miał daru wymowy, wielki łysy wielkolud, ale Świętosława kojarzyła mu się wyłącznie z boginią, tak jak i jego ludziom. Olav nie mógł się uwolnić od myśli, że wielkie łapy króla trzymały ją w ramionach, dotykały jej, podawały kielich.

Tamtego wieczoru Olav nie miał wielkiego wyboru. Mógł się albo od razu upić, albo wyjść. Został i pił, a Varin nie opuszczał go ani na krok. Był niczym cień i gdy tylko Olav dotykał noża, palce Varina oplatały mu dłoń. Trzeźwiał od ich uścisku.

— Przeraża mnie ten mrok, który otoczył ją w momencie śmierci — powtórzyła Astryda i Olav otrząsnął się ze wspomnień.

— Napijmy się, siostro — powiedział, choć chwilę wcześniej nie chciał, by piła więcej.

— „Boję się, siostro”, wyszeptała do mnie, gdy oddawała ostatnie tchnienie, i prześladuje mnie jej mrok. — Astryda uniosła twarz. — Chciałam go rozjaśnić, lecz nie potrafiłam.

— Może powinnaś użyć swych mocy? — podsunął. — Dlaczego się ich lękasz? — Wyciągnął do niej dłoń i pogładził jej włosy w kolorze płynnej żywicy.

ASTRYDA strąciła rękę Olava ze swej głowy. Niepokoiła ją bliskość mężczyzny ze snów, nawet jeśli dziś wieczór oboje opłakiwali śmierć Geiry. Opłakiwali? Raczej opijali. Padło wiele słów, lecz ani jedna łza. Byli ze sobą szczerzy, póki nie zmuszał jej do mówienia o sobie.

Więc jest szczery — zachichotała w niej jakaś wredna dziewczynka. Ta sama, która na jego widok miękła, która gotowa była dotykać z czcią każdego pasma jego białych, długich włosów. Klęknąć przed nim i wyszeptać…

Cokolwiek czaiło się na czubku jej języka, nie było godne wypowiedzenia w sypialni zmarłej siostry.

— Nie lękam się — odpowiedziała. — Po prostu nie jestem pewna, czy ta moc jest prawdziwa. Czuję ją, lecz nie potrafię jej użyć. Nie umiałam pomóc Geirze — wyznała szczerze.

— Nikt nie umie pomóc niespełnionej miłości — odpowiedział, patrząc wprost na nią jasnymi jak zimowe niebo oczami.

Zamilcz! — zapiszczała w niej ta rozkochana, głupia dziewczynka.

— Daj spokój — odpowiedziała.

— Wydajesz mi się zamarzniętą falą. Taką, którą mróz ściął zimnem w chwili najwyższego uniesienia — powiedział.

Roztop mnie! — jęknęła dziewczynka.

— Naprawdę chcesz, bym rzuciła kości na los? — spytała, wiedząc, że zrobi to pierwszy raz.

— Chcę, Astrydo — odpowiedział Olav i nie było wyjścia.

Jego oczy pałały światłem północnego lodu, przed którym nie było sprzeciwu. Po raz kolejny poczuła współczucie wobec Geiry. Skoro jego oczy mogły ukłuć, rozumiała, dlaczego jego nasienie parzyło.

Zagarnęła swój kielich i wypiła do dna. A potem sięgnęła do woreczka przy pasie i wyjęła kości znaczone rytem run.

— Pytaj! — zawołała, zaciskając na nich dłoń.

— Dokąd poszła Geira?

Jej palce wyłuskały tę kość, która zapulsowała w dłoni ciepłem. Wyrzuciła ją.

— W wieczną noc.

— Jak rozproszyć jej mrok? — spytał Olav. Jasne włosy przesłoniły mu twarz.

Kości się skleiły i wyrzuciła dwie.

— Słowo i woda. Mądrość i moc.

— Gdzie je znajdę?

— Na zachodzie! — Spojrzała na kolejną wyciągniętą kość.

— Jak poznam, że są prawdziwe?

— Naga skała i pies — wyrzuciła z siebie.

— Co się stanie, gdy je przyjmę? — Jego oczy przeszywały ją niebieskim blaskiem.

— Tron będzie twój — powiedziała.

— A ona?

Wyrzuciła pustą kość. Pochyliła głowę.

— Mów! — zażądał jak król.

— Wyrd — wymamrotała z trudem. — Pusta kość. Przeznaczenie, które człowiek stwarza sam.

Głowa opadła jej na ławę. Runy wyły dla niej swą dziką pieśń. Olav za włosy podciągnął ją w górę, sycząc:

— Powtórz, siostro!

— Sam stworzysz swój los, w chwili gdy przyjmiesz chrzest — wymamrotała.

Dziewczynka w niej zaskomlała:

— Pocałuj mnie, pocałuj!…

Usłyszał obie. Pocałował ją w czoło i pogłaskał po włosach, nie widząc, że jego dotyk działa na nią jak rozpalona pieczęć. Głowa Astrydy delikatnie opadła na wyrzucone kości.

Ostanie słowa Olava słyszała jak przez mgłę.

— Nie ma kamienia w wodzie. Kotwicy, która trzymała mnie w tej przystani. Płynę po swój los.

ŚWIĘTOSŁAWIE podobała się Sigtuna i nowy dwór wybudowany na wzgórzu z widokiem na zatokę Mälaren. Owszem, w okolicy był gaj, w którym składano ofiary starym bogom, ale na tyle daleko, że nie widziała go, stojąc przed swym dworem, i nie musiała obok niego przejeżdżać w drodze do domu. Kaplica, obiecana przez Erika przed wyprawą na Danię, nie była częścią dworu, jak w poznańskim palatium, ale osobnym, niewielkim budynkiem. Nie odznaczała się szczególną urodą, nie miała porównania do rozmachu poznańskiej katedry, którą ojciec zaczął wznosić, nim opuściła rodzinny dom, ale należała do niej. Była kaplicą Świętosławy. A że była mała? No cóż, pewnie modlić się tu będzie tylko ona i jarl Birger.

Czekała na nią tak długo, że drżała z radości na samą myśl o przekroczeniu jej progu.

Gdy budowa niemal dobiegała końca, okazało się, że dostanie i mnicha. Erik przywiózł go z Danii jako jeden z licznych łupów wojennych dla żony. Klejnoty, sukno, futra i mnich imieniem Ion. Tyle że klejnoty i futra dobrze zniosły podróż, a Ion poważnie się rozchorował i doszedł do siebie dopiero, gdy kaplica była gotowa. Już po pierwszym spotkaniu wiedziała, że Ion jest podarunkiem tyleż cennym, co dziwacznym. Starannie wygolona tonsura, gładkie policzki, które nawet po chorobie nie straciły lekkiej pucołowatości. Oczy żywe, skłonne do mrugania. Habit wystrzępiony, lecz czysty. Przedstawił się jako benedyktyn i gdy poprosiła, by opowiedział o sobie, zaczął mówić na jednym tchu:

— Byłem u świętego Apolinarego pod Rawenną, to w Italii, królowo, klasztor wielki jak góra, nieopodal port, cuda, królowo, cuda, trzy owieczki na sklepieniu kościoła, Jan, Piotr i Jakub, ach, najszczęśliwsze dni mego żywota, gdy ordo et pax, i dlaczegóż, ach, dlaczegóż mnie pokusiło? Z Romualdem, weneckim dożą Piotrem Orseolo i opatem Guarinem ruszyłem jako czwarty, cztery — liczba apostolska, poszliśmy do południowej Francji, do Saint-Michel de Cuxa, wielkie góry, królowo, Pireneje, i jeszcze nie było źle, godzinki, psalmy, życie klasztorne, ale tam Orseolo oszalał i w lesie założył erem! A Romuald i Guarin poszli za nim, więc musiał i Ion, ja to Ion. Ale, królowo, ja jestem człowiekiem pracy i modlitwy, ora et labora, tak, tak, na Boga, lecz nie korzonki! Korzonki, królowo, oddaliły mnie od Boga, a samotnia eremu dobiła niczym rzymski gwóźdź Zbawiciela do krzyża, puk, puk…

— Ojcze Ionie, co robiłeś w Danii? — przerwała potok słów wypływających z jego ust.

— Uciekałem, królowo! Przed strasznym gniewem Romualda. On i Orseolo nie uznają w człowieku słabości. Nie rozumieli, że ja potrafię chwalić Boga przy kielichu i wędzonej szynce. Przy pieczonej też. Oni zaś tylko przy korzonkach i wodzie. A mnie przy korzonkach nie staje…

— Z tego, co wiem o mnichach, tobie nie musi, Ionie — surowo oceniła Świętosława.

Zastanawiała się, czy Ion jest jednym z szalonych mnichów, o których opowiadano w Poznaniu, czy jest po prostu wariatem.

Zmieszał się, ale tylko odrobinę.

— Nie musi, pani, lecz może. Pan Bóg wysoko ceni wyrzeczenia, a do klasztorów nie przyjmujemy kalek. Królowa rozumie, że mężczyzna, któremu przyrodzenie odmawia posłuszeństwa, jest kaleką.

— Jarlu Birgerze, co sądzisz o ojcu Ionie? — spytała, krytycznie przyglądając się mnichowi. Nawet jego wyszorowane dłonie przykuły teraz jej podejrzliwą uwagę.

— Nie nam oceniać osobę duchowną, pani — niepewnie odpowiedział Birger.

— Uważasz, że naprawdę przebył tak daleką podróż? Że był w tych wszystkich miejscach, o których opowiada?

Birger uniósł brwi i nie zdążył się odezwać.

— Byłem i w innych, o których nie zdążyłem królowej opowiedzieć — wtrącił się szybko Ion. — Lecz przyznam szczerze, nigdzie nie spotkałem królowej, która na smyczy prowadzi dwa rysie. Trochę się ich boję. Choć, jak rozumiem, skoro pani Sigrida jest królową chrześcijańską, to jej potworne koty nie rzucą się na duchownego?

— Ionie, jeśli potrafisz przekonać moje rysie, że jesteś prawdziwym kapłanem, to nic ci z ich strony nie grozi.

— Nie, nie, pani! — zamachał ramionami, jakby się przed czymś opędzał. — Tylko nie każ mi przemawiać do dzikich bestii! To był kolejny z powodów, dla których musiałem porzucić erem. Nocami podchodziły pod nasze liche schronienie upiornie wyjące wilki, bo moi bracia modlili się do Pana o wyzwania, którymi potwierdzać będą swą wiarę. A co ja poradzę, że moja wiara jest tak mocna, iż nie potrzebuję żadnych wyzwań? Nie, ukaż mnie, okrutna królowo, ale nie żądaj, bym przemawiał do bestii. Zresztą, ja nie powiedziałem, że jestem kapłanem. Jestem tylko skromnym mnichem, benedyktynem.

— Chcesz powiedzieć, że nie możesz odprawiać mszy w kaplicy, którą zbudował mi pan mąż? — Wezbrała w niej złość na gadułę w czyściutkim habicie.

— Oczywiście, że nie, moja pani! — ukłonił się. — Nie jestem wyświęcony. Śluby zakonne to coś zupełnie innego.

— A sakramenty? Możesz udzielać rozgrzeszenia, możesz mi podać Ciało Chrystusa?

— Nie, królowo, ale mogę je przyjąć. — Zadarł głowę z dumą.

— A kto nam je da, Ionie? W kraju mego męża nie ma duchownych, nie dociera to do ciebie? Jesteśmy na pogańskiej ziemi Odyna, Thora i ich Frei! — Wściekła się, bo dotarło do niej, że podarunek, który przywiózł jej Erik, jest całkowicie bezużyteczny.

Na jego gładkiej twarzy pojawiła się odrobina zakłopotania.

— Wobec tego obawiam się, moja pani, że twoja kaplica jest równie uduchowiona jak szopa na łodzie. Stoi na niepoświęconej ziemi i jeśli dobrze rozumiem, nie konsekrował jej żaden biskup.

— Skąd wezmę biskupa w kraju, którego król raz na dziewięć lat składa w ofierze bogom jeńców?! — wrzasnęła na Iona.

— Jeńców? — powtórzył za nią niepewnie.

Rysie, które niewiele robiąc sobie z krzyków, spały u jej stóp, podniosły teraz łby i zastrzygły ozdobionymi pędzlami włosia uszami. Wyczuły lęk Iona.

— Tak — odpowiedziała. — Ale nie bój się, mnichu. Masz jeszcze czas. Ostatnie wielkie obrzędy odbyły się w Uppsali w roku, w którym przybyłam, więc do kolejnych zostały dwa lata.

— Dwa lata. — Zamrugał i coś przyszło mu do głowy, bo wyciągnął w górę palec i krzyknął wesoło: — Pani! Bogini Freya, którą tutejsi ludzie czczą tak jak Dunowie, wśród których spędziłem nieco czasu, ma zgodnie z ich tradycją prawo do połowy wojennych łupów. Gdy skrzydlate walkirie porywają z pola bitwy duchy najlepszych wojowników, połowa trafia do Walhalli Odyna, połowa do pałacu Frei, który zwie się… zwie się… Sessrumnir zwie się! Miejsce Wielu Siedzeń! Więc skoro twój mąż jak ten Odyn, to ty, pani, jak Freya… Przechodząc do rzeczy, jak nadejdzie czas próby, Ion niech się znajdzie w szeregach twego zastępu, krocząc za tobą, tup, tup…

Wybuchła śmiechem, od którego popłynęły jej łzy.

— Powiem ci, mnichu, co już wiem o tobie. Jesteś żarłokiem, który nie potrafi pościć, pijakiem, gadułą i śmierdzącym tchórzem. Moje rysie czują woń twego lęku.

— Bóg kocha swoje dzieci — odpowiedział niezmieszany Ion. — Aby przestały się bać, zesłał im na ziemię umiłowanego Syna.

— Mój mąż chciał mi sprawić przyjemność, przywożąc ciebie. Okazałeś się bezużytecznym prezentem, ale nie powiedziałam, że bezwartościowym. Daję ci dwa lata na to, byś mnie przekonał, ile jesteś wart.

— Tylko dwa lata? — zmartwił się Ion. — Wino, pani, im starsze, tym lepsze…

— Ale ty nie jesteś winem, choć być może okażesz się trunkiem. Nie jesteś też dzielnym wojownikiem, po którego przylatują walkirie. Ja zaś nie jestem Freyą, Ionie. Nie biorę jeńców. Wrócisz, gdy po ciebie poślę.

Jej pan mąż z wyprawy, w której ujarzmił Danię, wrócił w pełni chwały. „Erik Zwycięski! Erik Segersäll!” — krzyczeli jego wojowie. Pił za to zwycięstwo bez ustanku przez całą jesień i zimę, jakby nie mógł się nim nasycić. Wiosną otrzeźwiał i wtedy ruszyli do Sigtuny. On, ona, Olof, rysie, Dusza i cały dwór z Wilkomirem i Wielkim Ulfem, którzy jakimś cudem, zamiast się pozabijać, podzielili się służbą ochrony królowej. Gdy Erik był z Ulfem na wyprawie, strzegł jej Wilkomir z drużyną. Nie pozwoliła im tego czasu zmarnować. Kazała każdemu z nich wziąć sobie szwedzką żonę i uczyć się języka. Posłuchali wszyscy prócz Wilkomira. „Książę pan kazał mi ciebie chronić. W umowie słowa nie było o żonie”. Zawzięty drużynnik jej brata wziął sobie kochankę, Helgę, i szybko spłodził z nią syna. Nazwał go od siebie, Wilczanem.

Helga była przemiła, ich synek, Wilczan, grzeczny, a Wilkomir uparty nielicho. Mimo to pierwszy nauczył się północnej mowy, choć lepiej niż mówić potrafił patrzeć i słuchać.

Przekonała się o tym, gdy przyjechali do Sigtuny. Kiedy budowa dworu ruszyła, zamieszkali w domu jarla Asgrima. Erik zajęty był zwykłymi sprawami, przyjmował możnych, rozsądzał spory. Szczególnie dużo czasu poświęcił kupcom z Birki, osady słynnej z dalekomorskiego handlu, których statki zawijały i do Wolina.

Ona i Olof spędzali czas na pływaniu łódką po zatoce i spacerach po porastającym jeden z brzegów brzozowym lesie, który tak bardzo przypominał jej rodzinne strony. Czasami zabierali ze sobą Helgę i małego Wilczana. W lesie puszczała rysie wolno i pozwalała im polować. Za

każdym razem, gdy odpinała smycz od obroży, drżała, że pójdą w las i nie wrócą. Wracały. Nazwała je Zgrzyt i Wrzask.

Po pewnym czasie jarl Asgrim podarował jej synowi parę małych, krępych, osiodłanych koników, które wyglądały jak przerośnięte źrebce. Postanowiła, że czas, by Olof nauczył się jeździć. Na nauczyciela wybrała Wilkomira.

— Nie dzisiaj, pani — powiedział jej, gdy oznajmiła mu swój plan. — Nie sprawdziłem tych koni. Nie wiem, czy nadają się dla dziecka.

— Olof niedługo skończy sześć lat. Bolesław w jego wieku już jeździł.

— Rozumiem, pani, ale i ty posłuchaj, co mówię. Nie sprawdziłem tych koni, nie znam ich.

— To potulne włochate kuce! Równie dobrze możesz sprawdzać miód, czy słodki! — Roześmiała się w twarz wiecznie podejrzliwego Wilkomira. — Jarlu Asgrimie, czy wsadziłbyś swego syna na grzbiet tego konika?

— Bez wahania, pani! — odpowiedział Asgrim. — Są łagodne i cierpliwe.

— Wobec tego zabieram je na łąkę — uparła się Świętosława i nie bacząc na okropne miny Wilkomira, wzięła za rękę Olofa i ruszyła.

Dogonił ich i gdy tylko znaleźli się na pastwisku, z dala od dworu, zatrzymał.

— Pani, poczekaj chwilę.

— Sama nauczę syna jeździć, skoro ty wymawiasz się od zadania, jakie ci zleciłam.

— Nie wymawiam się. — Wyjął jej z ręki uzdę i zwrócił się do dziecka: — Olofie, powiedz, który koń podoba ci się bardziej?

— Ten! — Syn bez wahania wskazał na konika, który miał na grzbiecie ładniejsze siodło. Nabijana srebrnymi ozdobami, barwiona na czerwono skóra przyciągała oko.

— To pozwól, że przejadę się pierwszy, a ty potrzymasz w tym czasie mój miecz — powiedział Wilkomir i nie czekając na jej zgodę, podał dziecku broń i dosiadł kuca. Nie przejechał się, kuc wierzgnął, gdy tylko poczuł jeźdźca na grzbiecie, a Wilkomir spadł na trawę. Wyglądało to dość zabawnie i Olof zaczął się śmiać, ale Świętosławie nie było do śmiechu. Wilkomir podniósł się i pobiegł złapać konia. Nim wrócił, zdążyła uspokoić syna.

— Oddaj miecz Wilkomirowi i idź z Duszą na łąkę — odprawiła Olofa. Nie chciała, by był świadkiem rozmowy.

— Co to było? — spytała Wilkomira, który odpinał popręg.

— „Łagodny i cierpliwy” — powtórzył za Asgrimem. Pogrzebał pod siodłem i wyjął kolczastą gałązkę. Podał jej. — Nie przeszkadzała zwierzęciu, póki ciężar jeźdźca nie docisnął kolców do grzbietu.

Dopiero teraz poczuła lęk.

— Skąd wiedzieli, że będę chciała od razu wypróbować podarunek?

Spojrzał na nią krzywo.

— Pani, każdy, kto cię zna, wie, że chcesz wszystkiego od razu — odpowiedział niechętnie.

— Dlaczego Asgrim chciał zabić mojego syna? — wyszeptała.

— Może nie zabić, ale zranić albo okaleczyć. I może nie Asgrim.

— To jego podarunek!

— Dlatego łatwo na niego zrzucić winę. Każdy na dworze potwierdzi: „Asgrim obiecał, że kuc jest łagodny”.

Przyjrzała mu się.

— A ty? Skąd wiedziałeś, że coś nie jest w porządku?

Popatrzył jej w oczy.

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, pani. Po prostu robiłem, co do mnie należy.

— Co mi radzisz? — spytała, choć czuła, że powinna podziękować.

— Pozwól mi robić swoje. I na drugi raz słuchaj mych rad.

— Jesteś podarunkiem równie cennym, co wymagającym! — Roześmiała się. — Przecież wiesz, że mam kłopot z wysłuchiwaniem rad!

— Nie jestem podarunkiem, pani — warknął.

Wiedziała, że nie znosi, gdy tak go nazywa. Znów wskoczył na siodło. Tym razem kuc szedł spokojnie. Przejechał się na nim kawałek, zsiadł i podał jej uzdę, mówiąc:

— Można na nim uczyć jazdy Olofa. To dobry koń dla chłopca, na początek. Nie mówmy nikomu o tym, co się stało. Ten, kto chciał zrobić krzywdę dziecku, spróbuje znowu.

— Wobec tego będę zmuszona słuchać twoich podpowiedzi — odrzekła, wołając Duszę i syna.

Patrzyła, jak Wilkomir posadził Olofa w siodle. Jak uczy go trzymać się prosto, dociskać uda do końskich boków. Odwróciła się od nich; nie chciała, by widzieli łzy. Popłynęły jej po policzkach nieproszone, gdy patrząc na swe dziecko, zobaczyła siebie. Ojciec i matka pilnowali ich, otaczali strażą i zastępami zaufanych sług, aby nigdy żadnemu z nich nie przytrafiło się coś takiego. Coś, co pokazywało, że w najbliższym otoczeniu ktoś czyha na ich życie. Poczuła lęk o dziecko, ale była królową i nie wolno jej było się bać.

Kolejne dni nie przyniosły żadnych odpowiedzi. Życie biegło spokojnym, jednostajnym rytmem. Jarl Asgrim był szczodrym gospodarzem. Nawet jeśli obecność królewskiego dworu w jego domu burzyła porządek i rujnowała spiżarnię, zachowywał się tak, jakby to było największą radością jego życia. Cieszył się, widząc postępy królewskiego syna, bo Olof pod okiem Wilkomira trzymał się w siodle coraz pewniej. Czasami

towarzyszył im mały Wilczan i wtedy Wilkomir obu chłopców sadzał na kucach. Nic nie psuło radosnego nastroju, nawet Ion, którego właśnie wtedy po raz pierwszy przyprowadzono przed jej oblicze. Dzień lub dwa po poznaniu osobliwego mnicha przyszedł do niej Birger i oświadczył:

— Kupcy z Wyspy Brzóz zapraszają cię do siebie, królowo. Chcą wyprawić na cześć twoją i Olofa ucztę.

— Wyspa Brzóz! Brzmi tak znajomo…Wokół Jeziora Lednickiego rosło tyle brzóz… Czy mi się zdaje, czy coś cię martwi, jarlu?

— Birka, Wyspa Brzóz, w dawnych czasach była siedzibą królów. Dzisiejsi kupcy czują się ich potomkami i noszą w głębi serca urażoną dumę. Uważam to zaproszenie za podejrzane, pani. Zwłaszcza że zapraszają cię na święto plonów, wiedząc, iż król Erik będzie składał ofiary w Sigtunie albo Uppsali.

— Co mi się może stać! — wyrwało się Świętosławie, której wizja wyprawy na legendarną Birkę już się spodobała. Nieraz słyszała o bajecznym bogactwie wyspy.

— Pani… — Głos Wilkomira za jej plecami zabrzmiał chłodno. — Jeśli mnie pamięć nie myli, kupcy z Birki byli gośćmi twego męża i jarla Asgrima, w czasie gdy ten podarował ci kuce.

— Co konie mają do rzeczy? — zdziwił się Birger.

Skinęła głową i Wilkomir wyjaśnił mu krótko.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, królowo! — Jarl był wyraźnie wzburzony. — Nie możesz kryć przede mną takich rzeczy! Król musi się o tym dowiedzieć… Chociaż kto wie, czy rzecz nie ma drugiego dna…

— Teraz ty mi powiedz, co masz na myśli — zażądała.

Rysie uniosły łby.

Czy Birger wie, że moje koty wyczuwają woń lęku? — pomyślała. — Ja się nie boję, więc to nie mój strach zwietrzyły.

— Pani — zaczął powoli, jakby szukał odpowiednich słów. — Mówiłem ci kiedyś, że nie powinnaś odmawiać królowi swego towarzystwa w łożu.

— Nie odmawiam — wyjaśniła krótko.

— Wiem o tym, lecz nie ośmieliłbym się dawać ci takich rad, gdybym nie wiedział, że mój pan…

Ryś potrafi wydobyć z siebie i przyjazne mruczenie, i warkot. Zgrzyt warknął. Birger nie zwracał na to uwagi.

— Bałem się o twoją pozycję na dworze, Sigrido, bo król Erik ma kilkoro nieślubnych dzieci.

— Ach tak — powiedziała, udając, iż nie zrobiło to na niej wrażenia. — W jakim wieku?

— Dziewczęta są niewiele młodsze od ciebie, pani, a chłopcy mają o kilka lat więcej niż twój syn.

— Nie wspominałeś o tym na dworze mego ojca w Poznaniu — powiedziała zimno.

— Erik żadnej z tych kobiet nie uczynił królową. Tylko ciebie, pani.

Nie odezwała się. Zgrzyt wstał i leniwie podszedł do Birgera. Obwąchał jego kolana, a potem otarł się o nie łbem.

— Jakie to ma teraz znaczenie, jarlu? — spytała, widząc, że powiedział już to, przed czym czuł strach.

— Chłopcy, o których wspomniałem, to bliźnięta. Synowie kobiety o imieniu Thordis, jedynej córki najbogatszego kupca z Birki.

— Rozumiem — odpowiedziała chłodno. — Domyślam się, że owa Thordis ma też licznych braci, którzy z radością chwyciliby za broń, by walczyć o prawa siostrzeńców do schedy po królu?

Przypomniała sobie, jak w dzień, gdy wydała na świat Olofa, poczuła się pewna siebie. Jak wierzyła, że nic nie zagrozi odtąd jej pozycji. I jak

wspólnie z Erikiem świętowali pokonanie Styrbjorna, jedynego, jak się wówczas zdawało, pretendenta do tronu.

— Czy poza bliźniętami Thordis mój mąż ma jeszcze jakichś synów? Bękartów? — Użyła tego obraźliwego słowa, choć nie przyniosło jej to spodziewanej ulgi.

— Nic mi o tym nie wiadomo, pani. Lecz jeszcze coś powinnaś wiedzieć.

Tym razem zbudził się Wrzask i położył łeb na jej kolanach. Tak, teraz i ja się boję — pomyślała, wbijając palce w jego ciepłe futro.

— Mów, Birgerze.

— Kupcom z Birki nie spodobał się pomysł budowy nowej siedziby w Sigtunie. Obawiają się, że stracą na tym część ze swych zysków, bo przewidują, że handel przeniesie się tutaj, odkąd w Sigtunie zamieszka król.

— Rozumiem. Wszystkiemu winna będzie królowa Sigrida. Uważają, że przeze mnie utracą i zyski z handlu, i szanse na to, by Erik uznał synów Thordis za swych spadkobierców. Wiesz, co sądzę, jarlu Birgerze? Myślę, że powinnam potwierdzić wszystkie ich najgorsze obawy.

Poklepała wielki łeb swego rysia. Wrzask lekko złapał ją zębami za palce. Chwyciła go mocno za żuchwę. Mruknął gniewnie, lecz nie ugryzł ręki, która go karmiła i pieściła.

— Widzisz, mój przyjacielu? — powiedziała wesoło. — Wkładanie ręki w paszczę drapieżnika jest bezpieczniejsze niż czekanie na atak. Przekaż kupcom z Birki, że królowa będzie świętować w nowym dworze w Sigtunie wraz ze swym królem. I że zapraszam ich na święto do siebie. Razem z piękną, jak mniemam, Thordis i jej synami. Życzę sobie, by przybyli i oddali hołd małemu Olofowi. Dodaj też, że zwyczajowe dary są mile widziane, ale że nie potrzebujemy więcej koni.

Wstała i pociągnęła za smycz. Rysie raźno ruszyły przed nią. Zgrzyt i Wrzask miały ochotę na małe polowanie.

— Dobrze zrobiłaś, pani — powiedział do niej Wilkomir, gdy spuściła je ze smyczy w lesie. — Na wyspie nie mógłbym zadbać o twe bezpieczeństwo.

— Gdy pierwszy raz usłyszałam o Bircе, wzruszyłam się — wyznała mu. — Pomyślałam o Ostrowie Lednickim. Ukrytym na wodach jeziora łonie piastowskiej dynastii. Naszym gnieździe połączonym ze stałym lądem pępowiną mostów. Ale jak widać, poważnie się myliłam.

— Jeżeli kupcy nie przyjmą zaproszenia królowej, odkryją się i okażą wrogość. A jeśli przypłyną, będą musieli przy świadkach zgiąć kolano przed twoim synem. Chyba że zdecydują się na otwartą wojnę z Erikiem, ale to przekreśli ich nadzieje na jakiekolwiek względy dla synów Thordis.

— Nie mam ochoty obdarzać tych szczeniaków żadnymi względami, Wilkomirze — powiedziała otwarcie. — Jeszcze nie wiem, co jest skuteczniejszą bronią: wspaniałomyślność czy bezwzględność. Zastanowię się.

Rysie wróciły, jeden za drugim. Pierwszy niósł w pysku zająca, drugi kunę. Złożyły zdobycz u jej stóp i usiadły, zlizując krew. Zgrzyt i Wrzask. Dała im imiona niemożliwe do wymówienia przez jej poddanych, chcąc mieć pewność, że nikt prócz niej nie będzie ich skrycie oswajał. Odróżniała je po sylwetkach, Wrzask był nieco smuklejszy i drobniejszy niż Zgrzyt. Różnił je układ cętek na bokach. I barwa oczu. Wrzask miał je niczym płynne, wrzące złoto, Zgrzyt patrzył na świat przez roztopioną, wiosenną zieleń. Pogłaskała rysie po łbach. Wzięła do ręki zająca i kunę, powąchała je. Obie ofiary pachniały świeżą krwią, futrem i mdlącym zapachem strachu. Oddała zdobycz swym pięknym łowcom. Na palcach zostały jej smugi ciepłej krwi.

— Należą do was! — powiedziała i rysie zajęły się rozszarpywaniem zwierzyny.

Odwróciła się do Wilkomira i powiedziała:

— Nie wiem jeszcze, co zrobić, ale jestem spokojna, gdy strzeżesz mnie ty i Wielki Ulf. Dwa wilki i dwa rysie. Wrzask i Zgrzyt.

Powodowana odruchem uniosła poplamione palce do ust i zlizała z nich krew.

Dwór królewski był gotów. U wejścia pyszniły się potężne wrota, nad którymi snycerze pracowali od wiosny, aż dzięki ich dłutom i młotkom na drewnianych skrzydłach ożył świat. Zdobił je wizerunek potężnego jesionu, świętego drzewa Odyna, zwanego Yggdrasil. Na jego konarach nie wisiały truchła, jak w gaju przy uppsalskiej świątyni, przeciwnie, Yggdrasil tętnił życiem, dając schronienie jeleniom, kozie, wiewiórce, jastrzębiowi, a nawet wężom. Obiecała sobie, że poprosi kogoś, może Thorę, żonę jarla Birgera, by opowiedziała jej historię jesionu o trzech wielkich korzeniach.

Wnętrze dworu, jasne i czyste, pachniało świeżym drewnem. Na podwyższeniu w wielkiej halli stanęły dwa trony o pięknie rzeźbionych słupkach. Słupki krzeseł tronowych były jedyną starą rzeczą w nowym domu. „Mój dziad i babka trzymali na nich swe dłonie” — powiedział z dumą Erik, pokazując jej ciemne, wygładzone ich palcami drewno. Pomiędzy trony królewskie Świętosława kazała wstawić trzeci, o równie wysokim siedzisku, lecz niższym oparciu. Miejsce dla Olofa. I jego własne, nowiutkie słupki.

Ławy dla gości wysłano świeżymi skórami, na stołach wyłożono wieńce z koralami jarzębiny, do tego kosze rumianych i złocistych jabłek. Jej alkowę koronował prezent od pana męża — wielkie, nowe łoże. Jak wygląda jego łożnica, miała się przekonać wieczorem.

Najpierw czekała ich uczta, świętowanie zakończenia zbiorów i początek sycenia nowego miodu. Spora kadź, do której mieli z Erikiem wlać zwyczajowy garniec, stała w gotowości. Podobnie jak Wilkomir i Ulf,

niespuszczający z niej wzroku, bo kupcy z Birki przyjęli zaproszenie królowej.

— Nie spodziewałem się ich — mruknął Erik na wieść, że Thordis, jej synowie, a także bracia i ojciec mają wziąć udział w święcie. Nic więcej nie powiedział.

Świętosława miała kufry pełne pięknych strojów. Początek jesieni pozwalał na to, by wybrała ubiór złożony z trzech warstw. Królewska purpura sukni opinała jej ramiona i piersi, spływając swobodnie do stóp. Na tę suknię założyła drugą, zieloną, obcisłą i pozbawioną rękawów, która trzymała się jedynie na cienkich, haftowanych ramiączkach spiętych z przodu dwiema złoconymi broszami w kształcie zwierzęcych głów. Złotnik mówił, że to łby wilków, ale Świętosławie misterna siatka złoconego ornamentu przypominała rysie. Do tych samych brosz służąca zamocowała płaszcz, który był raczej narzutką, nadającą sylwetce zwiewność. Włosy powierzyła Duszy. Nikt tak jak ona nie potrafił splatać warkoczy. Tworzyła z nich wianki, korony i niekończące się spirale, puszczając gdzieniegdzie sploty tak, że spływały na plecy złotym, lśniącym pasmem. Na tę okazję Świętosława poprosiła ją, by przytrzymała jej włosy przepaską, którą przywiozły z Poznania, prawdziwym arcydziełem mistrzów znad Warty, zdobnym trzema dziesiątkami najpiękniejszych kabłączków.

— Pani, wyglądasz jak królowa! — zajęczały jej panny służebne.

— Bo nią jestem. — Wzruszyła ramionami, aż płaszcz poruszył się władczo.

Ale dzisiaj znów muszę to komuś udowodnić — pomyślała i zastanowiła się: komu? Thordis, która ma z królem dwóch synów, a ja tylko jednego? Czy raczej stojącym za nią potężnym kupcom z Birki? A może Erikowi? Jarlowi Birgerowi? Komu?

Do tej pory nie miała powodów, by się nad tym zastanawiać. Przyzwyczaiła się do toastów na cześć królowej Sigridy Storrådy, wznoszonych podczas każdej uczty w Uppsali, lecz teraz przed nią pierwsza uczta w nowym dworze w Sigtunie. Czyżby swym żądaniem nowej siedziby, z dala od niosących grozę kopców, obudziła jakieś dawne złe moce? Chcąc uciec od cienia ofiarnego gaju, naraziła się starym bogom?

— Zawołajcie do mnie Iona! — rozkazała, wiedząc, że za chwilę powinna razem z Erikiem witać gości. — Niech się pospieszy!

Zjawił się naprawdę szybko.

— Królowa wygląda dziś jak Freya! — cmoknął, bezceremonialnie oglądając ją od stóp do głowy.

— Ionie! Wiesz, że jeśli mnie zawiedziesz, pobawią się z tobą moje rysie, Wrzask i Zgrzyt?

— Nie chciałem zawieść mojej pani, chciałem powiedzieć, co widzą moje oczy. — Pokornie się pochylił, aż zalśnił czubek starannie wygolonej tonsury.

Z podwórca dobiegły ich dźwięki rogów witających gości. Wielki Ulf nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Służki trwożliwie zerknęły w stronę wejścia.

— Powiedz mi, mnichu, czy tu, na niepoświęconej ziemi, Chrystus wciąż zachowuje swą moc?

Ion zamrugał. Nabrał powietrza w pucołowate policzki, wypuścił je głośno i powiedział:

— Gdybyśmy mieli na rozmowę całą noc, zacząłbym od tego, że Bóg Ojciec jest wszechmogący, a potem roztoczył wizje według nauk ojców pustelników. Ale wiem, że królowa się spieszy, więc powiem na skróty. Nie sądzę, moja pani, by moc Zbawiciela była przelana na ten kraj. Ale mocą

chrztu ty jesteś naczyniem, które niesie Jego Światło wśród ciemnej nocy. Nie lękaj się.

— Dziękuję, Ionie — powiedziała, wychodząc w asyście swego orszaku przed dwór.

— Do usług, królowo! — usłyszała, przechodząc przez próg.

Nawet gdyby rozzłościła tutejszych bogów, nie może się ich bać, jeśli nie wierzy w ich moc.

Siedziała z Erikiem na podwyższeniu. Pomiędzy nimi ich ciemnowłosy syn. „Gdy byłem młody, miałem takie loki jak on” — mawiał jej pan mąż. Już wlali garniec miodosytnego zaczynu do wielkiej kadzi, teraz panowie każdej z ziem podchodzili do niej i wlewali przywieziony w darze miód.

— Napój skaldów powstał z krwi Kvasira zmieszanej z miodem! — krzyczał Thorvald, islandzki skald Erika. — Niechaj miód, który zaczniemy sycić w ten wieczór, ma jego moc i równie boski smak, a będziemy się nim raczyć na chwałę bogów przez cały rok!

Po zlaniu miodów do kadzi goście podchodzili do podwyższenia. Przedstawiali swe rodziny królewskiej parze i składali dary. Wpatrywała się w zgromadzony w halli tłum, szukając kobiety i bliźniąt.

— Rognvald Ulfsson, kupiec z Wielkiej Birki. Thordis, jego córka. I jego synowie, Erling i Bjarne.

Suko — pomyślała, mierząc ją wzrokiem. — Gdzie szczenięta Erikowe? Gdzie dziki królewski miot?

Thordis była od niej starsza, mogła mieć trzydzieści lat. Wysoka, smukła, jasnowłosa i przez to irytująco podobna do Geiry. Ubrana w suknię na pozór skromną, z daleka popielatą, lecz z bliska widać było, że szarość skrzy się ukrytym w jedwabnej nici blaskiem srebra. Między broszami rozpięty miała naszyjnik, który, lekko licząc, wart był tyle, co dobry statek. Każdy paciorek był z pełnego srebra, zdobiony granulacją tak misterną,

jakby robiły go mityczne karły. Cały sznur musiał ważyć tyle, co długi saski nóż. Thordis miała plecy proste. Kogo stać na statek między piersiami, ten musi trzymać pion!

Ciekawe, co będzie, gdy złoży ukłon? — pomyślała Świętosława. — Czy podnosząc się, jęknie pod ciężarem srebra?

— Rognvaldzie! To od ciebie dostałam zaproszenie? — spytała dźwięcznym, jasnym głosem, któremu nakazała brzmieć dziewczęco.

— Tak, królowo — odpowiedział jej wysoki, tęgi gość.

— A skąd pomysł, że królowa przybędzie do poddanego, zanim on pokłoni się jej?

— Z gościnności, pani! — odpowiedział, patrząc jej w oczy. — Nie sądź, że chciałem ci uchybić, królowo. Za każdym razem, gdy przybywałem do Sigtuny, byłaś zbyt zajęta, żebym mógł złożyć ci swój hołd.

Wystarczy, że dałeś memu synowi prezent ukryty pod siodłem — pomyślała.

— Słyszałam, że masz dwóch pięknych wnuków, Rognvaldzie. Dlaczego nie widzę ich przy tobie? Czyżby nie przyjęli zaproszenia królowej Sigridy? Bardzo chciałam ich poznać.

— Nie wątpię, pani! — bezczelnie odpowiedział Rognvald. — Chłopców zatrzymała choroba.

— Ile mają lat?

— Dziesięć, najjaśniejsza pani — dumnie odrzekł Rognvald.

— Dziesięć? Więc to nie dzieci, lecz młodzi wojownicy! Czy są słabego zdrowia? — zapytała szybko. — To kiepsko wróży ich przyszłości, nieprawdaż, królu? — zwróciła się ponad głową zakłopotanego Olofa do Erika.

Jej mąż miał twarz jakby wykutą z pobielałego kamienia.

— Prawda, królowo — odpowiedział głośno.

— Królu Eriku Zwycięski — powiedziała głośno. — Spytaj panią Thordis o powód nieobecności synów w dniu, w którym tylu młodych chłopców obdarzasz swym pierścieniem, znakiem lojalności poddanego i władcy.

— Pytam! — oznajmił głosem ze spiżu.

— Zaniemogli, królu — odpowiedziała cicho Thordis.

— To zły znak! — zakrzyknęła Świętosława i w pełnej ludzi halli zapanowała cisza. — Wojownik, który choruje w dniu próby, w dniu, który może przesądzić o zwycięstwie lub przegranej jego króla i wodza. Jako matka rozumiem twój ból, Thordis. Chorzy synowie, pewnie śmiertelnie chorzy, skoro nie mogli ci towarzyszyć. I ty, która wybrałaś. Wybrałaś pokazać się swemu panu, zamiast zostać z dziećmi na być może śmiertelnej drodze… Zaskakujący wybór, ale chylę przed nim swe serce.

Policzki Thordis poczerwieniały.

Tak, dałam jej w twarz — pomyślała Świętosława i dumnie uniosła głowę. To wystarczyło, by islandzki skald zakrzyknął:

— Królowa Sigrida! Dumna w słowach! Nieugięta w prawie! Pani naszych mieczy i myśli!

Duża setka wojów jej męża zawtórowała mu:

— Sigrida Storråda! Sigrida Dumna! Pani Harda!

— Królowo! — przerwał skandowanie Rognvald, ojciec Thordis. — Kupcy z Wyspy Brzóz mają dla ciebie dar i pokornie proszą, byś go przyjęła.

Jeśli to naszyjnik Thordis, biorę w ciemno — pomyślała.

Rognvald otworzył niewielką skrzynkę i po jej skinieniu zrobił krok ku królewskim tronom. Zgrzyt obwąchał jego stopę. Naszyjnik leżał na podściółce z błękitnych traw. Czternaście wielkich srebrnych paciorów,

a między nimi siedem dysków z górskiego kryształu ujętych w kosze ze srebrnych plecionek.

Chryste w Trójcy Jedyny Wcielony! — jęknęła. — To naszyjnik, który opowiada świat!

— Kto chce podarować klejnot królowej, musi zrobić to przez ręce jej męża — powiedziała, drżąc z pożądliwości.

Bjarne i Erling wymienili się spojrzeniami. Po twarzy Rognvalda i Thordis przebiegł skurcz. Ale patrzyło na nich stu wojów Erika. On zaś wyjął naszyjnik ze skrzynki i go podniósł. Obudził kryształy blaskiem odbitym od ognia. Zatańczyły jak lód przebity światłem.

— Pani, przyjmij dar — powiedział, zapinając go na jej szyi.

Zalśniły, pochłaniając w swe wnętrze płomień.

— Dziękuję, mężu — wyszeptała, gdy poczuła ciężar naszyjnika na piersi. — I tym, którzy twoją ręką dają mi ten cenny dar.

Uniosła ramiona, by zajaśniały kryształy w srebrze i by wojowie jej męża mogli zdzierać gardła w okrzyku:

— Królowa Sigrida Storråda!

A potem cicho i niewinnie przywołała Thordis i jej ojca, mówiąc:

— Ja też mam dla was dar. Zwie się „zamienny”, bowiem oddaję wam w srebrze to, coście podarowali nam bez ozdoby kruszcu.

I skinęła na Wilkomira, a on podał Thordis gałązkę z sześcioma ostrymi kolcami oprawioną w srebrny chwytak i łańcuch.

— Nie próbuj więcej, suko — syknęła do niej Świętosława.

— Tak jest, wasza królewska mość — odpowiedziała pobielałymi ustami Thordis.

Rysie uniosły łby znad stóp Świętosławy. Wrzask mruknął, a Zgrzyt obnażył kły.

— Bawcie się, nasi drodzy goście! Czeka na was królewska uczta. Ryby, dziczyzna, sery, owoce, jęczmienne piwo i stary miód. Pijmy go na cześć nowego miodu! Na cześć słodyczy słów, jakie nam przyniesie! Skaldzie, zacznij pieśń.

W Uppsali Wielki Ulf odprowadzał ją do łożnicy króla, po czym wracał na ucztę i przychodził po nią, gdy zawołała. Tej nocy Ulf czuwał przy drzwiach, a Wilkomir krążył między gośćmi. Gdy weszła, Erik sprawiał wrażenie znużonego. W alkowie panował półmrok.

— Panie? — spytała, siadając na brzegu wielkiego łoża. — Czyżbyś pragnął snu, a nie towarzystwa żony?

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ktoś chciał wysadzić z siodła Olofa? — Zerwał się z łoża i zaczął chodzić w kółko.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jest ktoś, kto ma powody, by tego pragnąć? — odpowiedziała spokojnie, wodząc za nim wzrokiem. Po raz pierwszy zobaczyła, że Erik się garbi.

— Władza jest łakomym kąskiem, Sigrido. Zawsze znajdzie się ktoś, kto się na nią połakomi.

— Wyłożyłeś świeże mięso przed próg i dziwisz się, że zlatują się wilki? — Natarła na niego. — Mogłeś nie rozsiewać bękartów! W umowie ślubnej obiecałeś, że prawo dziedziczenia mają tylko nasze dzieci! — Dopiero teraz zobaczyła, że nad łożem Erika wisi miecz, który podarowała mu w dniu ślubu. Piorunowa stal Mieszka pana.

— I nic tego nie zmieni. — Stanął i skrzyżował ręce na piersi.

— Czyżby?

— Obiecuję ci.

— Ty obiecujesz, ale oni nie zamierzają zrezygnować.

— Nie stoi za nimi żadna siła.

— Co przyniesie jutro, Eriku? Nie wiesz tego ani ty, ani ja — odpowiedziała miękko. — Dzisiaj jesteś królem zwycięskim, opromienionym chwałą. To najlepszy czas na śmiałe decyzje. Usuń ich z drogi Olofa.

— Nie zabiję dzieci, Sigrido — powiedział po długiej chwili.

Najlepiej by było, gdyby zniknęli — pomyślała rozpaczliwie.

— Może ich gdzieś odeślę? — zastanowił się. — Gdzieś daleko…

— To zły pomysł, mężu. Odsyłając ich donikąd, zawsze wysyłasz ich gdzieś. Lepiej mieć chłopców na oku, znaleźć im jakieś zajęcie tutaj, by nie czuli się odtrąceni, a jedynie przeznaczeni do roli innej niż przejęcie władzy. Gdybyś był królem chrześcijańskim, skierowałbyś ich do klasztoru, wykształcił i przeznaczył do drogi duchownej. Jeśliby doszli do godności biskupiej, sprawowaliby władzę nad ludzkimi duszami.

— Nie jestem chrześcijańskim królem, Sigrido — odpowiedział i usiadł ciężko obok niej.

Była na niego wściekła, ale nagle zrobiło jej się go żal. Z bliska nie był Erikiem Zwycięskim. Był Erikiem Zmęczonym. W jego ciemnej, gęstej brodzie wiły się srebrne pasma. Podpuchnięte oczy zdradzały, że źle sypia i za dużo pije. O tym drugim wiedziała, o pierwszym nie. Siedząc w wielkiej halli, zawsze zdawał się potężny i prosty. Teraz przy niej był przygarbiony, oddychał ciężko i nierówno.

Boże Wszechmogący! Chciałam być królową wdową, ale nie teraz, gdy z ciemności wychodzą siły, które mogą Olofa strącić z tronu — pomyślała z lękiem i natychmiast przywołała siebie do porządku. — Jesteś królową i nie możesz się bać! Czy Teofano nie stanęła przeciw zbuntowanym panom Rzeszy? Przeżyła śmierć męża i porwanie dziecka, straciła wszystko, ale się nie ugięła. Odzyskała syna i władzę.

— Eriku — powiedziała, obejmując ramieniem plecy pana męża. Wciąż potężne, choć przygarbione. — Wyznacz tym chłopcom jakieś ziemie. Pokaż, że coś dla nich masz. A z kraju odeślij ich wujów, bo to za nimi mogłaby pójść siła. Rognvald jest za stary, niech do końca dni liczy statki zawijające na Birkę.

Erik potargał brodę i sapnął.

— Erlinga i Bjarnego wyślę do Danii, moja roztropna żono. Uczynię ich swymi namiestnikami. Będą pilnować królewskich interesów w podbitym kraju.

— Namiestnikami? Jesteś zbyt hojny, Eriku. Uczyń ich odpowiedzialnymi za zbieranie podatków od Dunów. To zaszczytna funkcja. — Roześmiała się, przekrzywiając głowę, i wyliczyła na palcach: — Dunowie nie pokochają Bjarnego i Erlinga, skoro to im będą musieli płacić trybut. A zatem nie grozi nam, że synowie Birki sprzymierzą się z pokonanymi. A do tego będziesz miał powód, by patrzeć Bjarnemu i Erlingowi na ręce. Ale funkcja? Zaszczytna. Każdy wie, że poborca królewskich podatków to zaufany człowiek władcy.

Erik położył ciężką dłoń na jej głowie. I pogładził włosy. Wzdrygnęła się. Wszystkiego mogła się spodziewać od pana męża, ale nie tej prostej, czułej pieszczoty. Nikt jej nie głaskał od śmierci Dobrawy.

— Chodźmy do łoża — powiedział.

Położyli się.

— I tak miałem przyjrzeć się duńskim sprawom — odezwał się po chwili. — Podbity kraj łatwo utracić, gdy spuści się go z oczu. Dunowie nie darzą miłością ani nas, ani władcy, który ich opuścił. Sven zebrał resztki lojalnych mu sił i popłynął łupić Anglię. — Erik przekręcił się, syknął, jakby bolał go bark. — Dunowie są w tym dobrzy! Od lat najeżdżają królestwo anglosaskie! — Zaśmiał się chrapliwie. — Traktują je jak otwartą

skrzynię ze srebrem. Ponoć Sven jest jednym z czterech wodzów floty, która od roku, niczym rój os, atakuje wyspiarzy. Drugim jest Jostein, trzecim Guthmund, obaj zaprawieni w bojach piraci. A czwartym Olav Tryggvason.

Zamarła.

— Tryggvason? — powtórzyła, bojąc się, że zdradzi ją oszalałe bicie serca.

— Mówią, że to ocalały syn króla Tryggve, ostatniego z Ynglingów. Ale ile w tym prawdy? Były lata, że co roku pojawiał się tam jakiś cudem odnaleziony król. Każdego wdowa Gunhild wyprawiła do zimnej bogini Hel.

Drżały jej dłonie. Schowała je pod poduszkę.

— Eriku, to chyba niemożliwe, by Olav Tryggvason był w Anglii. Jest mężem mojej przyrodniej siostry Geiry i namiestnikiem Mieszka na Pomorzu. Pewnie i wodzem jego wojsk.

Erik ziewnął i potarł brodę. Suchy chrzęst zarostu przyprawił ją o dreszcz.

— Walczyłem z twoim szwagrem przy boku. Wysoki, jasne włosy… jakby siwe? — powiedział po chwili. — Razem odpieraliśmy atak wojsk Svena za Rugią i razem dotarliśmy do Hedeby. Tak, miał na imię Olav, ale nie pamiętam, by to był Olav Tryggvason.

— Ale ja wiem, kto jest mężem mej siostry! — Serce biło jej na wspomnienie tych włosów.

Nie zapomniałam tego ani ojcu, ani jej — pomyślała mściwie.

— Łasych na władzę zawsze jest wielu, żono. Może ten, który walczy w Anglii, nie wie, że prawdziwy Tryggvason jest zięciem księcia Mieszka? Zdziwi się, gdy zapragnie sięgnąć po tron. Wyślij posłańców do ojca, niech się dowiedzą, że w Anglii ktoś podszywa się pod twego szwagra. I nie

gadajmy więcej, Sigrido, wykończył mnie ten dzień. — Wyciągnął ku niej ramiona i przygarnął jej ciało do siebie.

Była rozgrzana, choć z zupełnie innego powodu, niż mógł przypuszczać pan mąż. Gotowa do miłości, ale nie z nim. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła w tej chwili, był dotyk jego dłoni. Nie mogła jednak wstać i wyjść. Erik położył się na niej i przygniatając swym ciężarem, coś mruczał. Nie rozróżniała słów. Ślina, którą czuła na płatku ucha, parzyła ją. Leżała sztywno, chcąc zniknąć, rozpuścić się jak garść śniegu wrzucona do ciepłego łoża. Po chwili król mąż przestał się poruszać. Zachrapał. Wysunęła się spod niego i pozwoliła Wielkiemu Ulfowi poprowadzić do swojej alkowy. Zawołała rysie. Wrzask zwinnie wskoczył na jej łoże. Gryzła go w futro, aż nastał świt.

MIESZKO, wracając z Odą i dwójką młodszych synów do Gniezna, poczuł w piersi ból tak silny, że pociemniało mu w oczach i postanowił zatrzymać się na kilka dni na Ostrowie Lednickim.

— Mieliśmy jechać do Poznania — powiedziała Oda, gdy skręcili z traktu w stronę jeziora. — Skąd ten pomysł, mężu?

— Chcę spędzić z tobą i chłopcami trochę czasu sam na sam, poza zgiełkiem dworu — skłamał.

Nie umiał się jej przyznać do słabości. Nie po tym, jak ją radowało, że wyprowadziła go z ostatniej choroby.

— Poza tym — dodał — biskup Unger jeszcze nie widział naszej wyspy.

Ciemnooki Unger skinął mu głową z powagą. Gdy dotarli do brzegu, ból w piersi odpuścił i Mieszko ruchem ręki przywołał biskupa.

— Spójrz, ojcze — powiedział do niego. — Oto ukryte na Jeziorze Lednickim jedno z gniazd mej dynastii. Tutaj przywozimy swe żony, by rodziły nam dzieci. I tutaj przywieźlibyśmy to, co naszym sercom najdroższe, gdyby kraj stanął w ogniu wojny.

— Dlaczegóż? — spytał Unger.

— Mosty, mój biskupie! Wschodni, ten, przez który za chwilę przejedziemy, jest krótszy, mierzy dwieście kroków dorosłego mężczyzny. Ale Zachodni Most, którego stąd nie widzisz, jest więcej niż dwakroć tak długi.

— Na Boga — z podziwem przyznał Unger. — Tak wielkich przepraw nie widziałem nigdzie w cesarstwie.

— I nie znajdziesz! — Mieszko pokraśniał. — Budowaliśmy mosty zimą, na zamarzniętym jeziorze, wbijając w dno dębczaki. Dwudziesto-, trzydziestoletnie są najbardziej wytrzymałe. No, czterdziestolatki też dobre. Ha, ha! Z dębami jak z mężczyznami, co, Odo? — zapytał chrapliwie.

— Daj spokój, mój miły książę. Tobie każdy wiek służy. — Uśmiechnęła się do niego, poprawiając płaszcz.

— Stary gród i wały były na wyspie już za moich ojców, ale to ja, ja zbudowałem te mosty! I kamienne palatium godne mej pani! — Uśmiechnął się do Ody i pierwszy wjechał na most.

Jastrząb natychmiast poderwał się z jego ramienia i niczym straż przednia ruszył na wyspę. Mieszko lubił, gdy kopyta jego konia stukały po drewnianym moście. Odwrócił się i powiedział do Ungera i Ody:

— Gdyby kiedyś zagroził nam wróg, tu bym przywiózł ciebie i dzieci, moja pani. A jeśli nieprzyjaciel otoczyłby brzegi jeziora, rzuciłbym na Wschodni i Zachodni Most żagiew i spalił je, odcinając każdemu drogę do was, do tego, co dla mnie drogie! Słyszeliście, synkowie?

— Tak, ojcze! — potaknął starszy, Mieszko.

Młodszy, Lambert, pobladł i skinął jasną główką.

— Nie strasz go, mężu — poprosiła Oda.

Wyjechali na brzeg. Z boku mostu, przy szopie służba naprawiała łodzie. Spojrzał na przystań i przed oczyma stanęła mu zimowa noc przed laty.

Przerębel w jeziorze skutym lodem, do którego wskoczył wraz z Bolesławem, gdy dawał mu jego własną drużynę.

Ile to lat minęło? Lamberta nie było na świecie, za to żył mały Świętopełk, a dzisiaj już go nie ma z nami — pomyślał z żalem. — Osiem. Osiem lat — wyliczył i znów poczuł ucisk w piersi. — Boję się tego, co chcę zrobić, stąd ten ból. Bądź rozważny, Mieszko — pouczył sam siebie. — I silny.

Spotkali się na wieczerzy. Jego żona, synowie, biskup Unger. Ten ledwie co przybył do jego kraju. Wyświęcony zaraz po śmierci Jordana, nie mógł przez tyle lat opuścić Memleben, gdzie był opatem, bo cesarzowa Teofano nie zezwalała na jego wyjazd do Poznania.

Twarda sztuka — pomyślał o niej ze złością i podziwem. — Ta to umiała rządzić. I już po niej. Zmarła wielka pani i biskupa w końcu do mnie puścili. Wciąż go nie rozgryzł. Wiedział, że dawny opat cesarskiego klasztoru musi być człowiekiem Ottonów. Czy to znaczy, że nie można mu ufać? Że trzeba patrzeć na ręce? Dla kogo będzie pracował? Dla cesarstwa czy dla kraju, który mu przeznaczono? Jednego był pewien. Biskup Unger budził w ludziach respekt.

— Niech Pan pobłogosławi pokarmy, które dzięki Jego łasce spożywać będziemy! — powiedział biskup i zaczęli jeść.

— Dobrze się czujesz? — Oda czujnym spojrzeniem zmierzyła jego niemal pusty talerz. — Nie jesteś głodny, panie mężu?

— Nie — uciął krótko.

— Może miodu? — zaproponowała Oda i skinęła na służkę.

Wychylił łyk, przez grzeczność. Ostatnimi miesiącami miód mu nie służył. Zamiast jasności umysłu sprowadzał zamęt w myślach, a dzisiaj, jak nigdy wcześniej, Mieszko chciał być trzeźwy i rozumny. Miał wrażenie, że

jastrząb ciąży mu na ramieniu, wezwał sługę i kazał przesadzić ptaka na stojak.

— Czas na testament — powiedział.

Jego żona pobladła i upuściła kielich. Miód rozlał się po stole. Synowie wlepili w niego przestraszone spojrzenia.

— Bez lęku. — Zaśmiał się. — Jeszcze nie umieram. Mówię tylko, że trzeba pomyśleć o tym, co z krajem po mojej śmierci.

Unger się nie odezwał. Dyskretnie patrzył to na niego, to na Odę.

— Mężu — księżna pozbierała się szybko — mam nadzieję, iż sporządzanie testamentu jest przedwczesne. Niemniej zgadzam się z tobą, że nie można wszystkiego zostawić biegowi zdarzeń. Jesteś księciem wielkiego kraju, masz nie jednego, lecz trzech synów, a to znaczy, że musisz być przewidujący i roztropny…

— Milcz, kobieto! — Wzruszył ramionami. — Wiem, jaki mam być!

Powinienem być twardy — pomyślał, patrząc na jasne, strwożone twarzyczki synów. — I zrobić coś, czego przede mną nie zrobił nikt w rodzie. Ale też nikt przede mną nie był chrześcijańskim księciem, nikt nie stawał przed takim wyborem. Do diabła! — zaklął w duchu i w tej samej chwili jedna z pochodni płonących u szczytu sali zgasła.

— Co to? — zdziwiła się Oda i pobladła. — Przeciąg?

Licho nie śpi — pomyślał Mieszko, patrząc na smugę dymu z pochodni. Starł pot perlący mu się na czole. A może to znak, że źle myślę, co? Że błądzę?

Służba wymieniła pochodnię i nowa płonęła jasnym, raźnym blaskiem.

— Ojcze Janie, poczytaj nam, proszę, Biblię. — Oda skinęła na kapelana.

Czasami wychodzi z niej dawna mniszka — pomyślał czule o żonie. — Gdy wieczerza, musi słuchać czytań. Ach, ileż gorących nocy za nami.

Dała mi przez te dziesięć lat tyle szczęścia, tyle rozkoszy! Aż trudno uwierzyć, że gdyby nie moja wojna z cesarstwem, po dziś dzień byłaby siostrzyczką zakonną. Albo matką przełożoną.

Ojciec Jan czytał monotonnie:

— „A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę… Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę”…

Mieszko poczuł chłód.

To znak — pomyślał. — To znak, że dobrze czynię. Tylko mój pierworodny zdolny jest do tego, by uczynić z ziem podbitych na południu nowe, wielkie księstwo. Ci dwaj to chłopcy maleńcy, dzieci jeszcze… oni nie dadzą rady, trzeba ich chronić. Oda ma rację, trzeba ich chronić… Tak, prawda. Najstarszy powinien objąć ojcowiznę, a młodsi zdobyć sobie ziemie. Oni to dzieciaczki drobne, a on orzeł, drapieżnik, co capnął Śląsk i wielkie Morawy. On silny…

— Biskupie Ungerze — przerwał lawinę swych myśli Mieszko. — Masz przy sobie inkaust i pergamin?

— Mam, mój książę. — Unger zmarszczył ciemne brwi.

— Czyżbyś już dziś chciał pisać testament? — zatrwożyła się Oda. — Teraz?

— Nie. Teraz udam się na spoczynek. Przyjdziecie, gdy wezwę.

Wstał od stołu ciężko. Witosz pomógł mu przejść do alkowy i położyć się.

— Gdzie mój jastrząb? — spytał Mieszko.

— Tutaj. — Witosz wskazał na rzeźbioną ramę łoża. — W twych nogach.

— Aha. Nie widziałem go. Niech tak nie siedzi jak kruk nad zwłokami. Jeszcze nie umieram, jeszcze myślę! Idź sobie, stary druhu. Chcę się

zdrzemnąć. Tylko nakryj mnie czymś, bo zimno tu jak diabli…

Zasnął, ledwie Witosz opuścił alkowę. W majaku sennym był sędziwym Abrahamem z wysiłkiem kroczącym na szczyt góry Moria. Muszę to zrobić — powtarzał, potykając się na kamieniach — dla dobra rodu, dla dobra księstwa. On zrozumie, on jest równie drapieżny jak ja. Nie musi dostać gniazda, bo potrafi uwić nowe, większe, a z niego jak z czatowni sprawować kontrolę nad całym krajem… On, Mieszko-Abraham, upadł we śnie na kolana i łkał, gdy dotarł na szczyt. Widziałby stąd rozległe kraje, gdyby oczu nie przysłaniały mu łzy. Co powinien teraz powiedzieć Bóg? — myślał jak w gorączce i łkał. Pamiętał te słowa, znał je, choć we śnie nie przychodziły do niego. Zamiast tego on, Mieszko-Abraham, usłyszał syk węża, śmiech niewiasty i kuszącą woń owocu. „Grzech został poczęty”. Nagle posypały się na niego kamienie i jeden wielki głaz przygniótł mu pierś. Abraham we śnie skonał, ale Mieszko ostatnią siłą zaczerpnął tchu i wybudził się ze snu.

— Ach! — jęknął ciężko, chwytając się za serce.

Na jego piersi siedział jastrząb. Książę usiadł z trudem, spychając ptaka.

— Przestraszyłeś mnie, szelmo! — skarcił go. — Przez ciebie miałem jakieś koszmarne sny. Co to było? — Potarł spocone czoło. — Nic nie pamiętam, ale wydaje mi się, że się wspinałem. Na drzewo? — Zamrugał. Nagle poczuł, że twarz ma mokrą nie od potu, a od łez. — Staruch ze mnie. — Wzruszył ramionami i zawołał Witosza. — Tylko starcy ronią łzy bez powodu. Druhu, proś do mnie Odę i biskupa. I powiedz Ungerowi, by wziął inkaust i pergamin.

OLAV ze swymi oddziałami ulokował się na zimowe leże na wyspie Wight. Wraz z pozostałymi wodzami Morskiej Watahy zwanej szumnie Mieczem Odyna postanowili zająć na zimę cały pas północnego wybrzeża wyspy. Oddzielona od południowego brzegu Anglii jedynie wąską cieśniną Solent,

była świetną bazą na czas, gdy nie prowadzi się walk. Jostein i Guthmund, dwaj wodzowie operujący u brzegów Anglii od dawna, z radością przyjęli Olava i jego załogi, a krótko po nim do Watahy dołączył Sven. Wydostał się z niewoli u jomswikingów, ale musiał uciekać z Danii, którą opanował Erik. I tak Olav i Sven, choć jeszcze niedawno walczyli przeciw sobie, nieoczekiwanie znaleźli się po tej samej stronie.

Z czterech dużych obozów kontrolowali cieśninę tak, że nawet większa ryba nie mogła w niej plusnąć bez ich wiedzy. Na południu, wschodzie i zachodzie wyspy umieścili wartownicze garnizony i nie pozostawało im nic innego, jak naprawiać łodzie, czyścić broń, grzać w kotłach nad ogniskiem miód i zabawiać się z miejscowymi dziewczętami. A te, po krótkim oporze, okazały się nadzwyczaj szczodre w raczeniu Morskiej Watahy swymi wdziękami.

Z początku wodzowie mieli zająć ruiny rzymskiej twierdzy na wzgórzu, lecz Olav i Sven jako pierwsi odmówili, chcąc być razem ze swymi załogami. Guthmundowi i Josteinowi nie pozostało nic innego, jak pójść w ich ślady. Olav kierował się przeczuciem, iż między wygraną a porażką jest niewielka różnica. Jedno i drugie uderza do głowy równie mocno. A siła letniego zwycięstwa Morskiej Watahy była porażająca. Najpierw, za radą Josteina i Guthmunda, spustoszyli Folkestone, potem Sandwich i Ipswich. Gdy dopłynęli pod Maldon, zmietli armię earla Byrhtnotha, jak sztorm topi rybacką łódź. Atak poprowadził Olav, a earla zabił jego wierny Varin i od tamtej pory nie mówią na niego Malowane Kły, lecz nazywają go Varin Pogromca Ealdormana.

Po zwycięstwie świętowali trzy doby, a następnie za namową Svena rozproszyli siły wzdłuż całego wybrzeża Kentu i bez wytchnienia atakowali wieś za wsią. Nie minął miesiąc, jak przybył z białą płachtą na żerdzi wysłannik króla Ethelreda i zaproponował okup. Negocjowali go wspólnie

wszyscy czterej wodzowie. Zaczęli od tysiąca funtów srebra. Przy trzech tysiącach Jostein miał dosyć. Przy pięciu znudził się Sven. Przy siedmiu Guthmund. Olav wciąż rozmawiał, stawiając nie na ludzi króla, lecz wysłanników arcybiskupa, aż w końcu doprowadził do tego, że sam arcybiskup Sigeric przybył na rozmowy z, jak nazwał Olava, „żądnym wiedzy Normanem”. Tryggvason dał mu się wygadać. Z ciekawością wysłuchiwał jego opowieści o Bogu, który karze złych i nagradza dobrych. Prosił, by opowiedział mu o złych. Dopytywał o piekło, Lucyfera i inne duchy zwane przez arcybiskupa nieczystymi. Intrygowały go imiona szatana; powtarzał za Sigerikiem każde z nich, z upodobaniem mówiąc słowo, które zdawało się pęcznieć na czubku języka: „Belzebub”. „Diabeł, Władca Piekielnego Ognia, Wąż!” — wykrzykiwał w uniesieniu Sigeric. „Wąż? — zdziwił się Olav i powiedział: — Ja jestem ostatnim Ynglingiem. Królem, którego znakiem jest wąż”. Wynegocjował dziesięć tysięcy funtów czystego srebra w zamian za zaprzestanie walk. Wypłacono im je od ręki.

Stali we czterech na wybrzeżu, patrząc na idące od lądu ku przystani juczne konie. Niekończący się szereg ciężko stąpających zwierząt. Każde z nich niosło na grzbiecie sto funtów srebra, wprost do ich łodzi.

— Sto razy po sto. — Jostein mlasnął, odgarniając z czoła piękne, choć niemożliwie brudne ciemne loki. — A ja chciałem powiedzieć „dobra” przy trzech. — Podał róg z miodem Svenowi.

— Ja poddałem się przy pięciu — uczciwe przypomniał Sven. — Myślałem, że wolę się bić, niż liczyć, ale odszczekuję. Wolę liczyć! — Napił się, aż miód spłynął mu po rudej brodzie, i podał róg Guthmundowi.

Ten wypił, beknął i powiedział:

— Liczyłem na siedem, bo nie znam większych liczb. A teraz patrzę na siedem razy siedem i znów siedem razy siedem i wciąż jeszcze widzę

konie, które niosą nasz łup. Tryggvason, jesteś najmłodszy z nas, a masz białe włosy jak starzec, albo jak ten z pieśni pijanego skalda. Powinniśmy nazwać cię Srebrny Ole i już.

Olav wziął róg i wypił do dna.

— Wiecie, co myślę, wodzowie Morskiej Watahy? — powiedział.

— Tylko nie watahy, wodzu! — Guthmund znów beknął. — Jesteśmy Odyna Miecz! — Z dumą walnął się w szeroką pierś.

— Miecz Odyna, odyńcu — poprawił go Sven. — Daj mówić Srebrnemu Ole. Choć myślę, że wiem, co nam powie pogromca biskupa.

— Arcybiskupa — łaskawie poprawił go Olav. — Myślę, że skoro od ręki zapłacili dziesięć tysięcy, to stać ich na dużo więcej.

Sven śmiał się tak, jakby miał mu pęknąć brzuch. Jostein i Guthmund przyłączyli się do niego. Olav poczuł, że wypił za dużo i musi wypróżnić pęcherz. Oddał róg Svenowi i oddalił się.

— Hej, Srebrny Ole! — zawołał za nim Jostein. — Zaczekaj, mnie też chce się lać.

— I mnie! — Guthmund beknął.

— Mnieee! — zaśpiewał Sven. — Lejmy tutaj!

— Nie! — zaprotestował Olav. — Nie będę lał na rzekę srebra, która płynie ku naszym łodziom.

Teraz łodzie stały na brzegu i uwijali się przy nich szkutnicy, łatając w poszyciu dziury, które były jak wojenne rany. A wojownicy leżeli na baranich skórach przy ogniu i pili za ciężko zarobione srebro. Choćby chlali na umór, nie dadzą rady przepić nawet połowy tego, co dostali. Olav zapytał swoich, czy chcą wziąć należną im część i wracać do żon. Nie chcieli. Wizja pomnażania srebra, jakby było ziarnem rzuconym w ziemię na siew, podniecała ich. A potrzebę miłości zaspokajały kobiety z wyspy.

Ciepłe i chętne, przy odrobinie wysiłku bardzo podobne do ich żon. On nie miał do kogo wracać.

Ta, którą kochał i której pragnął, była żoną Erika Segersälla. Królową zwaną Sigridą Storrådą. Zamkniętą za murem tarcz wodzów swego króla męża. A kobieta, którą poślubił, leżała w zimnej ziemi razem z synem, którego spłodził. Wyraźny znak, że jeśli sieje, to tylko śmierć.

Dlatego wyspa Wight zwana Wyspą Mglistych Widm była dla niego w sam raz. Nie przepijał wodzowskiej, dużej działki srebra. Nie wydawał jej na wyspiarskie dziwki. Stała zamknięta w skrzyniach i czekała na swój czas. Srebro do srebra. To nie nasienie, które wzejdzie w ziemi i nadstawi gałązkę na niszczycielski grad. I nie nasienie, które zostawi w kobiecie, czekając, czy narodzi się córka, syn czy martwy płód. To twarde, zimne srebro, które pomnoży, gdy nadejdzie wiosna, czas walk. I jesień, gdy zbierze z niego krwawy plon. Będzie tak długo siał mieczem, aż wyrośnie w jego namiocie srebrny łan. A potem weźmie na swe łodzie zbiór i popłynie do Lade, siedziby panów Północy, jarlów Norwegii, którzy dziś dzierżą władzę należną jemu przez urodzenie i krew. Tam zetnie łan i choćby z wiązką ich głów u stóp usiądzie na tronie Ynglingów.

Poły jego namiotu się uchyliły i zajrzał Varin Pogromca Ealdormana.

— Królu, wódz Sven do ciebie — zapowiedział, a jego ciemne oczy zalśniły jak dwie wąskie linie namalowane zakrzepłą krwią.

— Proś króla Svena — powiedział z naciskiem. Varin tylko o nim mawiał „król”.

— Olavie, przyniosłem wino. Trunek gęsty i czerwony jak krew! — Krok Svena zdradzał, że już pił.

— Wejdź! — powiedział Olav, dyskretnie dając Varinowi znak, że ma czuwać. Sven przy boku miał miecz i długi saski nóż. W obozie Watahy nie

przestrzegano zasad jak na ucztach królów. Każdy z nich chadzał uzbrojony po zęby od świtu, póki nie padł w barłóg.

— Lubisz wino? — Rude, długie włosy Svena zatańczyły w powietrzu, gdy stawiał na ławie dzban. Duńczyk przestał strzyc brodę i jeszcze przed zwycięstwem pod Maldon zaczął zaplatać ją w dwa warkocze. Teraz sterczały niczym widły.

— Sven Widłobrody! — Olav się roześmiał i wyciągnął kubek, chwytając po drodze palcami za jeden z rogów jego bródki. — Siadaj, Svenie. Wolę miód, jeśli pytasz. Wino mi nie służy.

Pijał je na ucztach Wladimira i Allogii, potem na swym ślubie z Geirą. Miało dla niego smak wdzięczności, smak, którego nienawidził.

— Więc nie napijesz się ze mną? — zaczepnie spytał Sven.

— Napiję — odrzekł Olav. — Ale zmieszam je z moim miodem — powiedział i przysunął swój dzban.

— Kogo z moich zabiłeś pod Rugią? — Sven pociągnął z kubka i zaczął rozmowę, która wisiała między nimi, odkąd spotkali się u wybrzeży Kentu.

— Frorika z „Pięknej Gunhild” — odpowiedział Olav. — Wybacz, honorowa rzecz.

— Dlaczego?

— Nie wiesz, kim była Gunhild?

— Moją ciotką. Siostrą tego knura, Haralda. — Wyszczerzył lśniące zęby. — Mego ojca.

Olav był zbyt trzeźwy, by powiedzieć „lochą”.

— Wiesz, co zrobiła mojemu?

— Dała mu szybką śmierć? To do niej podobne. — Sven się zaśmiał. — Słyszałeś, że mówią na nią „Suka Gunhild”?

— Tylko suka może wysłać pościg za ciężarną kobietą. Potem polowała na mnie.

— Dobra, Olav! — Sven pochylił się nad ławą i dolał sobie wina do kubka. — W dupę z sukami, przez które znaleźliśmy się tutaj. Mamy własne problemy, co? Kilka spraw, których nie da się cofnąć. — Unosząc kubek, Sven spojrzał mu w oczy. — Codziennie pamiętam, że byłeś wodzem floty, która rozbiła moje statki za Rugią. Jednym z tych, przez których musiałem uciekać z królestwa i zostawić tron, na który czekałem tyle lat!…

W źrenicach Svena zapłonął gniew. Oddychał ciężko. Drżały mu wargi, jak wilkowi, który za chwilę obnaży kły.

— Przestań! — odpowiedział Olav. — Nie przeze mnie twoje nieszczęścia. Byłem jednym z wodzów wielkiej floty Erika, sam wiesz, ile miałem łodzi. Walczyłem w imieniu Mieszka, a ty po prostu byłeś wrogiem mego teścia, nic więcej!

Sven zaśmiał się nieoczekiwanie. Potrafił wybuchać śmiechem gwałtownym jak ogień.

— Srebrny Ole! Do dupy z tym wszystkim! Olaliśmy ich i przypłynęliśmy tutaj po żywe srebro. Wywalczyliśmy je mieczami w Maldon!

— Nie ściemniaj, Svenie! Nie przede mną. Zarobisz i wrócisz odbić swój kraj z rąk Erika — syknął Olav.

— A ty, Srebrny Ole, weźmiesz swoje i popłyniesz zabić jarla Hakona! — warknął Sven.

— Hakona, którego twój ojciec uważał za swego namiestnika! Stary Harald, którego nawet po śmierci nienawidzisz, zniewolił mój kraj. Zrobił z Norwegii swoją prowincję, a pomogła mu jego słodka siostra, wdowa Gunhild! Co, rudy druhu? O czym mam myśleć w bezczynne zimowe dni? Że łupiąc Anglię ramię w ramię, zarabiamy na wojnę, którą przyjdzie nam stoczyć ze sobą, gdy każdy z nas osiągnie swój cel?!

Napili się do dna, bo i to wyznanie sięgnęło najgłębszych pokładów ich pragnień.

Wino uspokoiło Svena. Miód ukołysał Olava. Stuknęli się kielichami i krople trunku się wymieszały. Olav patrzył na wino barwiące purpurową kroplą miód. Sven na miód złotą plamą wbijający się w winną czerwień.

Milczeli dość długo, aż rudowłosy odezwał się kpiąco:

— Wczoraj wrogowie, dzisiaj sojusznicy. Jutro znowu wrogowie. To dość kiepskie założenia do jakiegokolwiek sojuszu. — Pogładził sztywne jak widły warkoczyki brody i roześmiał się. — Chyba że osłodzimy je całym srebrem Anglii!

— Do tego zmierzam. Jeszcze dwie, może trzy dobrze zaplanowane kampanie, od wiosny do jesieni. Trzy celne sztychy Miecza Odyna pod dowództwem czterech wodzów…

— Nie prościej byłoby dwóch? — Sven przekrzywił głowę i przyjrzał się mu, jakby badał, co Olav na to.

— Nie. Siły Josteina i Guthmunda są większe niż nasze. Dobrze wiesz, że dziesięć tysięcy funtów srebra nie wzięło się znikąd. Gdyby każdy z nas walczył oddzielnie, nie mielibyśmy więcej niż parę łodzi łupów. Przypuszczam, że Anglicy zmobilizują siły przed wiosną, i dlatego chcę namówić cię na powiększenie Morskiej Watahy, a nie rozbijanie jej. Wyślijmy werbowników. Do Norwegii, Skanii, na duńskie wyspy, wszędzie, gdzie można znaleźć ludzi. Nie najemników, ale żądnych przygody drapieżców…

— Takich jak my — wszedł mu w zdanie Sven.

— Tak, takich jak my. — Olav zdobył się na uśmiech. — Anglia nie jest moim celem, Svenie. Jest tylko sposobem na dotarcie do celu i nie zamierzam siedzieć tutaj dłużej. Chcę szybko zarobić i zająć się swoimi sprawami.

— W tym się zgadzamy. — Sven wyciągnął rękę po dzban; nalewał sobie powoli, patrząc, jak wino leci ciurkiem. — Choć ja mam przekonanie, że Anglia jest krową, którą można doić bez końca. Ale… — Wino się skończyło, Sven odczekał, aż do kielicha wpadną ostatnie krople, i odstawił dzban. — Skoro tak dobrze nam się współpracuje tutaj, dlaczego nie pociągnąć tego dalej? Może gdy skończymy z Anglikami, wspólnie ruszymy na Szweda i odbierzemy mu tytuł „Erik Segersäll”?

„Rabować, gwałcić, palić? A do Szwecji przypłyniesz?” — odezwała się w jego pamięci Świętosława sprzed lat. Odpowiedział jej wtedy: „Tak, jeśli się zgodzisz”. Teraz poczuł, że sztywnieją mu barki i szyja, jakby zamieniał się w kamień. Zesztywniały mu nawet szczęki, musiał się otrząsnąć, żeby odpowiedzieć Svenowi.

— A potem ty popłyniesz ze mną do Lade i wspólnie zabijemy jarla Hakona? — Stuknął mocno kielichem w stół. — Zawrzyjmy pakt, Svenie. Zaróbmy ramię w ramię tyle srebra, ile każdy z nas potrzebuje, by odzyskać własny tron, a potem nie wchodźmy sobie w drogę. Północ jest wystarczająco duża dla nas dwóch.

— Dla nas dwóch? Zgoda. Ale jest jeszcze ten trzeci, Erik Segersäll. — Sven nalał miód do kielicha Olava i podał mu go z uśmiechem. — No, Srebrny Ole, napijmy się znów! I nie gniewaj się, druhu, ale po pijaku i na trzeźwo będę cię namawiał na sojusz przeciw Łysemu!

Dla mnie to nie ten trzeci — pomyślał Olav, patrząc Svenowi w oczy. — To ten drugi. Ten, któremu w dziale przypadła kobieta, która powinna należeć do mnie. Wiedział, że nie może już odezwać się nawet jednym słowem. Jeśli otworzy usta, nie zatrzyma tego, co myśli.

Stuknęli się kielichami. Olav upił łyk. Teraz miód smakował jak tamten, w myśliwskim dworze, przed siedmioma laty. Oczy Świętosławy lśniły

zielono i złoto, gdy jej odpowiedział: „Pokonam twego męża i poproszę o rękę królową wdowę. Pasuje?”. Jemu pasowało do dziś.

Odprowadził Svena przed namiot. Ogniska w obozie Morskiej Watahy dogasały, na Wyspie Widm nadchodził czas snu. Wody zatoki odbijały liche, jakby przybrudzone światło księżyca. Po drugiej stronie wody leżała bogata i bezbronna Anglia. Olav wciągnął w nozdrza zimny zapach morza, wilgotnej ziemi, dymu z ognisk. Wiedział, że tak pachnie obóz na wyspie Wight, ale co z tego? Poczuł w nim tylko jedną woń: Świętosławy za morzem.

ASTRYDA z trudem wyswobodziła się z objęć Sigvalda i usiadła na łożu, odgarniając włosy. Słyszała jego równy oddech, powinien już spać. Była rozedrgana, chciała zebrać myśli, przygotować się do wyjazdu. Ton wezwania Bolesława nie pozostawiał złudzeń — Mieszko był w złym stanie i nie wiadomo, czy zostały mu tygodnie, czy dni. Jednak, nim ruszy z Wolina, musi mieć gwarancję Sigvalda. Gwarancję, że Jomsborg pozostanie wierny nawet po śmierci księcia. Na myśl, że mógłby zdradzić, poczuła mdłości. Spazm, który wstrząsnął ciałem. Nie. Tylko nie to. Dzieło, któremu na rozkaz Mieszka oddała życie, nie może się rozpaść. Wstała, by napić się wody, zmyć niesmak z ust.

— Asss… — zasyczał Sigvald. — Nie uciekaj, żono. Dopiero zaczęliśmy.

— Piję wodę. Podać ci miód?

— Nie. — Jej mąż zaśmiał się głosem tak rześkim, jakby nie spał przed chwilą. — W obecności czarodziejki pić można tylko to samo co ona. Daj wodę!

— Nie jestem czarodziejką. Nie znoszę, gdy tak mówisz. — Podała mu kubek i usiadła na skraju łoża.

Sigvald podniósł się i też usiadł. Długie, ciemne włosy spływały mu po piersi. Nie osłaniał nagości, przeciwnie. Zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który nago czuje się równie swobodnie jak ubrany.

— Wolisz, bym na ciebie mówił „wiedźma”? — zakpił.

— Nie.

— To jak nazwać kobietę, która uzdrowiła dwunastu konających jomswikingów? Dwunastu ludzi, nad których ranami krążyły roje much? — W mroku jego oczy lśniły dziwnie. — Nie zapomnę widoku ich ran, zielonej cuchnącej mazi…

— Przestań. To był jad z zatrutych fińskich strzał.

— Ale jak nazwać taką kobietę? — Dotknął jej ramienia.

— Nazwij, jak chcesz. — Strząsnęła jego dłoń. — Sigvaldzie, muszę zbierać się do drogi, przecież wiesz.

— Wyjedziesz rano, a teraz jest piękna, ciemna noc. — Złapał ją za ramiona i pociągnął do łoża. — Chodź tu, Astrydo. Muszę się tobą nacieszyć, nim cię stracę.

— Nie tracisz mnie — powiedziała i znów poczuła zimny, chwytający za gardło lęk. — Skąd ten pomysł? — Szybko przekręciła się z pleców na brzuch i spojrzała mu w oczy. — Czyżbyś chciał mnie opuścić? Mnie i sojusz?

Pocałował ją w usta i uśmiechnął się, wpatrując w jej twarz, jakby chciał sprawdzić, co czuje.

— Nie — odpowiedział przeciągle i dotknął palcem jej warg. — Nie. Tak długo jak ty będziesz mi wierna, ja i Jomsborg będziemy wierni tobie. Twojemu ojcu, po nim twemu bratu.

Patrzył na nią z bliska. Czuła jego oddech na twarzy. Nie umiała udawać miłości. Nie potrafiła składać kłamliwych wyznań.

— Jestem ci wierna, Sig — powiedziała i wyciągnęła po niego ramiona.

Odpowiedział, chwytając ją mocno i rozgniatając usta pocałunkiem, który smakował jak ugryzienie. Wystarczyło. Poczuła, jak w dół jej brzucha uderza pożądanie falą silną niczym sztorm. Rzucili się na siebie, jakby nie kochali się latami, choć przecież robili to tej nocy kolejny raz. Tak, nie umiała kłamać, wyznając mu miłość, bo nie kochała go. Ale za każdym razem, kiedy zbliżał się do niej, budził w niej dzikie, zwierzęce pożądanie. Pragnienie spełnienia, które po zaspokojeniu natychmiast zamieniało się w odrazę. Do siebie, że znów pozwoliła mu ożywić w niej bestię. I do niego, Sigvalda, którym pogardzała, bo znała jego mroczny sekret. Tajemnicę zatoki Hjørung sprzed ośmiu lat, gdy on, jarl Sigvald, jako pierwszy krzyknął do jomswikingów „Odwrót!”. I wiedziała, że nie wszyscy żelaźni chłopcy posłuchali swego jarla. Że byli wśród nich tacy jak młody Vagn, którzy powiedzieli mu wówczas „nie” i zostali, i bili się z wojskami Hakona. Tak, znała opowieść o jego tchórzostwie. Lęku, który sprawił, że uciekł z morskiej bitwy z jarlem Hakonem. Sigvald osłonił potem ten strach opowieścią o ciemnych mocach, jakie rzekomo walczyły przeciw nim. Nie potrafiła pokochać tchórza, a musiała z nim żyć, co więcej, często się go bała. Widziała dowody jego okrucieństwa, nieobliczalnych zmian nastrojów i brawurowej odwagi. Kim naprawdę jest? Tchórzem, który uciekł z bitwy, czy bohaterem, który uwięził króla Svena w Jom i wyegzekwował za niego okup? Kimkolwiek był, teraz pragnienie odsuwało od niej każdą z tych myśli, jak wiatr, co rozwiewa chmury. Bestia w Astrydzie nie myślała, bestia pożądała długowłosego mężczyzny o zwinnych kocich ruchach, który z pasją drapieżnika rozszarpującego ofiarę brał ją, nie zamykając oczu. Karmił się jej nieopanowanym pożądaniem. Sycił jękami i zdawał się odczuwać rozkosz nawet pod krwawymi śladami zadrapań, jakie zostawiała na jego plecach.

— As!… — syknął, gdy szczytował.

— Sig! — odpowiedziała mu, opadając na łoże.

Serce uderzało w jej piersi tak gwałtownym rytmem, jakby chciało rozsadzić klatkę żeber. Pociemniało jej przed oczami, zamroczyło. Wciągnęła powietrze szybko, a potem wypuściła wolno. Dwa, trzy, cztery… już. Astryda wracała do siebie. Bestia umknęła w noc.

— Ach, moja piękna As! — wymruczał leniwie Sigvald. — Póki jesteśmy w łożu, nigdy nie wątpię w twą wierność. Dlaczego więc tak się boję, gdy z niego wychodzisz?

Bo jesteś tchórzem? — pomyślała, nie otwierając oczu.

— Nie wiem — odpowiedziała cicho. — Może mierzysz mnie swoją miarą, co, Sig? — Starała się nadać swemu głosowi czułą barwę. Podniosła powieki i spojrzała na niego. — Może ty chcesz zerwać sojusz?

Leżał wsparty na ramieniu. Na jego piersi lśnił łańcuch ze srebrnym pyskiem wilka z Jom. Patrzył na nią tak, jakby miał ochotę na kolejny raz.

— Nie, Astrydo. Znałem wiele kobiet i żadna nie smakowała jak ty. Żadna nie dała mi tyle rozkoszy. Skoro w domu każdego wieczoru czeka na mnie wyborna uczta z wielu dań, byłbym głupcem, szukając po nowych gospodach. — Wyciągnął rękę i przesunął po paśmie jej włosów aż na pierś. Zacisnął palce na sutku. Zabolało. — Masz moje słowo, że nie będę rozglądał się za żadną inną, ale masz drugie, równie ważne: jeśli się dowiem, że częstujesz swymi darami kogokolwiek innego, z nami koniec. Jestem wierny tak długo, jak długo dochowujesz wiary mnie.

— Nigdy jej nie złamałam.

— Więc przekaż, co powiedziałem, swemu panu ojcu i bratu! — Uśmiechnął się i pocałował ją w usta.

Nie otrząsnęła się, choć na wargach poczuła kwaśny, niedobry smak.

Na dziedzińcu poznańskiego palatium panował ruch. Wozy wjeżdżały i wyjeżdżały; służba się uwijała, jakby spodziewano się gości. Na drągach

po nasłonecznionej stronie podwórca schło pranie. Bielutkie prześcieradła i ciężkie obrusy na książęcy stół. Tęgie gospodynie, panie Mieszkowej kuchni, zawiadywały ruchem niczym dowódcy na wojnie. Pod ich komendą w stronę kuchni toczono beczki, znoszono kosze warzyw, klatki bijących skrzydłami kaczek i kur, siatki pełne świeżych ryb. Wyścielone sianem kobiałki jaj i gąsiory węgierskiego wina. Odkąd Bolesław zdobył Śląsk, Małopolskę, a po niej Słowację i Morawy, otworzył bogaty szlak handlowy i do Poznania bezpieczną, strzeżoną przez ludzi księcia drogą płynęły towary z południa, w tym ulubione wino Bolesława, węgrzyn.

Trunek mu zasmakował albo pije go, skrycie tęskniąc za zmarłą? — pomyślała Astryda, oddając konia stajennemu. — Dziwna była ta Karolda. Czarna Łasica, której nikt z nas właściwie nie poznał.

— Uciekaj, Pieczyngu! I tak cię złapię, tchórzu! — Powietrze rozdarł dziki, wibrujący krzyk.

Zawtórował mu pisk odskakujących na boki gospodyń:

— O Matko Boska, młodzi Piastowice!

— Panno Przeczysta, ratuj, znowu wojna domowa!

— Nie daj Boże, zjazd piastowski!

Przez podwórze goniła dwójka chłopców. Starszy był synem Karoldy i Bolesława, ciemnowłosym i krępym. Na imię miał Bezprym. Uciekał przed nim najmłodszy syn Mieszka i Ody, pięcioletni pucołowaty blondyn, Lambert. Wiał, rzucał za siebie błotem i wrzeszczał do Bezpryma:

— Sam jesteś dziki! Czarny Węgier! Ja nie chcę być znów Pieczyngiem! Chcę być panem margrabią!

— Srabią możesz być! — Bezprym wycelował w niego zwiędłym jabłkiem i trafił.

Lambert rozpłakał się wściekle, ale szukał kamienia, którym mógłby pomścić zniewagę. Zza stajni wyskoczył trzeci, najstarszy z nich,

dziewięcioletni Mieszko, syn Ody i ojca. Założył ręce na piersi i zrobił groźną minę, krzycząc:

— Cisza mi tu! Pan książę Mieszko mówi!

Chłopak zadarł nos tak wysoko, że nie zauważył kury nioski, która dreptała u jego stóp, a skojarzenie jej z jastrzębiem ojca było tak komiczne, że Astryda parsknęła śmiechem.

Bezprym błyskawicznie wydobył zza paska procę, wycelował i strzelił Mieszkowi w kolano kamykiem. Nioska uciekła, gubiąc pióra z gardłowym gdakaniem.

— Pokonałem cię! — krzyknął radośnie. — A teraz dawaj, będzie hołd. Na kolana! I tłusty Pieczyng też. Hołd dla Bezprymaaa!… I zaraz wam przywalę jakiś trybut. Lambert, oddajesz mi miodowe ciastka z kolacji, a ty…

Nie zdążył dokończyć, bo przybiegła służba Ody i rozdzieliła dzieci. Gospodynie, które pochowały się przed bitwą młodych Piastowiczów po kątach podwórca, wracały do zajęć.

Astryda dostrzegła w oddali wysoką i suchą sylwetkę Ungera, nowego biskupa. Skłoniła lekko głowę, a on uniósł dłoń i zatrzymał w powietrzu. Już raz ją pozdrowił znakiem krzyża, nie wiedząc, że nie jest ochrzczona. Teraz wiedział, więc opuścił rękę i odpowiedział na ukłon. Weszła do palatium i choć najpierw chciała od razu iść do komnat ojca, skierowała się jednak do świetlicy. Usłyszała dziecięcy śpiew, tak słodki, że aż wzruszenie złapało ją za gardło. Potem miły, kobiecy głos Emnildy:

— Astrydo! Jak dobrze, że jesteś. Dziewczynki, powitajcie swoją ciotkę, wielką panią Astrydę z Wolina.

Czteroletnia Bogumiła i trzyletnia Regelinda, obie ubrane w błękitne szerokie sukienki, obie płowowłose i pucołowate, w wiankach z ruty,

liliowych dzwonków i rumianku, pokłoniły się jej grzecznie. Ukłoniła się im jeszcze niżej, mówiąc:

— Dzień dobry, moje małe księżniczki!

— Pokój niech będzie z tobą, Astrydo! — powiedziały i zachichotały, że wyszło im niemal równo.

Emnilda, żona Bolesława, uściskała ją jak siostra.

— A gdzie syn? — zapytała Astryda.

Dziewczynki przyłożyły palce do ust i pokazały. Mały Mieszko, ich dwuletni brat, spał na niedźwiedzim futrze, obejmując drobnymi ramionami szyje obu wielkich psów Bolesława.

— Dawno przyjechaliście? — spytała Astryda, biorąc na kolana Regelindę.

— Książę mąż jest tu od dwóch tygodni, ja z dziećmi dojechałam trzy dni temu. Tydzień trwała podróż z Krakowa. Wiesz, ile jest zamieszania, jak się ciągnie ze sobą zastęp piastunek?

Nie wiem — pomyślała Astryda i patrząc na to stadko, nagle poczuła żal.

— Posłaliście wiadomość do Sigtuny? Świętosława wie?

— Wie. Bolz mówi, że jak zna swoją siostrę, to przypłynie.

Emnilda mówiła o Bolesławie „Bolz”, tak jak Sasi nazywają ostrze strzały. Nie mogła lepiej trafić z przydomkiem. Nazywała go też, przez szacunek dla Mieszka, „swym księżycem”, czyli książęcym synem. Odkąd władca Milska, pan Dobromir, oddał Bolesławowi rękę swej córki Emnildy, Bolesław przestał otaczać się rojem nałożnic. Cóż dziwnego, ta kobieta była jak mleko i miód, rodziła mu dziecko co rok i na dodatek nic nie traciła ze swej urody. Przez chwilę myśli Astrydy uleciały do nieżyjącej Geiry.

— Ja myślę, że Bolz się myli, bo jakże to? — ciągnęła zatroskana Emnilda, gładząc smukłymi palcami jasne loki Bogumiły. — Jak

Świętosława ma przypłynąć z dalekiej Sigtuny, przez wielkie morze? Ona ma tam dziecko, syna. Z takim małym chłopcem przypłynie? Martwię się. Niepotrzebnie niepokoił siostrę, wysyłając wiadomość…

— Jej mały chłopiec jest starszy od Bezpryma, który przed chwilą pokonał dwóch synów Ody i kazał sobie złożyć hołd — roześmiała się Astryda.

— To też mnie martwi. — Emnilda spojrzała na nią niebieskimi oczami. — Te dzieci ciągle się biją.

— To chłopcy. Są jak szczenięta, z których muszą wyrosnąć myśliwskie psy. — Astryda wzruszyła ramionami i pieszczotliwie uszczypnęła Regelindę w policzek. — Nie to co słodkie, maleńkie dziewczynki, które śpiewają srebrnymi głosami, prawda?

— Prawda, ciociu — poważnie przytaknęła Regelinda. — Pan ojciec mówi, że córki są radością ojców.

Jeszcze nie wiecie, ptaszyny, ile kosztuje bycie „radością ojca” — pomyślała o Mieszku i spytała o jego zdrowie.

— Są lepsze i gorsze dni. Czasami nas nie poznaje, Bolza nazywa Czciborem, swoim bratem, a mnie… — zawstydziła się — …mnie nazywa imionami różnych kobiet. Ale zawsze rozpoznaje swą księżną i w jej obecności robi się zupełnie inny. No wiesz…

— Uległy?

— Więcej, spolegliwy. To denerwuje Bolza. Zresztą idź, proszę. Porozmawiaj z bratem, bo czeka na ciebie niecierpliwie.

Bolesław stwardniał przez ostatnie lata, gdy niemal nie zsiadał z konia, będąc na jednej nieustającej wyprawie wojennej. Zmężniał, zapuścił brodę, którą strzygł krótko, w przeciwieństwie do kasztanowych włosów luźnymi puklami sięgających mu już ramion. Uściskali się.

— Jak się robi takie piękne dzieci? — spytała, całując go w szorstki policzek. — I kiedy, skoro ty cały czas na wojnie, co?

— Chcesz przysłać Sigvalda po naukę? Biskup Unger założył szkołę przy katedrze, ale nie wiem, czy będzie dawał lekcje z tajemnic alkowy. Jak twój mąż? Jomsborg zostanie wierny księstwu?

— Przydziel mi osobistą straż, by jedyna gwarantka sojuszu nie zginęła z rąk zbójców. Trakty w puszczy niespokojne.

— Co ty mówisz?! — Wściekł się w jednej chwili. — Do czorta! Kasztelanów każę zakuć w łańcuchy, ich psim obowiązkiem pilnować spokoju podróżnych!

— Czekaj, czekaj. Nie gorączkuj się. Jak Mieszko?

— Tak jak mówiłaś. Saska suka go czymś poi. Truje. — Chodził po komnacie długimi krokami, był żywym, kipiącym gniewem.

— Nie mówiłam, że go truje. Mówiłam, że poi go miodem zmieszanym z lulkiem, to koi ból, ale jednocześnie daje wizje, majaki, czasami pomieszanie zmysłów.

— No właśnie, truje. — Słyszał tylko to, co chciał słyszeć. Stanął nagle. — Wiesz co? Starego Jastrzębia dobiła śmierć Teofano. Nie znosił cesarzowej. Był jej sojusznikiem, odkąd uznał, że to się opłaci, ale jej nie cierpiał, z wzajemnością. Nie mógł jej darować, że niby wszystko dobrze, uznała nasze prawa do południa, przysłała swoje posiłki, ale biskupa Ungera trzymała pod kluczem w Memleben. Czyli tu niby się wywiązała z sojuszu, a na innym polu pokazała pazurki. Tobie wszystko jedno, poganko — rozpogodził się na chwilę — ale dla księstwa brak biskupa był stratą. — Wyrzucał z siebie słowa, jakby szył z łuku. — W zeszłym roku spotkali się na Hoftagu w Kwedlinburgu, kazała go tytułować na złość Czechom „dux Slavonicus”, traktując jak najważniejszego władcę

Słowiańszczyzny. Uśmiechali się do siebie, przepijali winem, prawili komplementy. A jak wracaliśmy, burczał na nią jak na burą…

— Dobrze, wiem.

Bolesław spojrzał na nią dziko i ruszył, jakby musiał chodzić, żeby zbierać myśli.

— Rywalizacja z Teofano dodawała mu sił. Gdy przyszła wiadomość, że dwa miesiące po Hoftagu zmarła w Nijmegen, załamał się. Pamiętał ją z Kwedlinburga, kwitnącą, przywódczą, pełną sił.

— Władczynię świata — mruknęła Astryda, rozumiejąc, że Mieszko potraktował śmierć wielkiej cesarzowej osobiście. „Nikt nie jest wieczny” nagle nabrało dla niego brutalnie realnego znaczenia. „Nawet władcy”.

— A co z młodszymi dziećmi? Poczynił nadziały?

Bolesław fuknął. Jego niechęć do synów ojca i Ody była niezmienna. Astryda poczuła, że mogą być kłopoty. Zapytała spokojnie:

— Wyznaczył dzielnice Mieszkowi i Lambertowi?

— Coś kręci. Raz mówi tak, raz inaczej, to znów, gdy jest z nami Oda, patrzy tylko na nią… Do licha! Musi się opowiedzieć, bo ja się z jego żoną nie będę dogadywał!

— Uspokój się, Bolz. — Świadomie użyła imienia, którym nazywała go Emnilda. Jak zaklęcia na uspokojenie. Zadziałało. Wypuścił powietrze, potargał włosy, poprawił skórzany kaftan.

— Pójdziemy do niego? — poprosiła.

— Tak. Czeka na ciebie. I na Hardą.

— Wierzy, że Świętosława przypłynie?

W tej samej chwili usłyszeli na dziedzińcu granie rogów witających gości. W pierwszej chwili pomyślała, że zjeżdżają kolejni komesi Mieszka, ale w drugiej zrozumiała, że to sygnał piastowski. Rogi grają na powitanie rodziny. Bolesław klepnął ją w ramię, jakby zapomniał, że jest kobietą,

jakby na jej miejscu stał jakiś jego druh. Zatoczyła się pod ciężarem jego dłoni. Podtrzymał ją i pociągnął za rękę, by biec na powitanie. Jakby cofnął się czas i byli dziećmi, takimi samymi jak te, które wcześniej bawiły się w wojnę przy stajni.

— Oto i ona! — krzyknął, gdy wypadli przed palatium.

Astryda wstrzymała oddech i w następnej chwili wyszeptała:

— Albo najazd wikingów…

Na podwórzec wjechał orszak liczący co najmniej dwie setki zbrojnych. Łysi lub długowłosi, brodaci jeden w drugiego. Wielu o twarzach znaczonych ciemnymi bliznami. Zakuci w kolczugi i hełmy, z wilczymi futrami na plecach. Potężni, konie pod nimi zdawały się kucami. Tarcze przy siodłach mieli takie same — ze złotym odyńcem, znakiem dynastii Erika i boga Freya, od którego mąż Świętosławy wywodził swój ród. Odyniec lśnił też złotem haftu na proporcu, który przed sobą wieźli. Dwaj brodacze jadący z przodu orszaku zadęli w zawieszone na piersi rogi; najpierw krótko, potem długo, jakby sygnał miał się nie kończyć.

— Królowa Szwecji, żona króla Erika Segersälla, pani Sigrida Storråda! — krzyknęli równo. — I jarl Birger, namiestnik królewski!

— Jezusie Nazareński, Matko Boska! — wyrwało się w ciszy którejś z gospodyń.

Konie brodaczy się rozstąpiły i zza ich potężnych pleców wyjechał Birger ze Świętosławą. Astryda poznała ją tylko dlatego, że została zapowiedziana. Jej najmłodsza siostra urosła. Cóż dziwnego, z domu wyjeżdżała dziewczynką, lecz nie we wzroście była rzecz. Z końskiego grzbietu patrzyła na nich królowa. Włosy w barwie najczystszego jantaru miała upięte wysoko, w dziesiątki wijących się jak drogocenne łańcuchy cienkich warkoczy. Pomiędzy dwiema broszami na sukniach w odcieniach zieleni mchu, wody morskiej i młodego żyta lśnił sznur naszyjnika. Przez

plecy przerzuciła lekki płaszcz podbity kunim futrem. Jeden z jej brodaczy zsiadł z konia i chwyciwszy ją w pasie jak dziecko, zdjął z siodła i postawił na ziemi.

— To nie przystoi — usłyszała za plecami zimny głos Ody. A więc księżna pani się zjawiła!

W tej samej chwili psy Bolesława zaszczekały i ujadając, rzuciły się wzdłuż orszaku Świętosławy. A ona, zamiast królewskich powitań, krzyknęła:

— Bolek, zabierz psy! Wrzask i Zgrzyt do mnie! Ulf, daj smycz.

Bolesław gwizdnął na psy. Przybiegły do niego, skomląc i rzucając się na boki.

— Lepiej je uwiąż, braciszku! — radośnie zawołała. — Koty na sznur!

Spomiędzy koni jej orszaku długimi susami wyskoczyły dwa rysie.

— Żbiki! — zawołał mały Lambert.

— Siki! — przedrzeźnił go Bezprym. — To rysie, tłusty głupku!

„Sznur” był podwójną smyczą, którą Świętosława wpięła w obroże obu wielkich kotów. Zdobioną srebrem tak, że niejedna margrabianka mogłaby nosić ją jako naszyjnik.

Bolesław uwiązał psy i oddał Duszanowi. Dopiero teraz Astryda zorientowała się, że przy siostrze nie ma Duszy. Nie ma żadnej kobiety. Świętosława przybyła w orszaku samych zbrojnych. Kto ją uczesał i ubrał?! Prowadząc dwa rysie na smyczy, Świętosława wystąpiła naprzód i Bolesław wyskoczył ku niej. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem rzucili się sobie w ramiona. Gdy po długim uścisku oderwali się od siebie, Świętosława obrzuciła radosnym wzrokiem tłum, który wyszedł ją powitać, i podskoczyła jak dziecko.

— Astryda!…

Rzuciła się jej na szyję. Astryda omal się nie rozpłakała ze wzruszenia, tuląc tę, która kiedyś była dziewczynką.

— Wrzask, obwąchaj i zapamiętaj! To moja siostra. Rozumiesz? Zgrzyt! Wąchaj! Wiesz, czego chcę. A to mój brat. Brat i siostra to tak jak wy. Ryś i ryś — tłumaczyła drapieżnikom z całkowitą powagą.

— Księżna Oda… — Wyłuskała wysoką sylwetkę w tłumie i wyciągnęła ku niej dłoń gestem kogoś nawykłego do wydawania rozkazów.

Astryda dostrzegła, że Oda zamarła. Ostatnio widziały się w odmiennych okolicznościach. Która z nich powinna dzisiaj skłonić się przed którą? Wybrnęły z tego płynnie — obie skłoniły się lekko, jakby niechcący. Idący za Świętosławą jarl Birger pokłonił się przed księżną i ucałował w pokłonie jej dłoń, wybawiając z grzeczności. Siostra rozglądała się po tłumie ciekawie.

— Jaksa? Zarad? Bjornar? Och, wreszcie wyglądacie jak mężczyźni, a nie jak pryszczaci chłopcy. Aż miło na was popatrzeć. A te dzieciaki? Dalej, chłopcy! Przedstawcie się.

Przed szereg wyszli po starszeństwie, ale Bezprym, nie mogąc oderwać oczu od dzikich kotów na smyczy, przepchnął się przed Mieszka jako pierwszy. Sztywno skłonił głowę i sam się przedstawił:

— Bezprym, pani.

Wyciągnęła ku niemu rękę i delikatnie uniosła jego podbródek, by móc mu się przyjrzeć. Chłopak patrzył w dół.

— Mmm… — mruknęła. — Masz dzikie oczy. To dobrze, wiesz?

Spojrzał na nią ze źle skrywaną wdzięcznością. Wychowywany bez matki, przez wciąż zmieniane z polecenia Bolesława piastunki, był chłopcem nieufnym i Astryda wiedziała o tym dobrze.

— Mówią o mnie „Czarny Węgier” — burknął.

— A o mnie „Złota Freya”. Podoba ci się? Co byś wolał? — spytała, nie puszczając jego podbródka.

— „Czarny Węgier” — powtórzył ponuro.

— To świetnie! Mówią o tobie tak, jak lubisz! A mojego syna przezywają „Chudy Ole”, wiesz dlaczego?

— Bo jest chudy? — wybąkał Bezprym.

— Zgadłeś. Ludzie lubią nazywać nas tak, jak nas widzą. Są głupi, prawda? Bo po co mówić coś, co każdy może zobaczyć? Na Olofa wołają „Chudy”, a będzie ich królem. Może ciebie, gdy zostaniesz władcą, nazwą „Bezprymem Czarnym”, jakie to ma znaczenie?

— Najpierw ja! — Przed Bezpryma przedarł się Mieszko, syn Mieszka. — Najpierw ja, proszę cioci.

— A ty to kto? — Puściła Bezpryma i przyjrzała się chłopcu krytycznie.

— Mieszko! Nie pamiętasz mnie?

— Nie.

— Bo byłem mały, jak wypłynęłaś za morze! — Dumnie wyprostował plecy. Mieszko był ładnym, zadziornym chłopcem. — Ale zanim Bezprym Czarny zostanie władcą, najpierw ja!

— A dlaczego? — spytała Świętosława. — A może ten słodki grubasek? — Wskazała Lamberta. — No, chodź tu, mały — przywołała go ruchem dłoni, zupełnie ignorując Mieszka.

Lambert pokręcił głową i cofnął się.

— Boisz się moich rysiów? — spytała. — Słusznie. One wyczuwają ludzki strach i robią się niegrzeczne. Wrzask lubi łapać zębami za łydki. A Zgrzyt skacze do gardła. Więc jeśli chcesz przywitać się z ciocią, Lambercie, musisz przestać się bać.

Lambert zrobił kolejny krok w tył. Pulchne policzki zadrżały.

— Nie dam rady się przywitać, ciociu… — wyjęczał. — Chyba się posikam…

— Lambert! — Powietrze przeciął głos Ody. — Natychmiast przestań!

Mały rozpłakał się i uciekł nie do księżnej, ale za plecy jednej z piastunek.

— Lambert! — krzyknęła Oda. — Do mnie!

— Daj spokój, pani. — Świętosława machnęła ręką. — To tylko dziecko. Jedno z wielu.

W tej samej chwili z drzwi palatium wyszła Emnilda z drugim Mieszkiem, dwuletnim synem Bolesława, na ręku i obiema dziewczynkami po bokach.

— Na Boga, co to za piękność?! — krzyknęła Świętosława. — I takie małe ślicznotki przy niej. Znowu chłopiec… Ależ się wam te dzieci mnożą!

— Siostro… — Bolesław wyszedł po Emnildę. — Poznaj moją żonę, córki i najmłodszego z synów.

Świętosława ledwie widocznym ruchem owinęła dwakroć smycz wokół dłoni, by skrócić dystans rysiów do małych dzieci. Emnilda złożyła przed nią głęboki ukłon, mówiąc:

— Pani.

Świętosława podniosła ją z ukłonu.

— Pani Emnildo, matko mych bratanic i bratanka, tak chciałam poznać kobietę, która ujarzmiła mego brata. — Przyjrzała jej się bez skrępowania. — No, nie mylili się ci, którzy mówili o tobie tak wyśmienite rzeczy! Dziewczynki, jak wam na imię? — Pochyliła się ku nim.

— Regelinda i Bogumiła — przedstawiła obie starsza, pokazując paluszkiem, która jest która.

— Zgrzyt! Wrzask! — przywołała koty. — Powąchać dziewczynki. To siostry. Jak ryś i ryś. A wasz brat? — Podniosła się. — Jak mu na imię?

— Mieszko — powiedziały równo.

— Uwielbiam to imię. Rysie teraz obwąchają małego Mieszka i wszystko będzie dobrze…

— A mnie nie wąchały — upomniał się Mieszko starszy, syn Ody.

— Wąchały, tylko nie widziałeś kiedy, braciszku — powiedziała głosem, od którego przeszły wszystkich ciarki.

Astryda złowiła wściekłe spojrzenie Ody, ale nie zdążyła się nim nacieszyć, gdy z głębi podwórca wyłoniła się wysoka i chuda sylwetka.

— Siostro — odezwał się Bolesław. — Poznaj nowego biskupa księstwa. Ungerze, oto królowa Świętosława.

I wtedy stała się rzecz, która zapadła w serce Astrydy. Ta sama siostra, która przed chwilą podzieliła rodzinę na dobrych i złych, pokornie upadła na kolana przed suchym biskupem, dawnym opatem cesarskiego klasztoru w Memleben.

— Witaj w domu, córko — powiedział Unger, podnosząc ją z klęczek.

— Witaj w domu, ojcze — odpowiedziała Świętosława, patrząc na niego ze czcią.

BOLESŁAW prowadził Świętosławę za rękę do komnaty ojca, jakby czas się cofnął o dziesięć lat. Jakby znów byli dziećmi, które Jastrząb wezwał do siebie. Tyle że dzisiaj on miał dwadzieścia pięć lat, ona o dwa mniej, a Jastrząb był umierającym księciem.

— Ole został z Duszą, to tak, jakby został ze mną, tyle że sam będzie gadał i sam odpowiadał — tłumaczyła mu Świętosława. — No i z Wilkomirem, bo wiesz, już poszedł na męski chów. Jego kochanka, Helga, jest niezwykłą kobietą i jak mam wieczorem wolne od Erika, to wolę pić z Helgą niż z Thorą, żoną Birgera. Thora sprowadziła na świat Olofa, ale dzieli nas wiek. Reszta drużyny, którą mi przysłałeś, już pożeniona, dzieciata, tylko ten twój Krzywy Pysk taki uparty, dzieciaka

Heldze zrobił, a żenić się nie chce. Wiesz, jak nazwał chłopca? Wilczan. Zarozumialec, co? A Wielkiemu Ulfowi, to ten łysy, bez zęba, z pokancerowanym liczkiem, kazałam być w gotowości. Jeśli będą potrzebni na dłużej, zostawię ci ich, tak jak prosiłeś, pod warunkiem że Ulf i Birger wrócą ze mną, a eskortować nas będą jomsborczycy. Ale na setkę zbrojnych nieprzekupnych możesz liczyć.

Uścisnął jej drobne, ciepłe palce. Pocałował w policzek.

— Dziękuję, siostro. Nie brakuje mi wojska, ale „setka nieprzekupnych" może być w najbliższych dniach decydującym argumentem.

Obawiał się tego, co nastąpi. Widział nerwowe ruchy Ody, jej tajemne spotkania z Przybywojem, praskim możnym, który, choć lojalny od lat, w każdej chwili mógł przywołać czeskie, wiecznie wrogie posiłki.

Świętosława mówiła dalej.

— Tylko na rysie nie licz! Wrzask i Zgrzyt to moi synkowie, wracają do Sigtuny ze mną. Emnilda jest piękna jak świt. Jeśli będziesz jej niewierny, pierwsza rzucę w ciebie kamieniem. A Unger? Rany Chrystusa, co za człowiek. Czarne oczy, blada twarz! Kolana się pode mną ugięły, bracie…

— Po raz pierwszy w życiu? — przerwał jej kpiąco.

— Uhm.

— Jak sobie radzisz w kraju na Północy? — spytał poważnie.

— Dobrze — odpowiedziała. — Choć nie umiesz sobie wyobrazić, czym jest długa, północna noc, ani czym jest życie bez Eucharystii. Wychodzi na to samo, podpowiem.

— Mówią, że mąż cię uwielbia.

— No raczej. — Wzruszyła ramionami. — Ale nie myśl, że to takie proste. To stary, dumny wiking. Jak płynie na wojnę, musi wygrać i powiesić ludzkie truchła swym bogom, bo zwie się Segersäll, co znaczy Zwycięski. A potem jak zaczyna pić jesienią, to kończy wiosną. Wiesz, co

to męskie picie? Wiesz. Topory i noże latają nad ławami, póki nie skończy się długa noc. A jak wyciągnie miecz, truchleję, że znów nadszedł ten czas. Oni mówią na to „wrzące łoże”, a ja ci powiem, że pluję futrem polarnego niedźwiedzia. Chwała Najwyższemu, że spłodził Olofa i że nasz syn jest silnym, choć chudym chłopcem. A poza tym mam bunty możnych w kraju i podbitej Danii, no i bękarty Erikowe z czasów, gdy mnie z nim jeszcze nie było. Cała reszta to, jak mówisz, uwielbienie. *Pieśni Najwyższego* powinieneś wysłuchać, bracie. Psalmy opowiadają o Bogu, a *Pieśń Najwyższego* uczy bycia władcą na Północy. Podeślę ci w prezencie skalda.

Doszli na miejsce. Świętosława na jednym tchu powiedziała:

— Bjornarze, weź smycz, Wrzask i Zgrzyt nie powinny przy tym być.

— Ojciec nie jest taki, jak go zapamiętałaś — ostrzegł ją i straż otworzyła okute drzwi komnaty Mieszka.

MIESZKO walczył z grafem Wichmanem. I z margrabią Hodonem. Przewidywał ruchy ich wojsk, jakby był kotem widzącym w ciemności. Wydawał rozkazy, przegrupowywał szyki pod Cedynią. Uderzał w mgłę, łowiąc oddechy umarłych. Wichman znów konał na jego rękach, szepcząc o przebaczeniu i oddając mu swój miecz. A potem z dzikim śpiewem zrywali się Lucice. Przed ich szeregami mknęła piękność z sitem, przez które przepuszczała wodę. Na chorągwiach kiwał trzema głowami bóg. Wszyscy oni wpadali w mrok. Ciemność śmierci, bezwzględnej pani. A jego Jordan polewał wodą Warty i uświęcony chrztem nurt opływał z boską mocą cały kraj.

— Ojcze! — wywołał go z ciemności Bolesław.

— To ty? — upewnił się. — Mój syn?

Wzrok go zawodził i wtedy rozpoznawał ludzi po głosie, zapachu. Czasem po barwie, która spowijała ich pochylające się nad łożem postacie.

— Ja, ojcze. Przyprowadziłem gościa. Poznajesz?

Wytężył wzrok.

— Dobrawa? — spytał, wskazując na jasność, która pulsowała przy jego ramieniu.

— Nie, ojcze — surowo ocenił Bolesław. — Spróbuj jeszcze raz.

Jasność nie czekała, aż odpowie. Przypadła do jego łoża i wyszeptała:

— To ja…

— Harda! Córeczko… — Po jego głowie rozpłynął się dziki miód. — Z tak daleka? A po coś ty…

— Jeszcze się pytasz? — zganiła go szlochem. — Jastrząb się zrywa do ostatniego lotu…

— Tak. Chcę już od was odejść — powiedział jej prawdę. Ich dłonie się splotły w mocnym uścisku. Zobaczył wściekłą zieleń jej oczu. Złapała go i przytrzymała. Zawahał się. Zatrzymał. — Dobrze. Jeszcze spróbuję — wyszeptał i wyznał miękko: — Czekałem na ciebie.

— I jestem. I jest Astryda, ona pomoże ci przejść.

Świetlista postać jego starszej córki zamajaczyła za plecami Bolesława i Świętosławy. Jak dobrze, że przybyła. W jej obecności czuł się pewnie. Ścisnął palce młodszej, szepcząc:

— Poczekaj! Zanim pójdę do Pana, muszę wam coś powiedzieć. Pamiętacie tamtą noc nad Wartą?

— Pamiętamy — zaszemrali z mroku córka i syn.

— Ty jesteś moją Północą. — Wbił palec w jej pierś. — Ty, synu, Południem. Teraz czas, byście rozłożyli skrzydła na wschód. — Dotknął syna. — I zachód. — Dotknął córki. — Bolesławie, jesteś jak ja… Umiesz tworzyć. Uwić nowe gniazdo. Słyszysz, co mówię? Na południu, ach… widzę koronę w śmiertelnej smudze. Jasność. Podniesiesz księstwo do królestwa świętego? Mój drapieżniku, bądź czujny… — Słowa

przychodziły mu z trudem, o każde toczył walkę z oddechem, jakby sam sobie musiał je wydrzeć.

To dziwne — przeszło mu przez myśl — człowiek ma całe życie na ważne rozmowy, a zostawia je do ostatniej chwili, jakby nie wiedział, że wtedy każde słowo kosztuje potrójnie.

— Pamiętajcie, że nie ma granic… Horyzont przesuwa się za każdym razem, gdy dojedziecie do tego, co zdawało się kresem, ale… — Znów musiał odpocząć. Uspokoić oddech. — Orle, tylko wtedy będziesz mógł zdobywać, gdy w domu spokój. To najważniejsze… Nie pozwól rozbić ziem. Daję pisklętom wiele, a ty zapanuj nad nimi albo użyj dzioba, by zaprowadzić porządek. A ty, dziewczyno, osłoń północ, idąc na zachód. Nie bój się. Ogień niesie zwycięstwo. Lód niesie miłość i chwałę krótszą niż pieśń. Astrydo! — wywołał zza ich pleców córkę. — Ty zaś obojgu niesiesz spokój. Jesteś jak kapłanka ciszy.

Poczuł, że słowa mu się kończą. Powiedział im wszystko, co powinni wiedzieć.

— Ojcze! — zawołała z ciemności Astryda. — Powiedz mi o mojej matce.

Ach tak… jest jej to winien.

— Urdis… — przywołał w pamięci jej piękną postać. — Urdis była nieszczęśliwa, bo wasza Freya obdarzyła ją darem ponad jej siły. Zobaczyła w kościach mą przyszłość: wielkie zwycięstwa, olbrzymi kraj i koronę po śmierci. Ale za swój dar twoja matka zapłaciła życiem, Astrydo. Wysłała ciebie, byś chroniła księstwo, i zmarła w moich ramionach. Teraz rozumiesz, dlaczego tyle od ciebie wymagałem, córko? — Pod powiekami zatańczyły mu łzy. — Urdis była słodka jak miód… tak mi jej żal… wolałbym, żeby nie miała swego daru, a żyła…

W ciemności głucho zaskrzeczał jastrząb. Mieszka przeszedł dreszcz.

— Ojcze! — głos Świętosławy przeciął powietrze. — Twój ptak ma ogniste ślepia!

— Krwawe? — spytała Astryda, której twarz zniknęła we mgle.

— Tak, krwawe — odpowiedziała młodsza córka.

I zrozumiał, że to już jego czas.

ŚWIĘTOSŁAWA nigdy nie widziała starego jastrzębia. W naturze taki ptak nie miałby szans. Zbyt słaby, by polować, obronić samicę i pisklęta. Tak, natura skazałaby go na śmierć, ale on był jastrzębiem Mieszka. Nie miał wrogów, żaden drapieżnik nie czyhał na niego i nie musiał polować, by jeść. Nie takim go pamiętała. Zmalał, skurczył się. Pióra, kiedyś gładkie i lśniące, zmatowiały i stroszyły się. Na jaskrawożółtych szponach pojawiły się szare plamy. I to oko. Kiedyś złote, aż kłuło. Teraz ogniste, aż bolało. Ale wciąż dumne.

Siedziała przy ojcu, który na chwilę przymknął powieki, patrzyła na jego spiczastą brodę, białą jak wytrawiona kość, i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, przypływając tu. Mogła przysłać Bolesławowi zbrojnych, których potrzebował, i zostać w Sigtunie. Zapamiętać Mieszka takim, jaki był. Panem ojcem, wodzem, księciem. Mężczyzna, którego trzymała za rękę, był kruchy.

Nie! — zaprzeczyła sobie. — Kruche jest jego ciało, ale wciąż płonie w nim duch. Słowa przychodzą mu z trudnością, ale to, co mówi, wciąż jest wielkie. Jest taki, jaki był. Znów wyznacza nam zadania. Znów wydaje rozkazy. Przesuwa linię horyzontu dalej i dalej.

Nagle drzwi komnaty otworzyły się i stanęła w nich księżna Oda. Za jej plecami kilku komesów. Przy niej dziewięcioletni Mieszko i mały, pulchny Lambert. No tak, to też jego dzieci — westchnęła niechętnie. — Chcą się pożegnać, jak każde z nas. Ale nie wstała od łoża ojca, nie zrobiła im miejsca. Mogą sobie podejść z drugiej strony, jak chcą.

— Książę? — cichym, miękkim głosem zwróciła się Oda.

Otworzył oczy i rozpoznał ją bezbłędnie.

— Żono?

— Tak, to ja. Przyprowadziłam twoich synów, Mieszka i Lamberta. — Starała się zapanować nad drżeniem głosu.

— Coś zrobiła memu jastrzębiowi? — Wycelował w jej pierś kościstym palcem. — Mów!

— Nic mu nie zrobiłam, mężu. — Oda odpowiadała miękko, jakby mówiła do dziecka.

— Zatrułaś go. Ma ogniste oko. Zatrułaś jastrzębia!

Oda pobladła.

— Mężu, stare ptaki zmieniają kolor źrenic — tłumaczyła cicho. — Twój jastrząb ma swoje lata…

— Tak, mój książę — odezwał się komes stojący za jej plecami. — To prawda. Mam kilka jastrzębi do polowań i każdy z nich…

— Kto mówi? — zapytał Mieszko, kręcąc niepewnie głową, jak ptak.

— Przybywoj, panie. — Komes się skłonił, choć ojciec raczej tego nie widział.

— Karmiłaś go? — gniewnie wrócił do tematu.

— Karmiłam, mężu — przyznała Oda.

Mieszko zabulgotał z bezsilnej złości.

— Przecież wiesz, że nikomu nie pozwalam go karmić! Tylko ja… ja sam…

Oda przyklęknęła po drugiej stronie łoża. Chwyciła Mieszka za drugą dłoń. Świętosława nie puściła swojej.

— Mężu, zdechłby z głodu. Tak, karmiłam go, bo ty od tygodni nie wstawałeś z łoża.

Mieszko sapnął i zorientował się, że księżna ma rację. Ona odetchnęła z ulgą i pocałowała jego dłoń.

Może nie jest taką suką, jak sądzę? — pomyślała Świętosława, patrząc na czułość, jaką Oda obdarza Mieszka.

— Przyprowadziłam twoich synów, Mieszka i Lamberta — powiedziała księżna, tuląc policzek do ręki swego męża. — Chciałabym, byś ich pobłogosławił.

Skinął głową. Oda spojrzała poprzez szerokość łoża na Świętosławę, jakby pytała, czy ta zrobi miejsce chłopcom, ale Świętosława nie odpowiedziała na jej wzrok i nie poruszyła się.

Księżna westchnęła smutno, wstała i przywołała synów.

— Chodźcie tutaj, do ojca. Podejdźcie jak najbliżej.

Ciekawe, czy mały Lambert będzie się bał — pomyślała Świętosława. Unosząc głowę, zobaczyła, że w pomieszczeniu jest jeszcze więcej ludzi niż przedtem. Prócz tych, z którymi przyszła Oda, weszli inni komesi, których imion i twarzy nie pamiętała. Astryda wycofała się w głąb komnaty, a Bolesław przeciwnie, przysunął się, stając w nogach łoża, na wprost ojca.

Mieszko kolejno robił znak krzyża nad chłopcami, potem każdy z nich pochylał się i całował ojca w dłoń.

— Książę ojcze — odezwał się poważnie Bolesław. — To dobry czas, by ogłosić twoją decyzję w sprawie nadziałów i rządów w księstwie po twej śmierci.

— Daj spokój, Bolesławie — łagodnie odezwała się Oda. — Nie przerywajmy ostatnich chwil księcia takimi sprawami. Wszystko jest jasne.

— Nie — przerwał jej Bolesław. — To trzeba wyjaśnić. Jako pierworodny chcę wyznaczyć moim braciom dzielnice i chcę, by ojciec wskazał które.

— Ojciec już to zrobił — wciąż grzecznie i spokojnie tłumaczyła Oda. — Biskup Unger ma dokument, w którym wszystko jest opisane jak trzeba.

Co tu się dzieje, do licha? — pomyślała Świętosława i w tej samej chwili poczuła, jak palce Mieszka na jej dłoni zaciskają się.

— Ojcze? Chcesz coś powiedzieć? — zapytała szybko.

Skinął głową.

— Cisza! — syknęła do zgromadzonych.

— Bolesław… — szepnął ojciec cicho, ale wyraźnie — jest następcą mej myśli, bo on taki jak ja. Drapieżny i silny. Ach, synu — jęknął — czasami trzeba podeptać zwyczaje… — Przełknął ślinę. — Wszystko już wam powiedziałem… wszystko… a teraz czas na mnie. Jasność wzywa… Dobrawo — ojciec się roześmiał — przyszłaś po mnie?

Ścisnęło ją za serce, bo wiedziała, że to już. W tej samej chwili od strony wejścia dało się słyszeć niski śpiew. Odwróciła się, nie puszczając ręki ojca. Tłum zgromadzonych rozstępował się, robiąc miejsce Ungerowi, któremu towarzyszyli kapłani niosący wielkie, grube świece i nucący psalm. Otoczyli łoże jasną łuną. Unger stanął po lewej stronie Bolesława w nogach łoża i uniósł ramię w górę do błogosławieństwa.

— Chwilę, biskupie — przerwał mu jej brat i wyjął z pochwy miecz.

Oda krzyknęła:

— Nie!…

Spojrzał na nią tak, że zamilkła, i podszedł z mieczem do ojca, kładąc go przy jego boku.

— Książę Mieszko był wodzem i wojownikiem. Musi umrzeć jak wódz, z mieczem w dłoni — powiedział do zgromadzonych.

Palce Mieszka zacisnęły się wokół rękojeści.

— Tak, był wielkim wodzem — powiedział Unger głosem, od którego przeszły Świętosławę dreszcze. — Ale przede wszystkim był tym, który

otworzył wrota Chrystusowi! Błogosławię cię, książę, na ostatnią drogę, niech prowadzą cię aniołowie Pańscy zastępem zbrojnym w Słowo Boże. I niech przywiodą cię jeszcze dziś przed oblicze Pana naszego. Amen.

To mówiąc, uczynił nad Mieszkiem znak krzyża. Ojciec zmarł z rozwartymi oczami i ustami otwartymi, jakby zostało w nich jakieś ostatnie, niewypowiedziane słowo. Kapłani ani na chwilę nie przestali szemrać psalmu, chcąc, by prowadził go po drugiej stronie życia.

Oda uderzyła w szloch. Zalała się łzami, zachłysnęła płaczem. Rzuciła się do ciała, które wciąż było ciepłe, ale stygło. Świętosława czuła to pod palcami aż nadto dobrze. Nie puściła dłoni ojca. Jedna trzymała miecz, druga jej rękę. Odzie nie pozostawiła wiele.

Księżna leżała na piersi Mieszka tak długo, póki trwał psalm. Gdy zamilkł, powstała szybko i nie ocierając łez, powiedziała:

— Teraz możemy udać się do sali audiencyjnej i odczytać testament wielkiego księcia.

BOLESŁAW wiedział, że istnieje zapis, który powstał niedawno, ale podczas jego nieobecności i pod nadzorem Ody. Powiedział mu o tym Unger, zasłaniając się jednak tajemnicą i nie ujawniając, co się w nim znajduje. Dodał tylko, że bierze otwarcie dokumentu na siebie, i pouczył: „Książę, nie mów o tym testament. To tylko dokument, zapamiętaj, proszę”.

To nie uspokajało Bolesława, dlatego tak mocno dążył do tego, by ojciec jasno powiedział, na jakich dzielnicach ma uposażyć obu przyrodnich braci. Wpływ księżnej na Mieszka w ostatnim roku był tak silny, że nie mógł polegać wyłącznie na rozsądku ojca. Teraz, idąc do sali audiencyjnej, czuł nieznośne drżenie w środku. Nie uronił ani słowa z tego, co dzisiaj powiedział Mieszko. „Jesteś jak ja, drapieżny i silny”. „Czasami trzeba podeptać”. „Daję pisklętom wiele, a ty zapanuj nad nimi albo użyj dzioba,

by zaprowadzić porządek”. Tak, bał się, że przyjdzie mu ten krwawy testament wypełnić.

W pierwszej chwili, gdy przekroczył próg sali audiencyjnej, miał wrażenie, że cofnął się czas. Wszystko było jak dawniej, pod sufitem podwieszone pyszne, purpurowe jedwabie, wzdłuż ścian szpaler straży dworskiej w srebrnych kolczugach, na głównej ścianie wielki, złoty krzyż, a pod nim miecz świętego Piotra. Archaiczny tasak. I wtedy ukłuł go w oczy pusty tron Mieszka na podwyższeniu. Jak otwarty grób. Obok tron Ody. Palce same powędrowały do pustej pochwy przy pasie. Miecz został w zimnych dłoniach ojca.

— Możemy usiąść razem — odezwała się księżna tonem, który miał wskazywać na jej dobrą wolę.

Stanął przed podwyższeniem, odwrócił się i odpowiedział najpierw Odzie:

— Wybacz, ale teraz ja mówię, co robimy.

A potem ogłosił zebranym:

— Umarł wielki książę, lecz księstwo trwa dalej. W żałobie po zmarłym i czcząc jego pamięć, będziemy się też radować przez łzy, bo tak, jak Bóg obiecał ojcu życie wieczne, tak i na ziemi jego dzieło się nie kończy. Jeszcze dzisiaj przyjmę od was przysięgi na wierność.

— Testament — powiedziała twardo Oda i zimno spojrzała mu w oczy.

W sali zgromadziło się znacznie więcej ludzi, niż zmieściło przy łożu Mieszka. Emnilda z ich dziećmi i Bezprymem. Astryda. Świętosława, która po drodze z komnaty ojca zdążyła odebrać od Bjornara rysie i teraz trzymała je krótko na uwięzi. Czarnooki biskup Unger, kapłani. Komesi z niemal wszystkich ziem. Za plecami Ody prócz Mieszka i Lamberta stanął Odylen i Przybywoj z kilkoma możnymi. Drzwi pilnował Zarad

i Jaksa. Na zewnątrz Bjornar z pewnością zrobił to, co miał przykazane. Niech się stanie — pomyślał Bolesław i powiedział na głos:

— Proszę odczytać dokument. — Pamiętał wszystko, co nakazał mu Unger.

Biskup wyznaczył jednego z kapłanów, a ten zaczął po łacinie. Bolesław wyławiał pojedyncze słowa. „Dagome iudex” — Dagobert? Imię ojca, którego użył raz, podczas bierzmowania? „Craccoa, Oddere”. Serce zabiło mu mocniej. Kraków. Sam go zdobył, a niech to…

— Proszę przetłumaczyć — zażądał.

— Ja to zrobię — odpowiedział Unger, biorąc do ręki pergamin. — Ten dokument mówi, iż książę wzywający swego nieużywanego imienia Dagobert i pani Oda oraz ich synowie, Mieszko i Lambert, oddają pod opiekę Ojcu Świętemu w Rzymie księstwo w granicach zakreślonych od Szczecina przez Pomorze, ziemie Prusów, Ruś na wschodzie, Kraków na południu, dalej Ołomuniec i na zachodzie rzekę Odrę.

— Co to ma znaczyć? — Bolesław panował nad sobą tak, jak jeszcze nigdy w życiu. — Księżna mówiła, że to testament. A nie słyszę tu żadnej ostatniej woli.

Czarne oczy Ungera nie zdradzały jego myśli.

— Księżna użyła niewłaściwego słowa. To nie testament, tylko dokument. I znaczy dokładnie tyle, mój książę, ile powiedziałem. Poleca państwo opiece papieża — odpowiedział głośno.

— I wytycza granice władztwa mych synów! — dźwięcznie dodała Oda.

Po komesach przeszedł szmer.

— Nie, pani — stanowczo odrzekł Unger z wciąż nieporuszoną twarzą. — To tylko oddanie głównej części księstwa papieżowi pod duchową, bo przecież nie zbrojną, opiekę.

— Ale ten, kto oddaje, ma władzę — tryumfalnie obwieściła Oda. — Dokument mówi wyraźnie o księciu, o mnie i dwóch naszych synach. Ani słowa o Bolesławie.

Już miał się odezwać, ale biskup pokręcił głową.

— Księcia Bolesława nie było wówczas na Ostrowie Lednickim, pani, nie mógł więc się dopisać do tej zbożnej intencji. Pozwól, że przypomnę ci, pani, iż książę w tym czasie zdobywał dla księstwa te ziemie, których brakuje w dokumencie: Małopolskę, Morawy, Słowację…

— Wszyscy to wiedzą! — zakrzyknęli komesi.

Oda zrobiła dwa kroki w stronę Ungera, jej oczy zwęziły się jak u kotki.

— Byliśmy w jego alkowie oboje — syknęła. — I nie mów, biskupie, że nie rozumiesz, iż wolą mego męża było, by nasi synowie, Mieszko i Lambert, objęli po jego śmierci wymienione w dokumencie dzielnice. Resztą niechaj włada Bolesław.

Po sali przeszedł groźny ryk. Bolesław uciszył go jednym gestem.

„Daję pisklętom wiele, a ty zapanuj nad nimi” i „Mój drapieżniku, bądź czujny” — zadudniły mu pod czaszką ostatnie słowa ojca. Zagrzmiał:

— Nie prowokuj mnie, księżno, bym w obecności dworu użył wobec ciebie nieprzystojnych słów. „Resztą niechaj włada Bolesław” to najbardziej obelżywe, co mógłby usłyszeć następca tronu. Bo tron piastowski jest tu. Stąd jesteśmy! Z Poznania, Gniezna, Giecza. Tę „resztę”, o której wspomniałaś, zdobyliśmy. A konkretnie zdobyłem ją ja. I nie mam nic przeciwko temu, że pan ojciec, ty i wasi synowie oddaliście moją ziemię — rozciągnął te słowa i podkreślił: — pod opiekę Ojca Świętego. Krajowi, który ledwie trzydzieści lat temu przyjął chrzest, przyda się modlitwa zastępcy Chrystusa na ziemi. Ale nie wmawiaj mi i nam tu zgromadzonym, w majestacie stygnącego ciała Mieszka, że książę ojciec chciał wydziedziczyć syna pierworodnego, którego od lat wychowywał na

następcę! — Jego głos, w miarę jak mówił, unosił się i to ostatnie krzyknął gromko.

— Następca! Następca! Następca! — podchwycili komesi zebrani w sali.

Oda zbladła, ale nie spokorniała. Zebrała się w sobie, chwyciła dłonie Lamberta i Mieszka i je uniosła.

— To także następcy! Skoro wymawiasz mi wagę testamentu twego ojca, to co dasz braciom?

— To nie testament, pani — odezwał się głośno Unger, podsuwając jej pergamin. — To duchowa darowizna. Słowo „testament” nie pada tu ani razu, możesz sprawdzić, wszak w klasztorze w Kalbe, gdzie, nim zostałaś księżną, byłaś mniszką, uczyłaś się łaciny, jak mniemam?

Teraz poczerwieniała wysoko na policzkach.

— Bóg i obecni tu świadkami, że do ostatniej chwili prosiłem ojca o naznaczenie dzielnic dla braci. Nie uczynił tego, więc muszę zdecydować sam.

— Wyznaczył! — rzuciła się ku niemu, zapominając o manierach. I zatrzymała w pół kroku, bo rysie Świętosławy zawarczały gniewnie.

Lambert rozpłakał się głośno.

— Wyznaczył — powtórzyła Oda. — Dzielnice mych synów zapisał w dokumencie. Czy w chwili śmierci nie słyszysz płaczu swych braci? — zawołała, podnosząc ich ręce.

— Nie, pani, zaprzeczam. Nic takiego tu nie stoi. — Unger znów go wsparł swym autorytetem.

Bolesław powiedział dobitnie:

— Oto moja wola: Mieszkowi wyznaczam Pomorze od Kołobrzegu do Gdańska. Lambertowi ziemię kaliską wraz z Łęczycą i jednocześnie polecam, by Lambert przygotował się do drogi duchownej. Biskup Unger zajmie się jego wychowaniem, tak by po należytym wykształceniu mój

najmłodszy brat mógł zostać biskupem. Ty zaś, jako księżna wdowa, będziesz gospodarzyć na jego ziemi.

— Chyba kpisz! — zaśmiała się Oda.

— To niegodne, to mało! — krzyknęli Odylen i Przybywoj, ale tylko oni, nikt więcej.

— Chcesz Lamberta usunąć ze swej drogi, co? Ziemie braci oddzieliłeś od siebie, by nie mogli się zjednoczyć? Mnie, choć jestem księżną, wyznaczyłeś tylko Łęczycę? — wykrzykiwała.

— Księżną uczynił cię mój ojciec, wcześniej byłaś margrabianką i mniszką. Droga wolna, pani Odo! Jeśli nie uznajesz mojej woli, nie będę cię zatrzymywał, możesz odejść tam, skąd przybyłaś. — Zrobił przerwę, ledwie chwilę, by uspokoić głos. I dodał spokojnie: — Ale bez synów. Oni zostają. Lambert idzie na nauki od razu, Mieszko wyjedzie do Gdańska. Z racji starszeństwa przejmuję opiekę nad braćmi.

— Nie!… Nie zgadzam się! I biorę was wszystkich na świadków, że oto Bolesław w chwili śmierci ojca pogwałcił jego wolę! Mieszko życzył sobie, by najstarszy panował nad zdobycznymi ziemiami na południu. Śląskiem, Małopolską, Morawami, Słowacją! A młodsi mieli dostać to, co im zapisał! Bolesław krzywdę zadaje wdowie i nieletnim…

Podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. Widział każde drgnienie jej powiek. Każdą drobną zmarszczkę na wciąż pięknej twarzy Ody. Każdy pulsujący gniewem mięsień.

— Jaką krzywdę? — powiedział i zacisnął jej palce na ramionach. Tak, to była groźba. Udawała, że nie czuje. Patrzyła mu w oczy wyzywająco. — Wyznaczyłem tobie i braciom ziemie. Niczego wam nie zabraknie.

— Chcę zostać w Poznaniu — podjęła negocjacje. I puściła dłonie synów.

— Nie. Nie muszę żyć z wdową po ojcu pod jednym dachem.

— To Ostrów Lednicki.

— Już nie urodzisz dzieci, a Ostrów to gniazdo Piastów. Tam się wykluwają nasze pisklęta. A twoje… albo mi będą posłuszne, albo zrobię to, co robi najstarsze z orląt.

— Co niby? — spytała i wreszcie wyczuł jej lęk.

— Rozdziobię — powiedział tak cicho, że usłyszeć mogła tylko ona, i zacisnął palce na obu jej ramionach tak mocno, że syknęła. Dodał głośno: — Mój ojciec był jastrzębiem, ja będę orłem.

— Nie oddam ci synów! — krzyknęła, strącając jego ręce z ramion. — Są moi!

Dwoma szybkimi krokami podszedł do Mieszka i Lamberta i otoczył ich ramionami.

— Mylisz się, pani. Synowie należą do dynastii. — Lambert stał spokojnie, ale pod ramieniem Bolesława dziewięcioletni Mieszko drżał. Jak ja, gdy bałem się, że ojciec prowadzi pierworodnego na stos — pomyślał i przez mgnienie zrobiło mu się chłopaka żal. Ale to nie był czas na wzruszenia. „Nie pozwól rozbić ziem. Daję pisklętom wiele, a ty zapanuj nad nimi” — słyszał Mieszka w swojej głowie. Mówił dalej:

— Córki należą do ojców, a potem swych mężów. Wdowy nie należą do nikogo i zdane są na łaskę następców.

— Hańba! — krzyknął Przybywoj i sięgnął po miecz. — Tak się nie traktuje wdowy!

Bolesław nawet nie musiał skinąć. Jaksa wiedział, czego się spodziewać i co robić. Rozbroili Przybywoja i Odylena, który chciał stanąć za nim, i obu wyprowadzili z sali.

— Czy ktoś jeszcze uważa, że wdowie po Mieszku dzieje się krzywda?

Więcej chętnych nie było. Wstąpił na podwyższenie i usiadł na tronie ojca. Latami czekał na tę chwilę, ale teraz nawet nie zwrócił uwagi, że to

się stało. Bo wiedział, że to jeszcze nie koniec. Najważniejsze wciąż było przed nim. Oda z dziećmi stała plecami do niego, jako jedyna.

Biskup Unger zawołał:

— Nikt z nas nie ma wątpliwości, że za zapisem księcia nie miał stać grzech! Czas na przysięgę wierności władcy złożoną w obliczu Boga!

Stanął przy jego tronie, pod zawieszonym na ścianie mieczem świętego Piotra i złotym krzyżem, jasno pokazując, kto ma czuwać nad prawością wypowiadanych teraz słów.

— Księżno.

Oda zdawała się jeszcze walczyć ze sobą. Drgnęła i znów złapała za ręce synów. A potem nie odwracając się, wyszła i wyprowadziła ich za sobą. Lambert odwrócił się na jedną chwilę, Mieszko nie.

Gdy komesi jeden za drugim oddawali Bolesławowi hołd, Unger z kamienną twarzą szepnął:

— To Mieszko powiedział, że gdy broni się gniazda dynastii, w ostatnim akcie obrony trzeba jednym ruchem odciąć oba mosty.

ŚWIĘTOSŁAWA stała oparta o burtę „Królowej Fal”. Erik kazał wybudować ten statek, bo planowali wspólny rejs królewskiej pary do Roskilde i Hedeby, by pokazać się swym duńskim poddanym i zaprowadzić spokój w podbitej prowincji. Ale plany się zmieniły, jej król musiał zdusić niepokoje wywołane atakami ze wschodu, a ona popłynęła do ojca. Pierwszy rejs „Królowej Fal” był więc podróżą na ostatnią drogę Mieszka. Na szerokim pokładzie dość było miejsca nie tylko dla jej „setki nieprzekupnych zbrojnych”, którzy wracali z nią do Sigtuny. Bolesław poradził sobie bez nich, odstawiając Odę i chłopców do saskiej granicy.

Właściwie łatwo poszło — myślała, patrząc w tęczową mgłę, którą wyczarowało słońce z wody rozbryzgującej się o burtę „Królowej Fal”. — Oda znalazła schronienie na dworze któregoś z dalekich krewnych, ale

wbrew jej nadziejom żaden z saskich panów nie ujął się za nią. Ponoć bardzo liczyła na cesarzową Adelajdę, która była drugą żoną cesarza Ottona I, jak Oda Mieszka. Liczyła na solidarność „drugich żon”, a dostała chłodną pogardę. Nagle wypomniano jej, że do małżeńskiego łoża poszła wprost z klasztoru, że nad służbę Bogu postawiła służbę świecką. Bzdura! Nawet Świętosława, która, odkąd sięga pamięcią, nienawidziła Ody, nie była tak zaślepiona złością, by nie wiedzieć, że to nie Oda zdecydowała wówczas, ale margrabia Ditrich, jej ojciec. Stary nie żyje, jego polityczne wpływy umarły, a ukarano Odę. Księżna Sopel Lodu była saską intrygantką; uknuła matactwo wokół dokumentu, licząc na pomieszanie zmysłów umierającego Mieszka i na to, że pod długą nieobecność Bolesława na dworze zdoła zdobyć wpływy większe niż on. Ale pomyliła się w każdej ze swych spekulacji. Oddając się pod opiekę papieża, rozwścieczyła cesarstwo, które w odwecie nie udzieliło jej i jej synom wsparcia. Bolesław, pod którego rozkazami komesi walczyli o Śląsk zaodrzański, Małopolskę, Słowację i Morawy, zdobył sobie chwałę oraz ich uznanie, bo każdemu z nich jego wyprawa zapewniała godne łupy. Oda po prostu była bez szans.

Nad jej głową głośno zapiszczała mewa. Ślizgnęła białymi jak śnieg skrzydłami pomiędzy powietrzem a wodą i złapała w pazury rybę.

Dostałam od Ody dwie lekcje — pomyślała Świętosława, patrząc za umykającą mewą. — Jedną z tego, jak panować nad mężem. Tę wykorzystałam, nie bacząc na ból. I drugą, jak rzucając zbyt dużo na jedną szalę wagi, można przegrać. Będę głupia, jeśli nie nauczę się na jej błędzie. Boże, kiedyś chciałam być królową wdową, ona na tym nie skorzystała. „Wdowy nie należą do nikogo. Zdane są na łaskę następców”. Teofano… Za tą wdową stanęli możni i ich wojska. Ach, gdy Bolesław jej powiedział, że cesarzowa umarła, tupnęła nogą, krzycząc jak dziecko: „O nie, nie zgadzam się, że Teofano nie żyje!”. Nie mieściło jej się w głowie, że

kobieta, która wreszcie osiągnęła wszystko, poddała się śmierci jak ktoś zwykły, jak…

Otrząsnęła się i poszła w stronę rufy. Pod jej namiotem rozpiętym między burtami Wrzask i Zgrzyt spały w klatce. Musiała je zamykać, bo na morzu robiły się niespokojne. Nie chciały jeść i wciąż warczały smutno. Już lepiej niech śpią.

A jeśli Oda mówiła prawdę? — pomyślała. — I ojciec rzeczywiście chciał osadzić młodszych synów w piastowskiej dziedzinie, a Bolesława uczynić księciem zdobycznych, południowych ziem? Mówił przecież: „Trzeba podeptać zwyczaje” i „Jesteś jak ja… Umiesz tworzyć. Uwić nowe gniazdo, na południu”. Trudno zrozumieć słowa umierających. Nie. Zdecydowanie odrzuciła tę myśl, by Mieszko chciał wydziedziczyć pierworodnego. Bzdura!

Zatrzymała się na chwilę przy grających w hnefatafl. Na planszy toczyła się wielka królewska rozgrywka, okrągłe białe i czerwone kamyki znaczyły ruchy wojsk. Dwa spojrzenia wystarczyły, by widziała, że kamienne wojska białego króla dociskają czerwonego, bo choć biali stracili więcej wojowników, mieli dużo lepszą taktykę walki.

Słońce grzało niemiłosiernie, tylko wiatr znad fal chłodził powietrze. Wielki Ulf drzemał bez koszuli rozciągnięty na baranicy. Stanęła nad nim. Ile ten brzydal ma lat? Jego ciało wygląda tak jak ciało Erika. Dobrze wygarbowana skóra z siecią dawnych blizn. Już niemłody, a wciąż silny i wielki. Gdy Mieszko wydawał ją za mąż, wyglądał tak samo, a teraz po prostu zmarł. Ta śmierć co chwilę podchodziła jej do gardła. Pochyliła się nad śpiącym Ulfem i nakryła go koszulą. Jeszcze chwila i słońce przypiecze mu skórę niczym mięso na ruszcie.

Wróciła na dziób „Królowej Fal”. Przy pogodnym, letnim niebie zdawało się, że widok jest niczym nieograniczony. „Pamiętaj, że nie ma granic…

horyzont przesuwa się za każdym razem, gdy dojedziesz do tego, co zdawało się kresem”.

Jeden po drugim rozplątywała warkocze. Wypinała szpile, które łączyły ich zawoje, i puszczała włosy na wiatr. Na jej twarz pryskały krople słonej wody. Pasma włosów same się rozplatały, jakby czesało ją powietrze. Przymknęła powieki. Uniosła ramiona do głowy, dotknęła długich, płynących z podmuchem pasm. Oplotła dłonie na czole i przesunęła je aż do potylicy. Tam, pod włosami, namacała znamię. Okrągły, ledwie wyczuwalny ślad. Nie miała pojęcia, że je ma, póki nie pokazała Duszy znamienia na czaszce Olofa. Duszka zaśmiała się samymi ustami i wziąwszy jej dłoń, pokazała, że Świętosława nosi taki sam znak. Poprosiła Astrydę, która w asyście szarych sług przygotowywała Mieszka do pogrzebu, by sprawdziła, czy i ojciec. Tak. Bolesław, Bezprym, maleńki Mieszko, te dwie słodkie dziewczynki. Nie zdążyła dotknąć głów przyrodnich braci. Odeszli, nim na to wpadła. A niech to! Skrucha nic nie zmieni, ale tak, żal jej teraz tych chłopców. Byli, jak druga żona, nie w porę.

Otrząsnęła się. Poczuła wilgoć na twarzy, nie, nie żadne łzy. Morski, mokry wiatr. A gdyby było na odwrót? Gdyby Oda i dwaj jej synowie wygrali tę batalię, wypędzając Bolesława? Czy wtedy mogłaby myśleć ckliwie „żal mi tych chłopców”? Nie. Otworzyła oczy, wiedząc, że woli prawdę niż słodki fałsz.

— Pani?

Odwróciła się gwałtownie. Głos zabrzmiał tuż przy jej uchu. Zdecydowanie za blisko.

Jarl Birger cofnął się i uśmiechnął przepraszająco.

— Nie chciałem przeszkadzać.

To co tu robisz? — pomyślała ze złością, ale powiedziała co innego. Była królową, która pod powiekami wciąż niosła lekcję Ody.

— Nie przeszkadzasz, Birgerze.

Stanął obok niej. Przez chwilę milczeli, patrząc w fale, raz zielone, to znów ciemnoniebieskie. Potem wyczuła, że jarl się jej przygląda.

— Czemu na mnie patrzysz? — spytała.

— Masz rozpuszczone włosy.

— Przez chwilę chciałam się poczuć wolna.

— Wiem. Dźwigasz brzemię, a wizyta w Poznaniu musiała dać ci do myślenia. Królowa wdowa musi mieć stronników równie silnych, jak jej umierający mąż.

Nie odpowiedziała. Chciała, by on mówił.

— Księżna Oda popełniła błąd, który często przydarza się kobietom. Przeceniła siłę dworu, a nie doceniła towarzyszy broni. Zawyżyła wartość krwi, licząc, iż dwaj synowie będą tyle samo warci, co jeden pierworodny. A jak liczyć tę wartość, gdy pierworodnymi są bliźnięta?

— Gdybym prócz Olofa miała drugiego syna, zrobiłabym to, co wymyślił Bolesław. Uczyniłabym z niego biskupa. Władza duchowna i świecka w jednym rodzie — odpowiedziała, nie patrząc na niego.

— Nawet gdybyś miała jeszcze trzech, Erik by się na to nie zgodził. To dobry pomysł dla chrześcijańskiego kraju, nie dla nas.

— „Dla nas” w twoich ustach brzmi prześmiewczo, Birgerze. Akurat my dwoje życzylibyśmy sobie chrześcijańskiego królestwa!

Dotknął dłoni, którą opierała się o burtę.

— Królowo Świętosławo… — Wymówił jej imię tak dokładnie i z tak wielką czcią, że zaskoczona nie cofnęła dłoni. — Wszystko, o czym marzysz, jest zawsze blisko ciebie. I ja noszę te same, wielkie plany w sercu, pragnąc je spełniać przy tobie. Byłem wodzem na każdej z wojen

Erika, wojsko króla słucha mnie jak jego. Daj mi tylko znak, że tego chcesz.

Zesztywniała. Powinna teraz dać mu w pysk i ukarać za zniewagę. Do diabła! Erik żyje, a Birger planuje, co będzie po jego śmierci! Ale nazbyt dobrze miała wyrytą w sercu lekcję Ody. Wysunęła dłoń spod jego dłoni i uścisnęła mu palce, mówiąc tak, aby znaczyło wszystko i nic:

— Dobrze, że myślisz o przyszłości, jarlu. Na nasze czyny patrzy Wszechmogący Bóg. Ten, którego imię oboje sławimy w modlitwie.

Uścisk, jaki jej oddał, był nieco zbyt żarliwy. Chciała, by sobie poszedł, by dał spokój jej podwójnie wzburzonym myślom. Jak na zawołanie w takielunek mocno uderzył wiatr. Żagiel wydął się niebezpiecznie i „Królową Fal” rzuciło lekko.

Birger oderwał się od jej dłoni, spojrzał w górę. Niebo wciąż zdawało się czyste, ale od zachodu szła mgła.

— Sztorm rzadko się bierze z bezchmurnego nieba — powiedział, patrząc jej w oczy. — Dużo częściej z chmur, których jeszcze nie widzi nasze oko. Czy rozmawiałaś, pani, z mężem o przysiędze, którą złożył przed siedmioma laty? Czas jest równie nieubłagany jak Odyn.

SVEN po każdej bitwie potrzebował kobiety. Euforia wygranej, wściekłość klęski, żal za zabitymi towarzyszami, radość łupów, szczęście, że śmierć znów minęła go o krok, wszystko to fermentowało w nim jak piwo w kadzi, prowadząc do jednego: chciał kochać się i pić. W ich angielskich obozach nie brakowało ani jednego, ani drugiego. Już dawno nie brali kobiet gwałtem, nie musieli. Oferowały ciała w zamian za ochronę czy raczej brak ataku. Chłopki chciały płacić wdziękami za wieś, słodkie córki kupców za miasteczko, córy ealdormanów za całe prowincje. Wodzowie pozwalali tylko na chłopki, reszta się nie opłacała. Sven nie znosił mieć związanych

rąk, więc nie przyjmował tych ofert. Sam znajdował sobie dziewczyny i ustalał z nimi cenę. Był słowny, płacił srebrem.

Pomysł Olava Tryggvasona, by zwerbować nowych ludzi, się opłacił. Po pierwszej zimie na wyspie Wight przystała do nich duża setka nowych ludzi. Z Norwegii przyciągnęli niepokorni poddani jarla Hakona, z Islandii banici wygnani za uchylanie się przed wyrokami Altingu, ze Skanii rybacy, którym w czas nieurodzaju wszystko jedno, czy łowią ryby, czy łupią angielskie wioski. Z duńskich wysepek ci, którym rządy wielkiego, łysego Szweda dopiekły podatkami. Jego dawni poddani witali go nieufnie, nie wypowiadając tego, co myślą: że w nim upatrują winy za swoją podłą kondycję. Zgodnie z umową, jaką miał z Olavem, każdy z nich wcielał do swoich załóg ludzi zwerbowanych z własnych ziem, więc i jego wyspiarze po pierwszej udanej potyczce podnosili chmurne czoła, a po drugim łupie wołali na ucztach gromko: „Król Sven!”.

— Tak, słodka Mary. Chcę być królem Svenem — wyszeptał w ucho swej rudowłosej piękności. Wyłuskał ją w tłumie innych po tych płomiennych włosach.

„Czy tylko na głowie jesteś ognista?” — spytał, a ona odpowiedziała śmiało: „Między nogami też. Jeśli się nie boisz, panie, sprawdź. Lecz jeżeli się sparzysz, nie miej do mnie żalu”.

Ani on się nie sparzył, ani Mary go nie zawiodła. Więc sprawdzał ją od pół roku i wciąż nie miał dość. Może dlatego, że to było pół roku walk? A może dlatego, że jej włosy były bardziej rude niż jego.

— Dla mnie jesteś królem już dziś… — zamruczała mu w ucho Mary, przekręcając się na bok. Lubiła, gdy brał ją z boku. Była gibka, w jego ramionach wiła się niczym ryba wyciągnięta z wody.

— Jestem nim z urodzenia — mówił, rozgniatając jej białą pierś — ale póki nie zasiądę w wielkiej halli w Roskilde, póki moi możni nie złożą mi

hołdu, nie poczuję radości.

— Nie daję ci jej, mój panie? — spytała, poruszając pośladkami w przód i w tył. Czy Mary wie, że ma piegowaty tyłeczek? Zaśmiał się, odpowiadając na jej pieszczotę. — Zabierzesz mnie do swej Danii? Chcę być twoim danegeldem.

Danegeld. Duński haracz. Tak Anglicy mówili na okup, który wypłacał im król Ethelred.

Nie, słodka Mary. Ty jesteś tylko podatkiem od łupu, krwawo zdobytego srebra, które zapewni mi tron. Jeśli nawet nie zdążysz mi się znudzić, to popłyniesz ze mną jako jedna z wielu. Nie ty będziesz moją panią, moją królową. Jesteś śliczna, ale nie ty zasiądziesz obok mnie na tronie Haralda.

— Skąd pochodzisz? — zapytał, wąchając jej włosy.

— Z Canterbury. Mój ojciec jest psiarczykiem u arcybiskupa Sigerica. Ach… — Wypięła pośladki, czekając na jego pchnięcie. — No już! Nie ociągaj się…

— Z kim sypiałaś przede mną?

— Z głównym stajennym, z nadzorcą biskupiej służby, z poborcą podatków… O tak, Sven!

— Dlaczego zmieniłaś poborcę na mnie?

— Bo mnie wybrałeś… Jeszcze, jeszcze!…

— Czym się od nich różnię? — Wbijał się między jej pośladki coraz mocniej i mocniej.

— Ty płacisz. Oni brali darmo.

— Tylko tyle? — Chwycił ją za rude włosy i pociągnął w tył.

— Jesteś królem i masz lepszego kutasa od nich! Ach, Sven! Płacisz i wygrywasz z nimi… Lepiej być kochanką króla i wodza niż poborcy podatków, nawet jeśli to bardzo, bardzo barbarzyński król…

Jostein i Guthmund odłączyli się od nich i udali na własny łów. Śmiał się, bo przecież pół roku wcześniej proponował to samo Olavowi, a on mówił „nie!”. Uratowały ich nowe załogi zwerbowane za radą Olava, więc rachunek był wyrównany. Ale on? Srebrny Ole go niepokoił. Walczyli tyle razy ramię w ramię, burta w burtę, bok w bok. Olav był dziwny. Bezwzględny. Nie umykał wzrokiem, gdy się kłócili. Nie zmieniał tematu, gdy Sven sięgał po miecz. I nie wahał się o uderzenie serca, kiedy zabijał. Nawet gdy syn angielskiego ealdormana zdejmował hełm, padał na kolana, oddawał swój majątek i rodzinę. Olav zabijał nawet wtedy, gdy ofiara patrzyła mu w oczy. Mówił „giń!” i zabijał, zimny jak stal.

Pierwszego roku, gdy to oni dwaj przyłączyli się do Josteina i Guthmunda, tworząc armię nazwaną Mieczem Odyna, a przezywaną Morską Watahą, po udanych atakach wzięli dziesięć tysięcy funtów danegeldu. Drugiego roku, kiedy tamci wodzowie odpłynęli wraz ze swymi ludźmi, Sven zaproponował, żeby przemianować wojsko na Oddech Odyna i Olav na to przystał. Oddech stoczył walkę z flotą pod wodzą earla Elfrica, którą Anglicy zbierali całą zimę, i potyczka za potyczką, bitwa za bitwą spychał ją w stronę Londynu, aż rozbił w pył. Sukces był podwójny: rozgromili siły z takim trudem gromadzone przez Anglików, zniszczyli ich ciężkie i mało zwrotne statki bojowe, a co najważniejsze, zasiali strach. Król Ethelred całą zimę przygotowywał Londyn do obrony przed „dzikimi najeźdźcami”, będąc pewny, że następnej wiosny poczują Oddech Odyna na Tamizie. A oni pomknęli na zimowe leże na wyspę Wight i trzeciej wiosny uderzyli tam, gdzie się ich nie spodziewano: na ogołoconą z wojsk Northumbrię. Aż do końca lata plądrowali północne wybrzeże i wreszcie zakończyli grabież efektownym atakiem na olbrzymi zamek — twierdzę Bamburgh — który po tygodniu morderczych walk padł. W ręce Svena i Olava wpadły łupy tak wielkie, że musieli zabrać miejscowym te łodzie,

których nie zdążyli zniszczyć w czasie walk, by mieć gdzie załadować zdobycz.

Teraz w Bamburghu świętowali zwycięstwo w wielkich salach starego zamku: on i Olav, wodzowie zwycięskiej floty, wjechali konno po kamiennych schodach do sali audiencyjnej, trzymając w dłoniach pochodnie, a ich ludzie, widząc to, zakrzyknęli:

— Dwóch królów!

Tłum podchwycił i pod sklepieniami starożytnej twierdzy Brytów niosło się skandowanie:

— Dwóch królów! Dwóch królów!

Sala była olbrzymia, z nadkruszoną od pożaru, jaki wybuchł podczas zdobywania zamku, wschodnią ścianą, która teraz otwierała się niczym wielkie okno z widokiem na Północne Morze. Dlatego ławy i stoły do uczty ustawiono pod przeciwległą, zachodnią ścianą. Tam podjechali konno, a Jorun, jego druh, zawołał:

— Armia Dwóch Królów to dobra nazwa na tych, którzy jako Oddech Odyna zdobyli ten zamek!

— Jeśli to wywabi króla Ethelreda z gawry, do której się skrył, to czemu nie? — odpowiedział mu Olav, zeskakując z siodła.

— A jeśli Ethelred zleje się ze strachu, myśląc, że to trzecia, kolejna po Mieczu i Oddechu Odyna armia? — odpowiedział mu Sven, śmiejąc się z tego pomysłu.

— To niech zmieni portki, nim do nas przyjdzie negocjować danegeld! — powiedział Jorun i podał mu róg z piwem.

Potem pili i świętowali zwycięstwo, toast gonił toast, a na wielkich rusztach ustawionych w palenisku na kamiennej posadzce obracały się sarny.

— Możemy tu przezimować i nie wracać na wyspę Wight — powiedział Olav, nim Sven zdążył zaproponować to samo.

W sprawach taktyki najczęściej wpadali na jednakowe pomysły albo uzupełniali się, jak bracia zrodzeni z jednej matki. Kłócili się o drobnostki, ale wtedy wybuchał między nimi tak gwałtowny gniew, jakby byli suchą gałęzią, do której przystawiono żagiew. Tego, co naprawdę stało między nimi, unikali od dwóch lat, od czasu rozmowy na wyspie Wight. Sven był ciekaw, czy teraz, gdy wyjawi Olavowi swój plan, okaże się, że jego druh też już o tym pomyślał.

— Jorunie, czy to nie ty mówiłeś, że w piwnicach zamku znaleźliście beczułki z winem?

— Mój król w sprawie wina ma słuch jak jeleń — pochwalił go druh.

— A mój przyjaciel Jorun jest prawdziwym czy fałszywym przyjacielem? — Sven przyjrzał mu się uważnie.

Jorun miał włosy w kolorze zboża w dzień przed żniwem. Gdy ich długo nie mył, oblepiały jego czaszkę jak dobrze naoliwiony hełm. Lecz wystarczyło, że się wykąpał, a na głowie stroszyło mu się żółte siano, które musiał przytrzymywać skórzaną opaską, żeby nie właziło mu do oczu. Poza tym miał jasne, niebieskie oczy nieco schowane pod białymi, krzaczastymi brwiami i, jak mawiały kobiety, najpiękniejszy uśmiech w całym wojsku. O uśmiechu Varina, przybocznego Olava, nie powiedziała tak żadna. Bały się chwili, gdy otwierał usta i pokazywał swoje naostrzone, malowane kły. Varin i Jorun byli ich zastępcami i we wspólnym piciu nie mieli sobie równych; w dodatku nie łączyła ich ta skaza, która niczym ciemna, burzowa chmura wciąż wisiała nad horyzontem Svena i Olava. Teraz, gdy zaczepił Joruna o wino, odezwał się Varin:

— Nikt nie może obrażać Joruna w obecności Varina, nawet wódz! Dwie beczułki wystarczą na tę noc? Tyle przywlekliśmy z piwnic, bo to piekielnie

dużo schodów! — mówiąc to, dźwignął spod ławy beczkę wina i postawił przed Svenem.

Jorun ją otworzył, przelał krwisty trunek do dzbana i postawił przed nim.

— Chcesz zaprowadzić tu obyczaje jomswikingów? — Sven zaśmiał się krzywo. — Mam sam sobie usługiwać w czasie uczty?

— Nie byłoby źle, królu! — przyznał Jorun. — Chcemy dziś wieczór zagrać z Varinem w mannjafndr.

— Varin, a mój miód? — spytał swego przybocznego Olav.

Ten wyszczerzył malowane kły i postawił przed nim dzban.

— Zostawiam cię, mój królu, z nim sam na sam!

Olav nie pijał wina, wolał miód. Mówił, że wino źle mu się kojarzy, a Sven mógł się tylko domyślać, że chodzi o młodość, którą Tryggvason spędził na dworze Wladimira. Wśród załóg chodziły słuchy, że jedna z żon kniazia kochała się na zabój w Olavie i nie chciała go wypuścić z Rusi. O przeszłości Olava były zresztą najróżniejsze opowieści. O tym, jak rozdzielono go z matką podczas ucieczki na Ruś, gdy na ich statek napadli łowcy niewolników. Ponoć odnalazł tę matkę po latach, gdy ożenił się z piękną Geirą tylko dlatego, że ta była wdową po najsłynniejszym handlarzu żywym towarem, i nim uśmiercił żonę, wydarł od niej wiadomość o tym, gdzie jest jego matka. Mówiono też, jak urządził łowcom niewolników krwawą wróżdę, zjadając ich serca na surowo.

Sven puszczał te opowieści mimo uszu, wiedząc, iż o nim krążą równie niestworzone. Słyszał już taką, wedle której on sam wyssał krew z piersi swego ojca Haralda i na oczach konającego zgwałcił swą przyrodnią siostrę Tyrę. Znał i tę, w której był dzieckiem Haralda i jego siostry, wdowy Gunhild, a nie słodkiej Tove, córki Mściwoja. Bzdura wierutna, ale wolał, by akurat takich plotek Olav nie słuchał, bo na imię Gunhild reagował mieczem.

Cokolwiek o nich mówiono, właśnie ramię w ramię zdobyli zamczysko Bamburgh, starożytną siedzibę Brytów, a potem władców Northumbrii, i ucztowali w jego największej sali, dzięki wypalonej ścianie mając widok na spienione Północne Morze. I to był ten czas, gdy chciał podzielić się z Olavem swym planem.

— Zima w tych murach? Może być. Ściągnę swą rudowłosą Mary, by grzała mi zimowe łoże. Ale pomówmy o wiośnie, Olavie.

Białowłosemu zalśniły jasne oczy i otworzył usta. Sven powstrzymał go ruchem dłoni.

— Ja mówię pierwszy! Chcę, byśmy zaskoczyli króla Ethelreda i przepłynąwszy szybko na południe, uderzyli na Londyn. Po ataku na północno-wschodnie wybrzeże tchórzliwy król nie będzie się nas spodziewał, a londyńczycy znużeni czekaniem na nas przez cały poprzedni rok pewnie nie tak szybko staną do walki.

Olav zakrztusił się miodem ze śmiechu.

— Jesteś pewien, że Tove była wierna Haraldowi? — powiedział. — A może spotkała gdzieś na wodach Bałtyku pana zwanego Tryggve? I szlachetny potomek Ynglingów, nim zaślubił mą matkę, spłodził ciebie, Svenie?

— Myślałeś o tym samym? — Zaśmiał się. — To może twoja szlachetna matka Astryda zabłąkała się pod kutasa tego ogiera Haralda i spłodzili cię gdzieś na wodach między królestwami, co? Może legenda, żeś urodził się w wodzie, nie bierze się znikąd? Może twoje zwycięstwa w zawodach pływackich, Olavie, pochodzą z tej pieśni?

Młody Tryggvason był mistrzem gry zwanej sund — zapasów w wodzie, w których dwaj śmiałkowie nurkowali, odnajdowali się w odmętach, a potem dusili, póki jeden z nich nie poprosił o pokój. Potrafił pływać bez oddechu jak jakaś piekielna ryba, głęboko i długo. Nie przegrał żadnej

z gier i już zeszłego lata brakło śmiałków, którzy chcieliby z nim skoczyć w toń.

— Starczy! — Olav się nagle zasępił. — Nie mieszaj w to naszej krwi, bo popłynie twoja. Po prostu znów wpadliśmy na tę samą myśl w tym samym czasie.

— Ty zacząłeś tę licytację — przypomniał mu ze śmiechem Sven. — Nikt nie lubi mego nieżyjącego ojca! Nawet ty wolałbyś wziąć mnie do rodziny, niż wejść do mojej. Dobrze! — Sven, patrząc na morskie fale przez rozbity mur, był w wyjątkowo ugodowym nastroju. — Mamy te same plany. Wiosną uderzymy na Londyn i znów dostaniemy czyste srebro. Nasz danegeld. Co potem, Srebrny Ole?

— Ruszam na Trondelag — twardo odpowiedział Olav. — Rozstajemy się, mój rudy przyjacielu. Żal.

— Pamiętasz? Mówiłem, że nie ustanę w namawianiu cię na wspólny rejs na Erika Zwycięskiego.

— On nie jest moim wrogiem.

— Czyżby?

— Moim wrogiem jest jarl Hakon, pan Lade.

— A co powiesz na najnowsze wieści? Synowie twego Hakona, bojąc się potomka Ynglingów, poszli po pomoc do Erika?

— Co?!

— Słyszałeś — skłamał gładko i wychylił kielich. Wino grzało go i pozwalało z drobnych przeinaczeń zrobić prawdę. — Boją się ciebie — pociągnął Sven. — Boją się prawowitego władcy, który powróci w blasku danegeldu. Zdobycznego srebra. Zawczasu proszą o pomoc Erika Zwycięskiego w walce o zachowanie władzy.

— Łżesz! — syknął wzburzony Olav.

— Jorun, zawołaj tych, co przypłynęli z Sigtuny. Niech powiedzą, jak jest. Jorun? — Rozejrzał się za swoim przybocznym.

Jorun i Varin nie zwracali uwagi na swoich królów. Otoczeni wianuszkiem rozbawionych towarzyszy, stali naprzeciw siebie z rogami w dłoniach i grali w mannjafndr, porównania.

— Mój król pływa jak ryba z głębin! — licytował Varin ochrypłym głosem. — Wytrzyma w głębinie tak długo, jak żaden inny. Twój to przy nim ledwie wodna kaczka!

— Ry-ba z głę-bin! — wybijali rytm asystujący im. — Wod-na kacz-ka!

— A mój król — przebijał Jorun, rozkładając szeroko ramiona — skacze z łodzi na łódź niczym rączy jeleń! Twój król-ryba to przy nim ledwie żaba!

— Rą-czy je-leń! Led-wie ża-ba! — wyskandowali ze śmiechem towarzysze zabawy, a Jorun i Varin wypili do dna. Dolano im i pojedynek ruszał dalej.

Sven się zaśmiał.

— Rączy jeleń i ryba z głębin sami muszą poszukać ludzi z Sigtuny! Nasi przyboczni dotrzymali słowa.

— Obiecali, że się upiją w mannjafndr, i dobrze im idzie. Szkoda tylko, że naszym kosztem. Dwaj królowie bez tronów, bez ziem, bez żon, bez ojców… Lista porównań długa, a są dopiero na pływaniu i skakaniu. — Olav się skrzywił.

— Nie bądź taki poważny! — Sven klepnął go w ramię. — Póki nie porównują zawartości naszych skrzyń ze srebrem i długości kutasów, niech robią, co chcą! Haki! — Wypatrzył przy kadzi z piwem jednego ze swych najlepszych żeglarzy. — Haki, gdzie ten chłopak z Sigtuny? Przyprowadź go do nas.

— Mój drogi król — rozdarł się tymczasem Varin — ma włosy jak czyste srebro, a twój jak zwykły miedziak!

— Sre-bro! Mie-dziak!

— Nie, nie, nie! — odpowiedział mu Jorun. — To można lepiej porównać! Mój król ma płonącą głowę, twój skutą lodem!

Towarzysze zabawy upijali się szybciej niż gracze, bo powtórzyli na skróty:

— Pło-ną-cy lód! Pło-ną-cy lód!

Tym razem nawet Olav parsknął śmiechem. Haki przyprowadził do nich szczupłego, jasnowłosego chłopaka, który wyglądał na nie więcej niż siedemnaście lat.

— To on. Gauti z Sigtuny — przedstawił go Haki i spytał: — Czy mogę iść? Gra się rozkręca i nie chciałbym stracić kolejki.

— Idź. — Sven machnął ręką. — Ale gdyby nasi przyboczni chcieli licytować nasze przyrodzenie, to wołaj. Jestem ciekaw, czy będą rymy!

— Gauti, kiedy byłeś w Sigtunie? — spytał go Olav.

Spieszy mu się — pomyślał Sven. — Nawet chwili nie chce stracić.

— Jeszcze wiosną tego roku, wodzu.

— Co tam robiłeś?

— Pochodzę z okolic Mälaren. Przyjechałem na ting do króla Erika i królowej Sigridy prosić o łaskę.

— Jaką?

— Po śmierci ojca mam spór z braćmi o ziemię.

— Przegrałeś?

— Dlatego tu jestem. — Gauti uśmiechnął się krzywo. — Szukam szczęścia i zarobku, jak każdy.

Nie wiem, czy dam ci szczęście, Gauti — pomyślał Sven, patrząc na młodzieńca. — Ale zarobek? Czemu nie.

— Czy to prawda, że spotkałeś w Sigtunie młodych jarlów z Lade? — pytał go dalej Olav.

— Tak, wodzu. Synowie jarla Hakona, Erik i Sven, przybyli do króla. Jarl Erik powiedział, że szuka pomocy u swego wielkiego imiennika.

— O, ma chłopak dar wymowy! — wtrącił się Sven. — To ten drugi powinien przypłynąć do mnie, co? „Królu Svenie, ja też mam na imię Sven, więc powinieneś mi pomóc”!

— Nie wiem, wodzu. — Gauti rozłożył ręce. — Nie mnie znać sprawy wielkich panów.

— Co jeszcze mówili synowie Hakona? — dopytywał Olav.

— Że źle się dzieje w ich kraju. Że jarl Hakon traci wpływy wśród możnych, bo nie umie zapanować nad chucią.

— Nie mów, że ci tego samego nie powtarzali chłopcy z Sognefiordu — zadrwił Sven. — Masz trzy załogi obsadzone tym dobrem.

Ludzie z Sogn uchodzili za urodzonych piratów.

— Gadają, gadają — wymijająco odpowiedział Olav. — Ale o wizycie młodych jarlów w Sigtunie nie mieli pojęcia. Znasz odpowiedź króla Erika na wezwanie synów Hakona?

— Nie, wodzu. Król zaprosił ich do swego dworu, powiedział, że mają być jego gośćmi. A potem, gdy zaczął się ting i nie przyznał mi prawa do ziem braci, nie czekając, co będzie dalej, odpłynąłem.

— Dziękuję, Gauti. Idź się bawić. Albo nie, zaczekaj chwilę! Królową Sigridę widziałeś? — zapytał Olav.

— Widziałem, wodzu. Siedziała na wysokim krześle przy królu, a przy niej dwa rysie. Prowadzi je na smyczy.

— A mnie o rysiach nic nie mówiłeś! — żachnął się Sven.

— Bo król o to nie pytał.

Olav zaczął się śmiać.

— Jak je woła? Jakie mają imiona?

— Oj, wodzu, nie powtórzę, bo to w języku królowej. Dwa piekielne słowa, jakby ktoś nożem przejechał po zardzewiałej blasze.

Kiedy Gauti odszedł, Sven dolał sobie wina. Uderzało mu do głowy szybciej niż miód i nie było aż tak słodkie jak on. Poza tym zdobył je wraz z Bamburghiem i to wystarczyło, by mu smakowało. Młody Gauti powiedział w sam raz tyle, by nie skłamać: młodzi jarlowie byli u Erika, to prawda. Nie wszyscy muszą wiedzieć, że nie po pomoc przeciw Olavowi, ale przeciw własnemu ojcu. Są skłóceni ze starym Hakonem jak ongiś on sam ze swoim Haraldem. Ale najważniejsze wieści z Sigtuny Sven zachował dla siebie. Miał tam informatorów znacznie lepszych niż ten Gauti. Wysoko postawionych na dworze, takich, którzy znają sekrety króla i królowej, i gdy nadejdzie czas, będą wiedzieli, w czyim imieniu zabrać głos.

— Skąd wiedziałeś o rysiach?

— To dar ode mnie — odpowiedział Olav i dodał: — I mojej żony, Geiry. Były siostrami.

— Przypominam sobie. Wróćmy do naszych spraw. I co? Nadal uważasz, że nie ma powodu, byśmy zjednoczyli siły przeciw szwedzkiemu królowi?

— Nie ma pewności, czy Erik udzieli poparcia młodym jarlom, to raz. A dwa: to ich, synów Hakona, a nie króla Erika, traktowałbym jako swoich kolejnych wrogów. Gdy zrzucę z tronu ich ojca, ci dwaj będą ze mną walczyć o władzę.

Ma to poukładane w głowie — ocenił Sven. — I nie daje się podpuścić. Albo ma jeszcze lepsze wieści ze swego kraju, niż ja zdobyłem. A jednak potrzebuję go, by pobić Erika. Srebro to jedno, ale flota Starego Odyńca jest mocna. Jeśli przegram z nim drugi raz, nie odzyskam Danii. — Napił się.

— …ma dłuższe… — dobiegło go od strony Joruna i Varina.

— Co? To już? Wzięli się za porównanie naszego ukrytego oręża? — Ocknął się, pytając Olava.

— Nie, są przy włosach. — Olav złapał go nagle za ramię i zbliżył ku niemu twarz. — Sven, każdy z nas ma swoją drogę. Zgarnijmy w nowym roku, ile się da, i obaj popłyniemy po swoje dziedzictwa. Na początek mamy równe szanse — Olav uśmiechnął się twardo — bo łupem dzielimy się na pół. A co z tym zrobimy dalej? Bogowie wiedzą. Chcę się dzisiaj upić. Oblać miodem ten stary zamek! Bamburgh!

— To mnie goń! Moje wino mocniejsze i wypiłem więcej niż ty!

Olav jednym haustem wychylił kubek i dolał sobie miodu.

— Mój miód słodszy!

— Wino czerwieńsze! Po winie lepsza krew!

— Po miodzie gorętsza chuć!

— Joooruuun! — zawył z głębi kamiennej sali Varin. — Królowie sami grają w mannjafndr!

Sven wstał. Poczuł, jak cudownie buja nim wino dziedziców Bamburgha. Jakby miał pokład pod stopami, a cóż jest piękniejszego niż rejs! Pijani towarzysze odłączali się od Varina i Joruna i zataczając, szli ku nim.

— Pojedynek królów! Pojedynek królów! — ryczeli, zbliżając się do Svena i Olava.

— Nie gram na rymy! I nie pływam z tobą! — zastrzegł Sven.

— Nie gram w porównania! I nie skaczę z tobą po łodziach — zaprzeczył Olav.

— Po-je-dy-nek! Po-je-dy-nek! — skandowała duża setka pijanych wojowników, którzy byli z nimi w Morskiej Watasze, Mieczu Odyna, Oddechu Odyna i teraz w Dwóch Królach.

Oparli się o siebie głowami.

— Wyzwali nas — szepnął Olav. — Musimy pokazać, na co stać wodzów.

— Zagrajmy w picie! — zdecydował Sven. — Skoro obaj chcemy się upić…

— Beczka miodu przeciw beczce wina! — zakrzyknął Olav.

— Dwa długie rogi! — zażądał Sven. — Kto się pierwszy obali na ziemię, przegrywa.

— Kto wygra, pije dalej. Gdzie mój Omold skald?

Skald wyglądał, jakby grał w picie od rana, ale słysząc wezwanie Olava, otrząsnął się i wstał.

— Jakiej pieśni do picia chce mój pan?

— *Pieśni Najwyższego*! — ryknął Olav, zagrzewając się do walki. — Wyłuskaj z mądrości Odyna pijackie strofy!

— Jestem gotów — zameldował skald.

— Lejcie! — Sven nadstawił róg.

Gdy obaj mieli pełne naczynia, skald zaczął:

Wiktu gorszego nie masz na drogę
niż pełna beczka piwa…

— Dlatego wygra miód! — krzyknął Olav i zaczął pić.

— Zwycięży wino! — odpowiedział Sven i zanurzył w nim usta.

Nie tak dobre, jak mówią,
piwo dla ludzkich pokoleń,
bo tym mniej ma — im więcej pije —
zdrowego rozumu człowiek.

Wypili w jednym czasie i nadstawili rogi po jeszcze. Przechylili znów.

Leniwie „złej pamięci żuraw” nad pijakami lata,
kradnie ludziom ducha.
Tego ptaka pióra mnie spętały…

Drugi róg poszedł tak szybko jak pierwszy. Każdy wiedział, że im krótsze przerwy, tym lepiej. Przy trzecim Olav się zachwiał, ale nie popuścił.

Pijany byłem, jak bydlę pijany
w domu mędrca Fjalara…

Skald dawał z siebie wszystko. Jego ustami sam Odyn przestrzegał ich przed piciem, a oni kończyli czwarty róg zagrzewani do walki przez wszystkich swych towarzyszy. Sven czuł, że za chwilę może zwymiotować.

Wtedy jest piwo najlepsze,
gdy gość odzyskuje swój rozum z powrotem…

Podstawił róg pod beczkę piąty raz, ale czuł, że zamiast do naczynia, leje się po jego rękawie. Nie mógł utrzymać rogu prosto. Kamienna sala zamku tańczyła mu przed oczami, a pod nogami zaczął się sztorm. Upadając, złapał Olava, który tak samo jak on leciał na posadzkę. Wylądowali jednocześnie.

Nie trzymaj się kielicha, pij miód w miarę,
mów mądrze albo milcz…

— Zabiję cię, Omold… W miarę? Pij w miarę? — bełkotał Olav. — Teraz to mówisz?

— Dwóch królów! Dwóch królów! — wyli nad ich głowami towarzysze.

— Przegrało! Wygrało!

— Sven i Olav zawsze sobie równi! — wyrecytował skald. — Wygrywają razem i przegrywają razem!

— Płyń ze mną… do Sig… Sig… Sig… tuny. — Sven walczył z czkawką. — Poko… namy… Erika i… zdobędzie… my kró… królową! — Oczy zamknęły mu się same.

Poczuł, jak czyjeś ręce dźwigają go w górę.

— Jorun? — wyszeptał, otwierając oczy.

Nie. To był Olav. Skąd wziął siły? Zbliżył swą twarz do Svena. Był równie pijany jak on.

— Ty weź sobie królestwo — syknął, jakby obudził się w nim wąż Ynglingów. — Ja wezmę królową! Ty płyń po Sig… Sigtunę. Ja po Sig… Sigridę!

Nie starczyło mu siły na więcej. Puścił go i znów opadli na kamienną posadzkę. Unosiła się i wirowała razem z jego ciałem. Sven trzymał Olava za ramiona. Olav trzymał jego. Gdyby się teraz puścili, zamek by się zawalił i z hukiem wpadliby w kipiące u jego stóp morze. Sven nie pamiętał, czy wypił pięć rogów, czy sześć, ale czuł, jak w jego głowie zaczyna się wieczny łomot.

…pij miód w miarę…
…mów mądrze albo milcz…

OLAV prowadził łódź, pilnie wypatrując wystających z wody skał. Był odpływ i jasnoniebieskie wody opływające wyspę Scilly roiły się od skalnych pułapek. Płynął niewielką, skromną łodzią; taką, jakich w tych stronach używają rybacy i poławiacze ostryg. Towarzyszyło mu trzech ludzi z pierwszej załogi „Kanugårda”: Omold skald, Ingvar i Rafn.

Reszta łodzi Dwóch Królów podzielona na niewielkie oddziały zajmowała zatoczki u południowego wybrzeża Anglii, czekając na

odpowiedni moment. Olav zostawił dowództwo w rękach Varina, bo jego malowane kły budziły respekt nawet wśród najbardziej krnąbrnych załóg. Póki nie wróci do swoich, wodzem naczelnym Dwóch Królów jest jeden król — Sven.

Była pierwsza wiosenna pełnia. Atak na Londyn zaplanowali na wczesną jesień, a czas, jaki do niego pozostał, zamierzali spędzić na usypianiu czujności króla Ethelreda serią drobnych ataków na Irlandię, wyspę Man i Kornwalię. Chcieli stworzyć wrażenie chaosu, poczucie, że atakują drobni, rozproszeni wodzowie.

— Królu! — Rafn wskazał na brzeg. — Widzę dwie przystanie.

Olav też już je dostrzegł.

— Omoldzie, jak brzmiała wiadomość? — spytał.

— „Wschodni brzeg wyspy Scilly. Gdy zobaczycie dwie przystanie, odbijcie na południe. Za pasmem skał promieniście biegnących wzdłuż brzegu będzie trzecia przystań. Rozwalony pomost wczepiony w skalny wał” — wyrecytował z pamięci skald.

Wiatr ustał i ich mały żagiel wisiał na maszcie niczym flak. Wzięli się do wioseł, odbijając na południe. Czekał na wyspie Wight na zaufanych chłopców z Sogn. Zamiast nich przypłynął mały statek kupca solnego i przekazał wiadomość, że jego ludzie śmiertelnie poharatani przez pospolitych rabusiów trafili w ręce jakiegoś znachora na wyspie Scilly. Owszem, Olav wziął pod uwagę, że to może być zasadzka. Ale wiadomości od chłopców z Sogn były dla niego tak cenne, że zaryzykował bez chwili wahania. Zabezpieczył się, każąc Varinowi przetrzymać statek kupca z ładunkiem i załogą aż do swego powrotu. Marna pociecha, ale zawsze jakaś. Jeżeli ktoś zarzuca sieci na niego, może zechce go wymienić za ładunek soli?

— „Pasmo skał promieniście biegnących wzdłuż brzegu”. — Omold pokazał palcem to, co właśnie zobaczyli. Skald prócz tego, że miał niesamowitą pamięć, lubił powtarzać słowami to, co widziały oczy.

— Na mój nos to najgłupsze miejsce na przystań — powiedział Ingvar, ocierając pot z czoła.

— Chyba że nie oczekuje się gości, którzy przypłyną bez zaproszenia — odpowiedział Rafn.

Olav uniósł głowę i zobaczył, że na wysokiej nadbrzeżnej skale siedzi biały pies. Poczuł mrowienie. Już gdzieś widział tego psa.

— Z łodzi! — powiedział, a jego ludzie ustawili wiosła w dulkach i wyskoczyli.

— Na ramiona na „dwa” — rozkazał i wyciągnęli łódź na jasny, miękki piach.

— „Rozwalony pomost wczepiony w skalny wał” — wyrecytował Omold, pokazując na zmurszałe deski z trudem trzymające się skały. — No, trafiliśmy!

Pies zniknął bez jednego szczeknięcia.

— Rafn, zostaniesz z łodzią. Ingvar i skald pójdą ze mną — powiedział Olav, wdrapując się na skalisty brzeg.

Stawiając nogę na pokrytej porostami skale, przypomniał sobie wizję po grzybach. Bolesław, Świętosława i on, myśliwski dwór pod Poznaniem. Stąd pamięta psa. Ale wtedy zwierzę poprowadziło go do kamiennej bramy strzegącej dziwnego budynku, teraz pies zniknął, a wyspa wyglądała na niezamieszkaną.

— Tu jest ścieżka. — Skald wskazał wąską wydeptaną, wiodącą w górę dróżkę, gdy Olav szedł już nią od dobrej chwili.

Nie czuł lęku, co najwyżej ciekawość. Wspięli się już na szczyt. W oddali widać było nieduży dom i wąską smużkę dymu. Na szczęście

Omold nie powiedział im o tym. Olav zauważył, że z góry wody otaczające wyspę wydają się niemożliwie niebieskie. Wściekły błękit, jakiego nie widział nigdzie indziej. I wtedy jego wzrok padł na stos kamieni nieco oddalony od dróżki. Skręcił, by się mu przyjrzeć, i zamarł.

— Kamienna spirala — powiedział za jego plecami skald. — Niedokończona. Dziwne, co? Po co komu układać spiralę z kamieni?

— Jeśli szukamy znachora, to nie jest aż tak dziwne — odpowiedział mu Ingvar. — Uzdrawiacze robią różne rzeczy. Znałem jednego w Gardarike, który żuł piach. Wszyscy się zastanawiali, po co to robi. Nikt nie znał odpowiedzi, ale żaden chory nie żałował, gdy ten dziwak pielęgnował go w gorączce.

Wrócili na ścieżkę i w milczeniu zbliżali się do chałupy. Zaszczekały psy, małe i kudłate, więc nawet nie mogły być szczeniętami tego białego z przystani. Na ich jazgot ze środka wyskoczył przysadzisty, uzbrojony mężczyzna, za nim drugi, niemal taki sam. Obaj mieli słońce prosto w oczy, osłonili je dłońmi, wpatrując się w Olava, a potem krzyknęli:

— Ten, którego…

— …imienia nie…

— …wolno wymówić…

— …przybył! Nasz…

— …król i…

— …pan.

A potem jednocześnie upadli na jedno kolano, choć Olav zauważył, że kłaniając się, zdążyli sobie zręcznie podsunąć pod kolano jedną wspólną deskę. Na podwórzu było błoto.

— Kim jesteście? — spytał Olav.

— Braćmi… — odpowiedzieli wspólnie.

— Widzę, że bliźniakami.

— To też, ale…

— …jesteśmy braćmi…

— …Halvarda.

— On Bersi — jeden wskazał na drugiego.

— A on Duri — to samo zrobił drugi.

Nie widział ich nigdy wcześniej, ale to na Halvarda czekał.

— Co z nim? — zaniepokoił się o los swego wywiadowcy. Nie uśmiechało mu się rozmawianie z dziwacznymi bliźniakami, którzy dzielili każde zdanie na pół.

— Żyje — odpowiedział Duri.

— Ale nie wstaje — uzupełnił Bersi.

„Ten, którego imienia nie wolno wymówić” — pomyślał. — A więc z mego rozkazu uczynili imię. Może być. To już niedługo, naprawdę niedługo.

— To moi towarzysze — przedstawił. — Ingvar i Omold skald. Prowadźcie do Halvarda.

Bliźniacy wstali i zręcznie przerzucili deskę, której użyli jako klęcznika, by Olav mógł po niej przejść do chałupy. Wewnątrz, mimo niewielkiego paleniska, panował półmrok, z którego wydobył się cichy głos:

— Na bogów i słodką Mary, matkę Nowego, mój król przybył do mnie, a ja nie mogę wstać…

— Leż, Halvardzie. — Oczy Olava już rozpoznały rannego. — Co ci jest?

— Pchnięcie włócznią w łydkę, drugie w udo, oba zwaliły mnie z nóg. A cios topora pod bark pozbawił tchu i wierz mi, królu, czekałem na piękne walkirie, byłem pewien, że już po mnie lecą. Ale wtedy przypomniałem sobie, że dziewice Odyna zabierają wojowników z pola walki, a nigdy nie słyszałem, co czeka na pijanego chłopca z Sogn, który zginie w trakcie

karczemnej awantury. I ta niesprawiedliwość tak mnie zasmuciła, że postanowiłem przeżyć. Bersi i Duri też byli smutni, smutni i wściekli, a bliźniacy w złości są naprawdę nieobliczalni. Rozwalili napastników toporami, przynajmniej tak mówią. Oszczędzili jednak karczmarza, bo matka i stryj wychowali nas na prawych ludzi, a co karczmarz był winien? Opłaciło się, wsadził nas na łódź i przypłynęliśmy tutaj, a znachor dokonał cudów. Nie wstaję, ale żyję. Znachor mówi, że wyjdę z tego, bo widzi mą przyszłość.

Ja także widziałem tę przystań i psa — pomyślał Olav.

— Znachor jest tu?

— Nie, mój królu. Ale przyjdzie pod wieczór. Przyjdzie na pewno.

— W dzień chodzi… — nieśmiało odezwał się jeden z bliźniaków.

— …zbierać kamienie… — dodał drugi, a potem już znów mówili na zmianę.

— …zielsko i…

— …myśli.

— Czy oni tak zawsze? — zapytał Olav Halvarda.

— Tak, mój panie. Tacy już się urodzili, że wszystko razem. Do znachora po przepowiednię też poszli razem, a on ich rozdzielił, powiedział, że każdemu może mówić osobno, i się nie zgodzili.

Olav się im przyjrzał. Chyba nie rozróżniłby ich od siebie. Ciemnowłosi, ciemnoocy. Mogli mieć po dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, choć krępe sylwetki sprawiały, że wyglądali nieco poważniej. Pod kaftanami prężyły się piersi jak u niedźwiedzi. Brody splatali w warkoczyki, ale nie tak sterczące jak u Svena. Na krótkich, grubych palcach braci lśnił pierścień przy pierścieniu.

— Czy znakiem waszego rodu jest dzik? — bardziej stwierdził, niż spytał Halvarda. Dzik Freya, „Złota Szczecina”. Jedzenie, picie, oręż

gotowy do walki w polu i łożu. Zacisnął szczęki. Złotym Odyńcem był Erik, mąż Świętosławy. A niech to.

— Tak, królu — odpowiedział Halvard, a bliźniakom zalśniły oczy, jakby wypowiedział największą pochwałę.

— Mów, co w kraju — przeszedł do rzeczy Olav. — Spotkałeś się w moim imieniu ze Skjalgssonem?

Erling Skjalgsson objął po niedawno zmarłym ojcu rządy w rodzie, którego wpływy sięgały dwóch południowych dzielnic, Rogalandu i Hordalandu. Stara i dobra rodzina, która czasy świetności przeżyła za rządów ostatniego uznawanego przez całą Norwegię króla, Hakona, zwanego Dobrym. Za czasów jarla właściwie wykluczona z rządów. Olav nie dziesiątki, ale setki bezsennych nocy strawił na tworzeniu strategii przejęcia władzy i wiedział, że wszystko musi zacząć się na południu, tam gdzie kiedyś rządził jego ojciec, Tryggve. Ich gniazdem rodowym było Viken i wiedział już, że Viken przyjmie go z otwartymi ramionami. Teraz mieszkała tam jego matka, Astryda, ze swym nowym mężem, Lodinem, i ich dziećmi. Pragnął zapewnić sobie otwarcie drogi na północ, a na tej przeprawie stał Erling Skjalgsson.

— Tak, mój panie — odpowiedział Halvard. — Erling sprzyja twym planom. To potomek dumnego rodu i pamięć o tym jest wciąż żywa. Hakon Dobry… — Chrząknął znacząco.

Wiem — pomyślał Olav. — Jego cioteczna babka była kochanką króla i matką Hakona Dobrego. Kto raz poczuł się częścią królewskiego rodu, zawsze będzie pragnął wrócić do łask.

— A co w Lade?

To tam, wokół zatoki Trondheimfiord, biło serce kraju. Tam swoją siedzibę miał jarl Hakon i tam zwoływał ting, na który zjeżdżali wszyscy panowie Północy.

— Lade będzie walczyło, panie — bez ogródek powiedział Halvard. — Ale jarlowie są znużeni panowaniem Hakona. Daje się im we znaki…

— Wtargnąć i…

— …zabić starego — powiedzieli Bersi i Duri.

— Najlepiej cudzymi rękami — uzupełnił Halvard.

— A Erik i Sven, jego synowie?

— Nie cieszą się takim uznaniem jak ojciec, bo Hakon nie raz poniżył ich przy ludziach.

Rozmyślał o tym, rozmawiając z Halvardem jeszcze przez chwilę. Zbyt dużo czasu spędził ze Svenem, by nie wiedzieć, jak wielka, wściekła siła tkwi w odrzuconym synu. Ale tych było dwóch i to dzieliło moc ich gniewu na pół. „Zabić starego”? Nie, nie posunie się do zbrodni. Nie po tym, co spotkało jego ród.

Setki bezsennych nocy, a może tysiące? Opuścił rodzinną ziemię w brzuchu matki. Całe życie podporządkował powrotowi. Co w nim wrze? — sam siebie pytał o to po wielekroć. — Co go pcha? Królewska krew? Czy zwykła ludzka ambicja? A może poczucie krzywdy i chęć zemsty?

Nie usłyszał, jak otworzyły się drzwi chałupy. Zobaczył słoneczne światło wpadające przez nie. Drobinki pyłu zawirowały w smudze. Człowiek, który stał w drzwiach, był tak mały, że w pierwszej chwili wydał mu się dzieckiem; w drugiej zrozumiał, że to zgięty wpół starzec.

— Mój wybawca — powiedział z szacunkiem Halvard.

— Chodź za mną. — Starzec wskazał na Olava zakrzywionym palcem.

Tryggvason podniósł się z miejsca i dał znać Ingvarowi i skaldowi, by zostali, a sam wyszedł.

Starzec zaprowadził go lasu, który okazał się prawdziwą kolekcją kamiennych kręgów i spirali. Olavowi wydawało się, że kamienie wyrastają z zielonego mchu. Musiały tu leżeć od dziesiątek albo i setek lat. Tak jak

wody oblewające wyspę Scilly były wściekle niebieskie, tak mchy w tym lesie miału odcień niemożliwie jaskrawej zieleni. Stary szedł wolno, wspierając się na sękatym kosturze. Zatrzymywał się przy niektórych kręgach, jakby nie miał pewności, że to już. A potem szedł dalej, kolebiąc chudą, wyschniętą szyją na boki. A Olav za nim. Bardzo starzy ludzie upodabniają się do siebie. Tak jak u niemowlęcia trudno rozróżnić, czy ma się przed sobą dziewczynkę, czy chłopca, tak u stuletnich starców zaciera się granica płci. Kobiety czy mężczyźni mają tak samo głęboko zapadnięte oczy, niczym ciemne studnie w powleczonej cętkowaną skórą twarzy. Przez rzadkie, siwe włosy prześwituje różowa czaszka. Ich podbródki poruszają się, jakby żuli słowa. Język obłożony białym nalotem co rusz zwilża suche, niemal bezbarwne wargi. Gdy chcą się odezwać, najpierw unoszą trzęsącą się dłoń, a dopiero potem otwierają usta.

Zapadł zmierzch, wytłumiając jaskrawe barwy lasu, kiedy dotarli do kamiennego muru. Łowiąc to, co pozostało po ostatnich promieniach słońca, Olav odgadł, że to kolejna spirala, tym razem wznosząca się na wysokość mężczyzny. Staruch odszukał wejście i badając kosturem położenie ścian, w ciemności prowadził go okrężnym korytarzem pomiędzy ścianami z kamieni. W środku leżał płaski, okrągły głaz.

— Siadaj — zaskrzeczał jego przewodnik i stuknął kosturem w kamień, jakby Olav nie zrozumiał, o co mu chodzi.

Tryggvason wskoczył i usiadł, podwijając pod siebie nogi. Uniósł głowę. Nad kamiennym murem i wznoszącym się ponad nim lasem wschodził wielki, srebrny księżyc.

Starzec stanął przed Olavem, opierając obie dłonie na kosturze, i wlepił w niego wzrok. Pokiwał głową, jakby mówił „dobrze”. Trwali tak, aż księżyc przebył jedną trzecią drogi. W pewnej chwili wydało mu się, że starca nie ma, a po kamiennym murze biegnie biały pies. Zobaczył go na

mgnienie oka, a może to była ułuda światła i długiego bezruchu? Wtedy właśnie staruch zaskrzeczał:

— „Srebrny Ole” mówią na ciebie. A na mnie mówią „Hundrr”.

Hundrr. Pies.

— Dlaczego mnie tu przywiodłeś, Hundrr? — zapytał.

Starzec przekrzywiał głowę raz na jedną, raz na drugą stronę. Ssał wargi.

— Potrzebny ci pies, dziedzicu królów — wymemłał wreszcie.

— Dasz mi go?

Hundrr zachichotał głucho, a jego drwina odbiła się od spiralnego muru tak, iż zdawało się, że śmieje się wielu ludzi.

— Pies jest w tobie, mały Ole. Obudź go! Nie… nie… nie teraz, nie trzeba, chłopcze. To nie tu. Potem, potem.

Staruch zrobił kilka drobnych kroków ku niemu, wciąż poruszając ustami. Olav miał paskudne wrażenie, że stary człowiek go ssie. Nagle uniósł kostur w górę tak szybko, jak młodzian. Dźgnął nim, jakby chciał poruszyć księżyc, a srebrny dysk na niebie jakby skoczył, uciekając przed pchnięciem starca.

— No, no — zaskrzeczał poważnie. — Pierwsza pełnia. Czas śmierci i zmartwychwstania nowego boga, Ole. Chrystusa, syna Pana Wszechmogącego. Widział kto takie rzeczy, żeby jeden w trójcy był Bóg? — Zachichotał i umilkł nagle. — Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli, rozumiesz, Ole? Nie musi znaków dawać ten Bóg. Daje, ale nie musi. To Pan Słowa. Kto nie zobaczył, a uwierzył słowom Jego, ten dostąpi zbawienia. Wiesz, co to zbawienie? Nic nie wiesz, Ole, powiem ci szybko. To dar życia po śmierci, ciekawszego niż to tutaj dziś. Cud jasności, która rozprasza mrok. Żadna tam straszliwa bogini Hel, żadna tam uczta Odyna w Walhalli, gdzie Jednooki trzyma bohaterów, by ich wydać w wielkiej wojnie na rzeź. Nie, nie. To życie dla samego życia, gdy człowiek i Bóg

łączą się w jedno. Kto to pojmie, ten dostąpi zbawienia, kto nie zrozumie, ten przepadł w mrok. Ale droga do Domu Pana nie jest szeroka i prosta. To droga kamienista i stroma, na której każdy wątpiący skręci nogę, by runąć w przepaść i przepaść — znów zachichotał — przepaść na wieczność. Wybrańcy tylko ruszą tą drogą, a On wybrał ciebie, chłopcze.

— Chrzest? — Przypomniał sobie Astrydę czytającą runy.

— Tak, tak. Ale nie z moich rąk. Ja jestem tak stary, że pamiętam każdą z przygód Odyna i Thora na ziemi. Ja tylko czytam przyszłość zawieszony między światami jak pajęczyna na wietrze długiego świtu.

— Jesteś prorokiem? — Przywołał z pamięci słowa, które zapamiętał z psalmów nuconych przez kapłana w poznańskim palatium.

— Nie! — obruszył się staruch. — Nazywam się Hundrr. Jeśli chcesz coś od starych bogów, możesz poprosić o to dziś. — Zakłuł kosturem powietrze ponad swą głową. — Księżyc wisi nad tobą, srebrny chłopcze. Chcesz, to pytaj. Po raz ostatni runy zaśpiewają ci starą pieśń.

Olav się nie zastanawiał.

— Kobieta, którą kocham. Tron, który chcę odzyskać. Królestwo, które pragnę odbudować.

Stary pogrzebał w woreczku z sinej skóry zawieszonym u pasa. Zamrugał bezrzęsymi powiekami i wyszeptał strapiony:

— Trzy pytania, trzy ciernie w odpowiedzi, Srebrny Ole.

— Nie rozumiem — powiedział, czując, jak księżycowy blask chłodzi mu czubek głowy.

— Pragnienie, pożądanie, niespełnienie, mój chłopcze. — Hundrr westchnął. — Dawna, okropnie stara klątwa. Starzy bogowie rzucili ją na ciebie, choć mówią, że to przekleństwo przyniesie ci wielką chwałę.

Gdzieś w głębi lasu pohukiwaniem nawoływały się sowy.

— Tak, tak. — Hundrr pokiwał głową. — Starzy obdarowują cię ponurym jarzmem. Cała nadzieja w Nowym. Może On zechce ją odwrócić? Jesteś wyznaczony, to pewne. Sto razy widziałem twe przybycie w snach. Ale czy jesteś wybrany? Niech ci to powie nowy Bóg.

Nad ranem, w tej ciemnej porze, gdy księżyc zaszedł, a słońce jeszcze nie wzeszło, dotarł z Ingvarem i skaldem do łodzi i czuwającego przy niej Rafna. Rafn spał zwinięty w kłębek pod płaszczem. Nim Omold zdążył krzyknąć do druha „Hej, obudź się!", usłyszeli głos koguta z domostwa starca. Raz, drugi i trzeci. I Rafn przebudził się sam.

— Nie! — krzyknął. — Nie jestem…

— To my, przyjacielu — uspokoił go skald.

— Śniłem straszny sen. — Rafn się otrząsnął. — Wybacz, królu. Śniłem, żeś ukoronowany cierniem.

Rafn wpatrywał się w niego, przecierając zaspane oczy. Nie mógł oderwać od Olava wzroku.

Trzy ciernie — pomyślał ponuro Tryggvason.

Był przypływ. Wystarczyło, że pchnęli łódź. Niespokojny chlupot wody o burty wydał mu się niemal słodkim dźwiękiem. Wskoczyli do środka, jakby na komendę.

— Bersi i Duri to dwóch dobrych ludzi — powiedział Ingvar, chwytając za wiosła. — Dobrze by było mieć ich w załogach. I tego Halvarda też, jeśli wyzdrowieje — zastrzegł, spoglądając na Olava. Zamrugał i gapił się na niego przez chwilę.

Wstał świt. Różowa linia nad ciemną wodą, niczym niezagojona rana na szyi. Poderżnięte gardło morza.

— Na wschód — powiedział Olav i obejrzał się za siebie na wysoki brzeg wyspy.

Jego mała załoga odwróciła głowy, jakby wydał rozkaz. Na nagiej skale nabrzeża stał biały, wielki pies.

— Pusty brzeg — rzucił Omold skald, szukając dobrego brzmienia. — Mężczyzn żegnał pusty, skalisty brzeg.

Potem ich zapytał i wszyscy trzej zaprzeczyli. Żaden z nich ani razu nie widział na wyspie Scilly białego psa.

SVEN za każdym razem, gdy wpływał w szeroko rozlany nurt Tamizy, przywoływał skalda, by ten opowiadał mu legendę o Rzymianach, którzy przed setkami lat przybyli tu z dalekiego południa, by podbić Wyspy. Wciśnięte za kamienny mur miasto nie podobało mu się. On, człowiek morza, nie wyobrażał sobie, by z własnej woli dał się zamknąć w przestrzeni ograniczonej murem, ale to nie znaczy, że nie pragnął tego muru zdobyć. Nie wierzył w obronną moc ani wałów, ani murów. Na Jutlandii mieli Danevirke. Harald, jego ojciec, włożył wiele trudu, by odnowić i wzmocnić stary wał, który miał bronić Danii przed Słowianami, Sasami, a wreszcie cesarstwem. I co? Wystarczyło, by cesarz Otto zebrał wystarczająco dużo wojsk i bez trudu przebił wał. Utrzymanie takich umocnień kosztowało więcej, niż dawało w zamian, a jednak z jakiegoś powodu ludzie wciąż wierzyli, że można się dzięki nim obronić.

Tej jesieni on i Olav na czele Dwóch Królów chcieli udowodnić, że mury Londynu nie ukryją przed nimi swych skarbów. Wiedli flotę złożoną z dziewięćdziesięciu czterech łodzi. Trzy tysiące ludzi zaprawionych w atakach na angielskie wybrzeża od Northumbrii, przez Kent, Kornwalię, aż po Irlandię i wyspę Man. Trzy tysiące morskich łupieżców podzielonych na karne i bitne załogi. To nie byli ludzie żądni krwi, to byli ludzie pragnący angielskiego srebra.

Poddani Ethelreda próbowali ich zatrzymać, topiąc w nurcie Tamizy wraki statków. Ominęli je niczym skały wystające z dna. A potem na jego

rozkaz wszystkie ich drakkary ustawiły żagle i płynąc jeden za drugim, niczym niekończący się morski wąż zbliżały do miasta, budząc trwogę. Niemal czuł smród lęku zza murów Londynu i wciągał go w nozdrza niczym najpiękniejszą woń.

Próbowali ataku z rzeki, ale zaprzestali szybko, by nie tracić ludzi. Nie da się toporem pokonać miejskich murów, wrócili na statki.

Po drugiej stronie Tamizy był Southwark, targ miejski, i tam obrońcy wznieśli prowizoryczny fort, który strzegł wejścia na most. To właśnie ten wielki, kamienny most był główną linią obrony miasta. Znajdowały się na nim wieże strażnicze, umocnienia i mur, za którym kryli się obrońcy, zasypując ich gradem strzał za każdym razem, gdy podpływali ku nim.

Najpierw próbowali zdobyć warownię na Southwark, by otworzyć sobie lądowe wejście na most. Po piątym odpartym ataku zrezygnowali.

— Tracimy zbyt dużo ludzi — orzekł Sven, gdy nabierali sił na pokładzie w bezpiecznej odległości od mostu. — Wystawiamy się na strzały i nawet jeśli w końcu rozrąbiemy warownię, to zostanie nas garstka i kto pójdzie zdobywać miasto?

— I kto będzie się cieszył ze zdobytych skarbów? — powtórzył za nim Olav.

— Spróbujmy je podpalić. — Jorun wskazał na chałupy okalające miejskie mury. — To liche drewno i słoma. Domy biedaków, warsztaty, kurniki, chlewy. Ludzie schronili się za murami, a te zabudowania ciągną się wokół obwarowań. Gdy je podpalimy jednocześnie, obrońcy nie zdołają ugasić wszystkich pożarów i mogą się przenieść na mury.

— Londyn w pierścieniu ognia. — Olav się uśmiechnął. — Podoba mi się ten plan.

Wycofali część łodzi, tak by z murów nie było widać, co planują. Załogi zaopatrzone w beczki ze smołą wyszły na ląd pod osłoną nocy.

Potrzebowali czasu, by okrążyć miasto i przygotować je niczym pochodnię gotową do podpalenia. Sven i Olav obserwowali wszystko z pokładu „Krwawego Lisa”, akcją dowodził Jorun. Na długo przed brzaskiem pojawiły się pierwsze płomienie, a potem kolejne i kolejne.

— I nastąpiły błyskawice i donośne grzmoty, i wielkie trzęsienie ziemi, i rozpadło się olbrzymie miasto na trzy części — powiedział Olav, patrząc na ogień otaczający Londyn.

— Co?! — wrzasnął Sven. — Co mówisz?

— Nic. — Olav potrząsnął głową i nagle złapał go za ramię, pokazując na żagle, które w tej samej chwili drgnęły, aż jęknął maszt.

— Wiatr rozwieje pożar — powiedział Sven — ale…

— Ale z tego wiatru może być deszcz.

Nie mylili się. Po kilkunastu potężnych podmuchach ogień, który podłożyli ich ludzie, raźno i szybko skoczył w górę, otaczając niemal całe mury pierścieniem płomieni. Ale zaraz po szczęśliwym wietrze z nieba lunął deszcz. Grube, ostro zacinające krople. Strugi wody z nieba. Pożar zgasł, wstał dzień, deszcz ustał, wyszło słońce i pokazało zgliszcza okalające mury. Zgliszcza, których nie da się drugi raz podpalić.

Wiedzieli już, że nie zdobędą Londynu. Gdy to pojęli, Sven wysłał dziesięć łodzi na tyły z rozkazem usunięcia wraków z Tamizy, tak by mogli sobie zapewnić szybki odwrót.

— Lato minęło — powiedział do niego Olav wieczorem, gdy spotkali się na pokładzie „Kanugårda”. — Ale piękna jesień wciąż trwa. Nie zmarnujmy jej.

— Kent i Essex? — zapytał Sven z uśmiechem.

— I Hampshire, i Sussex — dodał Olav. — Dla dziewięćdziesięciu załóg w sam raz. Nie uważam, byśmy stracili czas. Nie podpaliliśmy Londynu,

nie zdobyliśmy miasta, ale zasialiśmy w jego mieszkańcach strach. Strach rośnie szybciej niż ziarno.

— Obyśmy zebrali szybki plon! — Sven wzniósł toast. — Kończy mi się wino z Bamburgha.

Załogi i sternicy byli gotowi. Podnieśli żagle po północy, przy lichym, choć wystarczającym świetle księżyca. Przed brzaskiem na Tamizie wciąż panował ruch, choć załogi zachowywały się tak cicho, jak to było możliwe. Sven na „Krwawym Lisie" płynął jako ostatni. Nie chciał, by londyńczycy widzieli, jak odpływają. Chciał, by rankiem zobaczyli pustą rzekę. Czuł, że to przyniesie im euforię, po której strach wróci szybciej niż uderzenie serca. Widok pleców uciekającego wroga krzepi. Jego zniknięcie powoduje niepewność. Gdy „Krwawy Lis" wchodził w zakręt rzeki, Sven odwrócił się i spojrzał na znikający na wzgórzu Londyn.

— Wrócę tu i przejdę przez te mury — powiedział do Joruna.

Uniósł ramię i z daleka wykonał ruch, jakby łapał miasto w garść. A potem się zaśmiał, bo wiatr zawiał z boku i rozpuścił jego długie, rude włosy.

Podzielili się na cztery mniejsze grupy i uderzyli niemal jednocześnie na Essex i Kent zwany Saskim Brzegiem i chroniony pasmem niewielkich fortec, oraz na Sussex i Hampshire. Plan ataku był za każdym razem taki sam: pojawiać się znienacka, siać grozę, krzyczeć, że nie biorą jeńców, podpalać kryte strzechą chałupy, by szybko strzelał ogień i szedł z niego gęsty dym. To wystarczało, by ludność już na sam ich widok proponowała łupy. Czasami zdarzał się jakiś twardy pan, który wolał walczyć i zginąć, niż płacić, ale zwykle był odosobniony. Zawsze dbali, by świadkowie bezpiecznie wydostali się z miasteczek i wsi i popędzili co sił w nogach chabety, by „ostrzec króla". Jakby ten król nie widział ich długiego, morskiego węża na wodach Tamizy.

— Dlaczego im się zdaje, że my zabijamy dla przyjemności? Robią z nas bestie w ludzkich skórach — poskarżył się któregoś dnia Jorun, porządkując łup.

Rozłożyli się w Hampshire, w jednej ze zdobytych wsi zajęli chałupy, by odpocząć trochę po miesiącu ciężkich walk. Jorun odrywał srebrzone ozdoby od ksiąg i rozdzielał mszalne kielichy od zwykłych kubków. Z jednego z nich zdrapał paznokciem krew. Sven nie odpowiedział, zaśmiał się. Jego rudowłosa Mary została na wyspie Wight, pocieszał się zamiast niej jasnowłosą Alice o policzkach usianych piegami.

— No, mała Alice, powiedz mi, dlaczego robicie z nas bestie? — Uszczypnął ją w pulchny podbródek i pocałował.

— Tak mówią księża, panie. Że jesteście karą, która spadła na nas za grzechy całego kraju. Że jesteście szatańskim, rogatym pomiotem, ogniem piekielnym. Wyjecie jak diabły, siejecie śmierć i zniszczenie. Nie mam pojęcia, panie, dlaczego widzą w was bestie — zełgała, patrząc mu w oczy. — Może dlatego, że nimi jesteście?

— Zła odpowiedź — skarcił ją. — Czy wyglądam jak bestia?

— Nie, mój panie. Ty nie.

— A Jorun, mój przyjaciel?

— On też nie. Ale ten, co chodzi przy drugim królu, ten, co ma spiłowane zęby… — Otrząsnęła się i przeżegnała.

— Varin jest moim druhem. — Jorun pogroził Alice. — To dobry wojownik i łagodny człowiek.

— Czy łagodny człowiek barwi i piłuje sobie zęby? Po co to robi, jeśli nie po to, by pić ludzką krew? — Zeskoczyła z kolan Svena. — Łagodni ludzie uprawiają ziemię, hodują owce, pieką chleb, a nie napadają na innych.

— Widzisz, Alice. Gdybyśmy nie najechali was my, zrobiliby to inni — wciąż cierpliwie tłumaczył dziewczynie Sven. — Tak wygląda świat, że łagodni ludzie hodują owce, a dzielni ludzie chcą je zjeść. Gdyby wasz król był dobrym władcą, nie pozwoliłby nam jeść waszych owiec i spać z waszymi kobietami.

— Mówią na niego Ethelred Bezradny. — Pociągnęła nosem. — Opuścił nas… kto nas obroni?

— Nie płacz, dziewczyno. Zdobyłem cię i teraz będę cię strzegł. Jesteś owieczką, którą będę pasał i nie pozwolę, by zbliżył się do niej żaden wilk.

— Nie przypominasz pasterskiego psa. — Przyjrzała mu się, odpowiadając dziecinnie.

— A ty owcy! — Znudziło mu się bycie cierpliwym. — Idź, przynieś nam coś do jedzenia.

Gdy wyszła, Jorun powiedział:

— Przypomina owcę, nie gniewaj się, Sven. Jest głupia jak owca i beczy jak…

Przed drzwiami chałupy usłyszeli jej przerażony wrzask i w tej samej chwili do środka wszedł Varin.

— Dlaczego ta ładna dziewczyna tak krzyczy? — zapytał. — Uśmiechnąłem się do niej, a ona…

— Widzi w tobie bestię. Wyjaśnię ci to wieczorem, przyjacielu — odparł Jorun.

— Nie wiem, druhu, czy będziemy mieli na to czas. — Varin pokiwał głową. — Przysyła mnie król Olav, prosząc, byście bez zwłoki ruszyli do jego kwatery w Southampton. Arcybiskup Sigeric jest już w drodze. Anglicy chcą negocjować danegeld.

ŚWIĘTOSŁAWA nie mogła uwierzyć w śmierć Thory, żony jarla Birgera. Biegła przy noszach, na których ją nieśli, patrzyła na obrzmiałą twarz

topielicy, na wodę cieknącą z jej włosów, płaszcza i sukni, wodę, która zostawiała na śniegu roztopiony ślad.

— Wpadła do przerębla — powiedział smutno jeden z niosących ją ludzi Birgera. — Woda jest lodowata, pani Thora nie miała szans.

W świetle pochodni Thora wyglądała na śpiącą. Przeraźliwie bladą i śpiącą.

— Czy jarl już wie? — spytała, unosząc głowę i mocniej okrywając się futrem.

Birger wychodził w tej samej chwili przed dwór. Już widział korowód z pochodniami.

Dopiero teraz poczuła chłód. Boże! — pomyślała. — Miej go w swej opiece.

Złożyli nosze u stóp jarla. Wokół zaczął gęstnieć tłum. Mignęła jej pulchna twarz Iona.

— Przynieśliśmy panią — ponuro zameldował sługa. — Przy starym pomoście rybacy wykuli wielki przerębel. To oni znaleźli panią Thorę.

Birger kiwnął głową, jakby nie docierało do niego, co się wydarzyło. Uklęknął przy żonie. Dotknął jej mokrych włosów. Był tak samo zastygły jak jej martwa twarz.

— Birgerze — powiedziała cicho. — Może zechcesz, by pomodlił się nad nią Ion?

— Moja żona nie była wierząca — odpowiedział głuchym głosem i wstał.

— To może życzysz sobie, by Ion pomodlił się za ciebie?

Zamrugał. Widziała, że to wszystko do niego nie dociera. Pokiwała głową i sama wydała dyspozycje służbie. Birger chciał być teraz sam. Do jej ramienia przypadła Helga, kochanka Wilkomira. Zaszlochała:

— Nie wierzę, nie wierzę… Tak się śmiałyśmy razem…

Prawda, ledwie kilka dni wcześniej siedziały we trzy przy ogniu. Pijąc piwo z miodem, opowiadały sobie różne historie i zaśmiewały się do łez.

— Co ona robiła przy starym pomoście? — Helga kręciła głową. — Po co tam szła?

Świętosława objęła Helgę ramieniem, razem weszły do dworu. Służba biegała nerwowo w tę i z powrotem, nanosząc śnieżnego błota. Usłyszała ze swych pokoi niecierpliwe pomruki kotów. Posadziła Helgę przy ogniu i poszła je nakarmić.

— Wiesz, Duszka — mówiła, dając Wrzaskowi mięso. — Birger jest jak porażony. Dobrze, że to nie on ją znalazł, kto wie, czy nie skoczyłby za nią w tę wodę. Zgrzyt, poczekaj. Jesteś większy i grubszy, najpierw je twój brat. Co Thora robiła nocą na przystani? Dziwne, prawda?

W tej samej chwili do alkowy wszedł Birger. Był blady. Zdjął rękawice i rozejrzał się.

— Dusza, przynieś jarlowi miodu — poleciła. — Siadaj, przyjacielu.

Zgrzyt złapał ją zębami za palce, domagając się mięsa. Podała mu je i podeszła do gościa.

— Jest mi przykro, bardzo przykro — powiedziała.

— Ja wiem, po co Thora poszła na przystań — odezwał się ponuro. — Powiem ci, pani, choć to nie przysparza mi chwały. Moja żona miała kochanka. Wymykała się do niego potajemnie. Rozumiesz, królowo?

— Nie! — zaprzeczyła. — To nieprawda.

— Chciałbym, aby tak było.

Weszła Dusza i podała mu miód. Jarl, biorąc kubek, spojrzał na nią smutno.

— Nie przyłapałem jej, ale wiedziałem. Ostatnimi dniami wychodziła coraz częściej, bo noc wciąż była długa, ciemno, łatwiej się ukryć…

— Przestań! Thora nie biegała na schadzki! — Świętosława uniosła głos. — Chodziła do pewnej kobiety, która ma dom na zachodnim brzegu zatoki. To słynna wieszczka i ponoć dobra uzdrawiaczka. Dała twojej żonie nadzieję na poczęcie dziecka!

Rozmawiały o tym tamtego wieczoru. Ona, Helga i Thora. Grzane piwo z miodem i śmiech. Mnóstwo śmiechu.

Birger pokręcił głową.

— Nie, Sigrido. Thora nie powiedziała ci prawdy. To mnie oskarżała o bezpłodność i jeśli szukała sposobu na poczęcie, to w ramionach innego. — Wypił jednym haustem miód i wstał. Jego twarz wyrażała tak głęboki ból, że aż przeszedł ją dreszcz.

Wrzask i Zgrzyt trąciły ją łbami, łasząc się do jej nóg.

— To ją zgubiło — powiedział gorzko. — Pewnie biegła do swego kochanka… Tylko po co weszła na lód? Boże… — Wziął się w garść. — Wyprawię jej pogrzeb jak żonie. Niech ta ponura tajemnica zostanie między nami, Sigrido. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

Pożegnał się i wyszedł. Zgrzyt mruczał tak głośno, że mógłby obudzić zmarłego. Otrząsnęła się na to porównanie. Jego mruczenie Thory nie przywoła.

— Gdzie mój syn? — spytała Duszy.

Niema towarzyszka pokazała jej otwartą dłoń, w którą stuknęła palcami.

— Ach tak, z Erikiem. Wobec tego ubieraj się ciepło. Idziemy.

Potrzebowała Helgi, bo sama nie wiedziała, jak trafić do domu tej uzdrawiaczki. Znała ją jedynie z opowieści Thory. Wilkomir nie zadawał pytań, a w każdym razie nie aż tyle, ile zwykł. Pokręcił tylko głową i kazał zaprzęgać psy do sań. Usiadły na nich we trzy. Helga i Dusza przytuliły się do jej boków. Gdy tylko wyjechali za ostatnie domostwa Sigtuny, spuściła ze smyczy rysie. Biegły szybciej niż zaprzęg prowadzony przez dwunastu

konnych z pochodniami. Zima zbliżała się ku końcowi, już w południe na krótki czas pokazywało się słońce, ale choć puszczał największy mróz, wysokie śniegi wciąż zalegały drogi i trakty. Wbite w pobocza gałęzie wyznaczały drogę między zaspami.

Wiem, że to nie wróci Thorze życia — myślała Świętosława, nie zwierzając się Heldze i Duszy — ale może odbierze Birgerowi ból? Może nie będzie się czuł jednocześnie zdradzony i osamotniony?

Chciała pomówić z tą kobietą, do której chadzała po rady Thora. Ona powinna wiedzieć, jak było, i oczyścić zmarłą z podejrzeń.

A jeśli nie? — przebiegło jej przez myśl. — Jeśli to ja nic nie wiem o prawdziwym życiu Thory?

Schowała twarz w futro i przymknęła oczy. Zarwana noc wyciągnęła po nią senne szpony. Śniła jej się płonąca żagiew, która leciała wprost na nią. Nawet śpiąc, wiedziała, że nie pierwszy raz śni taki sen.

— Sigrido? — Helga delikatnie potrząsnęła jej ramieniem. — Pani, zbudź się. Jesteśmy na miejscu.

— Gdzie moje rysie? — spytała, wysiadając z sań. Psy ziajały zmęczone długą jazdą.

— Pewnie polują. — Wilkomir wzruszył ramionami i zapewnił: — Wrócą. Zawsze wracają.

Rozejrzała się. Chałupa, przed którą stali, była niewielka; gdyby nie cienka strużka dymu, mogłaby uchodzić za długą, śnieżną zaspę. Helga pierwsza pchnęła drzwi.

— Jest tu kto? — spytała, wchodząc ostrożnie.

W izbie panował półmrok.

— A kto pyta? — odpowiedział z głębi skrzeczący głos.

— Królowa Sigrida Storråda — powiedziała Helga.

— A ja jestem słodką Freyą — zabulgotała ze śmiechu staruszka. — Albo Gerdą, piękną olbrzymką.

Świętosława wyszła przed Helgę.

— To ja jestem Sigrida — przedstawiła się i przyjrzała gospodyni.

Była tak mała, że mogła być karlicą, albo tak stara, że wiek wessał jej ciało w głąb. Gdyby Świętosława nie wiedziała, że jest kobietą, nie domyśliłaby się tego. Pojedyncze białe włosy oblepiały tłustymi pasmami jej nagą czaszkę. Miała duże, pofałdowane uszy, źrenice ledwie było widać z oczodołów. Na wsuniętym, drżącym podbródku rosły kępkami sztywne, starcze włosy.

— Ach tak — odpowiedziała staruszka, przekrzywiając głowę. — Pomóż mi wstać.

Helga podeszła do niej i podała jej ramię. Kobiecina wpółleżała na czymś, co mogło być małym łóżkiem lub wielkim krzesłem.

Zaszurała nogami po klepisku. Okrywała ją suknia z grubej, szarej wełny, tak długa, że Świętosława bała się, iż starowina przydepnie ją zaraz i upadnie. Wyciągnęła drżące ramię, wskazując na coś w kącie izby.

— Daj mi płaszcz — powiedziała wreszcie.

Helga pomogła jej się ubrać, stara kobieta poszurała w kierunku niewielkiego stołu i dość zręcznie wdrapała się na stojące tam krzesło. Drżącymi dłońmi przejechała po blacie, jakby chciała uprzątnąć go z okruchów.

— Tak… — Uniosła głowę. — Siadaj, królowo, naprzeciw mnie.

Świętosława usiadła. Kobieta wpiła się w nią wzrokiem i wyszeptała:

— Oni niech wyjdą. Tylko ty. I każ uciszyć te psy, bo nic nie powiem. W moim wieku ma się słuch jak… jak się nazywa ten ptak, co ma taki słuch jak ja? — Wsadziła w usta palec i zaczęła go ssać.

Świętosława dała znak Heldze i Duszy, by wykonały polecenie staruchy. Gdy zostały same, odezwała się:

— Przyjechałam, by spytać o Thorę. Pamiętasz Thorę, żonę jarla Birgera?

— Poczęła? — Głowa staruchy się zakolebała.

— Nie, utopiła się.

— A jednak! — Tym razem pokiwała głową w przód i w tył. — Kości nie kłamały. Kraina mokrej śmierci przyszła po nią.

— Jej mąż sądzi, że go zdradzała.

— Jego myśli nie należą do mnie. Niech sobie duma, co chce. — Nadęła obwisłe policzki.

— Ale…

— Nie będę rozmawiała o zmarłych. Nie tykam seidr. I ty się też od tego trzymaj z daleka. Kto raz ubrudzi palce w seidr, ten ich nie wymyje. Ciemne czary to dobre dla wiedźm. Ja leczę i patrzę w przyszłość. Nie grzebię w niej. Mówię, co widzę, leczę, jak umiem, ot co. Chcesz, bym dla ciebie popatrzyła w przód? W lata, które nadejdą?

— Chcę — powiedziała Świętosława, nim zdążyła się wystraszyć swych słów. — Zrób to.

— Wyciągnij ręce, Harda Pani, i dotknij mnie — zażądała starucha.

Ich palce złączyły się ze sobą. W pierwszej chwili dotyk jej wysuszonych opuszek nie był tak wstrętny, jak się spodziewała. Starowina położyła dłonie na jej dłoniach i przez Świętosławę przebiegł dreszcz. Zniszczone, grube paznokcie poruszały się, jakby stara drapała ją lekko. Aż wreszcie wpiła się w jej dłonie swoimi i Świętosława poczuła, że starucha ją ssie. Ssie dłońmi. Wyrwała swoje ręce z jej rąk. Gospodyni zachichotała.

— Tak, tak. Harda Pani sama chce rządzić przeznaczeniem! No i po coś przerwała moje piękne wizje? Każdy z twych synów będzie królem, ale

najwięcej miłości da ci ten najmłodszy, tyle powiem. Każda śmierć przyniesie ci koronę, to się nazywa urodzić na władczynię, hę?

— Czy zaznam miłości u boku mężczyzny? — zapytała ją.

Starucha przekrzywiła głowę.

— Nie widziałam.

Wpatrywała się w nią bezrzęsymi oczami długą chwilę. Świętosława się nie odzywała. Czuła się niezręcznie pod tym spojrzeniem staruchy.

— Rzucę ci runy na tę miłość — powiedziała wreszcie i wyciągnęła spod stołu skrzynkę z polerowanej kości. — Kości zamknięte w kości. — Zaśmiała się i nie patrząc na nie, wyciągnęła jedną. Uśmiech zamarł na jej bezzębnych wargach. Wykrzywiła się i powiedziała niechętnie: — Thurisaz, co znaczy cierń.

— Co cierń ma wspólnego z miłością? — zapytała na głos.

— Wszystko, co najgorsze. — Bezzębne dziąsła zdawały się mielić te słowa. — Gwałt i przemoc. Pożądanie i niespełnienie. Pragnienie, któremu nie można położyć kresu. Gorsze od jednego ciernia są trzy wyrzucone jednocześnie.

— Cierń o sześciu kolcach kupcy z Birki wcisnęli pod siodło konika przeznaczonego dla mego syna — powiedziała w zadumie.

— Phi. — Starowina wykrzywiła usta. — To była gałąź z kolcami, nie liczy się. Strzeż się, Harda Pani, trzech cierni, które będą jednoczesne.

Przez całą powrotną drogę żałowała, że poprosiła kobietę o czytanie losu. Jeszcze bardziej, że zadała pytanie o miłość. To było niepotrzebne. Choć wizja kolejnych synów krzepiła jej serce. Gdy zjawili się w Sigtunie, trwała smutna uczta. Jej gospodarzem był Birger.

Erik i Olof jeszcze nie wrócili, pan mąż zabrał syna na zimowe polowanie na renifery.

„Ma już dziewięć lat, Sigrido. Jest prawie dorosły”. Byłaby ostatnią, która sprzeciwiłaby się męskiemu wychowaniu. W kraju męża nie było zwyczaju postrzyżyn u sześcioletnich chłopców, ale mniej więcej w tym samym czasie przechodzili pod władzę ojca. Wciąż ma w pamięci postrzyżyny Bolesława. Ona sama miała wtedy cztery lata, słodka Dobrawa żyła, Mieszko był w pełni sił po wielkim zwycięstwie nad margrabią Hodonem pod Cedynią. Był wtedy tym, który upokorzył cesarstwo. Ciemnozłote kędziory jej brata szły w ogień ku uciesze tych poddanych, co wciąż jeszcze nie umieli docenić głębi wiary. A potem ojciec poprowadził Bolesława do kaplicy przy palatium i stareńki biskup Jordan po raz pierwszy dał jej bratu posmakować światła Eucharystii. Uczta dla możnych pod purpurowymi namiotami na pałacowym dziedzińcu, uczta dla drużyn ojca na dziesiątkach ustawionych na kozłach stołów wokół palatium. I uczta dla wszystkich, którzy zechcieli przybyć do Poznania na pierwsze święto młodego księcia na zielonych błoniach nad Wartą. Parę tygodni później Bolesław w orszaku zbrojnych wyruszył do Magdeburga, by stać się zakładnikiem krwi dla cesarza Ottona. Wrócił po pół roku, gdy cesarz umarł i panowie Rzeszy mieli własne kłopoty na karku. Przywiózł ze sobą Jaksę. Dzikie, redarskie szczenię. Ach, jak zatęskniła za tym chudym, nigdy nieśmiejącym się chłopakiem. I za Bjornarem, rudym łbem. Ciemnookim Zaradem, z którym całowała się, gdy miała siedem lat. Za bratem. Za Bolesławem, Bolzem. Gwałtownym i silnym. Boże jedyny, za Mieszkiem panem! Za ojcem… Za nimi wszystkimi, tymi mężczyznami, na których nigdy się nie zawiodła.

Otrząsnęła się. Wilkomir Krzywy Pysk i Wielki Ulf też byli bez zarzutu. A Erik, jej pan mąż? Zawiódł ją tym, że spłodził bękarty, nim została jego panią i żoną. Czy to wielka przewina? Żadna, jeśli nie dotyczy króla. Jarl Birger. Na nim także mogła polegać, a teraz, pogrążony w żałobie, pewnie

potrzebował jej. Przebrała się szybko; płaszcz i kraj sukni miała mokry od śniegu. Rysie były syte, nie musiała ich karmić. Polowały całą drogę do staruchy, choć tym razem nie pokazały jej zdobyczy.

— Duszka, chcesz iść na ucztę? — spytała, patrząc na zmęczoną twarz swej służki.

Ta pokręciła głową. Świętosława nieoczekiwanie skoczyła ku niej i pocałowała zaróżowiony od sanny policzek.

— To kładź się spać.

Rysie miauknęły, przeciągając się. Zgrzyt zaczął kręcić się w kółko jak zawsze, kiedy szukał miejsca do snu. Rozśmieszyło ją to. Pogłaskała jednego i drugiego po wielkim łbie. Pociągnęła za czarne kępki futra wyrastające z uszu.

— Rysie też mają wolne. Nie muszą iść z panią na ucztę.

Wrzask wyprężył grzbiet, a potem wyciągnął przed siebie łapy ozdobione czarnymi, pięknymi pazurami. Miauknął i położył się.

— Dobranoc, moi mili — szepnęła i wyszła na ucztę.

— Królowo Sigrido — na jej widok uniósł się jarl Birger — pijemy puchar wspomnień.

— Dołączę do was. Thora była mą przyjaciółką. — Usiadła na swoim miejscu i przywołała Birgera, by spoczął blisko niej. Teraz zauważyła, że zdjął srebrne pierścienie trzymające jego długą brodę w ryzach.

— Kiedyś puchar wspomnień wypełniano końską krwią i podawano sobie nad ogniem — powiedział do niej ponuro. — Wiesz, pani, co się dzieje z krwią, którą podgrzeje płomień?

— Wiem — ucięła. — To nie te czasy, Bogu dzięki. Choć przykro mi, że dusza twej Thory odejdzie do piekielnej bogini Hel, a nie do jasnego raju.

— Sama wybrała — powiedział twardo i pociągnął spory łyk miodu. — Prosiłem tyle razy, by raczyła zwrócić się ku Dobrej Nowinie. Nic to nie

dało, jak rąbanie kłody tępym toporem.

— Paskudne porównanie — skrytykowała go. — Nawet jeśli była poganką, to dobrą kobietą i należy się jej szacunek.

— Jak sobie życzysz, pani — odpowiedział i znów przechylił kielich.

— Nie wierzę w jej zdradę, Birgerze. Byłam u tej uzdrowicielki. Potwierdziła, że Thora chodziła do niej po zioła na poczęcie. Uwierz, że to był nieszczęśliwy wypadek, przyjacielu.

Spojrzał na nią przeciągle. Wybaczyła mu. To wciąż był dzień śmierci jego żony.

— Rognvald Ulfsson wysyła łodzie do Anglii — powiedział, pochylając się ku niej.

Rognvald, potężny kupiec z Birki, jej wróg. Do Anglii? Serce zabiło jej mocniej. Tam jest Olav — pomyślała. — Czyżby?

— Bez wątpienia szuka kontaktu ze Svenem, wygnanym przez nas królem duńskim — dokończył Birger.

— Po co? — spytała, chłodząc swe nadzieje.

— By spiskować, pani. Sven wzbogacił się na podboju Anglii tak, jak żaden z naszych wodzów w czas pokoju. W samej Danii narasta niezadowolenie z trybutu, jaki nam płacą.

— Poborcami są synowie Rognvalda, nie zapominaj o tym, Birgerze. — Uśmiechnęła się.

— A jego wnukowie są synami króla, pani — odpowiedział twardo. — Byś czuła się pewna…

— Oddaliłam ich, wiesz o tym. Mój pan mąż wyznaczył im dzielnice na najdalej wysuniętej północy.

— Co to zmieni, gdy król umrze? — Zbliżył się do niej tak nagle, że miód z jego pełnego kielicha ochlapał ich oboje.

— Król żyje — szepnęła do niego tak twardo, że gdyby głos był stalą, przebiłby go na wylot.

— Nie rozmawiałaś z nim. Nic nie wiesz. — Pokiwał głową smutno.

— Ty mi powiedz — zażądała.

— Nie mogę, pani. Ale… wiedz, że pragnę tylko twego dobra. Czuję się odpowiedzialny za ciebie od dnia, gdy król Erik wysłał mnie na południe, przez siny, skłębiony sztormem Bałtyk. Bękarty powinny zniknąć raz na zawsze — zakończył twardo. — Także te dziewczęta, jego córki. Dziewczynom już zaplanowano mężów i nie zrobił tego nasz dobry król, ale ich rozżalone twą pozycją matki i dziadowie.

Poczuła wokół piersi zimną obręcz. Uniosła głowę, chcąc nabrać tchu. W oddali, przy ławie dostrzegła Iona, mnicha o pulchnym obliczu, który przez długość halli patrzył jej w oczy.

— Młode, piękne panny. Dobra partia dla każdego z dzielnych, bitnych i ambitnych — mówił Birger, nie spoglądając na nią, ale topiąc niewidzący wzrok gdzieś przed sobą. — Szybko wydadzą na świat synów, którym od niemowlęctwa będą powtarzać, że są dziedzicami królewskiej krwi.

— Co radzisz? — zapytała, cedząc każdą głoskę.

— Mamy wieczór z kielichem wspomnień, pani. Cóż może radzić wdowiec w zimną, śmiertelną noc?

OLAV ostatnie pół roku pamiętał dzień po dniu, noc po nocy tak wyraziście, jakby wszystko działo się wczoraj. Każdemu wspomnieniu towarzyszyły zapachy, barwy, dźwięk wypowiadanych słów, skrzyp takielunku, zawodzenie wiatru, uderzenie wody o burtę „Kanugårda”, stuknięcie buta o kamienną posadzkę.

Arcybiskup Canterbury, Sigeric, ten sam, z którym negocjowali przed trzema laty jeszcze jako Morska Wataha zwana dumnie Mieczem Odyna, przybył do jego obozu w Southampton w towarzystwie earla Ethelwearda,

zwanego też szumnie „panem zachodnich ziem”. Oglądali sobie ze Svenem owego „pana”, myśląc zapewne o tym samym — że bardzo im się podobały „zachodnie ziemie”.

— Dlaczego król Ethelred nie chce spotkać się z nami osobiście? — zgłosił na początku pretensje Sven. — To niegrzecznie. Myśmy się do niego pofatygowali pod sam Londyn.

W takich chwilach Olav uwielbiał Svena. Jego rudowłosy druh wyglądał jak chłopiec, który nie dostał zabawki. Sigeric mógł pamiętać o tym, że Sven lubi taką grę, ale earl dawał się nabrać raz za razem.

— Król Ethelred nie ma w zwyczaju spotykać się z najeźdźcami, musisz to zrozumieć, panie.

— Przybyłem do Anglii, by poznać króla. — Sven wydął usta. — Co jeszcze mam zrobić, by Ethelred to zrozumiał?

— Panie… — zaczął tłumaczyć Ethelweard.

Sven uderzył pięścią w stół i ryknął:

— Staram się, jak mogę! Byłem w Bamburghu, w Esseksie, w czterech fortecach Kentu, w Hampshire! Byłem w Kornwalii i pod Londynem, czego jeszcze chce twój król?!

— Żebyś odpłynął do domu, panie — szepnął earl.

— Nie. Ja zawsze dostaję to, czego chcę — syknął mu prosto w twarz Sven. — Chcę poznać waszego króla i już!

Earl wypuścił powietrze i otarł czoło. Olav wciąż jeszcze się nie odzywał. Odchylił się na krześle w tył, jakby wyłączał się z negocjacji. Do dzieła przystąpił arcybiskup.

— Królu Svenie, królu Olavie, już raz udało nam się dojść do porozumienia, spróbujmy i dziś wieczór znaleźć sposób na pogodzenie zwaśnionych stron.

— Przypomnij mi, arcybiskupie — odezwał się teraz Olav — na czym skończyliśmy?

— Nie rozumiem. — Sigeric był przez chwilę zdezorientowany.

Olav i Sven wpatrywali się w niego, więc odświeżył pamięć szybko.

— Na dziesięciu tysiącach funtów srebra. — Pokiwał głową i natychmiast dodał: — Ale wtedy było czterech wodzów, a teraz mamy dwóch.

— Żałujesz? — spytał Olav.

— Nie… — Sigeric wystraszył się własnego argumentu. — Nie, nie.

— Muszę ci o czymś powiedzieć, arcybiskupie. Zawsze zaczynam w tym miejscu, w którym skończyłem — powiedział Olav chłodno. — Nie chciałbym marnować ani waszego, ani naszego czasu. Jeśli więc nie masz zgody swego króla na właściwe rozpoczęcie rozmów, skończmy je od razu. Zgadzasz się ze mną, królu Svenie?

— Tak. — Rudowłosy wstał od stołu natychmiast. — Popłyniemy do naszego zamku w Bamburghu, a po drodze dokładnie zwiedzimy „ziemie zachodnie”. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć to, co zostało z wału Hadriana.

— Nie! — Earl Ethelweard nie miał odporności na urok Svena. — Mamy… to znaczy arcybiskup ma…

Sigeric zgromił go wzrokiem, ale było za późno. O północy doszli do porozumienia.

— Szesnaście tysięcy funtów srebra! — wrzasnął Sven, gdy posłańcy Ethelreda opuścili Southampton, a oni dwaj poszli na kamieniste wybrzeże odetchnąć nocnym, chłodnym powietrzem. — Obiecaj mi, Tryggvason, że będziemy tu stać i patrzeć na niekończący się sznur kobył dźwigających na grzbiecie nasze srebro. Nasz łup!

— Będziemy stać, patrzeć i radować się. I pić. I zastanawiać, jak zabezpieczyć taką fortunę. Wiesz, że teraz to my będziemy najlepszym łupem? Ciężarne od srebra brzuchy naszych łodzi.

— Kocham się tym martwić! — Sven klepnął go w ramię. — Ach, mógłbym się tak niepokoić co rok.

— Srebro się nie starzeje, ale my tak — odpowiedział Olav, patrząc mu prosto w oczy. — Czas się rozstać. Dobrze jest zdobywać królestwo, gdy jest się pięknym i młodym.

— I bogatym jak my!

Sven ani na chwilę nie chciał spoważnieć i Olav czuł, że kryje się za tym gra. Sven chciał, by to on powiedział, że pamięta zakończenie ich pijackiego pojedynku w Bamburghu. Prowokował go, nie wspominając o tym, co sobie powiedzieli, i jednocześnie zabezpieczał się na wypadek jego niepamięci. Ale to nieprawda. Pamiętali obaj i Olav świetnie o tym wiedział.

— Powiem ci coś w prezencie — odezwał się Sven, gdy wracali do obozu. — Powiem ci, jak skończyła wdowa Gunhild.

Olav zachłysnął się zimnym morskim powietrzem.

— Mów.

— Utopili ją w bagnie jak wiedźmę. Zatopiony na mokradłach nie idzie do królestwa umarłych. Pozbawili ją życia, pamięci, chwały. Wielka królowa, a zginęła jak…

— Jak zasłużyła. Dzięki, Sven. — Uścisnął go i przytrzymał. — Dlaczego mówisz mi to dopiero dzisiaj?

Sven zmrużył oczy i oczywiście się roześmiał. Bywał przewidywalny w nieobliczalności. Olav nie chciał z nim dłużej rozmawiać; wiedział, że cokolwiek powiedzą, i tak nie ma to znaczenia. Próbował tyle razy namówić go na sojusz i nic. We wspólnej walce byli jak strzała i cięciwa.

Jak drzewce i grot. Rozumieli się bez słów. I dlatego nie powinni już ze sobą rozmawiać. Ich wspólny czas dobiegł końca. Drogi się rozchodzą i żaden z nich nie obieca drugiemu, że nie spotkają się po przeciwnych stronach. Ale jeśli tak się zdarzy, naprzeciw Svena stanie inny Olav. Tryggvason odkrył już, że prawdziwym powodem, dla którego przybył do Anglii, nie było wyłącznie srebro.

Od początku wiedział, że to ma być Sigurd, nikt inny. Nie chciał Sigerica, arcybiskupa Canterbury, ani żadnego innego tłustego, nadętego kapłana, a w otoczeniu króla Ethelreda poznał ich wielu. Zaufał tylko Sigurdowi. Tamtej nocy, gdy w Southampton negocjowali wysokość danegeldu, gdy Sigeric wykłócał się o każde sto funtów, nagle do izby wszedł niski, chudy i łysy mężczyzna w burym habicie. W dłoni niósł krzyż, a w oczach gniew.

— Babilon! — powiedział głosem, od którego arcybiskup zamilkł. — Upadł Babilon i stał się siedliskiem demonów i ducha nieczystego. Winem zapalczywości swojego nierządu nakarmił narody. I królowie ziemi dopuścili się z Babilonem nierządu, a kupcy wzbogacili na jego przepychu! Hańba, arcybiskupie Sigericu. Hańba. Tak oto sprzedajesz swój kraj.

— Nieprawda, mnichu — odzyskał rezon arcybiskup. — Kupuję wolność. Twoją i moją, a także naszego króla i tych maluczkich, których powierzono naszej opiece.

— Nie wierzę w wolność kupioną srebrem — odpowiedział przybysz. — W czystości sumienia niewola od niej milsza.

— Tak? — zacietrzewił się Sigeric. — To proszę, droga wolna! Idź do tych barbarzyńców w niewolę.

I wtedy przybysz obrócił na nich swoje jasne oczy. Miał twarz tak surową jak deska z nieheblowanego drewna. Wąski nos, który zdawał się jedynie kością obciągniętą skórą, każdemu innemu obliczu przydawałby

zaciętości, ale nie u niego. Przebiegł wzrokiem po Svenie i zatrzymał oczy na Olavie.

— To nie są barbarzyńcy, arcybiskupie — powiedział wolno, nie odrywając wzroku od Olava. — To ludzie. Czynicie z nich w kazaniach bestie, a są tacy sami jak my. Tylko znacznie od nas silniejsi. Żegnam. — Odwrócił się i wychodząc, przystanął na moment przy Sigericu. — Targuj się! — rzucił ostro.

To mogłoby brzmieć pogardliwie, ale ja słyszę rozkaz — przebiegło Olavowi przez myśl. I odezwał się:

— Do zobaczenia, mnichu.

— Do zobaczenia, człowieku — odpowiedział mu i wyszedł.

Potem wrócili do negocjacji i skończyli je na owych szesnastu tysiącach srebrnych grzywien. A kiedy po kilku tygodniach danegeld został przeliczony, podzielony i załadowany na łodzie, do Olava przybył earl Ethelweard z zaproszeniem.

— Król Ethelred pragnie cię poznać, królu Olavie. Ale tylko ciebie.

— Czemu zawdzięczam zmianę zdania twego pana?

— Sigurdowi. To ten szalony mnich, który przeszkodził nam w rozmowach — odpowiedział lekko earl. — Król liczy się z jego zdaniem.

— A arcybiskup Canterbury?

— No cóż… — Earl rozłożył ręce. — Jeśli uznać, że arcybiskup jest głową angielskiego Kościoła, to Sigurd jest jego duszą.

Na szczęście Ethelred nie wpadł na pomysł, by zapraszać go do Londynu, bo Olav musiałby spotkanie odwołać. Wiedział, że nie może dać się zaprowadzić do żadnej twierdzy, za żaden mur, ale i tak zażądał zakładników, nim ruszył na spotkanie z królem na rozległych zielonych błoniach pod Andover.

Czekał tam na niego ustawiony na wzgórzu wielki królewski namiot otoczony strażą Ethelreda. Nim Olav wjechał konno na wzgórze, powitał go earl Ethelweard, prosząc jego i towarzyszących mu ludzi o oddanie broni. Olav odpasał miecz bez słowa; biorąc zakładników, zgadzał się na warunki spotkania. Varin jednak, podając earlowi swój, syknął i obnażył kły. Ethelweard się odsunął. Prócz Varina miał ze sobą Omolda skalda i dziesięciu innych, tylko ludzi ze starej załogi „Kanugårda". Żałował, że nie ma z nim Geivara, wodza Jom. Ten dzień był ważną przystanią w ich wspólnym rejsie, tym, który zaczęli, uwalniając się ze szponów Allogii i rubasznego, choć podszytego gniewem kniazia Wladimira. Nie zgodził się, by pieszo wejść na wzgórze; nie był pokonanym, lecz zwycięzcą i gościem. Wjechał konno.

Król Ethelred go rozczarował. Spodziewał się zobaczyć złamanego bólem stawów starca albo opilca o grubym brzuchu i podkrążonych oczach. A powitał go niespełna trzydziestoletni mężczyzna o ładnych, wijących się włosach, w których gdzieniegdzie przeświecała siwizna.

— Królu Olavie! — powiedział raźno. — A więc nie kłamali ci, którzy nazywali cię najpiękniejszym z barbarzyńców, jacy najechali Anglię.

— Pytałeś dziewek? — roześmiał się Olav.

— Nie. Moich dowódców i doradców. Mówili, że masz jasne oczy i włosy jak srebro, które na nas zdobyłeś. Że jesteś wysoki i szeroki w ramionach. Gibki i bystry jak…

— Młody wąż — wszedł królowi w zdanie Varin. — Nasze pieśni tak opisują dziedzica królów. A wąż jest symbolem dynastii Ynglingów.

— Tak, tak, wiem. Popytałem tu i ówdzie — odpowiedział wymijająco Ethelred, prowadząc ich do rozstawionego pod namiotem stołu. — Proszę, jesteście mymi gośćmi, usiądźcie. Podczaszy! Wina!

Nie lubił wina, więc poprosił o wodę. Król udał, że nie ma w tym nic niezwykłego.

— Woda dla mego gościa. Zatem jesteś potomkiem Ynglingów, Olavie. I tak oto, gdy ty i ja siedzimy na jednej ławie, historia chce zatoczyć koło.

— Co masz na myśli? — Olav zmarszczył brwi.

— Naszych przodków. Twego dziada, Hakona zwanego Dobrym, i mego, Althestana. Znasz ich historię?

— Opowiadała mi ją matka, ale posłucham tej, którą ty opowiesz.

— Hakon był najmłodszym synem norweskiego władcy, Haralda zwanego Pięknowłosym, przyrodnim bratem twego ojca.

Najmłodszym i z nałożnicy — uzupełnił w pamięci Olav. — A Pięknowłosy był pierwszym, który zjednoczył kraj twardą ręką.

— Ojciec planował dla niego dobrą przyszłość — ciągnął król — lecz bał się, że starszy brat zamorduje go, nim Hakon osiągnie wiek męski, więc wysłał go do Anglii.

Ten starszy brat to Erik Krwawy Topór i mąż wdowy Gunhild, przyczyny zagłady mego rodu — Olavowi nie przynosiło ulgi, że ta wiedźma zginęła w bagnie. Wolałby sam ją znaleźć i zabić w majestacie prawa.

— Młody Hakon został podopiecznym króla Althestana i tu, w Anglii, przyjął chrzest. A gdy nastał jego czas, wrócił do Norwegii, pokonał Erika Krwawego Topora i rządził krajem sprawiedliwie i dobrze.

— Pod czujnym okiem jarlów z Lade — ostro przypomniał Olav. — Dobry król zawarł układ z poddanymi, w myśl którego on nie zabraniał im czczenia starych bogów, a oni nie bronili mu wielbienia Chrysta. Dopuszczenie jarlów do władzy było ceną tego przymierza, dlatego Hakon przeszedł do pamięci jako król dobry, ale słaby.

Ethelred był zaskoczony, jakby w czasie bitwy wybito mu miecz z dłoni.

— Źle mnie oceniłeś, królu — dokończył Olav. — W moim charakterze nie leży zawieranie układu, lecz podporządkowanie sobie wszystkich. Dzięki twojemu srebru, poniekąd — uśmiechnął się na koniec.

— Dałbym ci drugie tyle w zamian za przysięgę, że więcej nie staniesz na mym brzegu — krzyknął król.

— Nie chcę przysiąg i kolejnego srebra. Daj mi chrzest — powiedział Olav.

Rozdziawione usta króla zdradzały, że znów popsuł mu plany. Przecież nie był głupi, znał je. Wiedział, że Ethelred będzie kluczył i kluczył, aż w końcu poprosi o przyjęcie Słowa Bożego i zakończenie najazdów. Że zrobi to, by podnieść swój prestiż w oczach możnych, by mógł potem przechwalać się, że owszem, wydał wielki skarb, ale pozyskał „baranka do owczarni Pana”.

Olav od spotkania na wyspie Scilly nie zmarnował ani dnia. Napadał na klasztory, ale księgi rozkazał chować w kufrach, a mnichów brał w niewolę i co wieczór kazał im mówić. Miał świetną pamięć i gdy Sigurd wszedł na negocjacje, mówiąc o Babilonie, wiedział, co ma na myśli. Upadek obmierzłego Babilonu i powstanie Nowego Jeruzalem. Apokalipsa. Objawienie Jana Apostoła. Znał ją już. Znał też Mary, Matkę Bożą, niepokalane poczęcie, Ducha pod postacią gołębicy, gorejący krzew, tablice z dziesięciorgiem przykazań, Jana, co chrzcił z wody, i Chrysta, który chrzcić będzie ogniem. I pragnął ich wszystkich tak bardzo, że nie miał ochoty wysłuchiwać gładkich opowieści króla. Chciał wody chrztu i to już. Natychmiast. Dość już miał czekania w przedpokojach Pańskich.

Ethelred otrząsnął się i powiedział:

— Musimy poczekać, aż przyjedzie biskup.

— Ustalmy coś, królu. Możesz zostać moim ojcem chrzestnym, jak Althestan dla Hakona Dobrego. Może obrzędowi towarzyszyć biskup,

jakiego sobie zażyczysz. Ale chrztu ma mi udzielić Sigurd. I twoja w tym głowa, królu, by to on był biskupem misyjnym. Jeśli nie zgadzasz się na warunki, obaj tracimy czas.

— Zgadzam się — odpowiedział Ethelred i dodał: — To potrwa. Mnich, choć jest świątobliwy i bliski memu sercu, nie ma święceń kapłańskich.

— Najlepszym czasem na chrzest jest pierwsza wiosenna pełnia, masz więc czas, królu. Lecz ani dnia dłużej, bo w dzień po chrzcie wyruszę z Sigurdem na pokładzie „Kanugårda”. Ty decydujesz, dokąd popłynę. Czy do Lade, pokonać jarla Hakona, czy na Londyn i Bamburgh. Dziękuję za wodę, której się napiłem, i rozmowę, w której przypomniałeś mi historię mego rodu.

Nie widział Sigurda do dnia chrztu. Nie potrzebował tego, miał świetną pamięć, a w niej obraz chudego, kostycznego mężczyzny, który nie oceniał, ale i nie znał kompromisu. Jego łysą, lśniącą czaszkę, pozbawiony zarostu podbródek z linią prostą niczym cięcie nożem. Nos, chudą kość obleczoną skórą. Wąskie wargi i jasne oczy; światło wypływające wraz z uniesieniem powiek. Tak jak przed laty, Sigurd, brat mej matki, wykupił mnie z niewoli — pomyślał — tak dzisiaj biskup Sigurd wyrwie mnie z mroku. Szedł na spotkanie z wodą chrztu sam. Bez broni i asysty zbrojnych. Od przystani prowadził go biały pies. Suche, jasnozielone porosty pokrywały skałę. Wciągnął w nozdrza zapach morza i wonnego dymu. Znalazł kamienny łuk bramy. Tam zdjął pas i zrzucił broń. Zzuł buty. Odrzucił płaszcz z ramion i rozpuścił białe włosy na wiatr. Wreszcie stanął przed mrocznym wejściem do kamiennego budynku. Czekali na niego mnisi wyzwoleńcy. Ci, których pojmał, zdobywając klasztory. I oddał im wolność z okazji swego chrztu. Wyciągnęli ramiona po jego ubranie. Do wnętrza wstąpił nago. Czuł pod stopami chłód starych kamieni i miękki mech pokrywający ich brzegi. Usłyszał szmer wody.

— Czy jesteś gotów, Olavie? — zapytał Sigurd, czekając na niego w oświetlonym pochodniami kamiennym wnętrzu.

— Tak.

— Czy wyrzekasz się szatana?

— Tak.

— Czy chcesz zostać dzieckiem Bożym?

— Chcę.

— Czy poddasz się wodzie chrztu, wodzie nowego życia?

— Jestem żeglarzem. Woda jest moim żywiołem. Chcę poprzez nią wstąpić do Królestwa i pożeglować ze Słowem w żaglach.

— A zatem wejdź w wodę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

— Amen — odpowiedział Olav, wchodząc w wodę żywą.

I jego umysł przenicowała jasność.

— Odtąd jesteś dzieckiem Boga — powiedział Sigurd. — Służ Mu, a On da ci nowe życie.

Nowe życie w Olavie zawyło jak żagiew rzucona w suche drewno. Ogień zatańczył w wodzie, zamieniając ją we wrzątek, kipiel, w której topił się lodowiec. Góry, które spod skał odsłaniały krzyż. Dwa rysie skaczące do gardła niewiernym. Przesłanie wypalone na żywej skórze jak piętno. Wąż, co wpełzał za płomieniem w gardło. Kolana się pod nim ugięły.

— Panie, nie jestem Ciebie godzien… — wyszeptał.

— Nie jesteś — surowo odpowiedział Sigurd i jakby na pocieszenie dodał: — Nikt nie jest. A mimo to On złożył za nas ofiarę.

— Powiedz tylko słowo, a moja dusza będzie uzdrowiona…

Kiedy wstał, z kolan płynęła mu krew. Sigurd pochylił się i wyjął z nich trzy ciernie.

— Cierniową koroną został zwieńczony nasz Pan — powiedział. — Królu Olavie, oto znak, że jesteś Jego wybrańcem.

ŚWIĘTOSŁAWA zaplotła ramiona na grubym karku Erika. Jej pan mąż śmiał się i pił, podczas uczty sławiąc spryt i zręczność ich syna. „Wołają go Chudy Ole, bo Olof nie jest silny jak chłopcy w jego wieku — wyjawił jej na osobności. — Lecz przewyższa ich rozumem i odwagą. To dobry znak. Mięśnie można wyćwiczyć codziennym znojem na placu. Rozum dostaje się w darze od rodziców. A z odwagą człowiek musi się urodzić. Nasz syn ją ma”. Teraz, gdy znaleźli się w alkowie jej męża, wreszcie zapanowała cisza po zgiełku powitalnej uczty. Erik zrzucił z siebie koszulę. Stał przed nią zmęczony i nagi. Jego oczy pytały ją o miłość, a ona bardzo chciała mu ją dać. Po raz pierwszy nie chciała zagrać Ody, nie pragnęła nic zdobyć, wymóc i załatwić. Czas jego nieobecności, wypełniony ostrym zdaniem Birgera: „Nie rozmawiałaś z nim. Nic nie wiesz”, był dla niej nieznośny. Tak, potrzebowała tej rozmowy, chciała się dowiedzieć. Znów wkraczała do łoża, by coś zdobyć?

Pocałowała go w duże, mięsiste wargi. Przejechała palcami po twardym podbródku ukrytym pod zarostem długiej, falistej brody. Położyła drobne dłonie na jego policzkach i potarła palcami powieki.

— Chodź, mężu — szepnęła. — Chcę miłości.

W jego oczach coś zalśniło, ale przecież to nie mogła być łza. Kochali się w długich, ciężkich pchnięciach, które nagle zaczęły sprawiać jej radość, nie ból. W uniesieniu brwi Erika pochylonego nad jej ciałem. W jej westchnieniu, gdy rozgniatał wielką dłonią jej pierś. Zapamiętał! — przebiegło jej przez głowę, gdy Erik na końcu pocałunku przygryzł jej wargę. Zapamiętał i to… — pomyślała, kiedy zaczął całować jej ucho. Pamiętał, co czasami sprawiało jej radość, a to razem wzięte było już czymś więcej niż kiedykolwiek.

— Sigrido — mruczał w ucho, całując je — jesteś moją miłością…

— A ty moją radością, panie — odpowiedziała. — Mamy tyle lat, by siebie uszczęśliwiać… Ach!

Jej biodra uniosły się pod kolejnym ciężkim pchnięciem męża.

— Nie mamy lat, moja pani — wydyszał, patrząc w jej oczy z tak bliska, że zdawało się, że ją połknie. — Ale mamy dni…

— Co mówisz? — zaszeptała, znajdując siłę, by wygiąć się pod jego ciężarem.

— Mamy dni…

Nie usłyszała, co mówił dalej, bo jej ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze tak silne, że nie mogła nad sobą zapanować. Wydała się sobie Wrzaskiem albo Zgrzytem, gdy rozrywały zdobycz na strzępy. Oczy zalała jej czerwona, ciepła maź. Krew? Ach…

Erik wyprężył się nad nią i zawył jak dziki zwierz. Jak wilk. Jego twarz widziana od dołu była straszna jak oblicze bestii w ataku rozkoszy. Wpiła się w jego rozwarte usta i pociągnęła na siebie.

— Mamy cały świat — obiecała mu, a jej ciałem wstrząsał dreszcz za dreszczem.

— Nie, moja ukochana. Mamy kilka dni — powiedział, opadając na plecy obok niej. — Resztę zabiera Jednooki Pan.

Oddychał ciężko.

Nie mogła pozbierać myśli. Wciąż była rozedrgana. A jednak usłyszała, co mówił.

— Coś ty zrobił? — wyszeptała, przekręcając się na brzuch.

— Zapłaciłem za zwycięstwo. Za twój i Olofa spokojny los — powiedział, leżąc na wznak i patrząc w dymnik, przez który uchodziła smużka z paleniska.

— Kogo oddałeś w ofierze swemu bogu? — zapytała, kładąc mu rękę na potężnej piersi. — Wiem, że złożyłeś krwawą ofiarę. Powiedz, kto to był?

Styrbjorn, twój bratanek? Czy jakiś ważny jeniec z wojny ze Svenem?

— Nie jestem tchórzem, moja pani. Nie będę się krył za czyimś życiem. Oddałem siebie.

Zesztywniała.

— W zamian za zwycięstwo nad Styrbjornem obiecałem siebie za dziewięć lat. Wiedziałem, że tyle mi wystarczy, by odchować naszego syna i umocnić jego i twoją pozycję na dworze. — Wyciągnął w górę ramię i zwinął dłoń w pięść. A potem rozprostował palce, patrząc na nie przez chwilę. Opuścił dłoń na pierś z ciężkim westchnieniem. — Nie wiedziałem wtedy, że się zakocham. Podobałaś mi się od pierwszego spotkania na wodach Mälaren, ale to normalne, gdy mężczyźnie podoba się piękna i młoda kobieta. A potem, z roku na rok, z dnia na dzień… Czasem gardziłem swą słabością do ciebie. Stary wojownik, a topniałem w twoich palcach jak śnieg… Żałuję każdego dnia, którego nie spędzimy razem, każdej nocy podwójnie, ale… nie żałuję żadnej chwili, którą przeżyliśmy. — Wyciągnął ramię i przygarnął ją do siebie.

W pierwszej chwili poczuła wściekłość. Wyrwała mu się i zaczęła okładać go pięściami po piersi.

— Myślisz tylko o sobie! To podłe… — wyrzucała z siebie słowa jak kamienie. — Umrzeć, cóż prostszego? Zostawiasz mnie! Styrbjorn nie żyje, ale z każdego kąta czyhają na mnie twoje dawne nałożnice, twoje dzieci… Ach!

— To tylko cienie, które znikną, gdy znów wzejdzie słońce — powiedział, łagodnie głaszcząc ją po głowie.

Zmęczyła się wybuchem. Położyła się na jego piersi i zapłakała. A potem wróciła jej odwaga. Weszła na Erika i kochała się z nim, szepcząc:

— To chcesz zostawić?… To chcesz opuścić?…

— Przestań. — Całował ją. — Przestań…

— Nie! To ty przestań straszyć mnie śmiercią. Zmień zdanie. Jesteś królem! Daj Odynowi kogoś innego!

Śmiał się i oddawał miłości.

— Nie masz jeńców? — Świętosława nie dawała mu spokoju. — To rusz tyłek na wojnę i zdobądź! Może tego ci właśnie trzeba? Jakiejś nowej zwycięskiej wojny?

— Może — przyznał jej w końcu rację, gdy wstawał świt. — Pojutrze ruszam do Uppsali, czekają na mnie wysłannicy z Danii.

— O tak! — podchwyciła. — Wsiądźmy na pokład „Królowej Fal" i popłyńmy razem do Roskilde. Mieliśmy to zrobić już dawno temu, zróbmy teraz! Zaprowadzisz mieczem porządek między duńskimi poddanymi, poczujesz, jak krąży ci w żyłach krew!

— Już czuję, moja pani. — Pocałował ją i zasnął.

Ją też zmorzył sen, a kiedy się obudziła, Erika przy niej nie było. Słyszała jego głos z halli, jak śmieje się ze swymi wodzami i grzmi na służbę, żeby przyniosła więcej mięsa, bo jest głodny jak wilk. Przeciągnęła się w jego łożu. Tak, tak było dobrze. Nocny strach uleciał. Wstając i ubierając się, pomyślała, że Erik jest królem, ale i prostym, zwykłym mężczyzną. Łoże, dobre jedzenie, miód i wizja wygranej.

Nie chciała z nim jechać do Uppsali. Nie po to miała jasny dwór w Sigtunie, by wracać do mroku starej siedziby.

— Zabierz Olofa — poradziła. — Niech się uczy sprawowania władzy przy ojcu.

— Dobrze radzisz — kiwnął głową.

Niebawem byli gotowi do wyjazdu.

Pożegnała ich w jaskrawym świetle wczesnowiosennego słońca. Olof już dawno przesiadł się z kuców na normalnego wierzchowca. Na końskim

grzbiecie wydawał się tak duży! Gdy tylko wyjechali, przebrała się i dała znać Wilkomirowi:

— Rysie chcą zapolować! Zgrzyt! Wrzask! — zawołała, a jej drapieżne koty w lot pojęły, że czeka je gonitwa.

Miała ochotę na szybką jazdę, chciała w końskim galopie zgubić tę długą i ciemną zimę, która wreszcie dobiegała końca. Birgera i jego ponure, złowieszcze rady. Śmierć Thory. Dziwne wróżby staruchy znad zatoki. Okropną wizję ofiary dla Odyna, jaką jeszcze dwie noce temu straszył ją Erik. Wiedziała, że teraz, z każdym dłuższym dniem będzie tylko lepiej. Że to mrok zimy budził w ludziach najgorsze instynkty, a teraz idzie jasność i ciepło. Ion obiecał jej, że pod nieobecność króla spotkają się w kaplicy, o której wciąż mawiał, że jest równie święta jak szopa na łodzie. „Ale jak mówi Pismo, tam gdzie dwóch się spotyka w imię moje, tam jestem i ja, moja pani. A zatem spotkajmy się w twojej szopie w imię Boże i przynajmniej poczytam ci Pismo Święte, które nasz dobry król zrabował w kościele w Roskilde”. Służki, które przed niemal dziesięcioma laty przywiozła z Poznania, choć ubierały się już jak tutejsze kobiety i przyswoiły większość z miejscowych zwyczajów, wciąż w porze Wielkanocy przygotowywały pisanki i w tym roku też już widziała, że malują jajka roztopionym woskiem. Obiecała sobie, że sama zrobi co najmniej jedną i podaruje Erikowi. Zaśmiała się. Jej mąż jajka jadał wyłącznie na surowo.

Zgrzała się od końskiej jazdy. Wrzask pierwszy przybiegł z upolowanym zającem. Potem Zgrzyt z dwójką młodych lisiąt. Wracali stępa, już nie potrzebowała galopu. Już z jej głowy wywiało wszystkie ponure myśli. Na podwórcu dostrzegła Birgera. Jarl wyraźnie czekał na nią, a jego mina zdradzała, że ma ważne wieści. Oddała konia stajennemu, przypięła rysie do smyczy i zawołała do niego wesoło:

— Poczekaj na mnie, jarlu, odprowadzę koty i wyjdę do ciebie.

W halli kręcił się Ion, jego pulchne, zwykle zadowolone z siebie oblicze było niespokojne.

— Pani… muszę ci coś powiedzieć… — Niemal złapał ją za rękaw, gdy przechodziła.

— Mów!

— Nie tutaj. Na osobności. To ważne…

— Czeka na mnie jarl Birger, najpierw pomówię z nim. — Oddała smycz Duszy i nie przebierając się, ruszyła do wyjścia.

Ion dreptał za nią.

— Pani…

— Albo mów teraz, albo zaczekaj, mnichu — rzuciła przez ramię.

— Zaczekam, pani.

Na podwórcu panował zwykły gwar. Kwiczał wieprzek, któremu spętano nogi i słudzy prowadzili go pod topór.

— Królowo… — Birger wyrósł przy niej tak nagle, że się wzdrygnęła. — Przestraszyłem cię?

— Nie. Ten kwik wieprzka… Nie mogą tego robić gdzie indziej?

Krzyknął gromko, nakazując służbie się wynosić. Zwierzę poprowadzono za dwór, na co zareagowało jeszcze bardziej przerażonym kwikiem.

— Umówiłam się z Ionem na czytanie Pisma Świętego — powiedziała do jarla. — Chcesz do nas dołączyć? Jest Wielkanoc. — Szturchnęła go ze śmiechem, widząc, że patrzy na nią, jakby nie rozumiał.

— Tak, ale obawiam się, że mam pilniejsze obowiązki, moja pani. Czasu zostało coraz mniej.

— Przestań! — wściekła się. — Rozmawiałam z mężem. Obiecał, że załatwi tę sprawę inaczej. — Nie chciała opowiadać Birgerowi przebiegu

tamtej nocy. Nie jego sprawa.

Pokiwał głową, jakby przyznawał jej rację. A potem szepnął:

— Dziewczęta już nie sprawią nam kłopotu. Zrobiłem, co trzeba.

Usłyszała zza dworu przeraźliwy pisk zarzynanego wieprza. Poczuła, że robi jej się niedobrze.

— Nie rozumiem, o czym mówisz, jarlu — wyszeptała.

— Rozumiesz, pani — odpowiedział. — Ale masz rację, nie o wszystkim trzeba mówić. Chciałem tylko, byś wiedziała, że na mnie możesz bezwzględnie polegać.

Zaschło jej w ustach. Chciała się odezwać, ale głos po raz pierwszy w życiu odmówił jej posłuszeństwa. W tej samej chwili rozszczekały się psy i na dziedziniec wjechał niewielki orszak.

— Olof? — Nie wierzyła własnym oczom. Przecież jej syn o wschodzie słońca wyjechał z ojcem do Uppsali na spotkanie wysłanników duńskich.

Skoczyła ku wjeżdżającym.

— Gdzie król Erik? Dlaczego wróciliście?

— Pan ojciec odesłał mnie do ciebie. Dostaliśmy w drodze wiadomość, że posłowie nie przybyli, jak było zapowiedziane, i pan ojciec kazał mi wracać.

To nieprawda. Posłowie już byli w Uppsali. Serce waliło jej tak, że bała się, iż rozsadzi piersi.

— A król? Dokąd pojechał król?

— Do Uppsali, pani matko.

Ciemne oczy jej syna były szczere, Olof mówił, co wiedział, nie mając pojęcia, co się dzieje.

— Zaczęło się — szepnął jej do ucha Birger, aż poczuła chłód.

— Dlaczego nie zabrał cię ze sobą? — Chwyciła konia Olofa za uzdę.

— Powiedział, że chce odprawić obrzędy w wielkiej świątyni Odyna i że wolałabyś, by mnie przy tym nie było.

— Wielki Ulfie! — wrzasnęła tak, że aż koń Olofa zarżał wystraszony. — Wilkomirze! Zbierz oddział. Ruszamy do Uppsali, do króla. Mój syn jedzie z nami. Konia!

Odwróciła się i zobaczyła poważną twarz Birgera.

— Zaczęło się, pani — powtórzył.

— Zostań w Sigtunie, jarlu. Powierzam ci opiekę nad dworem.

Przyklęknął przed nią na jedno kolano i ucałował jej dłoń.

— Nie zawiodę cię, moja królowo.

Musieli zrobić jeden krótki popas w drodze, by nie zajeździć koni. Olof był niespokojny, podbiegł do niej, jak tylko się zatrzymali przy strumieniu.

— Mamo, dlaczego jedziemy? Co się dzieje?

— Jesteś już duży, synku. — Nie chciała go zranić jakimś nieostrożnym słowem.

Co się dzieje? Sama nie była pewna. Czy Erik powiedział Olofowi prawdę i odesłał go tylko dlatego, by chłopak nie brał udziału w obrzędach, czy też…

— Twój pan ojciec obiecał mi coś — powiedziała. — Jedziemy sprawdzić, czy dotrzyma słowa. I wiem, że jeśli zobaczy nas oboje, to będzie dla niego ważne, będzie… bardziej skłonny, by słowa dotrzymać.

Do Uppsali wjechali po zmierzchu. Jej klacz była zmordowana szaleńczą jazdą, ale Świętosława nie mogła zwolnić. Przeciwnie, gdy zobaczyła pochodnie płonące przy przejeździe, tam gdzie droga wiodła między kopcami, kazała klaczy przyspieszyć.

— Jeszcze, jeszcze, moja mała, moja śmigła! — poganiała ją. — Jeszcze, jeszcze!

— Kto jedzie? — Drogę zagrodził jej konny strażnik.

— Królowa Sigrida! Z drogi! Gdzie mój mąż?

— W świątyni, pani. — Strażnik odjechał w ostatniej chwili, bo ona nie zamierzała zwolnić.

Boże Wszechmogący! Nigdy dotąd nie przekroczyłam progu tego wrażego domu, a teraz… Już przejeżdżała między kopcami. Obejrzała się w lewo. Na konarach wielkiego drzewa nie wisiała ani jedna ofiara, ale w ponurym oczekiwaniu siedziało całe stado kruków. Poczuła skurcz, jakby chciał jej wyskoczyć żołądek. W oddali zamajaczył słabo oświetlony stary dwór. Skręciła ostro w prawo, do świątyni. Obejrzała się za siebie. Jej jeźdźcy już byli za nią, Olof też. Świetnie sobie radzi w siodle — przebiegło jej przez głowę, jakby to miało w tej chwili jakiekolwiek znaczenie.

Przed świątynią rozpalono wielkie ognisko. Wokół niego zebrał się spory tłum. Kobiety, mężczyźni, trochę dzieci. Patrzyli na nią nieufnie. Zatrzymała się i zsiadła z konia.

Naprzeciw niej wyszedł mężczyzna, o którym wiedziała, że jest strażnikiem świątyni. Widzieli się w czasach, gdy tu mieszkała raz czy dwa. Potem schodził jej z oczu.

— Pani, co cię do nas sprowadza? — zapytał. — Czyżbyś chciała porzucić swego Chrysta i przejść na stronę naszych bogów?

— Nie — odpowiedziała krótko. — Gdzie mój mąż?

— W świątyni.

— Chcę do niego wejść.

— Nie możesz.

— Mówisz do królowej! — krzyknęła gniewnie. — Ulfie, zatrzymaj tego człowieka. Wilkomirze, chodź ze mną i Olofem.

— To nie jest dobry pomysł — cicho powiedział Ulf. — Nie wolno ci wejść do świątyni w czasie obrzędu.

— Muszę to zrobić — szepnęła do niego i powiedziała głośno: — To Olof, syn Erika. A ja jestem królowa Sigrida Storråda, wasza pani. Idę spotkać się ze swym mężem w świątyni Odyna.

— Musisz przysiąc, pani — odezwał sie strażnik — że w niczym nie uchybisz obrzędom. Inaczej możesz zginąć.

— Nie groź królowej — głośno warknął Wilkomir, a jej szepnął na ucho to, co już powiedział Ulf: — To zły pomysł.

— Nie mam lepszego — odszepnęła. A na głos dodała: — Nie uchybię waszym obrzędom.

— Przysięgasz, pani?

— Przysięgam — powiedziała i pociągnęła za sobą Olofa.

Ludzie rozstępowali się przed nimi niechętnie. Widziała nieprzyjazne twarze. Ponurych mężczyzn i kobiety, którzy chcieli jej powiedzieć: „To nie twoje miejsce”. Szła coraz szybciej, roztrącając ich. Bała się każdej straconej chwili. Gdy była już blisko, usłyszała śpiew wewnątrz świątyni. Nie, nie śpiew. Ktoś o potężnym głosie recytował *Pieśń Najwyższego*, ale to nie był islandzki skald jej męża. Pod samą świątynią ludzi było już mniej. Niemal biegła, ciągnąc Olofa za rękę. Nie zadawał pytań. Miał spoconą dłoń. Zostały jej jakieś dwie dziesiątki kroków i wtedy wrota świątyni rozwarły się i z wnętrza wyszedł najpiękniejszy starzec, jakiego widziała w życiu. Wysoki, potężny, szerokoplecy. Białe, długie włosy spływały mu na ramiona. Siwa broda wydawała się jak z jedwabiu. Ubrany był w szeroki, szary płaszcz z kapturem zarzuconym na ramiona.

Kim jest? Dlaczego nigdy wcześniej go nie widziałam? — przebiegło jej przez głowę, a zaraz za tym druga myśl: — Ktoś tak piękny i dostojny nie mógł przecież…

— Panie! — krzyknęła. — Jestem królowa Sigrida…

— Wiem, kim jesteś — odrzekł spokojnie mężczyzna i uniósł ramię, zwracając się do czekającego tłumu: — Oto wasz król Erik dokonał ofiary! Chwała mu za to na wieki! Król, który dotrzymuje słowa, cieszy się łaską bogów za życia i po śmierci!

Serce przeszył jej cierń. Piekielny cierń z wróżby staruchy. Ugięły się pod nią nogi. Chciała wejść, ale wielki starzec zagradzał jej drogę. Wyciągnął do niej ramię i chwycił ją i Olofa za ręce. Jego dotyk na chwilę ukoił jej ból. Podniósł ich ramiona i zakrzyknął:

— Oto królowa wdowa i jej syn, król Olof, następca swego ojca, Erika. Oddajcie im cześć.

W pierwszej chwili tłum zaszemrał gniewnie, ale siła starca była tak wielka, że jeden po drugim uginali kolana. Przez pustą głowę przebiegła jej myśl: Olofie, nie rozpłacz się. Nie wolno ci okazać słabości.

— Królowa wdowa! Król Olof!

Pierwszy krzyknął jeden z ludzi Ulfa, potem kolejni i pociągnęli tym okrzyki tłumu. Gdy umilkły, odezwała się, najgłośniej jak potrafiła:

— Wyprawimy memu mężowi wspaniały pogrzeb. Taki, na który zasługuje król i wódz. Taki, który spodoba się Odynowi. — Przeszło jej to przez gardło lżej, niż myślała. — Tu rozpalimy stos i tu, w kopcach królów, spoczną jego prochy! I będziemy pić za niego puchar pamięci. Bo nie miał ten kraj wspanialszego władcy niż mój mąż!

Odczekała, aż wykrzyczą swą radość z jej słów, a potem podjęła:

— Mój syn Olof jest jedynym następcą swego ojca. Póki nie osiągnie lat męskich, będę stała przy nim i pomagała mu sprawować władzę. Pod jego rządami będziecie równie szczęśliwi i bezpieczni, jak byliście pod rządami Erika. A teraz pozwólcie mi zobaczyć mego króla.

Starzec poprowadził ich do środka. W okrągłym palenisku płonął ogień, rozświetlając mroczne wnętrze. Wielkie posągi Odyna, Thora, Freya

ustawione były wzdłuż ścian. U stóp drewnianego Odyna, na kamiennej płycie, leżał Erik. Pochyliła się nad nim. Jego pierś przecięta była jednym czystym sztychem.

— Dlaczego nie krwawi? — spytała.

— Zebrałem jego krew. — Starzec wskazał naczynie stojące z boku.

W tej samej chwili do Świętosławy dotarło, że prócz wielkiego białowłosego starca nikogo tu nie ma.

Wzięłam zabójcę mego męża za najpiękniejszego starca, jakiego widziały me oczy — pomyślała z pogardą do siebie samej. Wpatrywała się w zastygłe oblicze Erika i obwiniała na zmianę jego i siebie. Nie czuła już nic.

— Pani? — Starzec wyciągnął do niej rękę.

— Tą dłonią zadałeś mu cios? — spytała.

— Ofiarnik składa i przyjmuje ofiary. Jest jedynie narzędziem między światem bogów i ludzi.

Chwyciła jego dłoń. Jego narzędzie. Nagle poczuła, że nie wie, co ma robić dalej. Starzec powiedział cicho:

— Nie bój się, królowo. Poprowadzę cię.

Zamieszkali w starym dworze królewskim, za gajem ofiarnym Odyna, w cieniu kopców.

— Tu przyszedłeś na świat, synu — pokazała mu swą dawną alkowę i łoże.

— Dlaczego ojciec to zrobił? — spytał Olof, siadając na skraju tego łoża.

— Bo był starym upartym wikingiem. — W jej głosie nie było gniewu, tylko zmęczenie. — Gdy jechał na wojnę ze swym bratankiem, złożył ślub i przysiągł, że jeśli wygra, podaruje po dziewięciu latach swe życie Odynowi. No i dotrzymał słowa. Zawsze dotrzymywał. Memu ojcu obiecał, że pokona Svena, i wypędził go z Danii. Taki już był.

— Wiedziałaś o tym?

— Powinnam się była domyślić — powiedziała szczerze. — Ale się nie domyśliłam. Dopiero tej nocy… Wydawało mi się, że go przekonałam, by zmienił zdanie.

Nazajutrz zaczęły się przygotowania do pogrzebu i wielkiej uczty. Wysłała ludzi z zaproszeniami do wszystkich wodzów Erika. Do kupców z Birki też. Do dumnego Rognvalda Ulfssona i jego córki Thordis. Nie powinno się pomijać wrogów. Brakowało jej jarla Birgera i jego rad, ale był przy niej starzec. Miał na imię Bork. Tyle że nie o wszystkim mogła mu powiedzieć i nie o wszystko umiała zapytać.

Po dwóch dniach przybył zaufany sługa Birgera z Sigtuny i powiedział, że jego pan powierzył mu tajemnicę, którą ma się podzielić z królową. Siedziała właśnie z Borkiem, a starzec tłumaczył jej krok po kroku obyczaj pogrzebowy.

— Poczekaj, skończymy omawiać pogrzeb i pomówię z tobą.

— Kiedy to jest sprawa dotycząca pogrzebu — uparł się sługa. — I niecierpiąca zwłoki.

— Mów! — rozkazała.

Zerknął niepewnie na Borka.

— Skoro to rzecz dotycząca pogrzebu, mów! — ponagliła go.

— Mój pan pyta, czy królowa zdecyduje się na pogrzeb według dawnych zwyczajów.

— Tak, już to ogłosiłam ludziom.

Boże — pomyślała — mój ojciec miał w sobie dość siły, by położyć kres dawnym, krwawym obrzędom, a ja będę musiała ułożyć na stosie swego pana męża.

— Jarl Birger jest tego samego zdania — kiwnął głową jego sługa. — Przekazuje ci, pani, że królowi Erikowi należy się pełen ceremoniał

dawnych władców.

— Wiem o tym — powiedziała i usłyszała w swych ustach warczenie.

Sługa udawał, że nie słyszy jej zniecierpliwienia.

— Jarl Birger pragnie cię ośmielić, pani, w kwestii kobiety.

— Nie rozumiem. — Spojrzała na Borka. Jego stara, łagodna twarz była niewzruszona. — Wyjaśnij mi, panie.

— Jarlowi chodzi o… — zaczął sługa, ale Bork mu przerwał:

— Mnie królowa prosiła o zdanie. — Miał cichy, lecz dobitny głos. Wtedy, w nocy, gdy stał z nią i Olofem przed świątynią, nie krzyczał, a słyszały ich tłumy. — Harda Pani — zaczął. Zwracał się do niej tak samo jak starucha w lesie. Nie broniła mu tego. — Dawnym zwyczajem jest, by królowi prócz jego ukochanych koni, psów, sokołów do polowań towarzyszyła nałożnica. By w podróży do Walhalli dbała o swego pana.

— Nie znam nałożnic mego pana męża — powiedziała śmiało.

— Thordis z Birki — syknął sługa Birgera.

Więc taki jest plan jarla? Chce wysłać Thordis na stos z Erikiem. Gdyby nie to, że było to barbarzyńskie i bezczelne, pomyślałaby, że to rozwiązanie doskonałe.

— Nie! — odpowiedziała głośno. — Nie zgadzam się. Thordis jest wysoko urodzoną kobietą. Była nałożnicą mego męża w czasach, gdy mnie przy nim nie było. Ma z nim dwóch synów i nie pozwolę na takie okrucieństwo.

— Słusznie, pani — powiedział Bork.

— Jarl Birger tylko sugerował, że to jedyna znana nałożnica króla Erika — zręcznie podpowiedział jego człowiek.

— Nieprawda. Są jeszcze dwie kobiety, nie znam ich imion, ale spłodził z nimi córki!

— Alfdis i Holmfrid, pani — powiedział Bork i zrozumiała, że starzec wie więcej od niej.

— Niestety, one już nie żyją — beznamiętnie powiedział sługa.

„Dziewczęta już nie sprawią nam kłopotu. Zrobiłem, co trzeba”. Przypomniała sobie, co powiedział na dziedzińcu chwilę przed jej wyjazdem. Chryste, jak mogłam o tym zapomnieć? Zabił te dziewczyny, ale czy to znaczy, że zabił też ich matki? Powinnam z nim pomówić, Birgera ogarnęła gorączka. Nie wolno mu tego robić.

— A zatem trzeba wybrać którąś z niewolnic — powiedział Bork. — Piękną i młodą, by nie przyniosła królowi wstydu.

— Czy to konieczne? Czy ojciec Erika też zabrał ze sobą czyjeś niewinne życie? — zapytała, wiedząc, co odpowiedzą.

Bork skinął głową. Znów poczuła się piekielnie zmęczona.

Robię to dla Olofa i siebie. By poddani nie wypowiedzieli nam posłuszeństwa. Gdy umocnię się na tronie, zaproszę do Sigtuny biskupa i ochrzczę ten kraj.

Siwobrody starzec poruszył się nagle i wiedziała, że nie powinna pozwalać sobie na takie myśli w jego obecności. Najwyraźniej moc, jaką obdarzyli go jego bogowie, sięgała także słów niewypowiedzianych.

— Czy coś jeszcze ma mi do przekazania twój pan? — spytała sługę.

— Tak. Przywiozłem ze sobą panią Duszę i oba rysie. Jarl Birger powiedział, że pewnie potrzebuje pani ich towarzystwa. A twe służki spakowały skrzynie ze strojami i klejnotami.

Poczuła wobec Birgera taką wdzięczność, że gdyby tu był, wybaczyłaby mu ten okrutny plan z Thordis i uściskała.

— Jarl pragnie też przekazać, że walczy z gorączką i zrobi wszystko, by ją pokonać i przybyć na pogrzeb. Ale gdyby mu się to nie udało, przyśle godne zastępstwo i pożegnalne dary.

— Co to za gorączka? Czy coś mu grozi? — Pomyślała, że choć bywa nieprzewidywalny w swym okrucieństwie, to nie może go teraz stracić. Jest jej potrzebny jak nigdy wcześniej.

— Gorączka, po prostu gorączka. Nawet silnego mężczyznę może dopaść coś tak zwykłego. Prosił, byś się o nic nie martwiła, pani.

Stos ustawiono za ostatnim z wielkich królewskich kopców. Tu spłonie i tu usypią mu własny kurhan. Ostry wiosenny wiatr targał ich płaszczami, gdy orszak szedł ku miejscu, z którego jej pan mąż miał ruszyć w ostatni rejs. Przyciągnięcie tu jego łodzi wymagało wielkiego wysiłku i wiosenna rozpulchniona gleba była pełna głębokich ran po palach, na których przemieszczano łódź. Nie był to „Złoty Odyniec”, zbyt wielki, by przeciągnąć go z przystani, ale dobra i piękna smocza łódź.

Szła z rysiami na smyczy i Olofem, ale pilnowała się, by nie trzymać go za rękę.

„Będą patrzeć na nas, synku, i sprawdzać, czy ty jesteś dość silny, by zająć miejsce ojca, i czy ja podołam temu wyzwaniu. Dlatego nie możemy płakać ani okazywać słabości. Rozumiesz mnie?”. „Rozumiem, mamo” — odpowiedział. Widziała, że od dnia śmierci Erika zapadł się w sobie, wycofał w głąb. Rozumiała go jak nikt inny, była młodsza, gdy straciła słodką Dobrawę. I dlatego wiedziała, że najlżejszy objaw matczynej wrażliwości może przyprawić go o łzy. Dla jego dobra nie okazała mu czułości.

Korowód prowadził siwobrody Bork. Za nim szła ona i Olof, potem Wilkomir, Ulf i cała jej straż. Wodzowie męża i ich drużyny. Żony wodzów z dziećmi. Panowie ziem, wśród nich Rognvald z Birki i Thordis, jego córka. Chłopcy nie przybyli i może to lepiej; mieszkali teraz na odległej północy, użerając się z Finami. A dalej setki ludzi, których nie znała.

Otoczyli łódź. Zobaczyła konie, psy i sokoły trzymane przez sługi na uboczu. Zadrżała. Gdzie dziewczyna, którą wybrał Bork?

Siwobrody wystąpił i spytał:

— Kto poprowadzi sługi króla do łodzi?

Wiedziała, że to ma być jakaś kobieta, którą zwali Poławiaczką Cieni. Bork mówił jej, że jest tak stara, iż uczestniczyła w pogrzebie ojca i dziada Erika.

— Ja! — odezwał się skrzeczący głos.

Poznała jego brzmienie. Obejrzała się. Przed rozstępujący się tłum wyszła starowina, z którą spotkała się po śmierci Thory. Poczuła, jak w ustach wzbiera jej żółć. Mówiła, że nie para się magią! Że uzdrawia albo widzi przyszłość, a niech ją! Okłamała mnie!

Starucha była odziana w płaszcz z ptasich piór. Niektóre były tak stare, że wydawało się, iż pokrywa je pleśń. Karlica przeszła obok niej, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem, jakby nigdy wcześniej się nie spotkały. Ale to musiała być ona! Niemal łysa, różowa czaszka i przylegające do niej pasma siwożółtych włosów. Oczy wepchnięte głęboko. Wysunięta do przodu broda z kępkami starczych włosów.

Podsadzono ją na pomost zbudowany przy trapie łodzi. Miejsce obok niej, ale na ziemi, zajął mężczyzna z drewnianą pałką. Uniosła ramiona i zawyła:

— Psy króla mego będą przy jego boku szły na wieczne łowy!

Słudzy prowadzili psy. Te szczekały i nie chciały wejść na trap. Mężczyzna uderzał pałką tak szybko, że nie zdążyły zorientować się, co je czeka. Jeden po drugim padły na ziemię, ogłuszone. Słudzy wzięli psy na ręce i wnieśli na łódź.

— Na swych wierzchowcach pojedzie do Walhalli! — zawołała chrapliwie starucha i przyprowadzono konie.

Wielki kasztanowy ogier i kara klacz rżały i odwracały łby od łodzi. Sługa staruchy ogłuszył je wprawnie i po trapie wciągnięto je na pokład, a tam jednym pociągnięciem noża otworzył ich gardła.

— Sokołyyy! — wrzasnęła. — Sokoły śmigłe będą z królem polooować!

Ptakom po prostu ukręcono łby i położono u stóp martwego króla na statku.

Wspięła się na palce, by zobaczyć. Twarzy Erika nie było widać pod paradnym hełmem. Wystawała tylko jego długa, ciemna broda. Ta, która dotykała moich nagich piersi tak niedawno — pomyślała.

Ubrano go w pyszny, purpurowy kaftan, najlepszą kolczugę i bogato zdobiony płaszcz spięty zapinką w kształcie głowy odyńca. I w wysokie buty z dobrze natłuszczonej skóry, takie, w których wbiegał w wodę, nim wskoczył na łódź. W jego zimną dłoń włożono miecz, którym pokonał Styrbjorna i Svena. Przy pasie miał jeszcze długi nóż.

To nie jest mój mąż. To ciało, które opuściła dusza — pomyślała, choć wiedziała, że Erik nie wierzył w duszę, lecz ducha człowieka, który z niego uchodzi, by siąść przy Odynie w wielkiej halli jego złotego dworu i czekać na Ragnarök, bitwę u kresu dni.

— Jego nałożnica umili mu tę drogę! — zaskrzeczała starucha i wszyscy widzieli, że spojrzała w tej chwili na Świętosławę.

Przywiedziono dziewczynę. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Była śliczna swą młodością, niebieskimi oczami, jasnymi warkoczami, piersiami, które wypełniały suknię. Na jej szyi wisiał naszyjnik, który pewnie założyła dziś pierwszy raz. Nadgarstki dziewczyny zdobiły srebrne bransolety, proste, ale zbyt drogie jak dla niewolnicy czy służki.

Czy podawała nam kiedyś kielichy w czasie uczty? Czy tylko czyściła w kuchni naczynia? Bork mówił, że zgłosiła się sama. Czy naprawdę Erik wziął ją do łoża?

Była pijana, wiodły ją dwie inne służki, mocno trzymając pod ramionami. Jej palce raz po raz wędrowały, by dotknąć naszyjnika. Rysie zawarczały, gdy zatoczyła się zbyt blisko.

Wyczuwają jej strach — wiedziała Świętosława.

— Jak ci na imię, dziewczyno. — Zatrzymała ją, lekceważąc prychnięcie staruchy.

— Bolla — wymamrotała nieprzytomnie. — Zwą mnie Bolla, pani.

— Kto ci kazał towarzyszyć królowi? — spytała.

— Nikt, moja pani… ja sama… To wielki zaszczyt iść do Walhalli…

— Byłaś nałożnicą pana?

— Zawsze chciałam… — szepnęła zaczepnie. — A teraz to ja z nim będę, a nie ty, Harda Pani…

Służki pociągnęły ją ku starusze, a ta podała dziewczynie kielich z miodem.

— Bolla! — krzyknęła Świętosława. — Powtórzcie jej imię, by usłyszano je w Walhalli, nim przybędzie!

Bolla piła łapczywie, miód ściekał jej po brodzie. Świętosława czuła jej strach, rysie warczały, rwąc się na smyczy. Gdyby istniał jakiś sposób, by tę dziewkę zawrócić… Ale ona już stawiała chwiejne kroki na trapie. Patrzyli na nią wszyscy i to był jej dzień. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie zazna takiej chwili jak ta. Dusza Świętosławy wyła za Bollą bardziej niż za Erikiem. On podjął decyzję świadomie. Ona w przypływie jakiejś głupiej euforii.

— Nałożnica pana… — zaczęła starucha, a Świętosława przerwała jej, krzycząc:

— Bolla!

— Bolla, nałożnica pana, idzie z nim! — dokończyła starucha wściekle, a jej sługa od tyłu poderżnął dziewczynie gardło.

Upadła, zawleczono ją i położono u stóp Erika. Obok sokołów i psów. Świętosława wyrwała się o krok.

— Matko — szepnął jej syn. — Podarowałaś jej imię, to wystarczy.

Otrzeźwiała w jednej chwili. Olof. Ależ był mądry. Ukradkiem uścisnęła jego palce. Odsunął dłoń.

— Odyn zwołuje najmężniejszych na ucztę w Walhalli — zawyła starucha. — Ale popłynąć muszą na płomieniach fal! Kto wzburzy morze ognia pod statkiem, pyta król Erik?

— Jego syn! — zawołała Świętosława i lekko popchnęła Olofa. — Jego jedyny syn!

Zobaczyła chmurne oczy Thordis i Rognvalda po przeciwnej stronie stosu, ale nie odwróciła wzroku. Przybyli tu bez chłopców i to było jej szczęście, a ich błąd.

Och, Thordis — pomyślała — patrzysz na mnie z nienawiścią, a nie masz pojęcia, że gdyby nie ja, leżałabyś teraz z poderżniętym gardłem w nogach mego pana męża.

Olof wystąpił naprzód. Był opanowany, jego jasna buzia nie zdradzała lęku ani odrazy. Wyciągnął rękę z pochodnią i zanurzył ją w ogniu. A potem przytknął do stosu pod łodzią z taką mocą, jakby robił to całe życie. Wysuszone drewno szybko się zajęło. Olof odczekał, aż podściółka pod łodzią ojca zacznie się palić równo, i dopiero wtedy wrzucił pochodnię na pokład.

— Niech król Erik płynie w ostatni rejs i nie martwi się o królestwo! — krzyknął jej syn. — Żaden wróg nie zagrozi naszym ziemiom, bo czuwa nad nimi jego żona i syn! Ojcze, płyń! Dałeś mi życie, a ja zrobię z niego użytek! Płoń i płyń!

Wodzowie skandowali, lud krzyczał, drewno paliło się jasno. A z nim odchodził Erik Zwycięski, jej mąż. Ramię, w którym trzymał miecz, paliło

się równie mocno jak lędźwie. Broda pewnie spopieliła się pierwsza. Ta broda, którą łaskotał jej pierś. Zaciskała pięści ze złości.

Ach, mężu! — myślała. — Gdybyś nie był taki uparty, zawróciłbyś z tej drogi i dziś wieczór siedzielibyśmy przy ogniu w Sigtunie i pili z jednego kielicha miód. A po śmierci spotkali się w raju. Ale nie, ty wybrałeś swoich bogów, tak jak mężczyzna przedkłada towarzystwo druhów od kielicha nad towarzystwo żony. Postawiłeś na nich i odebrałeś sobie szansę zbawienia duszy. I dlatego nie spotkamy się po śmierci. Nigdy więcej, chyba że podarują mi ciebie sny.

Od płonącej łodzi bił żar, ale nikt się nie cofał, by nie uchybić zmarłemu. Nagle złamała się reja i runęła w dół w snopie iskier. Sługa staruchy pochwycił ją i zabrał z pomostu w ostatniej chwili. Gdyby nie to, pewnie poparzyłaby się dotkliwie. W tym samym momencie Świętosława poczuła wrzące dotknięcie na dłoni. Kropla roztopionej żywicy wtapiała jej się w skórę.

Eriku! — pomyślała gniewnie. — Poparzyłeś mnie! Byłeś dobrym mężem, choć upartym jak wszyscy diabli. Żałuję twej śmierci, ale w jednym się z tobą zgadzam: nie żałuję ani jednej chwili z tobą. Wybaczam ci futro polarnego niedźwiedzia, na którym mnie wziąłeś w pierwszą noc. Może to, co czułam do ciebie, nie było miłością, lecz to, co czuję teraz, jest stratą! Eriku, zostawiłeś mnie!

*

Uczty pogrzebowe to upiorny zwyczaj. Trwać muszą tak długo, póki goście nie poczują się syci. Pięćdziesiąt kwiczących wieprzków poszło pod nóż. Niezliczona ilość beczek piwa i miodu. Pomęczone ponad siły służki ledwie powłóczyły nogami, stawiając dzień za dniem na stołach wielkie misy jadła, a Świętosława przyglądała się twarzy każdej z nich, chcąc widzieć

w nich Bollę. Okrucieństwo zwyczaju odbierającego kobiecie prawo do życia, gdy umierał jej pan, było dla niej obmierzłe. „Gdzie są kopce ich żon?” — spytała Mieszka przed laty, gdy zaprowadził ich oboje na kurhany przodków. „Poszły na pogrzebowy stos razem ze swymi mężami” — odpowiedział ojciec i wtedy była na niego zła, a dzisiaj oddawała mu hołd, że miał siłę i przerwał ten zbrodniczy krąg.

Siedziała na wysokim krześle w Uppsali, obok niej jej syn i Bork, u ich stóp dwa rysie. A w wielkiej halli dzień w dzień przez dziesięć dni piła setka wodzów jej męża. Thordis z ojcem wyjechali po pierwszej uczcie.

— To nie uchybia zwyczajom — wyjaśnił jej Bork.

Skinęła głową. Nawet gdyby pili jej miód i jedli z nią z jednego talerza, nie mogłaby im zaufać.

— Nieufność to tylko dalej posunięta ostrożność — powiedział stary Bork i była mu wdzięczna za te słowa.

Potem na jej prośbę opowiedział o Yggdrasilu, wielkim jesionie wyrzeźbionym na drzwiach dworu w Sigtunie. Miała zapytać o to drzewo Thorę, ale nie zdążyła. Umierają nie ci, których śmierci się spodziewamy — pomyślała. Rana po gorącej żywicy zabliźniała się wolno.

Wreszcie, po dwunastu dniach, dobiegły końca niezliczone uczty, gdy oczekiwano od niej, że będzie pić, wspominać męża i dbać o gości. I gdy ostatni z nich opuścili dwór w Uppsali, zdała sobie sprawę, że przetrwała ten koszmar tylko dzięki towarzystwu Borka. Siwobrody swą obecnością przy niej zrobił znacznie więcej: pokazał poddanym, że jej sprzyja. A jeśli on, to i Odyn. Ten, który wbił nóż w pierś jej męża, pierwszy podał jej rękę i pierwszy krzyknął: „To wasza królowa i wasz młody król!”.

Niezbadane są wyroki boskie — pomyślała, żegnając się z ofiarnikiem Odyna, i z ulgą wyjechała spomiędzy kopców. Przypomniały jej się słowa Birgera sprzed lat: „Patrz na nie i myśl, że to zielone wzgórza, nie myśl

o tym, że kryją spopielałe truchła królów”. Nieprawda, teraz myśli wyłącznie o tym. Kopiec Erika wciąż jeszcze sypią, ale gdy przybędzie tu jesienią, to w ostatnim ze wzgórz będzie szukała brodatej twarzy męża.

Wyjeżdżała z Sigtuny wiosną, miała być Wielkanoc, pisanki, czytanie Pisma Świętego w „szopie na łodzie”, a wiadomo, co było. Wróciła w pełni lata i pierwsze, co poczuła, wjeżdżając przy dźwięku rogów na podwórzec królewskiego dworu, to że jest u siebie. Rysie były podobnego zdania. Zaczęły od poszczucia psów, potem z radością pogoniły kury, a Wrzask próbował ugryźć spore, ubłocone prosię. Jej służki wybiegły ze dworu z radosnym piskiem i dopiero po chwili przypomniało im się, że witają królową wdowę, więc zamknęły się i pochyliły w ukłonie. Helga z rumieńcem na policzkach witała Wilkomira. Gerda, jedna z córek zarządcy dworu, spłoniła się, widząc pokryte bliznami oblicze Wielkiego Ulfa. Tak — pomyślała Świętosława — jesteśmy w domu!

— Pani! — powitała ją gospodyni. — Wyprawimy dziś wieczór ucztę na twą cześć!

Tylko nie ucztę! — pomyślała, zeskakując z konia. A potem zaśmiała się i powiedziała:

— Tak, wyprawmy ucztę! Wilkomirze, złap rysie. Albo nie, niech upolują coś na wieczerzę! Wrócił mi apetyt!

Ledwie weszła do dworu, przypadł do niej Ion.

— Nie poczytałeś mi Pisma, mnichu! — zawołała do niego wesoło. — Odrobimy tę lekcję. Potrzebuję zmyć z siebie widmo śmierci i ciężkie obrzędy Odyna.

— Muszę z tobą pomówić, moja pani — odpowiedział i jego oczy niepewnie zerknęły na boki. — Pewnie zapomniałaś o tym… Muszę ci coś powiedzieć, nim…

W tej samej chwili z podwórca znów zagrały powitalne rogi. Zaśmiała się.

— Ionie, Ionie! Chyba znów nie dane nam pomówić… Muszę wyjść, powitać gości.

— Pani! — Pulchna dłoń złapała ją za ramię. — Znajdź dla mnie pierwszą wolną chwilę, gdy będziemy naprawdę sami. I proszę cię, bądź czujna wobec Birgera, bo jarl…

— Królowo Sigrido! — Birger wbiegł do halli, zdejmując skórzane rękawice.

Ion wycofał się niemal błyskawicznie.

— Pani, przybiegłem prosto z drogi, by cię pozdrowić i… — Stanął przed nią niemal zawstydzony. Jakby przez chwilę zabrakło mu słów.

— Dokonało się — powiedziała. — Najpierw żałowałam, że cię nie posłuchałam i wcześniej nie pomówiłam z mężem, ale tam, w Uppsali, zrozumiałam, że to nic nie dało. Moje prośby nie miały żadnego znaczenia. Dużo rozmawiałam z Borkiem… Czyś myślał kiedy, jarlu, że ofiara Odyna, to wiszenie dziewięć dni i nocy głową w dół na drzewie, w jakimś sensie przypomina ofiarę Chrystusa?

— Tak, pani — powiedział w roztargnieniu. — Myślałem o tym często. I mam nadzieję, że pomówimy o tym nie raz. — Jego siwe oczy były niespokojne. — Tyle mamy do omówienia, moja pani.

— Zapraszam cię na ucztę dziś wieczór! Wypijemy puchar wspomnień za Erika, choć przyznam, że wypiłam ich tyle, że na samą myśl o miodzie boli mnie głowa i brzuch. — Roześmiała się. — Ale ludziom tu, w Sigtunie, należy się wspomnienie króla. I pomówimy o wszystkim, co nas interesuje.

— Sigrida Storråda! Sigrida Storråda! — wołali jej ludzie, gdy wstępowała na podwyższenie i wznosiła toast.

Tak, Sigtuna to był jej dwór i jej ludzie. Tu nie potrzebowała siły i powagi Borka, by kogoś przekonać do siebie. Każdy z obecnych w tej halli był jej poddanym. Jej i Olofa.

— Młody król! Młody król! Olof Eriksson!

Minęło tyle dni od śmierci, że mogli już śmiać się i bawić.

— Usłużę ci, pani. — Birger chciał napełnić jej kielich.

— Nie chcę miodu, dość go wypiłam w Uppsali. Z chęcią napiję się wody.

— Jak sobie życzysz, królowo! — Przywołał służkę i wziął od niej dzban źródlanej wody. — A nasz młody król? Czego się napije?

— Miodu — powiedział Olof i zarumienił się, patrząc na matkę.

Birger napełnił jego kielich, a ona wychyliła się ku niemu i powiedziała z uśmiechem:

— Ćwicz głowę, synu! Pierwszą naukę odebrałeś w Uppsali! Król musi przepić wszystkich swych możnych!

Skinął jej głową, trochę speszony, trochę rozbawiony. Pomyślała, że musi znaleźć dla niego czas, i to szybko. Wszystko, co się zdarzyło, odbiło się jak pieczęć na jego młodym życiu.

— Niedługo noc ogni — powiedział Birger, gdy uczta nabrała rumieńców. — Noc letniego przesilenia.

— Oj, Birgerze! Zaczynam wątpić w twój chrzest. — Uderzyła go łagodnie w ramię. — Jutro Zesłanie Ducha Świętego!

— Pentekoste! — zawołał bełkotliwie Ion, wtaczając się między nich. — Dzień Pięćdziesiątnicy Zmartwychwstania Pańskiego! Uuu… — Rozłożył ramiona szeroko jak dzieciak, co się bawi w ptaka, i zawył, kręcąc się w kółko: — I nagleee dał się słyszeć szuuum z niebaaa! Uuukazały się też jakby języki z ognia i naaa każdyyym z nich spoooczął jeden!

— Uważaj! — krzyknął Olof, bo Ion niechcący wytrącił mu z ręki kielich.

— Ionie! — Świętosława się zaśmiała. — Jesteś pijany!

— Ci ludzie nie są pijani, jak przypuszczacie, gdyż zbliża się dopiero trzecia godzina dnia! — zachichotał Ion. — Ale spełnia się przepowiednia proroka Joela: w ostatnich dniach wyleję Ducha mojego na wasze ciało i będą prorokowali synowie wasi i córki wasze! — To mówiąc, przystawił palec do głowy jarla.

— Oszalałeś, mnichu? — burknął Birger.

— Nie, panie! Moja królowa chciała, bym czytał dla niej Pismo, więc czytam z liter ułożonych w mej głowie. Dzieje Apostolskie, słodka pani!

— Zalewane miodem, mnichu! Przynieś nowy kielich dla młodego króla, a może da ci rozgrzeszenie!

Ion niezgrabnie zeskoczył z podwyższenia, wywołując śmiech ucztujących, ale po chwili wrócił z dzbanem miodu i stanął przy Olofie.

— Będę twoim podczaszym! Dobra nasza pani, czy wiesz, że cesarzowa Teofano miała trzech podczaszych, a każdy z nich musiał próbować wina, nim je cesarzowej podano? Ach, jakże to chwalebny zwyczaj… Jakże chciałby być podczaszym swego króla skromny benedyktyn…

— Ty pijaku! — Świętosława śmiała się pełną piersią. — Opowiedz mi jeszcze o Teofano!

— Cesarzowa przywiozła na dwór saski widelec i za to ją znienawidzono w Rzeszy! Widelec, czyli maleńkie, srebrne widełki, na które nabijała mięso, by brać je z talerza wprost do ust, a nie dotykać palcami. I oczywiście kazała wyznaczonemu słudze próbować każdej z potraw.

— Bała się trucizny? — spytał Birger.

— Tak, mój panie! Ale jej nikt nigdy nie próbował otruć! A ja, skromny benedyktyn, dałbym wiele, by móc próbować tych wykwintnych pasztetów

i pieczeni, nawet z narażeniem życia.

— Żarłok! — Świętosława pstryknęła palcami na służkę, która przechodziła z pełną misą.

— Tak! Żarłok boży, pani. — Ion wykrzywił się komicznie. — W imię Boże zjem krwawą kiszkę i ten udziec chrupiąco przypieczony i będę chwalił Pana dobrego…

— Błazen. — Birger wzruszył ramionami.

— Bądź moim podczaszym, Ionie — powiedział z uśmiechem Olof. — Jeśli cię to uszczęśliwi…

— To zależy, co będziemy pili, mój panie — westchnął Ion. — Jeśli pozwolisz, przytargałem tu garniec miodu, nad którym odprawiłem modły. Litanię do Bożej Szczodrobliwości! Czekaj na mnie, królu, już pędzę!…

Ion chcąc nie chcąc rozpętał dziką, pijacką zabawę, w której każdy z gości próbował miodu sąsiada z lewej i prawej. Świętosława bawiła się, patrząc, jak weselą się jej poddani. Aż do chwili, gdy Birger odezwał się szeptem:

— Chłopcy też ci nie zagrożą. Pojechałem na północ i dopilnowałem wszystkiego. Jeden utonął w rzece, a drugi spadł podczas nieostrożnej wspinaczki na skały.

— O czym ty mówisz? — zapytała bezgłośnie. Miała wrażenie, że krew ścięło jej w żyłach.

— O bękartach, bliźniakach, pani. Thordis i jej ojciec nic nie znaczą bez tych dzieci poczętych z nasienia Erika. A teraz nie ma żadnych dzieci między tobą a tronem. — Jego głos złagodniał, stał się niemal czuły. — Mówiłem ci, że możesz na mnie polegać, pani.

„Uważaj na jarla” — dudnił w niej głos Iona sprzed uczty. Nie odwracała głowy. Trwała nieporuszona, myśląc, co powinna teraz zrobić.

— Oddałem ci przysługę, moja pani — wyszeptał. — Tylko ja byłem do tego zdolny, nikt inny.

— Nie kazałam ci zabijać — powiedziała. — Te dzieci były bez winy.

— Nie musisz wydawać rozkazu. Takie prawo królowej, by spełniały się jej niewypowiedziane myśli.

— Ionie! — zawołała. — Czy podczaszy króla napełni miodem kielich królowej?

— Z rozkoszą, pani! — Podreptał ku niej spocony i pulchny. — W Kanie Galilejskiej nasz słodki Pan całą kadź wody zamienił w wino, więc ja, twój korny poddany…

— Thorvaldzie! Proszę o *Pieśń Najwyższego*! Od pierwszej do ostatniej zwrotki. Głośno i gromko — zawołała islandzkiego skalda, tego, który zdobył nagrodę za pieśń o zwycięstwie na polach Fyrisvellir.

Wyjścia wszystkie, zanim się wejdzie,
trzeba obejrzeć, trzeba zbadać…

Goście zaczęli tupać, uderzać łyżkami w stół i skandować:

Trzeba obejrzeć, trzeba zbadać…

Zapanował nieopisany zgiełk. Skald panował nad nim głosem:

Bo nie wiadomo, gdzie w czasie uczty
zajęli miejsce wrogowie!

Ion przeszedł na jej drugą, wolną od Birgera stronę.

— Oto słodki miód dla słodkiej pani — gadał w kółko.

— Mów szybko — szepnęła do niego.

— Miód, który chciał polać Olofowi, był zatruty. Zgładził bękarty i swą własną żonę. Toruje sobie drogę do ciebie i korony.

— Mój dobry mnichu! — krzyknęła głośno, choć jej ciałem wstrząsały dreszcze. — Jeśli ten miód nie jest mocny, oddam cię pod opiekę moich rysiów!

— Czy w alkowie mego męża nic nie ruszono? — cicho spytała Iona.

— Nic.

Śmiech gości zagłuszał ich rozmowę.

— Pijmy! Pijmy na chwałę dni przeszłych i dni przyszłych! O toast wierności prosi was królowa! — zawołała, wstając z krzesła i przerywając na chwilę *Pieśń*.

Wstał i jarl Birger. Szepnęła do niego, nie odwracając się:

— Spotkajmy się w alkowie Erika za chwilę. Chcę ci podziękować za troskę.

Oczy Birgera zalśniły stalowym blaskiem, usta rozchyliły się jak do pocałunku.

Rozum potrzebny temu, przed którym podróż daleka.

W domu wszystko wydaje się łatwe.

Musiała wychylić dwa kielichy. Pierwszy uspokoił jej myśli, drugi opanował drżenie ramion. Potem wymknęła się, jakby chciała iść za potrzebą. Dusza za nią. Wbiegły do pustej łożnicy króla. W pierwszej chwili aż ją zatkało. Poczuła woń ich ostatniej nocy, nocy miłości. Ale nie czas był na czułość. Dość kielichów wspomnień wypiła. Zerknęła na ścianę nad wezgłowiem i podała Duszy nóż, który ukradkiem schowała do rękawa, opuszczając ucztę.

— Skryj się pod łoże — pokazała jej i w tej samej chwili usłyszała mruczenie. Rysie. Przybiegły za nimi.

— Zgrzyt, Wrzask — rozkazała — schowajcie się z Duszą.

Drzwi alkowy skrzypnęły. Wpadł przez nie snop światła i ryk z halli:

Ogień potrzebny temu, kto przyszedł z daleka.

Gościu, u paleniska siądź!

Siądź! Siądź! Siądź!

— Jesteś — udała czułość. — Zamknij drzwi. Nie chcę, by ktoś cię zobaczył.

Zrobił, co kazała. W mroku słyszała, jak idzie ku niej.

— Birgerze, przedstaw mi swoje zasługi — powiedziała i dodała w myślach: wyznaj winy.

Położył dłoń na jej ramieniu.

— Usunąłem każde nieślubne dziecko Erika. Te dwie córki, ich matki na wszelki wypadek i chłopców, jego synów. Żałuję, że nie zgodziłaś się, by na stos poszła Thordis, ale rozumiem, że bałaś się ryzyka…

Niczego się nie boję prócz ciebie — pomyślała.

— Co dalej? — spytała, dbając, by jej głos brzmiał miękko.

— No cóż, moja pani… — Szept Birgera był bliski, niemal wrzący. — Oboje owdowieliśmy, jesteśmy wolni… Ja jako pierwszy z wodzów Erika mam we władzy jego armię… Będę dobrym mężem i będę cię kochał tak, jak jeszcze tego nie zaznałaś…

— Ach tak — jęknęła. — Zatem czemu czekać? Rozbierz się i pójdźmy do łoża. Niech to będzie nasza umowa przedślubna. Jesteśmy w tym doświadczeni, prawda? Ty mnie brałeś w imieniu pana męża.

Birger zrzucił pas i kaftan, szamotał się z butami i spodniami. Słyszała jego przyspieszony oddech. Żeby rysie nie warknęły — pomyślała z trwogą; ale one nieraz towarzyszyły jej nocnym zmaganiom z Erikiem i nigdy nie robiło to na nich wrażenia.

— Powiedz, że już wtedy w Poznaniu wymyśliłeś to wszystko tak starannie — szeptała. — Że czekałeś tylko sposobnej chwili…

— Tak, moja miła… — Wyprostował się i stanął przed nią zupełnie nagi.

Wiedziała, że w mroku nie widzi jej twarzy, i to dodawało jej odwagi. Wyczytałby z niej tylko wstręt.

— Połóż się. Pokażę ci, jak królowa okazuje wdzięczność — powiedziała i pchnęła go lekko na łoże.

Widziała tylko smugę jego ciała w wąskiej strużce światła wpadającego przez dymnik. Zaległ i wyciągnął ku niej ramiona. Zrzuciła z nich płaszcz, weszła na łoże i stanęła nad nim.

Zrobiła krok w przód. Birger złapał ją za kostki nóg. Przesunął dłonie wyżej, na łydki. Wiedziała, że to już i że nie może się zawahać ani na chwilę. Zerwała ze ściany nad wezgłowiem łoża swój ślubny dar dla Erika. Miecz Mieszka, piorunową stal. I z całych sił wbiła w pierś Birgera. Zawył i w tej samej chwili spod łoża wyskoczyły z warkotem Wrzask i Zgrzyt. Ona wciąż trzymała rękojeść miecza. Birger pociągnął ją za nogi i upadła na niego, całym swym ciężarem opierając się o miecz. Wbił się głębiej. Z ust jarla chlusnęła krew. Konał. Dwa rysie obwąchiwały go, jeżąc sierść.

— Byłeś jedynym przyjacielem, jakiego miałam w tym kraju. Jedynym chrześcijaninem — wyrzucała z siebie słowa. — I ty pierwszy mnie zdradziłeś, jarlu Birgerze. Niech cię piekło pochłonie! Niech cię porwą szatańscy aniołowie! — Z jej oczu popłynęły łzy.

Zgrzyt polizał posokę płynącą z piersi jarla i wstrząsnął łbem. Zeskoczyła z łoża.

— Dusza! — zwołała na służkę. — Rozerwij mi na piersiach suknię!

Przez chwilę nie dłuższą niż uderzenie serca patrzyły sobie w oczy. Ona i Dusza. A potem pchnęła drzwi alkowy i wypuściła przodem rysie. Thorvald nie recytował, wył:

Niemądry myśli, że żyć będzie wiecznie,
gdy się przed bojem ustrzeżeee…

Z halli buchnęło gorącem palenisk, odorem piwa, miodu, wieprzowego tłuszczu. Ona w nozdrzach miała woń krwi Birgera. Stanęła w progu halli, w podartej sukni, z mieczem Mieszka w ręku i zawołała:

— Ucztujecie, a waszą królową w tym czasie chciał sponiewierać jarl Birger! — Jej głos z trudem przebijał się przez gwar uczty.

— Pijany byłem, jak bydlę pijany — wykrzykiwał swój ulubiony wers Wielki Ulf.

Pierwszy zobaczył ją Olof. Zerwał się z krzesła. Skald zamilkł. Szła ku nim wolno.

— W noc pamięci króla! W jego łożnicy nastawał na mą cześć!… Jarl Birger…

Zrywali się z miejsc w pijanym widzie. Helga usiłowała dobudzić Wilkomira śpiącego na ławie. Wielki Ulf już biegł ku niej, potykając się o leżących. Część skoczyła do alkowy Erika, po drodze zrywając ze ściany pasy z bronią. Inni ruszyli do niej. Patrzyli na jej rozdarte suknie. Na wyłaniające się spod jedwabiu nagie piersi. Na krew i miecz.

Ciało Birgera rozsiekli na części, wyładowując na obnażonych zwłokach swój gniew i pijackie poczucie winy. Olof próbował zapanować nad chaosem. Ion osłonił ją swoim płaszczem. Weszła na podwyższenie, zasłaniając nagość, ale wciąż trzymając w ręku zwrócony do dołu miecz.

— Skaldzie, ucisz ludzi — zawołała.

Thorvald próbował przebić się przez gorączkowy, pijacki zgiełk, bezskutecznie. Nikt nie zapanuje nad setką pijanych wikingów. Jedyne, co udało się skaldowi, to krzyknąć:

— Nasza pani! Sigrida Storråda!

Ten okrzyk podchwycili, zamieniając go w skandowanie:

— Har-da Pa-ni! Har-da Pa-ni! Har-da Pa-ni!

Wiedziała, że w każdej chwili na nowo może wybuchnąć ogień. Ludzie nie odłożyli broni, mieli ją w rękach, brudną od ciała, które posiekali. Bała się. W tej chwili bała się najbardziej. Po raz pierwszy w życiu sparaliżował ją lęk. Ale była królową i nie mogła się bać. Wyciągnęła przed siebie miecz i krzyknęła:

— Będę was bronić tak, jak obroniłam siebie! A wy? Czy będziecie bronić mnie?

Przestali skandować, zamilkli. I podchodzili do niej jeden po drugim. I całowali miecz, na którym była krew. Patrząc na nich tej nocy, pomyślała, że część z tych ludzi widzi w niej własną córkę, a część kobietę, która budzi ich pożądanie. I właśnie z tego powodu staną między nią a każdym, kto będzie próbował ją posiąść.

Siedziała z Ionem w kaplicy. Nie było tam nic prócz drewnianego krzyża na ścianie. Erik wprawdzie przywiózł z Danii srebrny krucyfiks i kielichy mszalne, lecz nie zgodziła się ich przyjąć, gdy dowiedziała się, jak je zdobył.

— Masz rację, mnichu. To tylko szopa na łodzie. — Pokiwała głową smutno.

Przychodziła się tu modlić w żalu, jaki odczuwała po zabójstwie Birgera. Nie chciała, by ktokolwiek patrzył na jej wyrzuty sumienia, skoro uwielbiano ją za ich brak.

— Czy Bóg mi to wybaczy, mnichu?

— Jestem tak samo winny jak ty. Powinienem był pojechać za tobą do Uppsali i powiedzieć, czego się domyślam.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Wzruszył ramionami. Nie wyglądał na specjalnie skruszonego.

— Podejrzewałem Birgera o spowodowanie śmierci żony. Po prostu widziałem go tamtej nocy idącego ku przystani. Czy to dowód? Nie. To

tylko podejrzenie. A wiesz, pani, co powiedział Jezus: „Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem”. No i nie rzuciłem.

— Na czym polega twoja wina, Ionie?

Pociągnął nosem i zakręcił młynka palcami.

— Na tym, że pomyślałem, iż Birger jest jak ja. Też czasem wymykam się nocą. Zrzucam habit, przebieram się i szukam szczęścia w gospodzie. Męska słabość.

Westchnęła. Dlaczego jeszcze niedawno wydawało jej się, że świat jest inny?

— Kiedy przejrzałeś plan Birgera? — spytała. — Gdy zabił dziewczyny?

— Nie. Dopiero gdy zaproponował, by Thordis poszła na stos. I kiedy zamiast na pogrzeb do Uppsali, wyjechał na północ. A przed wyjazdem rozmawiał ze mną i spytał mimochodem, czy mogę udzielać ślubów. Powiedziałem mu: „Człowieku, nie mogę, ale jeśli chcesz pojąć jakąś piękność za żonę, to zrób to, jak robiłeś wcześniej. Wykup ją od ojca i przygotuj piękny poranny dar”. Z tonu, w jakim mi odpowiedział, zrozumiałem, że miał na myśli wielką uroczystość i wielką panią. A u nas nie ma innej ochrzczonej wielkiej pani niż ty. — Ion pociągnął nosem, ale nie wytarł go w rękaw. Wyciągnął chustkę i zasmarkał w nią gromko. — A potem, gdy wrócił i powiedział, że zabił tych chłopców, wszystko ułożyło mi się w głowie. Lecz aż do uczty nie przypuszczałem, że będzie chciał usunąć też Olofa. Sądziłem raczej, że chce zaślubić ciebie i rządzić w imieniu małoletniego. Wiesz, pani — w głosie Iona zabrzmiała niemal dziecinna pretensja — ja go chyba nie podejrzewałem o taką perfidię!

— Ja też. Myślałam, że jako chrześcijanin stoi ponad okrutnymi prawami…

— Oboje popełniliśmy błąd. Ach, z niego taki był chrześcijanin jak ze mnie pustelnik!

— A ten miód? — dopytała Świętosława.

— Nie wiem, czy był zatruty, a jeśli tak, nie mam pojęcia czym. Ale to był dzban, z którym Birger przyszedł na ucztę i z którego nalał tylko Olofowi.

— Ja poprosiłam o wodę. — Znów poczuła się winna.

— A on nalał ją i tobie, i sobie. Jak to zobaczyłem, wolałem udać pijanego głupka, niż ryzykować życie Olofa.

— Dziękuję ci, Ionie. — Złapała jego jasne, pulchne dłonie. — Dziękuję ci.

Speszył się, cofnął rękę.

— Jakby co, to na Sądzie Ostatecznym bierzemy winę za Birgera na pół. Ja powiem: królowa trzymała miecz, ale to ja wskazałem, w kogo wbić. Ach, pani! Najwyżej smażyć się w piekle będziemy razem.

— Marna pociecha — mruknęła. — Chcę iść do nieba, spotkać matkę, ojca…

— No, Erika się tam nie spodziewaj! — Pogroził jej palcem. — Ale Olofa trzeba porządnie ochrzcić, zawsze to ktoś z rodziny. Wstawi się za tobą u świętego Piotra, a ty potem, królowo, wstawisz się za mną. Przecież chłopiec wie, że zrobiliśmy to dla niego.

— Ja mu nie mówiłam.

— Nie? — Ion się zakłopotał. — A dlaczego?

— Nie chciałam, by czuł lęk, że ktoś nastawał na jego życie.

— O nie, moja pani! Tak to syna nie wychowasz. Musi wiedzieć nie po to, by się bać, ale po to, by rozumieć, że królowanie to ryzykowna rzecz. No i powinien czuć wdzięczność, że ocaliliśmy mu życie.

— Kiepsko się znasz na wychowaniu dzieci, mnichu, więc nie udzielaj mi rad.

— Żadnych? — obraził się.

— Ach, przestań! Na drugi raz nie pozwól się zbyć, gdy to, co masz do powiedzenia, nie cierpi zwłoki.

— Gdyby mnie królowa ciągle nie straszyła rysiami, byłbym śmielszy! No, to powiem od razu, póki tych krwiopijców z nami nie ma: Birger był pierwszy, ale nie ostatni.

Świętosława się poruszyła.

— Co masz na myśli?

— Zalotników, pani. Królowa wdowa to łakomy kąsek. Bądź pewna, że niedługo zaroi się od nich w Sigtunie. Każdy jeden będzie się czuł godny twego królestwa i ręki. O, niejeden nazwie się „królem”, choć jego „królestwo” to pięć zasranych przez mewy kamieni. Kogoś trzeba będzie wybrać. Gdyby nie było to bluźnierstwem, rzekłbym: „szkoda, że nie ma z nami Birgera, ten to jednak umiał dobrze radzić”.

— Przestań! — Zerwała się z ławki. — Jesteśmy…

— W szopie na łodzie. — Rozciągnął w uśmiechu pulchne policzki. — Widzisz, pani, wszystko jest względne. W intencji to kaplica, ale na niepoświęconej ziemi jej wartość nie przedstawia się okazale. Tak samo będzie z twymi zalotnikami: ten, co najgłośniej będzie wychwalał swe zalety, pewnie miał ich będzie najmniej. Rzecz w cierpliwości, bo gdy ci jej starczy, odsiejesz ziarno od plew.

— Cierpliwości? — spytała, kierując się do wyjścia. — A skąd ja niby mam ją wziąć?

Ion się nie mylił. W Sigtunie zaroiło się od zalotników. Przybywali jeden po drugim.

Stuf ze Skanii był młodzieńcem, który zamiast brody miał pojedyncze, ciemne włoski nad górną wargą. Osvald z Blekinge był chudym mężczyzną z bielmem na lewym oku. Kolfinn z Dalarny mógł być od niej trzy razy starszy i w dodatku utykał. Przyjęła ich kolejno dość uprzejmie i odprawiła,

jak jej się zdawało, grzecznie. Choć Kolfinna z pewnością uraził Wielki Ulf, gdy na koniec audiencji go spytał: „Odprowadzić cię, dziadku?”.

— Ach, Duszko! — jęknęła któregoś dnia wieczorem. — Czy naprawdę ze mną tak źle, że o moją rękę starają się starcy, kaleki i dzieci? Dusza, przytul mnie i pogłaszcz, bo zwariuję!

Ten czuły gest, jaki zrobiła na jej prośbę Dusza, obudził w niej tęsknotę za miłością. Była wolna i mogłaby teraz wyjść, za kogo zechce, ale ten, którego wciąż pragnęła, był gdzieś w Anglii, gdzieś daleko, poza jej zasięgiem.

— Czy powinnam wysłać mu wiadomość, że zostałam wdową? — wyszeptała pod ramię tulącej ją do siebie Duszy.

Nie! — odpowiedziała sobie w duchu. — Skoro o śmierci Erika dowiedział się taki młokos jak Stuf ze Skanii i taki dziad jak Kolfinn z Dalarny, to dlaczego ma nie dowiedzieć się Olav? Jeśli jeszcze coś dla niego znaczę, dowie się. A jeśli nie…

Noc po takim wyznaniu była bezsenna. Rzucała się na łożu jak w gorączce. Dusza podawała jej gorący napar z lipy i miodu, ale zamiast pomóc, tylko wzmagał jej niepokój. Gdy żył Erik, tłumiła w sobie każde dziewczęce wspomnienie. Potem nazywając syna „Olofem”, w kółko wymawiała jego imię, jakby był przy niej. Gdy dostała od niego rysie, w ich miękkich futrach kryła westchnienia i porywy tęsknoty. Ostatnie miesiące sprawiły, że nie myślała o nim niemal wcale. Najpierw był szczery ból po śmierci Erika, mocno podszyty niepewnością o ich los na tronie. Potem koszmarna rozprawa z Birgerem, który, choć pozwolił sobie na zbyt wiele, jednak swym okrutnym czynem przysłużył się jej władzy. Nikt nie łączył śmierci dziewcząt i chłopców z jej imieniem, ale i nikt nie występował o prawa do tronu. Dopiero teraz, gdy zaczął pełznąć ku niej

korowód zalotników, pomyślała, że to pochód paskudnych kreatur, podczas gdy tam, gdzieś w świecie, żył piękny i silny On.

Wrzask pierwszy wskoczył jej do łoża i mrucząc, zbliżył do niej pysk. Zielone oczy rysia pulsowały. Zgrzyt, większy od brata, położył łeb na jej łonie. Jego złote oczy wydawały się rozszerzać i kurczyć. Wpiła się dłońmi w ich sierść. Płakała w nią. Powinna być szczęśliwa. Czyż nie tego chciała? Królowa wdowa, pani samej siebie. Królowa nie powinna być kobietą — pomyślała.

— Vissivald, pan z Gardarike, i Harald, pan z Opplandu! — Do halli wprowadzono kolejnych gości.

Ci przynajmniej nie są ani za młodzi, ani za starzy — pomyślała umęczona bezsenną nocą Świętosława.

— Czy zamierzacie we dwóch zostać mymi mężami? — powitała ich, siląc się na wesołość.

— Nie, królowo! — odezwał się ten z Rusi. — Spotkaliśmy się w drodze do ciebie i uznaliśmy, że przybędziemy jednocześnie. Może zechcesz porównać nasze siły w pojedynku albo w zapasach, albo każesz nam zagrać w mannjafndr i zobaczysz, który lepszy!

— Albo pozwolisz nam zagrać w hnefatafl i rozstrzygniemy na twych oczach pojedynek na piony!

— Albo każę wam tańczyć i recytować. — Machnęła dłonią znudzona. — Vissivaldzie, czy twoje imię nie brzmi Wsiewołod?

— Tak mówią na Rusi — potwierdził.

— Nie chcesz powiedzieć, że władasz księstwem kijowskim? — Ze wszech sił zachowywała powagę.

— Całym nie, pani, ale ono jest ogromne. Jestem synem kniazia Valdemara.

— Księcia Wladimira — poprawiła go i westchnęła. — Mój Boże! Którym synem? Bo ja pamiętam przynajmniej piętnastu, choć nie chciej, bym znała imię każdego z nich. I pamiętam co najmniej pięć żon księcia, choć, jak mówią kupcy, odkąd poślubił cesarzównę grecką i przyjął chrzest, trzyma się jednej żony. Zatem, Wsiewołodzie, którym jesteś synem?

Gość się zaczerwienił. Był przystojnym mężczyzną, choć jak na jej gust zbyt tęgim. Miał ciemnokasztanowe, długie włosy i równo przyciętą brodę. Ubrany bogato, ale krzykliwie. Buty z barwionej na czerwono skóry wydały jej się co najmniej przesadne. I po co komu trzy pasy?

— Jestem synem pozamałżeńskim — powiedział. — Moja matka nie została żoną kniazia, a potem, jak słusznie zauważyłaś, królowo, po ślubie z cesarzówną mój ojciec już nie brał innych żon.

— A konkubin zaniechał? — roześmiała się. — Widzisz, Wsiewołodzie, uznanych synów twój ojciec kniaź ma kilkunastu. Bękarcich pewnie dwakroć tyle, a każdy będzie się czuł pretendentem do tronu!

— Ruś wielka — powiedział Wsiewołod.

— To tam szukaj szczęścia! — poradziła mu i zwróciła się do drugiego z zalotników. — A ty, Haraldzie? Gdzie leżą twoje ziemie?

— Na północy graniczą z Trondelagiem — odpowiedział niewysoki, ciemnowłosy mężczyzna o twarzy pospolitego zbira, którą osłodzić miał wiszący na piersi kunsztowny i gruby srebrny łańcuch.

— Czyli z dzielnicą jarla Hakona z Lade, tak? — Dobrze pamiętała synów norweskiego jarla, dwóch młodzieńców o imionach Erik i Sven, którzy prosili jej męża o pomoc w konflikcie z ojcem. I pamiętała, że to ów jarl będzie głównym konkurentem Olava, gdy Tryggvason postanowi sięgnąć po tron.

— Tak, piękna pani, choć to już nie jest dzielnica Hakona, bo stary jarl nie żyje.

Poczuła swędzenie w czubkach palców. Wrzask warknął. Cicho, kocie! — Poklepała go po łbie.

— Nie żyje, powiadasz? A co mu się stało?

— Niewolnik go zarżnął, pani. Niegodny to koniec wielkiego wodza.

Czy Olav już o tym wie? — pomyślała gorączkowo. — Czy płynie, by objąć tron? Czy może miejsce Hakona już zajęli jego synowie?

— To niezachęcająca wizja, Haraldzie — powiedziała spokojnie. — Zostać żoną człowieka, w którego kraju niewolni mordują wielkich panów.

— To nie u mnie! — ostro rzucił Harald. — To w Lade!

— Dość blisko — oceniła Świętosława. — Jesteś tylko panem jednej z ziem, a ja jestem królową. Dlaczego ci się zdaje, żeś godny mej ręki?

— Jesteś piękna, pani — powiedział.

— Miałeś mówić o swoich zasługach, a mówisz o moich.

Zgromadzeni w halli goście zarechotali. Najgłośniej Wielki Ulf.

— Piękne kobiety nie powinny być same… — wystękał zbity z tropu zalotnik. — Mógłbym ci zapewnić bezpieczeństwo.

— Ależ ja się o to nie lękam, Haraldzie! Jak rozumiem — zwróciła się do swoich ludzi — moi goście mają więcej do zaoferowania, niż nam to dzisiaj przedstawili! Zapewne powoduje nimi skromność albo jakieś inne, ukryte zamiary, bo oferty małżeńskie, które dziś padły w mojej halli, brzmią raczej jak kpina! Ty nam daj swą rękę i królestwo, my tobie w zamian nic! Tak nie zawiera się umów ślubnych. A przy okazji, Wsiewołodzie, twój ojciec, kniaź Rusi Wladimir, ponad dziesięć lat temu prosił mego o zgodę na ślub. Nie dostał jej. A gdy o moją rękę starał się król Erik, ofiarował w zamian wielki sojusz przeciw Danii i słowa dotrzymał. Wsiewołodzie i Haraldzie! Jeśli chcecie mi zaoferować coś więcej, macie czas do jutra. Ulfie, pokaż im dom dla gości. Żegnam was!

Wzburzyło ją to spotkanie. Wciąż pytała siebie: Czy Olav wie, że Hakon nie żyje? Czy wie, że nie żyje Erik? Wieczorem przyszedł do niej Wilkomir.

— Pani, twoi zalotnicy piją na umór i złorzeczą ci.

— Piją mój miód i mnie przeklinają? — Poczuła wściekłość.

— Upokorzyłaś ich — spokojnie odpowiedział Wilkomir.

— A co miałam zrobić? Pochwalić? Oddać rękę? Sam widzisz, że to istne kpiny.

— Wydaj rozkaz, a Wielki Ulf chętnie mieczem pokaże im drogę powrotną.

— Czas położyć kres tym niekończącym się zalotom, bo zjeżdżają się do nas szumowiny z połowy świata… — westchnęła. — Mam tego dość. Jutro ogłoszę, że nie zamierzam powtórnie wychodzić za mąż.

— Masz takie prawo. — Kiwnął głową. — Na wszelki wypadek wzmocnię straże.

— Pilnujcie raczej, żeby ich pijani ludzie nie łazili po Sigtunie. Każ im siedzieć w domu dla gości. Nie chcę zamieszek.

A jednak powiedziała to w złą godzinę, bo nim skończyła rozmawiać z Wilkomirem, na dziedzińcu rozległy się okrzyki. Ulf wpadł do jej alkowy z twarzą wykrzywioną, jakby zobaczył upiora.

— Porwali Olofa, pani!

— Co?

— Chłopiec poszedł za potrzebą, musieli czaić się za dworem. Zaciągnęli go do domu dla gości! Pozabijam! Pozabijam!

— Jezu Chryste! W moim domu porwali mego syna? Przekaż im, że jeśli chłopcu spadnie włos z głowy, żaden z nich żywy nie wyjedzie z Sigtuny.

— Pozabijam! — Ulf się miotał.

— Uspokój się! — wrzasnął na niego Wilkomir. — Trzymają chłopca. Musimy działać ostrożnie.

— Tak — powiedziała Świętosława. — Wilkomirze, ty idź do nich. Powiedz, że mają się wszyscy znaleźć w domu, który im wyznaczyłam. Będę u nich za chwilę.

Szła, ściskając w dłoni smycz, a Wielki Ulf i jego ludzie otaczali ją kołem. Dom dla gości otaczali ludzie Wilkomira. Na dziedzińcu zebrał się wzburzony tłum domowników.

— To haniebne! — oświadczyła, wkraczając do halli. — Gdzie król Olof?

Wsiewołod trzymał chłopca za ramiona.

— Tu, pani — burknął.

— Oddaj mi syna — powiedziała, licząc wzrokiem ich ludzi. W halli było nie więcej niż trzydziestu.

— Najpierw musisz nas przeprosić, pani. Za kpinę, którą nas poniżyłaś.

— Kobieta nie powinna drwić z mężczyzn, nawet jeśli jest królową — dorzucił Harald, wychodząc na środek.

Wrzało w niej. Mogłaby spuścić rysie ze smyczy. Mogłaby wydać rozkaz Wilkomirowi. Ale oni wciąż trzymali Olofa. Jej dziecko. I nagle wrzenie w jej duszy uspokoiło się, jakby ktoś do garnka wrzucił bryłę lodu.

— Rozumiem, że chodzi wam o takie przeprosiny, jakie zwykle kobiety ofiarowują mężczyznom? — roześmiała się.

— Tak! — Oczy Wsiewołoda lśniły łakomo. Nawet się oblizał.

— Tak, pani! — Harald wciąż był napięty jak pies przed skokiem.

— A czy w waszych stronach mężczyźni idą do łaźni, zanim zaproszą kobietę do łoża?

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy brudni? — Wsiewołod mocniej potrząsnął Olofem za ramiona.

— Nie — odpowiedziała z uśmiechem. — Ale pragnęłabym, żebyście przed nocą z królową się odświeżyli. Wilkomirze? Czy w łaźni jest

napalone?

— Jak co wieczór, moja pani.

— Dobrze! Zatem nie przedłużajmy. Zaprowadź moich zalotników do łaźni. Ich ludzie niech spędzą wieczór tutaj, pijąc zdrowie królowej Sigridy. Mój syn wraca do mnie. Olofie… — Wyciągnęła dłoń.

Wsiewołod już puszczał chłopca, ale Harald go zatrzymał, kładąc Olofowi rękę na głowie.

— Skąd mamy wiedzieć, czy to nie jakiś podstęp? — spytał zaczepnie.

Roześmiała się dźwięcznie.

— Doprawdy nie rozumiem swoich zalotników! Gniewają się, kiedy wypominam im ich niedostatki. A kiedy proszę do łaźni, boją się!

Harald pociągnął Olofa za włosy, a potem pchnął ku niej.

— Nie zarzucaj nam, pani, tchórzostwa! Dość mamy twych gier. To mają być porządne przeprosiny!

Zobaczyła, jak Harald strząsa z palców włosy Olofa. Wyciągnęła rękę i chwyciła syna, podając mu smycz z rysiami.

— Och, zapewniam, że będą gorące. Haraldzie i Wsiewołodzie! Obiecaliście mi dzisiaj grę w porównania, zapasy i w króla! Chętnie zagram w każdą z nich, gdy wyjdziecie z łaźni. Oczekuję na was i nie wystawiajcie mej cierpliwości na próbę! Ulfie, zaprowadź panów!

Nie oglądając się na nich, wyszła z Olofem.

— Czy coś ci zrobili, synku? — spytała go cicho.

— Nie — odpowiedział chmurnie, rozcierając głowę w miejscu, w którym pociągnął go za włosy Harald. — Zawstydzili mnie.

— A mnie znieważyli. I nie daruję im tego, bo jeśli okażę łaskę, to przyjdą kolejni — odpowiedziała twardo. — Idź z Wrzaskiem i Zgrzytem do dworu i choćby nie wiem co, nie wychodź.

— Mamo… ale ty nie pójdziesz z nimi?

— Nie, synu. Odprowadzę ich tylko i dopilnuję, żeby w łaźni było napalone.

Stała na podwórcu, patrząc, jak Ulf prowadzi Wsiewołoda i Haralda do łaźni na tyłach dworu. Patrzyła, jak Wilkomir wyprowadza wszystkich swoich ludzi z domu dla gości, jak wchodzą służące, wnosząc dzbany miodu. Liczyła je. Raz, dwa, trzy… sześć. I liczyła do sześciu, aż wyjdą stamtąd. I wtedy skinęła na Wilkomira, mówiąc:

— Zarygluj dom.

Gdy drzwi były zamknięte od zewnątrz, zawołała do stojących na podwórzu domowników i służby:

— Kobiety noszą wodę, a mężczyźni drewno!

I ruszyła do łaźni. Wielki Ulf i jego ludzie otaczali niewielki, drewniany budynek. Para buchała przez dymnik.

— Zabij wyjście — powiedziała do niego. — A wy rozpalcie łaźnię od zewnątrz. Niech się wykąpią w ogniu.

Nikt jej się nie sprzeciwił. Po chwili płonęły dwa budynki. Z obu dobiegały krzyki. Służba z wiadrami czuwała w milczeniu, by ogień nie przeniósł się na zabudowania dworu.

— Skalali prawo gościnności, porywając mego syna! Nie zaznają gościnności ode mnie! — zawołała.

— Harda Pani — Wielki Ulf dotknął jej ramienia i pokazał na zgromadzonych — spójrz na nich. Są dumni, że ich królowa nie pozwoliła z siebie kpić. Nikomu tu nie musisz się tłumaczyć.

Rozejrzała się wokół. To nie był pijany tłum, jak w noc śmierci Birgera. Tłum, który nie wiedział, co czyni. To byli ludzie, którzy razem z nią świadomie wymierzyli karę.

Wzięła Wilkomira i Ulfa na stronę.

— Od dziś dzielicie się obowiązkami. Ty, Ulfie, zostajesz przy mnie. A ty, Wilkomirze, nie opuszczasz Olofa na krok. Mój syn już po raz kolejny stał się ofiarą ataku i to się nie może powtórzyć. I jeszcze jedno, zapamiętajcie dobrze: gdyby spotkało nas kolejne niebezpieczeństwo i musielibyście wybierać, które z nas obronić, zawsze macie wybrać Olofa. Rozumiecie? To rozkaz. To on jest dziedzicem tronu.

Krzyków już od dłuższej chwili nie było słychać. Łaźnia zawaliła się jako pierwsza. Potem dom gościnny. Służba polewała wodą zgliszcza i bez słowa brała się do sprzątania po tym upiornym pożarze. Chciała już iść, gdy podszedł do niej Ion.

— Słyszałem o wypalaniu pól — odezwał się ze śmiechem. — Ale o oddzielaniu ogniem ziarna od plew jeszcze nie. Wprowadzasz nowe zwyczaje, moja pani. Sądzisz, że poddani nadadzą ci nowy przydomek? Sigrida Storråda. Harda Pani. Teraz czas na Ognistą! Albo „Tą, która zalotników wita ogniem”.

— Przestań. Nie śmieszy mnie to, co się stało — warknęła.

Wciąż w nozdrzach czuła smród pożaru.

— Znów nie miałaś wyjścia, pani. — Pogłaskał ją po ramieniu. — Ale teraz w końcu zaczniesz mieć wybór. Nie zamkniesz ludziom ust. Będą opowiadać. Wysłałaś w świat donośną wiadomość.

Mam nadzieję, że on ją usłyszy — pomyślała.

— Pokazałaś, że nie tolerujesz byle jakich propozycji. Jeszcze trochę, a obiecuje ci twój Ion, że pojawi się prawdziwy królewski konkurent. Gdybym miał dar proroczy, powiedziałbym: „Już płynie twój król”.

Część III

Drugi tron

995–997

Lato lśniło w wodzie światłem odbitego, sytego słońca. Złoty blask kołysał się na fali. Nocą księżyc w nowiu nie wspierał słonecznej tarczy, był jej nikłym odbiciem, nasączającym zmierzch ciemnością jak płaszcz rzucony na płonący ogień. Zimny nów mieszający szyki żeglarzom. Kpiący ze sterników czuwających po zmroku. Nów przywodzący nagłe zmiany wiatru, przyciągający chmury znikąd. Zza bram morskich piekieł. Zza horyzontu, który powinien służyć, a bywał krnąbrny jak wróg. Jakby za jego linią miała się rozstrzygnąć przyszłość. Wiatr bujał łodzie, aż gubiły rytm.

OLAV zostawił większość swej floty w Viken, powierzając ją opiece Lodina, męża swej matki. W tę podróż ruszył skromnie, jedynie w trzy łodzie. Chciał przemknąć przez cieśninę Øresund niezauważony, a na jej wąskich wodach nie było to łatwe. Starsi żeglarze mówili, że Øresund jest jak zbyt ciasna nogawka spodni. Nie miał wyboru, przeciskał się nią.

Zwiadowcy zapewniali Olava, że Sven jest zajęty przejmowaniem władzy w Jelling na Jutlandii, a nie w pobliskim Roskilde, ale wystarczyło, by statki Olava wpadły w oko zelandzkim strażnikom wybrzeża, i mógł się spodziewać kłopotów. Przez najwęższy przesmyk przepłynęli nocą, wiatr im sprzyjał, „Kanugård" ślizgał się po fali.

— Mój król włada nawet wiatrem! Sam jest wiatrowskazem swej łodzi — zażartował Varin, gdy o świcie wydostali się wreszcie z kleszczy cieśnin duńskich i wpłynęli na otwarte wody Bałtyku.

— Nie kpij. — Olav wzruszył ramionami. — Morze nie lubi przechwałek, ja też. Wiatrowskaz wróci na maszt, gdy weźmiemy kurs na północ i miniemy Gotlandię.

Zdjął go, bo przy ostrym słońcu złota blacha, jaką był okuty, odbijała promienie, ściągając na siebie uwagę, a tego właśnie chciał uniknąć. Jeśli

naprawdę szczęście wciąż mu sprzyja, zdąży przed jesiennymi sztormami i w siedem, najdalej osiem dni wpłynie do zatoki Mälaren.

Zostawił Varina przy sterze i przeszedł na prawą burtę. Woda jarzyła się odcieniami ciemnej zieleni i stali. Cztery lata temu płynął tędy, wracając z wyprawy na Danię. Wtedy brał ostry kurs na południe, mijał białe skały Arkony, zatrzymał się w Jomsborgu i po dwóch dniach zacumował w Gdańsku. Na przystani czekała na niego Astryda i wiadomość o śmierci Geiry. Otrząsnął się na to wspomnienie. Tylko cztery lata? A wydaje mu się, że tamto życie z Geirą było oddalone o całą wieczność. Nie chciał o nim pamiętać. To był mrok. W jego pamięci zalśniła wiosenna pełnia księżyca i skalne kręgi na wyspie Scilly. Staruch, który międlił słowa. „Pragnienie, pożądanie, niespełnienie, mój chłopcze. Dawna, okropnie stara klątwa. Starzy bogowie rzucili ją na ciebie, choć mówią, że to przekleństwo przyniesie ci wielką chwałę. Cała nadzieja w Nowym. Może On zechce ją odwrócić? Jesteś wyznaczony, to pewne. Sto razy widziałem twe przybycie w snach. Ale czy jesteś wybrany? Niech ci to powie nowy Bóg”. Odpowiedź, jaką dał mu Chrystus przez lodowatą wodę chrztu, wciąż pulsowała w nim światłem, jakby srebrna pełnia nigdy się nie kończyła. Czasami jednak przysłaniały ją gęste chmury.

Otaczają mnie ślepcy — pomyślał, wciągając słone, wilgotne powietrze i patrząc na odległy, siny pas lądu. — Ślepcy, którym muszę przywrócić wzrok. Choćbym miał im powieki podważyć ostrzem noża. Obiecałem to Bogu i dotrzymam słowa, tak jak On.

Pierwsze kroki na ojczystej ziemi były inne, niż się spodziewał. Przez te wszystkie lata tęsknoty wyobrażał sobie zbyt wiele. W marzeniach ziemia drżała mu pod stopami, a w rzeczywistości skały Viken nie różniły się tak bardzo od dziesiątków innych, do których przybijał. Drzewa i mchy były zielone, jak wszędzie, i nie tak jaskrawe jak na Scilly. Może tylko obfitość

ciemnoliliowych kwiatów zgadzała się z tym, co zapamiętał z opowieści matki. Ona sama była czuła i słodka. Patrzyła na niego z dumą, gdy Omold skald opowiadał o podboju Anglii. Ukradkiem ocierała łzy. „Widzę w tobie twego ojca, Olavie — powiedziała. — I znacznie, znacznie więcej, niech jego pamięć mi wybaczy. Już przebiłeś sławę ojca swymi czynami w Anglii". „Nie robiłem tego dla sławy, matko. Tylko dla srebra i ludzi, którzy pójdą za mną".

Lodin, mąż matki, był rozważnym mężczyzną. Jego ciemne włosy mocno przyprószyła siwizna, ale plecy wciąż trzymał prosto. „To prawda, że się ochrzciłeś?" — zapytał nieufnie. „Prawda" — odpowiedział mu Olav. Matka niemal pobladła, dostrzegł nerwowy ruch palców, które natychmiast ukryła w szerokim rękawie sukni. Lodin tylko zacisnął szczęki. „A twoi ludzie?" — zapytał po dłuższej chwili. „Wszyscy. Co do jednego. Kto nie chce chrztu, wybiera śmierć". Lodin spojrzał na Olava spod krzaczastych brwi i tego wieczoru częściej wołał służki, by napełniły mu kielich.

Spędził w Viken wiele dni, poznając rodzinę. Najpierw starsze siostry, które zostały w kraju pod opieką bliskich, gdy matka uciekała z nim w brzuchu na wschód. Jedna nosiła jej imię, Astryda, drugą nazwano Ingebjorgą. Patrzył im w oczy i szukał w nich ojca, obie jednak były łudząco podobne do matki. Potem dwie młodsze dziewczyny, córki Lodina, jego przyrodnie siostry, Ingiredę i Ingigerdę. I chłopaka, Torkila przezywanego Nosem. Gdyby spotkał ich wszystkich i nie wiedział, kim są, nie poczułby nic, jakby nie było w nich wspólnej krwi. Nawet matka… Ta, za którą tęsknił tyle lat na Rusi. Ta, której szukał tak zawzięcie, że pozwolił się Mieszkowi wepchnąć w ramiona Geiry, by zapłacić za jej odnalezienie. Matka też zdawała mu się inna niż wcześniej. Słodka i czuła, ale obca. Ich pierwsze spotkanie przed ośmioma laty miało w sobie żar. Zasypywali się uściskami, wspomnieniami, słowami, które znaczyły wszystko. Syn i matka

odnalezieni po latach, jak rozbitkowie z przetrąconej sztormem łodzi, którzy po tygodniach błądzenia na nieznanych wodach wreszcie zobaczyli ląd.

Teraz patrzył na nich i czuł jedynie żal, że ich oczy są ślepe na prawdę Pana. Zajmowały ich nieurodzaje, troska o bydło, lęk o kolejne połowy. „Tak, tak — kiwała głową matka. — Jesteś synem króla Tryggve, nic dziwnego, że pochłaniają cię sprawy królów". Pod podszewką tych słów wyczuwał lęk. Mówiąc: „Już przebiłeś sławę ojca", zdawała się dodawać w duchu: „I starczy, synu, starczy już". Miłość Lodina uleczyła Astrydę z żądzy zemsty. Jego pieszczoty i te dzieci, które w niej spłodził, zabliźniły dawne rany. Matka radowała się, że wrócił jej syn, ale wolałaby widzieć go budującego wielki dwór na wzgórzu, zasiadającego w halli z żoną u boku niż stającego do walki o tron. Przełknął to niczym surowe ścięgno w pieczeni i nie powiedział nic, tylko patrzył na nią, wiedząc, iż zobaczy w nim spojrzenie dawnego Tryggve.

Widział brud, ciemny osad pokrywający dusze ich wszystkich, zalepiający im uszy, przysłaniający oczy. Aż któregoś ranka matka nie wytrzymała i po jej twarzy popłynęły łzy. „Twój ojciec miał twarde spojrzenie — załkała. — Ale ty, synu, masz w oczach hartowaną stal". I wtedy mu ulegli i ugięli kolana przed Wszechmogącym. A on pozwoli, by Sigurd oświecił ich wodą chrztu, i gdy oczyścili swe dusze, pokochał ich na nowo. I wtajemniczył w swój plan.

Układał go latami, zmieniał, wsłuchując się w wieści z Norwegii podczas tych dziesiątków bezsennych nocy na wyspie Wight albo w kamiennych murach Bamburghu. Nie, nie był zaskoczony tym, że od początku częstowano go zdradą. Spodziewał się jej jak judaszowego pocałunku. Nadstawiał policzek. Okazywał łaskę tylko tym, którzy zmyli z siebie

hańbę wodą chrztu. Nie dla siebie to robię, Panie — szeptał — lecz dla chwały Twojej.

Był jeszcze w Anglii, gdy jarl Hakon wypuścił do niego posłańców. Mieli zwabić Olava obietnicą, że „gdy stary jarl nie żyje, to na niego czeka lud". Ale on od dwóch z górą lat utrzymywał swych ludzi w Norwegii. Nazywał ich „uśpionymi strażnikami", bo mieli tylko słuchać, patrzeć i czekać na znak. I miał swoich chłopców z Sogn. Halvard i jego dwaj bliźniacy, co każde zdanie dzielili na pół. Grubi, szczwani, bitni i na swój prosty sposób szczerzy. Jeszcze nie uwierzyli w Chrystusa, ale wierzyli w Olava, na początek dobre i to. Zatem wiedział, że stary Hakon żyje i zastawia na niego sidła. Wpłynął w nie pod złotym wiatrowskazem na pokładzie „Kanugårda", z trzema dziesiątkami łodzi, jego częścią dawnej armii Dwóch Królów. To wystarczyło, by wielki jarl uciekł przed nim na ląd, a na wodzie zostawił swego syna, choć nie był to żaden z tych dwóch, którzy ongiś szukali wsparcia w Szwecji. „Ostatni z młodszych wskoczył karmić węgorze z moją strzałą w tyłku" — skwitował to Ingvar, choć Omold skald chciał na siłę dorobić do tego jakiś rym. Pozostała załoga jarla podzieliła się na tych, co za swym panem czmychnęli na ląd, i na tych, którzy poddali się Olavowi. Biskup Sigurd szybko nauczył ich prawd wiary; który pojął, został z nim, oporni położyli głowy pod topór. Katem został Rafn, ten sam Rafn, który przed laty na „Rosomaku" wyrzucał trupy łowców niewolników za burtę.

Wszyscy ludzie ze starej załogi, tej z którą wypłynął z Rusi, ochrzcili się jako pierwsi. „Zbyt wiele nas łączy, królu — powiedział Varin — by miał nas rozdzielić bóg". Każdy z nich po latach łupienia Anglii był na tyle bogaty, że mógł popłynąć w swoją stronę i do końca życia czerpać srebro ze skrzyni, klepiąc po tyłku żonę. Ale żaden z nich nie chciał osobnego losu. „Gdzie ty, tam my" — powiedzieli, nie wdając się w tłumaczenie. Kto

zobaczył angielskie kościoły i zamki, kto spróbował wina z ozdobnych kielichów, kto przyjmował okupiony krwią danegeld, nie nadawał się do zamknięcia w zagrodzie domu i pilnowania służby. Przyjęli chrzest, jakby to było kolejne wyzwanie; jakby głoszenie Słowa, które pochodzi od Jedynego Boga, było następnym lądem, jaki mogą zdobyć.

Gdy rozbili nieliczne siły jarla Hakona, nie schodzili na ląd. Stanęli na kotwicowisku, mając oko na otwarte morze za plecami i zatokę przed sobą. Kto chciał pomówić z Olavem, musiał przypłynąć na „Kanugårda”. Wysłał oddział w poszukiwaniu jarla, lecz nie po to, by go znaleźć, tylko by Hakon musiał przed nim uciekać i się kryć. By jego dawni poddani dostrzegli w nim zwierzynę, którą wstrząsa śmiertelny strach. Po tygodniu, może nieco później, pojawił się krępy, ciemnowłosy człowiek. Niewolnik o imieniu Kark. W brudnym skórzanym worku przyniósł głowę jarla Hakona. „To dla ciebie, panie” — powiedział i rzucił Olavowi pod nogi ten dar. Siniaki na zakrwawionej twarzy jarla i nierówny ślad na jego szyi mówiły, jak to się mogło odbyć. „Kim dla ciebie był?” — zapytał Karka. „Moim panem” — odpowiedział niewolnik i odruchowo potarł nadgarstki, na których być może kiedyś miał sznur. „Czego oczekujesz w zamian?” — spytał Olav. Niewolnik przestąpił niezgrabnie z nogi na nogę, przekrzywił głowę i powiedział nieśmiało: „Nagrody jakiejś?…”. Olav wezwał Rafna, ten odsłonił przykryty lnianą płachtą pieniek i w nagrodę za śmiertelny dar Kark stracił łeb. „To ciężka zbrodnia, gdy sługa zabija pana — oznajmił Olav. — Kto raz zdradził, zdradzi znów”. Odesłał głowę Hakona rodzinie, by wyprawiła mu pogrzeb. Nie był huczny.

Wieść szybko się rozniosła po całym Trondelagu i choć nie przyłożył ręki do śmierci jarla, ta położyła się cieniem na początku jego drogi do tronu. Niektórzy mówili: „Niech rządzi nami Olav Tryggvason”. Inni krzyczeli: „Niech wrócą młodzi jarlowie, Erik i Sven, synowie Hakona!”.

Dla jednych i drugich sprawę nie do przejścia stanowił chrzest. Trzymali się starych bogów jak dzieci piersi matki.

Był krwią królów, o których zapomnieli po dwudziestu latach sprawowania władzy przez jarla. Bohaterem, o którym śpiewano pieśni. Zdobywcą angielskiego srebra. Ochrzczonym Ynglingiem. A mimo to krzyż na jego piersi sprawiał, że dla nich był obcy.

Stała za nim siła trzydziestu łodzi bogatych w danegeld i załogi zaprawione w boju, lecz to zbyt mało, by podbić cały kraj. „Zetnę każdą głowę, którą każesz, królu — powiedział Rafn, czyszcząc topór po egzekucji niewolnika — ale nad kim będziesz panował, gdy skończę?”.

Dwóch wodzów najeźdźczej armii wróciło z Anglii na czas. Śmierć króla Erika Segersälla, śmierć jarla Hakona — wyliczył w duchu. — Zgon Erika utorował Svenowi drogę do odzyskania Danii. Śmierć Hakona powinna ją utorować mnie, a mimo to tak nie jest. Svena poddani przyjmują jak wybawcę, bo Erik był najeźdźcą. Mnie, choć jestem swój, boją się, gdyż niosę obcą religię. Chrystusa, którego odrzucają.

Zachciało mu się śmiać, ale to był gorzki śmiech. Na wspomnienie Svena, który w zamczysku Bamburgh upijał go, by skłonić do wspólnej wojny z Erikiem. Erik nie żyje, problem Svena rozwiązał się sam i teraz ten szczęściarz, rudy druh, drugi wódz, bez trudu przejmuje władzę w ojcowiźnie. I wspomnienie własnych rozterek: jak pokonać Hakona bez wyniszczającej kraj walki? Nad tym rozmyślał przez długie miesiące na wyspie Wight, a okazało się, że Hakon zniknął z jego drogi sam i wtedy stanęli na niej poddani, mówiąc: „Ty, Olavie, tak, ale twój bóg nie”.

„Droga do Domu Pana nie jest szeroka i prosta. To droga kamienista i stroma, na której każdy wątpiący skręci nogę, by runąć w przepaść”.

Ale to on znał przepowiednie, nie oni. I wiedział, że to jego Pan wyznaczył, by zdjął bielmo z ich oczu. I przyjął to na ramiona jak krzyż.

Ich Hakon, jarl, którego kochali, zdobył władzę jako namiestnik duński. On, Olav Tryggvason, da swej ojczyźnie potrójny dar: niepodległość, zjednoczenie ziem i chrzest. Pójdzie drogą kamienistą i stromą, ale nie spadnie w przepaść. Oto zaczął się nowy czas. Dwie śmierci zachwiały równowagą trzech północnych królestw. Przywrócić ją może słowo jednej kobiety.

— Wodzu! — krzyknął Varin. — Idzie na nas chmura ciemna jak ołów i potężna niczym wieloryb!

Olav odwrócił się gwałtownie na chwilę przed pierwszym, ostrzegawczym podmuchem dzikiego wiatru. Zdążył wciągnąć w nozdrza woń nadchodzącej burzy. Zatrzeszczał takielunek. Tryggvason rozłożył szeroko ramiona, jego płaszcz wydął się jak żagiel. Zaśmiał się pełną piersią.

— Bądź wola Twoja! Popłynę do Hardej przez sztorm!

ŚWIĘTOSŁAWA jechała na grzbiecie Thorhalli pod górę, przez porastające zbocze wrzosowisko. Pomiędzy niewielkimi krzewami migał złoty grzbiet Zgrzyta. Wrzask był już na szczycie, siedział, wyciągając w górę łeb, jakby wietrzył. Jej koty nie musiały polować, by żyć, dlatego gdy spuszczała je ze smyczy, robiły to z podwójną pasją. Kiedy były młode, bała się, że niewola przytępi ich myśliwski zmysł. Myliła się, a rację miał Wilkomir, który powiedział, że drapieżnictwo to nie wybór, lecz zew. Smukły, zielonooki Wrzask i muskularny, złotooki Zgrzyt były najpiękniejszymi drapieżnikami, jakie znała. Uwielbiała ich warkot, gardłowy ton, który wydawały, nie otwierając pysków. Dźwięk, który sprawiał, że słyszący go po raz pierwszy truchleli. Rysie w obecności obcych nigdy nie demonstrowały siły. Chyba że dała im znak. Spały u jej stóp, gdy przyjmowała jarlów i prostaczków. Towarzyszyły, kiedy udawała się na przegląd swych włości. Większości ludzi okazywały obojętność,

pozwalały się pieścić jedynie najbliższym: Olofowi, Duszy, Wielkiemu Ulfowi, Wilkomirowi i jego synowi, Wilczanowi. Świętosławie wydawało się, że małego Wilczana lubiły zresztą najbardziej. Chłopiec na szczęście miał urodę Helgi, swej matki, a nie wiecznie skrzywiony pysk ojca, choć czujność z pewnością odziedziczył po nim. Czy był najlepszym przyjacielem jej syna? Władcy nie mają przyjaciół, lecz Olof był jeszcze chłopcem, więc tak, zdawało się, że wolał towarzystwo Wilczana od synów jej wodzów i jarlów.

Zgrzyt przylgnął nagle do ziemi. Wstrzymała klacz, by nie płoszyć jego łupu. Trzy, cztery długie kroki i skok. Ryś trzymał coś w pysku. Ruszyła ku nim. Królik jeszcze żył, ale zamarł w bezruchu, czując na karku długie zęby Zgrzyta. Ta chwila — pomyślała, patrząc na drapieżcę i ofiarę — ta chwila przed nieuchronnym zgonem. Czym jest? To jeszcze życie czy już oddech śmierci? Otrząsnęła się.

— To tylko zwierzę — wyszeptała. — Tchórzliwy królik.

Wjechała na szczyt wzgórza. Wrzask przeciągnął się na jej powitanie, a po chwili dołączył do nich Zgrzyt. Położył się i zlizał krew z pyska. Ostatni ślad po króliku. Spojrzała z góry na rozległe zielone pastwiska w głębi lądu. Za nimi, na horyzoncie ciemną linią odcinał się las.

— Moje królestwo — powiedziała i natychmiast pomyślała o ojcu. „Pamiętaj, że nie ma granic… horyzont przesuwa się za każdym razem, gdy dojedziesz do tego, co zdawało się kresem…”.

Nie chciała przesuwać granic. Tak było dobrze. Niepokój, który nosiła po spaleniu Wsiewołoda i Haralda, uleciał wraz ze smrodem bijącym ze zgliszczy. Służba wysprzątała podwórzec do ostatniej zwęglonej drzazgi. Chwilowo nikt w jej obecności nie wspominał o tym, że powinna wyjść za mąż. Królowa wdowa Sigrida Storråda siedziała w siodle mocno.

Przynajmniej w tym prawdziwym, na grzbiecie swej klaczy. Westchnęła i zawołała rysie.

— Wrzask! Zgrzyt! Wracamy!

Zgrzyt wyprężył grzbiet i niechętnie ruszył za nią. Wrzask potruchtał przodem, unosząc krótki, czarno zakończony ogon. Odchyliła się w tył, by złapać równowagę podczas zjazdu ze stoku. Klacz stąpała ostrożnie i nagle Świętosława poczuła ochotę, by zjechać w dół szybko. Nie było przy niej nikogo, kto powie „nie!”, kto przestrzeże, jak dziecko, że koń złamie nogę. Przycisnęła łydki do boków klaczy, ta prychnęła. Jeszcze raz, mocniej. Thorhalla przyspieszyła z wahaniem, ale po pierwszych szybkich krokach nabrała odwagi. Świętosława znów ścisnęła ją łydkami. I wtedy klacz wyciągnęła szyję i ruszyła, rżąc.

— Tak! — zawołała Świętosława. — Tak, moja piękna Thorhallo! Zróbmy coś głupiego! Nikt nas nie widzi! Nikt nas nie upilnuje!

Śmiała się. Śmiała się pełną piersią, a Thorhalla odpowiadała jej rżeniem i nabierała prędkości z każdym skokiem w dół. Boże! — przemknęło przez głowę Świętosławy. — Jestem córką wielkiego księcia. Królową wdową. Byłam żoną Erika Segersälla. Jestem matką jego syna. I ciągle robię tylko to, co trzeba, to, co należy…

Klacz długim susem przeskoczyła płaski głaz, zamiast go ominąć. Pośladki Świętosławy uderzyły w siodło. Znów zaśmiała się głośno. Już były na dole, ale Thorhalla nie mogła wyhamować pędu, biegła przed siebie w stronę wybrzeża. Drogę zajechał jej Wilkomir.

— Pani! — krzyknął. — Co robisz? Klacz mogła połamać nogi, mogła cię zrzucić! Nie powinnaś.

Wrzask i Zgrzyt, zataczając łuk, wracały do nich, zziajane.

Świętosława zatrzymała Thorhallę i poklepała ją po szyi. Wilkomir podjechał do niej. Twarz miał skrzywioną bardziej niż zwykle. Spojrzała

mu w oczy wyzywająco.

— Całe życie robię tylko to, co powinnam — powiedziała zdyszana. — Dzisiaj chciałam zrobić coś, co niczemu nie służy. — Zobaczyła, jak Wilkomir patrzy na nią zdumiony. — Coś, czego chcę.

Przerwał jej głęboki dźwięk rogu od strony przystani. Drugi i trzeci.

— Goście? — spytała.

Odpowiedział jej uniesieniem brwi i oboje bez słowa ruszyli w stronę przystani. Po chwili dołączyło do nich jedenastu ludzi Wilkomira. Ach tak — pomyślała z gorzko. — Zdawało mi się, że pojechałam na przejażdżkę sama.

Z bezsilnej złości uszczypnęła Thorhallę w szyję. Klacz zarżała i potrząsnęła łbem.

Trzy łodzie. Krzyk mew. Na maszcie pierwszej lśnił złoty wiatrowskaz. Wciągnęła w nozdrza słony wiatr i zacisnęła palce tak mocno, że na chwilę straciła czucie w dłoniach. Poznała go, poznała, nim jego „Kanugård” uderzył burtą o pomost. Szedł przez pokład. Wysoki, jasnowłosy, o twarzy ogorzałej od wiatru. Miał na sobie skórzany, znoszony kaftan znaczony plamami po soli i dawno zaschłej krwi. Świat skurczył się niczym tunel między nią a nim. „Wysłałaś w świat wiadomość — zabrzmiał w jej głowie głos mnicha. — Gdybym miał dar proroczy, powiedziałbym: już płynie twój król”. To nie sen — zawyło w niej. — To nie może być tylko sen.

— Pani — szepnął zdumiony Wilkomir. — To Olav Tryggvason. Co on tu robi?

Jego załoga cumowała łódź, a Olav, nie czekając, wyskoczył na deski pomostu i ruszył ku niej. Thorhalla zarżała.

— Świętosławo — powiedział.

— Olavie — odpowiedziała i nie mogła wykrztusić nic więcej.

Pięć, dziewięć, dwanaście kroków i stał przy jej klaczy, unosząc głowę. Wyciągnął rękę. Chwyciła ją i zeskoczyła. Stali przed sobą. Ona i on. Serce biło jej równo. To prawda, nie sen. Ale jeśli od razu czegoś nie zrobi, obudzi się nie tam, gdzie chce.

— Wilkomirze — powiedziała, odwracając się do dowódcy swej straży. — Czy dom wioślarzy jest pusty?

— Tak, pani. — Uniósł brwi tak samo jak chwilę wcześniej.

Już zrozumiał czy jeszcze nie?

— Wobec tego jadę tam porozmawiać z moim gościem. Twoim zadaniem jest dopilnować, by nikt nam nie przerwał rozmowy, nawet jeżeli potrwa bardzo długo. — Popatrzyła mu prosto w oczy i by złamać jego opór, dodała: — Obiecuję, że klacz nie połamie nóg.

Zrozumiał i odpowiedział, kłaniając się:

— Wykonam rozkaz.

Dłonie Olava były szorstkie, gorące, jakby w jego palcach ukryty był żar. Trzymał jej twarz jak kielich, z którego pił. Pocałunki się przeciągały. Nie mogli, nie potrafili oderwać od siebie ust. Wyrwali się na chwilę, która zakręciła im w głowach jak upojenie miodem. Bez słowa każde z nich się rozebrało. Stanęli przed sobą nadzy i poczuła ciepło bijące od niego. W mroku chaty widziała tylko jasną plamę jego ciała. Wyciągnęła po niego ramiona. Wpadł w nie. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Tylko jego woń, słoną, ostrą, wilgotną. Zapach ją odurzył. Olav oplótł ją ramionami i podniósł. Nie, nie położył, ale oparł jej plecy o wygładzone deski ściany. Wtargnął w nią. Jęknęła, tak. Ale potem nie wydała z siebie nawet jednego tchnienia, bo wystarczyło, że poczuła jego miecz w swej pochwie i już. Należała do niego jak nigdy do nikogo. Biodra poruszały się same, łapiąc rytm jak fala i łódź, jeździec i koń, żagiel i wiatr. Słońce i blask. To mogło trwać wieczność, a mogło być jedynie kilkoma

pchnięciami, nie wiedziała tego, nie liczyła. Nie wiedziała nawet, czy to Olav jest w niej, czy ona w nim. Przenicowała ją jasność i w ostatnim tchnieniu krzyknęła:

— Amen!

Pamiętała albo zdawało jej się, że widzi, jak Olav wziął ją na ręce i niczym dziecko odłożył na wioślarskiej pryczy. Przykrył szorstkim kocem. Potem czuła ciepło i ziajanie.

— Wrzask? Zgrzyt? — wyszeptała, dotykając futra.

W tej samej chwili zalała ją fala gorąca.

— Nie — szepnął Olav, unosząc wilgotną twarz znad jej łona. — To ja.

— Ach… — Oddała mu się, wypuszczając z rąk jego białe włosy.

Uniosła palce do ust. I zlizała z nich krew.

OLAV czekał na spotkanie z królową Sigridą. Spędził noc w alkowie jej męża, którą wyznaczono mu na gościnną stancję. Zastanawiał się, czy w tym łożu Erik brał Świętosławę. Strząsnął z siebie tę wizję. Odrzucał myśl, by ktokolwiek miał ją przed nim. Nie po tym, co przeżyli w chacie wioślarzy. A przecież to prawda. Była żoną Erika Segersälla, dała mu syna. Tego nie można cofnąć. Czy na pewno? — zalśniła mu w głowie jakaś okrutna myśl.

Nad łożem wisiał miecz. Dotknął ostrza. Ktoś niedawno musiał je czyścić. I ostrzyć.

Do alkowy wszedł sługa.

— Panie — ukłonił się — przyniosłem ci posiłek.

— Nie jestem głodny. Chcę rozmawiać z królową — odpowiedział zniecierpliwiony.

Świętosława zostawiła go w chacie wioślarzy i sama wróciła do Sigtuny, mówiąc: „Przyjedź na mój dwór jako oficjalny gość. Tam porozmawiamy”. Był kompletnie bezbronny, odurzony nocą, jaką spędzili razem. Przytaknął,

a potem, gdy otrzeźwiał, był zły. Wolał rozmowę w cztery oczy, sam na sam. Ona i on. Ale tak, Świętosława była królową, nie mógł od niej wymagać, by zachowała się jak zwykła kobieta.

— Pani cię przyjmie, jak tylko skończy rozmowę ze swymi doradcami. To kazała przekazać.

Odprawił sługę. Czekał. „Kazała” — powtórzył w myślach i nie podobał mu się ten ton. W nocy oddała mu się bez żadnych warunków, bez rozkazów. Aż do rana wszystko szło dobrze jak we śnie. Ich łodzie bez żadnej szkody przepłynęły sztorm. Czuł, że osłania go anielskie skrzydło, boska moc. Gdy zobaczył ją na przystani, oniemiał. To, że znalazła się tam, nie mogło być przypadkiem, to był znak. I pożądanie, jakie spłynęło na nich, gdy tylko zamknęli za sobą drzwi. Miłość, w której się zatracali, jakby pierwsza chwila mogła być ostatnią. Wciąż czuł, jak w nią wchodzi, jak się z nią łączy. Jak pragnie, by znów… Oblał go zimny pot i zerwał się na równe nogi. W kącie alkowy stał cebrzyk z wodą. Wylał ją sobie na głowę. Pożądanie nie ustało, ale wrócił mu rozum.

— Boże, wybacz! — jęknął. — Pragnę jej bardziej niż Ciebie. Gotów byłem zapomnieć, po co tu przybyłem, a wszystko tylko dlatego, że pożądam jej ciała.

Drzwi alkowy się otworzyły i stanął w nich ten sam sługa, co wcześniej. Obrzucił Olava zaskoczonym spojrzeniem.

— Królowa wzywa na ucztę — powiedział.

— Przyjdę, jak się przebiorę — warknął Olav. — Wyjdź.

Nie spieszył się. Nie dlatego, by odegrać się za oczekiwanie, jakie mu nakazała, ale by uspokoić myśli. Przebrał się w suche ubranie i by nie dać się ponieść, sięgnął po podarunek od biskupa Sigurda. Mojego biskupa — pomyślał, przywołując jego jasną, bezwzględną twarz. Założył łańcuch ze złotym krzyżem i wyszedł z dusznej alkowy.

W wielkiej halli panował zgiełk. Pięć, może sześć dziesiątek ludzi siedziało przy ławach. Dostrzegł i swoich, Varina, Rafna, Omolda skalda. Skinął im głową, idąc ku podwyższeniu. Świętosława siedziała na wysokim krześle, obok niej szczupły, ciemnowłosy chłopiec, pewnie syn. Dalej pucołowaty mnich o rozbieganych oczach i gładko wygolonej tonsurze. Wielki, łysy wojownik o twarzy poprzecinanej bliznami i Wilkomir, który pilnował spokoju ich nocy. Za krzesłem królowej dostrzegł znajomą twarz dziewczyny-cienia. Jak ona miała na imię? Dusza. Dusza uśmiechnęła się do niego pogodnie.

Świętosława, która wczoraj powitała go w zwykłym stroju do konnej jazdy, teraz miała na sobie bogate, zielone suknie, a na piersiach, które w nocy ściskał i ssał, naszyjnik z kryształów górskich zamkniętych w srebrnych koszyczkach. Włosy zaplecione w misterne korony warkoczy znów przywołały wspomnienie, w którym rozpuszczone i złote muskały jego nagi brzuch. Wystarczyło, że wspomniał tę noc, i poczuł się rozebrany, gorejący, gotów do miłości. Dotknął krzyża na piersi, by odsunąć pożądanie. Spod stóp Świętosławy leniwie podniosły się dwa rysie. Jak je wczoraj nazwała? Nie umiał powtórzyć. Koty podeszły do niego jak przednia straż swej pani i obwąchały mu dłonie. Ten smuklejszy polizał go po palcach. Olava przeszedł dreszcz.

— Pani. — Skłonił przed nią głowę i zapytał na powitanie: — Jak to jest, gdy kocha się żywe zwierzę?

W jej zielonych oczach zapaliło się coś, co zgasiła szybko, odpowiadając z uśmiechem:

— Jak widzisz, nie noszę już futra z rysia. To, co żywe, zawsze ma pierwszeństwo przed martwym.

— Jak je nazwałaś, królowo?

— Nie pamiętasz? — Przekrzywiła głowę zalotnie.

— Pamiętam — odpowiedział, patrząc jej w oczy — ale nie potrafię powtórzyć.

— O, w tym nie różnisz się, panie, od żadnego z nas! — odezwał się pucołowaty mnich. — Królowa nadała bestiom imiona iście piekielne.

— Wrzask i Zgrzyt — powiedziała Świętosława, patrząc mu w oczy. — Pamiętasz jeszcze, co te słowa znaczą w moim ojczystym języku?

— Najpierw jest krzyk wniebogłosy, a później poczucie, że coś poszło nie tak — odpowiedział w jej mowie.

Nie zarumieniła się, ale przymrużyła oczy. Wstała i krzyknęła do swych ludzi:

— Naszym gościem jest dzisiaj ostatni potomek norweskich królów, wsławiony podbojem Anglii Olav Tryggvason! Na jego cześć wydaję tę ucztę. Miodu! Weselmy się!

Zapanował gwar, służba wnosiła parujące miski i tace, dziewczęta krążyły z dzbanami miodu, zerkając na niego ciekawie i rumieniąc się. Świętosława zaprosiła go na podwyższenie, nakazując mnichowi zrobienie miejsca. Grubas niechętnie się przesunął. Nim Olav usiadł, zatrzymała go na chwilę i chwyciła za rękę chłopca.

— Synu, poznaj mego przyjaciela z dzieciństwa, króla Olava.

Dzieciak przyjrzał mu się chmurnie.

— Jestem Olof, syn króla Erika — powiedział naburmuszony.

Mógłby całować czubki jej palców za imię, jakie nadała dziecku. Ale to nie było jego dziecko.

— A ja jestem Olav, syn króla Tryggve — odpowiedział, patrząc chłopakowi w oczy.

— Twój ojciec nie był królem całej Norwegii, był tylko władcą Viken, na południu waszego kraju. — Dzieciak wydął usta.

Miał ochotę chwycić szczeniaka za gardło i zacisnąć palce.

— Ale ja będę władcą całego kraju — odpowiedział i usiadł na miejscu obok jego matki.

— Kiedy? — spytała cicho.

— Tak szybko, jak to będzie możliwe — odpowiedział.

— Miodu? — Jej głos zabrzmiał tak samo miękko jak w nocy. Poczuł gorąco między nogami.

— Nie, pani.

— A może wina? Pewnie w angielskich zamkach pijałeś wino, Olavie?

— Zdobywałem, ale nie piłem.

Rozmawiali półgłosem, słyszeć ich mógł dzieciak i mnich. Nie odwracali ku sobie głów, patrzyli na wprost, na bawiących się gości.

— Dlaczego?

— Zdobycz nie była moim celem, a jedynie drogą do celu.

— Co zatem nim jest?

Ty. Twoje wilgotne łono. Twoje pocałunki. Brzuch, uda, piersi o ostrych, ciemnych sutkach. Dotknął srebrnego krzyża.

— Ochrzciłeś się? — zapytała zdumiona.

— Tak, pani. Doznałem łaski odkupienia. — Dopiero teraz się odwrócił i spojrzeli na siebie.

Była zaskoczona.

— Mój mąż, ojciec Olofa, oddał życie Odynowi — powiedziała.

Nie był pewien, ale przez chwilę zdawało mu się, że w jej głosie wyczuł podziw.

— A więc umarł w mroku, jak moja żona, a twoja siostra Geira — odpowiedział twardo.

— W mroku… — powtórzyła za nim. — Jak to się stało?

Czy to ważne? Żyła w mroku i odeszła w mrok — chciał odpowiedzieć, ale zamiast tego niespodziewanie powiedział prawdę:

— Umarła, wydając na świat mego syna. Poród zaczął się za wcześnie.

— Byłeś z nią szczęśliwy?

— Nie — odpowiedział.

— A z inną kobietą? — zapytała szybko.

— Z ostatnią — odpowiedział równie szybko i dopiero gdy usłyszał swoje słowa, poczuł, że znów oblewa go gorąco.

Milczeli chwilę, aż wtrącił się mnich:

— A zatem ochrzciłeś się, panie, w Anglii. To wspaniała wiadomość. Co na to twój lud?

— To samo co twój, mnichu — odpowiedział spokojnie.

Mój lud najchętniej naplułby na krzyż i spróbował zmyć ze mnie wodę chrztu.

Pucołowaty się zarumienił, a Świętosława prychnęła. Nie zrozumiał tego.

— Pani? Czyżbyś mieszkając tutaj, wyrzekła się wiary?

— Nie. Zdałam sobie sprawę, że nie ochrzczę tego kraju. Zrobi to dopiero mój syn.

Zaskoczyła go, spytał:

— Dlaczego nie ty?

Wśród gości rozległy się pohukiwania i radosne okrzyki. Słudzy, uginając się pod ciężarem wielkich tac, wnieśli do halli prosiaki pieczone w całości. Pierwszego postawiono na stole przed Świętosławą, kolejne na ławach dla gości. Królowa uniosła kielich z miodem i krzyknęła:

— Ucztujcie!

Odpowiedzieli jej jak na komendę:

— Królowa Sigrida Storråda! Storråda!

Tak ją nazwał, gdy we trójkę skosztowali grzybów. On, ona, Bolesław. Co dojrzał w wizji? Chrzest. Kto go wtedy podtrzymał? Ona. Wieki temu.

Uśmiechnęła się do swych ludzi, wypiła i skald zaczął pieśń o pięknej bogini. W jego wersji zaprzęg Frei ciągnęły dwa rysie, a nie białe koty, jak w legendzie. Gdy doszedł do tego, goście skandowali:

— Harda Pani! Rysie dwa!

Nie odwracając się do niego, odpowiedziała na pytanie, które zadał wcześniej:

— Sam widzisz. Przypłynęłam tu jako chrześcijanka, a oni widzą we mnie pogańską boginię i tylko taką Sigridę kochają. Nie mam złudzeń, Olavie. Gdybym kazała im się wyrzec starych bogów, wyrzekliby się mnie. Ale mój syn będzie w innej sytuacji. Znają go od dziecka, jest potomkiem ich kochanego Erika. On to zrobi. — Nagle zwróciła ku niemu głowę. — Jaki jest cel twojej wizyty?

Twoje usta. Twoje łono. Twoja ręka. Twoje wojsko.

Nie odpowiedział. Patrzył na nią. Dziesięć lat zmieniło Świętosławę. Wtedy była niesforną dziewczyną, która ukradła mu serce. Dzisiaj stała się królową, która mogła zabrać mu duszę, gdyby jej tylko na to pozwolił.

— Chcę cię poślubić — odpowiedział.

ŚWIĘTOSŁAWA patrzyła w jego jasne oczy. Były przejrzyste jak woda prześwietlona słońcem. Nie słyszała gwaru uczty, śmiechów, toastów. Słyszała tylko Olava.

— Chcę cię poślubić — powiedział.

Chryste — jęknęła w duchu — spełniło się.

Poczuła na plecach dłoń Duszy. Jej wierna dziewczyna, jej cień. Wbiła palce w plecy Świętosławy, jakby to jej oświadczył się Olav. Tylko Dusza wiedziała, jak bardzo pragnęła tej chwili. Chcę cię poślubić, chcę cię poślubić — powtarzała w myślach. Odpowiedziała co innego:

— Nie ty jeden. Moi doradcy sugerują, że powinnam przyjąć propozycję księcia Rusi, Wladimira.

— To staruch — gwałtownie odpowiedział Olav. — I ma wiele żon.

— Nie, nie proponuje siebie — uśmiechnęła się — lecz syna, Jarosława.

Olav parsknął śmiechem.

— Jarisleif? Znam go, to dzieciak — powiedział i w jego głosie usłyszała nie tylko gniew, ale i pogardę.

— Ma siedemnaście lat — odrzekła, bo zapłonęła w niej przekora. — Albo prawie siedemnaście.

— Kiedy go widziałem, był pięcioletnim maminsynkiem. Biegł do Rognedy, gdy tylko zawołała. Światopołk, jego starszy brat, był silniejszy i twardszy.

— Sugerujesz, że powinnam iść za Światopołka? — Uśmiechnęła się. — Czy po prostu nie lubisz dzieci?

Spojrzał na nią tak, że uleciała z niej wszelka zalotność.

Przy najdalszym stole Vestar i Toki, szwagrowie, których łączyła przyjaźń równie silna jak zazdrość o ziemie, zaczynali hałaśliwą grę w porównania. Goście ze śmiechem odwracali się ku nim, każda uczta z udziałem szwagrów musiała się zakończyć grą. Lepsze to niż czasy, w których sięgali po noże.

Sigrid Dumna, Sigrid Nieugięta,
do której świetlistej siedziby
ze skalistych grani bagnistym szlakiem
wytrwale bieżą zalotnicy…

— Wystarczy, Thorvaldzie! — uciszyła skalda, bojąc się, że za chwilę usłyszą rymy o krwawej łaźni. — Uciesz nas inną pieśnią!

Zanurzyła usta w kielichu. Ta noc odcisnęła na niej piętno, jakiego się nie spodziewała. Wciąż czuła Olava w sobie, każde z jego pchnięć, każdy pocałunek, dotyk szorstkich palców, woń skóry i włosów. Rankiem, gdy

pod opieką Wilkomira wróciła do Sigtuny, nie pozwoliła służkom przygotować kąpieli. Bała się, że zmyje z siebie zapach tej nocy, gęstą i głęboką woń jego i jej. Teraz podczas uczty czuła gorąco bijące od niego. Gdyby jej dotknął, mogłaby upuścić kielich. Ale była królową i choć wczoraj pozwoliła sobie na coś, czego pragnęła od tylu lat, dzisiaj musiała myśleć jak królowa.

„Wyjdę za Tryggvasona” — oświadczyła swym doradcom rano. „Poprosił?” — zadał pytanie Ulf. „Nie, ale po to przybył”. „Jeszcze nie odzyskał władzy w kraju. Nie jest królem” — powiedział Wilkomir. „Będzie” — odrzekła. „A co z twoim synem? — zapytał Ion i spojrzał na nią uważnie, jakby wiedział, co się zdarzyło w nocy. — Jaką masz gwarancję, pani, że nowy, młody i, jak mniemam, jurny mąż nie zrobi czegoś, co brutalnie odsunie Olofa od władzy? Królowie nie różnią się od zwierząt, pani. Każdy samiec chce mieć własne młode”. Mogła odpowiedzieć Ionowi, że jeśli po tej nocy nie nosi nasienia Olavowego potomstwa w łonie, to z rozkoszą wskoczyłaby do łoża, by je począć. Ale ugryzła się w język i oprzytomniała. Doradcom nie należy się zwierzać.

— Chcę, byś została moją żoną, Świętosławo — powtórzył Olav.

Z boku dobiegał nieśmiały dźwięk piszczałek. Dziewczęta nabrały ochoty na taniec. Na dole, na trzecim ze stołów rozpruwano pieczone prosię. Ktoś łakomie wyciągnął ręce po jego łeb. Chwyconemu zbyt gwałtownie prosięciu odpadły upieczone uszy. Śmiech.

— Rozumiem, o co prosisz — odpowiedziała cicho. Słowa przychodziły jej z trudem. — Choć nie wiem, czy ty prosisz o coś, co rozumiesz. Jestem królową, sprawuję władzę w imieniu swego syna. W tym układzie jest miejsce na męża, ale nie wiem, czy na króla. Gdzie mielibyśmy zamieszkać?

— Ustanowię nową królewską siedzibę w Trondheimfiordzie — odpowiedział.

— Ach tak. Zapraszasz mnie do królestwa, którego jeszcze nie zdobyłeś. — Poczuła, jak ciężko jej to mówić. — Mój syn nie może opuścić Szwecji, bo władzę przejmą możni.

— Twój syn zostanie tutaj — odpowiedział Olav. — A ty popłyniesz ze mną do Norwegii jako moja żona i królowa. W Viken czeka moja flota. Gdy połączymy siły, zdobycie kraju będzie tylko formalnością.

— Gdy połączymy siły… — powtórzyła za nim.

Wilkomir miał rację — pomyślała i miała ochotę wyć. „Olav potrzebuje małżeństwa z tobą, bo dzięki temu pokaże swym poddanym siłę. Sądzę też, że równie mocno potrzebuje naszych statków i wojsk”. „Czyż to nie oczywiste? — zapytała ich wszystkich o poranku. — Czy Tryggvason nie jest lepszym wyborem niż każdy z tych…”. Dokończył za nią Ion: „Spalonych? Ach, pani, to były płotki. Nasza królowa zasługuje na wieloryba”. „Sam wyjdź za wieloryba, mnichu!” — rzuciła mu gniewnie. I wtedy Wielki Ulf oznajmił: „To jest dobra partia, moja pani, choć diabeł tkwi w szczegółach”. A Wilkomir zapytał: „Kogo widziałby u twego boku brat? Czy Bolesław nie powinien się wypowiedzieć?”. Wściekła się. „Bolesław postawił na Olava już dawno temu, ale zdecyduję ja! Nie on!”.

— Olavie — powiedziała spokojnie. — Jestem dzisiaj zmęczona. Wrócimy do naszych spraw jutro.

— Chcesz spać, Świętosławo? — zapytał cicho i od brzmienia jego głosu przeszły ją dreszcze. — Czy potrzebujesz towarzystwa?

Tak! — miała ochotę krzyknąć. — Chodźmy do łóżka, rozbierz mnie i połóż na swojej piersi. Chcę znów poczuć cię w sobie, chcę znów rozpłynąć się pod twoimi palcami, krzyczeć z rozkoszy i wyć.

— Nie, Olavie. Chcę być sama — odpowiedziała i nie patrząc na niego, wyszła.

OLAV rzucał się w łożu. Ta noc była jeszcze gorsza niż strawiony na oczekiwaniu poprzedni dzień. Nie mógł spać. Miał wrażenie, że oręż spada ze ściany i odcina mu głowę. Nad ranem nie zapanował nad sobą, wstał i wyszedł z alkowy Erika, kierując się ku jej pokojom. Drogę zastąpił mu Wielki Ulf.

— Czego szukasz, panie? — spytał. — Woda, miód? Wszystko jest tu — wskazał ręką na pozostałości po uczcie walające się na ławach.

Olav chwycił za kielich i wypił. Miód trącił goryczą. Ulf wstał i się przeciągnął, a potem od niechcenia położył dłoń na rękojeści miecza i stanął w przejściu do komnat królowej.

— Śpij dobrze, panie. — Ziewnął. — Jutro też jest dzień.

Sen przyszedł do niego u kresu nocy i umęczył go walką. Był bez broni, walczył z samicą rysia, czuł jej oddech na twarzy, jej warkot. Kły, z których kapała ślina. Kocica była od niego lżejsza, a i tak nie mógł wyzwolić się z jej muskularnych łap. Pod paprociami, na uboczu warowały jej dwa szczenięta. Wrzask i Zgrzyt. We śnie potrafił wymówić ich imiona. Przewrócił drapieżnicę na brzuch, znalazł się na niej i poczuł pożądanie silniejsze niż lęk. Wczepił dłonie w cętkowane futro i chciał ją pokryć. Kopulować z nią. Wyrwał się ze snu zlany potem, obrzydzony własną fantazją. Przetoczył się po łożu i złapał za krocze. Oddychał ciężko. Usłyszał dźwięk, który zabrzmiał jak gardłowe miauknięcie. Miękki łeb trącił jego dłoń. Ona? Sen wciąż trwa? Nie. To był ryś. Jeden z nich.

Usiadł. Kot wskoczył na łoże i patrzył mu prosto w twarz.

— Wrzask czy Zgrzyt? — zapytał.

Zielone oczy. Wrzask. „Najpierw jest krzyk wniebogłosy, a później poczucie, że coś poszło nie tak”.

Ryś, którego sam złowił przed laty i podarował Hardej, zamienił się z kota w drapieżnika. „Jak to jest kochać prawdziwe zwierzę?”. Nie musiał pytać Zgrzyta, co poszło nie tak. Dotknął krzyża na piersi. Był mokry od potu. Ryś wyciągnął łeb i chciał polizać słony krzyż. Olav go odpędził. Ryś zeskoczył na posadzkę i zaczął krążyć, obwąchując łoże.

„Droga do domu Pana nie jest szeroka i prosta. To droga kamienista i stroma, na której każdy wątpiący skręci nogę, by runąć w przepaść i przepaść — zachichotał w jego pamięci bezzębny starzec z wyspy, Hundrr — i przepaść na wieczność. Wybrańcy tylko ruszą tą drogą i On wybrał ciebie, chłopcze”.

Zgrzyt szarpał coś pod siennikiem łoża. Warknął przeciągle i wyciągnął stamtąd jakiś zabrudzony strzęp materii. Pastwił się nad nim, jakby chciał rozpruć go zębami. W migotliwym świetle łojowej lampy Olav dostrzegł na materiale starą, brunatną krew. Na Boga, co się działo w tym łożu? — pomyślał i przez chwilę zrobiło mu się żal Świętosławy. Nie zapytał ani razu, czym dla niej było małżeństwo z Erikiem. Dostając alkowę jej męża za miejsce gościny, doznawał wyłącznie ataków zazdrości i szału.

„Pragnienie, pożądanie, niespełnienie, mój chłopcze” — znów zaskrzeczał w jego głowie Hundrr.

Ubrał się i wyszedł z dworu. Poświata na wschodzie nieba zapowiadała, że nadejdzie świt. Stajenny się zbudził, gdy Olav wyprowadzał swego konia ze stajni.

— Wrócę przed południem — rzucił strażnikowi pilnującemu bramy.

Nikt go nie śmiał zatrzymać.

Gdy dotarł nad brzeg zatoki, zmrok się rozproszył, ale słońce jeszcze nie wzeszło. Jasna łuna wskazywała, którędy przebije się świt. Rozebrał się do naga i wszedł w zimne wody Mälaren. Płynął przed siebie, aż stracił grunt pod nogami. Wtedy zaczerpnął powietrza i zanurzył się.

Gdy wyszedł z wody, drżał; znów wystawił swoje ciało na próbę, jak w wodach Dniestru. Znów zmusił je do pływania bez oddechu, do pokonania oporu własnych płuc. I wyszedł zwycięski. To tylko ciało. Musi ulec duchowi.

Tego dnia postanowiła pomówić z nim przed ucztą i Olav wiedział, że to daje mu szansę. Zaprosiła go na konną przejażdżkę, sam na sam. Czekał na nią na podwórcu, przy stajni, przyglądając się, jak jej syn i Wilczan, syn Wilkomira, rzucają oszczepami do zawieszonej na palu tarczy. Chłopak Erika był zawzięty, doskonalił technikę, nie siłę. Gdy dostrzegł, że Tryggvason mu się przygląda, próbował się popisać. Niestety, na pięć rzutów cztery były chybione.

— Za bardzo spinasz bark — powiedział Olav.

Dzieciak spojrzał na niego chmurnie.

— Nie myśl o tych, którzy na ciebie patrzą — poradził mu. — Skup się na celu.

Chłopak, nie opuszczając ramienia z oszczepem, odwrócił się ku niemu i przekręcił drzewce w dłoni, kierując grot w pierś Olava. Miał oczy zwężone w szparki, a nad górną wargą lśnił mu pot.

— Tak dobrze? — spytał, celując do niego. — Teraz z całych sił myślę o celu.

Olav widział zaciętość chłopaka przechodzącą we wściekłość. Szukał na jego twarzy podobieństwa do Świętosławy. Nie znalazł. To szczenię jest obcym miotem — przebiegło mu przez głowę.

— Mierzenie do nieuzbrojonego przeciwnika to rzecz niegodna mężczyzny — powiedział spokojnie.

Dzieciak poczerwieniał.

— Och! — Za jego plecami zabrzmiał dźwięczny głos Świętosławy. — Widzę, że mój syn wziął cię na cel! Olofie, zajmij się ćwiczeniami,

a gościa pozostaw mnie!

Wyszła przed nich. Rysie trzymała na podwójnej smyczy. Uśmiechnęła się do syna i dodała:

— Poza tym król jest twym imiennikiem, to zobowiązuje.

— Kogo? — powiedzieli jednocześnie.

Roześmiała się.

— Was obu! — Pocałowała syna w czoło i kładąc dłoń na oszczepie, zdecydowanym ruchem skierowała go w ziemię. — Jedziemy? — spytała Tryggvasona.

Stajenny przyprowadził jej konia, a mały Wilczan pomógł królowej wsiąść. Olof wciąż stał bez ruchu, z oszczepem wbitym w ziemię. Gdy Olav wsiadł na konia, z jego grzbietu zobaczył, że chłopiec grotem wydrążył sporą dziurę w klepisku. Wyjeżdżając przez bramę, myślał, co jest gorsze. Nie mieć ojca, jak on, i całe życie podporządkować odzyskaniu dziedzictwa? Czy mieć je i być poddanym presji dorównania zwycięskiemu rodzicowi?

Kiedy wyjechali na przetykane wrzosami błonia wokół Sigtuny, zobaczył, że w oddali, przed i za nimi, towarzyszą im zbrojni. Spojrzał na Świętosławę. Miała na sobie prostą, wełnianą suknię w kolorze jesiennych liści. Na ramionach płaszcz podbity lisim futrem i kaptur, bo chmury mogły przynieść deszcz. Wzruszyła ramionami.

— Przywykłam — powiedziała, wskazując na zbrojnych.

— Jesteś jeszcze panią swego losu? — spytał.

Zatrzymała klacz i popatrzyła na niego oczami w barwie złota i zieleni.

— Jestem sługą królestwa. — Mówiąc to, odpięła smycz i rysie skoczyły wolno. — Ale panią swego serca. A ty, Olavie?

— Chrzest uczynił mnie sługą Chrystusa — odpowiedział. — To On rządzi moim sercem i duszą. Przysięgałem, że uczynię mój kraj

chrześcijańskim.

— Piękny cel — powiedziała i odwróciła się od niego, ruszając wolno. Zrównał z nią swego konia. Jechali bok w bok. Jej milczenie wydawało mu się złowieszcze. Nad pobliską skałą przeraźliwie łkała mewa. Rysie rozrywały jej młode na strzępy. W powietrzu wirowały pióra.

— Co odpowiesz na moją propozycję, Świętosławo?

— Czekałam na nią, Olavie — odpowiedziała cicho, patrząc przed siebie. — Czekałam na ciebie. Dawna Świętosława rzuciłaby wszystko… Wiesz, wyglądałam cię każdego dnia rejsu na pokładzie „Wyniosłej Olbrzymki”. Marzyłam o tym, że sprzeciwisz się woli mego ojca, zostawisz Geirę i razem ze swymi ludźmi dogonisz „Wyniosłą Olbrzymkę”. Pokonasz jarla Birgera, załogę i mnie porwiesz. Wyobrażałam sobie, że żyjemy na jakiejś wyspie, tylko ty i ja. To była jedynie wyobraźnia bardzo młodej dziewczyny. Potem wracałeś do mnie za każdym razem, gdy mój pan mąż… Zaciskałam powieki i pięści, udawałam, że to ty… Ale teraz mam dziesięcioletniego syna, któremu trzeba jeszcze kilku lat, żeby gotów był samodzielnie objąć władzę. Póki to się nie stanie, nie mogę go opuścić. Mam wrogów w kraju, jak każdy władca. Skorzystaliby z okazji i ja miałabym ciebie, moje dziewczęce marzenie, a mój syn straciłby królestwo. Więc jeśli pytasz, czy nadal jesteś panem mego serca, odpowiadam „tak”. I więcej, od tej nocy jesteś też panem mego pożądania.

Olav poczuł skurcz w całym ciele, jakby nie było zimnej wody o wschodzie słońca, jakby nie było zmuszenia się do panowania nad ciałem. Wystarczyło, że usłyszał z jej ust te słowa, i pragnienie zalało go falą tak silną, iż mógłby ją wziąć natychmiast, tu, na błoniach, nie bacząc na zbrojnych. Wciągnął powietrze i usłyszał, że Świętosława mówi dalej.

— …ale te wszystkie względy, o których powiedziałam wcześniej, sprawiają, że nie mogę na twą propozycję odpowiedzieć „tak”. To nie

znaczy, że się ciebie wyrzekam, Olavie.

Zatrzymała konia, zrobił to samo. Zwrócili się ku sobie twarzami. Miała smutne, szkliste oczy. W tej jednej chwili zdawała się niemal starą kobietą. „Pragnienie, pożądanie, niespełnienie, mój chłopcze”.

— Daj mi czas, Olavie. Cztery, pięć lat. To wystarczy, by możni uznali mego syna za dość dorosłego do samodzielnego sprawowania władzy. Gdy ting obwoła go królem, przyjadę do ciebie i wypowiemy słowa małżeńskiej przysięgi.

— Potrzebuję cię teraz, Świętosławo — powiedział z mocą.

Zrzuciła kaptur z głowy. Złote włosy zalśniły w słońcu. Znów była sobą. Wyszeptała gorąco:

— Więc na co czekamy? Jedźmy do szopy na przystani, do domu wioślarzy, gdziekolwiek, gdzie nikt nie będzie na nas patrzył, i obdarzmy się miłością.

Zebrał się w sobie.

— Nie możemy wszystkiego puszczać na fale pożądania — odpowiedział, choć sam oddalał ją od siebie z wysiłkiem.

Zmarszczyła brwi, policzki zapłonęły rumieńcem.

— Powiedziałeś, że chcesz mnie teraz! — odrzekła hardo.

— Gdy wrócę do kraju z żoną, chrześcijańską królową, zadanie, jakie wyznaczył mi Pan…

— Powiedz to! Powiedz wprost! Nie mnie pragniesz, ale mych wojsk! Potrzebujesz wsparcia, by odzyskać tron!

— Pragnę cię i tak, potrzebuję twych wojsk — odpowiedział. — Nie kusi cię wizja połączonych królestw? Kraju podwójnie wielkiego? Kraju, który oboje podarujemy Bogu!

— Częściej mówisz o Bogu niż o mnie! — żachnęła się.

— Bo On jest pierwszy — odpowiedział. — Człowiek nie może być przed Bogiem.

— Zatem moja propozycja powinna ci odpowiadać. — Uniosła głowę wysoko. — Najpierw zdobądź tron i ochrzcij kraj. Wypełnisz swą misję i wtedy przyjdzie czas na mnie.

Gwizdnęła i nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła przed siebie. Zobaczył, jak Zgrzyt i Wrzask biegną do niej; jak straż galopem jedzie ku Świętosławie, otacza kołem, zamyka swą królową w niedostępnym pierścieniu włóczni, mieczy i tarcz.

ŚWIĘTOSŁAWA, wjeżdżając na podwórzec dworu w Sigtunie, była rozżalona i wściekła. Chowała twarz w kapturze, nie chcąc, by Wilkomir dostrzegł jej poruszenie. Miał rację, piekielny Krzywooki! Olav chciał tylko jej siły, autorytetu i wojsk. Pytał: „Wyjdziesz za mnie?”, a nie mówił: „Kocham cię”. A niech go!

„Czy zaznam miłości u boku mężczyzny?” — spytała staruchy i przed oczami stanęły jej bezrzęse oczy, a w głowie zaskrzeczał z satysfakcją zrzędliwy głos: „Nie widziałam”.

Na podwórcu czekała na nią Dusza, w jej oczach pytania. Świętosława pociągnęła ją za rękę do alkowy i gdy Duszka pomagała jej się rozebrać, wylała z siebie całą złość.

— Nie pozwolę sobą grać! Najpierw Mieszko pan! A teraz Olav?… Czekałam na niego… Splamiłam ręce śmiercią Birgera, spaleniem zalotników… Wszystko dla niego…

Dusza zacisnęła jej dłonie na ramionach i podniosła twarz Świętosławy. Przekrzywiła głowę i potrząsnęła nią na „nie”.

— Dobrze, przyznaję — skapitulowała. — Birger i zalotnicy… moja rzecz.

Dusza potwierdziła skinieniem głowy.

— On w kółko gada o Bogu — poskarżyła się Świętosława. — Nie o mnie!

Dusza skoczyła do jej kufra. Pogrzebała w nim i wyjęła maleńki, wytarty krzyżyk. Podała go Świętosławie. Ta westchnęła, biorąc go w dłoń.

— Krzyż Dobrawy — powiedziała. — Matka pocierała go przy modlitwach o to, by ojciec naprawdę otworzył się dla Boga… Ach, przestań! — fuknęła, widząc, że Dusza składa ramiona na piersi, jakby kołysała w nich dziecko. — Masz pamięć, dziewczyno!

Dusza obróciła nią, kierując wzrok Świętosławy ku wiszącej na ścianie chorągwi Erika. Pchnęła ją pod złotego odyńca. Przygniotła do ściany.

— Starczy! — poskromiła wypominki Świętosława. — Tak, wiem! Modliłam się, by Erik zechciał się ochrzcić. A po jego śmierci dostałam Olava, który chce chrzcić bez umiaru. Ale czy Pan musi obdarzać skrajnościami?

Dusza rozłożyła ramiona. Cóż im wiedzieć.

— To nie takie proste, Duszko. Jest jeszcze mój syn.

Dziewczyna pokiwała głową.

— Dusza, przytul mnie — jęknęła Świętosława. — Przytul, bo zwariuję.

Gdy otoczyła ją ramionami, usłyszały, jak ktoś dobija się do drzwi. Duszka uścisnęła swą panią i puściła. Poszła otworzyć.

Najpierw zobaczyła proste plecy i długą brodę kapłana. Bork czekał na nią w halli.

— Harda Pani — powitał ją ukłonem. — Przynoszę wieści.

— Bądź moim gościem, nieważne, czy są dobre, czy złe — zaprosiła go na podwyższenie.

— Rognvald Ulfsson spotyka się z ludźmi — powiedział Bork.

— Ulfsson?

— Kupiec z Birki, ojciec pani Thordis — przypomniał jej starzec.

Dawnej kochanki Erika — dokończyła w myślach to, czego Bork nie powiedział głośno.

— Przy stosie króla patrzyli na mnie gniewnie, szybko opuścili pogrzebową ucztę — przypomniała na głos. — Miodu! — zawołała do służki.

Wrzask i Zgrzyt ułożyły się u jej stóp. Bork przyjął kielich. Upił skąpo.

— Rognvald oskarża cię, pani, o śmierć swoich wnuków.

— Jak śmie! — Wstrząsnęło nią.

— Prawem dziada, który stracił nadzieje na potomków. — Starzec pokiwał głową i zwrócił się ku niej, obracając całym ciałem jak ktoś, kto ma zesztywniałe barki. Jego siwe oczy były smutne. — Nie pomawia cię, żeś sama to zrobiła, nie jest głupcem. Wie, że gdy chłopcy zginęli, byłaś w Uppsali, w otoczeniu wielu ludzi. Sugeruje jednak, że ty mogłaś wydać rozkaz.

Przeklęty niech będzie Birger! — jęknęła w duszy.

— Przeciwnie — odpowiedziała spokojnie i popatrzyła mu w oczy. — Wydałam zakaz. A kiedy dowiedziałam się, że go złamano, surowo ukarałam winowajcę.

— Kto nim był? — spytał Bork, nie spuszczając z niej wzroku.

— Wiesz dobrze. Ten sam człowiek, który…

— …proponował oddanie Thordis na stos.

— Tak. Birger. Miał wiele grzechów na sumieniu.

— Czym jest grzech? — spytał kapłan Odyna.

— Przewiną wobec praw Bożych i ludzkich — odpowiedziała.

— Za złamanie prawa należy człowieka oddać pod sąd. — W głosie Borka zabrzmiała surowość. — Gdybyś to zrobiła, nikt by nie śmiał rzucać na ciebie oskarżeń, Harda Pani.

— Do władcy należy karanie winowajców.

— Ale osąd powinien być publiczny — nie ustępował Bork. — Jak go ukarałaś?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Bork tego nie wie. Jak to możliwe, że nic nie wydostało się na zewnątrz? Żadna służka nie wygadała, żaden z gości… O spaleniu zalotników już układano pieśni, ale o rozsieczeniu Birgera zamilczano. Poczuła ponurą wdzięczność do swych ludzi; do każdego, od kucharki i psiarczyka do wodzów i ich żon.

— Chcesz, bym ci się wyspowiadała? — spytała Borka.

— Co to jest spowiedź?

— Wyznanie win.

Skinął głową. Powiedziała mu, co zaszło tamtej nocy. Wychylił kielich do końca i odstawił na ławę.

— Nie widzę tu żadnych win. Widzę Hardą Panią, która broniła praw i swojej czci. To samo powiedziałem Rognvaldowi.

— Co? — zdziwiła się.

— Że uchroniłaś jego jedyną córkę przed zaszczytem stosu, więc nie możesz stać za śmiercią jego wnuków. Prawo do pomsty mu nie przysługuje. Uwierzy, ale to nie znaczy, że zaprzestanie mącenia wody wokół ciebie, Harda Pani. Niektórzy nie potrafią się pogodzić ze stratą i gotowi są przywieść kraj do bratobójczej wojny, albo gorzej, wpuścić do niego obcych.

Przypomniała sobie, co mówił Birger w noc po pogrzebie żony: „Rognvald Ulfsson wysyła łodzie do Anglii”. Poczuła zimno, jakby ktoś przystawił jej stal do piersi. Zgrzyt wstał, trącił zimnym nosem jej dłoń.

— Obcych? — powtórzyła głucho.

Bork odwrócił się od niej gwałtownie. Uniósł twarz i zaczął wpatrywać się w dym z paleniska unoszący się pod powałą halli. Poruszał głową, jakby węszył w powietrzu. Przymknął powieki, otworzył je, zamrugał.

— Ktoś się zbliża, Harda Pani — powiedział niemal z lękiem. — Nadchodzi mąż, którego poprzedza jasna, potężna hamingia.

— Hamingia?

— Moc. Duch prowadzący człowieka. — Bork wciąż wpatrywał się w dym, jakby w nim widział tę hamingię.

— To obcy, o którym wspomniałeś? — spytała niespokojnie. — Obcy, którego chce na mnie nasłać Ulfsson?

— Nie, Harda Pani. To nie ten, o którym myśli kupiec z Birki. Lecz człowiek, który nadchodzi, jest mi bardziej obcy niż…

W tej samej chwili oba rysie skoczyły w stronę wejścia do halli. Świętosława krzyknęła:

— Zgrzyt! Wrzask! Do mnie!

Ale koty jej nie posłuchały. Zerwała się z miejsca i chciała za nimi biec; wystraszyła się, że zrobią komuś krzywdę. Bork chwycił ją za rękę i przytrzymał.

— Zostań ze mną — szepnął i usłyszała w jego głosie trwogę.

Zastygła w miejscu. Do halli wbiegł z powrotem Wrzask, prychając. Za nim wszedł Olav Tryggvason, trzymając rękę na łbie Zgrzyta. Poczuła gorąco biegnące falą od łona. Olav zdjął dłoń w rękawicy z głowy rysia, wyciągnął rękę, jakby chciał się z nią przywitać, i dopiero teraz zauważył siwobrodego kapłana. Cofnął rękę i zmarszczył brwi. Bork jej nie puszczał. Wielki, siwobrody starzec, który odebrał życie jej męża, by dać je Odynowi, bał się.

— Świętosławo — powiedział Olav. — Chciałem dokończyć naszą rozmowę.

— To on — szepnął Bork.

Olav uważnie przyjrzał się starcowi. Musiał słyszeć jego szept. Zgrzyt pieszczotliwie szarpał Tryggvasona za rękawicę, jakby domagał się zabawy.

— Widzę, że jesteś zajęta — wolno powiedział Olav.

— Tak — odparła. — Później spotkam się z tobą.

Zrobił kilka kroków ku nim, nie odrywając wzroku od Borka.

— To są ci twoi doradcy, Świętosławo? — zapytał. — Ci, z którymi omawiasz nasze sprawy? Ci, którzy radzą, byś odrzuciła moją propozycję?

W jego głosie zabrzmiała groźba. Zgrzyt wciąż go tarmosił za rękę, Olav zdawał się tego nie czuć. Wrzask podszedł do niej i Borka, warknął raz, drugi.

— Jego hamingię widziałem — szepnął kapłan.

— Odpowiedz, Świętosławo — nalegał Olav. — To ten starzec odciąga cię ode mnie?

Gdyby powiedziała „tak”, Olav sięgnąłby po stal, czuła to. Zgrzyt ściągnął zębami rękawicę Olava z dłoni. Tryggvason wydarł ją z pyska rysia, nie odwracając wzroku od Borka.

— Kim się stałaś, Świętosławo? — Spojrzał wreszcie na nią.

W jego oczach zobaczyła zdumienie i gniew. Ruszył ku niej i Borkowi miękkim krokiem przymierzającego się do skoku drapieżnika. Stanął na wyciągnięcie ramienia. Poczuła woń jego skóry, gdy się znów odezwał.

— Przedkładasz kapłana Odyna nad płynące od Wszechmogącego przesłanie? Wybierasz jego rady? Dla kogoś takiego jesteś gotowa mnie porzucić?

— Milcz! — rozkazała mu. — Nic nie rozumiesz, Olavie, a naruszasz prawo gościnności. Bork jest pod moim dachem i nie wolno ci go obrażać, bo obrażasz mnie. Zamilknij, póki nie jest za późno!

Oczy Olava zwęziły się niczym oczy węża. Przez jedno uderzenie serca miała wrażenie, że słyszy syk. Wciągnął powietrze. Poczuła wściekłość i urażoną dumę bijącą od niego. Uniósł dłoń z rękawicą, jakby chciał

uderzyć któreś z nich. Bork puścił jej rękę i chwycił rękawicę Olava. Zgrzyt skoczył i ją wydarł.

— Dość! — krzyknęła Świętosława.

Do halli wpadł Wielki Ulf z obnażonym mieczem. Powstrzymała go ruchem dłoni, mówiąc:

— Kończymy rozmowę.

Tylko nie to. Tylko nie kolejny rozlew krwi. Dostrzegła bezszelestną Duszę, która niczym zjawa, cicha i przezroczysta, złapała rysie za obroże. Olav ochłonął. Gniew odpłynął z jego twarzy. Nie ruszyli się z miejsc. Stali tak blisko, że widziała każdy poruszający się mięsień. Biel jego włosów. Cień zarostu na twardo zarysowanym podbródku. Wyraźny kontur ust. Grę światła w tęczówce oka.

— Pani — powiedział zimno i spokojnie, jakby nic się nie zdarzyło przed chwilą. — Prócz angielskiego złota i srebra przywiozłem ci w darze dwie pary sokołów. Kiedyś Dunowie, najeźdźcy mego kraju, zwali Norwegię „sokolą wyspą”, bo brali od mych rodaków trybut w tych ptakach. Z tym koniec. Nie będzie trybutów, bo przybył prawowity król. Sokoły są niezawodne i wyszkolone. Wiesz, jak polują, moja pani? W parach. Samica i samiec razem wyruszają na łowy. Jedno z nich ściga ofiarę, drugie dopada i kończy dzieło. Są tak szybkie, że nikt nigdy nie mógł odgadnąć, czy zabija ona, czy on. Czy to ważne, gdy tworzą parę? Nie. Te są wyszkolone nie tylko do polowania. Potrafią znaleźć mnie wszędzie. Za trzy tygodnie możemy spotkać się u ujścia rzeki Göta, tam gdzie łączą się trzy królestwa. Jeśli będziesz chciała odpowiedzieć na moją propozycję, wyślij sokoła, a przybędę.

Boże! — jęknęła w duszy. — Nie zabieraj mi go. Olavie, nie odchodź, błagam cię!

Uniosła głowę wysoko i odpowiedziała:

— Jeśli będę miała dla ciebie odpowiedź, wyślę sokoła. Albo sokolicę.

Nie ruszyła się. Nie wyciągnęła dłoni. Nie dotknęła go. Odwracał się powoli. W jego źrenicach zalśniła tamta noc. Wczepili się w siebie wzrokiem w gwałtownym, ostatnim miłosnym akcie. Nie zamknęła oczu, gdy jego szerokie plecy zniknęły w drzwiach.

BOLESŁAW wracał do obozu z potyczki z Wieletami. Wodzowie cesarskich wojsk cenili sobie wygodę i dawne przyzwyczajenia; obóz co roku rozkładano w tym samym miejscu, na zachodnim brzegu Łaby. Próbował wybić im z głów ten beznadziejny strategicznie pomysł, ale margrabiowie wiedzieli swoje. Tłumaczenie, że Wieleci świetnie znają teren i są w stanie przygotować się do odparcia każdego ataku, gdy wiedzą, skąd wyjdzie, przyjmowali za przejaw buntownictwa. „Chcesz, książę, walczyć z dzikimi jak dziki” — prychał pogardliwie arcybiskup magdeburski Gizyler. „To barbarzyńcy — z wyższością mówił Gebhard. — Trzeba im pokazać naszą przewagę. Siłę”. Bolesław, wychodząc z każdej narady wojennej, powagę utrzymywał tylko, póki na niego patrzyli. Potem śmiał się z przyjaciółmi: „Panowie Rzeszy zapomnieli, że sami wyszli z barbarzyńskich, germańskich plemion. Wieleci kpią z ich pokazu siły”. Zarad wyrażał się o tym jeszcze dosadniej: „Poganie latem idą na żniwa, a jesienią na panów Rzeszy”. Ale najwięcej racji miał Jaksa, mówiąc: „Te wyprawy, zamiast zgnieść Wieletów, dają im siłę”. Jaksa, Redar z pochodzenia, wiedział, w czym rzecz, i tak było.

Siła Wieletów brała się z nieustającej wojennej gotowości. Kapłani wieszczący, iż to bogowie wybierają wodzów, utrzymywali najlepszych wojowników w stanie ciągłej zdolności do walki. Każdy z nich chciał się wykazać, przegrana oznaczała bowiem odsunięcie od dowodzenia i władzy. To kapłani rządzili Wieletami, stawiając ich w nieustannej kontrze do cesarstwa, hartując gniewem i poczuciem zagrożenia, tak jak kowal hartuje

stal. Dzięki tej ciągnącej się od ponad dziesięciu lat wojnie Wieleci stali się doskonałymi wojownikami, chociaż uzbrojeniem nie byli w stanie dorównać siłom cesarskim. Prawdą było i to, że waleczni poganie w czasie pokoju nie potrafili żyć. Ich kapłani doskonale o tym wiedzieli, prowadząc swych wojowników co roku w bój.

Udział w wyprawie na Wieletów był dla Bolesława „opłatą za spokój", obowiązkiem księcia wobec cesarza. Nużącym obowiązkiem, bo gdyby jemu powierzono dowództwo, rozprawiłby się z Wieletami w rok. Nie po raz pierwszy odnosił jednak wrażenie, że dla panów Rzeszy Wieleci, choć kłopotliwi, są w gruncie rzeczy przykrywką. Margrabiowie i grafowie czynili przed cesarzem taki zgiełk, jakby ta coroczna potyczka była wojną o wszystko. W zamian za swój udział dostawali wolną rękę do własnych działań. Ten rok mógł jednak zmienić wiele, bo młody król Otto III postanowił osobiście wybrać się przeciw Wieletom, już nie jako sześciolatek, któremu wielbłąda dał Mieszko, lecz jako piętnastolatek, niemal mężczyzna, a w każdym razie samodzielnie władający pan. Ten spektakularny gest następcy tronu miał i dla niego samego ważny wydźwięk — wszak w kolejnym roku, wraz z uzyskaniem pełnoletniości, planowana była w Rzymie jego cesarska koronacja.

Z tego powodu w obozie nad Łabą zjawili się niemal wszyscy. Książę saski Bernhard I z rodu Billungów, Gizyler, arcybiskup magdeburski, i jego sufragan miśnieński Idzi, margrabiowie Gero i Liuthar. Największy oponent cesarza, słynny kłótliwy książę bawarski Henryk, który w dzieciństwie porwał Ottona i usiłował odebrać mu tron, w drodze na wyprawę zmarł. To pozwoliło nie pojawić się jego synowi, też Henrykowi, a jakże. W zamian książęta bawarscy przysłali biskupów Ratyzbony i Fryzyngi. Bolesławowi, prócz jego osobistej drużyny i wojsk, towarzyszył nowy stronnik, książę libicki Sobiesław Sławnikowic. Sobiesław pochodził ze starego czeskiego

rodu, który od pokoleń rywalizował z Przemyślidami o wpływy w Czechach. Gdy brat Sobiesława, Wojciech, został biskupem Pragi, znaczenie rodu wyraźnie wzrosło, co z niepokojem śledził władca Czech. Sam zaś Bolesław zyskał nad Wełtawą cennego sojusznika. Przydało się, gdy walczył z Czechami o Małopolskę, gdy zajmował Śląsk. Teraz, w geście wdzięczności, zabrał Sobiesława ze sobą.

„Poznasz cesarza, przyjacielu. Kilku koszmarnych, acz wpływowych biskupów. Kto wie, kiedy te znajomości mogą ci się przydać?” — powiedział Sławnikowicowi, a ten zebrał swój libicki hufiec i ruszył z nim.

Teraz ramię w ramię wracali z udanej potyczki, wioząc na wozach za wojskiem kilka stanic pokonanych Wieletów.

— Otto lubi takie podarunki? — spytał go Sobiesław, gdy wjeżdżali przez bramę obozu.

— Pokaż mi władcę, który wzgardzi dowodami wygranej. — Bolesław wzruszył ramionami. — Obwiesi nimi jakąś kaplicę w Rzymie, a może nawet podaruje papieżowi z okazji swej koronacji. Kto tam, w dalekim świecie, będzie wątpił, iż mały Otto zdobył je na poganach sam? Nie mam złudzeń, i ty też się ich pozbądź, przyjacielu. To pomaga w sprawowaniu władzy.

— Nie żal ci, że ktoś przywłaszczy sobie twoje zwycięstwo?

Bolesław się roześmiał. Czuł się bardziej znużony jazdą na bitwę i powrotem z niej niż samą potyczką. Nie stracił ani jednego człowieka i na poczet szkód mógł zaliczyć tylko złamaną nogę jednego z koni.

— Czy książę Czech, mój wuj Boleslav, raczył już przybyć z Pragi? — spytał wartowników przy drugiej bramie obozu.

— Nie, najjaśniejszy panie. Przysłał swego syna, któremu na imię… — Wartownik się zastanowił.

— Też Boleslav. — Sławnikowic kiwnął głową i odwrócił się do Bolesława. — Dlaczego nie przyjechał osobiście?

Książę się zastanowił. Czyżby nieobecność wuja miała związek ze śmiercią bawarskiego księcia? Od czasu słynnego buntu przeciw Ottonowi i Teofano ci dwaj trzymali się razem. Tak czy inaczej, to był niepokojący znak.

Nieobecność czeskiego księcia odnotowano podczas wieczornej uczty. W wielkim namiocie Ottona przy nakrytych złotogłowiem stołach zebrali się wszyscy książęta, biskupi, margrabiowie i wodzowie wojsk. Miejsce króla na podwyższeniu było puste.

— Za wysokie progi — jęknął speszony Sobiesław, gdy weszli i kierowali się ku przeznaczonym dla nich miejscom.

— Daj spokój. Obiecuję ci, że mimo złotogłowiu na stole po dwóch kielichach wina poczujesz się jak na pierwszej lepszej uczcie. I nie licz na to, że jadło z cesarskiego stołu będzie smaczniejsze niż to, które gotują u ciebie w Libicach. Gizyler kocha krwawe kiszki, bo to pewnie jedyna krew, jaką samodzielnie przelał. Biskup Idzi zajada się boczkiem z czosnkiem i pieczoną cebulą, nigdy nie siadam koło niego na ucztach. Margrabia Gero przedkłada piwo nad wino, ale się tego wstydzi, więc spójrz, ma dwa kielichy. W jeden leją mu trunek słudzy Ottona, a w drugi jego ludzie. Pije za dwóch, je za trzech i beka jak mój stajenny. Gdy wniosą pieczone prosię, sam pochłonie pół. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Dlaczego nie przybył stary książę Boleslav — odpowiedział ponuro Sławnikowic i zajęli miejsca.

Stół na razie zapełniała tylko zastawa. Margrabiowie swobodnie rozmawiali, oczekując Ottona.

— …wikingowie zrobili się bezczelni! — złościł się książę saski Bernhard Billung. — Ośmielili się wpłynąć Łabą do słodkiej Saksonii!

Palili, grabili, gwałcili…

— Wikingowie w Saksonii? — zaciekawił się Bolesław. — Może to zwykli piraci?

— A gdzieżby! — fuknął gniewnie Billung. — Długie, smocze łodzie stworzone do penetracji rzek. I miałem pytać, drogi nasz Bolesławie, czy ci coś o tym wiadomo?

— Mnie? — zdziwił się Bolesław. — Skąd!

— Czyż nie kontrolujesz warowni Jomsborg? Może to twoi podopieczni, co?

Gdyby to byli żelaźni chłopcy Sigvalda, nie siedziałbyś teraz z nami, Bernhardzie Billungu — pomyślał Bolesław.

— Zapewniam cię, że nie mam z tym nic wspólnego, lecz gdybyś raczył mi nie wierzyć, książę, chętnie zapoznam cię z metodą walki którejś z jomsborskich drużyn. Życzysz sobie?

— Nie — wściekle odsapnął Billung i sięgnął po kielich. Odstawił go jeszcze bardziej gniewny. Naczynie było puste; póki król nie da rozkazu, wino nie popłynie.

— Stawiałbym raczej na rozpoznawczy wypad króla Svena. Młody Duńczyk wrócił z Anglii, by objąć władzę w ojcowiźnie — odezwał się margrabia Ekkehard. — Może chciał przy okazji sprawdzić, czy Łaba równie żeglowna jak Tamiza.

— A Hamburg tak samo bogaty jak Londyn! — dorzucił ktoś z końca ławy.

Wokół stołów rozbrzmiał śmiech. Tylko Billung pozostał chmurny.

— Mówią, że Sven obłowił się na królu Ethelredzie. Sumy okupu, jakie się wymienia, są wprost oszałamiające. — W oczach arcybiskupa Gizylera zalśniła chciwość. — Dwadzieścia tysięcy funtów srebra, słodki Jezu!

— Plotka rośnie szybciej niż zielsko przy drodze — odezwał się Bolesław. — Sven Haraldsson i Olav Tryggvason wzięli szesnaście tysięcy na spółkę.

— Ach! — wrzasnął Billung. — I to mówi nasz niewinny książę, który ponoć nie ma nic wspólnego z wikingami!

— Nic prócz siostry! — zarechotał rudobrody Przemyślida, książę Boleslav.

— Nie tykaj Świętosławy — pogroził mu Bolesław. — Jesteś z nami zbyt blisko spokrewniony, wujeczny bracie. A wieści mam z pierwszej ręki, od jomswikingów. Zawarcie znajomości z nimi już proponowałem, nikt się nie wyrywał.

— Czy to prawda, co mówią, że Tryggvason przyjął chrzest z rąk króla Ethelreda? — spytał go Ekkehard.

— Sądzę, że raczej z rąk biskupa — Bolesław uśmiechnął się złośliwie — ale, jak mówisz, przy pośrednictwie króla. Za zwyczajową stawkę.

— Zwyczajową? — nie krył zdumienia arcybiskup Magdeburga. — A ile?

— Nie chciałbym rujnować światopoglądu waszej świątobliwości — Bolesław zachował powagę — ale w przypadku wikingów jest na odwrót. To nie oni płacą biskupowi za chrzest, ale im się płaci za to, że zechcą się ochrzcić.

Ekkehard, Billung i pozostali świeccy goście parsknęli śmiechem. Biskupi zacięli usta. Bolesław nie dodał, że Olav zgodził się poniechać najazdów na Anglię. Wolał zostawić Gizylera w nieświadomości. Zresztą dał się słyszeć donośny dźwięk trąb, co znaczyło, że królewski młodzian, Otto III, który niebawem zostanie władcą połowy świata, raczył ich wreszcie zaszczycić swą obecnością. Piętnastoletni, złotowłosy Otto zajął miejsce na podwyższeniu.

— Sam? — szepnął do ucha Bolesława Sobiesław zaskoczony tym, że władca nie siedzi ze swymi możnymi.

— Bizantyjskie zwyczaje — wyjaśnił mu cicho książę. — Przyszły cesarz już sugeruje, że jest na wpół boski.

— Nie wiem, czy boski, ale widzę, że piękny jak dziewczyna — szepnął z podziwem Sobiesław.

Oby bardziej waleczny — westchnął książę w duchu. O uczonych i religijnych zapędach Ottona krążyły legendy, ale cóż się dziwić? Dzieciak koronowany w wieku trzech lat, otoczony największymi uczonymi świata, od urodzenia wychowywany na władcę. Bolesław nie widział go od czasów wielbłąda. Tamten Otto był chłopcem, który omal nie przewrócił się pod ciężarem korony. Ten dzisiaj był smukłym młodzieńcem o alabastrowo białej cerze. Przedstawiano ich Ottonowi kolejno.

— Bolislaus Dux Sclavorum — zapowiedział go herold i gdy Bolesław podniósł głowę, ich oczy się spotkały.

Psiakrew — zaklął w duchu Bolesław — tak wyobrażam sobie archanioły, ale ten chłopak jest żywy.

— Zmieniłeś się, książę — powiedział Otto.

— Ty też, królu — odpowiedział Bolesław. — Jak się miewa wielbłąd?

— Padł. Moja szlachetna matka powiedziała, że z tęsknoty za swoją ojczyzną.

Skoro zdechł, gdy żyła Teofano, to znaczy, że nie pociągnął za długo — szybko obliczył Bolesław.

— Nie wątpię, że cesarzowa wiedziała, co mówi — odpowiedział głośno. — Następnym razem pozwolę sobie podarować jego wysokości jakieś wytrzymalsze zwierzę.

— Twój ojciec, książę Misico, nie rozstawał się z jastrzębiem, jak pamiętam.

— I zabrał go ze sobą do grobu. Ptak nie przeżył śmierci Mieszka pana. Widziałeś kiedyś, królu, ogniste, przedśmiertne ślepia jastrzębia?

Oczy Ottona zapulsowały blaskiem. Ten chłopak ma w sobie coś dziwnego — pomyślał Bolesław

— A ty, Bolislaus? Udomowiłeś sobie drapieżnego ptaka, gdy objąłeś tron? — spytał.

— Nie, królu. Nie chcę oswajać drapieżnika, bo to tak, jakbym odebrał mu sens istnienia. Ale, jeśli pytasz, powiem ci coś. Moim ptakiem jest orzeł.

— Tak? — ożywił się Otto. — Orzeł to także cesarski ptak. Wiele nas łączy, Bolislaus.

No nie wiem — pomyślał Bolesław, ale zostawił to dla siebie.

Gdy przedstawiono Ottonowi Sobiesława, król przypomniał sobie jego brata, biskupa Pragi, Wojciecha.

— Nie miałem pojęcia, że święty mąż ma brata wojownika. Jestem rad, że cię widzę, panie, bo biskup Pragi jest mi nad wyraz drogi. To mistyk w ciele śmiertelnika. I tak okrutnie obszedł się z nim los.

— Nie los, najjaśniejszy panie — grzecznie, ale stanowczo powiedział Sobiesław. — Ale stary Boleslav, książę Czech. Mój brat, będąc biskupem Pragi, w istocie sprawował władzę w kraju na wskroś pogańskim.

Bolesław zerknął na Rudego, syna oskarżonego przed chwilą księcia. Kuzyn płonął rumieńcem, lecz bynajmniej nie był to objaw wstydu.

— Pomówimy o tym, książę libicki, w stosownym czasie — zamknął sprawę Otto. — Pamiętaj, że los twego brata, który porzucił biskupstwo, jest mi drogi. Nie pozwolę, by stała mu się krzywda. — Bursztynowe oczy Ottona spoczęły na czerwonym z wściekłości synu księcia Czech.

Gdy skończyła się przydługa prezentacja zebranych, zaczęły się modły. Bolesław mamrotał łacińskie słowa i nudził się. Mógł tylko podziękować

w duchu Bogu, że w Poznaniu ma biskupa Ungera. Kościsty duchowny, choć przez lata sprawował posługę opata w cesarskim klasztorze w Memleben, prezentował zupełnie odmienny typ religijności. Jego modlitwy bardziej przypominały wojskowe komendy niż kwieciste psalmy. Unger, sprawując liturgię, pośredniczył między Bogiem a Bolesławem w twardej wymianie zdań. Uczczenie Boskiej Istoty było wyznaniem wiary, a ta pozostawała prywatną sprawą Bolesława. On i Bóg. Krótko i na temat. „Godność Boga nie tkwi w długości zawiłych komplementów boskości — mawiał Unger — lecz w bezwzględnym uznaniu Jego prymatu nad rodem ludzkim. Ty i ja. Starczy”.

Wreszcie zaczęto ucztę. Słudzy nalewali wino, a z obozowych kuchni przyniesiono półmiski jadła.

— A niech to! — jęknął Sobiesław, patrząc na margrabiego Gerona. — Pół prosiaka naraz! Miałeś rację.

— Żarcie okropne, ale wino niezłe. — Bolesław podniósł kielich.

— A narada wojenna kiedy? — spytał Sławnikowic.

— Niekoniecznie dzisiaj, przyjacielu. Może tak, a może jutro. No co się dziwisz? Witaj w wielkim świecie, Sobiesławie! Tutaj nie liczą się koszty i czas. Oto cesarstwo, kraina przekładania pergaminów, przystawiania pieczęci, robienia dobrej miny do kiepskiej gry. Ty i ja nie mamy na to czasu, ale trzeba znać zasady i grać według nich. Tu trzeba każdą rzecz przedyskutować, a to znaczy, że głos zabierze każdy, nawet ten, który nie wie, o czym będzie mówił.

— Chryste, Bolz! A kto będzie walczył z Wieletami, kiedy my tutaj, pod sztandarem wojny, będziemy radzić i robić miny?

Bolesław się zaśmiał i szepnął przyjacielowi na ucho:

— Dowództwo powierzyłem Zaradowi, a zwiad prowadzi Jaksa, wiesz, redarski wilk. Nie bój się. Moi ludzie pracują, podczas gdy my bierzemy

udział w cesarskim widowisku. Z moimi są wojownicy margrabiego Miśni, Ekkeharda. To jedyny człowiek z tu zgromadzonych, o którym mogę powiedzieć „wódz”. Ale nie wygadaj się. To taka moja i Ekkeharda tajemnica. Billung dostałby ataku serca, gdyby wiedział, że Wieletów można dopaść nie w polu, lecz zaskoczyć w ich własnym obozie. Wszak od lat utrzymuje przed cesarstwem co innego. Napij się wina, rozluźnij i ucz, jak pracuje Rzesza. Choćby po to, byś nigdy własnym ludziom nie pozwolił na taką samą bzdurę.

Gdy wreszcie uczta się skończyła, Bolesław zaprosił Sobiesława do swego namiotu.

— No i nie osiągnęliśmy nic, czyli podsumowując: jak zawsze! — powiedział, gdy weszli.

Duszan, nie pytając, podał im po rogu z miodem. Psy Bolesława zakręciły się wokół jego nóg. Potarmosił ich potężne łby.

— Meleš sračky a hovno z toho. — Sobiesław smętnie pokiwał głową.

— Jak musisz za potrzebą, to za namiot! — przestrzegł go Bolesław.

— Nie, druhu, tak się u nas mówi. Gadanie jak w Rzeszy. Przyzwyczajam się.

— Głodni? — domyślił się Duszan. — Mam pieczoną sarninę.

— Dawaj! — krzyknęli jednocześnie.

Nie zdążyli zatopić w niej zębów, kiedy psy zaczęły ujadać. Do namiotu wpadł Bjornar.

— Książę! — krzyknął. — Pali się!

— Gdzie? — Bolesław i Sobiesław się zerwali.

— A nie, siądźcie — uspokoił ich Bjornar. — Przesadziłem. Chociaż nie.

— Zdecyduj się, rudzielcu! — Bolesław sięgnął po róg, a Duszan szybko nalał miodu swemu księciu.

— Wybacz, panie. Zajechałem dwa konie w drodze z Jom. Mam wieści z Sigtuny.

— Mów. — Bolesław odsunął od siebie pieczeń. Jeden z jego psów zaskomlał. Zrzucił mu kawał sarny.

— Król Erik Segersäll nie żyje. Do twej siostry zaczęli zjeżdżać zalotnicy. Królowa wdowa to łakomy kąsek…

— Chcesz oberwać? — Bolesław rzucił się znad stołu. — Mówisz o mojej siostrze!

— Nie, panie! To znaczy, możesz mi przyłożyć, jeśli chcesz, ale nie obrażam Hardej Pani! Powtarzam tylko wieści…

— Ach, dobra… — Opadł na ławę i wskazał mu miejsce naprzeciw. — Mów.

Bjornar usiadł i otrząsnął się. Nagle zmarszczył brwi.

— Książę! Jak mogłeś?…

— Co? — warknął Bolesław.

— Nic. — Bjornar poczerwieniał. — Nic. Zalotnicy… królowie małych krain… Wiesz, jak to na Północy. Pięć skał i zwie się „król”. Pognała wszystkich. Potem… tylko się nie złość, Burizleif… ja tylko powtarzam wieści, nie ścinaj łba posłańcowi…

— Mów! — ryknął Bolesław.

— Przybyli Harald, pan z Opplandu, i Vissivald, pan z Gardarike, czyli Wsiewołod, nieślubny syn kniazia Wladimira. I obrazili twoją siostrę… i puściła ich z dymem…

— Co?! — nie zrozumiał.

— Spaliła — uspokoił go Sobiesław.

— Tak, tak. W łaźni — wyjaśnił Bjornar, jakby to miało być okolicznością łagodzącą.

— Jezu Chryste. To mord. Świętosława splamiła ręce krwią — uprzytomnił im Bolesław.

— Być może tak to należy ująć w świetle naszych praw, ale w Sigtunie poczytano to za… — Bjornar się zawahał. — Zaszczyt? Obowiązek? Prawo? No, w każdym razie, do Jom przywieziono pieśń o królowej Sigridzie Storrådzie palącej zalotników… Tyle że ja nie o tym, książę mój. Wilkomir, którego mianowałeś doradcą swej siostry, pyta, za kogo powinna wyjść. Przesłał wiadomość, że przybył do niej osobiście Olav Tryggvason.

Olav — pomyślał Bolesław i przed oczyma stanął mu dwór myśliwski. Oni we troje. Grzyby, miód. Tak. Połączenie Szwecji jego siostry i Norwegii Olava byłoby jak młot na Danię Svena. Tak, tak. To świetna myśl.

— A ona? — Bolesław poczuł, że trzeźwieje mimo wypitego miodu. — O co pyta moja siostra?

— O nic, panie.

Bolesław nie spodziewał się, że siostra poprosi o radę. Pamiętał jej dziewczęcą fascynację rządzącą samodzielnie cesarzową wdową Teofano. Unosząc róg, pił za nią oraz Ynglinga w jej łożu, za zjednoczenie dwóch królestw. Mieszko w przedśmiertnej wizji wskazał Świętosławie północ i zachód.

— Chciałbym poznać twą siostrę — przepił do niego Sobiesław. — Szkoda, że jestem tylko księciem libickim. Gdybym był władcą całych Czech, poprosiłbym o jej rękę i zadzierzgnęlibyśmy więzy rodzinne.

— Piękna myśl, ale, jak sam widzisz, za późna. Świętosława posiała ziarno na północy i tam będzie zbierać plon.

Do namiotu wszedł druh Bolesława, Lutom.

— Książę, coś się dzieje. Twój czeski kuzyn z małym oddziałem właśnie opuścił obóz.

— Wojsko zostawił?

— Tak. Prawdopodobnie pod dowództwem Petra, tego pana z Brna, bo przy jego namiocie panował największy ruch. Ciężko było cokolwiek podejrzeć, pogasili ogniska w całym obozie. Wyjechały nie więcej niż dwie dziesiątki ludzi. No i sam młody książę.

— Skoro zostawili wojsko — odezwał się z namysłem Sobiesław Sławnikowic — to znaczy, że jakaś sprawa prywatna. Gdyby rzecz była w zmowie z nowym księciem bawarskim, w jakimś knuciu przeciw cesarstwu, zabraliby siły wojenne.

— A może tak jak nasi i Ekkehardowi ludzie Czesi poszli na samodzielny wypad? — zastanowił się Lutom.

W tej samej chwili przed namiotem zaczęły ujadać psy. Pełniący wartę Ostrowod zameldował:

— Posłaniec szuka księcia Sobiesława.

— Daj go tu — machnął ręką Sławnikowic.

Do namiotu wbiegł człowiek w pokrytym błotem ubraniu. Dyszał ciężko i przez chwilę mrużył oczy od światła.

— Ktoś ty? — spytał Bolesław.

— Oldrzych, panie.

— Byłeś kiedyś kasztelanem mego brata, Spytymira — poznał go Sobiesław.

— Tak, panie. Jechałem dzień i noc, bez ustanku, by przywieźć ci okropne wieści…

— Mów, śmiało. — Sobiesław kiwnął głową. — No, mówże!

Dłonie Oldrzycha drżały, padł na kolana.

— Panie!… Oto stał się mord! Najechali nas Wrszowce. Gród był bezbronny… Przyrzekli, że nikogo nie skrzywdzą, jeśli pan Spytymir otworzy bramy… A potem, Jezu Chryste!… Twoi bracia z żonami i dziećmi

schronili się do kościoła, ale Wrszowce pohańbili kościół… Wymordowali wszystkich… Spytymira, Pobrasława, Czasława… ich żony, dzieci, nawet niemowlęta do ostatniego dziecka… nie ocalał nikt… Wymordowali książęta libickie… do cna…

Sobiesław zerwał się, odrzucając sarnie żebro i róg z miodem.

— Cała moja rodzina! — zawył. — Gorze!… Zemsta!…

— Wrszowce? To psy mego wuja! — krzyknął Bolesław. — Teraz jasne, czemu stary Przemyślida nie przybył na wojnę!

— Nie mam rodziny!… — charczał dziko Sobiesław, trzymając się za głowę. — Nikt nie przeżył? Ach… Ocalał Wojciech!… i Radzim — zajęczał. — Ocaleć musieli, bo nie było ich w domu, są w Rzymie…

Sobiesław rzucił się ku wyjściu z namiotu. Bolesław złapał go od tyłu za ramiona. Sławnikowic się wyrwał. Oczy nabiegły mu krwią, w kącikach ust zalśniła piana. Był dzikim, wielkim, śmiertelnie zranionym zwierzem. Książę złapał go w pasie, uniósł i potrząsnął nim, krzycząc:

— Stój! Ocalałeś ty, bo jesteś ze mną! Stój, ocalałeś!…

SVEN wypływał w pierwszy rejs na „Poławiaczu Wiatrów”.

— Zobaczymy, ileś jest wart! — Klepnął burtę, gdy wskoczył na pokład.

Teraz patrzył, jak olbrzymi żagiel „Poławiacza” wydyma się od wiatru. Za nim, jak okiem sięgnąć, kołysała się wielka flota. Duża setka statków ruszała za swym królem na wschód.

Po powrocie z Anglii „Krwawy Lis”, jak stwierdził Jorun, nadawał się wyłącznie do porąbania na opał, ale Sven stanowczo tego zakazał. Na pokładzie „Lisa” zdobył wszystko, co do tej pory miał, i stara łódź była dla niego jak brat. Rozkazał ją odnowić, nie licząc się z kosztami. Kiedy będzie siwobrodym staruchem, każe się spalić na jego pokładzie. Siwobrody król Sven! Dobre.

Śmierć Erika Segersälla była podarunkiem losu tak nieoczekiwanym, że w pierwszej chwili nie mógł w nią uwierzyć. Nie miał wiele czasu na przemyślenie strategii; wiadomość, że wielki Szwed nie żyje, zastała go, gdy kończył pakowanie angielskich skarbów i zwijał obóz z wyspy Wight. Ruszył tak szybko, że nie zabrał słodkiej, rudowłosej Mary. A niech to, nawet nie miał takiego zamiaru. Mary była dobrą kochanką dla wodza Dwóch Królów, ale nie dla samego króla!

Przypłynął do Limfiordu, gdzie czekał na niego Gunar, dawny druh. Powitał Svena uroczyście, krzycząc: „Wrócił prawowity król!”. A potem przedstawił mu synów, żonę, córki, braci i całą resztę możnych ze swych ziem. Sven jednak dość już przeżył ucieczek, wygnań i zdrad, by ufać komukolwiek poza sobą samym. Jak zmienił się kraj podczas jego wygnania? Gunar dowiódł swej lojalności przed laty, ale wobec kogo będzie wierny dziś?

W czasie gdy Sven pił z nim na powitalnej uczcie, Jorun z garstką zaufanych zwiadowców wmieszał się w tłum. Przez całą noc upijali ludzi i rozpytywali, a nad ranem z wciąż trzeźwą głową pojawił się przy Svenie i szepnął:

— Gunar był ci wierny. Thorgils z Jelling też. Jarl Stenkil z Hobro, Ragn z Wysp, Uddorm z Viborga… to imiona wszystkich dawnych i wciąż lojalnych przyjaciół. Imiona wrogów to: Vigmar, bogacz z Ribe, i jego brat, biskup Oddinkarr. I Czarny Ottar, wygnaniec z Lejre, żonaty ze słynną Arnorą, który podczas twej nieobecności nie raz chełpił się tym, że nim nastały czasy dynastii Skjoldungów z Jelling, to panowie z dawnego Lejre rządzili krajem. Vigmar w Jutlandii, a Ottar na Zelandii dawali oparcie namiestnikom króla Erika. Biskup Oddinkarr trzyma z Sasami, ale oskarżyć o zdradę go nie możesz, bo stoi za nim murem arcybiskup z Bremy i ściągniesz sobie wojska cesarskie na łeb.

To, czego wywiedział się Jorun, zgadzało się z tym, co mówił Gunar. Przez kolejne dni przybywali do niego dawni stronnicy i radując się z powrotu władcy, oddawali mu hołd. Pił, ucztował, rozdawał hojne dary, przyjmował przysięgi lojalności i od razu wymagał jej dowodów. Thorgilsowi z Jelling nakazał pojmanie wszystkich ludzi króla Erika. Namiestników, poborców podatków i stronników. Nie pozwolił ich zabijać, chciał ich żywych. Uddormowi polecił sprowadzenie swej przyrodniej siostry, Tyry. Wiedział, że chudej, długonosej suki, która knuła przeciw niemu niejeden raz, nie może tknąć, bo zrobiliby z niego mordercę siostry, ale mógł ją zaprosić na swój dwór, trzymać przy sobie i patrzeć jej na ręce.

— Prędzej czy później Tyra doprowadzi cię do pozostałych wrogów — powiedział mu Thorgils. To była rada cenna i słuszna.

Nie zwlekał, opuścił gościnne progi Gunara i z Limfiordu udał się na Zelandię. Król musiał objąć swą siedzibę! Gdy płynął do Roskilde, poczuł, jakby cofnął się czas. Do tamtej zimowej nocy, kiedy spieszył zabić ojca, odebrać mu władzę. Wtedy żagle „Lisa” wypełniał po równo wiatr i gniew. Teraz wracał do domu jako zwycięzca, ten, który pokonał nie tylko własnego ojca, ale i angielskiego króla na jego własnej ziemi. Dwór w Roskilde zastał takim, jaki pozostawił przed laty, gdy po długich uroczystościach pogrzebowych Haralda opuszczał go, by walczyć z najazdem Erika. Dotknął pięknych, rzeźbionych w dębie kolumn. Z ich szczytu patrzyły na niego wizerunki dwóch kruków Odyna. Hugin i Muninn, wszystkowiedzące ptaki.

Jaka przyszłość mnie czeka? — spytał w duchu, przekraczając próg, i odpowiedział sobie sam: — Najlepsza!

Objął władzę w Roskilde bez najmniejszych przeszkód. Znów, jak na Jutlandii, wyprawiał uczty, gościł stronników, przyjmował przysięgi na wierność. Melkorka, stara gospodyni dworu, a jak mawiali niektórzy,

kiedyś i kochanka jego ojca, przyprowadziła do niego niedużą dziewczynkę o płomiennych włosach.

— Matka nazwała ją Gydą — przedstawiła dziecko skrzekliwie. — I powiedziała: gdy wróci król, oddajcie mu córkę. Nie doczekała cię, panie, zmarła na gorączkę zeszłej zimy.

— Jak jej było na imię? — zapytał Sven, pamiętając, iż w tamtym czasie niejedną pannę brał do łoża.

— Runa, mój panie. Jasnowłosa piękność, córa Hauka z Trelleborga.

Jasnowłosa? Czy to była ta z drobnym biustem, która całując go, płakała?

— Co z tym Haukiem? Dlaczego rodzina matki nie wychowuje wnuczki?

Melkorka wydęła policzki, a dziewczynka skuliła ramiona.

— Wygnali piękną Runę, panie. Córka z brzuchem, męża brak. — Gospodyni rozłożyła ramiona.

Przyjrzał się małej. Nie znał się na dzieciach, nie umiał ocenić, ile Gyda ma lat. Sześć czy osiem? Była szczupła, niebieskooka i ruda jak on.

— Melkorko, przysięgasz, że to moja córka?

Stara sapnęła.

— Jej matka była porządną dziewczyną, póki nie zawrócił jej w głowie pewien młody, rudobrody król.

Sven uznał Gydę przed całym ludem za swoje dziecko. I powierzył jej wychowanie z powrotem Melkorce. Dzień w dzień płynął szybko, miał do odrobienia lata nieobecności w królestwie i wśród wielu spraw rosnący pod samym bokiem problem: Czarnego Ottara, wygnańca z Lejre.

Nim jego dziad, Gorm, zjednoczył kraj pod swymi rządami, panowie z Lejre byli potęgą. Gorm wygnał ich na wyspy i zmusił, by ugięli kolana, a jego ojciec, Harald, przyjmował od nich hołdy. Ale wystarczyły te lata bezkrólewia, by dawne ambicje wygnańców z Lejre odżyły. Czarny Ottar był starcem, ale miał synów. I żonę, Arnorę, której ród dzierżył władzę

w zamierzchłych czasach legendarnych klanów. Najstarsze pieśni mówiły o tym, że wśród przodków Arnory byli: i słynny Sigurd Wężowe Oko, i wcześniej król Hrodgar, a skoro on, to znaczy, że w rodzie starej damy był i jego bękart, potwór Grendel zwany Szlifierzem Ludzkich Kości. Sven miał gdzieś opowieści o potworach z głębin, ale wiedział, że musi rozprawić się z Czarnym Ottarem i jego synami, bo tolerowanie pod swym bokiem tych ludzi i ich pradawnych ambicji było niebezpieczne. Miał też świadomość, że równie groźne jest pozbycie się ich. I postanowił, że wykorzysta jednego wroga do zniszczenia drugiego. Wezwał do Rosklide Vigmara z Ribe i jego brata, biskupa Oddinkarra. Postawił im równy ze zdradą zarzut buntowania się przeciw prawowitemu królowi, a potem wspaniałomyślnie dał szansę odkupienia win: kazał zabić Czarnego Ottara i jego synów. Oddinkarr się zżymał, wzdragał, powoływał na chrześcijańskie miłosierdzie, ale Sven trafił biskupa w czuły punkt: rodzina z Lejre była najstarszą ostoją odynicznego kultu.

— Arnorę też? — trzeźwo dopytał Vigmar z Ribe.

— Nie — odrzekł Sven. — Jest zbyt stara, by wydać na świat potomstwo. Po kres swych dni będzie żyła na mym dworze, ku przestrodze tym, którym się zachce buntu. Może będę ją wystawiał na widok publiczny w kościele w Roskilde? — Zaśmiał się i dostrzegł przerażenie w oczach biskupa.

— Królu — wyszeptał pobladły Oddinkarr. — Takie coś się nie godzi. Kościół to nie miejsce…

Sven przerwał mu gniewnie:

— Nie pouczaj mnie, klecho. Wiem, czym jest kościół, i że niejeden gwałt w nim popełniono. Mnie ochrzczono w dzieciństwie, nie pytając o zdanie. Ostrzegam cię: nie twórz mi państwa w państwie. Wiem o twoich konszachtach z Sasami, z arcybiskupem Bremy!

Oddinkarr otworzył usta, ale nie zdążył zaprotestować. Sven był szybszy, chwycił go za podbródek i syknął:

— Milcz, to nie odbiorę ci biskupstwa w Ribe.

Puścił biskupa i gwałtownie odwrócił się ku Vigmarowi, wskazując na niego palcem.

— Milcz i rób, co każę: Czarny Ottar i jego synowie. A starą chcę na powrozie.

Nie ufał biskupowi ani jego bratu, ale po trzech dniach ich słudzy przywiedli Arnorę i trzy odrąbane głowy na wyścielanym wilczą skórą wozie. Wtedy uznał, że kraj ma opanowany. Przeciągnął się i poszedł na nabrzeże sprawdzić, jak wygląda budowa nowej floty. Stuk siekier i stosy świeżych wiórów drewna. Pochwalił snycerza za smukły dziób „Poławiacza Wiatrów". Doglądał, jak przebiega łatanie kadłuba „Krwawego Lisa". Był zadowolony. Wezwał swych wodzów na największą z uczt, jakie wyprawił po swym powrocie. Panny służebne pod rozkazami Melkorki wnosiły na stoły misy parującego jadła. Wędzone w dymie śledzie, potrawki z solonych dorszów i śmietany, pieczone prosięta i krwawe kiszki. Skuli, skald Islandczyk, którego przygarnął podczas najazdów na Anglię, zaczął recytować chrapliwym, mocnym głosem:

Mądry król każe bitewnym żmijom pełznąć drogą pochwy!
Potężny wąż walki…

Przerwał mu, wznosząc toast:

— Przyjaciele, którzyście czekali na mnie w ojczyźnie! I wy, druhowie, którzy tarcza w tarczę walczyliście przy mym boku w Anglii! Oto połączyliśmy się i znów Dania ma swego króla! Ale to nie czas, by iść na zimowe leże! Przed nami nowe wyzwanie i kolejny bój! Nie zapomniałem królowi Erikowi, jak zdradziecko najechał mój kraj, i mu nie wybaczyłem!

Erik nie żyje, lecz został po nim syn i na nim chcę pomsty! Erik podbił Danię. Teraz ja podbiję Szwecję! Skaldzie! Zagrzej nas! Przyjaciele, wypijcie za kolejny rejs!

Wąż szczęku mieczy potrafi znaleźć strumyk krwi!
Robak zasiekanych porusza się ścieżkami myśli do ciepłej rzeki rzezi…

Smak wina, które popłynęło tamtej nocy w Roskilde, brzmienie krwawych strof Skuliego, okrzyki radości podochoconych wizją zemsty wodzów… Wszystko to wciąż brzmiało w jego uszach, gdy teraz, na pokładzie „Poławiacza Wiatrów”, płynął w jego dziewiczy rejs. Na wschód! Stanął na stewie dziobowej. Złapał w nozdrza słony wiatr. Rozpuścił rude włosy. Rozłożył ramiona i krzyknął:

— Królowo Sigrido Storrådo! Oto płynie po ciebie król!

ŚWIĘTOSŁAWA ruszyła na polowanie z sokołami.

— Niech się na coś przyda ten podarunek — powiedziała twardo.

Wilkomir przyjrzał się jej spode łba i podał rękawice.

— Nie — odmówiła z wahaniem. — Ty weź sokoły. Ja… nie wiem, czy chcę je oswajać.

— Rozumiem — odrzekł i ruszyli.

Pasma liliowych wrzosów barwiły łąki. Poczuła, jak coś podchodzi jej do gardła. Od wyjazdu Olava minął ledwie tydzień, a zdawało się, że cały rok. Wezwała kupca z Birki, Rognvalda Ulfssona, przed którego knowaniami ostrzegał ją Bork. Rognvald uparcie odmawiał stawienia się przed królową. Jarl Asgrim nie miał złudzeń: „Rognvald idzie w otwarty bunt. Powinnaś go poskromić, królowo”.

Poskromić, ale jak? Mam wysłać Wielkiego Ulfa na Wyspę Brzóz? — rozmyślała ponuro, jadąc za Wilkomirem na łowy. — To bzdura. Wyspa nie

potrzebuje murów, by stała się jedną wielką twierdzą Rognvalda, i on o tym świetnie wie. Powinnam była ściągnąć z Danii jego synów, Erlinga i Bjarnego, nim kraj zdążył opanować król Sven. Mając tych dwóch w ręku, przywiodłabym ich ojca do posłuszeństwa.

Przejechali olchowy las, za którym rozciągała się polana, a za nią zaczynały mokradła. Wilkomir się zatrzymał.

— Tu zapolujemy, pani.

Jego ludzie wydobyli parę sokołów z klatki. Siedziały na rękawicy Wilkomira, strosząc pióra.

— Nie zdejmiesz im kapturów? — spytała, podjeżdżając bliżej.

— Za chwilę. Niech się uspokoją. Sokół jest bardzo czuły, łatwo go pobudzić. Sokolica reaguje jeszcze szybciej.

Tak jak ja, gdy zobaczyłam Olava na przystani — pomyślała. Zrobiło jej się niedobrze. Wspomnienie goniło wspomnienie.

— Spuść rysie ze smyczy, pani. Wypłoszą wodne ptactwo z traw. Sokoły polują tylko w powietrzu.

Odpięła smycz. Wrzask i Zgrzyt przeciągnęły się i ruszyły truchtem, znikając im wśród wysokich traw.

— Pamiętasz mego ojca i jego łowy z jastrzębiem? — spytała głucho, tylko po to, by odwrócić uwagę od swego wzburzenia.

— Pamiętam wszystko — odpowiedział. — Noc przed Godami, gdy twój ojciec pół drużyny oddał twemu bratu. Pamiętam, jak mnie przezwałaś. „Krzywooki”. I że przyszłaś tam samowolnie, przebrana za Duszę. I starłaś się z księżną Odą.

Delikatnym ruchem zdjął kaptur z łba sokoła, potem sokolicy. Ptaki wstrząsnęły łbami jednocześnie. Samica była większa od samca; górowała nad nim sylwetką. Miały czarne, lśniące oczy pozbawione źrenic. Przekrzywiły łby, jakby chciały spojrzeć sobie w ślepia.

— Żałujesz, Wilkomirze, że Mieszko wysłał cię na Północ?

— Nie — odrzekł. — Nie żałuję.

Z zarośli, w które wbiegły rysie, dał się słyszeć szum skrzydeł. Sokoły wyciągnęły szyje. Nad łąką uniosło się stado dzikich gęsi. Sokół odbił się potężnymi pazurami od rękawicy Wilkomira i wzbił się w powietrze. Sokolica za nim. Po kilku silnych uderzeniach skrzydeł ptaki nabrały prędkości. Zatoczyły krąg i wznosząc się wyżej, niemal od razu się rozdzieliły.

— Nie odróżniam już samca od samicy! — krzyknęła Świętosława, przykładając dłoń do oczu.

— Ja też — odpowiedział Wilkomir. — Patrz! Jedno z nich atakuje.

Ptak wzbił się ponad gęsi i już spadał na nie z góry, oddzielając kilka ptaków od stada. W ułamku krótszym niż mrugnięcie uderzył gęś. Zatrzepotała skrzydłami rozpaczliwie i zaczęła spadać. Wtedy długim, błyskawicznym ślizgiem tuż nad powierzchnią traw podjął ją drugi z sokołów i złapał zdobycz.

„Są tak szybkie, że nikt nigdy nie mógł odgadnąć, czy zabija ona, czy on. Czy to ważne, gdy tworzą parę?”. Olav w jej pamięci patrzył jej w oczy, a potem wolno odwracał się i wychodził. Poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Skuliła się, przywierając do szyi klaczy. Thorhalla odpowiedziała jej rżeniem.

Jak długo bolał ją będzie Olav? Czy to uczucie przyschnie z czasem jak strup na rozbitym kolanie? Pokryje się warstwą twardej skóry, której nie ruszy nic?

„Jeśli będziesz chciała odpowiedzieć, wyślij sokoła” — powiedział, nim wyszedł. Wyślij sokoła. Wyślij. Spomiędzy traw wybiegł Wrzask, za nim Zgrzyt. Krwawe smugi na pyskach świadczyły, że rysie zapolowały. Drapieżne koty, drapieżne ptaki, każdy miał dzisiaj swój łów. Tylko ona

została z pustymi rękami. Gdyby chociaż wyznał jej miłość, zamiast prosić o rękę i wojsko. Ważniejsze dla niego było połączenie królestw niż połączenie kochanków. I buta, z jaką się zachował pod jej własnym dachem. A niech go!

Wilkomir nawoływał sokoły.

— Pani… Świętosławo… Powiem ci to raz, gdy nikt nas nie słyszy, i nie powtórzę nigdy więcej. Nie dasz rady utrzymać się sama na tronie. Będziesz zmuszona poślubić kogoś, kto obroni twoje i Olofa dziedzictwo. Wiesz dobrze, że w królewskiej grze nie obywa się bez strat. Twój ojciec mawiał, iż żaden sojusz nie smakuje jak miód. Im lepsze umowy, tym bardziej gorzki smak. Tryggvason nie był złym wyborem, nawet jeżeli kosztowałby cię nieco dumy.

Sokoły wylądowały kolejno na jego ramieniu. Świętosława trawiła każde słowo. Czy wiedział, co naprawdę czuła? Czy mówiąc to, miał świadomość, że jej serce skradł Tryggvason? Chciał ją ośmielić? Pomóc w podjęciu decyzji? Wilkomir nie był dzieckiem; kazała mu pilnować chaty żeglarzy, gdy zamknęła się w niej sam na sam z Olavem.

— Daj mi rękawicę — odpowiedziała. — Chcę oswoić sokoła.

— Samca czy samicę? — spytał.

— Wszystko jedno. — Wyciągnęła rękę. — I tak tworzą parę.

Klacz kilka razy potrząsnęła łbem, jakby drażniła ją obecność ptaka. Świętosława starała się jechać równo. Sokół nie ważył wiele, ale obecność podniebnego zabójcy, którego polowanie widziała chwilę wcześniej, onieśmielała ją. Żywe stworzenie — pomyślała — które odbiera życie.

Polowanie miało ją uspokoić, przygotować do rozprawy z Rognvaldem Ulfssonem. Zamiast tego wzburzyło jej myśli. Nie byłby złym wyborem? — powtórzyła za Wilkomirem. Od wyjazdu Olava w kółko łapała się na tym, że rozbrzmiewają w jej głowie strzępki zdań. Olchowy las przeszedł

we wrzosowisko. Nim wyjadą na trakt, powinna zawołać rysie. Jak? Nie może krzyknąć, by nie spłoszyć sokoła ufnie siedzącego na jej przedramieniu. Wolno wjechali pod wzgórze. Wilkomir zatrzymał konia; nie odwracając się, czekał, aż do niego dołączy. Z płaskiego, rozległego szczytu widać było żółtozielone, przetykane wrzosami łąki. W oddali dymy z domostw Sigtuny. Krętą, kamienistą drogę, po której jechało ku nim kilku ludzi. Tydzień temu — pomyślała — zjechaliśmy z tego wzgórza i zabrzmiały rogi w przystani. A potem sól na jego skórze i… Nie zastanawiała się więcej. Szarpnęła skórzany kaptur osłaniający łeb sokoła. Wyciągnęła ramię w górę.

— Szukaj Olava! — rozkazała mu.

Ptak odbił się od rękawicy i wzbił w powietrze. Krzyknął ostro.

— Szukaj! — powtórzyła.

Sokół uderzył skrzydłami i ruszył na zachód. Wilkomir obejrzał się gwałtownie, zmarszczył brwi. Nie odpowiedziała na jego spojrzenie. Jej uwagę przyciągnęli jeźdźcy, bo na ich czele jechał Wielki Ulf. Wilkomir też go poznał.

— Ze wzgórza wolno! — ostrzegł.

Poprowadziła Thorhallę ostrożnie, spotkali się na trakcie.

— Pani! W naszą stronę płynie obca flota! Wczoraj minęła Gotlandię. Zwiadowcy mówią o pięciu dziesiątkach bojowych łodzi.

— Kto? — spytała.

— Król Sven.

Thorhalla zarżała, jakby wiedziała, o czym mówi Ulf. Świętosława zdecydowała w jednej chwili.

— Wypłynę mu na spotkanie.

— Co? — nie zrozumiał w pierwszej chwili Ulf. W drugiej potrząsnął łysą głową. — Nie, nie możesz. To będzie jatka, królowo. Sven na pewno

chce wziąć odwet za podbój Erika sprzed lat…

— Wypłynę, żeby nie dopuścić do rozlewu krwi — oświadczyła spokojnie.

— Świętosława ma rację — nieoczekiwanie odezwał się Wilkomir. — Jeśli ktokolwiek może zapobiec jatce, to królowa wypływająca na spotkanie obcemu królowi. Tylko musimy się pospieszyć, by nie zdążyli wpłynąć do zatoki Mälaren.

Dwa dni później, ubrana w purpurowe suknie, z pysznym naszyjnikiem z górskich kryształów na szyi, w płaszczu ramowanym sobolim futrem, stała na pokładzie „Królowej Fal”, gdy pod pełnymi żaglami zbliżali się do płynącej z naprzeciwka floty Svena.

— …osiem… dziesięć… dwanaście… — liczył Asgrim.

Na pokładzie panowało ponure milczenie. To nie było pięć dziesiątek łodzi, jak mówili zwiadowcy. To było dwanaście dziesiątek. Duża setka. Potrzebowała przynajmniej czterech tygodni, by zebrać tyle. W tej chwili za jej plecami płynęło ledwie dwadzieścia.

Płacę za wojnę mego ojca i Erika — pomyślała i poruszyła spoconymi dłońmi. Otworzyła i zamknęła je. — Za upokorzenie Svena przed laty. Obaj nie żyją, a jeśli czegoś nie wymyślę, zginiemy i Olof, i ja. Chryste, posłałam sokoła Tryggvasonowi! Olav pewnie zmierza na spotkanie ze mną u ujścia rzeki Göta. Gdyby sokół potrafił mówić i poprosił go w mym imieniu o pomoc… Bzdura. Ja mu swojej nie udzieliłam, a sokół to tylko ptak.

Nieprzyjacielska flota najpierw płynęła ustawiona w szpicę, z królewskim, jak się domyślali, statkiem na przodzie. Teraz, widząc, iż jej łodzie ustawiły się w linię, najeźdźcy zrobili to samo.

— Każ zadąć w róg, nie jak na wojnę, lecz jak na powitanie gości — rozkazała Wielkiemu Ulfowi.

Jedne i drugie łodzie zatrzymały się. Byli tak blisko siebie, że można było rozróżnić ludzi na pokładzie.

— Który z nich to Sven? — zapytała, wychodząc na dziób.

— Ten wysoki, rudy — odpowiedział Wielki Ulf.

— Przyjmie zaproszenie na mój pokład?

— Byłby skończonym durniem, gdyby to zrobił.

— Powitaj go w moim imieniu — powiedziała, poprawiając płaszcz.

Wielki Ulf miał potężny głos.

— Królowa Sigrida Storråda pozdrawia króla Svena na swych wodach! — ryknął.

— Król Sven jest zaszczycony, że wielka pani wypłynęła mu na spotkanie! — odpowiedział jasnowłosy mężczyzna stojący przy Svenie.

— Co was sprowadza? — krzyknął Ulf.

W odpowiedzi drużynnicy Svena zaczęli uderzać mieczami w tarcze. Po wodzie poniósł się przeraźliwy, rytmiczny głos żelaza. Świętosława struchlała.

— Zaproponuj spotkanie pośrodku — powiedziała szybko. — On i ja, i po sześciu wioślarzy bez broni.

Dunowie zgodzili się i po chwili na wodę spuszczono dwie szalupy. Wilkomir chciał zejść pierwszy, ale go zatrzymała.

— Nie, przyjacielu. Ty zostajesz na pokładzie. Gdyby coś mi się stało, przejmiesz opiekę nad Olofem. Jarl Asgrim i Wielki Ulf popłyną ze mną.

Wilkomir skrzywił się jak zawsze i kiwnął głową. Asgrim pomógł jej zejść. Niemal straciła równowagę, gdy pod jej stopami zakołysała się niewielka łódź. Równe ruchy wioseł, plusk wody; zbliżali się do siebie szybko. Nad jej głową zaskrzeczała mewa. Łodzie stanęły burta w burtę i wtedy go poznała.

Rudą brodę przed laty miał krótszą i nie splatał jej w dwa warkocze. Ale te włosy… wciąż długie i ruchliwe jak płomienie. Teraz jego nadgarstki zdobiły srebrne obręcze, na biodrach miał pas potrójny. Tak, dzisiaj wyglądał jak bóg Thor.

— Królowo! — powiedział.

Odpowiedziała:

— Tilgiv mig! Hold øje på hvem du rører! Nej, du skal holde øje!

To były pierwsze słowa w języku wikingów, jakich się nauczyła. Przed dziesięcioma laty, na Wolinie. Wtedy nie wiedziała, co mówi, dzisiaj powtórzyła świadomie. „Uważaj, na kogo wpadasz”.

Przez chwilę patrzył na nią, marszcząc brwi.

— Nie pamiętasz naszego pierwszego spotkania? Ty nie byłeś królem, a ja królową, ale już raz wpadliśmy na siebie, Svenie.

Roześmiał się.

— To się nazywa dobry początek! Pani, jestem zaszczycony, że mogę cię drugi raz poznać.

— Mnie wystarczył tamten pierwszy raz.

— Gdyby twój mąż nie zapędził się w moje strony, być może zgodziłbym się z tobą. Ale, jak rozumiesz, pani, sprawy zaszły za daleko i mam do wyrównania rachunki. Pomsta, honorowy dług.

— Mój mąż nie żyje — oświadczyła, unosząc wysoko podbródek.

Gdyby nie to, nie ośmieliłbyś się — pomyślała wściekle.

— Dlatego muszę załatwić to z tobą — powiedział i w jego niebieskich oczach zalśnił gniew.

Duża setka bojowych łodzi przeciw moim dwudziestu. Ponury rachunek.

— Co proponujesz, królu Svenie?

— No cóż, moja pani, skoro pytasz… Ty nie masz męża, mnie przydałaby się żona…

Chryste, dopomóż! — jęknęła w duszy. — Tylko nie to.

— Proponuję dobre, polubowne załatwienie sprawy — ciągnął Sven.

— Mam syna, następcę tronu — powiedziała twardo.

— To dobrze — pochwalił Sven. — To dowód, że jesteś płodna.

— A ty? — odpowiedziała szybko, bo świerzbiła ją ręka, by go uderzyć w twarz.

— Ja mam córkę, jeśli trzeba ci dowodów mej męskości, pani, zanim spotkamy się w łożnicy. — Roześmiał się zaskoczony zuchwałością. — Zaopiekuję się twoim synem. Umiem poskromić twych niespokojnych możnych i skłonić ich do posłuszeństwa wobec… jak mu na imię? Olofa, ach tak.

Skąd o nich wie? — pomyślała gwałtownie. — Może zmyśla?

— I jak? — zapytał Sven, przekrzywiając głowę. Z jego twarzy nie znikał uśmiech. — Czy uważasz, że mamy o czym rozmawiać? Czy też wolisz, byśmy rozstali się teraz w gniewie i…

— Na gniew zawsze przyjdzie czas, jeśli nie wystarczy nam dobrej woli — odpowiedziała spokojnie. — Przyjmij moje zaproszenie do Sigtuny, królu. I racz zostawić tutaj swoje okręty. Wymieńmy się zakładnikami na dowód czystych intencji.

— Z przyjemnością zobaczę słynny królewski dwór! Ale wybacz, pani, zaproszenia do łaźni nie przyjmę. Słyszałem pieśni o tym, jak wrzące bywają kąpiele na dworze Sigridy Storrådy.

Roześmiała się po raz pierwszy.

— Ach, królu! To byli zwykli zalotnicy, a ty, jak słyszę, nie przypłynąłeś w zaloty…

— Masz rację — przerwał jej gwałtownie. — Nie będę się do ciebie zalecał.

OLAV jechał na południe do ujścia rzeki Göta, gdzie wyznaczył Świętosławie spotkanie. Sokół go znalazł, choć przyleciał półżywy. Kiedy wysłała ptaka? Kiedy sama przybędzie w umówione miejsce? Ruszył bez zwłoki, choć miał świadomość, że ptak i spotkanie, które zaproponował — to wszystko było co najmniej dziwne. Gdyby nie emocje, którymi się uniósł… Teraz żałował. Był pewien, że mu nie odpowie, że przeważy w niej urażona duma. Coś poszło nie tak i trudno rozsądzić, które z nich zawiniło. Dlatego sokół go zaskoczył; gdy przyleciał, nie zastanawiał się ani chwili, powierzył dowództwo Varinowi i jego wojska pociągnęły z Viken do Agder, a on zawrócił i ruszył ku ujściu Göta. Towarzyszył mu oddział podarowany przez męża matki, Lodina, pod wodzą jego przyrodniego brata, młodego Torkila Nosa; mieli też miejscowych przewodników.

Jechali wiodącym wzdłuż wybrzeża traktem, spieszyli się, nie oszczędzali koni, ale gdy zastał ich zmrok, musieli się zatrzymać. Noc była ciemna, bezksiężycowa i chmurna. Spodziewał się jesiennego deszczu. Weszli głębiej w las, rozkulbaczyli konie i pozwolili im się paść. Torkil Nos wyznaczył warty i poradził, by nie rozpalali ognia.

— Jeśli dobrze liczę, wjechaliśmy już na tereny graniczne — powiedział Nos, ścieląc sobie posłanie z gałęzi i płaszcza. — To część ziem na wybrzeżu od lat będąca pasmem przejściowym między królestwem Szwecji, Norwegii i Danii. Ojciec mi opowiadał, że tu w dawnych czasach zjeżdżali królowie i dzielili się zdobyczami po krwawych wojnach. Negocjowali pokój, wydając za mąż swe córki i żeniąc synów. Wymieniali zakładników, zawierali przymierza. Prześpij się, Olavie. Jak dobrze pójdzie, jutro wieczorem będziemy u ujścia rzeki Göta.

Mimo rad przyrodniego brata Olav nie spał dobrze. Miotał się, nie mógł zmrużyć oka. Wciąż wracała pamięć spotkania w Sigtunie. Białobrody

kapłan Odyna, w którego obronie stanęła Świętosława. Jej gniew. A przecież wyznała mu miłość! Czyż nie mogła zachować się, jak kobiecie przystało, i oddać w jego ręce sprawy królestwa?

Zaśmiał się ponuro do własnych myśli. Dlaczego sądził, że Harda zachowa się, jak kobiecie przystało? Był niemądry, jeśli spodziewał się tego po niej. Jego serce ukradła drapieżnica, nie jagnię.

Wstał. Nie było sensu przewracać się dłużej na posłaniu. Mgła zaczęła się unosić i wstawał chmurny świt. Pozdrowił wartowników i poszedł się przejść. Rozruszać zesztywniałe od chłodu kości. Las rzedniał, poszycie przecinały wielkie, płaskie skały. Usiadł na jednej z nich.

Słońce przebiło się przez chmury i wschodząc między drzewami, kłuło wilgotne powietrze ostrymi, niskimi promieniami. Z boku usłyszał pękającą gałąź. Zwierzę wracające po nocnych łowach do nory? Las zawsze rozbrzmiewa sobie tylko znanymi dźwiękami. Jedynie głuchy las jest groźny. Potarł ręką nagrzewającą się w porannym słońcu skałę. Mech, którym była pokryta, odszedł od niej i został na jego palcach. Strząsnął go i spojrzał na kamień. Zamarł. A potem zerwał się i kawałek po kawałku zaczął odrywać mech od jego powierzchni. Płaski głaz pokryty był wyrytymi w nim obrazami. Jego oczom jedna przy drugiej ukazywały się długie łodzie, na nich stali ludzie potrząsający włóczniami. Proste sylwetki reniferów, jeleni, wielkich ryb morskich. Samotny pies. Ludzie polujący na zwierzęta. Ludzie walczący ze sobą. Ludzie nieżywi, opadający na dno wodnych głębin. Olav czuł, jak pot wychodzi mu na czoło. Oto na olbrzymiej skale ktoś wyrył historię wojen, zwycięstw, klęsk, śmierci i narodzin. I wtedy jego wzrok padł na miejsce najwyższe, to, na którym siedział przed chwilą. Dwie wielkie sylwetki, długowłosa kobieta i mężczyzna naprzeciw niej. Wyciągają ku sobie ramiona, jak kochankowie. Nad ich głowami srebrzysta warstwa miękkich porostów. Rzucił się tam,

oczyścił skałę i na chwilę jego serce przestało bić. Mężczyzna albo jakiś dawny kapłan, a może stary bóg z wielkim toporem w dłoni. Pochyla się nad parą kochanków w potężnym, śmiercionośnym zamachu. Kamień zatrzymał tę chwilę. Kochankowie wiecznie będą ku sobie wyciągać stęsknione ramiona, a ich zabójca będzie czyhał na nich do dnia, w którym skruszeją skały. Oddychał szybko, płytko, na czole miał pot. Zrozumiał. Kochankowie się nie spotkają, bo zawisł nad nimi zły los. W tej samej chwili usłyszał ciche kroki. Odwrócił się gwałtownie. Pies. Biały, duży pies.

— Jesteś przywidzeniem? — zapytał szeptem.

Pies szczeknął i wskoczył na pokrytą rytami skałę. Podszedł do niego ostrożnie. Olav wyciągnął rękę. Pies obwąchał ją, zaskomlał krótko i położył się na skale, u stóp wyrytych kochanków.

ŚWIĘTOSŁAWA siedziała na swym wysokim krześle w halli dworu w Sigtunie. Dusza zaplotła jej włosy, wkładając pomiędzy ich sploty srebrną przepaskę. Po jej lewej stronie siedział syn. Dalej Wilkomir, jarl Asgrim, Ion. Po prawej, w pewnym oddaleniu, Sven. Obok niego Jorun i jarl Stenkil. Zwracała się do jego ludzi po imieniu, nauczyła się wszystkich, nawet tych, którzy siedzieli przy najdalszych stołach.

Thorvald, islandzki skald, recytował poemat o królowej.

Sigrid Dumna, Sigrid Nieugięta,
do której świetlistej siedziby
ze skalistych grani bagnistym szlakiem
wytrwale bieżą zalotnicy.

Przed ucztą poleciła służbie przejrzeć zastawę. „Nie podawajcie naczyń, które Erik przywiózł z Danii. Kielichy, dzbany, misy… ukryjcie wszystko.

Nie może się przydarzyć, by goście dostali wieczerzę na własnych naczyniach”.

Wzniosła kielich i uśmiechnęła się do Svena.

— Za powodzenie naszych rozmów!

Odpowiedział uśmiechem i wypił. Tam, na morzu, w świetle słońca wydawał się młodszy niż teraz, w chwiejnym blasku ognia. Wiedziała już, że jego uśmiechy nic nie znaczą, że potrafi grozić z pogodną twarzą. Tym, co w nim nie kłamie, są oczy. Czy naprawdę mógłby? — pomyślała. — Mógłby wypić mój miód, zjeść wieczerzę pod mym dachem i mimo to wywołać wojnę?

Tym, którzy przybyli nie w porę,
łaskawa pani udzieliła nagany.
Płomienie umyły ich dłonie splamione,
ogień oczyścił ich…

— Ach, żeby to można było powtórzyć — szepnęła w swym rodzimym języku do Wilkomira.

Zachował kamienną twarz, skłonił głowę i spojrzał na siedzących przy ławach. Podążyła za jego wzrokiem. Ludzie Svena z otwartymi ustami patrzyli to na skalda, to na nią. Jej ludzie pożądliwie patrzyli na płonący w palenisku ogień.

Nie, moi wierni, moi mili — pomyślała. — Daliśmy waszych synów za zakładników. Koniec z paleniem „tych, którzy przybyli nie w porę”.

Bogu dzięki, Thorvald opamiętał się i pominął strofy kwieciście opiewające wrzącą łaźnię, gorąco płomieni, dym ze zgliszczy, butę ukaranych zalotników oraz krzyki, jakimi żegnali Hardą Panią. Przeszedł do pogodniejszych wersów, tamte zostawiając na inne, domowe uroczystości w wąskim gronie.

Sigrida Storråda pędzi złotym zaprzęgiem
ciągnionym przez dwa dzikie koty.

— Ach, pani! — odezwał się pogodnie Sven. — Chodzą opowieści, że masz oswojone rysie. Pokażesz je nam?

— Jeśli sobie życzysz, panie.

Skinęła na Duszę; dziewczyna po chwili wróciła, prowadząc rysie. Skłoniła się przed Świętosławą i podała jej smycz.

— Nie są oswojone — powiedziała Świętosława. — I proszę cię, królu, biorąc na świadków pana Joruna i jarla Stenkila, byś ich nie głaskał. Zagwarantowałam ci osobiste bezpieczeństwo, panie, i nie chcę złamać przysięgi.

Oczy Svena zalśniły; widziała, że zmaga się ze sobą, chcąc dotknąć rysi. Wrzask warknął ostrzegawczo. Pociągnęła smycz i koty ułożyły się u jej stóp.

— Wtedy, w wolińskim porcie, miałaś na ramionach skórę rysia — powiedział.

A więc pamięta nasze spotkanie dokładniej, niż sądziłam — pomyślała.

— Odkąd mam żywe rysie, nie noszę ich futer — odrzekła.

W cętki obleczony piorun skacze,
dokąd zażąda jego pani.

— Czy musimy wysłuchać całego poematu? — zapytał Sven.

I to niejednego. Kazałam Thorvaldowi dopisać dużą setkę zwrotek, by ludzie Ulfa mieli czas zwoływać załogi z północnych części kraju — pomyślała. Odpowiedziała głośno:

— Nie lubisz poezji, panie? Może więcej miodu pomoże ci ją docenić?

— Jestem królem, wojownikiem i zdobywcą, a to znaczy, że nie mogę żyć bez skaldów, którzy zrymują me czyny — odpowiedział i jego niebieskie oczy zalśniły zimnym blaskiem. — Przejdźmy do rzeczy, pani, a zostanie nam więcej czasu na poezję. Zadam ci pytanie. Chcesz wojny?

— Nie.

— Zatem możemy rozmawiać dalej. Na początek przyjmij ode mnie podarunek. — Na otwartej dłoni podał jej coś lśniącego.

— To srebrna moneta — odpowiedziała, biorąc ją do ręki.

Zbliżyła denara do oczu i odczytała: ZVEN REX DENER. Sven król Danii.

— Kazałem ich wybić kilka tysięcy. Weź, to prezent.

— Wolałabym zobaczyć denara z napisem „Olof Król Szwedów” — odrzekła.

Zaśmiał się głośno.

— Walczysz o syna! Ale nie musisz, nie mam zamiaru mu szkodzić. Na dowód mych dobrych chęci przyjmij drugi prezent! Jorunie, przyprowadź ich.

Jorun miał włosy nastroszone niczym wiecheć siana. Wyglądał na kogoś, kto w walce nie cofnie się przed niczym, ale jego jasne oczy były pogodne. Wrócił po dłuższej chwili, prowadząc dwóch mężczyzn ze sznurami na nadgarstkach. Byli brudni i zabiedzeni, nie poznała ich w pierwszej chwili, dopiero Wilkomir przypomniał jej, kim są.

— Erling i Bjarne, synowie Rognvalda z Birki.

Kazałam Erikowi posłać ich do Danii jako poborców podatków — pomyślała szybko. — Skoro są w rękach Svena, od nich mógł wiedzieć, że Rognvald się buntuje.

— Proszę, królowo Sigrido! Są twoi. Możesz z nimi zrobić, co zechcesz. — Niebieskie oczy Svena zalśniły.

— Na początek nakarmcie ich i poślijcie do łaźni — powiedziała.

Przez hallę przebiegł niepohamowany śmiech.

— Żeby się umyli! — upomniała. — Potrzebni nam będą żywi. I przypilnować ich! — Zwróciła się do Svena: — Doceniam twe dary. Jak brzmią warunki?

Pochylił się na krześle, aby znaleźć się bliżej niej. Wyliczał na palcach.

— Zostaniesz moją żoną i zabiorę cię do Roskilde. W zamian za to poniecham ataku na Szwecję, a twój syn zostanie tu, w Sigtunie, i będzie władał krajem we własnym imieniu. W razie kłopotów z niepokornymi a bogatymi kupcami z Birki, lub innymi możnymi, będę mu służył swym wojskiem i pomocą…

Przejmiesz protekcję nad Olofem. Owszem, pomożesz ukrócić harce przeciwników jego władzy, ale w zamian za to zyskasz wpływy w jego królestwie. Będą go mogli nazywać „duńskim namiestnikiem”. To nie do przyjęcia — przekładała jego słowa na fakty. — I, co najgorsze, biorąc mnie do łoża, zhańbisz pamięć Erika. Zmyjesz jego wielkość i zwycięstwo nad tobą… Chryste, a wydawało się, że warunki Olava Tryggvasona mnie poniżają…

Przerwała Svenowi:

— Panie, czy prawdą jest, co mówią, że wciąż oddajesz cześć starym bogom, mimo iż sam cesarz Otto cię ochrzcił?

Wyjął spod bogato zdobionego kaftana łańcuch i pomachał nim, uśmiechając się. Na łańcuchu wisiał srebrny, niewielki krzyżyk i Mjolnir, młot Thora.

— Potrafię łączyć nowe ze starym, moja pani!

Nie pohamowała się i przewróciła oczami ze złością.

— Mój pierwszy mąż, Erik Segersäll, był poganinem. Słyszałeś opowieści o tym, jak zakończył życie? Jeśli znasz takie, w których pojawia

się Odyn, nóż i świątynia, to uznajmy, że znasz prawdę, panie. Gdy płonął na pogrzebowym stosie, przysięgłam sobie, że jeżeli drugi raz wyjdę za mąż, to wyłącznie za chrześcijanina. Co ty na to, Svenie?

Pociągnął za Mjolnira, zerwał z łańcucha i podał go jej.

— Złóż go, pani, w Uppsali, w ofierze Thorowi. Najwyraźniej starzy bogowie wysłuchali twych modłów.

Zabrała srebrną ozdobę i parsknęła śmiechem, kręcąc głową.

— Nie składam ofiar starym bogom. Do rzeczy. Ślubu udzieli nam kapłan, a jeżeli Bóg pobłogosławi dziećmi, będą ochrzczone.

— Biskup Ribe może być? — wyszczerzył zęby. — Na imię ma Oddinkarr, wiem, brzmi to podejrzanie odynicznie, ale zapewniam cię, że wyświęcili go w Bremie. Albo jeśli wolisz, sprowadzę biskupa z Anglii. Szczerze mówiąc, to byłoby mi na rękę, bo wspomniany Oddinkarr za bardzo brata się z Sasami.

— Angielski biskup może być — kiwnęła głową. — Ale Ion, mój mnich, będzie mi towarzyszył.

— Ten grubas o policzkach czerwonych jak jabłuszko? Gustujesz w tęgich mężczyznach? — dopytał Sven, klepiąc się po płaskim brzuchu.

— Mnich to nie mężczyzna — oświadczyła.

— Protestuję! — wtrącił się Ion. — Królowa wie, że ja chwalę Pana w każdej chwili mego życia…

— Koniec z chędożeniem panien, Ionie — odcięła się krótko. — Tu byłeś bezkarny, ale tam będziesz pod okiem Kościoła.

— Nie muszą być panny — jęknął. — Mogą być mężatki…

— Zgrzyt! — szepnęła, a ryś się uniósł. — Ion — wskazała palcem.

Zgrzyt warknął i leniwie kłapnął zębami. Z całą pewnością nie miał ochoty zajmować się Ionem, ale mnich zamilkł.

— Wspominałeś o córce, królu Svenie — wróciła do rozmowy. — Czy jej matka żyje na twym dworze? Czy masz inne nieślubne dzieci?

— A ty, pani? — Przekrzywił głowę.

— Nie. Olof jest moim jedynym synem.

— I dla nikogo nie bije szybciej twe serce? — pytał dalej, przyglądając jej się ciekawie.

— Serce królowej bije tylko dla królestwa — powiedziała.

W tym samym miejscu dwa tygodnie temu siedział Olav.

Byłam dumna i głupia — pomyślała. — Teraz, za karę, muszę się sama targować o siebie, wiedząc, że jeśli zawiodę, runie los mój, syna i kraju. Olav mi nie groził, tylko chciał, jak się wtedy zdawało, za dużo.

— Potrafisz doskonale odpowiadać, pani! Będę zaszczycony, mając taką żonę.

— Nie tak prędko, panie! Jeszcze nie skończyliśmy. Omówmy sprawy mego syna…

— Na razie jedynego — wtrącił i mrugnął do niej, zwilżając usta czubkiem języka.

A może ludzie Wielkiego Ulfa zdążą? — pomyślała z nadzieją. — Może zdobędą statki?

— Nie mogę rozmawiać o dzieciach, których nie posiadam — odrzekła. — Chcę, by Olof zachował niezależność. Dlatego nie żartowałam, mówiąc o jego denarze. Podaruj mu mincerza, a on niech przygotuje monety z imieniem mego syna i oznaczeniem, że jest jedynym królem Szwecji.

— Sigtuny — poprawił Sven.

— Niech będzie. Sigtuny i Szwecji. Olof Król Szwedów, tak od tej chwili brzmi jego imię.

Pochyliła się w lewo i uścisnęła dłoń syna. Była zimna, choć spocona. Uśmiechnęła się do Olofa, a Sven znów się zaśmiał. Chyba śmiech jest

odpowiedzią na to, co go złości, tak samo jak na to, co go naprawdę bawi — pomyślała.

— Olof Król Szwedów — powtórzył Sven i wstał. — Olofie, chodź, niech cię uściskam. Będę twym przybranym ojcem!

Świętosława powstrzymała syna na krześle i odwróciła się do króla.

— Uściskacie się po naszym ślubie. Jeszcze nie skończyliśmy…

Sven zwinnie zwrócił się ku niej, chwycił ją za ramiona, podniósł i szepnął jej prosto w twarz:

— Harda Pani pozwala sobie na zbyt wiele. Waż słowa, dziewczyno, bo zamiast ciebie poślubię Thordis z Birki i wtedy ani ty, ani Olof nie będziecie mi do niczego potrzebni.

Zamarła, słysząc, co mówi. W lot pojęła, że ma rację, i zobaczyła siebie z synem wpadających pod lód. W tym samym momencie usłyszała gardłowy warkot rysi, a smycz w jej dłoni się naprężyła. Nie namyślając się ani chwili, wpiła się w usta Svena. Pocałowała go. Był zaskoczony, ale szybko odpowiedział na pocałunek. Puścił jej ramiona z żelaznego uścisku, objął ją. Wrzask i Zgrzyt uspokoiły się natychmiast. Z halli dało się słyszeć radosne skandowanie:

— Królowa Sigrida Storråda i król Sven!

— Sigrida i Sven!

Rudobrody się rozochocił. Całował ją, jakby walczył w pojedynku, a jego dłonie z jej ramion przesunęły się w stronę piersi. I wtedy go ugryzła. Odskoczył, chwycił się za usta; na palcach miał kroplę krwi. Świętosława chwyciła go za tę rękę i zaśmiała się.

— Oto nasze pokładziny! Popłynęła pierwsza krew!

I zlizała ją, przyciągając jego palce do ust.

SVEN zakochał się w niej. To było niemądre. Przyjechał ją zdobyć i pohańbić, ale stało się. Przejdzie mi — pocieszał się. — Po ślubie mi

przejdzie, przecież nie kocha się żon.

Chciał, by wypłynęli z Sigtuny jak najszybciej. Nie był głupi, wiedział, że Sigrida może grać na czas i zbierać wojsko ze swych ziem. To zresztą nie jedyny powód do tego, by się pospieszyć. Drugim był Olav Tryggvason. Dostał wiadomość, że Yngling był w Sigtunie przed nim, ponoć rozstał się z królową w gniewie. Ale znał upór „drugiego wodza” i mógł się domyślać, że Olav nie odpuści. Tak, szli łeb w łeb, jakby los uparł się prowadzić ich jednocześnie. Jak te dwa rysie Sigridy na smyczy — pomyślał i odrzucił tę wizję w gniewie. — Rysie dostała od niego, a ja nie jestem na jej postronku!

Śmierć Erika i śmierć Hakona przyszły w tym samym czasie, im obu jednako potrzebne. Gdyby Olav połączył się z Sigridą, ich wspólne ziemie byłyby silniejsze niż jego Dania. Lecz Tryggvason, jak mówił informator, nie przypłynął tu z flotą, nie zagroził królowej wojną. I nie miał do zaoferowania korony, bo jeszcze jej nie zdobył. Kto ma koronę, ma królową — zaśmiał się w duchu. — Nie byłem pierwszy, ale i tak go uprzedziłem. Nie mogę się doczekać nocy poślubnej, gdy w jednej chwili wezmę do łoża kobietę mojego dawnego wroga i nowego. Może powinienem nazwać się Svenem Zwycięskim?

Uważnie patrzył, co i kogo zabiera ze sobą jego przyszła żona. Nie przebierając w słowach, targowała się o wszystko, o każdego człowieka.

— Dusza jest moim cieniem i nigdy mnie nie odstępuje. — Uparła się, by zabrać służkę niemowę.

— Więc do łoża będę brał was obie? — zakpił.

— To może i Jorun niech nam towarzyszy! — odcięła się z uśmiechem.

Zarumienił się na ten żart. Takich rzeczy nie proponowały mu nawet jego najbardziej wyuzdane kochanki. Miał nadzieję, że tego rumieńca nie zauważyła.

— Wielki Ulf i Wilkomir z drużyną.

— Żartujesz, pani. Zwyczajem jest, że narzeczona wprowadza do domu męża swoje służki. Sporo rzeczy mnie zaskoczyło w Sigtunie, ale nie spodziewałem się, że twój orszak dwórek składa się z wojowników o pokancerowanych pyskach.

— Wolę mężczyzn znaczonych bliznami niż tych o gładkich liczkach — odpowiedziała, mrużąc oczy.

Rozpiął pas i chwycił kaftan, pokazując, że go zdejmie.

— Chcesz zobaczyć moje szramy? — zapytał.

Zamiast spłonąć rumieńcem, wzruszyła ramionami.

— Jeśli się lubisz obnażać przy służbie. — Wskazała na przygotowujące stoły do uczty dziewczęta.

A niech to! — zaklął w duchu i opuścił kaftan z powrotem. — Nie biorę dziewicy! Za to sam daję się prowokować jak szczeniak.

— Wielki Ulf tak, Wilkomir nie — zdecydował. Wolał, by był przy niej dawny wódz Erika, którego nie kochano w Roskilde.

— Dobrze. Zamiast ojca wezmę syna. Wilczan za Wilkomira.

— Podobny do ojca?

— Przeciwnie, śliczny jak marzenie. To chłopiec.

— Po co ci mały chłopiec? Zapewniam, że w mig zrobię ci naszego.

— Nie chwal się. — Wystawiła mu język jak krnąbrna dziewczynka. — Zabieram Wilczana.

Nie pozwoliła się pocałować, choć na widok jej języka przyciągnął ją do siebie z całych sił. Piekielne rysie już zjawiły się przy niej.

— Koty zostają — droczył się z nią tylko po to, by patrzeć, jak się złości. Odkąd tu przypłynął, odkrył, że zawsze podobały mu się ostre kobiety, choć te, które brał do łoża i którym płacił za miłość, zwykle były słodkie i uległe.

— Dobrze, koty zostają. Ale rysie płyną ze mną. Pomówmy o posagu i wianie.

— Wolę o morgengeldzie — zaczepił ją znów. — Nie mogę się doczekać, kiedy dam ci dar poranny.

— Będziesz musiał.

Machnął ręką.

— Nie potrzebuję twego posagu. Jestem bogaty.

— Ale ja chcę dostać od ciebie wiano, jak prawowita małżonka. — Uśmiechnęła się słodko. — Inaczej można będzie uznać nasz ślub za nieważny.

Wreszcie, po dwóch dniach targów, udało mu się załadować wszystko i wszystkich, których chciała zabrać Sigrida. Na koniec kazała wnieść na „Poławiacza Wiatrów” nawet klatkę z parą sokołów. Pożegnała się z synem, swymi wodzami, jarlami i służbą. Na przystań odprowadził ją nawet wielki, siwobrody kapłan Odyna. Jego narzeczonej chrześcijance, która z takim uporem domagała się ślubu w kościele, jakoś nie przeszkadzało błogosławieństwo pogańskiego ofiarnika. Gdy odbili od brzegu, obejrzała się za siebie tylko raz. On poganiał załogi, by jak najszybciej wypłynęli z zatoki Mälaren na pełne morze. Mieli wiatr i wziął to za dobry znak. Gdy spotkali się z resztą jego floty, zwrócono sobie zakładników i łodzie Svena ruszyły na zachód.

— Płyniemy do domu, moja pani! — krzyknął do niej. — Jak nazywał się twój statek?

— „Królowa Fal”.

— Odtąd zastąpi ją „Poławiacz Wiatrów”. Spójrz, pani, za siebie, zobacz, na czym buduje swoją potęgę twój przyszły mąż. — Chwycił ją za ramiona i delikatnie odwrócił, pokazując kolejno swe statki. — To jest „Płomienne Szczenię”, dwadzieścia cztery ławki. A te trzy bratnie łodzie to „Cierń

Nocy”, „Cierń Zachodu” i „Długi Cierń”. Szybkie, ostre, niezawodne w abordażu…

— Trzy ciernie? — spytała, blednąc.

— Tak! Trzy „Ciernie”. Za nimi płyną: „Włócznia Lokiego”, „Złoty Hełm”…

Poczuł, że Sigrida osuwa się na pokład.

OLOF jechał na Thorhalli wzdłuż wybrzeża. Matka zostawiła mu swoją klacz. „To czułe i odważne zwierzę” — powiedziała, dając mu ją. Poczuł, że oczy znów wypełniają mu łzy. Odwrócił się. Wilkomir jechał w sporej odległości za nim. To dobrze — pomyślał Olof. — Nie chcę, by widział, że mażę się jak baba. Rozumiał, co się stało, nie był dzieckiem, miał już dziesięć lat. Ale wszystko w nim buntowało się przeciw biegowi zdarzeń. Najpierw śmierć ojca, a potem wypadki toczące się z szybkością śnieżnej lawiny. Wszyscy mówili o nim „następca Erika, młody król”, ale nie liczył się z nim nikt. Korowód koszmarnych zalotników, którzy chcieli poślubić jego matkę. Żaden nie dorównywał ojcu, a śmieli przybywać na ich dwór i klepać go pobłażliwie po ramieniu. Siadywał obok matki na ucztach, przyjmując ich, i czuł obrzydzenie na myśl, że ci starcy pokrzywieni bólem stawów albo ledwie młodzieńcy czy grubasy, którym kolczugi opinały brzuch, będą chcieli zająć miejsce pana ojca. Nie był głupi, widział, że każdy z nich marzy o tym, by zabrać małemu chłopcu koronę, która mu się na mocy urodzenia należy. Ci dwaj, co go porwali i grozili mu nożem… Jacy to byli kandydaci na ojców? Dobrze, że matka ich spaliła, choć tamta straszna noc obudziła w nim potworny, wracający jak wymioty lęk. Jeszcze gorsze było wspomnienie pijackiej uczty, na której zabiła Birgera. Czasami budził się w środku nocy i widział ją w zakrwawionej koszuli, z mieczem idącą przez hallę. Wiedział, że musiała to zrobić, że zdradliwy jarl nastawał na nią, ale i tak, gdy śniła mu się z tym mieczem i krwią, czuł wobec niej

złość. Najgorsze jednak były ostatnie dni, przyjazd króla Olava i króla Svena. Biało- i rudowłosy. Bał się ich. Tamci grubi i starzy wydawali mu się niegroźnymi wujaszkami, no, może poza tymi, co wyrwali mu włosy i przystawili do gardła nóż. Lecz ci dwaj… Podsłuchiwał, słyszał niemal każde słowo, które powiedzieli podczas uczt. „Twój syn zostanie tutaj” albo „Nie mam zamiaru mu szkodzić”. Jakby był zwierzęciem, koniem, którego się oddaje na targ! Okropnie się czuł, gdy w jego obecności rozmawiali o nim, ale się z nim nie liczyli. I na końcu najgorsza rzecz: matka ukradła mu Wilczana. Jedynego przyjaciela, jakiego miał. Mógł jej wybaczyć, że go porzuciła i popłynęła ze Svenem, ale porwania Wilczana nie daruje jej nigdy.

Dojechali do brzegu jeziora. Thorhalla sama się zatrzymała. Wilkomir był już przy nim. Olof przezornie otarł rękawem nos.

— Co teraz? — spytał Wilkomira, dbając, by nie zapiszczał mu głos.

— Łowiłeś kiedyś ryby?

— Ryby? — zdziwił się Olof. — Nie. Król je ryby, ale nie musi ich łowić.

— Nie musi — zgodził się Wilkomir. — Ale warto, by wiedział, jak łowią ryby, które trafią później na jego stół. Pokażę ci.

— Jak chcesz. — Olof wzruszył ramionami i zsiadł z klaczy.

Wilkomir zdjął z końskiego grzbietu sakwę, przerzucił sobie przez ramię i powiedział:

— Chodź.

Olof poczłapał za nim. W szuwarach ukryty był długi pomost. Zmurszałe deski ruszały się pod ich stopami.

— To się ledwie trzyma — skrzywił się.

— Uhm — potwierdził Wilkomir. — Słuszna uwaga.

— Ktoś powinien to naprawić.

— Kto?

Olof wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ktoś.

— Siadaj i trzymaj — powiedział Wilkomir, wyjmując zza pleców leszczynową wędkę. — Tęsknisz za matką? — spytał i zdjął z pleców sakwę.

Olof nie odpowiedział, bo zebrało mu się na łzy.

— Ja tęsknię za synem — odezwał się po chwili Wilkomir. — Ale wiem, że tak jest dla niego lepiej.

— Lepiej? Matka mi go ukradła! — krzyknął Olof. — I tobie też. I Heldze. Wilczan wcale nie chciał z nią płynąć.

— Masz rację. Nie chciał rozstawać się z tobą i rodziną. Ale wie, że królowa dała mu wielką szansę. — To mówiąc, na leszczynową wędkę założył szczyt z innego drewna. Olof poczuł zapach świeżego jałowca.

— Jaką? — burknął gniewnie.

— Wychowa się na jej dworze w Roskilde. Pozna najważniejszych ludzi w Danii. W przyszłości, gdy obaj będziecie dorośli, Wilczan może bardzo ci się przydać.

— Nie rozumiem. — Skrzywił się, patrząc, jak Wilkomir zakłada na wędkę linkę skręconą z końskiego włosia.

— Król Sven zapewnił ci ochronę, ale nie będzie żył wiecznie. Wilczan, oddany na wychowanie na jego dwór, pozna Dunów jak nikt inny i gdy nastaną czasy po Svenie, będziesz tam miał oddanego przyjaciela.

Do Olofa wreszcie dotarło. Obraził się.

— To dlaczego matka mi tego nie wytłumaczyła, tylko zabrała Wilczana, jakby należał do niej, nie do mnie? — fuknął.

Wilkomir zarzucił wędkę. Na wodzie unosił się spławik z piórka.

— A co? Miała ci to powiedzieć przy Svenie? Olofie, jesteś pod moją opieką, ale to nie znaczy, że będę cię oszukiwał i ochraniał całe życie. Chcesz być królem? To się ucz!

— Czego? — zadrwił Olof. — Łowienia ryb?

— Nie — warknął na niego Wilkomir. — Tego, jak się używa wędki.

Piórko podskoczyło na wodzie i Wilkomir szarpnął wędką. Na końcu linki błyszczała niewielka srebrzysta rybka.

— Wiesz, co to? — spytał.

Olof wzruszył tylko ramionami.

— W kraju, z którego pochodzę ja i twoja matka, mówimy na nią stynka. Tutaj nazywa się ją nors.

— Uhm — potwierdził Olof i pochylił się, by obejrzeć rybę.

— Podoba ci się?

— Mała. Na ucztach jadamy takie. — Olof pokazał Wilkomirowi, jaka powinna być ryba na królewski stół.

Wilkomir wyrzucił stynkę do wody i odłożył wędkę. Pogrzebał w sakwie i wyjął jakieś żelastwo wyglądające niczym małe widły. Pokazał Olofowi i powiedział:

— To oścień. Nim zapolujemy na dużą rybę.

Potem zajął się mocowaniem ościenia do kijka. Nie patrzył na niego wcale, był pochłonięty robotą, ale nie przestawał mówić.

— Królestwo należy ci się prawem dziedziczenia, ale to nie znaczy, że będziesz dobrym królem. A jeśli byłbyś złym, ting odsunie cię od władzy albo znajdzie się ktoś inny, silniejszy, mądrzejszy, sprytniejszy, kto ci ją odbierze. Twoja matka też się tego uczyła, bo nikt nie rodzi się królem, nawet jeśli jest królewskim dzieckiem. — Wilkomir skończył mocować oścień i zamierzył się nim jak oszczepem. — Wiesz, ile było zamachów na twoje życie?

Olof poczuł, jak zasycha mu w gardle.

— Wiem… ci dwaj, Wsiewołod i Harald…

— I Birger, który chciał cię otruć, i Rognvald z Birki, który chciał cię okaleczyć. Wymieniać dalej? — Mówiąc to, Wilkomir chodził wzdłuż pomostu i przyglądał się wodzie. Nagle uniósł głowę i dodał zupełnie innym tonem: — Duże, drapieżne ryby lubią polować w zaroślach przy brzegu. Tam, gdzie małe rybki czują się bezpieczne.

Oczy Wilkomira zalśniły dziwnie i Olof poczuł się niezręcznie. Czy on mówi o rybach, czy o nim? Tymczasem Wilkomir wybrał miejsce i zanurzył oścień lekko w wodę; wpatrując się w jej toń, zamarł w bezruchu. Mówił dalej, ale nieco ściszonym głosem.

— Twoja matka zrobiła wszystko, co mogła, by obronić ciebie i kraj. Myślisz, że chciała zostać żoną Svena? Bzdura! Chciała zostać żoną kogoś innego, ale królowa…

Wilkomir zamachnął się i wbił oścień w wodę.

— Serce królowej należy do królestwa — Olof powtórzył to, co usłyszał z jej ust podczas uczty ze Svenem. Wtedy obraził się o te słowa, bo nie wspomniała o nim, a teraz zrozumiał, że co innego miała na myśli.

— Tak. I tego od niej się naucz.

— Złowiłeś coś? — spytał zaciekawiony Olof.

— Nie, ale próbuję dalej — odpowiedział Wilkomir i znów zamarł w bezruchu z czubkiem ościenia zanurzonym w wodzie.

Olof myślał o tym, co usłyszał. Patrzył na Wilkomira, który wyglądał jak oszczepnik przyczajony do rzutu. Po chwili zanurzył oścień z taką siłą, jakby chciał przebić dno. I wyjął go z wody ostrożnie i z trudem. Na żelaznych widłach szamotała się wielka ryba.

— Ja cię… — jęknął Olof.

— To szczupak. Moja Helga mówi na niego gädda. Piękny drapieżnik!

Zdjął rybę i położył na pomoście. Odczepił żelazne widły od trzonka i powiedział:

— Władca, który myśli tylko o sobie, żyje wygodnie aż do dnia, w którym nie widząc, jak to się stało, traci wszystko. Zaś ten, który odmawia sobie, by żyć życiem swego rodu i kraju, cieszy się miłością.

Olof wstał z pomostu, otrzepał spodnie, popatrzył na zielonkawe wody jeziora.

— Miłość poddanych wystarczy, by się przeciwstawić, gdy ktoś będzie chciał nas pokonać? — zapytał.

— Nie — odpowiedział spokojnie Wilkomir. — Ale bez niej nie będziesz miał żadnych szans.

Olof założył ręce na piersi, jak robił to kiedyś jego ojciec. Uniósł głowę wysoko, rozejrzał się. Przypomniał sobie, że musi wyprostować plecy, bo król się nie garbi. Mocnym krokiem ruszył ku koniom. Gdy do nich doszedł, obejrzał się i zdziwił; Wilkomira przy nim nie było. Olof wrócił na pomost. Ojciec Wilczana czyścił szczupaka, wyrzucając do jeziora wnętrzności. Mewy ujadały, prześcigając się i bijąc o nie.

— Co chcesz nieść, Olofie? Rybę czy wędkę?

— Wędkę — z wahaniem odrzekł chłopiec i schylił się po nią.

A kiedy szli już razem, spytał Wilkomira:

— Na początek może powinienem kazać naprawić ten pomost?

— Tak. To dobry pomysł, Olofie.

ŚWIĘTOSŁAWA złapała się na tym, że odkąd wpłynęli do Roskildefiordu, zachowuje się jak ktoś, kto planuje ucieczkę. Wpatrywała się w brzegi, zapamiętywała mijane wyspy i mielizny.

— Podoba ci się mój kraj? — zapytał Sven, stając przy niej.

— Kraj? — odpowiedziała pytaniem. — Podoba mi się ten fiord.

— To droga do mojej siedziby — w jego głosie zabrzmiała duma.

— Już niedługo nie będzie twoja — usiłowała nadać swemu głosowi żartobliwe brzmienie — lecz nasza.

Pochylił się nad jej uchem i szepnął:

— Gdybyś nie opierała mi się w Sigtunie, już nazwałbym ją naszą.

— Nie tobie się opierałam, tylko twej chuci — zaśmiała się.

Nieprawda. Bałam się, że zachowasz się zdradliwie lub niegodnie. Że upodlisz mnie, weźmiesz do łoża jak zdobycz wojenną, a potem ogłosisz, że pohańbiłeś królową i nie zamierzasz wywiązać się z umowy. Wtedy moi ludzie musieliby ująć się za zbrukanym honorem i mielibyśmy rzeź. Nie ufam ci, Svenie.

A jednak była w jego rękach. Przed wyjazdem z Sigtuny zostawiła Wilkomirowi rozkazy. Nie ustanowiła regenta, by nie osłabiać Olofa, ale jarla Asgrima uczyniła namiestnikiem królestwa. Odpowiadał za lojalność panów pozostałych ziem. Miał trzymać w gotowości łodzie, gdyby w Roskilde coś poszło nie tak. A Wilkomir, gdy tylko okręty Svena z nią na pokładzie znikną za horyzontem, powinien wysłać ludzi do Bolesława. „Podpowiedz memu bratu, aby Dalwin z Wolina wyprawił kupców do Roskilde. Przez nich przekażę wiadomość. Dostałam od nowego męża duże wiano, starczy na opłacenie jomswikingów. Jeżeli król Dunów okaże się wiarołomcą, srebrem Svena zapłacę za jego śmierć”.

Kościół w Roskilde był drewniany, nieduży i nosił wezwanie Świętej Trójcy. Jak to skwitował po cichu Ion: „Wierz mi, królowo, wielu poddanych Svena wciąż myśli, że Trójca Święta to Odyn, Thor i Tyr”. Mnich zapewne miał wiele racji, ale dla niej w tej chwili nie miało to znaczenia. Ważne, że Wulfric, angielski kapłan, który udzielał im ślubu, wiedział, do kogo się modli i o co. Sven się spieszył; zapowiedział, że prosto z pokładu „Poławiacza Wiatrów” udadzą się do kościoła, by zawrzeć małżeństwo. Dusza czesała ją i przebierała w namiocie rozstawionym

między burtami łodzi. „Wiem, dlaczego mu tak spieszno — mówiła Świętosława do Duszki, gdy ta zaplatała jej korony warkoczy. — Boi się gniewu mojego brata. Ach, z radością przyjęłabym sprzeciw Bolesława, gdyby tylko mój miły brat miał dość statków, by pomóc mi w odparciu ataku Svena”.

Sprzeciwów nie było, Wulfric szybko sprawował mszę i łączył ich przed Wszechmogącym ślubem dozgonnym. Bogu dzięki, nie kazał żadnemu z nich przyrzekać wzajemnej miłości, bo nie zniosłaby świętokradczej przysięgi. Wulfric wymagał jedynie, by przed Bogiem zobowiązali się do wierności po grób. Patrzyła na rzeźbiony w drewnie krzyż. I na gołębicę wyobrażającą Ducha. Myślała: Czy sokół odnalazł Olava? Czy Tryggvason szuka mnie u ujścia rzeki Göta? Czeka nadaremnie? Przeklina?

Sven, wysoki, rudobrody i wyniosły, raz po raz odwracał głowę i zerkał na nią. Nie uśmiechał się i nie miała pojęcia, o czym myśli.

Wychodzili z kościoła jako mąż i żona, król i królowa. Po mrocznym wnętrzu przez chwilę poraziło ją słońce. Potem zobaczyła tłum. Po jednej stronie stał Wielki Ulf i jedenastka jego ludzi, z nimi mały Wilczan, Dusza z rysiami na smyczy, trzy służki z Sigtuny. Garstka zaledwie w porównaniu z tłumem ludzi nowego pana męża. Porządek temu zgromadzeniu nadawał szpaler jednakowo ubranych wojów z osobistej drużyny Svena. Każdy z nich stał wsparty na długim toporze. W błysku słońca zobaczyła, że ostrza ich toporów są z żelaza zdobionego srebrem, jedno w drugie pokryte misternym ornamentem. To jeszcze broń czy już ozdoba? — pomyślała. Pomiędzy topornikami rozpoznawała pojedyncze twarze znane sobie z Sigtuny: jasnowłosy Jorun, jarl Stenkil, skald o imieniu Skuli. Reszta to byli obcy. Sporo bogato ubranych kobiet, które patrzyły na nią ciekawie. Dzieci cisnących się między dorosłymi, by ją dojrzeć.

Nie chciałam tu być, nie chciałam was poznawać, nie miałam ochoty zostać żoną Svena. Ale od teraz jestem waszą królową — pomyślała i uśmiechnęła się do wszystkich, pozdrawiając ich ruchem dłoni. Wrzask i Zgrzyt wyrywały się Duszy, wzięła więc od niej smycz i zwracając się do Svena, powiedziała:

— No to chodźmy.

— Dokąd? — spytał kpiąco.

— Do domu.

Wziął ją pod rękę i poprowadził. Z zewnątrz dwór w Roskilde nie zrobił na niej wrażenia. Był wielki, piękny, ale równie mroczny jak ten w Uppsali, w którym czuła się źle. Mocne, rzeźbione kolumny przed wejściem, a na ich szczycie dwa drewniane kruki. Czy sokół znalazł Olava? Czy czeka? Czy?…

— To twoja matka? — spytała, patrząc na bogato ubraną starą kobietę w tłumie tych, którzy stali przed wejściem do dworu.

— Przeciwnie. — W głosie Svena zadrżał gniew. — To Arnora, żona jednego z mych wrogów.

— Ich też zaprosiłeś?

— Nie mam zwyczaju spraszać trupów na uczty.

Świętosława skinęła Arnorze głową i przyjrzała jej się z uwagą. Ta kobieta wyglądała jak plemienna królowa. W każdej ze zmarszczek na jej twarzy ukryta była duma, chwała, ból i gniew. Nie odwzajemniła ukłonu.

— Poznaj Melkorkę. — Sven przywołał inną niemłodą kobietę. — To gospodyni dworu w Roskilde.

U pasa Melkorki brzęczały klucze, a jakże! Głowę trzymała wysoko, godnie. Miała obfity biust i biodra, a jej popękane czerwone dłonie świadczyły, że nawet jeśli goni do roboty służbę, sama pracuje niewiele

mniej. Miała na sobie ozdobną suknię-fartuch, ale włosy ściśle związane w węzeł wskazywały na kobietę raczej zasadniczą niż strojną.

— I moją córkę, Gydę. — Pan mąż zawołał rudowłosą, szczupłą dziewczynkę.

— Ile masz lat, ślicznotko? — spytała Świętosława.

— Dziesięć — odpowiedziała bardzo cicho.

— Jesteś podobna do króla jak dwie krople wody.

— Zatem i ja jestem śliczny? — zażartował Sven. — Chodźmy, poznasz wszystkich podczas uczty. Nie wystawiajmy cierpliwości Melkorki na próbę. Prosiaki upieczone, co?

— Będą za suche — poważnie odrzekła Melkorka — jeśli każemy im siedzieć na ruszcie choćby chwilę dłużej. Ja zrobiłam je bardzo dobrze, tak jak lubił król Harald, więc jeśli się przypalą, przesuszą czy coś, to nie moja wina.

— A jeśli król Sven woli suche, odwrotnie niż król Harald? — zadrwił Sven.

Kobieta się zarumieniła, zerkając na smukłą sylwetkę Świętosławy.

Weszli do środka. Duża halla nie ustępowała wielkością tej w Sigtunie, może była nawet nieco dłuższa. Blask pochodni pełgał po okalających ściany rzeźbieniach. Idąc ku królewskim krzesłom, zapatrzyła się na nie. Jedno mityczne zwierzę chwytało kolejne. Wilk, wyciągając przed siebie długie, strojne w pazury łapy, sięgał orła osłoniętego pięknie wywiniętymi skrzydłami. Ten zaś wygiętym dziobem łapał konia gotowego do skoku. Ornament chwytających się zwierząt nie miał początku ani końca, bo jedna bestia przechodziła w drugą. Mroczny i drapieżny, zafascynował ją swą urodą. Podwyższenie wysłane było skórami, na które rzucono wspaniałą, purpurową materię przetykaną srebrnymi nićmi. Pewnie zdarł ją ze ściany jakiegoś angielskiego zamku — pomyślała, ostrożnie stawiając na niej

nogę. Wrzask i Zgrzyt nie miały skrupułów, układając się wygodnie na wzorzystej purpurze.

— Usiądź, pani — wskazał jej miejsce Sven. — Chcę, byś poznała moich przyjaciół i by oni mogli nacieszyć się twym widokiem. Melkorka i jej pieczone prosiaki muszą uzbroić się w cierpliwość, bo nie wypada kazać czekać najważniejszym ludziom w Danii.

Stanął przed nimi żylasty mężczyzna o rzedniejących włosach i ciemnych, uważnych oczach.

— To jarl Thorgils z Jelling — przedstawił go Sven. — O zaufaniu, jakim go darzę, niech świadczy fakt, że gdy płynąłem do ciebie, powierzyłem mu opiekę nad krajem.

Patrzy, jakby chciał mnie ukąsić — pomyślała.

— A ten dzielny człowiek to Hakon z Fionii, moja pani!

Niewysoki, wielki w barach, brodaty. Szrama pod lewym okiem — zapamiętywała twarz oraz imię, uśmiechając się do przedstawianych.

— Poznaj wreszcie Gunara z Limfiordu! On wraz z Thorgilsem i Hakonem są mymi przyjaciółmi od dawnych czasów, gdy razem odbiliśmy z rąk saskich Hedeby!

Siwe włosy, zacięte usta, ale oczy ma pogodne. Skinęła głową Gunarowi z Limfiordu.

Potem zapamiętała jeszcze wyglądającego jak drapieżny ptak Ragna z Wysp, pulchnego Uddorma z Viborga, Gjotgara, przystojniaka ze Skanii. Stenkila z Hobro już znała, był ze Svenem w Sigtunie. I Skuli. Kim był ten Skuli? Ach tak, to skald Svena, który na jej dworze nie recytował, lecz słuchał pieśni Thorvalda, islandzkiego skalda Erika.

— A teraz, droga żono, poznaj pana Ribe, Vigmara. — W głosie Svena zabrzmiała przekora i to wystarczyło, bo domyśliła się w Vigmarze oponenta.

— Gdzie leży Ribe? — spytała Vigmara.

— Na zachodnim brzegu Jutlandii — odpowiedział, skłaniając przed nią głowę.

— Blisko granicy z Sasami — dopowiedział Sven. — Dlaczego twój starszy brat, nasz wielebny biskup Oddinkarr, nie przybył na me zaproszenie?

— Zdrowie mu nie dopisało, królu — sztywno odpowiedział Vigmar. — Prosił, bym przekazał tobie i nowej pani, że raduje się z waszego związku.

— Przysłał prezent, by wynagrodzić nam swą nieobecność? — bezczelnie zapytał Sven.

Świętosława ciekawie przyglądała się Vigmarowi i swemu panu mężowi. Chętnie poznałaby biskupa, by dowiedzieć się o ich konflikcie czegoś więcej. Pan z Ribe wyglądał na mocno skwaszonego udziałem w uroczystości. Czy wrogowie mego męża będą moimi przyjaciółmi? — pomyślała.

W głębi, na osobnym miejscu w kącie halli siedziała Arnora. Mimowolnie przyciągała oko Świętosławy. Stara kobieta z wysoko uniesioną głową zdawała się zupełnie nieobecna.

Czy ona pod tym bogatym płaszczem jest zakuta w łańcuchy? — zastanowiła się, ale po wcześniejszej reakcji Svena wiedziała, że nie powinna o to pytać. Nie teraz.

Halla była wypełniona po brzegi. Kobiety, żony i córki wodzów, Wulfric w towarzystwie kilku kapłanów i dziesiątki mężczyzn o zaciętych twarzach, których imion jeszcze nie poznała. Jej ludzi usadzono osobno, widziała Duszę opiekującą się małym Wilczanem. Co robi mój syn, Olof? — wzdrygnęła się.

Jorun, nieodłączny towarzysz jej męża, stanął u stóp podwyższenia i unosząc olbrzymi, okuty róg, krzyknął do zebranych:

— Oto wszyscy bogowie, starzy i nowi… i nowy — poprawił się szybko — sprzyjają naszemu królowi! Po słynnym i zwycięskim podboju Anglii wrócił szczęśliwie do domu, obdarzając bogactwem i nas, i królestwo. A teraz jeszcze król dał nam królową, słynną Sigridę Storrådę! Przyjmijmy ją pod naszym dachem gorąco!

Wymieniła błyskawiczne spojrzenie z Wielkim Ulfem. Jemu też nie podobał się ten toast.

— Za króla! — odpowiedzieli Jorunowi okrzykiem zebrani.

— Za króla!

Poczuła, jak płoną jej policzki. Nie chcą wypić toastu za nią. Tak, patrzą na mnie jak na żonę Erika, a nie Svena. Jak na zdobycz wojenną, nie swą panią. Do diabła! To tak, jakby mnie przyprowadził w łańcuchach.

Jorun podał wielki róg Svenowi, ten upił i wstał.

— Jestem zaszczycony, że królowa Sigrida przyjęła me oświadczyny. To znak, że czas wojen zamienia się w czas pokoju, a przecież wszyscy kochamy pokój! Jeśli się nim znudzicie, jeśli znużą was domowe pielesze, poprowadzę was na zachód lub północ! Dajmy czas Anglii, by odbudowała się po mojej ostatniej wizycie, by napełniła skarbce…

Wreszcie się ucieszyli, przerywając Svenowi gromkim śmiechem.

— …przyjdzie też pora, by ruszyć na północ! Norwegia zapomina o naszym dawnym panowaniu…

Goście uderzali w stół z radością. Poczuła, jak wszystko podchodzi jej do gardła. A więc to tak, panie mężu? Wspólnie z Tryggvasonem łupiłeś Anglię, a teraz marzysz o pobiciu Olava?

— …siostra mego ojca, słynna pani Gunhild, była królową Norwegii — ciągnął Sven — ale odkąd ją wygnano, Dania straciła norweskie lenno…

Mówi o wdowie Gunhild? — myślała gorączkowo. — Tej, która stała za śmiercią ojca Olava? Która ścigała jego ciężarną matkę? Polowała na

ostatniego potomka norweskich królów? Do czego on zmierza?

— Jest godny, dawny zwyczaj, by kobieta po ślubie, przybywając do kraju męża, zmieniała imię. Chcę zaproponować mej nowo poślubionej żonie, by na pamiątkę Gunhildy duńskiej przyjęła imię Gunhildy lechickiej! Uczcimy w ten sposób moją sławną ciotkę i docenimy wielki kraj pochodzenia naszej nowej królowej!

Serce biło jej szybko i nierówno. Stenkil, Thorgils, Ragn z Wysp, Uddorm jako pierwsi podjęli okrzyk:

— Gunhilda! Gunhilda!

Po moim trupie — pomyślała, słuchając ich. Sven odwrócił się do niej ze swym paskudnym, kpiącym uśmiechem.

— Co ty na to, moja pani?

Wstała. Wrzask i Zgrzyt natychmiast zrobiły to samo, stając po jej obu bokach.

— Mężu! Panowie Danii! Gunhild to piękne imię — zawołała dźwięcznie i zamilkła, patrząc po nich. — Ale wspomniałeś, mój królu, że królową Gunhild wygnano. A ja, odkąd cię poznałam i odkąd podczas naszej podróży pokazywałeś mi swój kraj, za nic w świecie nie chciałabym być zmuszona do opuszczenia słodkiej Danii! Te ciemnozielone wody, skaliste, urocze wyspy, łagodne brzegi fiordów! Dlaczegóż w chwili, w której pokazałeś mi tak piękną i gościnną ziemię, chciałbyś naznaczyć mnie imieniem wygnanej królowej?

Cisza, jaką usłyszała w halli, zagrzała ją do dalszej walki.

— Poznałam dziś mężnych ludzi, twych jarlów. Thorgilsa z Jelling, Uddorma z Viborga, Ragna z Wysp, Gunara z Limfiordu, Hakona z Fionii, Gjotgara ze Skanii… — Każdemu z nich skinęła głową. — A szlachetnego Stenkila z Hobro miałam zaszczyt gościć już u siebie, w Sigtunie. Domyślam się, że twoi wierni towarzysze broni walczyli przed laty z mym

poprzednim mężem, królem Erikiem. Czyż dla nich, mój słodki Svenie, nie ma znaczenia, że oto przy twoim boku zasiądzie Sigrida Storråda, dawna żona ich wroga? Czyż waszych serc, moi nowi przyjaciele, nie będzie radować to imię? Wszak ono najdobitniej świadczy o wielkości waszego dzisiejszego zwycięstwa.

Kiwali głowami. Tak. Użyła ich broni. Czy wygra? Odwróciła się ku Svenowi. Był skonsternowany. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Ale takie twoje prawo, mężu. Jeżeli zechcesz, możesz nazywać mnie Gunhildą.

— Gunhildo — wyciągnął ku niej rękę — witaj w królestwie Danii.

Przegrałam? — pomyślała gniewnie. — A niech cię diabli, Svenie. Imię to tylko suknia. Można je zdjąć w każdej chwili.

— Gunhilda lechicka! — krzyknął Jorun. — Nasza królowa! Niech żyje!

— Gunhilda!

— Sigrida!

— Królowa!

Chciwie łapała pomieszane okrzyki. Sven wybrał, ale jego ludzie się wahają. Nie może otwarcie opowiedzieć się przeciw niemu. Nie teraz.

Siadając przy Svenie, złowiła jego spojrzenie. Rudobrody był zadowolony. Nie miała zamiaru swym gniewem dać mu kolejnych powodów do satysfakcji.

— Nie każ Melkorce dłużej czekać — powiedziała. — Jestem głodna.

Dał znak i na podwyższenie, które zajmowali, szybko wniesiono kozły i ustawiono na nich stół. Jasnowłosa służka przykryła go złotogłowiem, druga, ruda jak Sven, podała naczynia. Uwagę Świętosławy przyciągnęły dwa kielichy z zielonego szkła, podane przez służbę z największą czcią.

— Lodowy kubek — z dumą powiedział Sven. — Wielka rzadkość.

— Piękna rzecz — potwierdziła, oglądając go pod światło. — Na dworze mego ojca mieliśmy ich sporo. Karafki też. Z zielonego i znacznie rzadszego, niebieskiego szkła. Przywozili je panu ojcu arabscy kupcy.

Oczy Svena się zwęziły. Ucieszyła się z kamienną twarzą i dobiła:

— Tak, szkło jest nadzwyczaj cenne. W Poznaniu mamy kaplicę pałacową, gdzie pochowani są moi rodzice. Cała ściana kaplicy wyłożona została szklaną kostką. Ma piękną barwę, wiesz? Jak bałtycki jantar. Czego się napijemy z twych szklanych kielichów?

— Wina! — krzyknął.

— Twój kraj zaskakuje mnie z każdą chwilą coraz bardziej. Macie winnice?

— Nie. Ale twój mąż potrafi zdobyć wino — warknął.

Jest wybuchowy — pomyślała, gdy jasnowłosa służka nalewała jej wina.

— Jak ci na imię, panno? — spytała dziewczyny.

— Vali — odrzekła dość śmiało.

— Dziękuję, Vali. Wystarczy.

Umoczyła usta. Wino było słodkie i mocne.

Powinnam się upić, by łatwiej znieść noc poślubną z rudym Svenem? Czy raczej zachować czujność i trzeźwość?

Miała przy sobie dwa noże. Jeden w cholewie buta, a drugi, nieduży, schowany na plecach, pod ozdobnym pasem z twardej skóry, który założyła pod suknię, na samą koszulę. Wymyśliły to, gdy Dusza ubierała ją do ślubu. W Sigtunie szło jej ze Svenem nie najgorzej, ale tu jej pan mąż był u siebie. Wciąż jeszcze spodziewała się wszystkiego.

— Opowiedz mi o swej matce, Svenie — poprosiła, gdy na stół przed nimi wniesiono jadło.

Prosiak Melkorki wyglądał apetycznie, choć mięso było już zimne. Przez grzeczność nałożyła sobie porcję, ale skubała tylko chleb. Był świeży

i chrupiący.

— Piękna, słodka Tove — odpowiedział Sven z pełnymi ustami. — Była Słowianką jak ty, pani.

— Córka Mściwoja, władcy Obodrytów — przypomniała sobie rozmowy z Mieszkiem. — Jaka była?

— Dla syna matka jest święta — powiedział, popijając mięso winem.

Świętosława złowiła niespokojne spojrzenie Melkorki. Natychmiast ugryzła kawałek pieczeni. Zimnej, przypalonej i tłustej, tak twardej, że ledwie ją przełknęła. Goście nie mieli oporów. Opychali się ile wlezie.

— Tak jak żona dla męża — odpowiedziała na jego uwagę o Tove.

Przechylił kielich, jakby pił nie wino, lecz piwo; odstawił, otarł usta wierzchem dłoni i zaśmiał się.

— Żartujesz, Sigrido! Gdyby tak było, żenilibyśmy się z matkami!

Bydło — pomyślała o nim, ale z satysfakcją usłyszała, jak ją nazwał. Nie skomentowała. Niech się myli jak najczęściej. Upiła łyk wina. Czy to możliwe, że wie o niej i Olavie? Dlatego chciał ją nazwać Gunhildą? Niemożliwe, skąd miałby to wiedzieć? Raczej chciał wysłać Tryggvasonowi ostrzeżenie, pogrozić mu lub przynajmniej dokuczyć wspomnieniem krwawej wdowy. Na myśl, że Sven zechce wdać się w wojnę z Olavem, zrobiło jej się niedobrze. Sięgnęła po wino. Nie o wszystkim musi teraz myśleć.

Uczta płynęła leniwie. Skuli, skald Svena, katował ich poematem o swym królu, w którym Sven, jako dzielny wojownik, nazywany był „karmiącym padlinę”, „płomieniem Thora” lub „niszczycielem głodu wilków”, a jego miecz porównano do żmij bitewnych. Świętosława zatęskniła za strofami Torvalda albo czymkolwiek, byle nie tak chełpliwym.

— Znasz *Pieśń Najwyższego*, Skuli, skaldzie o srebrnym głosie? — zawołała. — Podaruję ci pierścień, jeśli ją dla mnie wyrecytujesz.

— Całą, królowo? — spytał i zalśniło mu oko.

— Całą, Skuli — zaśmiała się. — O ile mój mąż nie ma nic przeciw temu.

— Ja? Skądże! — Sven oderwał usta od kielicha. — Ja się dziwię, że moja pani, chrześcijanka, chce słuchać odynicznych strof!

— Wulfricu — zwróciła się do mnicha. — Czy ciebie, kapłana, to oburza?

— Ależ królowo, cóż złego w poezji? Nadto, adversae res admonent religionem.

Adversae, adversae — powtórzyła w duchu. — Słyszałam to. Gdzie? Kiedy? Ojciec Jan! Tak wzdychał dobry ksiądz, wychodząc z lekcji, na których uczył katechizmu Bolesława i jego młodych druhów. „Przeciwności uczą pobożności”, ach tak!

— Zgadzam się z tobą, Wulfricu! — zawołała radośnie. — Zatem, Skuli? Podejmujesz wyzwanie?

— *Pieśń Najwyższego* dla królowej Sigridy! — krzyknął mnich Ion.

— Gunhildy — poprawił go Sven.

— Attendite a falsis prophetis — mruknął pucołowaty mnich.

— Co mówisz, klecho? — ostro spytał król.

Wulfric powstrzymał śmiech i odpowiedział za Iona:

— Pobożny benedyktyn cytuje Pismo Święte, królu. Z radością cię z nim zapoznam.

— Potem. — Sven odgonił się od Wulfrica jak od muchy. — Dzisiaj jest mój ślub. Wina!

Attendite a falsis prophetis… Czy to znaczyło „strzeż się fałszywych proroków”? — próbowała sobie przypomnieć Świętosława. W jednej chwili stanęły jej przed oczami uczty w Poznaniu. Księżna Oda znała nieco łaciny i usiłowała popisać się nią przed ojcem Janem i jego kapelanią, wychodziło

jej średnio, ale dzięki temu Świętosława i Bolesław oswoili się z brzmieniem języka Kościoła. Czyżbym mogła Wulfrica zaliczyć w poczet sojuszników? Niech będzie chociaż on.

Skuli ruszył z długim poematem. Przez trzy pierwsze strofy w halli panowała cisza, potem musiał się przenieść bliżej podwyższenia, bo panowie jej męża znudzili się mową Odyna, a głęboko zainteresowali mową piwa, miodu i wina.

— Mężu? Nie pijesz już wina? — spytała, widząc, że odsunął jasnowłosą Vali, gdy podeszła do niego z dzbanem.

Uśmiechnął się do niej bezczelnie.

— A ty, moja pani? — Wskazał na jej kielich, wciąż w połowie pełen. — Właśnie spłukałem te wszystkie uroczystości. Wulfrica, długie ględzenie w kościele, przysięgi, że Bóg to i tamto. Nim Skuli rozprawi się z poematem, będę gotów na pokładziny. Co, piękna moja? Myślałaś, że upiję się w noc poślubną? Niedoczekanie!

Niech cię diabli! — jęknęła w duchu.

— Doskonale. Kolejny kielich będzie wspólny! — powiedziała i odwróciła się, by nie patrzeć na niego.

Udawała, że słucha skalda, ale jedyne, co słyszała, to przerażone bicie serca. Przypomniała sobie królika, którego kiedyś upolował Zgrzyt. Zwierzę żyło, ale chwycone przez rysia zamarło ze strachu w jednej chwili. Popijała wino małymi łykami i była królikiem trzymanym w zębach przez rudego drapieżnika. Nie! — przerwała widmo strachu i pociągnęła smycz. Wrzask i Zgrzyt przysunęły się do niej. Położyła dłonie na ich łbach. Przymknęła powieki.

Skuli z trudem przebijał się głosem ponad gwarem uczty:

Płomień od płomienia zapala się, aż się wypali.

Ogień wzniecasz od ognia…

Przypomniała sobie pieśni Erikowego skalda o Brunhildzie, walkirii zakutej w zbroję, otoczonej kręgiem płomieni. Wyobraziła sobie, że na jej skórze wyrasta niewidzialna dla ludzkiego oka zbroja.

— …co sądzisz, żono? — dotarł do niej głos Svena.

— O czym? Wybacz, goście bawią się głośno, nie dosłyszałam.

— Mówiłem, że poślemy do księcia Bolesława radosną nowinę o naszym ślubie.

— Sądzisz, że mój brat się ucieszy? — zapytała zimno.

— Jeśli mówimy tak szczerze — odpowiedział ze swoim bezczelnym uśmiechem — to sądzę, że Bolesław się wścieknie.

— Jesteś przewidujący, mężu.

— Twoje pierwsze małżeństwo było wymierzone we mnie…

— Nie pochlebiaj sobie — przerwała mu, unosząc podbródek. — Chodziło o twego ojca.

Parsknął śmiechem.

— Przy tobie odkrywam przyjemność płynącą z rozmowy. Tej nocy mam nadzieję zasmakować i innych przyjemności.

— Do rzeczy, to nic nie zmienia w sprawie mego brata.

— A jego wściekłość nic nie zmieni w sprawie naszego małżeństwa. Jak to mówią: po ptakach. Ale nie zależy mi na gniewie szwagra…

Szwagra? Bolesław dałby ci w pysk, gdyby to usłyszał. „Chciałbym cię za szwagra” — powiedział do Olava w tamtą noc, gdy wzięliśmy w ręce grzyby.

— …znasz go, podpowiedz zatem, żono, co by go ucieszyło? Chcę mu wysłać prezent.

— Uradowałby się, gdybyś mu odesłał siostrę, nietkniętą. — Uśmiechnęła się do niego niewinnie. — Ale trudno mi przewidzieć, co

osłodzi mu gorycz naszego ślubu… Czy mincerz, którego zostawiłeś memu synowi w Sigtunie, jest jedynym, jakiego przywiozłeś z Anglii?

— Chciałabyś bratu posłać mincerza? Widzę, że moja pani woli dawać w prezencie nie rybę, lecz wędkę. Imponujesz mi, żono.

— Wrócimy do tematu w alkowie. A jeśli chcesz ukoić gniew księcia Bolesława, przygotuj mu mincerza.

Konia tucz w domu, psa na cudzym podwórzu…
Skuli skald nadwyrężał gardło.
Sven przeciągnął się, aż trzasnęły kości.

Słowom dziewczęcia wiary nie dawaj,
ni temu, co mówi żona.
Bo na kręcącym się kole serca kobiet stworzone,
niestałość włożono im w pierś…

— Koniec pieśni! — krzyknął tak mocno, że zgiełk w halli ustał w jednym momencie. — Wasz król jest gotów na dopełnienie małżeństwa!

— Pokładziny! — wrzasnął płowowłosy Jorun.

— Po-kła-dzi-ny! — zaskandowali goście.

Jezu, chroń mnie! — Świętosława zacisnęła zęby. Naprężyła mięśnie, by poczuć, że ma nóż pod pasem na plecach.

— Ci… ciiii… — zasyczeli z dołu.

Znad jednej z ław uniósł się starzec, którego jej nie przedstawiano. Zgrzybiały, łysy człowiek obwieszony srebrem.

— Too pieerwsze pookłaadziiiny — zaskrzeczał — ood czaasu króóla Ha-ha-ha… — Rozkaszlał się okropnie, lecz wszyscy czekali, aż skończy. — Haralda i królowej Toove! Chwaała dynaastii z Jelling…

— Skjoldungowie!

— Chwała! Chwała! Chwała! — zaryczeli zgodnie.

Wielki Ulf podniósł się z miejsca i ruszył do niej. Dusza też. Wymieniły się spojrzeniami. W oczach Duszki było współczucie, w oczach Świętosławy ogień, który ochraniał Brunhildę. Oddała jej smycz. Wrzask i Zgrzyt przeciągnęły się, wstając z purpurowej materii. Zgrzyt warknął, schodząc z podwyższenia.

— Kto poprowadzi króla do alkowy? — zawołał Jorun.

— Jego wojowie! — odpowiedziała halla i ruszyli ku niemu. Kilkunastu mężczyzn przepychało się, by dostąpić zaszczytu niesienia Svena. Podnieśli go na ramiona i zeszli z nim na dół.

— Król zrzuca pas! — krzyknął jeden z nich i zerwali potrójny pas z bioder Svena.

— Buty mu w łożu niepotrzebne! — Ściągnęli mu długie, skórzane buty.

Kobiety zgromadzone na uczcie chichotały, odbierając części ubrania Svena, a mężczyźni wynosili go w kierunku alkowy.

— Kto zaniesie królową? — zakrzyknął Jorun, gdy orszak z rudobrodym zniknął z wielkiej halli.

— Ja! — tubalnym głosem odpowiedział Wielki Ulf i nie czekając, aż ktoś go uprzedzi, wziął ją na ręce.

— My! My! My! — zakrzyknęli jarlowie Svena z najwyższego stołu i ruszyli ku nim.

— Adversae res admonent religionem… — zawołał do niej słabym głosem Wulfric.

Przeciwności uczą pobożności? W tym ma znaleźć pociechę? Siedziała na ramionach Ulfa jak w objęciach wysokiego krzesła. Pierwszy dopadł ich Thorgils z Jelling. Jego ciemne oczy lśniły, a policzki rumieńcem zdradzały, że wiele wypił.

— Czy królowej potrzebne buty? — zawołał i spojrzał na nią. Zamarł.

— Nie, jarlu Jelling — odpowiedziała mu słodkim głosem i sama je zdjęła. — Weź buty i pilnuj. Królowa zgłosi się po nie o poranku.

— Tak jest — wymamrotał, przyciskając jej buty do piersi.

— Czy królowej potrzebny płaszcz? — zawył pijany Ragn z Wysp.

— Nie, mój jarlu wszystkich małych i wielkich wysp. Królowa daje ci płaszcz i prosi: przechowaj go do rana. — Mówiąc to, sama zdjęła z ramion płaszcz i podała Ragnowi.

— Suk… suk… — Gunara zatkało. Wlepił w nią półprzytomne spojrzenie.

Dała znak Ulfowi. Wielki Szwed postawił ją na stole.

— Chcesz mej sukni, Gunarze z Limfiordu? Jarlu wielu przystani? Najwierniejszy z wiernych? — spytała.

— Taaak… chcę…

— Vali! — krzyknęła Świętosława. — Piękna dziewczyno, podejdź z nożem, pomóż rozebrać się swojej królowej!

Jasnowłosa podbiegła.

— Nie masz noża? — zmartwiła się Świętosława. — Nie szkodzi. Thorgilsie z Jelling, wracaj z moimi butami! Vali, szukaj w nich. Dziwicie się? — spytała otaczających ją kręgiem. — W kraju, z którego pochodzę, każda kobieta nosi nóż w bucie. Takie mamy zwyczaje.

A drugi ukrywa na plecach, idąc do małżeńskiego łoża — pomyślała, zaciskając zęby.

Vali wyjęła nożyk i uniosła.

— Gunar z Limfiordu życzył sobie zdjąć ze mnie suknię, ale z Sigridy Storrådy suknie zdejmuje się nożem. Vali, zrób, o co prosi jarl Gunar!

Świętosława uniosła ramiona i dziewczyna rozcięła szwy jej sukni.

Mam na sobie zbroję, niewidoczną dla ludzkiego oka — powtórzyła Świętosława, gdy gruby jedwab opadał do jej stóp. Została w cienkiej,

prześwitującej koszuli, spiętej skórzanym pasem. Uniosła dumnie głowę i okręciła się na stole.

— Czy ktoś z was chce jeszcze coś ze mnie zdjąć? — krzyknęła zaczepnie.

— Tak — odpowiedział jej całkowicie pijany głos Vigmara z Ribe. — Zdarłbym ci, pani, i tę koszulę, ale nie śmiem.

— I słusznie, bo nie jesteś pierwszy w radzie mego pana męża. Do alkowy, do małżeńskiej bitwy nieś mnie, Wilku! — zawołała i Ulf szybko wziął ją w ramiona.

— Królowa Sigrida Storråda! Sto-rrå-da! — zawołali ci, którzy ją obnażali. — Sigrida! Storråda!

Zwycięstwo było nagie i gorzkie, ale smakowało prawdziwie.

Ulf postawił ją na posadzce alkowy. Poczuła zimno pod stopami i przeszły ją dreszcze.

Sven z kielichem w dłoni, nagi do pasa zawołał:

— Pani! Oto przybyłaś spełnić małżeńskie śluby!

— Tak, mężu. Pokornie proszę o przyjęcie mnie do alkowy!

Zza swych pleców usłyszała szept Iona:

— Co Bóg złączył, człowiek rozdzielić nie może.

I natchniony głos skalda:

— Uczyńmy teraz mężnym sercem to wszystko, czym chełpiliśmy się przy kielichu wilgotnymi usty!

Rudobrody pogładził się wolną od kielicha ręką po nagim brzuchu.

— Wejdź, Gunhildo — powiedział, przekrzywiając głowę.

— Sigrida Storråååda — dyszeli jego wodzowie, gapiąc się na jej nagość pod pajęczą osłoną koszuli.

Jestem okuta zbroją walkirii — zaklęła się, zaciskając zęby, i uniosła ramiona.

— Sigrida! Storråda! — zaskandowali jeszcze głośniej.

Sven się wściekł i krzyknął:

— Wynocha! Zostaję z moją panią sam!

— Storråda — zaszeptali chórem, dodając jej otuchy.

OLAV od chwili, gdy zobaczył topór wiszący nad parą wyrytych w skale kochanków, nie miał wątpliwości, że dostał przestrogę od Boga, by zawrócić z drogi. Nie pojechał na miejsce spotkań królów u ujścia rzeki Göta. Pchnął do Sigtuny posłańca, który miał ostrzec Świętosławę: „Jeśli Bóg pozwoli, spotkamy się jeszcze". I popędził wraz z oddziałem na północ, robiąc przerwy w drodze tylko po to, by konie odpoczęły. Biały pies, którego spotkał przy skale, nie był przywidzeniem. Gonił za nimi.

W Viken spotkał się z matką i Lodinem, ale tylko na chwilę potrzebną do przygotowania statków, ani dnia dłużej.

— Twoi ludzie pod wodzą Varina wykonali rozkazy — przekazał mu Lodin. — Idą od osady do osady, zwołując wszystkich wolnych na ting w Gula. Zdaje się, że miałeś dobry pomysł, ludzie chcą cię wreszcie zobaczyć, poznać i sprawdzić, czy jesteś takim mocarzem, jak głosi legenda, która cię wyprzedza.

— Przypomnij mi, jak się nazywa najmożniejszy z tamtejszych panów?

— Olm, królu.

— Olm — Olav powtórzył imię człowieka, który pierwszy musi pojąć, że legenda nie kłamie. — Lodinie, przygotuj do drogi całą swoją rodzinę. Moje siostry, Ingebjorgę i Astrydę, i twoje córki, Ingiredę z Ingigerdą. Twój syn, Torkil Nos, jest zręcznym młodzieńcem, niech dba o wasze bezpieczeństwo w drodze. Oczekuję, że i moja matka będzie wam towarzyszyć. Przypłyńcie do Gula bez pośpiechu, ting odbędzie się wiosną. Chcę was tam zobaczyć wszystkich jako moją rodzinę.

— Co zamierzasz zrobić, nim zacznie się ting? — niespokojnie spytał Lodin.

— Stanę ze swą flotą u wejścia do Hafrsfiordu — odpowiedział Olav, patrząc mu prosto w oczy. — Przypomnę wszystkim, jak Harald Pięknowłosy, mój wielki pradziad, zaczynał swe rządy.

Lodin pogładził brodę i kiwnął głową krótko.

— Jeśli to przemyślałeś, Olavie, powiem, że nie brak ci odwagi. Stanąć na wprost ludzi z zachodnich krain i powiedzieć im: Tu, przed ponad stu laty, mój przodek rozbił waszych przodków w pył…

— Można to także zrozumieć inaczej, Lodinie — przerwał mu Olav. — Uznajcie mą władzę, bo pragnę zjednoczyć kraj.

— Wiesz, co było skutkiem tamtego „jednoczenia kraju”? Ucieczki i banicje. Pięknowłosy dowiódł, że w ojczyźnie nie ma miejsca dla tych, którzy myślą inaczej niż on.

Olav wzruszył ramionami.

— Nie bądź naiwny, Lodinie. Nie ma silnych rządów bez poskromienia opornych.

Mąż jego matki wycofał się.

— Może i masz rację. Tylko za czasów Pięknowłosego nasz kraj był zjednoczony od południa do północy. Ale za jaką cenę?

— Słuszność jest po mojej stronie. I mam coś więcej, niż miał mój pradziad. Mam prawdziwą wiarę.

Lodin westchnął ciężko. Jeśli miewał jakieś wątpliwości, krył się z nimi, odkąd biskup Sigurd ochrzcił go wraz z całą rodziną. Na odchodnym, gdy Olav siedział już w siodle, Lodin podszedł blisko, pokornie ujął go za strzemię i szepnął:

— Błagam cię przez wzgląd na twoją matkę, kobietę, którą obaj kochamy. Nie dopuść do tego, by ci, którzy nie przyjmą wiary, musieli

uciekać z kraju, jak za czasów twego pradziada wyjechać musieli ci, którzy się z nim nie zgadzali. Królu Olavie, sam byłeś wygnańcem, a twoja wiara zakłada miłosierdzie…

— Moja wiara? — powtórzył za Lodinem Olav. — Czy nasza?

Nie powiedział nic więcej, ruszył na przystań. Pies nie opuszczał go na krok.

Ciepłe prądy morskie sprawiały, że nawet zimą południowo-zachodnie wybrzeża Norwegii rzadko pokrywał śnieg. Olav kazał ustawić trzydzieści statków w jednej linii, na żaglach, tak by z lądu były doskonale widoczne. Dostrzegli, jak ludność zbiera się na skałach, jak z niepokojem się w nich wpatruje. Wreszcie, po południu, przypłynęła ku nim niewielka łódź z białą płachtą na maszcie.

— Kim jesteście i czego od nas chcecie? — zawołał sternik.

— Kto pyta? — odkrzyknął mu Olav.

— Pan Erling Skjalgsson z Sola, do którego należy tu najwięcej ziem!

— Odpowiedz swemu panu, że przybył do kraju prawowity król, Olav Tryggvason!

— Wobec tego mój pan zaprasza króla Olava na swój dwór — zakrzyknął sternik.

— Nie, to król Olav zaprasza twego pana na ting w Gula!

— Czyli nie będziecie nas atakować? — dopytywał posłaniec.

— Przekaż swemu panu, że moje zamiary są pokojowe.

Sternik naradzał się chwilę z dwójką starszych mężczyzn, którzy siedzieli w łodzi. Najwyraźniej nie wiedzieli, co począć.

— Skoro macie dobre zamiary — krzyknął sternik po chwili — to dlaczego stąd nie odpłyniecie?

— Chcę uczcić pamięć mego pradziada, króla Haralda Pięknowłosego, i miejsce, w którym pokonał niepokornych! — odpowiedział Olav

i odwrócił się od wysłanników, dając im znać, że skończył rozmowę.

Przybył do Gula na długo przed dniem tingu. Część statków wprowadził do przystani, drugie tyle zostawił na kotwicowisku. Wyglądały doskonale, jak jednakowo uzbrojone wojsko, bo po zwinięciu żagli na maszcie każdego z nich pozostał proporzec ze srebrnym wężem na purpurowym tle. Wężem dynastii Ynglingów. O wyhaftowanie proporców poprosił swą matkę i siostry, gdy płynął do Świętosławy. Z Sigtuny wrócił bez ukochanej, ale kobiety, które go naprawdę kochały, wywiązały się z zadania. Trzydzieści węży powiewało na masztach u wejścia do Sognefiordu. Rozłożył się z wielkim obozem wokół Gula i połączył z Varinem i oddziałami, które szły od południa lądem.

Varinowi wystarczyło, że spojrzał na Olava, lecz Omold skald musiał dopowiedzieć:

— No i stało się. Nasz król przybył bez królowej Storrådy. Ale za to z psem!

Jasnooki i chłodny biskup Sigurd skwitował to inaczej:

— Taka była wola Pana.

Na osobności spotykał się z „uśpionymi strażnikami”, ludźmi, których trzymał w kraju przez cały ten czas, gdy walczył w Anglii. Nie było też dnia, by do obozu nie przybywali posłańcy któregoś z miejscowych możnych, pytając, czy to naprawdę on, i zapraszając w gościnę do swych panów. Odmawiał tak samo, jak odmówił Erlingowi z Sola. „To ja zapraszam was wszystkich na ting”.

— Mówią, że Sognefiord to najpiękniejsze miejsce w Norwegii — powiedział Varin. — Matka mej matki ponoć była z Sogn.

— Weźmy łódź i sprawdźmy to, druhu! — zachęcił go Olav.

Pies wskoczył na pokład pierwszy. Skalda nie zabierali, żeby nie gadał, co widzi, a pozwolił im patrzeć. Łódka miała trzy pary wioseł, popłynęli:

Lodver, Ingvar, Orm, Eyvind, Rafn Topór Boży, Varin i Olav. Delikatny, wczesnowiosenny wiatr pchał ją zręcznie, Varin stał przy sterze, a pies przy nim.

— Ten pies jest dziwny, królu. Nie słyszałem jeszcze, by szczekał.

— Zaszczekał raz — odpowiedział Olav. — Na powitanie. Nie jest dziwny, jest niezwykły. Wydaje mi się, jakbym go znał od szczenięcia.

„Pies jest w tobie, mały Ole. Obudź go”.

— To co teraz będzie, królu? — zapytał Rafn Topór Boży. — Będziem bić się czy chrzcić?

— Rafn się nudził bez ciebie, wodzu. — Ingvar splunął w wodę. — Ostrzył swój topór codziennie.

— Mógłby się nim golić — dodał Orm.

— Powinien nawet — wtrącił się Lodver. — Gdyby widział, jak kiepsko wygląda jego zarośnięty pysk.

— Każdy z was ma się ogolić i dobrze ubrać, nim wkroczymy na ting. Chcę, by patrząc na was, mówili: „Ludzie króla Olava wyglądają godnie”.

— Panny będą? — wyrwało się Lodverowi.

— Nie na tingu, ale w gospodach i obozach panów zachodnich ziem będzie niejedna. Ale ostrzegam, że macie się zachowywać tak, bym się was nie wstydził.

— Czyli jak? — dopytał Rafn.

— Tak, by się was bali i jednocześnie pragnęli być tacy jak wy.

Przez chwilę słychać było tylko równy plusk wioseł i wody. Olav patrzył na wielkie, wilgotne od wiosennego słońca góry. Wysoko na przełęczach leżał zjawiskowo biały śnieg, ale krzewy po słonecznej stronie stoków już zaczynały się zielenić. Płynęli po szmaragdowej wodzie. Varin westchnął tęsknie.

— Ach, mieć kawał ziemi tutaj. Wybudować dom, prowadzić pod dach kobietę…

— Jeszcze nie teraz, przyjacielu, jeszcze nie czas — przerwał marzenie Olav, choć sam przed chwilą pomyślał o tym, że chciałby pokazać całe to piękno pewnej hardej dziewczynie. — Przed nami daleka droga. Pierwszy będzie Gulating, za kilka dni. Potem zmierzymy się z Frostatingiem w Trondelagu, dawnej dziedzinie jarla Hakona. Gdy oba wiece uznają mą władzę, gdy skłonię do przyjęcia wiary ludzi w całym kraju, wtedy powiem wam „spocznij”.

— Hmm — mruknął Orm do sternika. — Stara będzie ta kobieta, którą wprowadzisz pod dach.

— Nie szkodzi — odrzekł tęsknie Varin. — Przysięgałem królowi, nie babie.

Na prawej burcie zamajaczyła spora wyspa. Pies uniósł wysoko łeb i węszył. Odwrócił się do Olava i spojrzał na niego. Potem znów na wyspę.

— Pies do ciebie gada, królu? — zdziwił się Varin.

— Weź kurs na wyspę — powiedział Olav.

Gdy łódź zaczęła płynąć ku brzegowi, pies zamachał ogonem.

— Gada!

Przybili do niewielkiego pomostu skrytego między dwoma skałami. Biały pies cicho wyskoczył na brzeg i pobiegł w zarośla.

— Co, u diabła? — warknął Orm.

— Nie wzywaj złego — skarcił go Olav. — Chce nas gdzieś poprowadzić.

— Sześciu dorosłych mężczyzn, zdobywców angielskiego złota, słucha jednego psa — z rezygnacją poprawił się Orm.

Olav ruszył w stronę, w którą pobiegł pies. Po chwili usłyszał jego ujadanie. Nie wierzył własnym uszom. Do tej pory pies naprawdę odezwał

się tylko raz.

— Vigi! — krzyknął ktoś. — Gdzieś ty był?

— Panie… — Varin dotknął ramienia Olava. — Pies mógł nas wciągnąć w zasadzkę. Mówiłem, że jest dziwny.

Wyjrzeli ostrożnie zza drzew. Na sporej łące zobaczyli ubogo ubranego wieśniaka z kosturem w dłoni i stado owiec szukających pierwszej wiosennej trawy. Pies ganiał wokół nich, jakby stróżował całe życie, a chłop gadał do psa:

— No i powiedz, Vigi? Gdzieś ty tyle czasu był?

Olav klepnął Varina w ramię i roześmiał się.

— Zaprowadził nas do swego domu!

Wyszli z zarośli, ale Varin cały czas trzymał rękę na rękojeści miecza.

— Człowieku! — zawołał Olav do wieśniaka. — Czy to twój pies?

Mężczyzna odruchowo skulił się i przeżegnał na ich widok. To jeszcze bardziej zaciekawiło Tryggvasona. Zrobił znak krzyża i krzyknął, idąc ku niemu:

— Nie bój się nas, przybywamy w pokoju! I, jak widzisz, wyznajemy wiarę w Jedynego Boga, jak ty.

— Panie. — Pobladły wieśniak się pokłonił. — Wybacz, ale prędzej bym uwierzył, że kwiaty zakwitną w środku zimy niż w to, że do mojej wyspy przybije jakiś możny, który wita się znakiem krzyża. Jesteś przywidzeniem? — Chłop machnął sobie dłonią przed oczyma. — Nie… nie jesteś.

Pies zaczął się łasić do kolan Olava.

— Czy to twój pies? — ponowił pytanie Tryggvason.

— Mój, panie. Zniknął na jesieni i wrócił przed chwilą, jakby wiedział, że już najwyższy czas puścić owce na łąkę. To dziwny pies i nie pierwszy raz mi zniknął…

Olav i Varin spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Jesteś prawdziwy, panie? — dopytywał wieśniak, wpatrując się w srebrny krzyż na szyi Olava.

— Dotknij mnie — zaproponował Olav.

Chłop wyciągnął drżącą dłoń i dotknął jego piersi. Znów się przeżegnał, tym razem z ulgą.

— Chwała Panu!

— Ten pies przyprowadził nas tutaj — powiedział Olav.

— Mówiłem, że to dziwne zwierzę — przytaknął wieśniak.

— Ale spotkałem go bardzo daleko stąd. Na południu kraju.

— Vigi, włóczęgo! — Chłop serdecznie potarmosił biały łeb.

— Nazywasz go Vigi, tak?

Gdy Olav wypowiedział jego imię, pies chwycił go za złotą obręcz na nadgarstku i pociągnął nią lekko.

— Zgodziłbyś się oddać mi psa? — zapytał, zdejmując złotą obręcz. — Zapłacę ci.

Wieśniak zapłonął rumieńcem, widząc złoto.

— Panie, nie jestem godzien… — wyszeptał. — To złoto… to za dużo…

— Myślę, że Vigi jest tego wart — odpowiedział Olav, wiedząc, że zapłaciłby więcej, byleby nie musiał się rozstawać z białym psem. „Pies jest w tobie, mały Ole”.

— Ja… ja… — stękał zaskoczony wieśniak.

Vigi wziął w pysk złoty naramiennik i podał chłopu, jakby sam chciał dopełnić transakcji.

Gdy wrócili do łodzi, czekający na nich Orm zapytał:

— I co?

Varin odpowiedział:

— Pies ma na imię Vigi i kosztował tyle co dobry statek, choć nim stał się wart tyle co skarb, był zwykłym pastuchem.

— Nieprawda — zaprzeczył Olav, głaszcząc biały łeb. — Jego dawny właściciel powiedział, że to zawsze był niezwykły pies.

W obozie czekali na króla dawno niewidziani goście. Chłopcy z Sogn: Halvard i jego bracia bliźniacy, Bersi i Duri.

— Ach, królu! — Klęknęli przed nim. — Marzenia się spełniły! Oto wstąpiłeś na nasze ziemie.

— Bo my są…

— …stąd. My się…

— …tu urodzili…

— …i my tu chcemy…

— …od ciebie, królu…

— …przyjąć chrzest!…

Tak, to było mu na rękę. Ochrzcić miejscowych i zachęcić do przyjęcia wiary innych. Ale muszą poczekać na ting.

— Mój biskup przygotuje was do sakramentu — powiedział, każąc im wstać.

— My już sami…

— …się trochę przysposobiliśmy… — powiedzieli bliźniacy, pokazując na wielkie krzyże na piersiach.

— …zdobyczne… — pochwalili się.

— To duże krzyże, do wieszania na ścianie. Na szyi nosi się mniejsze — powiedział, tłumiąc śmiech.

Krępi bliźniacy niemal jednocześnie zanurzyli dłonie pod kaftany i wyciągnęli po małym krzyżyku.

— Takie? — zapytali równo.

— Takie. Będę waszym ojcem chrzestnym — obiecał i nim zdążył ich powstrzymać, obaj się pochylili i ucałowali jego dłoń.

— Halvardzie — wezwał najstarszego brata. — Chcę z tobą pomówić na osobności.

— To dla mnie zaszczyt, królu.

— Potrzebuję dobrej kryjówki w Sogn. Nie dla siebie — zastrzegł, bo mina Halvarda wskazywała, że jest gotów oddać mu natychmiast swój dom. — Dla srebra.

— Rozumiem — kiwnął głową. — Mamy ich tu mnóstwo. Sam wiesz, panie, jaką sławę ma Sogn. Tu pięknie, ale biednie. Nasi ludzie od lat…

Harald Pięknowłosy to ukrócił — pomyślał Olav. — Ale gdy jego czas minął, wasi ludzie znów trudnili się pospolitym morskim złodziejstwem. Napady na kupców, wymuszanie myta, okupy, zwykłe piractwo. Najemnicy z Sogn od lat byli okryci złą sławą. Ale właśnie takich ludzi było mu trzeba, żeby bezpiecznie ukryć część angielskiego srebra na jakiś czas.

— Te krzyże… — spytał Halvarda po chwili. — Gdzieście je złupili?

— A, to w Skanii, królu. — Halvard wziął krzyż w dwa palce i przyjrzał mu się. — Ale wyglądają na angielską robotę. Kto żyw popłynął na ślub króla Svena i jeden z możnych zostawił parę kufrów w niezbyt strzeżonym domu, tośmy skorzystali, że tak się wyrażę na okrągło.

— Ślub Svena? — powtórzył Olav. — Króla Danii?

— I królowej Sigridy z Sigtuny. Wielka rzecz.

Olav poczuł się, jakby wbito mu nóż w plecy.

— Kiedy? — spytał, opanowując drżenie głosu.

— Na jesieni. Ponoć całą drogę z Sigtuny do Roskilde króla i królową ścigał sztorm. Tak mówią, bo myśmy akurat sztormu nie spotkali.

To ja płynąłem do niej przez sztorm! — Wszystko skoczyło mu do gardła.

Vigi dotknął jego dłoni wilgotnym nosem. Ach, biały psie! — odtrącił go Olav. — Tyś mnie odciągnął od podróży do ujścia rzeki Göta! Wysłała mi

sokoła!

— Królu? — Halvard się zaniepokoił. — Coś ci jest?

Stali sami, w mroku na skraju obozu, daleko od płonących ognisk.

— Masz miód? — wycharczał Olav. — Muszę się napić.

— Mam, panie. Może usiądziesz? — Zerwał z ramion płaszcz i rzucił na głaz.

Olav usiadł i pociągnął łyk z bukłaka podanego mu przez Halvarda.

— Co wiesz o tym ślubie? Mów.

— No, tyle, co ludzie gadali. Ile w tym prawdy, ile zmyślenia…

— Mów! — rozkazał. — Wszystko, co słyszałeś.

— Sven przypłynął… jedni mówią, w dwie setki łodzi, inni, że tylko w dużą setkę. Królowa wypłynęła mu na spotkanie, ale miała tylko kilka statków. Ponoć sama zaproponowała mu swą rękę, a on się zgodził.

Noc w twierdzy Bamburgh. Pijacki pojedynek ze Svenem. „Ty weź sobie królestwo, a ja wezmę królową. Ty płyń po Sigtunę. Ja po Sigridę”. Tak, powiedział to pijany w sztok. Potem obaj udawali, że te słowa nigdy nie padły. Piekielny Sven! Wyczekał na właściwy moment i ją wziął. Sto statków. Zagroził jej.

— A młody król?

— Został w Sigtunie i dostał przydomek Olof Król Szwedów. Więcej nie wiem.

W nocy zaprosił do swego namiotu biskupa Sigurda; towarzyszył im tylko Varin, nikt więcej.

— To nie jest sprawa osobista, panie — surowo ocenił bieg wypadków Sigurd. — Nawet jeśli król Sven wiedział o twych uczuciach wobec tej damy i nawet jeśli dostał wiadomość, że byłeś u niej wcześniej.

— A ja sądzę — ponuro odezwał się Varin — dokładnie przeciwnie. Sven zawsze rywalizował z królem Olavem. Ach, panie! Czemuś ty nie

zagroził królowej Sigridzie? Było ją gwałtem brać!

— To małżeństwo zburzyło równowagę. — Sigurd nie unosił głosu, a mimo to każde zdanie zdawało się ciąć powietrze. — Dania i Szwecja są silniejsze niż jedna Norwegia.

— Obaj macie rację, choć żaden z was nie trafił w środek tarczy — odezwał się wreszcie Olav. — Trafił w nią Sven, nad podziw celnie. Uraził mą dumę i teraz czeka, aż mu odpowiem czymś porywczym, czymś równie osobistym. Być może spodziewa się, że przerwę marsz po koronę, zawrócę i wdam się z nim w wojnę. Sądzę, że to jest główny cel jego uderzenia: nie dopuścić do tego, bym zjednoczył kraj. Nie spełnię jego oczekiwań, nie zawrócę, bo teraz nie mam wyjścia. Słusznie powiedziałeś, biskupie: dwa kraje są silniejsze niż jeden. Ale jeden może dać radę dwóm, gdy jest dość silny.

— Król Ethelred mógłby cię wesprzeć, Olavie. W jego interesie jest osłabienie Svena — powiedział biskup.

— Nie przyjmę obcej pomocy, Sigurdzie.

— Tak sądziłem. — Duchowny skinął głową. — Módl się, pomoże ci Bóg.

Modlił się, ale gdy wreszcie zasnął znużony, to nie Bóg mu się przyśnił, lecz ona. Naga, rozgrzana miłością, krzycząca w rozkoszy „Amen”. Amen, dokonało się — pomyślał, wylewając na głowę ceber zimnej wody. Należysz do mego wroga, czy tego chciałaś, czy nie.

Dzień był rześki i jasny; wiosenne słońce, ptaki wołające się na podniebne gody. Plac tingowy pełen ludzi. Stawili się ze swymi drużynami i wodzami najmożniejsi panowie tych stron: Olm i jego brat, Thorleif Mądry. Ich krewniak, Erling Skjalgsson z Sola. Rozstępowali się, gdy wchodził między nich poprzedzany przez Varina niosącego purpurowy proporzec z wężem Ynglingów. Po jego prawej stronie kroczył biskup Sigurd. Po lewej matka,

Astryda. Za nimi Lodin, jego cztery siostry, przyrodni brat. Dalej załoga „Kanugårda”.

— Nazywam się Olav Tryggvason — powiedział, gdy stanął pośrodku. — Niektórzy z was pamiętają jeszcze mą matkę, Astrydę. Może są tu i tacy, którzy udzielili jej pomocy, gdy przed laty uciekała przed siepaczami wdowy Gunhild. Jeśli nie stanęliście po jej stronie, nie winię was. Rządy wdowy i jej synów były ponurym czasem wojny domowej. Oto wróciłem do was jako prawowity król i przynoszę wam dary: zjednoczone królestwo i Dobrą Nowinę. Możecie przyjąć oba lub oba odrzucić.

— Dobrą nowiną jest powrót Ynglinga — z namysłem odpowiedział Thorleif zwany Mądrym. — Ale słyszeliśmy już i inne wieści, które nas niepokoją. Mówią bowiem, że ochrzciłeś się, panie, i zamierzasz zmuszać nas do porzucenia wiary naszych ojców.

— Nie chcę was zmuszać, chcę, byście wyrzekli się jej dobrowolnie. Tak jak ci, którzy są ze mną, i jak całe Viken, rodzinna ziemia mego ojca, która przyjęła chrzest.

Po zgromadzonych przeszedł pomruk niezadowolenia.

— Jeśli ktoś z was ma coś przeciw Chrystusowi, niech to powie teraz! — krzyknął i spojrzał na biskupa. Sigurd skinął mu głową, jakby mówił „Jestem gotów”.

Przed szereg wystąpił potężnie zbudowany mężczyzna z otoczenia Olma.

— Chrystus i jego matka zwana Mary — zaczął pewnym głosem i nagle przestał mówić, jakby się zakrztusił. Poruszał ustami, czerwieniał i charczał. Ktoś podał mu róg z miodem. Mężczyzna wychylił go i rozkaszlał się na dobre. Machnął ręką i cofnął się na miejsce. Tłum zaszemrał zdumiony. Wystąpił inny człowiek, znacznie starszy od pierwszego.

— Ja powiem. Chętnie przyjęlibyśmy ciebie, królu, bo choć rządy twego pradziada były surowe, to sprawiedliwe. Nie płaciliśmy Duńczykom trybutu, kraj był zjednoczony od południa do ziemi zórz polarnych. Bogactwo i sława były z nami. Lecz twój pradziad podzielał naszą wiarę, a Chrystus jest…

Starzec poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Ktoś w tłumie parsknął śmiechem. Zawstydzony mężczyzna cofnął się na miejsce, z którego wyszedł.

Olav ukradkiem zerknął na Sigurda. Na bladej zwykle twarzy biskupa wystąpiły wysoko na policzkach dwa okrągłe rumieńce. Jego oczy płonęły jak w gorączce. „Będę przy tobie, gdy staniesz przed zgromadzeniem — powiedział w nocy. — A Bóg będzie przy nas obu. Twym przeciwnikom braknie słów, by Go oczernić. Wszechmogący potrafi dawać mocarne znaki”.

— Czy ktoś jeszcze chciałby coś powiedzieć? — spytał Olav.

— To były jakieś czary, królu? — zaczepnie odrzekł Olm.

— Nie. Bóg, którego wam przynoszę, gardzi czarami i zabobonami.

— Jak to możliwe, by tak wielki wojownik jak ty, panie — ciągnął Olm — wolał wierzyć w zabitego boga, a nie w bogów wojowników, jak Odyn i Thor? Przecież twój bóg, jak mówią, zmarł na krzyżu!

— Nie słuchaj bzdur, Olmie, zbyt mądry z ciebie człowiek — wesoło odpowiedział Olav. — Chrystus nie umarł, lecz pozwolił się ukrzyżować, by złożyć ofiarę odkupienia za ludzi. Istotą Jego boskości nie jest śmierć, lecz zmartwychwstanie! Chrystus obiecuje, że i nas podniesie z martwych po śmierci, gdy nadejdzie dzień sądu.

— Ragnarök? — zapytał ktoś ciekawie.

— Nie, bracie — odpowiedział mu Olav. — Ragnarök to koniec świata starych bogów. To rzekoma bitwa, która wtedy nastanie. Bitwa, w której

zginą i bogowie, i ludzie. Zagłada ostateczna. A dzień sądu, na który wezwie nas Chrystus, to chwila prawdy, w której zważy nasze dobre i złe czyny po to, by za nie wynagrodzić lub ukarać. Każdy z nas ma wybór. Jeśli będziemy iść drogą jego nauk, to w dniu sądu posadzi nas po swej prawicy i obdarzy nas życiem wiecznym, a nie wiecznym mrokiem zagłady.

— Nie godzi się porzucać wiary przodków — odpowiedział z mocą czerwonolicy, siwowłosy człowiek.

— Kim był twój ojciec? — zapytał Olav.

— Dobrym żeglarzem — odpowiedział siwowłosy.

— I nigdy w życiu nie popełnił błędu?

— Nie ma ludzi nieomylnych — odparł tamten wymijająco.

— Otóż to! Nasi przodkowie mogli się mylić, bo nie znali nauki Chrystusa. My musimy być mądrzejsi.

— Ty mówisz mądrze, Olavie Tryggvasonie — rzekł mu na to Olm. — A wszyscy tu zebrani widzieli, że kto w twej obecności próbuje powiedzieć coś złego na boga, którego nam proponujesz, traci głos. Mówisz, że to nie czary. Ja jestem człowiek prosty i uważam, że to są czary. Czy są wśród nas ludzie, których dzisiaj zdołałeś przekonać?

Bersi i Duri, bracia bliźniacy, i Halvard wyszli raźnym krokiem przed szereg.

— My — oświadczyli krótko. — Chcemy wody chrztu.

— Siostrzeńcy Hrafna — przez tłum przeszedł szept. — Niemożliwe…

— Woda chrztu to nie miód, którego się można napić, choć zapewniam was, że jej przyjęcie jest równie słodkie. — Olav gestem zaprosił ich do swego orszaku.

Wyraźnie wzburzony Olm poprosił o przerwę. Burzliwie naradzał się ze wszystkimi krewnymi.

— Są już twoi — szepnął Sigurd bezgłośnie.

Po chwili Olm dał znak, że skończyli rozmowy.

— Panie! Jaki wybór nam dajesz?

— Najważniejszy. Życie lub śmierć — odpowiedział Olav bez uśmiechu.

— To nie jest wybór — zaprotestował Olm.

— Dlaczego?

— Bo nikt nie chce wybierać śmierci.

— Więc wybierając życie, wybieracie podwójnie. Godne życie tu na ziemi i jeszcze wspanialsze po śmierci.

— Bijesz nas darem wymowy, nie dobywając miecza. — Olm rozłożył ręce. — Ale zanim przyjmiemy to życie wieczne, które obiecujesz, pozwól nam nacieszyć się ziemskim! Przyjmiemy cię za swego króla i wraz z tobą twą wiarę, ale ty daj nam dowód swej dobrej woli i zaproś nas do królewskiej rodziny.

— Są twoi — szepnął tym razem Varin.

— Masz siostry, panie — kontynuował Olm. — Wydaj je za naszych synów i połączmy się więzami krwi.

Są moi — pomyślał i powiedział:

— Oddam wam jedną z sióstr, bo mam ich tylko cztery, a powiedziałem wam, że chcę zjednoczyć cały kraj. Każda z nich zostanie zaślubiona w jednej z krain czterech tingów: Gula, Frosta, Eidsiva i Borg. W ten sposób złączę Norwegię pokrewieństwem. Przedstawcie mi mego przyszłego szwagra!

Tym razem usłyszał szmer za swymi plecami. Któraś z dziewcząt załkała cicho. Wystąpił młody Erling z Sola. „Uśpieni strażnicy” dobrze typowali — pomyślał Olav. — Stanie na pełnych żaglach u bram Erlinga przyniosło owoce. Odwrócił się do sióstr. Widział, że Ingebjorga jest blada i ma oczy czerwone od łez, a do Erlinga uśmiecha się najmłodsza, Ingigerda. Wybacz, dziewczyno, ale nie ty wybierasz.

— Astrydo, chodź do mnie. — Wyciągnął rękę do najstarszej. — Poznaj Erlinga, syna Skjalge z Sola. Oto twój mąż.

Wiosenny ting w Gula się skończył, do zimowego w Lade miał jeszcze pół roku. Uroczystości ślubne i chrzest panów Zachodu zajęły miesiąc. Wieści o jego panowaniu rozchodziły się szybko; postanowił ruszyć w gąb lądu, na wschód, i tam zyskać poparcie, nim zimą stanie w gnieździe panów Północy.

— Śliczna Astryda została z mężem, pewnie niedługo będziesz miał siostrzeńca, królu! — Omold skald podjechał do niego. — Gulating przyjął twą zwierzchność i tylko Rafn się nie narobił! Poszło gładko, że hej! Może Topór Boży już nie będzie ci potrzebny, królu?

Rafn jadący przed nimi obejrzał się i dotknął wypolerowanego ostrza przerzuconego przez plecy. Olav zostawił ich i podjechał do matki. Patrzyła chmurnie.

— Dziękuję, że przyjęłaś moje zaproszenie — powiedział do niej. Wcześniej matka upierała się, że zostanie z Astrydą i zięciem w Sola.

Kaptur zsunął się z jej głowy; jasne, przetykane pasmami srebra włosy przeczesał wiatr.

— Nie zrobiłam tego dla ciebie, synu, ale dla swoich córek, a twoich sióstr — powiedziała surowo. — Astryda i Ingebjorga były maleńkimi dziećmi, gdy musiałam je porzucić, zostawić na łaskę moich braci i uciekać z tobą w brzuchu przed Gunhild. Wychowywały się beze mnie. Każdego dnia dwie małe dziewczynki wychodziły na wzgórze za osadą i patrzyły na drogę wiodącą na wschód, czekając, aż wróci ich matka i brat. — Odgarnęła włosy z twarzy. Pionowa bruzda przecinała jej czoło. — Gdy Lodin wykupił mnie z niewoli i poślubił, odnalazłam dziewczęta. Przysięgałam, że nigdy więcej ich nie zostawię. Opowiadałam o tobie, jaki byłeś dzielny, gdy napadli nas łowcy niewolników. Ingebjorga i Astryda

wypłakiwały oczy od tej historii, przytulałam je i mówiłam: „Kiedyś nasz mały Ole wróci”. Gdy przychodziły na świat dzieci moje i Lodina, twoje siostry pomagały mi opiekować się maluchami. Opowiadały młodszym siostrom: „Jak wróci nasz brat, Olav…”. I wreszcie spełniły się nasze marzenia i modły. Przybyłeś. Piękny, silny wojownik, zięć księcia wielkiego Vindlandu. Byłeś dla nich jak młody bóg, uwielbiały cię. Ale odkąd popłynąłeś do Anglii, wszystko się zmieniło. Stamtąd wróciłeś władczy. Mówisz „my”, ale myślisz „ja”.

— Królestwo wymaga ofiar — odpowiedział Astrydzie, patrząc w dal, na wznoszące się na horyzoncie sine góry.

— Ale ja nie mówię o królestwie — przerwała mu. — Mówię o naszej rodzinie. I wiesz, co myślę? Ponieśliśmy dość ofiar. Nie chcę więcej. Straciłam Tryggve i najpiękniejsze lata młodości. Teraz chcę dla każdego z mych dzieci zwykłego, dobrego życia.

Matka szczelniej owinęła się chustą; spojrzała na niego bez gniewu, z prośbą.

— Ingebjorga ma kogoś w Viken. Daruj jej ten przymusowy ślub.

— Siostry króla nie mogą wychodzić za kogokolwiek — odpowiedział najspokojniej, jak umiał. — Ich małżeństwo może oznaczać wojnę lub pokój. Ingebjorga…

— Wszystkie przyjęłyśmy twoją wiarę — matka weszła mu w zdanie niecierpliwie. — Wiesz dlaczego? Bo obiecuje nam wspólne życie po śmierci. Nie osobne, gdy ukochani mężczyźni idą do Walhalli robić to samo, co robili na ziemi, wojować i bić się. Chrystus mówi, że w niebiosach będziemy razem, całą wieczność. Ale dzisiaj widzę, że jeśli skłócimy się tu, na ziemi, to ta wspólna wieczność będzie nie do zniesienia.

— Nie chcę się z wami kłócić — powiedział łagodnie. — Chcę tylko…

— Chcesz, żebyśmy wypełniały twoją wolę — zakończyła i posępnie, niemal starczo wykrzywiła usta.

Pokręciła głową i odjechała w bok. Przez resztę podróży go unikała.

Ziemiami na wschód od wybrzeża władali dwaj bracia, Hyrning i Thorgeir. Zaczęli od buntu, Olav wysłał naprzeciw nim swe oddziały z posłaniem „Życie lub śmierć”. Wybrali walkę; była krótka, krwawa i przekonująca. Gdy po raz drugi spytał, co wolą, prosili o chrzest. Bracia uznali w Chrystusie swego Boga, a w nim władcę. Panu w niebiosach i królowi na ziemi przysięgli wierność. Dał im za żony przyrodnie siostry, Ingiredę i Ingigerdę. Ingebjorga pozostała niezamężna i przestała chować czerwone oczy pod zsuniętym na czoło kapturem.

Gdy jesienią wyruszali do Lade, matka przyszła do niego i spytała:

— Czy Ingebjorga i ja możemy wrócić do domu?

— Jeszcze nie skończyłem zdobywania władzy, matko.

— Opanowałeś południe. Zachód i wschód też zgięły przed tobą kark. Twój ojciec był tylko władcą Viken…

Ona nie jest ze mnie dumna — pomyślał. — Żałuje, że nie jestem nim.

— Właśnie! Tryggve był tylko władcą Viken, jednej dzielnicy rozbitego kraju. Nie rozumiesz, że zmienił się świat? Że dzisiaj słabi nie mają żadnych szans? Przynoszę ojczyźnie trzy niepodzielne dary: niepodległość, zjednoczenie i wiarę. Żaden nie może istnieć oddzielnie.

Astryda zmrużyła oczy; dostrzegł sieć zmarszczek rozpinających się niczym pajęczyna na jej twarzy.

— Rozumiem tylko, że dla ciebie nigdy nie jest dość — powiedziała zawzięcie.

Gdzie się podziała ta kobieta, która krzyczała do mnie w snach, bym pamiętał, kim jestem?

— Jutro wyruszamy do Lade. Tam bije prawdziwe serce kraju. Jeśli jesteś znużona podróżą, matko, każę wyścielić dla ciebie wóz.

„Uśpieni strażnicy” go ostrzegali. W Lade nie zapomniano jarla Hakona. Jego synowie, Erik i Sven, zbiegli z kraju przed zwycięskim pochodem Olava, ale rody, które przez lata panowania starego, dumnego jarla miały się dobrze, nie kryły swego sprzeciwu wobec powrotu syna Tryggve.

— Odwykli od silnej, królewskiej władzy nad sobą — powiedział biskup Sigurd, gdy na pokładzie „Kanugårda” płynęli na północ. — Pewnie nie ugną się tak łatwo jak ci wcześniej. Nikt nie lubi tracić wpływów.

— Mój teść, książę Mieszko, opowiadał mi kiedyś, jak wprowadzał wiarę w swym kraju — odpowiedział Olav, przywołując wyniosłą postać księcia z jastrzębiem na ramieniu. — Nie zawierał żadnych układów z kapłanami dawnych bogów, nie dawał im wyboru. Po prostu ich zabił jednego po drugim, i zrobił to dyskretnie. Nikt z poddanych nie widział ich śmierci, ba, nawet trupów. To było tak, jakby zniknęli, robiąc miejsce Chrystusowi. W istocie za ich zniknięciem stał książę, który powiedział: „Lepiej było zabić kilkunastu ludzi, by powstrzymać rozlew krwi, do jakiego swym buntem mogli doprowadzić”.

— Król Ethelred opowiadał ci historię waszego króla Hakona? — spytał biskup.

— Dobrego, wykształconego króla, który był chrześcijaninem i układał się z pogańskim ludem? Tak, ale ta historia źle się skończyła. Z jakiegoś powodu dobrzy królowie kończą źle i młodo.

— Za czasów Hakona był kapłan w świątyni Odyna w Lade, który miał widzenie. Zobaczył w nim, że nadchodzi czas Białego Chrysta i starzy bogowie godzą się odejść w pokoju.

— Tak? — zdziwił się Olav. — I co się stało później?

— Ogłosił tę wizję, król chrześcijanin się ucieszył. Ale panowie Północy nie. Kapłana znaleziono martwego, z poderżniętym gardłem. Nie muszę ci mówić, że dorobiono do tego legendę o zemście bogów. — Wydawało się, że Sigurd się uśmiecha, choć żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. — Tym samym lata pracy dobrego króla Hakona poszły na marne. Twój teść się nie mylił. Pewne sprawy lepiej załatwić w ciszy i nie poddawać ich osądowi ogółu.

— Tak, Mieszko miał rację, ale jego możni byli mu bezwzględnie posłuszni. A na mnie w Lade czekają niepokorni i zapewne ich wojska.

— Lepiej poświęcić kilkunastu, niż dopuścić do wojny, w której zginą setki. — Sigurd pokiwał głową.

— Czy mincerz ma już gotowy wzór? — zmienił temat Olav.

— Tak, panie. Obiecał, że w Lade denar będzie gotowy.

Czekali na niego na odśnieżonym placu tingowym. Ośmiu jarlów, a za plecami każdego jego drużyny i ludzie. Panowie Północy okryci futrami polarnych niedźwiedzi i wilków. Możni, których rody od lat zarabiały na handlu kłami morsów, linami ze skór wielorybów i fok, skórami zwierząt futerkowych, pierzem dzikich kaczek. Niektórzy z nich wyglądali, jakby w ich żyłach płynęła krew mitycznych olbrzymów. Wstąpił między nich i powiedział to, co zawsze:

— Nazywam się Olav Tryggvason, jestem waszym królem, ostatnim potomkiem Ynglingów.

Styrkar, Asbjorn Selsbane, Orm, Maldor, Kar, Halldor, Karlshofud, Hoskuld wychodzili kolejno, by podać mu swe imię i ród. Żaden się nie pokłonił. Wreszcie wystąpił dziewiąty i powiedział:

— Jestem Skegge i ja sprawuję obrzędy w świątyni Odyna.

Olav odrzekł:

— Poznajcie Sigurda, mego biskupa.

Spojrzeli na niego ciekawie, choć nie kryli niechęci. Sigurd w prostym ciemnym płaszczu, z gładko wygoloną głową, jasnymi, bezwzględnymi oczami odwzajemnił ich spojrzenie.

— Jesteśmy ciekawi, co nam chcesz zaoferować, królu — powiedział Skegge zaczepnie.

— Królewski pokój — odrzekł Olav.

— Doszły nas słuchy, że wprowadzasz go mieczem! Zmuszasz lud do przyjęcia swego boga gwałtem! — gniewnie odezwał się Maldor.

— To nieprawda. Chrzest można przyjąć tylko dobrowolnie.

Zaczęli szemrać. Padały imiona i nazwiska tych, którzy trafili pod topór Rafna. Olav uciszył ich ruchem dłoni.

— Obowiązkiem króla jest wymierzać sprawiedliwość, nagradzać odwagę i dobro, karać zło. I to właśnie czynię. Przywilejem króla jest ucztować ze swymi wodzami. Jutro zaczyna się Jul, pozwólcie, że i ja zaproszę was na ucztę. Chcę, byście jedli i pili ze mną, będzie czas omówić ważne sprawy przy kielichu miodu. Ja spróbuję przekonać was, wy spróbujecie przekonać mnie, jakoś dojdziemy do zgody. Wynająłem niewielką gospodę w pobliżu Lade, bo przyrzekłem, iż nie wejdę do domu jarla Hakona, póki wasz ting nie uzna mnie za króla. Zapraszam was, panowie Północy, na ucztę!

Gospoda była naprawdę nieduża, mogła pomieścić co najwyżej dwadzieścia osób, jej walorem był wielki zapas miodu, ustawiony w olbrzymich beczkach wzdłuż ścian. Olav z góry zapłacił właścicielowi za nie wszystkie. Z racji szczupłości miejsca do środka zaprosił samych panów Północy, a dla ich ludzi rozpalono ogniska i na każdym z nich ustawiono ruszt, na którym kręcono wieprzki i młode barany. Piwo i miód w wielkich kadziach stały blisko ognisk. Olav najpierw wzniósł toast na podwórcu, ze wszystkimi:

— Za pomyślność!

— Za pomyślność! — odpowiedzieli mu, rwąc się do jedzenia i wypitki.

Styrkar, Asbjorn Selsbane, Orm, Maldor, Kar, Halldor, Karlshofud, Hoskuld weszli do wnętrza, gdzie czekały na nich stoły uginające się od jadła. Przy każdym nakryciu leżał srebrny denar z napisem ONLAF REX NOR.

— Wielki gest ma król Olav — mruknął Asbjorn, zdejmując niedźwiedzie futro i odwieszając na kołku pas. — To prezent? — Chciwie zerknął na denara.

— Tak. — Olav kiwnął głową. — To prezent.

Uciąłem mincerzowi rękę, bo źle wybił na stemplu me imię — pomyślał z niesmakiem.

Z początku Olav kazał zostawić otwarte drzwi, by panowie mogli patrzeć, jak bawią się ich ludzie, ale w miarę upływu wieczoru zgiełk i śmiech od ognisk robiły się tak głośne, że w gospodzie nie można było spokojnie mówić. Maldor sam przymknął drzwi, choć i wtedy do wnętrza dochodziły pijackie krzyki. Goście pili miód kielich po kielichu, jedli, ale nic nie mówili. Patrzyli na Olava chciwie.

— Dlaczego Skegge nie przyszedł z wami? — zapytał Olav.

— Ostrzy topór Thora przed wizytą króla — zarechotał Asbjorn, oglądając denara.

Styrkar wyjął spomiędzy zębów włókno mięsa i uśmiechnął się krzywo.

— Skegge czeka na nas w świątyni Odyna, panie. Powiedział, że jeśli dojdziemy z tobą do porozumienia, mamy przywieść cię do niego i pokropi cię końską krwią, jak każe stary zwyczaj.

— Wtedy wszyscy uznamy, że jesteś naszym królem. — Orm chytrze wyszczerzył zęby.

— Ach tak — odpowiedział Olav i kazał Omoldowi znów napełnić kielichy gości.

Wypili z satysfakcją.

— Zatem już przesądziliście wynik naszego spotkania — ponuro powiedział Olav. — No cóż — rozłożył ręce bezradnie — pozostaje mi się dobrze upić, bo inaczej nie zdzierżę tej końskiej krwi.

Panowie Północy zaśmiali się chórem. Zacisnął szczęki.

— Varin! — zawołał. — Odbij kolejne beczki, bo twój król będzie pił!

— Nalej i nam, berserku! — zawołał Asbjorn i uśmiech zamarł mu na ustach.

Z beczek wyskoczyli uzbrojeni ludzie Olava. Ci, z którymi zdobywał kamienne mury Bamburghu. Varin w tym czasie zaryglował drzwi od wewnątrz. Za Asbjornem stał Omold, skald zręczny do pieśni i noża, za Maldorem Rafn Topór Boży, za Ormem Eyvind, za Karem Ingvar, za Styrkarem Thorolf. Każdy z panów Północy miał przy szyi nóż.

— To było nierozsądne z waszej strony — zimno powiedział Olav. — Przesądzanie wyniku rozmów, zanim się zaczęły. Nie daliście mi wyboru, tylko zdecydowaliście za mnie. Źle. Ja zachowam się wspaniałomyślnie i dam wam wybór.

— Jaki? — wycharczał Asbjorn trzymany przez skalda.

— Śmierć albo chrzest! — pogodnie odpowiedział Olav. — Już wam mówiłem, że do tej pory zawsze chrzest przyjmowano z wolnego wyboru.

— To nie jest wybór! — ryknął Kar, czerwieniejąc w objęciach Ingvara.

— Dlaczego nie? — zdziwił się Olav. — Śmierć oglądaliście wiele razy, każdy z was zadawał ją na wojnie. Wiecie, czym jest. A chrzest? Dlaczego się go boicie, skoro jest bramą do życia ponad śmiercią?

— Królu! — zawołał Varin. — Czy chcesz, bym otworzył drzwi? Czy chcesz, by ludzie panów Północy zobaczyli, jak dokonują wyboru?

— Nie! — warknął Maldor. — Ja już wybrałem. Przekonałeś mnie, panie, że twój bóg jest siłaczem, skoro popchnął cię do takiej zuchwałości.

— Puść go, Rafnie — powiedział Olav. — Chcę, by złożył mi przysięgę bez noża na gardle.

— Puść i mnie — spokojnie dorzucił Styrkar. — Wybrałem zgodnie ze swą wolą. Nikt nie będzie mnie zmuszał.

Jeden po drugim zgadzali się. Wtedy Varin otworzył drzwi i zawołał bawiących się, by stanęli w nich i byli świadkami przysięgi wierności. Ośmiu panów Północy klęknęło przed Olavem i położyło swe miecze u jego stóp.

— Weselmy się! — krzyknął Olav. — I chodźmy oznajmić nowinę Skegge. Czeka na nas w świątyni zbyt długo.

Dołączyli do nich ludzie jarlów, rozbawieni, podpici, poza przysięgą zupełnie nieświadomi tego, co zdarzyło się przed chwilą. Olav wiedział, że to najtrudniejsza część tej nocy. Jego ludzie dyskretnie pilnowali wszystkich, a w ciemności wokół świątyni powinny stać już drużyny pod wodzą Lodina. Oby mąż jego matki nie zawiódł. Dziś okaże się, ile naprawdę warta jest jego wierność.

Skegge, wysoki i wyniosły, wyszedł do nich przed wrota.

— Przywiedliście swego wybrańca? — zapytał.

— Tak — odpowiedział Maldor, a Olav usłyszał, jak drży mu głos.

— Chcę się przekonać, czy bogowie, którym służysz, są silniejsi niż Chrystus — krzyknął Olav tak, by wszyscy go słyszeli.

— Zatem zostaw tu swą broń i wstąp do świątyni. — Oczy Skegge zalśniły.

Olav odpiął pas i podał Varinowi. Druh przytrzymał jego rękę przez krótką chwilę i szepnął:

— Wierzę w ciebie, Olavie wszechmogący.

Tryggvason przekroczył próg prowadzony przez kapłana. Skegge zamknął za nimi drzwi. Oczy Olava potrzebowały chwili, by przyzwyczaić się do mroku wnętrza. Potem zobaczył posągi. Na kolanach drewnianego Thora leżał żelazny, wielki topór. Oby prawdą było, że jest ostry. Skegge pochylił się przy stojaku nad ogniem i zamieszał w wiszącym tam kotle. W nozdrza Olava wdarł się odór końskiej krwi. Skoczył ku Thorowi, chwycił wielki topór i nim Skegge krzyknął, Olav zamachnął się w pierś boga wojownika. Przerąbane na pół drewno trzasnęło pod ostrzem i spadło na posadzkę.

— Jak śmiesz?! — zawołał Skegge i odskakując od ognia, rozlał gotującą się krew.

Olav podbiegł ku niemu i chwycił go za kaftan na piersi.

— No, kapłanie! Padł twój Thor — wysyczał mu prosto w twarz. — I co teraz powiesz ludziom? Że Gromowładny był drewnianą kukłą? Dlaczego nie poraził mnie piorunem, skoro ma moc?

— Jak śmiesz?… — powtórzył Skegge.

— Człowiek jest silniejszy od bogów, którym gotujesz krew. — Pchnął go w stronę solidnej, drewnianej ławy przed posągiem Odyna. — Jeśli wierzysz w to, co opowiadasz ludziom, daję ci dzisiaj najgodniejszą śmierć.

Skegge próbował się zerwać i skryć pod ławą, ale Tryggvason wywlókł go i rzucił na nią. Zamachnął się toporem i uderzył w pierś. Z rany chlusnęła krew i obryzgała twarz Olava. Skegge nie zdążył krzyknąć, zamarł z rozwartymi ustami. Olav rozrąbał posąg jednookiego Odyna i starego Tyra, a potem z toporem w ręku ruszył ku drzwiom, gdzie wisiał wielki, złoty pierścień. Słynny dar jarla Hakona za pomyślność bitwy z jomsborczykami — przypomniał sobie i zdjął go. Zważył w dłoni, popychając drzwi.

Naprzeciw świątyni czekał na niego tłum, z którym tu przyszedł. Ośmiu panów Północy wpatrywało się w niego, w topór przy jego nodze, w krew na twarzy. Za nimi ludzie z Lade. Jego ludzie. I drużyny pod wodzą Lodina w odwodzie. Uniósł zdjęty z drzwi pierścień i rzucił na pieniek. Uderzył w niego toporem. Pierścień pękł.

Wiedziałem — pomyślał.

Ci, którzy stali najbliżej, też już dostrzegli podrabiane złoto. Z żelaznego pierścienia odprysnęła złota skorupa.

— Jarl Hakon złożył waszym bogom fałszywą ofiarę, ale to bez znaczenia. Żaden ze starych bogów nie wytrzymał spotkania z moim Bogiem — powiedział spokojnie i rzucił za siebie rytualny topór. — Oto dziś w nocy dokonało się. Odyn odebrał ofiarę ze swego ostatniego kapłana. Podajcie mi wodę, chcę się obmyć.

Z głębi tłumu wyszedł biskup Sigurd i drugi raz w życiu polał Olava wodą.

Ludzie z Lade w ponurym milczeniu podchodzili do wrót świątyni i zaglądali do wnętrza, patrząc na potrzaskane, bezbronne posągi. Potem Rafn Topór Boży zaczął rąbać wrota i ściany świątyni. Ogień w jej wnętrzu potężniał, aż płomienie z hukiem wystrzeliły w niebo.

SIGVALD oderwał się od ciepłych pleców Astrydy. Jego żona spała na boku, szczelnie osłaniając piersi ramionami. Zwykle gdy kończyli się kochać, zrywała się i ubierała, nie pozwalając mu na to, czego potrzebował: by stygli po miłości razem. Czasami zasypiała jak dziś i wtedy przez sen opasywała się przynajmniej zbroją własnych ramion. Tym różnili się od siebie. On chciałby kłaść ją na swej piersi, gładzić jej włosy o dziwnym odcieniu żywicy, leniwie z nią rozmawiać. Ale dzisiaj to on musiał wstać, ubrać się i iść na przystań. Zwiadowcy Geivara dali mu znak, że w Jom ktoś na niego czeka. Pocałował nagie ramię śpiącej i wyszedł po cichu.

Na wolińskiej przystani wiało jak diabli, w dodatku z zimowego nieba sypnęło śniegiem. Uderzył trzy razy pięścią w ścianę domu wioślarzy i po chwili wybiegli stamtąd czekający na niego ludzie.

— W taką pogodę dobrze jest siedzieć przy ogniu! — westchnął Ulle, odpychając łódź od pomostu.

— Pić grzane piwo albo grzać rękę pod spódnicą miłej panny — zawtórował jego brat, Kalle, łapiąc wiosło.

Sigvald się zaśmiał i owinął płaszczem z foczej, nieprzemakalnej skóry. Z Wolina do Jom było niedaleko, ale zdążył zmarznąć, nim przepłynęli pod żelaznymi wrotami.

Geivar zjawił się na przystani, spod skórzanego kaptura patrzyły na Sigvalda przenikliwie zimne oczy wodza domu zwiadowców.

— Powiedział, że nazywa się Gretter, ale imię może być zmyślone — Geivar od razu przeszedł do rzeczy. — Twierdzi, że przypłynął z Roskilde, choć wiem, iż jego łódź należy do bogatego kupca z zachodniej Danii, niejakiego Vigmara. Vigmar zaś…

— Wiem — przerwał mu Sigvald. — Gdzie czeka?

— W domu wodzów. W Uroczysku dziś zbyt gwarno na poufną rozmowę.

— No to chodźmy, bo zimno.

Vigmar był możnym, który w czasie najazdu króla Erika wystąpił przeciw Svenowi, a podczas jego nieobecności w kraju nie krył się ze swymi szwedzkimi sympatiami. Teraz, gdy siostra jego żony, Świętosława, poślubiła króla Svena, książę Bolesław uczulił ich na wszelkie wiadomości z Danii. Raz na kilka miesięcy Sigvald wysyłał łódź, oficjalnie należącą do wolińskich kupców, lecz w połowie zapełnioną przebranymi za nich ludźmi Geivara.

Wartę przed domem wodzów pełniło dwóch młodych chłopców z ostatniego naboru. Czerwone, zziębnięte twarze świadczyły, że jeszcze nie przywykli do zim w warowni, ale gdy tylko zobaczyli idących ku nim, wyprostowali się szybko.

Geivar i Sigvald weszli do środka. Przy ogniu czekał na nich niewysoki, szczupły mężczyzna o ptasiej twarzy.

— Jarl twierdzy Jom, pan Sigvald, i wódz domu zwiadowców, pan Geivar! — zapowiedział ich Frosti zwany Czerwonolicym.

— Gretter z Ribe — przedstawił się gość.

A więc jednak! — Sigvald w duchu pochwalił zwiad Geivara.

— Powiedziałeś, żeś przybył z Roskilde — zwrócił uwagę głośno.

— Prawda. Byłem w odwiedzinach u księżniczki Tyry.

— W czyim imieniu mówisz? — Sigvald usiadł na swoim miejscu za głównym stołem i sięgnął po dzban. Przechylił go i łyknął. Skrzywił się.

— Frosti! Przynieś z kuchni grzanego piwa! — zawołał.

Gretter z Ribe rozejrzał się i wyraźnie uspokoił, gdy Frosti wyszedł.

— Dziękuję, panie, że odesłałeś służbę — powiedział z ulgą. — Nie mogę mówić przy świadkach. Wiadomość, jaką mam do przekazania, jest przeznaczona wyłącznie dla twych uszu.

— W Jom nie ma służby — zimno oświadczył Sigvald. — A obecny tu Geivar jest wodzem domu. Nie wyobrażaj sobie, że oddalę wodza.

Gość poczuł się jeszcze bardziej speszony, ale przemógł się i uniósł głowę, próbując mówić z mocą:

— Jak uważasz, jarlu. Ty tu rządzisz.

— W istocie. Przejdź do rzeczy — popędził go Sigvald.

— Nie wiem, czy wam wiadomo, że od czasu powrotu króla Svena z Anglii jego przyrodnia siostra, Tyra, musi znosić ze strony Svena wiele upokorzeń.

Zasłużyła na to, suka — pomyślał Sigvald. — Knuła przeciw bratu, gotowa była Sasów ściągać do kraju. On sam, od czasu gdy więził Svena w Jom, nabrał do niego czegoś w rodzaju sympatii. A do tego nie znosił knujących na boku kobiet. Zerknął na Geivara. Twarz zwiadowcy jak zawsze nie wyrażała nic.

— Mów dalej — zachęcił gościa.

— Król Sven zmusił siostrę, by zamieszkała w Roskilde…

— To zaiste straszne! — przerwał mu Sigvald. — Zmuszać księżniczkę, by mieszkała na królewskim dworze!

— Nie w tym rzecz, jarlu. — Oczy Grettera były stanowczo zbyt niespokojne. — W rzeczywistości Sven trzyma siostrę w…

Zamilkł nagle, gdy do izby wszedł Frosti z wielkim dzbanem parującego piwa pod płaszczem. Czerwonolicy chłopak z domu gospodarzy postawił dzban przed Sigvaldem i dołożył do niego trzy kubki. Sigvald nalał sobie, potem sięgnął po dzban Geivar. Po izbie rozszedł się zapach piwa zagrzanego z miodem.

— Częstuj się, gościu — zachęcił Grettera Sigvald. — Mówiłem, że u nas nie ma służby.

Frosti dyskretnie zniknął w przedsionku.

— Więzi ją — skończył Gretter szeptem. — Przed jej izbą stoją uzbrojeni strażnicy. Gdy księżniczka chce wyjść do kościoła, też jej pilnują.

— Taki los cennych dam! — skwitował Sigvald, pociągając łyk piwa. — Dobre! Frosti! — zawołał głośno. — Przekaż w kuchni, że dobre!

— Tak jest, wodzu! — odkrzyknął z przedsionka gospodarz.

Gretter był zdezorientowany. Teraz grę z nim przejął Geivar, który przez całą rozmowę poruszył się wyłącznie wtedy, gdy nalewał sobie piwa.

— Czego potrzebujesz dla swej pani? — spytał, niemal nie otwierając ust.

— Księżniczka Tyra szuka sprzymierzeńców.

Nie wątpię — pomyślał Sigvald. — Raz już upokorzyliśmy Svena.

— Jomswikingowie nie mieszają się w sprawy królów — powtórzył ich dewizę Geivar.

— Ale są najskuteczniejszą bronią w rozgrywkach między nimi — wydukał niespodziewanie odważnie Gretter. — Moja pani pragnie wyjść za mąż i…

— Już jestem żonaty — zażartował Sigvald. — Ale może Geivar?

— Wiem, panie, i dlatego tu jestem. — Gretter nie dawał się wytrącić z równowagi. — Twoja żona, szlachetna pani Astryda, jest siostrą wielkiego księcia Burizleifa…

— On też jest żonaty — dodał Geivar swym paskudnym, beznamiętnym tonem.

— Moja pani nie ma możnych protektorów w swym kraju. Takich, którzy mieliby wpływy wśród innych władców, równych jej rodem. Gdyby książę Burizleif zgodził się jej pomóc i reprezentować ją, oczywiście w największej tajemnicy…

Ciekawe, czy kogoś sobie upatrzyła duńska spryciula, czy też liczy na swaty Bolesława? Tak czy inaczej, od tej chwili sprawa zaczynała być intrygująca. Co nie znaczy, że nie mogą jeszcze trochę wyciągnąć z tego Grettera.

— Dlaczego twój pan nie przybył do nas osobiście? — zapytał Geivar zimnym tonem.

— Mój pan? Kogo masz na myśli, wodzu? — Rozbiegane oczka Grettera rozszerzyły się nagle.

Aha! — skonstatował Sigvald.

Zapewne Geivar przypadkiem wyszczerzył w tej chwili malowane kły.

— Ja służę księżniczce…

— A ona w przeszłości korzystała z opieki biskupa Oddinkarra z Ribe — dokończył Geivar.

— Opieka to szerokie pojęcie. Tyra jest chrześcijanką i cóż dziwnego, że blisko jej do duchownych?

— Jaki interes ma twój biskup w wydaniu za mąż księżniczki? — zapytał Sigvald, choć doskonale znał odpowiedź.

— Czyż nie starczyło jego kontaktów w Bremie, by znaleźć jej godnego męża? — dołączył się Geivar.

— Czy też saski arcybiskup odmówił wam pomocy, bo się boi zemsty Svena?

— Tak. — Wysłannik skapitulował, wzdychając ciężko. — Król Sven jest teraz na tyle silny, że Sasi nie chcą się do tego mieszać. A wielki książę Burizleif będzie poza wszelkimi podejrzeniami, jako że jego ukochana siostra jest żoną Svena i matką jego syna.

— O ile książę Bolesław będzie zainteresowany tą grą. — Sigvald obojętnie wzruszył ramionami.

Doskonale wiedział, że jego szwagier szuka zemsty na Svenie za samowolny ślub ze Świętosławą. Oczyma wyobraźni już widział minę Bolesława, gdy przywiezie mu tę świetną wiadomość. Niech śnieg sypie całą noc! Jutro zaprzęgną sanie i pomkną do Poznania. On i Astryda. W chłodzie sanny jego zimna żona przylgnie do niego pod futrem.

— Możemy spróbować podjąć się dyskretnej gry — powiedział na głos. — O ile księżniczkę Tyrę czy też biskupa Oddinkarra stać na płatne srebrem usługi wikingów z Jom.

SVEN siedział przy ogniu i leniwie czyścił broń. W wielkiej halli dworu w Roskilde panował spokój. Całkowity spokój. Wrażenie ciszy było tak przenikające, iż mógł sobie wyobrażać, że słyszy padający śnieg. Przed Julem śnieżyce goniły zawieje, zdarzało się, że rankiem służba nie mogła

otworzyć zasypanych nocą wrót dworu i dopiero gdy przyszli stajenni, oswobadzali domowników z oków śniegu. Po świętach ustały wiatry i w przyrodzie zapanował spokój. Śnieg padał dalej, ale grube płatki wolno i jakby od niechcenia przysypywały Roskilde, potęgując uczucie błogiego rozleniwienia.

Po drugiej stronie otwartego paleniska, na szerokiej i niskiej ławie z wygodnym oparciem, siedziała jego królowa. Ubrana w zwykłą domową suknię z grubej wełny, bez ozdób, z jednym tylko, prostym, srebrnym krzyżykiem na piersi. Podwinęła nogi pod siebie, odchyliła w tył głowę, aż sploty rozpuszczonych włosów luźno opadły za oparcie ławy. Tam klęczała jej niema służka i kościanym grzebieniem delikatnie i czule czesała włosy swej pani. Złote pasma prześwietlone blaskiem z paleniska zdawały się żarzyć. Królowa przymknęła oczy, jakby spała. Ale nie, nie spała. W ramionach, przy piersi trzymała ich syna, Haralda Svenssona. Karmiła go, gładząc palcem policzek dziecka.

Sven zdjął miecz z kolan i obejrzał pod światło. Wykuł go Karl Karzeł, najlepszy kowal z Jelling, ten sam, który ongiś przekuł dla niego srebrny krzyż na młot Thora. Stal odbiła płomienie nieco matowym blaskiem. Postawił miecz między nogami, oparł o kolano i znów zaczął polerować. Królowa westchnęła. Uniósł wzrok.

Dusza zamarła z grzebieniem w ręku i patrzyła na swą panią. Jego żona, nie podnosząc powiek, rozchyliła usta i wygodniej ułożyła Haralda. Dziecko rytmicznie zaciskało palce na jej piersi. Służka wróciła do czesania włosów. Sven, nie przestając czyścić miecza, nie mógł oderwać wzroku od królowej. Była dla niego kobietą wielu twarzy, tak jak wielu imion. Przy całym dworze z uporem nazywał ją Gunhildą; lubił, gdy się wściekała, słysząc to imię, ale nie protestował, kiedy jego ludzie na widok swej pani krzyczeli „Sigrida Storråda”. Sam tak szeptał do niej w chwilach uniesienia

w alkowie. Rankiem udawał, że tego nie pamięta. Nieprawda, pamiętał. Sigrida Storråda była tą, którą zabrał z Sigtuny, żoną dawnego wroga, którą musiał posiąść, by zmazać pamięć najazdu Erika. Sigrida Storråda była ukrytym pragnieniem Olava; marzeniem, które mu ukradł i odebrał na wieki. Ponadto Harda pociągała go swym nieustannym uporem, niezależnością i butą; była panią dwóch królestw i zachowywała się, jakby nosiła dwie korony naraz. To doprowadzało go do wściekłości i podniecało po równo. Poczuł się naprawdę królem, dopiero gdy stanęła u jego boku. Gdy widział uwielbienie, pożądanie i lęk w oczach swych wodzów, którzy trwożliwie zerkali na jego królową.

Kiedy w niecały rok po ślubie wydała na świat syna, myślał, że oszaleje ze szczęścia. Rodząc go, krzyczała tak, że słyszało całe Roskilde. Musiał otoczyć dwór swą osobistą strażą toporników, bo zbiegł się tłum przekonany, że we dworze zamieszki. Wulfric z zastępem angielskich kapłanów leżał krzyżem w kościele i modlił się, myśląc, że królowa kona. Jej dwa rysie warczały wściekle, gryząc pręty klatki; ten dzieciak, którego przywiozła z Sigtuny, Wilczan, musiał zabrać koty na długi spacer do lasu, bo inaczej wyrwałyby się i zagryzły pomagające przy porodzie kobiety. On sam, słysząc jej wrzask, myślał, że zwariuje. Ale w środku nocy hałas ustał i po chwili Melkorka wyszła do wielkiej halli i oznajmiła: „Masz syna. Wielki, zdrowy i rudy”. Wtedy z radości nauczył się jej prawdziwego imienia, Sventoslava. Szeptał tak do niej, gdy zmęczona spała po porodzie, dziękując za pierworodnego. Gdy się zbudziła, powiedział do niej „Gunhildo”.

— Ach… — westchnęła cicho, wyprężając się. — Synu…

Harald ssał jej pierś zapamiętale. Sven wciąż długimi pociągnięciami polerował miecz. Poczuł, że sam oddycha ciężko. Spociły mu się dłonie, otarł je o udo. Królowa zamruczała jak kotka i przekręciła się, próbując

odstawić syna od piersi. Oddech Svena znów przyspieszył. Nie wytrzymał, cicho odłożył oręż i wstał. Dusza uniosła na niego oczy. Przyłożył palec do ust i bezszelestnie szedł ku nim. Pokazał służce, że ma zabrać dziecko i wyjść. Skinęła głową. Gdy wstawała z kolan, wyjął jej z ręki grzebień i przyklęknął tam, gdzie ona była przed chwilą. Zbliżył twarz do włosów królowej. Powąchał je. Dusza z wprawą wyjęła sutek z ust Haralda i wzięła chłopca na ręce. Wyszła.

Sven przełknął ślinę, patrząc na wilgotną pierś żony. Dotknął jej czubka. Królowa mruknęła tak samo jak przed chwilą.

— Sventoslava… — szepnął do jej złotych włosów. — Sventoslava…

I pasmo po paśmie zaczął je czesać.

ASTRYDA nie znosiła pytań o to, kiedy przyjdzie na świat ich dziecko. Miała ochotę powiedzieć: dlaczego nie spytacie Sigvalda? Znała odpowiedź. Wódz jomswikingów onieśmielał ludzi. Cóż, niewielu znało go tak dobrze, jak ona.

Wyjazd do Poznania ją uradował; miła odmiana po piekielnej nudzie zimy. Choć oczywiście musiała wiele razy odpowiedzieć na znienawidzone pytanie. Nie zadała go tylko żona jej brata, księżna Emnilda.

Siedzieli teraz w ciepłej świetlicy, ona z Sigvaldem, Emnilda z Bolesławem, rudy Bjornar, Jaksa i ciemnooki, skory do śmiechu Zarad. Spotkanie mogłoby być niemal rodzinne, gdyby nie to, że brał w nim udział również biskup Unger.

— Księżniczka Tyra… — powtórzył w zamyśleniu Bolesław, gdy Sigvald streścił rozmowę z wysłannikiem duńskim. — Czy ktoś ją kiedyś widział? Może powody są bardziej oczywiste?

— Brzydactwo? — podpowiedział Zarad, ale zamilkł pod karcącym wzrokiem Emnildy.

— Ja widziałem — zgłosił się Bjornar, który od lat trzymał w ręku północne kontakty Bolesława.

— I co? — zaciekawił się książę.

— Rzecz gustu. — Wzruszył ramionami. — Szczupła, wysoka, nos trochę za długi…

— To może jest siostrą Sigvalda, nie Svena? — Zarad wyciągnął palce w stronę jej męża.

Astryda parsknęła śmiechem. Długi nos wodza Jom był tematem wielu żartów na Wolinie, choć większość z nich nie docierała do uszu Sigvalda. On sam, przynajmniej wśród ludzi, zdawał się mieć do tego zdrowy dystans.

— …mówiąc krótko — ciągnął Bjornar, jakby żartu nie było — jest wystarczająco ładna, by nie uznać jej za brzydką.

Odezwał się Unger:

— Arcybiskupstwo w Bremie rości sobie drapieżne prawa do wszystkich Kościołów Północy. Dania i biskup Ribe podlegają mu, idąc za hierarchią Kościoła. Król Sven sprowadził sporo duchownych z Anglii i dał tym sposobem znak, że chce swą organizację kościelną uniezależnić. Dlatego Bremie jest dzisiaj nie na rękę wchodzić w konflikt ze Svenem, bo zrobią, co w ich mocy, by króla Danii przytrzymać w swych, nazwijmy to, ramionach.

— Cesarstwo wywiera wpływ na ościennych królów z obu stron — skrzywił się Bolesław. — Przez siłę Ottona i podległą sobie organizację kościelną.

— Tylko w przypadku tych arcybiskupów, którzy istotnie są wobec cesarza dyspozycyjni — zastrzegł Unger.

— Pamiętasz, biskupie, jak było z tobą?

Książę posiadał zdolność do poddawania się emocjom w jednej chwili. Astryda myślała, że Bolesław kiedyś z tego wyrośnie, lecz nie; brat uczynił z tego kolejny oręż, którym władał naprawdę nieźle. Zerwał się z krzesła i już chodził po świetlicy, wyrzucając z siebie słowa jak strzały. Jego dwa psy wstały z posłania i podążały za swym panem jak sfora.

— Wyświęcono cię na naszego biskupa zaraz po śmierci świątobliwego Jordana, ale Teofano, chcąc odegrać się na mym ojcu, zatrzymała cię w Memleben. — Oczy mu lśniły w gniewie, wyrwał z pyska psa patyk.

— Nie przeczę. Osiem lat.

— Osiem lat Kościół w mym kraju nie miał pasterza! Nie było komu wyświęcać księży, nowych kościołów. Cesarzowa niczym pajęczyca tkała swą sieć! A przecież twym zwierzchnikiem powinien być papież, nie cesarz!… — Brat wściekle cisnął do ognia patyk zabrany psu.

Przez chwilę zdawało się, że czeka, aż ten skoczy w ogień.

— Teoretycznie — odpowiedział spokojnie Unger. — Pokój niech będzie jej duszy.

Bolesław okrążył krzesło biskupa i zawrócił.

— Gniew dyktuje zemstę, ale ta jest najsłodsza, gdy przygotowana na zimno.

Mówiąc to, usiadł z powrotem na swym miejscu. Był tak spokojny, jakby wcześniej nie wybuchł. Astryda i Emnilda wymieniły się spojrzeniami. Tylko delikatny ruch brwi bratowej zdradzał jej rozbawienie.

— Miodu? — spytała domyślnie.

— Miodu — potwierdził książę.

Emnilda umiała dowodzić służbą bez słowa. Astryda obserwowała ją z podziwem. Przed księciem stanął kielich i niewidoczna przed chwilą służka z dzbanem.

— Sven wziął Świętosławę gwałtem — oznajmił Bolesław i Astryda przez chwilę pomyślała, że pójdzie za tym kolejna fala gniewu. Ale nie, jej brat był niespodziewanie spokojny. — Postawił ją w sytuacji, w której nie mogła mu odmówić, i oczywiście jestem o to na niego wściekły, ale jednocześnie go podziwiam. Mówiąc krótko: gdybym był na jego miejscu, zrobiłbym to samo.

Emnilda chrząknęła i powiedziała grzecznie:

— Jeszcze żyję.

— I będziesz żyć wiecznie, bo ja nie zamierzam spędzić ani dnia bez ciebie. — Bolesław pochylił się i ucałował jej dłoń.

— Książę ma na myśli brutalną politykę, pani — wyjaśnił Unger. — A nie sprawy osobiste.

— Niemniej — ciągnął Bolesław — Sven postąpił wbrew moim planom. Ja widziałem u boku swej siostry Olava Tryggvasona i z połączonych osobą Świętosławy dwóch królestw przeciwwagę dla Svena.

— Śmiem zauważyć, że duński szwagier jest wciąż znacznie silniejszy niż niedoszły norweski. Tym samym, zamiast trzymać Svena w okowach, nie powinieneś się już go obawiać. Póki twa siostra jest jego żoną, raczej nie wystąpi przeciw tobie — powiedział Unger.

— Sven wciąż ma wpływy wśród Obodrytów, a oni raz łączą się z Wieletami, raz wychodzą z sojuszu — wtrącił milczący do tej pory Jaksa. — Mógłbyś, książę, spróbować go przycisnąć, by jako twój szwagier zaprzestał podburzania Słowian.

Zerknęła na brata. Za sugestię, co ma robić, powinien na Jaksę huknąć. Nie huknął. Powiedział całkiem spokojnie:

— Tyra powinna poślubić Olava Tryggvasona.

Astrydzie zaszumiało w głowie. Wyrwało jej się:

— Dlaczego?!

I natychmiast zamilkła, bo zobaczyła, jak spojrzał na nią jej mąż. Zarumieniła się. Do licha. Tyle lat, a wciąż potrafi zareagować na jego imię jak dziewica na widok kochanka.

Jesteś głupia — pomyślała i zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w dłoń z całych sił. Rumieniec chyba zniknął.

— Dlatego — powiedział Bolesław, odstawiając kielich — że Sven się wścieknie. To będzie równie celne uderzenie jak jego skok po Świętosławę. Duńska księżniczka przy boku Olava zrównoważy układ, jaki powstał po tym, gdy Sven porwał mą siostrę.

Nie chciałabym być w twojej skórze, bracie, gdy Harda się dowie, kto stoi za małżeństwem jej ukochanego — pomyślała Astryda i złapała się na tym, że w tej chwili, tak jak przez całe życie, znów myśli najpierw o siostrze, a potem o sobie.

— Tyra jest chrześcijanką, Olav też. — Unger kiwnął głową. — Choć już słyszałem, że o Ynglingu mówią „bestia z krzyżem w dłoni”.

I wtedy o głos poprosił jej mąż, Sigvald.

— Jomswikingowie nie wtrącają się w sprawy królów — wyrecytował swoją dewizę. — Stoją z boku. Ale z boku czasami widać inne rzeczy niż na wprost.

— To mów wprost! — ryknął na niego Bolesław.

Gniew brata zawsze jest nieoczekiwany. Sigvald nie wydał się speszony wybuchem, ale dokończył krótko, bez uśmiechu, którym zwykle maskował swe niepokoje:

— Tyra przy boku Olava może stać się przyczyną wojny. Sven znajdzie powód. Powie, że małżeństwo bezprawne albo wymyśli cokolwiek innego. Dając jej rękę Tryggvasonowi, Svenowi dajesz powód do uderzenia na Olava.

Książę roześmiał się i napił. Emnilda jakimś sobie wiadomym sposobem domyśliła się, że kielich męża jest już pusty, przywołała służkę i ta go napełniła. Astryda patrzyła na to, jakby nie była częścią tego spotkania. Nagle zdało jej się, że unosi się w powietrzu, pod kamiennym sklepieniem palatium, i obserwuje ich wszystkich z góry. Widziała nawet siebie, bladą, wciśniętą w oparcie krzesła, przykrywającą dłonią usta. Sigvald wciąż powtarzał te same słowa: „powód do wojny, powód do wojny, powód do wojny". Poczuła słony i metaliczny smak krwi w ustach i wydawało jej się, że środkiem stołu płynie czerwona, krwawa rzeka.

— Co się stało, Astrydo? — z ułudy wyrwał ją głos Emnildy. — Źle się czujesz?

Otrząsnęła się. Po blacie płynęła nie krew, lecz miód z przewróconego przez nią kielicha. Już były przy niej służki, już starły miód, podały nowy kielich.

— Może moja siostra spodziewa się dziecka? — zapytał Bolesław radośnie.

Dziecko, gwałt, intryga, wojna… dla nich to jedno i to samo — pomyślała z goryczą.

— Zapytaj Sigvalda — ostro odpowiedziała bratu.

Książę spytał, ale już o coś innego.

— Mówisz, jarlu, że to byłby powód do wojny? Zatem mam nadzieję, iż żaden z mieczy jomswikingów nie pokrył się rdzą.

— Nie, książę. — Jej mąż się uśmiechnął. — Nasz oręż nigdy nie był bardziej gotów.

ŚWIĘTOSŁAWA odstawiła Haralda od piersi jeszcze zimą. Melkorka znalazła jej synowi mamkę.

— Ma na imię Heidi, królowo — przedstawiła dziewczynę. — Ale i tak wszyscy ją nazywają Kózką.

Dusza zaśmiała się za jej plecami tak cicho, że słyszeć mogła to tylko Świętosława. Rzeczywiście, przezwisko było z tych „jak widać”. Kózka Heidi miała duże piersi osłonięte troskliwie wełnianym szalem, a jej jasne, niemal białe włosy splecione były na czubku głowy w dwa sterczące warkocze, jak różki. Harald przyssał się do jej sutka tak łapczywie, że nie było obaw, iż nie przyjmie mleka mamki.

— Jaśnie pani szykuje się do drugiego dziecka? — dopytała Melkorka.

Sven coraz natarczywiej domagał się jej obecności w alkowie, ale prawdziwym powodem poszukiwania mamki była nieposkromiona chciwość syna.

— To Harald jest moim drugim dzieckiem, Melkorko — odpowiedziała, myśląc tęsknie o Olofie.

— Przepraszam. — Gospodyni pokłoniła się niezgrabnie. — Zapomniałam się. Nie chciałam.

Jej czerwone palce mełły fartuch nerwowo.

— Nie szkodzi. Plecy cię bolą? Może powinnaś odpocząć?

— Nic mi nie jest, jaśnie pani, nic mi nie jest. Mogę pracować, wypełniać obowiązki. — Poczerwieniała, aż jej ściśnięte w zbyt mocny węzeł włosy wydały się całkiem białe.

— Oczywiście. — Świętosława ją pożegnała. — Dziękuję ci za Kózkę.

Melkorka należała do tych ludzi, dla których odpoczynek równał się degradacji. Świętosława nie miała ochoty pozbawiać kobiety jej pozycji, chociaż kucharką była nadzwyczaj nieudolną.

Po przyjściu na świat Olofa poznała wszystkie odcienie niemowlęcego krzyku i wrzasku. Olof darł się wniebogłosy, co nadzwyczaj radowało Erika, bo widział w tym hałasie zapowiedź odwagi syna. Harald zaś był żarłokiem. Płakał w każdej chwili, w której nie jadł. Kobiety na dworze

mówiły, że nie da się przekarmić niemowlęcia; mały Harald musiał urodzić się z podobnym przekonaniem. Jadł, jadł i jadł.

— Teraz to twoje zmartwienie, Heidi — powiedziała mamce.

Dziewczyna roześmiała się wesoło.

— Ach, czegóż ja już nie wykarmiłam! Choć królewskiego syna pierwszy raz trzymam przy cycku. Uuu! Ssie jak dzieciak kowala. Tamten mały miał w ustach obcęgi. Dam radę, jaśnie królowo!

Pierwsze, co zrobiła, gdy Dusza podała jej czerwone, mokre od śluzu ciałko, to sprawdziła, czy dziecko ma znamię na czaszce. Miał. Ucałowała go w ten „odcisk Piasta”.

Jestem jak suka, która wącha miot, by odróżnić podrzucone szczenię — pomyślała później o sobie. Mały miał głowę pokrytą jasnorudym meszkiem, co wprawiło w zachwyt Svena równie mocno jak fakt, że to chłopiec.

— Dałaś mi syna! — śmiał się, unosząc go nad głową.

— Nikogo ci nie daję! — oburzyła się. — Jest tak samo mój, jak i twój.

Ich małżeństwo wciąż przypominało walkę. Sven nieustannie ją prowokował, ona go drażniła. Gdy jedno z nich chciało złożyć broń, w drugim budził się najeźdźca. Umieli kłócić się o wszystko, godzenie szło im opornie, raczej zawierali rozejm. Bywały też dni, gdy po prostu nie wchodzili sobie w drogę. Szybko nauczyła się, że aby coś od niego uzyskać, musi prosić nie o to, na czym jej zależy. Albo udawać, iż rzecz jest dla niej obojętna. Nieustanne podchody. Czasami podczas uczt Sven i Jorun wspominali angielską wyprawę „dwóch wodzów”. Wtedy mogła bezkarnie słuchać opowieści o Olavie, a jeśli byli dość pijani, nawet pytać. Musiała jedynie uważać, by nie zdradzać emocji. Szybko się zorientowała, że Sven ma w Norwegii szpiegów. Spotykał się z nimi poza dworem, więc nie mogła poznać ich twarzy i imion, ale o tym, co przynieśli, rozmawiał ze

swymi możnymi na ucztach. Odkąd Heidi przejęła karmienie Haralda, Świętosława znów zaczęła na nich bywać.

— Podawać? — zwróciła się do niej Melkorka z wypiekami na twarzy. — Przygotowałam te dzikie gęsi, co je król upolował.

— Podawaj. Uwielbiam pieczone gęsi.

— Ja je ugotowałam, jaśnie pani.

— Nie szkodzi. Chyba miałam ochotę na gotowane. — Uśmiechnęła się do gospodyni i ruszyła z kuchni do wielkiej halli.

W ciemnym przejściu usłyszała brzęk żelaza. Łańcuchy? Rozejrzała się. Arnora. Plemienna królowa. Stara dama. „Żona mego wroga". Podeszła do niej.

— Idziesz na ucztę, Arnoro? — spytała i natychmiast poczuła się niezręcznie.

Kobieta odwróciła się do niej tak wyniośle, jakby ona tu była panią.

— Idę, królowo — odpowiedziała. Głos miała dźwięczny.

Świętosława nieraz obserwowała ją z daleka. Stara zawsze siedziała w kącie halli i nigdy nie odwzajemniła jej ukłonu.

— Oprzesz się na moim ramieniu? — zaproponowała Świętosława, widząc, że ciąży jej łańcuch łączący okowy na nogach.

Arnora nie raczyła odpowiedzieć. Powłóczyła nogami, choć plecy trzymała prosto. Dokończyła krok i przystanęła. Świętosława zapatrzyła się w grę zmarszczek i bruzd na jej twarzy. Oczy Arnory lśniły jasną, intensywnie niebieską barwą.

— Tak sobie ciebie wyobrażałam — powiedziała po chwili wpatrywania się w Świętosławę.

— Dlaczego tak mówisz? Przecież widziałaś mnie nie raz.

— Młodość! — W jej głosie zabrzmiało coś bliskiego rozbawieniu. — Z daleka nie ludzi widzę, lecz cienie.

— To dlatego nie odpowiadałaś na moje ukłony? — ucieszyła się Świętosława, jakby to miało dla niej wielką wartość.

— Lubisz grać w hnefatafl? — zapytała stara. — A lubisz przegrywać?

— Nikt tego nie lubi — odpowiedziała i znów poczuła się nieswojo.

Arnora wpatrywała się w nią; w jej spojrzeniu nie było natarczywości, a mimo to Świętosława miała wrażenie, że kobieta przewierca ją na wylot.

— Kto podejmuje grę, musi być gotowy na każdy wynik. Władcy zawsze grają o wszystko.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Jeśli kiedyś zechcesz zagrać ze mną, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Przyjdź i przyprowadź swe rysie. Chciałabym ich dotknąć. Może przyjść z tobą także twoja cicha służka.

— Dusza jest niemową.

Arnora uniosła siwe brwi.

— Jak sobie życzysz. Dusza może przyjść. Ale nie chcę w mej samotni tego przebierańca.

— Wielki Ulf jest mym stróżem.

— Nie o nim mówię, lecz o grubym mnichu. Idź już, Cierniowa Królowo. Twój pan mąż wzywa cię na ucztę.

— Cierniowa Królowo? — powtórzyła Świętosława, czując, jak kołacze jej serce.

— Mówiłam ci, że z bliska widzę dobrze — zaśmiała się Arnora. Zabrzęczały łańcuchy, podjęła swą mozolną drogę. — Tylko nie zabłądź, gdy będziesz mnie szukać! W tym dworze jest więcej niż jedna samotnia!

Rozmowa z Arnorą wytrąciła Świętosławę z równowagi. Gdy weszła do jasnej od pochodni halli, nie była sobą.

— Gunhildo! Jak dobrze cię widzieć! — Sven wstał z podwyższenia i ruszył ku niej. — Napijesz się ze mną z długiego rogu?

Idąc, zabrał róg z ręki Joruna. Rzeczywiście był ponad miarę długi. Podał go jej i szepnął wprost do ucha:

— Chciałbym, żebyś dziś w nocy pogłaskała mój róg.

Zarumieniła się. Tak, nie była sobą. Wypiła spory łyk i odzyskała siły.

— Zgoda, pod warunkiem że twojego nie będzie mi do ust podawał Jorun.

Teraz zaczerwienił się i Sven, i jego druh. Ujęła pana męża pod rękę i dała się poprowadzić na miejsce.

— Mamy dziś gości z północy — powiedział, wskazując na kilku ludzi stojących z boku. — W drodze z Islandii zawinęli do Lade, przywożą ciekawe opowieści.

Skinęła im głową, oni oddali ukłon. Czy to szpiedzy Svena? — pomyślała. — Nigdy nie spotkał się z nimi w Roskilde. Czy może zwykli kupcy albo żeglarze, poszukiwacze przygód?

— Duszka, rysie! — zawołała, by nie zwracać uwagi na to, że bardzo interesują ją goście. — Moje koty są tak udomowione, że miauczały, by już zaczęły się uczty. Dość miały piastowania naszego syna.

— Twoje rysie udomowione? — oburzył się Ragn z Wysp. — Wczoraj o mało nie odgryzły mi ręki.

— Widocznie sięgałeś po coś, czego kazałam im pilnować!

Goście się zaśmiali, a Ragn szybko zanurzył usta w kubku. Nie, nie wyda jego sekretu. Ragn z Wysp od czasu pokładzin cierpi na wyjątkową skłonność do dotykania jej płaszcza. Wrzask rzeczywiście postraszył go trochę, gdy ten próbował wziąć okrycie rzucone przez nią na ławę.

— Napijmy się za mego syna i jego piękną matkę! — krzyknął Sven.

— I to nie raz! — zawołał Stenkil.

— Mam nadzieję — uśmiechnął się rudobrody król — że nie raz! Niech moja pani da mi wielu synów!

Kuchenny zastęp Melkorki wnosił półmiski. Świętosława była głodna. Apetyt odszedł od niej na chwilę, gdy zobaczyła, że do halli wreszcie doszła Arnora. Na jej długich, srebrnosiwych włosach spoczywała opaska z dziczych kłów. Nie zauważyłam jej w mroku, czy wróciła do samotni, by założyć tę dziwaczną koronę?

Jasnowłosa Vali postawiła przed Świętosławą półmisek.

— Specjalnie od Melkorki, ponoć królowa uwielbia dzikie gęsi! — uśmiechnęła się ślicznie.

Ale nie takie — jęknęła w duchu Świętosława, patrząc na szare, wygotowane mięso w wianuszku wyglądających na zwiędłe cebul.

Gospodyni stała przy wejściu i wpatrywała się w nią z napięciem. Sven pochylił się ku niej i powiedział cicho:

— Popij, to przełkniesz. Czerwone wino broni nawet kuchni Melkorki.

Zrobiła, jak poradził, ale i tak miała poczucie, że je rzemień.

— Odesłać starą na wieś? — zapytał Sven.

— Nie, proszę. Wymyślę coś innego — odpowiedziała, żując łykowate mięso. Skinęła Melkorce głową, że świetne, i uśmiechnęła się do Svena. — Zostało ci trochę wina?

Gdy gospodyni zniknęła w kuchni, Świętosława dyskretnie zrzuciła gęś pod stół. Zgrzyt rozprawił się z nią szybko.

— …odkąd ochrzcił panów Północy w Lade, dawnej siedzibie jarla Hakona, mówią o nim „bestia z krzyżem” — opowiadał jeden z przybyszów.

Sven zwrócił się do niej i powiedział półgłosem:

— Olav zawsze miał skłonność do okrucieństwa.

Ale to nie on mi zagroził, lecz ty — odpowiedziała w myślach.

— Spalił świątynię Odyna, a wcześniej sam zarąbał jej ostatniego kapłana… — ciągnął przyjezdny.

— Mówiłem — mruknął Sven. — To potwór.

— Jak mogłeś z nim wytrzymać trzy lata wspólnych podbojów?

— Nie boję się bestii. — Wzruszył ramionami, nie wyczuwając w jej głosie drwiny.

— Rozumiem, że chrześcijaństwo rozpala się w jego kraju jak ogień — powiedziała do przybyszów.

Teraz Sven zrozumiał dowcip i zaśmiał się. Przybysze popatrzyli po sobie niepewnie.

— Królowa Sigrida Storråda ma płomienne doświadczenia — wytłumaczył im Skuli, skald.

Widząc, że nadal nie rozumieją, machnął ręką i dodał:

— Wytłumaczę wam, gdy napijemy się więcej.

— Można powiedzieć — zaczął jej odpowiadać gość — że większość kraju król Olav ochrzcił. Wszędzie tam, gdzie dotarł, możni uznają jego władzę, choć pewne kłopoty niewątpliwie ma…

— Ja powiem — wyrwał się drugi z przybyszów. — Kto go zobaczy, ugina kolana.

Coś o tym wiem — przebiegło jej przez głowę i natychmiast zrozumiała, że musi się pilnować.

— Jaśniej! — zażądał Sven.

— Hamingia, królu. Potężny duch, który go wyprzedza…

— Mówisz jak czarownik! — zaśmiała się lekceważąco Świętosława.

Wypadła prawdziwie, bo jej śmiech podchwycił Sven.

Duch, który idzie przed nim — ostrzegał ją Bork w Sigtunie na jedną chwilę przed tym, zanim skończyło się wszystko.

— Wybacz, pani. — Przybysz wcale się nie speszył. — Trudno to inaczej opisać. On wchodzi między wrogi mu tłum uzbrojonych możnych, mówi do

nich kilka zdań i ci, co wyrzekali, nim przybył, że nigdy mu się nie pokłonią, klękają.

— Co mówi? — wyrwał się Sven, wyręczając ją.

— „Jestem waszym królem. Potomkiem Ynglingów. Przyszedłem dać wam chrzest, wiarę w Chrystusa Pana i wziąć koronę. Nazywam się Olav Tryggvason”.

Jakbym go widziała — jęknęła w duchu. — Jasne, przejrzyste oczy, niemal białe włosy odgarnięte do tyłu…

— …a oni na to krzyczą: „Nie! My mamy swoich bogów! Nie potrzeba nam królów!”. Wtedy on, nie unosząc głosu, odpowiada: „Już jestem waszym królem”.

— Widzieliśmy to na własne oczy — włączył się ostatni z gości. — Tak było.

— Najkrócej ujęła to jedna służka w gospodzie, gdzieśmy potem nocowali. Baba widziała Olava tylko z tyłu, z daleka i powiedziała: „Nawet jego plecy są plecami króla”.

— Bzdura! — Sven gniewnie uderzył kielichem w stół. — Babskie brednie!

Mylisz się, mężu. Rację ma służka.

— Ale prawdą jest… — wrócił do głosu ten maruda, który zaczął. — Prawdą jest, że na dalekiej północy, w kraju zórz polarnych i na wyspach, ma silnych wrogów. To są takie regiony, gdzie władza królewska nie sięga, latem słońce nie zachodzi, zimą nie budzi się wcale, tygodniami się tam na saniach jedzie. Kraj, gdzie wciąż panują jarlowie składający ofiary Odynowi, bogacze, do których należą największe stada reniferów…

— Przyjdzie czas i na północ — przerwał mu ten od „pleców króla”. — Bo przecież nikt już nie wierzy, by władzy takiego mocarza mogli zaszkodzić władcy reniferów.

— Starczy opowieści na jeden wieczór! — zakończył ten poemat ku czci Olava Sven. — Bawcie się i bądźcie mymi gośćmi! Zajmij się przybyszami, Skuli.

Skald w lot zrozumiał, że ma upić ich z dala od swego króla. Zaciągnął do stołu w rogu halli.

Sven dał znak swym jarlom, by usiedli bliżej.

— Rośnie w siłę — powiedział Thorgils z Jelling, stukając paznokciem w żłobienie kubka.

— Jeżeli zostali mu do ujarzmienia tylko władcy reniferów, można rzec, iż cała Norwegia należy do niego — ponuro dodał Hakon z Fionii i pociągnął łyk miodu. — Ich tam jest ledwie kilku i zawsze byli słabo związani z resztą kraju.

— Za czasów twego ojca — dodał ostrożny Gunar z Limfiordu — ci z najdalszej północy też nie płacili trybutu. Oni tam żyją na pustkowiach. Jak Harald wysłał poborców, to z dwunastu wróciło trzech. Mówili potem, że reszta zaginęła w lodowych wąwozach i że przez całą podróż nie znaleźli tych słynnych władców reniferów ani żadnej innej żywej duszy.

— W ogóle opowiadali dziwy. — Ragn z Wysp splunął.

Świętosława spojrzała na niego ostro i zrozumiał, że zachował się niewłaściwie. Speszony zatarł plwocinę nogą.

— Gówno mnie obchodzą władcy reniferów! — ryknął Sven — Obchodzi mnie Olav i to, że rośnie w siłę! Dopiął swego, piekielny „drugi wódz”!

— Nigdy nie mówił, że będzie inaczej — spokojnie odpowiedział Jorun. — O ile pamiętam, zawsze powtarzał, że odzyska tron.

— Źle się stało, królu, że Tryggvason opuścił Anglię. — Świętosława po raz pierwszy usłyszała taki ton w głosie Thorgilsa z Jelling. Wyrachowany i zimny.

Sven zacisnął pięści na oparciach krzesła i łypnął na wodza z Jelling.

— Nie było cię tam, więc milcz — odpowiedział.

Jorun przysunął się do Thorgilsa i syknął:

— Masz małą wyobraźnię, jarlu z Jelling, jeśli wydaje ci się, że można było zabić Olava, nie wywołując wojny. Armia zwana Dwoma Wodzami nie wzięła swej nazwy znikąd. Król Ethelred byłby wniebowzięty, gdybyśmy wzięli się za łby i pozabijali wzajemnie, robiąc to, czego nie zdołało uczynić jego wojsko.

— Wybacz, królu. — Thorgils skłonił głowę, ale jego pokora była wyraźnie na pokaz. — Po prostu stwierdziłem fakt. Nie miałem zamiaru krytykować nikogo z twych ludzi ani sugerować, że Olava można było usunąć potem, gdy już wzięliście danegeld… na przykład na morzu… albo przypadkowa śmierć… upadek ze skały…

— Thorgilsie! — głos Świętosławy zabrzmiał czysto i ostro. — Mój mąż jest człowiekiem honoru! Mam pewność, że nigdy nie posunąłby się do takiego czynu!

Pragnę w to wierzyć, Chryste! — błagała w duchu.

Sven położył swoją dłoń na jej ręce. Była zimna. Ścisnął ją lekko.

— Królowa ma rację. Po stokroć wolę pokonać Olava w bitwie niż w niegodnej mężczyzny rozgrywce.

Po co w ogóle chcesz go pokonać? — myślała gorączkowo i zadrżała od dotyku zimnej dłoni Svena. — Zostaw go w spokoju, w spokoju.

— Są wojny, które toczy się na morzu albo półwyspie — odezwał się milczący dotąd Uddorm z Viborga. — I są takie, do których wcale nie dochodzi, gdy się odpowiednio zaplanuje potyczki w alkowie.

Jego pulchna twarz zdradzała człowieka lubiącego przyjemności życia.

— Nasza ukochana królowa i waleczny król są tego najlepszym przykładem. Spójrzmy prawdzie w oczy! Gdybyście się w sobie tak

płomiennie nie zakochali i nie połączyli świętym węzłem, mielibyśmy wojnę, zniszczenie i śmierć. Trupy w morzu, spalone statki, sieroty płaczące za ojcami. A tak? Cieszymy się z rozkwitu dwóch królestw! Nasi kupcy pływają bezpiecznie i mnożą skarby w królewskich skrzyniach. — Rozciągnął wilgotne wargi w uśmiechu.

Sven pociągnął jej rękę ku sobie.

Całuj w dłoń — pomyślała i zacisnęła szczęki. — Jeśli teraz będziesz chciał mnie pocałować w usta, przysięgam, ugryzę cię! Wciągnęła powietrze i z całych sił usiłowała się uśmiechnąć. Z punktu widzenia królestw tłusty Uddorm miał całkowitą rację. Więc dlaczego to zwycięstwo wciąż smakuje tak gorzko?

Jego usta też były zimne. Albo jej dłoń, na której złożył pocałunek, rozgrzana tak bardzo.

— Uddormie, Uddormie! — powiedział Sven wesoło. — Wszyscy wiemy, że zwą cię „tatuśkiem Jutlandii”! Posadziłeś swe córki i synów, bratanków, siostrzenice i całą resztę Uddormowego rodu na każdym z jutlandzkich gospodarstw.

— Nie przeczę, mój królu! — oblizał usta Uddorm. — Tym sposobem, gdy na północy półwyspu deszcze wytłuką jęczmień, moja służba warzy piwo z południa. Masz siostrę, królu. Pomyśl, gdzie ją chciałbyś zasadzić. Albo raczej, gdzie życzyłbyś sobie, by wydała plon?

— Tyra? — powiedzieli jednocześnie Świętosława i Sven.

Widziała ją ledwie kilka razy. Smukła dziewczyna o subtelnej urodzie. Miała piękne, ciemnorude włosy i dużo delikatności w sposobie bycia. Zdawała się osobą nieśmiałą, wycofaną, choć równie dobrze po prostu kierował nią lęk. Wiedziała o niej tylko tyle, że Sven za dawne przewiny trzyma ją w odosobnieniu, choć gdy jeden jedyny raz zamieniły ze sobą kilka zdań, Tyra powiedziała, że poza swobodą nie brak jej niczego.

— Tyra — powtórzył Uddorm. — Królewska, jak by nie było, siostra. Czyż jej ręka nie byłaby gwarancją pokoju?

— Och, zapewne! — żachnął się Sven. — Gdybym tego chciał. Ale tak się składa, przyjacielu, że nie chcę od Olava pokoju, lecz pragnę z nim wojny! Chcę, by Norwegia, jak za dawnych czasów, znów była lennem duńskim! Taki mam plan i Tyra mi do tego niepotrzebna. Niech siedzi w izbie i czeka, aż znajdę jej męża.

— Jeśli marzeniem króla jest wojna — odezwał się skarcony wcześniej Thorgils — to chciałbym zaproponować wojennego męża dla Tyry.

Nie po raz pierwszy zauważyła, że Thorgils ma w sobie niebezpieczny urok żmii, starannie skrywany pod manierami znacznie lepszymi niż obycie większości doradców jej męża.

— Synowie dawnego jarla Hakona, Erik i Sven. Jak wiemy, uciekli z kraju, gdy pojawił się tam Tryggvason. Szukają szczęścia w szerokim świecie. Dlaczego nie mogą znaleźć go u nas? Nagrodźmy lepszego z nich małżeństwem z twoją uroczą siostrą i tym samym wesprzemy rodzime, wrogie Olavowi siły. Potem, gdy już zepchniemy go z tronu, umieścimy na nim potomka dawnego jarla, przywracając spokój.

— Oskrzydlanie Ynglinga? — Głos Svena zdradzał, że niecny plan Thorgilsa przypadł mu do serca. — Który z tych dwóch młodzianów wydaje ci się lepszy, Gunhildo?

Nie zareagowała.

— Królowo? Przypomnij ich sobie, ponoć obu poznałaś na dworze w Sigtunie.

— Król Erik Segersäll przyjmował wielu gości — odpowiedziała sztywno. — Nie pamiętam tych dwóch.

— Wobec tego musimy polegać na tym, co mówią nasi zwiadowcy. — Sven się roześmiał. — A oni stawiają na jarla Erika.

— Po co ci to? — nie wytrzymała. — Nie żal siostry? Chcesz ją skazać na poniewierkę przy boku syna kogoś, kto kiedyś miał władzę, choć poza siłą nie miał do niej żadnych praw? Jego ojciec był zatwardziałym poganinem, syn pewnie jest taki sam! Twoja siostra ochrzczona, to dobra małżeńska partia!

— Ależ pani żono! — W głosie Svena zabrzmiała swawolna nuta. — Nie myślę wydawać Tyry za mąż! Ja prócz przyrodniej siostry mam jeszcze nieślubną córkę! Gyda będzie dla młodego jarla w sam raz.

— To jeszcze małe dziecko! — zaprotestowała.

— Bez przesady. — Sven machnął ręką. — Jest drobna, ale młodsze od niej wydawano, gdy była taka potrzeba. Zresztą, kogo ci żal, Gunhildo? — spytał zaczepnie. — Gydy czy raczej… — zawiesił głos.

Olava i siebie, mój panie mężu — pomyślała mściwie.

— Ciebie ojciec pytał o zdanie? — ciągnął niezrażony Sven.

— Książę Mieszko nazywał mnie swą najdroższą córką — odpowiedziała zimno. — I lepiej nie wspominajmy tu, w tej pięknej halli w Roskilde, ile warta była moja ręka, bo twoi poddani do dziś tę cenę pamiętają. — Pociągnęła smycz. — Wybaczcie, ale wolę towarzystwo oswojonych drapieżników niż knujących przy miodzie drapieżców.

— Spotkamy się w alkowie, moja pani! — krzyknął za nią Sven.

— Powodzenia — odparła, nie odwracając się. — Wrzask i Zgrzyt pilnują drzwi, mój panie.

Nawet nie próbował. Nie zmrużyła oka przez całą noc, stąd miała pewność, że Sven nie zjawił się pod jej drzwiami. Rankiem wyszła z alkowy. Przechodząc przez wielką hallę, ostrożnie omijała ślady wczorajszej uczty. Niektórzy spali tam, gdzie padli. Zbudziła Wilczana, chłopak wstał bezszelestnie. Wyszli z dworu i ruszyli w stronę niewielkiego, drewnianego kościoła. Po drodze zobaczyła Iona wychodzącego z jednej z chałup.

— Moja pani bez swoich bestii! — Ziewnął na jej widok radośnie. — Na spacer? O tak wczesnej porze?

— Ion! — Z chałupy wyszła zaspana kobieta. — Zapomniałeś tego! — Wystawiła przed próg koszyk i zniknęła, zatrzaskując drzwi.

Mnich podniósł kosz.

— Nie na spacer, a na mszę, bezbożniku! — skarciła go. — Idziesz ze mną, jak rozumiem?

— Och, skoro królowa rozkaże — mruknął niechętnie i przetarł oczy. — A jednak bestia jest.

Odwróciła się. Zaspany Wielki Ulf biegł od dworu. Obdarzyła go uśmiechem.

— Nie dlatego opuszczam nabożeństwa — zaczął się tłumaczyć Ion, gdy szli obok siebie — żebym utracił wiarę, nie myśl o mnie źle, moja pani, ale dlatego, że nie lubię, jak sprawuje mszę ten Wulfric. Zupełnie mi to nie odpowiada.

— U Romualda w pustelni nie pasowały ci korzonki! — fuknęła. — W Sigtunie szopa na łodzie. Wybredny z ciebie mnich.

— Nigdy nie mówiłem, że jest inaczej. — Nadął się i potrząsnął koszem. — Do Gudny też nie chodzę, za przeproszeniem, na ksiuty, tylko na wieczerze i śniadania. No nie mogę znieść kuchni Melkorki. W gardle mi staje.

Świętosława uśmiechnęła się.

— Co masz w tym koszu?

Odsłonił serwetę i pogrzebał w środku.

— Jaja, rybę suszoną, takie placki, co piecze Gudny… O, te placki są dobre. Z miodem i suszonymi borówkami.

— Daj jednego, też jestem ciągle głodna. Ulfie, Wilczanie, chcecie placka? — Odwróciła się do idących za nią.

Ulf pokręcił głową. Podążyła za jego spojrzeniem i stanęła w miejscu.

— Dlaczego przed kościołem stoi straż?

Niewielki drewniany budynek otaczało czterech toporników ze straży Svena. Ulf ruszył przodem, a Ion pociągnął ją za ramię, jakby się wystraszył.

— Wracajmy — szepnął.

— Nie żartuj. Jestem u siebie, nie zamierzam się cofać.

Przyspieszyła i równo z Wielkim Ulfem podeszła do stojących u wrót kościoła. Wyprężyli się przed królową.

— Co tu robicie? — spytała.

— Pilnujemy, pani.

— Kościoła?

— Nie, pani. Księżniczki Tyry. To rozkaz króla.

— Ach tak. Który z was jest ochrzczony?

Spojrzeli po sobie niepewnie.

— Wszyscy.

— Dobrze, to dwóch zostaje na zewnątrz pilnować, by księżniczka Tyra nie wyważyła drzwi albo nie uciekła kominem, a dwóch wraz ze mną idzie na mszę. Możecie pilnować jej, modląc się. Na co się gapicie?

— Na ciebie, pani — wyrwało się najmłodszemu z nich i natychmiast się zarumienił. — No co… wcześniej widziałem królową tylko z daleka…

— Wobec tego teraz razem z nią pójdziesz grzecznie na mszę. — Ujęła go pod ramię. — Topór zostaje!

We wnętrzu rozświetlonym jedynie kilkoma płomykami łojowych świec było ciemnawo. Gdy Świętosława z Ionem, Wilczanem, Ulfem i dwójką toporników weszła, Tyra odwróciła się gwałtownie i zerwała z klęczek. Wulfric przerwał mszę. Świętosława uklęknęła obok Tyry i kładąc jej dłoń na ramieniu, powiedziała:

— Nie lękaj się. Pomodlimy się razem. Kapłanie, przyprowadziłam ci wiernych, kontynuuj!

Kościół był mały. Podczas jej ślubu i chrzcin Haralda zmieścili się w nim tylko najbliżsi goście. Ion nie miał racji, Wulfric świetnie sprawował mszę. Gdy nadszedł czas Eucharystii, Świętosława wstała i odwróciła się do toporników.

— Jesteście gotowi przyjąć Ciało Chrystusa?

Spojrzeli na nią niepewnie. Tak myślała, pewnie od dnia chrztu są pierwszy raz w kościele. Wilczan i Ulf jeszcze gorzej, obaj nieochrzczeni. A Ion? Wiedziała równie dobrze jak on, że u tej Gudny nie był wyłącznie po koszyk z jedzeniem. Skromnie spuścił wzrok.

— Pani? — Wulfric podszedł do niej z kielichem i jasnym chlebem.

— Nie jestem godna, by wziąć udział w uczcie Pańskiej — oznajmiła i przyklękła ze spuszczoną głową.

Jak mogę się wyspowiadać, skoro każdego dnia od nowa grzeszę? Nie kocham męża, któremu ślubowałam, a muszę udawać miłość.

— Ite, missa est! — zakończył nabożeństwo Wulfric.

— Zostań, pani — szepnęła Świętosława do Tyry i zwróciła się do gromadki, z którą przyszła:

— Jak ci na imię, toporniku?

— Kalle.

— A tobie?

— Hauk. — Chłopak się w nią wpatrywał.

— Zajmę się waszym religijnym wychowaniem, Hauku i Kalle. Odtąd raz w tygodniu będę was zabierała na mszę, a ojciec Wulfric wprowadzi was w tajemnicę sakramentu pokuty.

— Tak jest, jaśnie pani — wyszeptali.

— Ulfie, Wilczanie, Ion zacznie was uczyć zasad wiary. Od dzisiaj, Ionie! — Pogroziła palcem mnichowi, który otwierał usta, by zaprotestować przeciw zadaniu, jakie dostał. — A teraz opuścicie kościół. Chcę z księżniczką Tyrą odmówić litanię. Poczekacie na nas na zewnątrz. Ty także, ojcze Wulfricu.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Świętosława położyła rękę na dłoni Tyry.

— Chcę, byś wiedziała, że nie masz we mnie wroga — powiedziała serdecznie. — Sven zapewne nie dopuści do tego, byśmy zaprzyjaźniły się jawnie, lecz jeśli mogę zaoferować ci choćby swą skrytą przyjaźń, wiedz, że możesz na mnie liczyć, Tyro.

Oczy Tyry zalśniły.

— Nie płacz — poprosiła ją Świętosława. — Albo dobra, płacz, jeśli ci to ulży.

Księżniczka przez chwilę powstrzymywała łzy, ale te wylały się z niej niczym rzeka wezbrana, gdy puszczają zimowe lody.

— Boję się go… — szlochała. — Jest nieobliczalny… Czy wiesz, co on zrobił przed laty w Jelling?

Świętosława otoczyła ją ramieniem nie dlatego, by miała taką potrzebę, ale wiedziała, że tak się robi, gdy kobiety płaczą.

— Spalił kościół! — wyrzuciła z siebie Tyra. — Sigrido, on kazał kowalowi przetopić i przekuć kielich mszalny na młot Thora, który nosił na szyi… Z oprawy Pisma Świętego kazał sobie zrobić pas potrójny… Jezu słodki…

— Ciii… nie tak głośnio, Tyro, ciii… Młota Thora już nie nosi na szyi. Podarował go mnie, a ja wywaliłam do Bałtyku. No już. Uspokój się. Sven nie zrobi ci krzywdy, jesteś dla niego zbyt cenna. Będzie cię trzymał w komorze, póki nie znajdzie dla ciebie dość dobrego męża… Oczywiście

nie traktuj tego dosłownie. Dobry dla Svena nie znaczy dobry dla ciebie, dziewczyno, ale to chyba rozumiesz?

Tyra wciąż łkała.

— …i jeszcze kazał sobie zrobić rękawice kryte żelaznymi płytkami… Matko Najświętsza! Tamtej nocy, gdy podpalił kościół, byli z nim oni wszyscy. Uddorm, Ragn, Hakon, Stenkil i Thorgils z Jelling… Pani, jak Thorgils mógł pozwolić na spalenie kościoła? Boże… I ja tam byłam… zaprosił mnie, by wymóc zgodę na odsunięcie od władzy ojca… On jest bezwzględny, pani… jak ty z nim wytrzymujesz?

— Uspokój się, Tyro. — Świętosława odsunęła ją od siebie i otarła jej łzy rękawem.

— Pani, pani… — zanosiła się szlochem Tyra — …nie ufaj im, to wszystko są poganie… kłamcy… udają przed tobą, że wyrzekli się starych bogów, a piją końską krew przez ogień…

— Starczy. Dziękuję ci, że podzieliłaś się ze mną tym, co wiesz, ale uspokój się, bo musisz wyjść do ludzi. Nawet litania kiedyś powinna się skończyć. Jak mogę ci pomóc? Skup się! — Potrząsnęła nią. — Jak ci pomóc?

— Pomóż mi uciec — wyszeptała Tyra.

— Nie. To byłaby zdrada króla.

— Więc skazujesz mnie na śmierć? — Oczy Tyry znów zaszły łzami.

— Nie becz! I nie graj mi na emocjach — skarciła ją niecierpliwie Świętosława. — Jesteś siostrą króla. Zachowuj się jak należy.

— Ale… — Tyra pokręciła głową, jakby nie rozumiała.

— Nie ma „ale”. Chcesz być traktowana jak księżniczka? To przestań się mazać. Więcej siły od ciebie ma karczemna dziewka, która uśmiecha się, gdy idzie do łoża z łotrem, a nad ranem wbija mu nóż w plecy. Opamiętaj się. Albo zagrasz, albo tobą będą grali, nie ma innych możliwości.

„Lubisz przegrywać?” — zapytała Arnora, plemienna królowa, przed ucztą. „Nikt nie lubi” — odpowiedziała jej Świętosława.

— A teraz odczekaj, nim wyjdziesz, aż twoja twarz przestanie nosić ślady łez. — Pogładziła ją czule po ciemnorudych włosach. — No, na razie wyglądasz jak mój mały Harald, gdy mu się na dłużej zabierze pierś. Odwagi, dziewczyno!

SIGVALD dał rozkaz przejścia na wiosła, gdy dopływali do Agdenes. Wchodzili na zdradliwe wody, gdzie pojawiający się ni stąd, ni zowąd wiatr potrafił roztrzaskiwać o skały łodzie zacumowane w spokojnych, zdwałoby się, zatoczkach. Obcy żeglarze, a on był tu obcy, jeśli nie musieli, nie wpływali na niebezpieczne wody Trondheimfiordu. Cumowano w Agdenes i przesiadano się na konie, by szybko dojechać do Lade. Dla Sigvalda ta podróż miała ukryte znaczenie. By dotrzeć do Lade, musiał przepłynąć obok zatoki Hjørung. Czarnej dziury, w której dwanaście lat temu stracił honor. Tak, uległ. Tak, odpłynął z bitewnych wód. Tak, poczuł na twarzy trupie tchnienie śmierci. Po dziś dzień topił w miodzie i ciele Astrydy mroźne, cuchnące wspomnienie tnących gradem chmur, które znikąd pojawiły się na letnim niebie. Był skwar, wrogie armie rozwinęły szeregi naprzeciw siebie. Łódź w łódź. Dziób w dziób. Grywał w hnefatafl i znał ponurą zasadę, że drużyna obrońców króla zwycięża częściej niż liczebniejsze piony drużyny najeźdźców. Wtedy miał to gdzieś. Jarl Hakon nie był królem, a duński król Harald zapłacił jomswikingom czystym srebrem za tę wojnę. Piony odwrócone. Przenicowane zasady gry. Jomswikingowie byli drużyną najemnych najeźdźców króla. Hakon był obrońcą królestwa bez korony. I wygrał, choć nieczysto. Do swych sił zaprzągł ciemne moce. Poświęcił jednego z synów, by nakarmić żarłoczne dusze mgły. Mgła i grad, to otoczyło wikingów z Jomsborga, gdy rozgorzała walka. A oni byli ćwiczonymi do boju żelaznymi chłopcami

z Jom i wzięli srebro, więc podjęli walkę z mgłą. Z jej mlecznej matni wyskoczyli berserkowie. Wojownicy bestie, którzy gołymi ramionami rozszarpywali wrogów. Gdy kolejny z jego druhów padł, gdy Sigvald zobaczył sunące poczerniałym niebem wojenne duchy, krzyknął: „Odwrót!”, bo chciał walczyć z wojownikami, a nie siłą zła. „Odwrót!”, to zawołanie ciążyło na nim po dziś dzień, jakby tylko on jeden widział w gradowej chmurze tamtą moc. „Tchórz” — szeptali potem o nim ci, którzy nie byli w zatoce Hjorungavagr, ale nigdy nie nazwał go tak żaden z jomswikingów, którym odwrót uratował życie. Tylko on wiedział, ile odwagi wymagał tamten rozkaz; wydał go, wziął złą sławę na siebie i z nikim się nią nie podzielił.

Tryggvason przyjął go nie w Lade, lecz w Nidaros, położonym na drugim brzegu rzeki Nid. Osadzie, którą zaczął stawiać od wybudowania kościoła, by zatrzeć pamięć pogańskich jarlów Lade i spalonej świątyni Odyna.

— Królu Olavie — skłonił się przed Tryggvasonem — jarl Sigvald z Jomsborga ma radość skłonić się przed twym obliczem.

Gdy uniósł głowę, musiał zmrużyć oczy. Za plecami króla wisiał zdobiony złotem krzyż, blask pochodni odbijał się od niego tak mocno, że na chwilę poraził oczy jomswikinga.

— Sigvald! — powiedział Olav. — Gdyby nie śmierć Geiry, bylibyśmy po dziś dzień szwagrami.

— Moja żona, Astryda, nie przestała opłakiwać siostry — skłamał Sigvald.

— Czyżby? — spytał król. — Sądziłem, że opłakaliśmy mrok jej odejścia w Gdańsku. Ale nie znam się na duszy kobiet. Być może robią rzeczy zakryte przed naszymi oczami.

— W tym ich urok — zaśmiał się Sigvald i przeszedł do rzeczy. — Przysyła mnie książę Burizleif.

— Tak więc mamy wieczór niedoszłych szwagrów! — zażartował Olav.

Sigvald zamarł i przetrząsał pamięć. Ach tak! To Bolesław mówił, że Olav i owdowiała Świętosława powinni zawrzeć przymierze. Czyżby Tryggvason znał te plany?

— Burizleif proponuje ci, panie, zemstę na Svenie.

— Mów wprost, jarlu.

— Małżeństwo z księżniczką Tyrą, siostrą Svena.

Nastała cisza. Wokół tronu Olava krążył biały, wielki pies. Siedzący przy nim surowy biskup zamyślił się.

— Sven nic nie wie? — spytał Olav.

— Nie. Księżniczka jest w jego niewoli, przez zaufanych ludzi szuka porozumienia z tobą, panie.

— Dlaczego siostra knuje przeciw bratu? — spytał chłodno biskup.

— Bo ten, jak wspomniałem, ją więzi. Poza tym panna Tyra jest chrześcijanką i szuka takiegoż męża, a twoja sława przekroczyła granice, królu.

Jest czujny jak głodny drapieżnik — pomyślał Sigvald. — I rozważny jak syty wąż.

Zapanowała cisza. Sigvald nie mógł się oprzeć wrażeniu, że król i biskup rozmawiają ze sobą ponad jego głową bez słów. Biały pies nie spuszczał z niego oka.

— Jak się miewa Astryda? — odezwał się wreszcie Olav.

Co cię to obchodzi?! — chciał krzyknąć Sigvald, lecz umiał odpowiedzieć dworsko:

— Dobrze, królu. Moja ukochana żona ma w tym zadaniu rolę do odegrania.

— Jaką? — zbyt szybko jak na wyczucie Sigvalda zapytał król.

— Będzie musiała wydobyć Tyrę z Roskilde.

— Dlaczego nie ty? — z pretensją w głosie zapytał Olav.

— Bo to ja więziłem Svena w Jom, gdy ty z Erikiem zdobywałeś Danię — wyniośle odrzekł Sigvald. — Ludzie króla nawet w środku nocy poznają mą twarz.

— Zapewnij Astrydzie ochronę, jarlu Jom. Takich kobiet, jak twoja żona, należy strzec. Są jasnością w brudnym świecie wojowników, w jakim żyjemy.

Tak, zgadzał się z nim. I mógłby wydrapać mu oczy z zazdrości o Astrydę, gdyby nie to, że przypłynął tu z misją.

— A jak sobie radzi Świętosława ze Svenem? — dopytał jasnooki król.

— Siostra mej żony ze wszystkim sobie radzi świetnie — odparł Sigvald. — Urodziła królowi syna, którego nazwali Harald. Imieniem starego króla, który zmarł na mych rękach w Jomsborgu. Mówią, że znów jest brzemienna, więc pewnie lada dzień Roskilde czcić będzie przyjście na świat kolejnego dziedzica dynastii Skjoldungów z Jelling.

— Dość — przerwał mu Olav, unosząc ramię. — Jest piękna pogoda, przejedźmy się na przystań. Pokażę ci statek, który budują moi szkutnicy, i opowiesz mi o Tyrze.

Sigvald nie mógł oderwać spojrzenia od Olava, gdy król wsiadł na wysmukłego konia. Rumak był biały i wyglądał zjawiskowo.

— Prezent od mego biskupa, Sigurda! — Tryggvason się uśmiechnął, widząc jego wzrok.

— Angielski koń. — Kiwnął z uznaniem głową Sigvald i pomyślał gniewnie: Biały koń, biały pies, białowłosy król, Biały Chryst. On i jego biskup wiedzą, jak uwieść maluczkich. Do tego ten zastęp zbrojnych ze srebrnymi krzyżami na piersiach. Robią wrażenie.

Tak było, ludzie, których mijali w drodze na przystań, kłaniali się Olavowi w pas i robili znak krzyża na widok swego władcy. Sigvald na

chwilę odpłynął w marzenia i wyobraził sobie, że to jemu się kłaniają.

W czym jestem gorszy od Olava? — pomyślał. — Nawet wielki Mieszko mnie bardziej cenił niż jego. Jemu dał za żonę tylko Geirę, wdowę po handlarzu niewolnikami z Bornholmu, a mnie dał Astrydę, wnuczkę Dalwina. Córkę, z którą dzielił się każdym swoim pomysłem, której ufał i którą szanował! Olav zaczynał jako niewolnik. Ciekawe, czy ma wypalone na ciele niewolnicze piętno? Co powiedzieliby ci prostaczkowie, widząc, że ich król nosi hańbiące znamię?

Dojechali nad fiord. Na surowej, równej skale stały rusztowania, a na nich smukły kadłub statku. Do pięknie wygiętej wręgi szkutnicy kończyli przytwierdzać deski poszycia.

— Przypomnij mi, królu, jak nazywał się tamten statek ze złotym wiatrowskazem — poprosił.

— „Kanugård”. Zasłużył na zimowe leże.

— „Kijów”! Ach, przypominam sobie, dostałeś go w prezencie od księżnej Allogii.

Trafił w czuły punkt, bo Olav nie podjął rozmowy o podarunku.

— Ten będzie się nazywał „Żuraw” — odpowiedział król.

— Piękne naczynko. Wielkie! Trzydzieści ławek, jeśli dobrze liczę.

— Tak. Sześćdziesięciu wioślarzy.

— Gorąco dziś. Miałbym ochotę popływać. Jest tu jakaś zatoczka?

— Jedźmy! — podchwycił Olav i jego pies ruszył przodem, jakby wiedział, dokąd się wybierają.

Zjechali z wysokich skał fiordu do ukrytej między głazami zatoki. Podprowadzili konie w cień zagajnika. Ludzie Olava zajęli się nimi. Sigvald pierwszy zdjął kaftan, potem koszulę.

— Słyszałem, że sprawdzasz swych chłopców, każąc im skakać po wiosłach — powiedział Olav, zdejmując ubranie.

— Tak. Nie ma tu łodzi, więc nie mogę ci pokazać swej ulubionej gry, ale jeżeli chcesz, możemy pobawić się w zapasy w wodzie — zaproponował Sigvald.

— Jeśli sprawi ci to przyjemność… — odparł bez uśmiechu Olav i podał kaftan jednemu ze swoich ludzi.

Sigvald mu się przyglądał. Na piersi nie widać było znamienia. Może na plecach?

Wbiegli do wody. Była potwornie zimna. Sigvald się zanurzył, zmoczył włosy i wyskoczył w górę, otrząsając się jak pies.

— Za zimna? — spytał Olav.

— W sam raz! Zaczynamy? — Okręcił się w wodzie, sprawdzając, czy ludzie Olava patrzą. Stali na brzegu z założonymi na piersi ramionami. Przez krótką chwilę poczuł niepokój. Czy nie był nierozsądny, udając się tutaj z nim i proponując pływanie? Był sam. Jomswikingów zostawił w Nidaros. Przy Olavie była dwunastka zbrojnych; gdyby chcieli, mogliby go… Otrząsnął się. Był posłem Bolesława, nie mogą mu nic zrobić.

Olav dał znak i zanurkował, Sigvald zanurzył się równie szybko. Pod wodą otworzył oczy. Zobaczył cień Olava płynącego w głąb zatoki; ruszył za nim. Zwykle potrzebował czterech, najwyżej pięciu ruchów ramion, by dogonić pod wodą pływaka. Tym razem zbliżył się do Olava dopiero po dwunastu. Złapał go za nogę, Tryggvason się zatrzymał i okręcił, chwytając Sigvalda w pasie i ciągnąc w dół. Jarl znał ten chwyt i potrafił się z niego oswobodzić potężnym wyrzutem nóg. Skończyło mu się powietrze, wyciągnął ramiona w górę, by wypłynąć na powierzchnię. Gdy się wynurzył, ludzie Olava krzyknęli:

— Sigvald!

Zaczerpnął tchu i rozejrzał się. Olav się nie wynurzył. W tej samej chwili poczuł pociągnięcie za nogi. Tryggvason wciągał go w głębinę. Sigvald

znów kopniakiem uwolnił się od jego ramion i chciał przejść do ataku, lecz Olav był szybszy, przepłynął za nim i od tyłu złapał go za gardło. Sigvald nie mógł ani uwolnić się od tego żelaznego uścisku, ani nawet złagodzić jego siły. Szamotał się i dusił. W końcu uniósł ramię, prosząc o przerwę. Olav natychmiast go puścił. Sigvald wypłynął i zaczerpnął tchu. Rozkaszlał się, ale usłyszał krzyk z brzegu.

— Kto?

— Znów Sigvald!

Nie mogąc przestać kaszleć, obrócił się dookoła. Olav nie wypłynął. Co jest, u licha? Jeszcze mu nie zabrakło powietrza?

Sigvald szybko się zanurzył. Przez chwilę nic nie widział, kręciło mu się w głowie. Potem go zobaczył. Olav płynął z dołu, od dna, z wyciągniętymi w górę ramionami, jak strzała wypuszczona z łuku. Sigvald w ostatniej chwili uchylił się przed atakiem Tryggvasona. Wystrzelił w górę, uciekając, i choć tego nie chciał, wynurzył się.

— Kto?

— Sigvald po raz trzeci!

— Wygrał król!

Wściekle uderzył ramionami w wodę. Chciał upokorzyć Olava, w Jom nie było lepszego gracza niż on!

— Tryggvason, wynurz się, już wygrałeś! — krzyknął ze złością i rozejrzał się. Olav nie wypłynął. Przez chwilę w głowie Sigvalda zakiełkowała cudowna myśl: utonął. Ale wtedy zobaczył, że ludzie na brzegu wyciągają ramiona, wskazując w dal.

— Tam! Tam jest nasz król!

Olav wypłynął daleko w głębi zatoki. Sigvald nie czekał na niego, popłynął do brzegu i wyszedł.

— Nie przejmuj się, jarlu Jom — powiedział do niego jasnowłosy skald. — Z naszym królem nikt jeszcze nie wygrał, a ci, którzy wiedzą, jak pływa, nigdy nie podejmują z nim gry. Byłeś bardzo odważny, że zaproponowałeś zapasy w wodzie Olavowi.

Sigvald syknął, wyciskając włosy. „Jeśli sprawi ci to przyjemność” — tak powiedział Tryggvason, gdy on zaproponował zabawę. Dałem się podejść jak dziecko.

— Nasz król pływa jak ryba. — Drugi pokiwał głową i się przeciągnął, ziewając.

Sigvald zobaczył, że ten człowiek ma malowane kły.

— Jak cię zwą, berserku? — spytał, zaciskając szczęki.

— Varin, jarlu.

To nie on — odetchnął w duchu Sigvald. — Tamtego wołali Gerhard Jaszczur, a jego obraz prześladował Sigvalda od czasu bitwy w zatoce Hjørung. Łysy berserk, który z nagą piersią szedł w bitewnym szale po burcie łodzi, rozrywając gołymi rękami jego ludzi na strzępy. To nie on.

— Od dawna przy Olavie? — zapytał Sigvald, uspokajając oddech.

— Od samego początku. Pływaliśmy razem po Dnieprze. Pamiętam króla, gdy był chłopcem, przerażał nas, doświadczonych żeglarzy, kiedy wskakiwał w kipiel porohów. — Oczy Varina zalśniły. — O, idzie nasz król!

Zostawił Sigvalda, jakby nie rozmawiał z nim wcześniej, i pobiegł do Olava. Jarl przełknął zniewagę i ruszył do nich.

— Gratuluję ci, królu! Nigdy nie grałem z takim przeciwnikiem! — Wyciągnął do niego rękę.

Olav uśmiechnął się i odwzajemnił uścisk. Wziął od Varina łańcuch z krzyżem i założył na nagą pierś.

— To opowiedz mi, jarlu, jak wydobędziemy z Roskilde moją narzeczoną? — spytał, wyciskając wodę z włosów.

— Wysłałem twego dawnego przyjaciela, Geivara, który dzisiaj jest u mnie wodzem domu zwiadowców. Popłynął do Roskilde jako kupiec i ma znaleźć sposób na bezpieczne wyprowadzenie Tyry spod czujnych straży brata. To nie będzie łatwe, ale jomswikingowie lubią trudne zadania.

— Powinienem sam popłynąć po żonę, ale wiem, że to by zburzyło cały plan. Sven zna też wielu z moich ludzi, walczyliśmy wspólnie w Anglii.

— Dziwne są koleje losu — uśmiechnął się Sigvald. — Najpierw porwałem Svena, teraz mam porwać jego siostrę.

— On porwał kobietę, którą ja chciałem poślubić — gniewnie rzucił Olav i Sigvald w końcu zobaczył, że jasnowłosego można wyprowadzić z równowagi.

— Dlatego książę Bolesław wiedział, że ten plan przypadnie ci do serca.

— A ona? — spytał Olav. — Jak wygląda kobieta, którą Bolesław widzi jako mą żonę?

— Nie spotkałem jej, panie. Mówią, że wysoka, smukła, nie tak ruda jak Sven. — Zaśmiał się szeroko i wskazał na swój nos. — Mówią też, że podobna do mnie jak siostra.

— Zatem wiecznie obracamy się w kręgu sióstr — powiedział Olav i odwrócił się, by wziąć z rąk skalda koszulę.

Tak. Jest. Sigvald zobaczył na łopatce Olava wyraźny czarnosiny znak. Jak odcisk kurzej stopy. Tryggvason wciągnął koszulę przez głowę i sięgnął po spodnie. Sigvald zerknął na jego ludzi. Czy widzieli niewolnicze piętno? Niemożliwe, by go nie spostrzegli. Są z nim od tylu lat. Ale na twarzy żadnego z nich nie było śladu wzburzenia.

Olav zakładał pas, żartował z ludźmi. Bawił się z psem.

Byłeś niewolnikiem, nosisz piętno, a dzisiaj jesteś królem i oni cię uwielbiają, służą ci. Dziwne są koleje losu i kto wie, ile razy się jeszcze odwrócą — pomyślał Sigvald.

— Królu, pozostaje kwestia posagu Tyry — wrócił do rozmowy, gdy wsiedli na konie. — I wiana dla niej. Ponieważ, jak obaj wiemy, sprawa jest delikatna, a nikt by nie chciał, żeby Sven mógł podważyć ważność waszego ślubu, podnosząc sprawę niezapłacenia za żonę, książę Bolesław ma pewien pomysł.

— Mów — zachęcił go Olav.

— Masz ponoć angielskich mincerzy, tak?

SVEN nie miał pretensji, że jego królowa nie wzięła udziału w zaślubinach małej Gydy i Erika, owszem, żałował, że jej nie ma, ale zdrowie ciężarnej żony było dla niego ważniejsze. Była w drugiej ciąży, więc znów stała się jego Sventoslavą. Harald silny i zdrowy stawiał pierwsze kroki, a tu, jak twierdziła Melkorka, lada dzień narodzi się drugie dziecko. Nie miał wątpliwości, że znów będzie syn. Heidi Kózka, piastunka Haralda, mówiła:

— Już rwie mnie w piersiach, już czuję, że nadchodzi drugi żarłoczny królewicz! Bo będzie chłopak, jak nic. Pani wygląda pięknie jak jutrzenka i brzuch ma spiczasty, to jak nic, mówię, że będzie syn.

Łapał się na tym, że on, krwawy Sven, słuchał bab. Łapał się i na tym, że potrafi cały wieczór gapić się na Sventoslavę jak jakiś głupi, zakochany młodzian. Gdyby tylko jego słodka żona nie wtrącała się do spraw królestwa, gdyby nie to, że zwykle miała odmienne zdanie, układałoby się im doskonale.

Przymykał oko na to, że spotyka się z jego siostrą, Tyrą.

— Wspólnie uczestniczymy we mszy! — odparła i tupnęła, gdy zwrócił jej na to uwagę. — A ty, zdejmując z szyi młot Thora, obiecałeś, że…

— Dobra — machnął ręką. — Daj spokój! Wystarczy, że dwa razy do roku chodzę do kościoła.

— Nie wystarczy — oznajmiła mu. — Erik był zatwardziałym poganinem, a mimo to wybudował mi w Sigtunie kaplicę. Ty, jako chrześcijański król, powinieneś fundować kościoły. Stać cię.

— Ile? — skrzywił się.

— Im więcej, tym lepiej! Przynajmniej po jednym na każdą ze swych ziem.

— Pytałem, ile mam ci dać?

— A czy jestem budowniczym, bym wiedziała, ile to kosztuje? Ja jestem twoją królową i wskazuję: jeden w Skanii, drugi na Fionii, trzeci na północy Jutlandii, aby nie było, że tam jest tylko Ribe i twój wróg, biskup Oddinkarr, no i nasz w Roskilde trzeba rozbudować. To wstyd, żeby był niewiele większy niż szopa na łodzie.

— Zrujnujesz mnie. Po co nam tyle kościołów? Kto tam będzie chodził?

— Wierni. Trzeba sprowadzić więcej kapłanów z Anglii. Rozmawiałam z Wulfrikiem, podejmie się misji.

— Jakiej misji? — Był trochę oszołomiony jej zapałem.

— Najpierw sprowadzenia duchownych, a potem chrystianizacji. No co tak patrzysz, mężu? Wolisz, żeby przyszli tu Sasi z wyprawą na duńskich pogan? Cesarz Otto marzy o wyczyszczeniu Europy z niewiernych, zobacz, co wyprawia na Połabiu. Książę Bolesław, mój brat, wysłał do Prus biskupa Wojciecha, by zaniósł słowo Boże między tamtejszy lud, a ty siedzisz w Roskilde, ucztujesz ze swymi jarlami i przepijasz swój najlepszy czas.

Skarcił ją za tamtą wypowiedź, pokłócili się, nie odzywała się do niego kilka dni i przekazała przez Wilczana, że jeżeli chce się z nią spotkać, ma przyjść na mszę.

Poszedł, choć to było wcześnie rano. Najpierw myślał, że jest jeszcze pijany; poprzedniego wieczoru zasiedział się, a że nie mógł spędzić z nią nocy, bo się gniewała i ustawiła rysie pod drzwiami, zasiedział się i upił. W drugiej chwili, gdy był bliżej kościoła, pomyślał, że jeszcze śni. I dopiero gdy podszedł całkiem blisko i roztarł powieki, zrozumiał, że to nie sen.

Dwunastu jego toporników klęczało na zewnątrz kościoła. Wokół nich spory tłum, do środka nie było jak wejść, upchane ludźmi, że musiał się przeciskać. Przed samym ołtarzem jego żona, a obok niej Gjotgar, młody jarl ze Skanii, i jego siostra, Tyra. Ledwie się do nich dopchał.

Gdy wreszcie skończyła się msza, Tyra opuściła kościół bez słowa, otoczona przez toporników, którzy powstawali z klęczek. Jego żona zwróciła się do niego z uśmiechem.

— Jarl Gjotgar powiedział, że chętnie dołoży się do budowy kościoła w Skanii, jeśli króla Svena nie będzie na to stać.

— Spóźniłeś się, jarlu — burknął do niego. — Już wydałem dyspozycje. I srebro.

Gjotgar był od niego młodszy. Wysoki, gładko ogolony, o zwinnej sylwetce.

— To świetnie! — oświadczyła jego żona. — I niech to będzie Lund. Lund w Skanii. No to chodźmy.

Pomyślał wtedy, że jeżeli ufundowanie kilku kościołów ma skończyć swary w ich życiu rodzinnym, jest to dobra cena. Nie przewidział wówczas, że żona ma zamiar ściągać z niego taki trybut nieustannie.

— Chrześcijański król — tłumaczyła mu — nagradza swych poddanych, gdy przyjmują chrzest. Daje im prezenty.

— Do tej pory chrześcijańscy królowie Anglii dawali prezenty mnie! — zbuntował się.

— Odróżniaj okup od prezentów, mężu! Płacili ci, bo widzieli w tobie dzikiego wikinga, barbarzyńcę.

— Nie jestem dzikusem — żachnął się.

— Pokaż to światu! — oświadczyła i znów zaczęła wyliczać, na co ma wydać srebro.

Ustąpił, bo była brzemienna. Nieprawda, ustąpił, bo słyszał, co mówią kupcy wracający z Norwegii. „Olav Tryggvason, chrześcijański król". Nie pozwoli sobie na to, by w oczach świata wypaść gorzej niż „drugi wódz".

Z każdym rokiem wzrastało w nim poczucie, że Tryggvason z niego kpi. Wzięcie pełnej władzy w Norwegii, tytułowanie się królem, wszystko to było wyzwaniem rzuconym Svenowi. Jakby tamten Srebrny Ole sprzed lat mówił mu: „I co mi zrobisz, rudowłosy druhu?". Sven czuł, że powinien coś zrobić, ale skuteczny mógł być jedynie podbój, a na to nie chcieli się zgodzić jego wodzowie.

„Pamiętamy klęskę jomswikingów w zatoce Hjørung — mówili. — I pamiętamy, że wysłał ich tam twój ojciec, Harald, a wraz z nimi popłynęło wielu naszych chłopców. Nie wrócił prawie nikt". Nie popłynie na wyprawę, jeśli wodzowie nie dadzą mu wojsk; póki co musi się zadowolić przebiegłą strategią Thorgilsa z Jelling — osaczaniem Olava. Wydał Gydę za młodego Erika, osadził ich oboje w Skanii i planował kolejny ruch.

— Królu! — Jorun przerwał mu rozmyślania. — Przybyli kupcy z Yorku. Przywieźli świetną broń, naprawdę dobra stal.

— Gruby Edwin? — domyślił się Sven. Edwin znał jego słabość do angielskiej broni i dwa razy do roku odwiedzał Roskilde.

— Nie. Jakiś nowy, nazywa się Morcar, a jego ludzie mówią na niego „Morcar Żaba".

— Co?

— Przezwisko, jak zwykła mówić nasza pani, „z tych, co widać”. Pysk ma paskudny.

Poszli do portu. Kupca rozpoznał bez podpowiedzi. Wyłupiaste oczy, olbrzymie usta, płaski nos. Morcar Żaba.

— Dlaczego nie przypłynął Edwin? — zapytał Sven, gdy Żaba już się przedstawił i pokłonił.

— Mam nadzieję, królu, że gdy zobaczysz mój towar, przestanie cię interesować, co przywozi Edwin. W Yorku jest nas wielu, a dla Edwina wcale nie pracują najlepsi kowale. Mistrzowie kują dla Morcara Żaby.

— Pokaż — rozkazał Sven.

Kupiec najpierw kazał wynieść pięknie rzeźbione krzesło z oparciem dla króla. Gdy Sven się rozsiadł, poczęstowali go winem i jego ludzie zaczęli przynosić skrzynie.

Miał nie pić, obiecywał sobie nic nie kupować po pijaku, więc sączył, ale wino było naprawdę dobre, a Jorun stał za nim i go pilnował. Liczył każdy łyk.

Już przy nożach wiedzieli, że Żaba nie łże. Ostrza były świetnie wyważone, a rękojeści do wyboru! I z poroża, i z kości, i zdobione srebrem.

Będzie drogo — pomyślał Sven — ale warto!

— Co myślisz, Jorunie?

Przyjaciel pochylił się i szepnął mu do ucha:

— Nie pij więcej. Oceniaj na trzeźwo.

— Pytam, czy warto. — Sven podał mu nóż.

Jorun go chwycił.

— Pasuje, jakby robiony do mojej ręki — pochwalił i rzucił nim w wieko czekającej na otwarcie skrzyni.

Nóż pięknie obrócił się w locie i wbił w drewno tak lekko, jakby wchodził w masło.

Cmoknęli obaj i odłożyli nóż do pustej skrzyni, którą zmyślny Żaba postawił u ich nóg.

Potem były miecze, i tu wybierali najdłużej; zeszło im też przy toporach, bo Morcar miał kilka typów żeleźców. Proste, brodate, do osadzenia na długim stylisku i zwykłe, do miotania, tyle że wykute z wyjątkowo dobrej stali. Miał i wielkie dwuręczne z wąsami przy osadzie, do zagięcia i wbicia w stylisko, co dawało ostrze, które nie spadnie z drzewca nawet przy najcięższej walce. Były i topory zdobione zręcznym, angielskim wzorem. Srebrna blacha z ornamentem u nasady żeleźca. I cudo, o którym pomyślał, że spodobałoby się jego pani żonie. Mordercze, szerokie ostrze, w którym po wykuciu wycięto krzyż. Kazał zawołać swych toporników i pozwolił im wybierać. Ci jednogłośnie pokazali na krzyżowy topór.

Zaczął zapadać zmrok, więc kupiec z Yorku kazał zapalić pochodnie. Sven się przeciągnął.

— Skończymy jutro, nie mam w zwyczaju kupować po ciemku. Wyceń to, co wybrałem.

Morcar postukał palcem w woskową tabliczkę, na której cały czas odznaczał odłożony dla Svena towar.

— Trzydzieści funtów — oznajmił.

Sven się skrzywił. Tej chwili nie lubił. Ale przecież nie może podrzynać gardeł kupcom, bo nikt nie zawinie do jego portów. Poza tym, tak nie postępuje chrześcijański król.

— Nie pomyliłeś się? — spytał Żaby Jorun. — Trzydzieści funtów to masa srebra!

— Nie, przyjaciele. — Mina Morcara wyglądała tak, jakby naprawdę się martwił tym, że tyle zarobi. — Trzydzieści funtów. Choć może byłoby inne rozwiązanie… — Podrapał się stylusem za wielkim odstającym uchem i cmoknął obrzydliwie.

— Nie cmokaj, tylko mów! — pogonił kupca Jorun, który wiedział, że Sven nienawidzi takich odgłosów.

— Edwin ostatnio przywiózł z Roskilde denar w srebrze z napisem ZVEN REX DENER. Okropnie się nim chwalił i rozzłościł mnie tym. Gdybyśmy przeliczyli królewskie zamówienie z grzywien na takie denary, spuściłbym z ceny.

— Głupek z ciebie, choć masz świetne ostrza i stal — skarcił go Sven. — Takimi denarami się nie płaci, to jak pieczęć króla. Edwin dostał ode mnie jednego w prezencie.

Morcar Żaba liczył.

— Jakby król Sven dał mi garniec tych denarów w prezencie, to ja bym królowi Svenowi oddał za darmo wszystko, co wybrał — oświadczył i znów cmoknął.

— Weź go ucisz, bo zabiję! — obrzydził się Sven.

— Nie cmokaj — rzucił Jorun.

— Proszę o wybaczenie. — Żaba niezgrabnie się ukłonił. — Jak liczę, to mi się tak samo cmoka. Już nie będę, przeliczyłem. Proszę, by król zechciał pomyśleć przez noc o mej propozycji. Można przecież wrzucić garniec denarów na wagę i sprawdzić, jak to się ma do trzydziestu funtów. Zapewniam, że moja propozycja jest uczciwa.

Sven na odchodnym zerknął do skrzyni. Piękne ostrza. I ten krzyż w żeleźcu.

Wieczorem chciał zajrzeć do żony i natknął się na Melkorkę wychodzącą od niej oraz dwa rysie leżące pod drzwiami.

— Król nie ma co się tam wybierać — oświadczyła gospodyni. — Pani będzie rodzić lada dzień.

— Mówisz tak od tygodnia! — zezłościł się.

— Jeśli się król na rodzeniu zna lepiej — fuknęła stara — to niech sam urodzi! Ja się królowi do wojowania nie wtrącam.

— Kolację przynieś — odgryzł się Melkorce i w tej samej chwili pożałował. Wczoraj podała przypaloną kaszę, tłumacząc, że nie ma czasu na kuchnię, bo zajęta przy pani.

— Od dziś gotuje Vali — oznajmiła z satysfakcją. — Pani powiedziała, że potrzebuje mnie przy dzieciach. Haralda będę pilnować i nowego dziecka też. To dużo ważniejsze niż kuchnia.

Gdy jasnowłosa Vali przyniosła wieczerzę, do halli zeszło się sporo ludzi, wszystkich przywabił zapach pieczeni. Wielki Ulf, stróż jego żony, i mały Wilczan jedli, przekrzykując się:

— Dobre jak w Sigtunie!

Sven po raz pierwszy od dawna naprawdę nasycił głód. I nie pił wiele. Gdy Melkorka przemknęła przez hallę, zerkając w już niemal puste miski, powiedział jej:

— Tak się cieszę, że zajmiesz się naszymi synami!

— A jak druga będzie córka? — puściła do niego oko niemal swawolnie, ukazując w uśmiechu dziurę po przednim zębie.

Jorun przysiadł się, nie wypuszczając z garści pieczonej nóżki, i powiedział:

— Zostały nam cztery garnce svenów. Jeden waży tyle co piętnaście funtów, więc zyskujemy pół ceny. Biorąc pod uwagę, że każdy kupiec zawyża wartość, tak czy inaczej zyskujemy przynajmniej kwartę.

— Warto. Mincerz nam później svenów dorobi. Co ty tak trzymasz tę nogę? Boisz się, że ktoś ci ją ukradnie?

— Nie ktoś, królu, ale ty. — Jorun wyszczerzył zęby i wpakował sobie gęsią nogę do ust.

Nazajutrz znów poszli na przystań. Był dzień targowy i w całym Roskilde panował rozgardiasz. Kupcy ciągnęli wózki z towarem, ich służba rozkładała kramy. W porcie było jeszcze gwarniej, bo łódź za łodzią przypływali rybacy z połowem. Morcar Żaba rozpromienił się na ich widok.

— Tak wcześnie?! Król raczył przemyśleć propozycję skromnego kupca z Yorku?

— Z Yorku znam tylko bezczelnych, pewnych siebie i łapczywych na srebro — przywitał się z nim Sven. — Mam dla ciebie garniec denarów, nie martw się. Jorunie, pokaż panu Żabie, że spełnimy jego marzenia. Ale Morcar Żaba musi nam coś dorzucić, żeby się zgadzało. Coś naprawdę ładnego. Chryste, tylko nie cmokaj, człowieku! Przeliczaj po cichu, bo nic mnie tak nie brzydzi jak cmokanie i chrapanie.

— Jeszcze gnicie — przypomniał mu Jorun, rozsiadając się. — Gnicie króla brzydzi, więc jak masz coś gnijącego, to nie pokazuj.

— Już pędzę! — Żaba odwrócił się i wszedł na łódź, gdzie krzykliwie ponaglał załogę, by wynosiła kufry. Po chwili był z powrotem.

— Czy skrzynię z wczoraj wybraną bronią kazać zanieść do królewskiego dworu?

— Tak.

Była tak wielka i ciężka, że dźwigało ją czterech ludzi. Ze statku Żaby po trapie zbiegła dziewczyna, dygnęła przed Svenem i pobiegła dalej, w stronę rzemieślniczych kramów.

— Moja córka — powiedział Morcar Żaba do jej znikających w tłumie pleców.

— Taka ładna? — zdziwił się Jorun.

— Ja też się dziwię, co dzień od siedemnastu lat.

— Ma tylko siedemnaście lat? Wygląda na więcej. — Sven miał natrętne wrażenie, że widział gdzieś tę dziewczynę. Czy to możliwe, że w Anglii z nią spał?

— Żona mówi, że to moja córka — ciągnął kupiec. — I że taka ładna po niej. Możliwe, dziewczyna jest skąpa jak ja, tyle że niemowa. Ani mru-mru, nic. Liczyć ją na tabliczce nauczyłem, to liczy, ale nie mówi, tak więc bez urazy, że się nie przywitała. Ale owszem: urodę niby ma po żonie, ale moja jest gaduła, i to jaka! To ja się pytam: jak to możliwe, że urodę wzięła, a głosu nie?

— Ty się, Żaba, nie pytaj — poradził mu ze współczuciem Sven. — Ty pomyśl, co by było, jakby urodę po tobie, a gadulstwo po żonie?

— A na to żem nie wpadł, królu Svenie. Jak to dobrze z mądrym pogadać! I jaka szkoda, że dzisiaj odpływać muszę. No, na kupca czas. Do południa się sprawimy?

— Mówisz, że twoja żona gaduła? — zaśmiał się Sven i machnął ręką, by kupiec przeszedł do rzeczy.

— To co ja dzisiaj pokażę? Proszę, Kris, podaj no skrzynkę wartą pół królestwa! Ozdoby. Zapinki srebrne i pozłacane, angielska robota. Orły w locie, chwytające orły, sokoły i niedźwiedź, ryba i orły…

Ludzie, których Morcar wysłał, by odnieśli broń, zdążyli wrócić. Skrzynię zanieśli na statek. Sven zerkał, czy nie wraca córka kupca, bo nie mógł się uwolnić od wrażenia, że ją zna. Ale z żadną niemową nie spał, a przynajmniej nie pamiętał tego. Dziewczyna jednak się nie pokazała. Gdy rozbrzmiał dzwon, który musiał kupić na życzenie królowej i który co dnia w południe na chwałę Boga obsługiwali jego topornicy, Sven kończył wybierać klejnoty. Morcar wspaniałomyślnie potraktował je jako dodatek do broni, wziął garniec svenów i czule odniósł na łódź. Wrócił z dzbanem

wina, by uczcić udany targ, ale w tej samej chwili przybiegła zdyszana Heidi Kózka.

— Panie!… Pani… Panie!…

Sven się zerwał.

— Co z moją żoną? Czy coś się stało?

— Pani… Panie… — dyszała Kózka.

— Mów, bo zabiję!

— Syn! — wykrzyknęła. — Jest syn!

ŚWIĘTOSŁAWA urodziła go lekko. Tak lekko, jakby był ptakiem. Wody odeszły jej późnym rankiem. Wrzask zaskomlał przeciągle, Zgrzyt spojrzał na nią złotymi ślepiami i polizał kałużę, w której stała.

— Dusza, idź po Melkorkę, powiedz jej, że to już.

Gdy Duszka zniknęła, zaśmiała się. „Powiedz jej”… Nie czuła bólu, nie zaczynały się skurcze. Chodziła wolnym krokiem wokół łoża. Melkorka była w mgnieniu oka i oszczędziła jej zastępu panien, przyszła tylko z Kózką.

— Królewicz Harald bawi się z Hildigun. Król z kamratami poszedł do portu kupować broń. We dworze pusto. Możesz krzyczeć, moja pani, ile zechcesz — zameldowała Melkorka.

— Właśnie nie chcę — odpowiedziała jej zdziwiona Świętosława, patrząc, jak Kózka wprawnie rozstawia ceber z wodą, płócienne szmatki, kompresy i nóż. Gdy zerknęła na nóż, zaczęło się.

— Dusza! — wyszeptała, gdy minął pierwszy skurcz. — Znajdź damasceński nóż, który kupiłam przed laty na Wolinie. Chcę, by to był ten nóż. Zawsze chciałam przeciąć nim pępowinę, ale Olof i Harald tak dali mi w kość, że nie miałam do tego głowy.

— Położysz się, pani? — spytała Melkorka.

— Jeszcze nie. Jeszcze się należę.

— Wino czy miód?

— Wino. Tyra miała się rano pomodlić o szczęśliwe rozwiązanie. Czekaj! — Nie wzięła kielicha od Melkorki, bo przyszedł kolejny skurcz. Złapała się oparcia krzesła, pochyliła, oddychała. Fala bólu odpłynęła. — Daj mi pić!

Drugi łyk wina rozlał się ciepłem po jej ciele.

— Chłopak czy dziewuszka — pisnęła Kózka — no nie mogę się doczekać. A pani co by wolała?

— Mam dwóch synów, dwóch królów — szepnęła Świętosława, bo nadchodził skurcz. — Chciałabym mieć córkę, auu…

— Ja to wykarmiłam tuzin chłopców i tylko jedną dziewczynkę — chwaliła się Kózka. — Więc jakby mnie kto pytał, to też bym wolała córkę.

— Pani… — W głosie Melkorki zabrzmiał lęk. — Martwię się, że nie krzyczysz. Przy Haraldzie, za wybaczeniem, się darłaś. Czy skurcze nie są za słabe? Wody odeszły, musisz urodzić szybko, bo dziecko się w tobie zadusi.

— Słabe? Nie. Są mocne, ale nie bolą jak tamte…

— Jedna znajoma mówiła mi, że jej ciotka, też wieloródka jak nasza śliczna pani — wtrąciła się Kózka, gestykulując żywo — to przy którymś dziecku miała bezbolesne skurcze. Tak sobie właśnie stała i rodziła, rodziła, gawędziła z tą moją znajomą, albo zaraz… nie… z jej matką, bo to były siostry, i urodziła martwe dziecko. Właśnie bezboleśnie.

Dusza syknęła, ale Kózka się nie zorientowała. Dopiero jak Melkorka postukała się w czoło i zrobiła do niej minę, to Heidi zrozumiała niestosowność opowieści. Zarumieniła się, ale po chwili wróciła jej potrzeba gadania.

— Znowuż inna znajoma, z takiej wioski koło Lejre, to urodziła przez sen. Normalnie nic nie poczuła, że rodzi. Obudziła się rano, a jej dziecko, to był akurat syn, ssał już pierś.

— Tyś się chyba upiła! — ofuknęła ją Melkorka. — Co za bzdury opowiadasz?

Świętosława jęknęła, bo wreszcie dopadł ją skurcz tak mocny, jakby dziecko uderzyło w spojenie łona głową.

— Kładź się, pani, już czas! — zaordynowała Melkorka.

— Daj wina, jeszcze postoję!

Upiła łyk, drugi i kolejny skurcz wytrącił jej kielich z ręki. Wydawało jej się, że słyszy brzęk łańcuchów. Zgrzyt uniósł łeb i zastrzygł uszami.

— Dusza, otwórz drzwi. Arnora idzie do nas! — powiedziała Świętosława.

Ryś jak na zawołanie ruszył do wejścia.

— Nie! Nie wpuszczajmy jej tu! — zaprotestowała Melkorka. — Pecha ci przyniesie, zły los!

— Nie jestem przesądna. Nalej mi jeszcze wina.

Świętosława stała oparta ramionami o krzesło, bokiem do drzwi. Musiała unieść i odwrócić głowę, by zobaczyć Arnorę.

— Wejdź — powiedziała, widząc, iż plemienna królowa zatrzymała się w drzwiach. — Zapraszam cię. Rodzę.

Dusza podała ramię Arnorze i podprowadziła ją do ławy. Stara usiadła, a złotooki Zgrzyt położył się u jej stóp. Wrzask warował przy Świętosławie.

— Jeśli znasz jakieś ciekawe historie, opowiedz nam, bo Heidi klepie, co jej ślina na język przyniesie. Melkorko, daj jej wina.

— Opowieści mego rodu są piękne i smutne — powiedziała Arnora. — Jeden z mych przodków, znieważając śluby złożone swej żonie, zakochał się w morskiej czarodziejce, z którą spłodził potwora…

— Maryjo Przenajświętsza — jęknęła Melkorka.

— Ach… — Świętosława nabrała powietrza, by przetrwać skurcz.

— Masz rację. — Arnora kiwnęła srebrną głową. — Opowieść o Grendelu nie jest najwłaściwsza w czas narodzin. Syn, którego rodzisz…

— Myśmy chciały córkę! — pisnęła z pretensją Kózka i zamilkła.

— …spłodzony jest z węzła…

— Wina! — krzyknęła Świętosława.

Tak było. Jednego wieczoru znów się pokłócili, ale nim uczta dobiegła końca, Sven więcej nie nazwał jej Gunhildą, a ona, by rozładować złość, wiązała węzły na rogu jedwabnej chusty. Potem spytał, czy go odwiedzi; zgodziła się. Wielki Ulf i Jorun zaprowadzili ją do alkowy męża. Spytał, czy poda mu chustę. Usiadł na brzegu łoża i jeden po drugim rozwiązywał supły, które zawiązała na uczcie. „Gdyby nasze kłopoty można było tak samo…” — powiedziała. „Wiesz, Sigrido — odparł. — Gdy się na mnie wściekasz, jeszcze bardziej cię pragnę, ale chciałbym kiedyś dostać od ciebie taką zwykłą miłość. Mężczyźni mają różne fantazje. Moją jest zwykła miłość”. I razem zrzucili ubrania, weszli do łoża i po prostu się kochali. Ona nie odgrywała się na nim, on nie pokonywał na jej ciele Erika. Została z nim do rana; zasnęli razem, choć nigdy tego nie robili. Obudziła się okryta jego długimi, rudymi włosami. Potem śmiali się ze zwykłych rzeczy, pomógł jej zasznurować suknię, zjedli razem śniadanie. Na chwilę zaświtała jej w głowie myśl, że mogłaby go polubić. Ale wieczorem znów ścięli się o coś, aż poszły iskry, i więcej nie pozwoliła mu się tknąć. Potem okazało się, że jest brzemienna, pod jej drzwiami służbę zaczęły pełnić rysie.

— Rodzisz jak dawne królowe — powiedziała Arnora. — Kiedyś kobiety nie leżały w łożu. Rodziły, stojąc, kucając albo siedząc na królewskim krześle. — Pociągnęła łyk wina i pogłaskała po łbie rysia. — Na krześle

jest niewygodnie — skrzywiła się. — Lepiej stać. No, wreszcie się zaczęło. Harda Pani, trzymaj się. A któraś z was na podłogę, odebrać dziecko!

Miała rację. Zaczęło się. Skurcz gonił skurcz.

— Dusza! Rozetnij moją koszulę — poprosiła.

— Będziesz naga! — oburzyła się Kózka. — A, właściwie tu same kobiety, ino te rysie chłopcy…

Zaczęły się śmiać, wszystkie, jakby głupia uwaga Kózki była najlepszym żartem.

Świętosława jęczała i śmiała się jednocześnie. Melkorka leżała na plecach, między jej nogami, wyciągając ręce i rechocząc do łez. Arnora piła wino.

— Widzę główkę! — dała znać Melkorka. — Przyj, królowo, przyj!

Zacisnęła palce, aż wbiły się w drewno. I powieki, bo tak jej było lepiej. Przyszedł do niej nie wiadomo skąd obraz tak dawno niewidzianej siostry, Astrydy. I był jak dobry znak.

— Wychodzi! Przyj!

— Poczęty z węzła! — krzyknęła Arnora. — Do nas przyjdź!

— Przyj!

— Synu królowej, do nas przyjdź!

— Przyj!

— Królu Północy! Teraz przyjdź!

— Przyj!

— Leci! — pisnęła Kózka. — Jak ptak!

— Jest! — jęknęła Melkorka.

— Narodził się król!

— Chłopiec, zdrowy, rudy — zameldowała Melkorka spomiędzy jej ud. — Dusza, ratuj, bo nie wstanę. Pierwszy raz odbierałam poród na plecach.

Duszka uklęknęła przy niej i uniosła dziecko na tyle, na ile pozwalał sznur pępowiny wciąż łączący je z łonem.

— Przekręć je głową w dół — nakazała Arnora, gdy Melkorka gramoliła się, by wstać. — Stuknij w plecy, niech odkrztusi.

Wrzask zaskomlał. Dziecko odezwało się cicho. Olof darł się od pierwszej chwili. Harald wrzeszczał ile sił. A ten tylko zakwilił.

— Dusza niech trzyma dzieciaka, a królowa raz-dwa urodzi łożysko. — Arnora przejęła komendę, nie wstając z ławy.

Miała rację; łożysko z ciepłym chluśnięciem wypłynęło na podłogę.

— Dajcie mi go! — zażądała Świętosława.

— Najpierw się połóż, bo zakręci ci się w głowie.

Kózka podała jej ramię i pomogła przejść do łoża.

— Może następna będzie córka, co? — westchnęła smutno. — Chyba że nasza pani zamierza urodzić cały zastęp.

— Mój nóż — powiedziała Świętosława, gdy poczuła pod plecami przyjemną miękkość łoża.

Dusza położyła jej na piersi dziecko wraz ze stygnącym łożyskiem. Świętosława przecięła pępowinę i przytuliła dziecko z całych sił. Chłopiec sam znalazł drogę do jej sutka i zaczął ssać.

— Jak cicho — powiedziała. — Jak cicho.

— Pies bojowy nie szczeka — odpowiedziała na to Arnora i stuknęła kielichem o ławę.

Kózka pobiegła szukać króla, Dusza z Melkorką zaczęły sprzątać alkowę, Świętosława przymknęła oczy, tuląc w ramionach dziecko. Zbudziła się, gdy wszedł Sven. Arnory już nie było w komnacie.

— Syn? Naprawdę syn?

— Sam sprawdź — uśmiechnęła się sennie. — Chłopiec poczęty z węzła.

— Dajmy mu wobec tego na imię Knut! Knut znaczy węzeł! Mogę? — wyciągnął po niego ramiona.

— Bierz — powiedziała. — To syn królowej, ale też twój.

Zobaczyła, że w drzwiach tłoczą się ludzie. Jorun, Gjotgar, Hakon, Stenkil, Wielki Ulf, mały Wilczan, inni.

Z głębi dworu rozległo się pokrzykiwanie toporników:

— Syn kró-lowej! Syn kró-lowej! Syn kró-lowej!

Sven wziął dziecko delikatnie i uniósł wysoko, mówiąc:

— Oto mój syn, Knut!

I wtedy Knut nasikał na niego, wyprężając się.

Melkorka parsknęła śmiechem, Dusza też, za nimi inni. I sam Sven. Sven śmiał się tak bardzo, że zaczęły mu płynąć łzy po policzkach. Świętosława nie miała siły się śmiać. Mały Knut zasnął w górze, trzymany przez ojca. Nie przeszkadzało mu skandowanie:

— Syn kró-lowej! Syn kró-lowej! Syn kró-lowej!

Sven ostrożnie oddał jej dziecko, szepcząc:

— Odpoczywajcie. Przyjdę później.

W tej samej chwili usłyszeli hałas z głębi dworu. Krzyki, huk biegnących zbrojnych. Sven się skrzywił.

— Cicho! Moja żona i syn…

— Królu! — zawołał ktoś od strony halli. — Księżniczka Tyra zniknęła. Nie ma jej!

Od autorki

Narodził się Knut. Trzecie dziecko Świętosławy, jedyne, które w chwili przyjścia na świat okrzyknięto „synem królowej”. Coraz więcej graczy przestawia piony tej historii.

Bolesław w sekrecie przed siostrą swata Tyrę z Tryggvasonem, jarl Sigvald, powtarzając: „jomswikingowie nie wtrącają się w sprawy królów”, sam zaczyna w nich mieszać. Sven pielęgnuje swą niechęć do Olava, „drugiego wodza”. Tyra znika.

Nie zostawię czytelników z otwartą grą i rozstawionymi pionami na długo.

Jesienią kontynuacja *Hardej*, powieść pod tytułem *Królowa*. Nowi gracze i nowy wymiar tej historii. Już teraz zapraszam na wspólną wyprawę od Roskilde do krainy zórz polarnych. Od Poznania przez Merseburg do Budziszyna, przez wszystkie wielkie wojny Bolesława. Od Pragi po Kijów. Od Gniezna przez tajemniczy Kałdus. I do Anglii, bo przecież wiecie, kim stanie się „syn królowej”?

Nie łudźcie się, że wszystko już wiecie o Hardej.
Niebawem poznacie Królową.

Harda i *Królowa* to dla mnie powieści szczególne. Dają szansę na pokazanie historii Polski w szerszym niż zwykle kontekście. Łączą losy dynastii Piastów z historią Skandynawii; jedno i drugie to moje ulubione rewiry łowieckie. Do tej pory polowałam oddzielnie — Skandynawią zajmując się w czterotomowej „Północnej Drodze”; Piastami w *Grze*

w kości, *Koronie śniegu i krwi* oraz *Niewidzialnej koronie*. Teraz mogę połączyć ulubione wątki.

Znam wszystkie dyskursy historyczne o Świętosławie, Sigridzie Storrådzie, i o tym, że nie wiemy, jak miała na imię. Odpowiem na nie po ostatniej stronie powieści. Nadchodzi czas *Królowej*.

Korony Rody Królestwa

Legenda drzew genealogicznych

potomstwo i/lub linia dziedziczenia (według starszeństwa – od lewej do prawej)
związki małżeńskie i konkubinaty
eństwo
Frede
wielożeństwo
inne relacje i opisy związków zachodzących między postaciami
korona przechodzi w ręce Duńczyków

Opisy postaci historycznych uporządkowano według ich występowania na drzewie genealogicznym, od góry do dołu i od lewej do prawej.

Polska

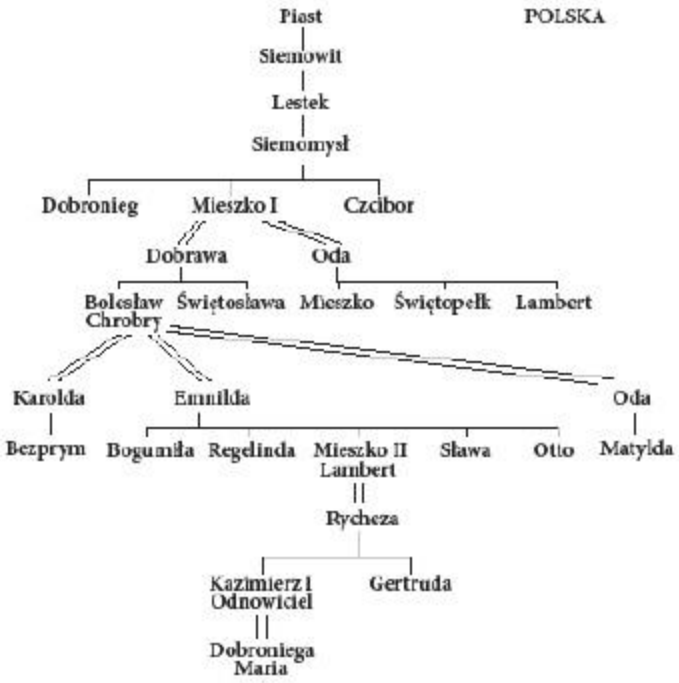

Piast	Legendarny założyciel dynastii Piastów
Siemowit	Piastowski książę (IX wiek)
Lestek	Piastowski książę (IX wiek)
Siemomysł	Piastowski książę (do ok. 950)
Dobronieg	Starszy brat Mieszka I, zginął w walkach z Geronem i Wichmanem
Mieszko I	Książę Polski (960–992), pierwszy ochrzczony władca Polski

Czcibor	Młodszy brat Mieszka I, walczył u boku Mieszka pod Cedynią i przeciw Wichmanowi
Dobrawa	Pierwsza żona Mieszka I, księżniczka z rodu Przemyślidów
Oda	Druga żona Mieszka I, córka Ditricha z marchii północnej
Bolesław Chrobry	Książę Polski (992–1025), pierwszy król Polski (1025), książę Czech (1003–1004)
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Mieszko	Po śmierci ojca wygnany z kraju przez Bolesława Chrobrego
Świętopełk	Zmarł w dzieciństwie
Lambert	Po śmierci ojca wygnany z kraju przez Bolesława Chrobrego
Karolda	Druga żona Bolesława Chrobrego, Węgierka
Emnilda	Trzecia żona Bolesława Chrobrego, księżniczka słowiańska
Oda	Czwarta żona Bolesława Chrobrego, margrabianka miśnieńska
Bezprym	Książę Polski (1031–1034)
Bogumiła	Królewna polska (imię nadane nieznanej córce Bolesława Chrobrego przez autorkę)
Regelinda	Margrabina miśnieńska
Mieszko II Lambert	Król Polski (1025–1031)
Sława	Królewna polska (imię nadane nieznanej córce Bolesława Chrobrego przez autorkę)
Otto	Książę dzielnicowy
Matylda	Królewna polska
Rycheza	Żona Mieszka II Lamberta, córka palatyna reńskiego, wnuczka Ottona II, siostrzenica Ottona III
Kazimierz I Odnowiciel	Książę Polski (1034–1058)
Gertruda	Żona Izjasława I, wielkiego księcia kijowskiego
Dobroniega Maria	Żona Kazimierza I Odnowiciela, księżniczka kijowska, księżna polska

Szwecja

Björn Eriksson	Król Szwecji (882–932)
Erik Zwycięski (Segersäll)	Król Szwecji wespół z bratem Olofem (970–995), po jego śmierci wygrał walkę o tron z bratankiem Styrbjörnem
Olof Björnsson	Król Szwecji wespół z bratem Erikiem (970–975)
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Styrbjörn Silny	Pretendent do tronu Szwecji po śmierci swojego ojca, pokonany przez Erika pod Fyrisvellir
Olof Skötkonung	Król Szwecji (995–1022), pierwszy ochrzczony władca tego kraju

Dania

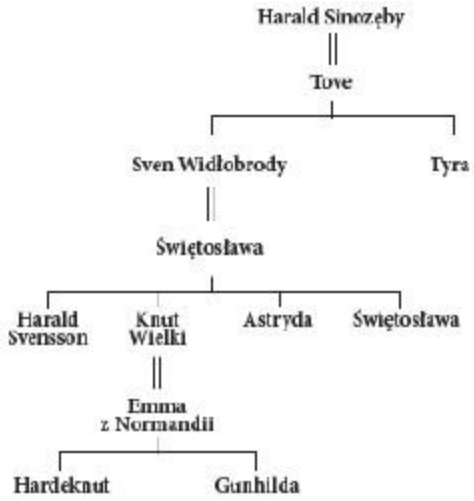

Harald Sinozęby	Król Danii (958–987) i Norwegii (974–985), pierwszy ochrzczony władca Danii
Tove	Księżniczka słowiańska i królowa duńska, córka księcia Obodrytów
Sven Widłobrody	Król Danii (987–1014), Anglii (1013–1014) i Norwegii (987–995 i 1000–1014)
Tyra	Królowa Norwegii
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Harald Svensson	Regent Danii (1013), później król Danii (1014–1018)
Knut Wielki	Król Anglii (1016–1035), Danii (1018–1035) i Norwegii (1028–1035)
Astryda	Królewna duńska
Świętosława	Królewna duńska
Emma z Normandii	Królowa Anglii, wcześniej żona Ethelreda Bezradnego

Hardeknut	Król Danii (1035–1042) i Anglii (1040–1042)
Gunhilda	Królowa Niemiec

Norwegia

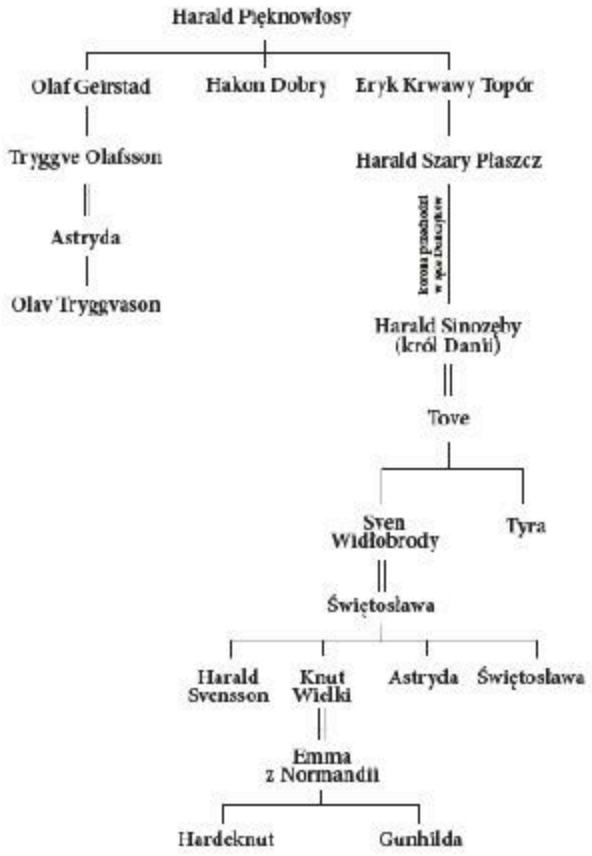

Harald Pięknowłosy	Król Norwegii (872–930), zjednoczył kraj, abdykował na rzecz syna
Olaf Geirstad	Król Vingulmark i Vestfold
Hakon Dobry	Król Norwegii (934–960/961), nieślubny syn Haralda, początkowo na dworze angielskim, przejął tron po obalonym Eryku

Eryk Krwawy Topór	Król Norwegii (930–934) i Northumbrii (947–954), jego okrucieństwo skłoniło możnowładców do ściągnięcia nieślubnego syna Haralda, Hakona, z Anglii
Tryggve Olafsson	Król Viken
Harald Szary Płaszcz	Król Norwegii (961–976)
Astryda	Królowa Viken
Olav Tryggvason	Pogrobowy syn króla Viken, król Norwegii (995–1000)
Harald Sinozęby	Król Danii (958–987) i Norwegii (974–985), pierwszy ochrzczony władca Danii. Rządy w Norwegii pełnił jego wasal, jarl Hakon Sigurdsson
Tove	Księżniczka słowiańska i królowa duńska, córka księcia Obodrytów
Sven Widłobrody	Król Danii (987–1014), Anglii (1013–1014) i Norwegii (987–995 i 1000–1014)
Tyra	Królowa Norwegii
Świętosława	Zwana na Północy Sigridą Storrådą (czasami w Danii zwana również Gunhildą), królowa Szwecji, Danii, Norwegii i Anglii
Harald Svensson	Regent Danii (1013), później król Danii (1014–1018)
Knut Wielki	Król Anglii (1016–1035), Danii (1018–1035) i Norwegii (1028–1035)
Astryda	Królewna duńska
Świętosława	Królewna duńska
Emma z Normandii	Królowa Anglii, wcześniej żona Ethelreda Bezradnego
Hardeknut	Król Danii (1035–1042) i Anglii (1040–1042)
Gunhilda	Królowa Niemiec

Ruś

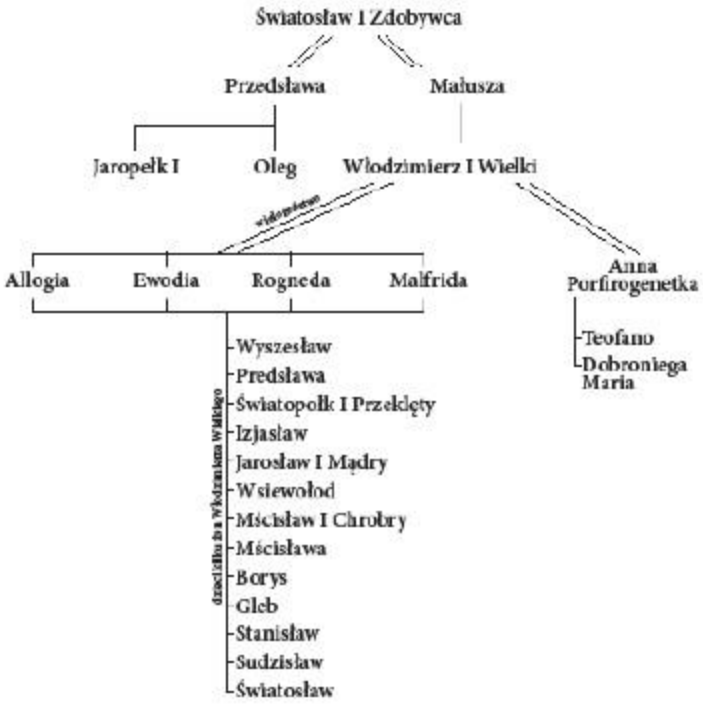

Światosław I Zdobywca	Kniaź Rusi Kijowskiej (945–972)
Przedsława	Żona kniazia kijowskiego Światosława I
Małusza	Konkubina kniazia kijowskiego Światosława I
Jaropełk I	Kniaź Rusi Kijowskiej (972–978)
Oleg	Kniaź Drewlan (969–977)

Włodzimierz I Wielki	Kniaź Rusi Nowogrodzkiej (969–977 i 979–988), później też Kijowskiej (978–1015), młodszy brat Jaropełka
Allogia	Żona Włodzimierza I Wielkiego
Ewodia	Żona Włodzimierza I Wielkiego
Rogneda	Żona Włodzimierza I Wielkiego, kniaziówna połocka
Malfrida	Żona Włodzimierza I Wielkiego
Anna Porfirogenetka	Żona Włodzimierza I Wielkiego, córka cesarza bizantyjskiego
Wyszesław	Kniaź nowogrodzki (988–1010)
Predsława	Konkubina Bolesława Chrobrego
Światopołk I Przeklęty	Kniaź turowski, wielki kniaź kijowski
Izjasław	Kniaź połocki (989–1001)
Jarosław I Mądry	Kniaź rostowski (987–1010), wielki kniaź kijowski (1016–1054, z przerwami)
Wsiewołod	Kniaź wołyński
Mścisław I Chrobry	Kniaź tmutarakański (988–1036), kniaź czernihowski (1026–1036)
Mścisława	Kniaziówna kijowska, od 1018 na dworze Bolesława Chrobrego
Borys	Wraz z bratem Glebem pierwszy święty Rusi Kijowskiej
Gleb	Wraz z bratem Borysem pierwszy święty Rusi Kijowskiej
Stanisław	Kniaź smoleński (988–1015)
Sudzisław	Kniaź pskowski (1014–1036)
Światosław	Kniaź Drewlan (990–1015)
Teofano	Żona posadnika z Nowogrodu
Dobroniega Maria	Żona Kazimierza I Odnowiciela, księżna polska

Święte Cesarstwo Rzymskie

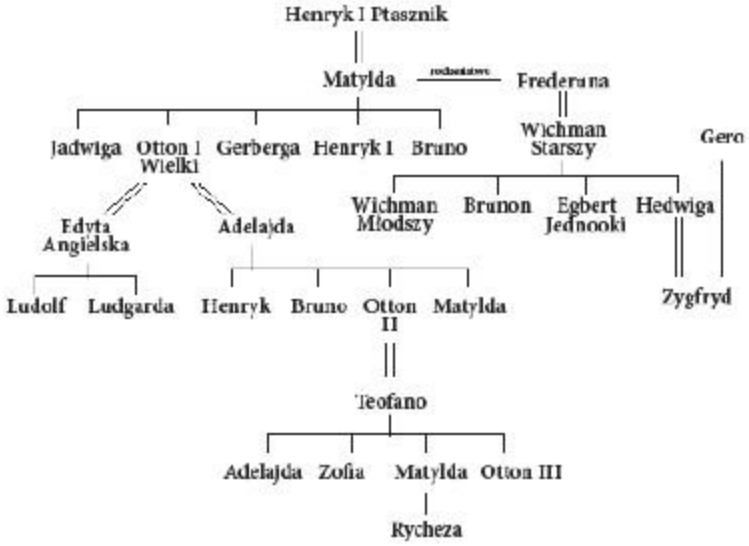

Henryk I Ptasznik	Książę Saksonii (912–936), król Niemiec (919–936)
Matylda	Druga żona Henryka I Ptasznika, święta
Frederuna	Siostra królowej Matyldy
Jadwiga	Księżna Francji

Otton I Wielki	Książę Saksonii (936–961), król Niemiec (936–973) i cesarz (962–973)
Gerberga	Księżna Lotaryngii
Henryk I	Książę Bawarii
Bruno	Arcybiskup Kolonii, święty
Wichman Starszy	Zbuntowany graf z rodu Billungów, spowinowacony z Matyldą
Edyta Angielska	Królewna angielska, pierwsza żona Ottona I
Adelajda	Królewna burgundzka, druga żona Ottona I
Wichman Młodszy	Graf z rodu Billungów, banita, na rozkaz Gerona najeżdżał ziemie Mieszka I
Brunon	Biskup Verden
Egbert Jednooki	Graf Astfalii
Hedwiga	Żona Zygfryda, syna margrabiego Gerona
Ludolf	Książę Szwabii
Ludgarda	Księżna Lotaryngii
Henryk	Zmarł w dzieciństwie
Bruno	Zmarł w dzieciństwie
Otton II	Król Niemiec (973–983), cesarz (980–983)
Matylda	Opatka w Kwedlinburgu
Gero	Margrabia marchii wschodniej (937–965)
Teofano	Księżniczka bizantyjska, regentka Ottona III
Zygfryd	Syn margrabiego Gerona, poległ w bitwie
Adelajda	Opatka m.in. w Kwedlinburgu
Zofia	Opatka w Gandersheim i Essen
Matylda	Żona palatyna Lotaryngii
Otton III	Król Niemiec (983–1002), cesarz (996–1002)
Rycheza	Matka Kazimierza I Odnowiciela, córka palatyna reńskiego, wnuczka Ottona II, siostrzenica Ottona III

Anglia

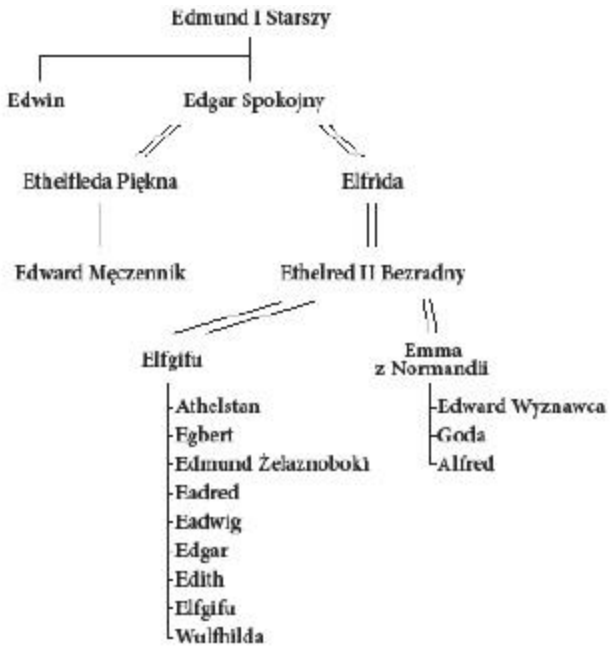

Edmund I Starszy	Król Anglii (939–946)
Edwin	Król Anglii (955–959)
Edgar Spokojny	Król Anglii (959–975), młodszy brat Edwina
Ethelfleda Piękna	Pierwsza żona Edgara Spokojnego, zwana też Sprawiedliwą
Elfrida	Druga żona Edgara, pierwsza koronowa królowa Anglii
Edward Męczennik	Król Anglii (975–978), męczennik i święty
Ethelred II Bezradny	Król Anglii (978–1013 i 1014–1016)
Elfgifu	Królowa Anglii, córka earla Northumbrii
Emma z Normandii	Królowa Anglii, późniejsza żona Knuta Wielkiego
Athelstan	Królewicz angielski
Edward Wyznawca	Król Anglii (1042–1066)
Egbert	Królewicz angielski

Goda	Hrabina Véxin, a później Boulogne
Edmund Żelaznoboki	Król Anglii (1016)
Alfred	Królewicz angielski
Eadred	Królewicz angielski
Eadwig	Królewicz angielski
Edgar	Królewicz angielski
Edith	Hrabina Mercji, żona Eadrica Streony
Elfgifu	Hrabina Northumbrii
Wulfhilda	Hrabina Anglii Wschodniej

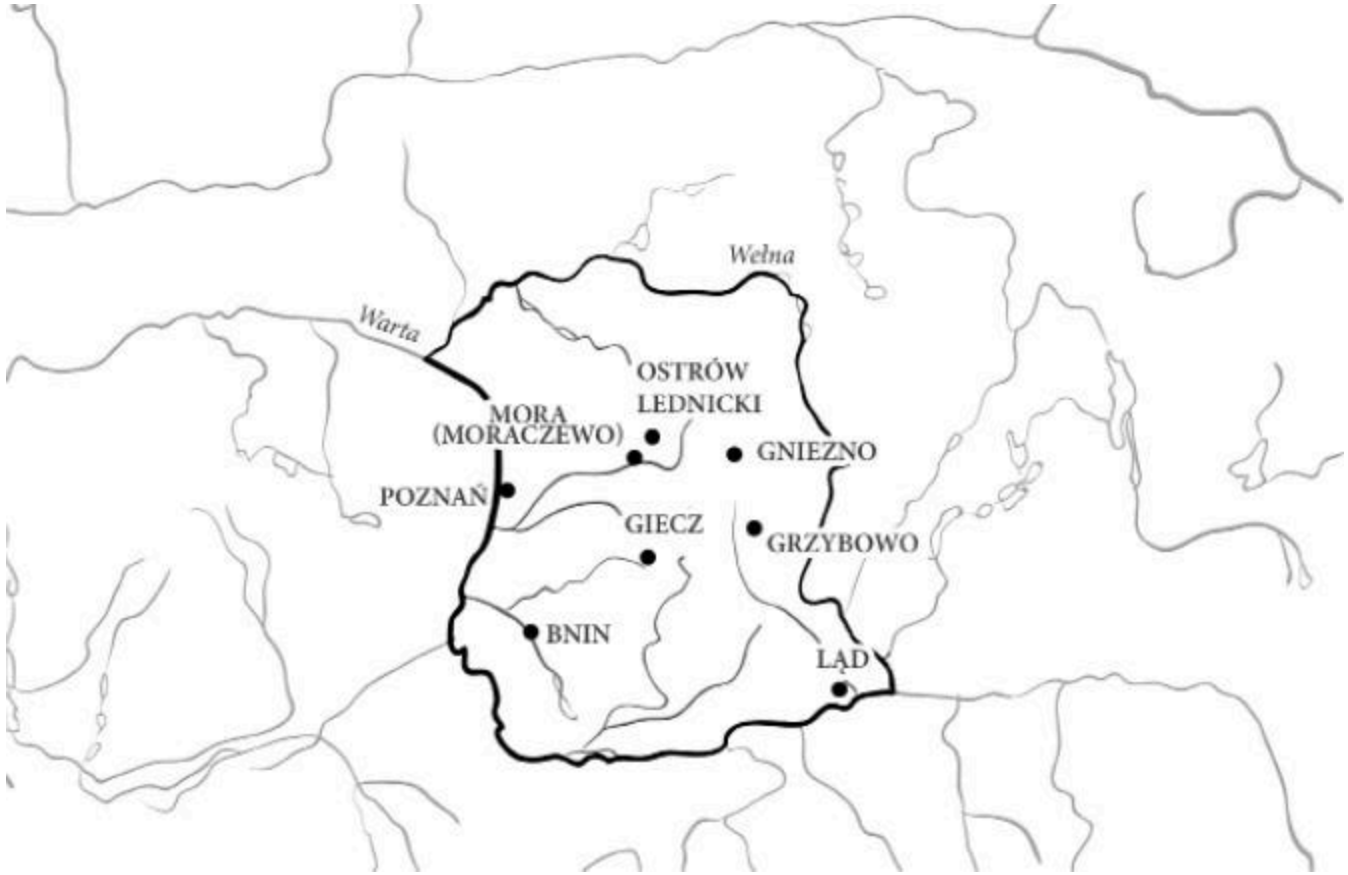
Wełna
Warta
OSTRÓW
LEDNICKI
MORA
(MORACZEWO)
GNIEZNO
POZNAŃ
GIECZ
GRZYBOWO
BNIN
LĄD